MARIAN KEYES

Najjaśniejsza gwiazda na niebie

Tytuł oryginału: *The Brightest Star in the Sky*

Dla Dylana Martina

TLR

Dawno temu Byłem tobą
A nasz sekret Był Prawdą
Co się stało Złotowłosa
Co się stało Gdzie ja byłem
Biegałaś dokoła Ze śmiechem głośnym
W gorącym słońcu W moją stronę
Ale inny zdobył twe serce Tamtego dnia
Uśmiechnięte kłamstwo Do ciebie dotarło
Poszłaś za nim W ciemny las
Nie widział nikt Wilka w przebraniu
A teraz stoisz I na mnie patrzysz
Sukienka brudna Kolana zielone
Jak mam z tobą być Jak przeboleć
Tamtą majową Śmierć
Ten dzień Ta noc
Ta godzina Wyczekiwana
To pióro
Ta kartka
Modlitwa
Za ciebie...

Czerwony Kapturek Christina Reihill

Z *Diving for a White Rose*

„We wszystkim, naprawdę wszystkim jest pęknięcie,
By światło mogło przebić się”.

Leonard Cohen

Dzień 61

Pierwszy czerwca, pogodni letni wieczór, poniedziałek. Fruwałem sobie nad dublińskimi ulicami i domami, aż w końcu tu dotarłem. Przez świetlik w dachu wślizguję się do salonu i od razu wiem, że mieszka tutaj kobieta. Widać kobiecą rękę - pastelowe narzuty na kanapie, tego rodzaju rzeczy. Dwa kwiatki w doniczkach. Niezasuszone. Niezbyt duży telewizor.

Wygląda na to, że przybyłem w samym środku jakiejś uroczystości. Kilkoro ludzi stoi w nierównym kole, sącząc szampana i udając, że się śmieją z tego, co mówią ich towarzysze. Zróżnicowanie płciowe i wiekowe sugeruje, że to jakaś uroczystość rodzinna.

Wokół leżą kartki urodzinowe. Porozrywany kolorowy papier. Prezenty. Gadka o wyjściu do restauracji. Żądny informacji czytam kartki. Są zaadresowane do kogoś o imieniu Katie, która świętuje czterdzieste urodziny. Według mnie taka akurat okazja nie wymaga jakiegoś szczególnego świętowania, no ale to tylko moje zdanie.

Lokalizuję Katie. W ogóle nie wygląda na czterdzieści lat, ale z tego, co mi wiadomo, czterdziestka to nowa dwudziestka. Jest dość wysoka, ma ciemne włosy, spory biust i dzielnie się stara stać prosto w kozaczkach na wysokim obcasie. Ma przyjemną aurę; emanuje z niej zrównoważone ciepło, jak w przypadku dość seksownej nauczycielki z podstawówki. (Choć nie taki wykonuje zawód. Wiem to, bo generalnie strasznie dużo wiem.)

Mężczyzna, który stoi obok Katie i pala dumą – dumą, która ma wiele wspólnego z nowym platynowym zegarkiem na ręce Katie – to jej chłopak, partner, ukochany, nazwijcie go, jak sobie chcecie.

Interesujący człowiek, o fascynujących siłach witalnych, a jego

wibracje są tak silne, że niemal je widać. Nieźle mnie, prawdę mówiąc, zaintrygował.

Conall, tak na niego mówią. Przynajmniej ci bardziej uprzejmi członkowie grupy. W eterze unosi się kilka innych określeń – Pozer, Szpaner – nikt jednak nie wypowiada ich na głos. Fascynujące. Mężczyźni w ogóle go nie lubią. Rozpoznałem ojca Katie, jej brata i szwagra i żaden z nich nie przepada za Conallem. Z kolei panie – matka Katie, jej siostra i przyjaciółka – nie żywią w stosunku do niego aż tak negatywnych uczuć.

Coś jeszcze wam powiem: ten Conall tu nie mieszka. Mężczyzna z tak silną osobowością i aurą nie poradziłby sobie z tak małym telewizorem. Ani z podlewaniem kwiatków.

Przemykam obok Katie, a ona przykłada dłoń do karku i wzdryga się.

– Co się stało? – Conall wygląda na gotowego do walki.

– Nic. Miałam tylko wrażenie, że dotknął mnie jakiś duch.

No bez przesady!

– Hej! – Naomi, starsza siostra Katie, pokazuje na lustro, które stoi oparte o komodę. – Twoje nowe lustro jeszcze nie wisi?

– Jeszcze nie. – Z odpowiedzi Katie sączy się nagle napięcie.

– Ale kupiłaś je dawno temu! Myślałam, że Conall je powiesi.

– Conall tak właśnie zrobi – oświadcza stanowczo Katie. – Jutro rano, przed wyjazdem do Helsinek. Prawda, Conall?

Tarcie! Ze świstem przemyka po pomieszczeniu, odbija się od ścian. Conall, Katie i Naomi żonglują nim między sobą, a reperkusje rozprzestrzeniają się poza ich trójkę, obejmując wszystkie obecne tutaj osoby. *Entre nous,* umieram dosłownie z ciekawości, co tu się dzieje, ale z niepokojem przekonuję się, że władzę nade mną przejmuje jakaś siła. Coś potężniejszego ode mnie ciągnie mnie na dół. Przez wełniany dywan, deski

stropowe, które są dosłownie podziurawione przez czerwie – komuś należałoby o tym powiedzieć – w zupełnie inne miejsce: mieszkanie znajdujące się pod tym, które należy do Katie. Jestem w kuchni. Zdumiewająco brudnej kuchni. W zlewie piętrzą się bezładnie rondle, patelnie i talerze, podłogi nie myto chyba już ze sto lat, a kuchenka upstrzona jest mnóstwem wymyślnych pozostałości jedzenia, jakby niedawno gościła tu grupa taszy – stów. Nad stołem pochyla się dwóch umięśnionych młodych mężczyzn, rozmawiających ze sobą po polsku. Niemal stykają się głowami, a mówią pospiesznie, niemal w panice. Obaj pulsują niepokojem tak bardzo, że ich wibracje wymieszały się ze sobą i nie jestem w stanie ich rozdzielić. Na szczęście okazuje się, że znam biegle język polski i oto przybliżone tłumaczenie tego, co mówią:

– Jan, ty jej powiedz.

– Nie, Andrzej, ty.

– To ja próbowałem ostatnim razem.

– Andrzej, ciebie bardziej szanuje.

– Nie, Jan. Choć trudno mnie, Polakowi, to zrozumieć, ona nie szanuje żadnego z nas. Te Irlandki są dla mnie niepojęte.

– Andrzej, ty jej powiedz, a ja dam ci trzy gołąbki.

– Cztery i umowa stoi.

(Obawiam się, że te dwa ostatnie zdania zmyśliłem.)

Do kuchni wchodzi obiekt ich poważnej dyskusji i naprawdę nie rozumiem, czego się tak boją ci dwaj potężni faceci z tatuażami i ciut groźnie wyglądającymi fryzurami na zapałkę. Ta drobna istota – Irlandka, w przeciwieństwie do chłopaków – jest dosłownie urocza. Śliczna kokietka z szelmowskim spojrzeniem, długimi rzęsami i czarującymi, opadającymi na ramiona lokami. Na oko ma dwadzieścia kilka lat, a emanują z niej wibracje

tak intensywne, że aż przecinają zygzakiem powietrze.

W ręce trzyma gotowe danie. Coś wyglądającego paskudnie. (Szarawa pieczeń wołowa, gdyby was to ciekawiło.)

– No już – syczy Jan do Andrzeja.

– Lydia. – Andrzej pokazuje na brudną, szczerze mówiąc, kuchnię. Po angielsku dodaje: – Sprzątać czasem.

– Czasem – zgadza się dziewczyna, biorąc z suszarki widelec. – Ale niestety nie w tym życiu. A teraz się przesuń.

Andrzej skwapliwie robi jej miejsce, aby mogła dojść do mikrofalówki. Lydia brutalnie wbija widelec w folię zakrywającą jej danie. Cztery razy, a każde nakłucie brzmi jak mały wybuch, przez co Janowi drga lewa powieka. Następnie dziewczyna wkłada karton do mikrofalówki. Wykorzystuję tę sposobność, aby podfrunąć do niej i się przedstawić, jednak ku memu zdziwieniu ona wykonuje taki gest, jakby przeganiała uprzykrzoną muchę.

Mnie!

Nie Wiesz, kim jestem?

Andrzej robi drugie podejście.

– Lydia, proszę... Jan i ja, my sprzątamy dużo, dużo razy.

– No i fajnie. – Radosna odpowiedź Lydii, która wyławia ze zlewu najmniej brudny nóż i przez pół sekundy spłukuje go wodą z kranu.

– Zrobiliśmy grafik. – Andrzej nieprzekonująco macha kartką.

– No i fajnie. – Och, jakie białe są te jej zęby, jaki olśniewający uśmiech!

– Mieszkasz tu trzy tygodnie. Nie sprzątasz. Musisz sprzątać.

Z Lydii niespodziewanie emanuje jakieś uczucie, mroczne i pełne goryczy. Wygląda na to, że jednak sprząta. Ale nie tutaj? W takim razie

gdzie?

– Andrzeju, moja ty polska kapustko, i ty też, Janie, moja druga polska kapustko, wyobraźmy sobie, że jest dokładnie na odwrót. – Dla podkreślenia swych słów wymachuje (nadal brudnym) widelcem. A ja wiem, że na tym nożu żyją sobie dwieście siedemdziesiąt trzy gatunki bakterii. Wiem już także, że tylko najbardziej odważna i heroiczna bakteria byłaby w stanie wygrać z tą całą Lydią.

– Na odwrót? – pyta niespokojnie Andrzej.

– Wyobraźmy sobie, że mieszkają tu dwie kobiety i jeden mężczyzna. Mężczyzna nigdy by nawet palcem nie ruszył. Kobiety wszystkim by się zajmowały. Prawda?

Brzęknięcie mikrofalówki. Lydia wyjmuje z niej swój nieapetyczny posiłek i z czarującym uśmiechem opuszcza kuchnię, aby poszukać czegoś w Internecie.

Cóż za pełna wigoru dziewczyna! Fascynująca podżegaczka!

– Nazwała nas kapustami – powiedział lodowatym tonem Jan. – Nie znoszę, kiedy tak na nas mówi.

Ale choć strasznie chcę się dowiedzieć, co będzie dalej – może łzy w oczach Jana? – znowu coś mnie ciągnie w dół, przez groźne dla zdrowia kuchenne linoleum, przez kolejne porowate belki, aż w końcu docieram do jeszcze innego mieszkania. Tutaj jest ciemniej. Mnóstwo mebli, zbyt dużych i brązowych. Sporo dywaników w gryzące się wzory i firanki tak gęste, że wyglądają jak szydełkowane. Na fotelu siedzi srogo wyglądająca starsza pani. Kolana daleko od siebie, odziane w kapcie stopy stoją zdecydowanie na podłodze. Musi mieć co najmniej sto szesnaście lat. Ogląda w telewizji program ogrodniczy i patrząc na jej minę i zmarszczone brwi, można by przysiąc, że w życiu nie słyszała takich idiotyzmów. Rośliny wieloletnie?

Nie ma czegoś takiego, ty głupcze! Wszystko umiera!

Przefruwam obok niej i docieram do małego ciemnego pokoju, następnie do drugiego, nieco większego, ale równie ciemnego, gdzie zaskakuje mnie widok dużego psa z długimi uszami, tak dużego i szarego, że przez chwilę wydaje mi się, że to osioł. Leży w kącie, łeb ma oparty na łapach i wygląda na nadąsanego – i wtedy wyczuwa moją obecność i od razu robi się czujny. Ze zwierzętami nie jest tak łatwo. Różne częstotliwości, wiecie? Wszystko opiera się na częstotliwościach.

Czując respekt i strach, strzyże długimi uszami, cicho warczy, po czym zmienia zdanie, biedny, zdezorientowany głupiec. Jestem przyjacielem czy wrogiem? Nie ma pojęcia.

A jak się wabi to stworzenie? Cóż, dziwna sprawa, ale wygląda na to, że Grudge[1]. Ale coś się musiało pomieszać, to przecież nie jest imię. Niestety w tym mieszkaniu jest za dużo rzeczy, a to spowalnia i zaburza wibracje.

Zostawiam osłowatego psa i śmigam z powrotem do salonu, gdzie stoi mahoniowy sekretarzyk z żaluzjowym zamknięciem, masywny i ciężki niczym dorosły słoń. Leżąca na nim otwarta korespondencja mówi mi, że starucha ma na imię Jemima.

Stoi tam także srebrna ramka ze zdjęciem przedstawiającym młodego mężczyznę i dzięki przebłyskowi zrozumienia wiem już, że ma on na imię Fionn. To oznacza Jasnowłosy. No więc kim on jest? Narzeczonym Jemimy, który zginął w wojnie burskiej? A może zabrała go epidemia grypy w tysiąc dziewięćset osiemnastym? Ale to zdjęcie nie jest w stylu I wojny światowej. Ówcześni mężczyźni w tych swoich ciasnych mundurach na zdjęciach zawsze stoją tak sztywno i prosto, jakby do tyłka wepchnięto im karabin.

1 Grudge ~ ang. uraza

Wszyscy jak jeden mąż mają wąsy i takie szkliste spojrzenia, jakby umarli i ktoś ich wypchał. W odróżnieniu od nich Fionn wygląda jak książę z dziecięcej bajki. To przez te włosy – które ma jasne, długawe i faliste – i szczękę, którą ma kwadratową. Ma na sobie skórzaną kurtkę i sprane dżinsy i kuca na środku chyba jakiegoś klombu z kwiatami. Ma garść pełną ziemi, którą podaje mi z zuchwałym uśmiechem, niemal zalotnym, jakby mi oferował znacznie więcej niż...! Chryste Przenajświętszy! Właśnie do mnie mrugnął! Poważnie, mrugnął! Jego zdjęcie mrugnęło! A w jego uśmiechu zamigotała srebrna gwiazdka! Ledwo w to mogę uwierzyć.

– Czuję twoją obecność! – krzyczy nagle Jemima, a ja aż podskakuję z przerażenia. Zupełnie o niej zapomniałem, tak mnie pochłonął Książę Fionn i jego mruganie i migotanie. – Wiem, że tu jesteś – mówi. – I wcale się ciebie nie boję!

Ona pije do mnie! A wcale się do niej nie zbliżyłem. Jest bardziej wrażliwa, niż mogłoby się wydawać.

– Pokaż się – oświadcza.

Pokażę się, paniusiu, a jakże. Tyle że jeszcze nie teraz. Musi nadejść właściwy moment. A zresztą i tak coś mnie znowu zaczyna ciągnąć jeszcze niżej. Znajduję się teraz w mieszkaniu na parterze. Przez okno w salonie widzę ulicę. Wyczuwam tu dużo miłości. I coś jeszcze...

Na sofie, skąpani w migającym świetle telewizora (trzydziestodwucalowego) leżą... leżą... cóż, mężczyzna i kobieta, ale tak mocno się do siebie tulą, że przez chwilę mam wrażenie, jakby stanowili jedność, jakby byli jakimś dziwnym mitologicznym tworem z dwiema głowami i trzema nogami. (Czwarta noga też jest, tyle że schowana pod ich ciałami.)

Na podłodze stoją dwa talerze, na których dostrzec można pozostałości

po solidnym obiedzie: ziemniaki, mięso, sos, marchewka – można by uznać, że to ciut ciężkie jak na czerwiec, no ale co ja tam wiem.

Kobieta – Maeve – którą potrafię już odróżnić, ma jasne włosy i różowe policzki, jak anioł z obrazu. Jest w niej taka pucołowata, cherubinkowa świeżość, ponieważ kiedyś była dziewczyną z farmy. Może i mieszka teraz w Dublinie, ale nadal otacza ją słodka i czysta aura wsi. Ta kobieta nie boi się błota. Ani krowich wymion. Ani rodzących kur. (Chyba coś tu lekko poplątałem.) Ale ta kobieta boi się innych rzeczy...

Trudno mi się przyjrzeć mężczyźnie – Mattowi – gdyż tak mocno są ze sobą spleceni, że twarz ma niemal ukrytą. Co zabawne, oglądają ten sam program o ogrodnictwie, co Jemima z piętra wyżej. Jednak w przeciwieństwie do niej uważają go za fantastyczny.

Niespodziewanie wyczuwam tu obecność jeszcze jednego mężczyzny. Słabo, ale wystarczająco, abym ruszyła na oględziny mieszkania, żeby to sprawdzić. Podobnie jak w pozostałych trzech mieszkaniach w tym budynku, znajdują się tu dwie sypialnie, ale tylko jedna rzeczywiście pełni taką rolę. Drugi pokój, ten mniejszy, przekształcono w gabineto – składzik: biurko, komputer i porzucony sprzęt sportowy (kijki do nordic walkingu, rakietki do badmintona, buty do jazdy konnej, tego typu rzeczy), natomiast nic, na czym można by się przespać.

Ruszam na dalsze oględziny. W kuchni dwa takie same kubki, dwie miseczki do musli, wszystko podwójne. Bez względu na to, czym jest obecność tego dodatkowego mężczyzny, on tu nie mieszka. A sądząc po stanie widocznego z okna sypialni ogrodu, nie kosi także trawy. Wracam do salonu i zbliżam się do anielskiej Maeve, aby się przedstawić – zachowując się przyjacielsko – ale ona zaczyna wymachiwać rękami i wyplątuje się z objęć Matta. Siada wyprostowana. Z jej twarzy odpłynęła cała krew, a usta

ma otwarte; tworzą wielkie, milczące „O”.

Matt nie bez problemu podnosi się do pozycji siedzącej. Jest równie zaniepokojony.

– Maeve! Maeve. To tylko ogrodnictwo! Powiedzieli coś nie tak?

Wydaje się przestraszony. Mając okazję mu się przyjrzeć, widzę, że ma młodą, sympatyczną twarz i podejrzewam, że także fantastyczny uśmiech, oczywiście, kiedy nie dręczy go przestrach, tak jak teraz.

– Nie, nic... – mówi Maeve. – Przepraszam, Matt, poczułam się... nie, już dobrze, wszystko w porządku.

Moszczą się – nieco niepewnie – z powrotem na sofie, wracając do przytulania. Ale zdenerwowałem ją. Zdenerwowałem ich oboje, a nie chcę tego robić. Polubiłem ich; wzrusza mnie ich niezwykła czułość względem siebie.

– No dobrze – mówię (choć oni oczywiście nie mogą mnie słyszeć). – Uciekam.

Siadam na górnym schodku, trochę strapiony. Jeszcze raz sprawdzam adres: Star Street 66, Dublin 8. Dom z czerwonej cegły w stylu georgiańskim z niebieskimi drzwiami i kołatką w kształcie banana. (Jeden z poprzednich mieszkańców był metaloplastykiem – jajcarzem. Wszyscy go nie znosili.) Tak, ten dom jest zbudowany z czerwonej cegły. Tak, w stylu georgiańskim. Tak, niebieskie drzwi. Tak, kołatka w kształcie banana. Znajduję się we właściwym miejscu. Ale nie ostrzeżono mnie, że mieszka tutaj tylu ludzi.

Spodziewaj się niespodziewanego, tak mi poradzono. Ale nie czegoś takiego niespodziewanego się spodziewałem. Ani trochę.

I nie ma nikogo, kogo mógłbym prosić o radę. Zostałem puszczony samopas, niczym mocno zakamuflowany agent. Sam będę musiał do

wszystkiego dojść.

Dzień 61…

Swój pierwszy wieczór na Star Street 66 spędziłem, tłukąc się od mieszkania do mieszkania, zastanawiając się niespokojnie, które jest moje. Mieszkanie Katie było puste. Krótko po moim pojawieniu się cała ekipa w atmosferze napięcia wyruszyła do jakiejś drogiej restauracji. W mieszkaniu piętro niżej Andrzej i Jan sprzątali kuchnię, a tymczasem Lydia rozsiadła się przy niewielkim biurku wciśniętym w kąt salonu i przez długi czas ze skupieniem surfowała po necie. Kiedy poszła do swojego pokoju na drzemkę, a Jan i Andrzej zaszyli się u siebie, aby studiować podręczniki na temat zarządzania biznesem – jacy grzeczni chłopcy – sfrunąłem jeszcze niżej, do Jemimy. Specjalnie się pilnowałem, żeby trzymać się od niej z daleka; nie chciałem, aby znowu zaczęła na mnie krzyczeć. Ale muszę przyznać, że fajnie było bawić się z psem, Grudge'em – o ile to stworzenie rzeczywiście tak się wabi. Migotałem przed jego nosem, a on wpatrywał się jak urzeczony. Pod wpływem impulsu postanowiłem trochę potańczyć i – trzeba mu to oddać – jego wielka szara głowa poruszała się w dokładnie takim samym rytmie jak ja. Falowałem szybciej i szybciej i wirowałem nad jego głową, a on naprawdę się starał dotrzymać mi kroku, biedny głuptas, aż w końcu tak go to zahipnotyzowało, że padł na podłogę, rżąc i śmiejąc się po psiemu. Wtedy, choć z żalem, dałem sobie spokój. Lepiej, żeby psisko nie puściło pawia.

A potem wreszcie wróciłem do Matta i Maeve. To właśnie tutaj miałem ochotę przebywać, ale jako profesjonalista uznałem, że lepiej rozważyć wszystkie możliwości. No, ponieważ zostały rozważone, z czystym sumieniem mogłem ponownie dołączyć do zakochanej parki na

sofie.

Program, który oglądali, właśnie się skończył, i Maeve automatycznie otworzyła ramiona, uwalniając Matta ze swoich objęć. On sturlał się z sofy na podłogę, po czym natychmiast się zerwał na równe nogi, jak żołnierz SAS wdzierający się do ambasady wroga. Widać, że to ruch wyćwiczony, no i dobrze, że talerze już tu nie stały, w przeciwnym razie ładny T – shirt Matta zostałby ubrudzony sosem.

– Herbatka? – zapytał Matt.

– Herbatka – potwierdziła Maeve.

W niewielkiej kuchni Matt postawił na gazie czajnik, otworzył szafkę i na głowę posypała mu się lawina słodyczy. Wybrał dwie paczki – czekoladowe zawijaski oraz pierniczki w czekoladzie – po czym obu rąk potrzebował, aby wepchnąć resztę z powrotem do szafki. Bardzo szybko zamknął drzwiczki, zanim wszystko znowu zdążyło wypaść.

Kiedy czekał, aż w czajniku zagotuje się woda, rozerwał paczkę ciasteczek i z roztargnieniem zjadł dwa, ledwie czując ich smak. Takie swobodne podejście do tłuszczów trans i rafinowanego cukru kazało mi podejrzewać, że spożywa sporą ich ilość, natomiast uważniejsze oględziny pozwoliły mi dostrzec, że Matt ma odrobinę, *ciut ciut... och...* zaledwie zapowiedź przysadzistości. Na całym ciele miał nadwyżkę – poważnie – nie więcej niż milimetra tłuszczu. Chciałbym podkreślić, że to nie jest tchórzliwa próba poinformowania was, że to grubas. Jego brzuch nie napierał na materiał koszulki, no i Matt miał tylko jeden podbródek, zresztą całkiem mocno zarysowany. Owszem, mógłby zgubić parę kilo, ale stan obecny mu pasował. Gdyby ważył trzy kilo mniej, możliwe, że byłby kimś ciut mniej czarującym; możliwe, ze sprawiałby wrażenie zbyt ambitnego, zbyt efektywnego,a jego fryzura wydawałaby się zbyt szykowna.

Dwie łyżeczki cukru do każdego z kubków i powrót do Maeve. Zdążył się zacząć nowy program, z tego co widzę, także bardzo przez nich lubiany. Tym razem poświęcony gotowaniu. Jego gospodarzem był młody przystojny mężczyzna, Neven Maguire. Przytulając się, oglądali proces smażenia przegrzebków, pili herbatę i raczyli się słodyczami. W duchu wspólnoty Maeve zjadła pierniczka Matta, choć był oblany ciemną czekoladą, której ona nie lubi, Matt zaś zjadł zawijaska Maeve, mimo że był tak słodki, że aż go bolała szczęka. Byli dla siebie bardzo, bardzo mili, a na mnie – w moim osłupiałym stanie – działało to kojąco.

Cynik mógłby w tym miejscu oświadczyć, że to wszystko było nieco zbyt idealne. Ale cynik nie miałby racji. Matt i Maeve wcale nie udawali ludzi, którzy są Bardzo Mocno Zakochani. Łączyło ich prawdziwe uczucie, ponieważ wibracje ich serc pozostawały ze sobą w doskonałej harmonii.

Nie wszyscy o tym wiedzą, ale każde ludzkie serce wysyła prąd, który dociera na odległość trzech metrów. Ludzie zastanawiają się, dlaczego od pierwszej chwili kogoś lubią bądź nie. Zakładają, że ma to związek ze skojarzeniami: jeśli poznają niską kobietę o wyrazistych brwiach, przypomina im się historia z inną niską kobietą o wyrazistych brwiach, która pomogła im wyplątać suszarkę z żywopłotu i odruchowo czują sympatię do tej nowej, pozostającej bez związku z tamtą sytuacją niskiej kobiety o wyrazistych brwiach. Albo pierwszą osobą, która ich wyrolowała, był mężczyzna o imieniu Carl, i od tamtej pory każdy Carl wydaje się im podejrzany. Ale natychmiastowa sympatia bądź antypatia wynika także z harmonii (lub dysonansu) sercowych prądów, a serca Matta i Maeve Biją Jak Jedno Serce.

Chwila, w której Matt zakochał się w Maeve...

Ta chwila się zbliżała, prawdę powiedziawszy, od jakiegoś czasu, i w

końcu nadeszła w pewien zimny marcowy poranek, mniej więcej cztery lata i trzy miesiące temu, kiedy Maeve miała dwadzieścia sześć lat, a Matt dwadzieścia osiem. Jechali kolejką podmiejską i nie byli sami – razem z nimi podróżowało troje innych ludzi, dwie dziewczyny i jeden młodzieniec, cała piątka w drodze na jednodniowe szkolenie. Wszyscy pracowali w Goliacie, międzynarodowej firmie produkującej oprogramowanie komputerowe, gdzie Matt piął się po szczeblach kariery w jednym z zespołów ds. sprzedaży. Tak naprawdę to był przełożonym Maeve (pozostałej trójki, gwoli ścisłości, także), nigdy jednak nie zachowywał się jakoś szczególnie władczo – jego styl zarządzania cechowało zachęcanie i chwalenie i wydobywał ze swojego zespołu to, co najlepsze, ponieważ wszyscy – mężczyźni i kobiety – odrobinę się w nim durzyli.

Matta właściwie wcale nie miało tu z nimi być. Miał samochód służbowy, więc zazwyczaj to nim się poruszał (zawsze proponował podwiezienie tym, którzy nie mieli tyle szczęścia, co on), ale tego akurat dnia auto nie chciało zapalić, Matt musiał więc stawić czoło warunkom atmosferycznym i jechać kolejką razem ze swoim zespołem. Często, w pełnych bólu chwilach w przyszłości, zastanawiał się, czy gdyby nie zepsuł mu się samochód, to czy przekroczyłby linię dzielącą sympatię wobec Maeve od miłości do niej. Ale odpowiedź była oczywiście twierdząca. On i Maeve byli sobie przeznaczeni; coś na pewno by się wydarzyło.

Matt był chłopakiem z miasta, urodzonym i wychowanym w Dublinie. Nigdy nie miał okazji widzieć z bliska krowy. Maeve natomiast pierwszych osiemnaście lat życia spędziła na farmie w Galway – wśród kolegów z pracy wręcz miała ksywkę Farmerka. Całkiem niedawno pojechała „do siebie”, żeby pomóc przy cielakach i wróciła z mrożącą krew w żyłach opowieścią o cielaczku o imieniu Bessie, który urodził się przed czasem, a

potem został odrzucony przez matkę. Choć Matta kompletnie nie interesowały sprawy „hodowlane”, wciągnęła go ta opowieść o walce Bessie o przetrwanie. Kiedy Maeve zakończyła zapewnieniem, że Bessie ma już się „dosłownie świetnie”, o dziwo poczuł ulgę.

– Nie jest błędem zbytnie przywiązywanie się do zwierząt? – zapytał.

– Błędem, a jakże. – Maeve westchnęła. – Kiedyś miałam ulubioną świnkę. Biedna Winifred. Zabrano ją i poporcjowano. Więcej nie popełnię takiego błędu. Teraz mam perlika i przynajmniej on umrze śmiercią naturalną.

– Perlika? – zapytał Matt.

– Samiec perliczki.

– Wiedziałem. – A przynajmniej wtedy, kiedy już to powiedziała.

Zaśmiała się z jego przechwałek.

– Och! Ale z ciebie kłamczuch.

Pozostali trzej członkowie zespołu lekko zesztywnieli. Choć wyrozumiały, Matt był jednak ich przełożonym. Można nazywać go kłamczuchem? Ale śmiech Maeve przepełniony był sympatią względem Matta i Matt w żadnym razie nie sprawiał wrażenia urażonego. On i Maeve patrzyli na siebie z błyskiem w oku i uśmiechali się. Prawdę mówiąc, często się do siebie uśmiechali...

– Proszę, mam w portfelu jego zdjęcie – oświadczyła Maeve. – Roger. Jest piękny.

– Zdjęcie perlika? – Matt nie miał pojęcia, co z tym fantem zrobić. Uważał, że to strasznie dziwaczne, ale także zabawne. – Robi się coraz ciekawiej. I ma na imię Roger? Ale czemu akurat tak?

– Wygląda jak Roger. Nie, naprawdę. Pokażę ci.

Maeve z torby na ramię wyjęła portfel i zaczęła szukać zdjęcia. W

całym tym swoim entuzjazmie niechcący otworzyła kieszonkę na drobne i na podłogę kolejki poleciał wodospad monet, brzęcząc, odbijając się i turlając po całym wagonie.

Wszyscy pasażerowie próbowali udawać, że nic się nie stało. Ci, których moneta trafiła w stopę, kopnęli ją lekko albo zerknęli, czy to przypadkiem nie jakaś mysz, by szybko wrócić do pisania esemesów, czytania gazety albo ponurych rozmyślań.

– Kurde mol! – Maeve wstała i zaśmiała się bezradnie.

– To moje drobne do pralni.

I jakby za sprawą jakiegoś magnetycznego przyciągania cała trzynastka pasażerów uniosła głowy i nagle Matt zobaczył, jak wielką ta dziewczyna posiada siłę. Nie butną, arogancką siłę, nie siłę zapewnianą przez drogie ubrania czy nienaganny makijaż – bo dżinsy i uggi Maeve oraz jej potargane loki raczej by nie sprawiły, że bramkarze w nocnych klubach odpięliby czerwoną linę i wpuścili ją do środka. Siłę Maeve stanowił fakt, że od innych ludzi oczekiwała tego, co najlepsze.

Nawet nie przyszło jej do głowy, że otaczający ją nieznajomi mogliby nie mieć ochoty pomóc. I za tę wiarę doczekała się rewanżu. Matt wpatrywał się jak urzeczony, jak niemal wszyscy w wagonie automatycznie upadają na kolana, szukając monet w zasięgu wzroku. Zrobił to Matt i pozostali, ale także litewscy naturopaci, syryjskie pomoce kuchenne, filipińskie pielęgniarki i irlandzcy uczniowie. Wszyscy zbierali drobne i przesuwali się w kucki niczym poruszający się w wolnym tempie Kozacy.

– Dziękuję – mówiła raz po raz Maeve, dostając znalezione monety. – Dziękuję pani, och, dziękuję, jesteście tacy mili, życzliwi, niesamowici. Wszystkiego dobrego, dzięki.

Z kimś takim właśnie chcę być, pomyślał Matt. A po chwili się

poprawił. Nie, kimś takim właśnie chcę być.

Dwa przystanki później, kiedy Matt i jego zespół wysiadali, Maeve zawołała:

– Jeszcze raz dziękuję, byliście bardzo mili!

A pozostawiła po sobie żar, w którym dałoby się upiec ziemniaki. Matt wiedział, że wszyscy wrócą wieczorem do domu i opowiedzą bliskim, co się im przytrafiło: „Dwa euro uderzyło mnie w nogę i pomyślałem: mam to gdzieś, paniusiu, ty upuściłaś kasę, ty ją sobie zbieraj. No bo miałem przecież ciężki tydzień, ale ona wyglądała na naprawdę miłą osobę, więc jednak pomogłem jej zbierać i wiecie co, cieszę się, że to zrobiłem, dobrze się z tym czuję... ”

Moje snucie wspomnień związane z Mattem i Maeve przerywa jakieś poruszenie dwa piętra wyżej, więc ruszam na górę, aby to sprawdzić.

Dzień 61…

Andrzej i Jan zdążyli odłożyć swoje podręczniki i właśnie pojawili się na korytarzu, patrząc z przestrachem, czy w pobliżu nie znajduje się Lydia. Nadal miałem problem z ich rozróżnieniem – otaczała ich tak wielka aura strachu przed Lydią, że ich wibracje mocno się zniekształcały. Udało mi się dostrzec tyle: Andrzej miał zdumiewająco niebieskie oczy, które płonęły blaskiem fanatyka religijnego, ale nie był fanatykiem religijnym. Jan także miał niebieskie oczy, ale one nie płonęły blaskiem fanatyka religijnego. Jednakże... tak, jednakże... miał modlitewnik, który często czytał ze swoistą – tak! – żarliwością.

A więc to prawda, że nie należy oceniać książki po okładce.

Zaopatrzyli się w piwo i chipsy i rozsiedli w salonie, aby oglądać

Ekipę. Mieli hopla na punkcie *Ekipy*. To był ich ulubiony serial, jeden z najważniejszych punktów tygodnia. Marzyli o wyjeździe do Ameryki i życiu jak w *Ekipie,* z mnóstwem słońca i samochodów, no i oczywiście pięknych kobiet, ale przede wszystkim z niezwyciężoną męską solidarnością.

W milczącym uwielbieniu oglądali film i nie zauważyli, że do pokoju weszła Lydia. Zdali sobie sprawę z jej obecności dopiero wtedy, kiedy się odezwała, sprawiając, że czar *Ekipy* prysł.

– Chłopcy, chłopcy, czemuście tacy posępni?

– A co to znaczy? – zapytał niespokojnie Jan. I od razu pożałował, że w ogóle się odezwał. Niezmienna rada Andrzeja brzmiała tak: Nie wdawać się z nią w rozmowę.

– Co to znaczy posępny? – zapytała z zadumą Lydia.

– Posępny to nieszczęśliwy, smutny, przygnębiony, zasmucony, ponury, niewesoły. – Obrzuciła ich spojrzeniem, które miało wyglądać na miłe. – Tęsknota za domem, taka jest diagnoza doktor Lydii. – Tonem ociekającym nieszczerym współczuciem zapytała łagodnie: – Moje małe pierożki, tęsknicie za Mińskiem?

Żaden z nich się nie odezwał. W ciągu trzech ostatnich, niewesołych tygodni zaznajomili się ze zwyczajem Lydii, polegającym na wypowiadaniu nazw miast, kończących się na „sk”.

– Mińńńssskkkk! – Lydia delektowała się tymi głoskami. – Sssskkk? Tęsknicie?

Kiedy nie doczekała się odpowiedzi, zapytała z udawanym zdziwieniem:

– Nie tęsknicie? Ależ jesteście niepatriotyczni.

Tego już było zbyt wiele dla Jana, który każdej spędzonej w Irlandii chwili desperacko pragnął znaleźć się z powrotem u siebie.

– Irlandko, nie jesteśmy z Mińska! Jesteśmy z Gdańska! Jesteśmy Polakami, nie Białorusinami!

Gdy tylko te słowa wydostały się z jego ust, chłopak pożałował, że nie ugryzł się w język. Lydia go złamała! Po raz kolejny jego opór okazał się za słaby!

Mocno zawstydzony spojrzał na Andrzeja. „Przepraszam. Nie jestem tak silny jak ty".

„Nie szkodzi" – odparł milcząco Andrzej. – „Nie możesz się obwiniać. Ta kobieta powaliłaby nawet najodważniejszego mężczyznę".

(Okej, w końcu zaczynam ich postrzegać jako osobne jednostki. Andrzej – starszy, mądrzejszy, silniejszy. Jan

– młodszy, słodszy, głupszy.)

Lydia wyszła, a po długim milczeniu Jan przyznał:

– Jestem posępny.

Minęło kilka chwil, nim odezwał się Andrzej.

– Ja też jestem posępny.

Dzień 61..

Na parterze wyglądało na to, że Matt i Maeve szykują się na wieczorny jogging. W sypialni – królestwie Ikei, nocne stoliki nieco zwichrowane, gdyż w kartonach znajdowały się instrukcje montażu wyłącznie w języku czeskim, a Matt oświadczył, że jeśli będzie musiał wrócić do Ikei po instrukcje w angielskim, to wjedzie z dużą prędkością w jakiś mur

– rozebrali się; Maeve odwróciła się tyłem do Matta, gdy zdejmowała stanik. Natychmiast znowu zaczęli się ubierać, wkładając na siebie chyba jeszcze więcej ubrań niż wcześniej. Maeve od stóp do głów zakrywał szary

dres, a Matt miał na sobie slipki, workowate spodnie od dresu i T – shirt z długim rękawem. Następnie... a niech mnie!... położyli się do łóżka! No ale czemu aż tak zakutani? Wieczór był ciepły.

W mojej głowie nagle pojawiła się myśl, że być może mają w planach jakąś seksowną zabawę w rozbieranie. No ale czemu nie mogli zdjąć z siebie ubrań, które mieli na sobie wcześniej?

Wcale nie cieszyła mnie perspektywa stania się świadkiem jakichś dziwnych łóżkowych igraszek, ale zmusiłem się do tego, aby tam zostać. Nie miałem wyboru! Musiałem dowiedzieć się, jak się przedstawia sytuacja. To było ważne Opierając się o poduszkę, Matt czytał magazyn motoryzacyjny, przerzucając kartki, nie mogąc się doczekać tego, co kryją kolejne, gdy tymczasem Maeve po swojej stronie łóżka czytała *Dumę i uprzedzenie*... i tyle tylko się wydarzyło. Poczekałem jeszcze trochę. Na nocnym stoliku po stronie

Maeve dostrzegłem spory stosik innych powieści Jane Au – sten – musiała być jej fanką. I poczekałem jeszcze trochę, aż w końcu stało się jasne, że nie rozpoczną żadnej seksownej zabawy w rozbieranie.

Muszę przyznać, że odetchnąłem z lekką ulgą.

Jedynym problemem z Mattem zakochującym się w Maeve te cztery lata i trzy miesiące temu był fakt, że Matt miał już dziewczynę...

Tak jest, uroczą Natalie. Ona naprawdę była urocza. Ze wszystkich pięknych, bystrych dziewcząt w Goliacie – a firma zatrudniała ponad dwieście młodych osób, tak więc było z kogo wybierać – Natalie była najpiękniejsza i najbystrzejsza: proste brązowe włosy; długie, szczupłe uda; wyzywający znak zapytania w oczach; świetnie się nadawała do wykonywanej przez siebie pracy. (Z pochodzenia Belgijka, stanowiła wspaniałą reklamę swego słynącego z nieciekawości kraju.)

Matt – uśmiechnięty, uroczy Matt, co do którego wszyscy żywili przekonanie, że Daleko Zajdzie – był partnerem godnym uroczej Natalie.

Matt i Natalie wspinali się po szczeblach kariery w dziale sprzedaży i byli nie tylko kochankami, ale i konkurentami. Rywalizowali ze sobą, triumfując (na wesoło, rzecz jasna) za każdym razem, kiedy udało im się zamknąć sprzedaż któregoś z pakietów oprogramowania Goliata. „Punkt dla mnie, słonko".

Kiedy więc Maeve rozpoczęła pracę w ich dziale jako stażystka, nic dziwnego, że Matt, posiadający olśniewającą dziewczynę i wymagającą pracę, ledwie zwrócił na nią uwagę. No ale w końcu Goliat był firmą mocno się rozwijającą i nowi ludzie pojawiali się w niej praktycznie bez przerwy

– tego samego dnia, kiedy pracę zaczęła Maeve, pojawił się także Tarik z Pakistanu i Yenway z Tajwanu – tak więc zawsze można było spotkać nowe twarze, stojące w kolejce po pokrzepiającą porcję darmowych płatków na śniadanie. Niełatwo było za tym wszystkim nadążyć.

Maeve, serdeczna i optymistycznie nastawiona do świata, z tym swoim śpiewnym akcentem cieszyła się popularnością wśród współpracowników, ale znaczące istnienie Matta zarejestrowała dopiero pewnego wieczoru, kiedy on i Nat wychodzili z pracy. Szli szybko po błyszczącej, marmurowej podłodze korytarza, czarne skórzane obuwie stukało, poważna odzież powiewała, wyszkoleni kawalerzyści Działu Sprzedaży. Poruszając się w jednym tempie, wyszli przez wielkie podwójne drzwi – każde swoim skrzydłem – mijając Maeve, która kucała, odpinając rower.

– Dobrej nocy – rzuciła do nich.

W idealnej synchronii Matt i Nat odwrócili kształtne głowy, aby zobaczyć, kto to powiedział i – jednocześnie – wybuchnęli niekontrolowanym śmiechem.

– No co? – zapytała Maeve. Wtedy ją olśniło i na jej twarzy pojawił się uśmiech. – Chodzi o moją czapkę?

– Tak!

Maeve miała na głowie pomarańczowo – różowy kask w inkaskie wzory. Wełniany trójkąt zakrywał każde ucho, na ramiona Maeve opadały plecione warkocze, a na spiczastym końcu sterczał pomarańczowy pompon.

– Bardzo paskudna? – Maeve nadal się uśmiechała.

– Bardzo – odparła Nat.

– Ale to przecież ostatni krzyk mody na Machu Picchu, no i dzięki niej ciepło mi w uszy.

Wtedy cała trójka wybuchnęła jeszcze głośniejszym śmiechem. W końcu Maeve z metalicznym odgłosem zdołała odpiąć łańcuch, wskoczyła na siodełko i płynnie wmieszała się w sznur pojazdów na ulicy.

– Jest taka słodka. – Nat westchnęła. – Co sądzisz o niej i Davidzie? To coś poważnego?

Matt nie miał pojęcia. Aż do teraz ledwie zauważał obecność Maeve, no i w ogóle nie wiedział, że ta dziewczyna spotyka się z Davidem.

– Tyle wspólnego. – Nat uśmiechnęła się z sympatią.

– Przecież oboje są Galwayami.

(David tak naprawdę pochodził z Manchesteru – jednak nie trzeba było pochodzić z Galway, aby cieszyć się statusem Galwaya. To określenie zbiorowe, sugerujące upodobanie do falafeli, puchatych swetrów i festiwali – muzycznych, ale także komedii, poezji, piwa... wszystko się nadawało. Jeśli towarzyszyły temu błoto i piwo, było idealnie. A jeśli festiwal dawało się połączyć z marszem protestacyjnym – jeszcze lepiej. Idealny weekend, istna Utopia dla Galwaya to wzięcie udziału w proteście antyglobalistów, oberwanie pałką w głowę i wylądowanie w areszcie na dwadzieścia cztery

godziny razem z trójką protestujących z Genui. Galwaye byli wytrzymali; spali jak dzieci na zimnych i twardych podłogach u swoich znajomych. Galwaye dumni byli z tego, że są Irlandczykami – nawet jeśli tak naprawdę nimi nie byli – i wtrącali do rozmowy wiele irlandzkich słów. Spora część wielokulturowego personelu Goliata znała podstawy tego języka. Do zwrotów popularnych należało: *„Eg g choct eg g oal?"* czyli: „Idziesz na piwo? ”)

Zabawne, ale wtedy Matt bardziej pragnął Davida niż Maeve.

– Bardzo bym chciał mieć Davida w swoim zespole – powiedział tęsknie.

– Ja także – dodała Natalie.

David pracował w zespole Godrica i stanowił jego najcenniejszy element. Super bystry, matematyczny geniusz, potrafił rozwiązać najbardziej zawiłe problemy wdrożeniowe. Ślęczał nad nimi, próbując w taki sposób, próbując w inny, aż w końcu docierał do sedna sprawy i wszystko ustawiał na swoim miejscu.

– David sam mógłby być szefem zespołu, gdyby tylko chciał – stwierdził Matt.

David był prawdopodobnie starszy od niemal wszystkich w Goliacie, tylko o kilka lat, ale wystarczająco, aby to go czyniło naturalnym przywódcą. On jednak opierał się wszelkim próbom wmanewrowania go na stanowisko zarządzające.

– Myślisz, że co się za tym kryje? – zapytał Matt.

– Mówił, że nie chce się dać zaszufladkować – odparła Nat.

David zdążył już sporo wpakować w trzydzieści lat swego życia. Zjechał cały świat i wykonywał najprzeróżniejsze prace, od nauczania fizyki w Gujanie do bycia nianią w postępowej rodzinie w Vancouver.

– Nie chce „ścieżki kariery”, tak mi powiedział. – Nat pokręciła głową i roześmiała się. Nie rozumiała ludzi, którzy nie mieli takich samych ambicji jak ona.

– Bardzo to szlachetne z jego strony.

– Może jest nieco zbyt szlachetny?

– Mhm.

Obojgu przypomniał się incydent z ubiegłego tygodnia, kiedy Davida – zagorzałego przeciwnika niesprawiedliwości – tak rozsierdziły prorosyjskie relacje z toczącej się w Czeczenii wojny, że wydrukował obraźliwy artykuł ze strony internetowej Reutersa, zgromadził wokół swego biurka kilkoro akolitów i demonstracyjnie spalił kartkę. Włączyły się wszystkie alarmy przeciwpożarowe.

– Dobrze, że nie uruchomiły się zraszacze – rzekł Matt.

– Mógł zniszczyć wszystkie nasze urządzenia – dodała Nat.

– I w ogóle go to nie obeszło. Oświadczył, że ważniejsza była zasada.

– Zasada. – Nat przewróciła oczami. – Na litość boską.

Po tamtym zabawnym epizodzie z czapką Matt wiedział już, kim jest Maeve, i jakiś tydzień później, gdy jadąc samochodem do pracy, zobaczył w oddali podskakujący pomarańczowy pompon, mógł sobie powiedzieć: to Maeve, ta dziewczyna z czapką.

Jechała na rowerze, zmieniając pasy, aż w końcu zniknęła mu z oczu, po czym zmieniły się światła, a Matt ruszył z miejsca i ją dogonił. Kiedy po raz kolejny utkwił w morzu samochodów, ona stopniowo się od niego oddaliła, po czym zmieniły się światła i cała sytuacja się powtórzyła. I tak raz za razem. Maeve wysuwała się na prowadzenie, on ją gonił, szukając wzrokiem pomarańczowego pomponu, a potem ona znowu się oddalała, a on zaciskał dłonie na kierownicy, czekając na moment, kiedy będzie mógł

ruszyć z miejsca.

Choć ona o tym nie wiedziała, czuł się tak, jakby brali udział w wyścigu. Jeszcze nigdy tak fajnie nie jechało mu się do pracy.

Kiedy się zbliżał do ruchliwego skrzyżowania Hanlon’s Corner, to on prowadził. Miał zielone światło, ale niepokój, że mógłby zbyt daleko wybić się przed Maeve, kazał mu zwolnić, a światła posłusznie zmieniły się na pomarańczowe. W chwili, gdy włączyły się czerwone, Maeve śmignęła środkowym pasem na sam początek i na ułamek sekundy zatrzymała się, dokonując serii błyskawicznych kalkulacji. Matt niemalże czuł, jak ocenia swoją prędkość, czas, jaki jej został, i odległość od kierowców, którzy już gazowali, gotowi ruszyć z miejsca, skoro przeciwne światła zdążyły się zmienić na czerwone. Następnie wystrzeliła przed siebie. Wydawała się mała i zdumiewająco odważna. Oczy wszystkich przyklejone były do pomarańczowego pomponu, gdy śmigała przez strefę zagrożenia, a kiedy bezpiecznie dotarła na drugą stronę skrzyżowania, Matta ogarnęło uczucie ulgi i podziwu.

Ten epizod wywarł na nim takie wrażenie, że kiedy dotarł do pracy, specjalnie pofatygował się do zatłoczonej kanciapy, którą dzieliła z innymi stażystami.

– Dzień dobry, panno Maeve. Czy ktoś już ci mówił, że fantastycznie ignorujesz czerwone światła? Tak spokojnie, tak odważnie?

Oderwała wzrok od monitora. W jej oczach tańczyło rozbawienie.

– A tobie ktoś już mówił, że opowiadasz farmazony?

– Farmazony?

– No wiesz, bzdury, brednie, dyrdymały.

– No tak. – Najpewniej kolejne słowo w jej języku.

– Widziałem cię w drodze do pracy. Jak przejeżdżałaś na czerwonym

świetle przez Hanlon’s Corner. Nerwy ze stali.

– Lubię ryzyko.

– Masz szczęście, że żyjesz.

– Odważnym szczęście sprzyja.

– Ja w tym mieście za nic nie wsiadłbym na rower.

– A powinieneś spróbować. To uszlachetnia duszę.

– Moja dusza jest wystarczająco szlachetna.

– Czyżby? – zapytała, patrząc na niego. Widać było, że jest rozbawiona.

– Przestań!

– Ale co?

– Patrzeć na mnie, jakbyś wiedziała o mnie coś, czego sam nie wiem.

– Ja? – zaśmiała się. – Ja niczego nie wiem.

Matt nie powiedział Natalie o tym poranku, podczas którego ścigał się z Maeve. No bo po co, w końcu to nic wielkiego. Zabawne było to, że Natalie przepadała za Maeve w takim samym stopniu jak on i razem uznawali ją za swoistą własność, tak jak bywa w przypadku uroczego, łagodnego szczeniaka. Podczas piątkowych wypadów do pubu siadywali obok niej, słuchając melodyjnego akcentu i dziwnych słów, których używała.

Pewnego piątkowego wieczoru Nat zatrzymała się przy biurku Matta.

– Gotowy?

– Dziesięć minut.

– Spotkamy się w pubie. Upewnij się, że Maeve też tam będzie. – Po tych słowach oddaliła się.

Matt wiedział, że lepiej nie prosić Nat, aby na niego zaczekała. Nat nigdy nie marnowała czasu.

Kiedy skończył, udał się do kanciapy Maeve.

– Idziesz na piwo?

– Piwo? – Maeve patrzyła przed siebie, zastanawiając się. Wydawała się zupełnie tym pochłonięta. Po krótkiej chwili uśmiechnęła się i odparła: – Nie, nie dzisiaj, Matt.

– A to czemu, Farmerko? – Poczuł się, cóż, poczuł się... odrzucony. – Wychodzisz gdzieś ze swoim chłopakiem?

– A jeśli tak, to co? – Jej ton był żartobliwy.

– Nic. – Matta zaatakowało uczucie nagłej niechęci do Davida. Był taki porządny i przyzwoity, zawsze stojąc po stronie uciśnionych, organizując akcje dobroczynne i tak się troszcząc.

– Przyjechałam rowerem – dorzuciła Maeve.

Matt spojrzał na nią nierozumiejącym wzrokiem.

– Więc mogę wypić najwyżej jedno piwo – wyjaśniła.

– A wolę nie pić wcale niż tylko jedno.

W ułamku sekundy Matt przeniósł niechęć z Davida na rower Maeve, jakby to była przyzwoitka, niedopuszczająca go do niej.

– Cóż, ja idę na piwo – oświadczył wyzywającym tonem, którego tak naprawdę nie rozumiał.

– Więcej mocy dla ciebie.

– Owszem, więcej mocy dla mnie.

w pubie Nat zapytała:

– Gdzie Maeve?

– Nie przyjdzie.

– Nie? – Nat wydawała się niewspółmiernie rozczarowana.

Matt przyjrzał jej się nieufnie.

– O co chodzi?

– W przyszłym tygodniu Maeve kończy staż.

– Już?

– Dwa tygodnie przed czasem. To tajemnica. Naprawdę świetnie sobie poradziła. Chcę ją w swoim zespole.

„Ale to ja ją chcę”.

– A czy ona chce być w Zespole Nat?

– Nie pytałam. Zamierzałam to zrobić dzisiejszego wieczoru.

– A więc ona jeszcze o niczym nie wie?

– Nie.

„Pierwszy ją dorwę”.

Kiedy Matt nakłonił Ponga z Tajlandii, aby opuścił jego zespół i przeniósł się do Nat, przejmując Maeve dla siebie, Nat wydawała się nieco wstrząśnięta jego zdradą. Niemniej jednak uniosła kieliszek i nazwała go „godnym przeciwnikiem”.

W następnych tygodniach Matt zaczął mówić „farmazony”, „więcej mocy dla ciebie”, a czasami nawet „więcej mocy dla twego łokcia”.

– Więcej mocy dla mego łokcia? – zaśmiała się Nat.

– Mój mały Galway.

To był żart. No bo przecież ona, cudowna Natalie, nigdy nie spotykałaby się z Galwayem.

Dzień 61...

O wpół do dwunastej na Star Street panowała cisza. Czekałem na powrót Katie i w końcu do mnie dotarło, że na próżno. Zlokalizowałem ją na drugim końcu miasta; wchodziła akurat do dużego domu w stylu wiktoriańskim, aby otrzymać od sprawnego seksualnie Conalla porcję urodzinowego dopieszczania.

Była bardzo rozgadana. Efekt dużej ilości szampana. Conall próbował, z godnym podziwu dobrym humorem, otworzyć drzwi, jednocześnie podtrzymując Katie w pozycji pionowej.

– Kto wygrałby w walce? – zapytała Katie. – Manager funduszy hedgingowych czy ty?

– Ja. – Ton głosu Conalla powiedział mi, że to przepytywanie ciągnie się już od jakiegoś czasu.

Zacisnął palce na jej ramieniu, wprowadzając ją do środka, po czym rozbroił alarm.

Katie oparła się o włącznik i wykrzyknęła z pijackim zachwytem, gdy w połowie domu zrobiło się jasno:

– Ja to zrobiłam? Niech stanie się światło! Nie musisz tak mnie trzymać, nie przewrócę się.

– Przewracaj się, jeśli masz ochotę. To twoje urodziny.

– Wypiłam dużo szampana. – Pokiwała z powagą głową. – Trochę się wstawiłam. Tak bywa.

Conall pokierował ją w stronę schodów i razem, bardzo powoli, zaczęli wchodzić na piętro. Katie co rusz musiała się zatrzymywać, aby się pośmiać bez powodu.

Na stopniu czwartym zatrzymała się na dłużej.

– To będzie dobre! Conall, kto wygrałby w walce? Prezes Banku Światowego czy ty?

– Ja.

– Fajnie się tak oprzeć, wiesz? Właśnie tak. – I całym ciężarem oparła się o ramię Conalla, otaczające jej talię.

– Nie dasz mi upaść. Robiliśmy tak w szkole, żeby zobaczyć, jak bardzo komuś ufamy.

– Ups, idziemy dalej.

Na dziewiątym schodku znowu się zatrzymała.

– Kto wygrałby w walce? Dyrektor Jasmine Foods czy ty?

– Ja. Z obiema rękami związanymi za plecami.

Ta uwaga sprawiła, że Katie śmiała się długo i świszczą – co, wstrzymując cały proces wchodzenia.

– Nie mogę jednocześnie śmiać się i iść.

W końcu dotarli na piętro i Conall otworzył drzwi do sypialni. Katie weszła chwiejnie do środka, udało jej się dopaść do łóżka i padła na nie, unosząc jedną nogę.

– Zdejmij mi kozaki.

– Nie, zostań w nich.

– Och? Ooch. Okej. Kto wygrałby w...

Zakrył jej usta swoimi i po chwili dała sobie spokój z zadawaniem pytań. Nigdy się nie dowie, kto by wygrał w walce, dyrektor Międzynarodowego Funduszu Walutowego czy Conall, ale nagle przestało to mieć znaczenie. Rozpoczęło się urodzinowe dopieszczanie.

W jej garderobie na Star Street wcisnąłem się do pantofla z czerwoną podeszwą i zaznajomiłem się z częścią jej wspomnień.

Jak Katie poznała Conalla...

Cóż, podobnie jak w przypadku Matta i Maeve, miało to miejsce w pracy. Katie była rzecznikiem prasowym w Apex

Entertainment Ireland. Nazywali się Apex *Entertainment*, ponieważ chcieli się wydawać nowocześni i multimedialni, ale generalnie była to wytwórnia płytowa, irlandzka filia znacznie większej spółki międzynarodowej. Katie pracowała tam od pięciu lat, witając przybywające do Irlandii gwiazdy rocka, organizując im wywiady, kręcąc się za kulisami z

laminowaną przepustką na szyi, a nawet – co według niej stanowiło najważniejszy element pracy – zabierając ich na popijawy. To było trudniejsze niż mogłoby się wydawać, ponieważ ona musiała pozostać trzeźwa, żeby podpisywać się na rachunkach, odstawiać artystów do domu, a potem zjawiać się nazajutrz o dziesiątej w pracy po czterech godzinach snu.

Gdyby ktoś ją poznał na przykład na chrzcinach, najpewniej nigdy by nie zgadł, że Katie pracuje w wytwórni płytowej. To prawda, że zawsze chodziła w szpilkach, a czasem w obcisłych dżinsach, ale nie wciągała kokainy, a uda miała szersze od kolan. Pomimo tych defektów Katie lubiana była przez przyjeżdżające gwiazdy rocka, którzy mówili na nią „ciocia Katie", co zbyt mocno jej nie przeszkadzało. Albo „mamuśka", co już przeszkadzało. Wracający do Irlandii artyści witali ją jak starą przyjaciółkę i czasami, późno w nocy, próbowali zaciągnąć ją i jej uda do łóżka, ona jednak wiedziała, że to z ich strony reakcja odruchowa, zaprogramowane zachowanie w towarzystwie każdej kobiety. Prawie zawsze dawała im kosza.

A więc Katie tam pracowała, nie do końca szczęśliwa, ale również nie nieszczęśliwa, kiedy po wytwórni zaczęły krążyć plotki, że europejski oddział Apexu zostanie odcięty od amerykańskich właścicieli i sprzedany temu, kto da więcej i kto od razu wszystkich pozwalnia. Ale ta akurat plotka powracała jak bumerang, Katie uznała więc, że nie będzie się przejmować. Nie było w niej tej energii co kiedyś i z upływem lat zbyt wiele zmarnowała adrenaliny i nerwów na katastrofy, do których ostatecznie nie doszło.

A potem to się naprawdę zdarzyło. Komunikat prasowy poinformował, że kupiła ich wytwórnia Sony, planująca pozostawić Apex jako osobną wytwórnię. Uczucie ulgi okazało się krótkotrwałe, gdyż w kolejnym zdaniu

oświadczono, że Apex zostanie „zracjonalizowany” przez Morehampton Green.

– Kto to taki? – zapytała Tamsin. (Kiepska częstotliwość. Niezbyt bystra. Usta malowała białą szminką. Długie nogi, duży biust. Cieszyła się popularnością wśród przyjeżdżających artystów.)

– A czy to ważne? – odparła Katie. Jej częstotliwość sfiksowała, drżąc ze strachu. W sumie nie kochała swojej pracy, ale skoro pojawiło się spore prawdopodobieństwo, że może ją stracić...

– Sępy – oświadczył pogardliwie Danno. (Danno, lat dwadzieścia trzy. Przenikliwa, szybko drgająca częstotliwość. Potrzebował bardzo mało snu. Zawsze ubierał się na czarno. Był w stanie zażyć pokaźne ilości kokainy bez żadnych widocznych skutków ubocznych. Także cieszył się popularnością wśród przyjeżdżających artystów.) – Ci z Morehampton Green rzucają się na firmy, które są mało rentowne

– wyjaśnił. – Odzierają je z aktywów, zwalniają większość pracowników i nie pozostawiają po sobie nic oprócz szoku i lęku.

– I co to przynosi dobrego? – zapytała Katie.

– Czynią te firmy znacznie wydajniejszymi, zaoszczędzają kupę kasy, no wiesz, takie tam. Generalnie uprawiają swoje brudne gierki w południowo – wschodniej Azji, ale są skłonni zrobić dla nas wyjątek.

– Jakże miło z ich strony.

– Co się z nami stanie, Katie? – zapytała Tamsin.

– Nie wiem.

W ich dziwnej firmowej hierarchii Katie tak naprawdę nikogo nad sobą nie miała. Oficjalnie jej przełożonym pozostawał Howard Cookman, prezes europejskiego działu prasowego, ale swoją siedzibę miał w Londynie i w ogóle nie interesowało go to, co dzieje się w Irlandii. Katie najczęściej to

odpowiadało, jako że miał on w zwyczaju przynudzać z tym swoim okropnym akcentem, częściowo z LA, częściowo z *EastEnders*, o czasach, kiedy poznał a) Marka Knopflera, b) Simona Le Bon i c) Debbie Gibson.

Katie zawsze cieszyła się z tej swojej małej autonomii, teraz jednak żałowała, że nie jest inaczej. Wcale niefajnie być jedyną osobą dorosłą. Pragnęła, aby zjawił się ktoś z większą władzą i obiecał, że wszystko będzie dobrze.

Postawieni w stan pogotowia przez świszczący odgłos, wszyscy obecni (cała szóstka personelu public relations i czternastka z marketingu) odwrócili się w stronę szklanych automatycznych drzwi rodem ze *Star Treka.* Pojawił się w nich Graham z HR. W normalnych okolicznościach jego wibracje zdradzały pewność siebie i samozadowolenie, dzisiaj jednak siły witalne miał znacznie osłabione.

W milczeniu wręczył każdemu po notatce służbowej: dwie linijki informujące o tym, że pan Conall Hathaway „wkrótce" się skontaktuje.

– A kto to? – zapytała Katie.

– Koleś z siekierą przysłany przez naszych nowych właścicieli – wyjaśnił Graham. – To właśnie Morehampton Green.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Danno, poirytowany tym, że ktoś wie więcej niż on.

– Chcę przez to powiedzieć, że Morehampton Green to ekipa jednoosobowa. Jasne, że ma pod sobą całe mnóstwo maszyn liczących, ale to Conall Hathaway podejmuje wszystkie decyzje.

– Dlaczego skontaktuje się ze mną? – zawołała Tamsin.

Graham spuścił głowę i nic nie odpowiedział.

– Aby ci powiedzieć, czy masz dalej pracę, czy nie – wywnioskowała Katie. – Mam rację, Graham?

Kiwnął z rezygnacją głową.

– Conall Hathaway? Chyba Conall Barbarzyńca? – wtrącił Danno. Danno bardzo lubił ksywki. (Tak często mają ludzie z jego częstotliwościami.)

Przez dwa dni nic się nie działo. Wszyscy normalnie pracowali, dlatego że dopóki coś się nie wydarzy, zawsze jest szansa, że jednak do tego nie dojdzie. Ale po południu dnia trzeciego Danno znalazł się w posiadaniu tak ważnych wieści, że szklane drzwi nie otworzyły się wystarczająco szybko i Danno wpadł na nie, obrywając nieprzyjemnie w prawą skroń.

– Otwierajcie się, wy beznadziejne... – wrzasnął, drepcząc wokół nich, próbując uruchomić to, co powinno się uruchomić. Wtedy uwaga wszystkich skupiona już była na nim. Drzwi w końcu się rozwarły i Danno wpadł do biura jak wystrzelony z katapulty.

– Ma lodowato martwe spojrzenie zabójcy! – oznajmił z przejęciem. – Dopiero co jechaliśmy razem windą i przysięgam, mało się nie posrałem.

– Kto?

– Rzeźnik Hathaway. Conall Barbarzyńca. Przybył, aby zwolnić nas wszystkich!

– Tak szybko? – Katie poczuła niepokój. – To aż nieprzyzwoite.

– Sprowadził ze sobą sporo Orków, pryszczatych małolatów uczących się jego brudnego fachu, ale to on jest głównym myśliwym – ostrzegł Danno. – Miejcie oczy szeroko otwarte. Jeszcze dziś będzie po nas.

Katie przyjrzała mu się niepewnie. Danno był katastrofistą; dzięki katastrofom dosłownie kwitnął. Nieraz zastanawiała się, czy nie jest przypadkiem uzależniony od adrenaliny, kokainy biedaków.

Wezwała do siebie Audrey. (Wibracje tak stonowane, ze niemal przepraszające. Solidna, godna zaufania, skrupulatna. Wśród

przyjeżdżających artystów nie cieszyła się taką popularnością jak Tamsin czy Danno.)

– Idź i wybadaj tego Conalla. Zachowuj się dyskretnie.

Po kilku minutach Audrey wróciła z miną kata.

– To prawda. Siedzi u Grahama. Analizują umowy pracownicze.

Katie przygryzła knykieć.

– Jak wygląda?

Po chwili zastanowienia Audrey odparła:

– Okrutnie.

– Chryste!

– Szczupły i wygłodniały.

– To jeszcze nie takie złe.

– Szczupły, wygłodniały oraz okrutny, – Po czym dodała: – Je czekoladę.

– Co?

– Na biurku leży wielka tabliczka czekolady i on ją je, rozmawiając z Grahamem. Cały rządek naraz. Nie łamie jej na kostki, o nie.

– Jak wielka? Sto gram? Dwieście?

– Jedna z tych gigantów, jakie można dostać jedynie w strefie wolnocłowej. Chyba pięćset gram. Wiesz co, Katie? Tak naprawdę to jest przystojny. Chyba mi się podoba. Zawsze podobają mi się faceci, którzy mają nade mną władzę.

– Daj sobie spokój – rzekła Katie. – Uważasz, że jedyne, czego potrzeba okrutnie wyglądającemu mężczyźnie, to miłość dobrej kobiety, i że wtedy nie będzie już okrutny. Ale on nadal taki jest, a ty zaczynasz się zadręczać.

– Możliwe, że tobie też się spodoba.

– Nie spodoba.

– Mów, co chcesz, ale nie mamy kontroli nad takimi sprawami – rzuciła ostrzegawczo Audrey.

Zadzwonił telefon: podjechały samochody.

Katie przez chwilę, rozkosznie miły ułamek chwili, zastanawiała się, czy może po prostu wyjść i oszczędzić sobie wieczornej męki z Knight Ryders i ich gburowatością. Skoro i tak miała zostać zwolniona...

A co, jeśli będzie jedną z osób, które zachowają swoje posady?

– Okej! – zawołała. – Danno, Audrey, zbieramy się, są samochody.

Pojechali do Four Seasons, żeby zabrać Knight Ryders na ich wieczorny koncert. Knight Ryders byli zespołem metalowym, kwartetem siwych, starych rockmanów, którzy przetrwali nałogi, rozwody, bankructwa, zawały, wypadki na motocyklach, konflikty wewnętrzne, ujawnienia romansów z adoptowanymi dziećmi i znacznie, znacznie więcej. Spora część widowni, która słono zapłaciła za bilety, pojawi się na koncercie nie po to, aby wysłuchać hitów z początku lat siedemdziesiątych, ale by zdumiewać się tym, że cała czwórka jeszcze żyje.

To był ósmy miesiąc ich dziewięciomiesięcznej światowej trasy koncertowej i w Irlandii przebywali od dwóch bardzo długich dni. Katie najbardziej martwił Elijah Knight, wokalista, żywa legenda i dumny posiadacz wątroby z odzysku (jeden ostrożny poprzedni właściciel). Od niemal roku był czysty i trzeźwy, ale do uszu Katie dotarły szepty, że strasznie mu się to nudzi. A już na pewno każde słowo, jakie wydostawało się z jego ust pod adresem Katie, było skargą: irlandzki hotel jest zbyt tandetny; irlandzcy dziennikarze zbyt przymilni; irlandzkie spotkania AA za spokojne.

Katie lub jakaś osoba z jej ekipy pilnowali tego, aby przez cały czas

ktoś przy nim był – w tej akurat chwili Tam – sin – a w nocy przed jego pokojem straż trzymał „ochroniarz” (tzn. strażnik).

Gdy Katie znalazła się w limuzynie z przyciemnianymi szybami, zadzwoniła Tamsin.

– Problem z Elijahem.

– Co się dzieje?

– Pora, aby zaczął tapirować sobie włosy, ale on siedzi jedynie ze skrzyżowanymi ramionami, jak jakieś dziecko.

– Już jadę.

Katie skrzyżowała palce i modliła się w duchu, aby dzisiejszy wieczór nie okazał się tym, którego Elijah Knight wróci do wódki. Nie na jej zmianie. Gdyby mógł z tym zaczekać do jutra, kiedy on i jego trzech długowłosych, pomarszczonych *compadres* ze zrujnowanymi wątrobami uda się do Niemiec, byłaby bardzo wdzięczna.

Jednak problemem okazało się to, że wszystko poszło dobrze. Nakłoniony przez Katie Elijah posłusznie natapirował sobie włosy, aż sterczały całe dwadzieścia pięć centymetrów nad jego głową; Knight Ryders zagrali cały koncert i żaden z nich nie doznał udaru; podziękowali nawet za gratisową wycieczkę do najlepszego dublińskiego burdelu.

To znaczyło, że kiedy Katie wróciła do domu nadspodziewanie wcześnie (tzn. o drugiej w nocy), była na tyle przytomna, aby dotarła do niej rzeczywistość jej sytuacji zawodowej. Nagle uświadomiła sobie, że to koniec. Równie dobrze mogła powiedzieć to głośno: możliwe, że dostarczenie Elijaha Knighta bezpiecznie do łóżka to jej ostatnie zadanie na stanowisku starszego PR – owca w Apex Entertainment.

Pozbycie się jej miało sens – z sześcioosobowego działu PR to jej płacono najwięcej. Poza tym, co z bólem musiała przyznać, była z nich

najstarsza, a branża muzyczna to domena młodych kobiet. Mam trzydzieści dziewięć lat, powiedziała do siebie ze zdumieniem. Trzydzieści dziewięć! To cud, że utrzymała się aż tak długo.

Musiała iść teraz spać. No ale jak miała zasnąć? Jutro zostanie zwolniona, nie miała żadnych oszczędności, a w tym kryzysie nie znajdzie innej pracy, bo nie umiała nic z wyjątkiem wożenia gwiazd rocka po nocnych klubach.

To koniec, pomyślała.

Straci mieszkanie i samochód, i swoje pasemka, i trenera osobistego, choć miała tylko jedne zajęcia w tygodniu, ale czas spędzony w towarzystwie bezlitosnej Florence był wyjątkowo cenny – bez tego może w ogóle nie zmobilizowałaby się do żadnych ćwiczeń.

I, och, jej śliczne mieszkanie. Mogła o nim zapomnieć. Raty kredytu były horrendalne, nawet przy jej obecnych zarobkach. Kupiła je w szczytowym momencie boomu, kiedy kartonowe pudła zmieniały właściciela za cenę miliona euro. Słono zapłaciła za każdy metr kwadratowy swego mieszkanka. Ale tak bardzo je kochała. Nie było duże – mieściło się na poddaszu, większość pomieszczeń miała skosy – ale przytulne, jasne i w niewielkiej odległości od miasta. Co nie znaczy, aby z tego korzystała, nie w swoich butach.

Najśmieszniejsze było to, że nigdy nie zamierzała pracować w branży muzycznej. No więc dlaczego do tego doszło? A dlatego, że niesamowicie pochlebił jej fakt, iż zaproponowano jej tę posadę, tak pochlebił, że przymknęła oczy na fakt, że pieniądze wcale nie są tak duże, jakby się można spodziewać. Myślała jedynie o tym, że musiano ją uznać za świetną, skoro chciano ją zatrudnić. Ale powinna była zamiast tego poszukać pracy w biurze prasowym rządu. Tam nie drwiono ze starszych; ceniono ich,

szanowano za ich mądrość. Nikogo nie obchodziło, że masz grube uda. Nikogo nie obchodziło, że masz włoski na twarzy (a jesteś kobietą) (nie znaczy, że ona miała). Prawdę powiedziawszy, w świecie polityki nawet lubiano grubych i brzydkich rzeczników, ponieważ mieli większą wiarygodność.

To koniec, pomyślała. Tak, koniec.

Gdy mijały kolejne nocne minuty, w jej głowie huczało od kalkulacji i wyliczeń: gdyby wynajęła swoje mieszkanie, zarobiłaby wystarczająco na ratę kredytu i fryzjera? Gdyby dostała pracę w Blockbusters, wystarczyłoby jej na jedzenie? Czytała kiedyś w gazecie o ludziach z płacą minimalną: nawet jeśli jedli przeterminowane produkty za pół ceny z Tesco, i tak pozostawali głodni. Koegzystowanie z jej apetytem było wystarczająco trudne przy obecnych dochodach, bo już zaczynając jeść, martwiła się ostatnim kęsem. Jak by sobie poradziła z prawdziwym głodem?

Nie byłoby jej stać nawet na to, aby się zabić. Przez parę ostatnich lat, chyba od czasu Jasona, Katie miała tajemniczy plan na wypadek, gdyby życie stało się autentycznie nie do zniesienia, coś w rodzaju kapsułek z cyjankiem, które szpiedzy trzymali w ustach na okoliczność wpadki. Jej sprytny plan był taki, że zaje się na śmierć – tak się działo, ludzie naprawdę to robili, lekarze nieustannie przestrzegali otyłych, że jeśli nie porzucą złych nawyków żywieniowych, to kopną w kalendarz. Zawsze uważała, że to radosny sposób na pożegnanie się z tym światem: objeść się na śmierć sernikiem czekoladowym.

Ale sernik czekoladowy swoje kosztował, a jej do zaaplikowania śmiertelnej dawki potrzebna by była naprawdę wielka ilość. Ogarnięta nocnym przerażeniem zobaczyła, jakim marnotrawnym głupcem była przez te wszystkie lata. Już dawno temu powinna zacząć gromadzić ciasta. Ale

ona nie należała do tego typu ludzi. Jeśli coś znajdowało się w jej mieszkaniu, zjadała to. Nic nie wytrzymywało dłużej niż jeden dzień.

Ni z gruchy, ni z pietruchy jej myśli skierowały się na nieoczekiwany tor i zaczęła obwiniać Jasona. (Pomiędzy trzydziestym pierwszym a trzydziestym siódmym rokiem życia była dziewczyną Jasona. W szóstym roku związku, kiedy właśnie zaczęli się starać o dziecko, przeżyli ogromny szok, odkrywając, że już się nie kochają. Udawali niemal przez rok w nadziei ponownego wzniecenia płomienia, ale ich uczucie było kaput. Skończone. Wypalone.)

Gdyby ona i Jason wzięli ślub i mieli dziecko, i gdyby Jon nie żenił się z Donandą, tą portugalską laską, nie musiałaby się teraz zadręczać.

Ale nie! On musiał odkochać się w Katie, a potem musieli się rozstać i ona sama musiała kupić mieszkanie. No cóż, trzeba przyznać, że ona także przestała go kochać, ale to również było winą Jasona, ponieważ gdyby nie dopuścił do tego, wszystko wyglądałoby inaczej.

Gniew wypełnił jej brzuch, następnie klatkę piersiową, aż zaczęła mieć trudności z oddychaniem i choć było pięć po szóstej i zdecydowanie zbyt późno na zażycie pigułki nasennej – do diaska! W ogóle nie zmrużyła tej nocy oka! – Katie musiała usiąść, włączyć lampkę i zdjąć z półki swoje antygorzknieniowe książki, żeby nie dopuścić do utopienia się we własnej żółci.

Ciężko dysząc, przeczytała kilka wersów pozycji *Moje szczęście, moja odpowiedzialność,* ale nic to nie dało. Odrzuciła książkę na bok i wygłodniałym wzrokiem przeleciała po kilku stronach *Duchowych praw sukcesu.* Brednie, co za dyrdymały! Już dochodziła do wniosku, że musi wezwać karetkę, kiedy otworzyła kolejną książkę i jej spojrzenie od razu zatrzymało się na zdaniu: „Chińskie słowo oznaczające »kryzys« znaczy

także »sposobność«”.

I to zadziałało.

Katie poczuła, jakby przedzierała się przez gęstą dżunglę i nagle znalazła się na szczycie góry, gdzie jest jasno i przejrzyście. Kamień spadł jej z serca. Tak, jej życie było skończone! Tak, już było po niej. Bezrobotna – i najpewniej bez szans na zatrudnienie – ale ten kryzys stanie się jej sposobnością. No bo mogła zrobić ze swoim życiem coś innego, prawda? Zamieszkać w Tajlandii i nauczyć się nurkować?

Albo jeszcze lepiej: jechać do Indii i doznać oświecenia, a kiedy wróci – o ile do tego dojdzie, naturalnie – nie będzie jej przeszkadzać brak mieszkania i samochodu, i konieczność noszenia paskudnych butów, i poleganie na własnej motywacji w kwestii joggingu.

Wszystko będzie dobrze.

TLR

TLR

Dzień 60

Na Star Street 66 panowała cisza aż do wpół do szóstej, kiedy wstała Lydia. Powlokła się do łazienki, gdzie – istnieje tylko jedno na to określenie – z urazą wzięła prysznic. Nie lubiła się moczyć. Woda napawała ją lękiem. (Nie dowie się tego, ale w poprzednim wcieleniu była surykatką, stworzeniem pustynnym, któremu wilgoć była obca. Niektóre cechy przechodzą na kolejne wcielenia.)

Sięgnęła za siebie po odżywkę do włosów i łokciem strąciła z półki żel pod prysznic Andrzeja. Nie! Rozpaczliwie próbowała go złapać, ale butelka wyślizgnęła się z jej mokrych dłoni i głośno wylądowała w brodziku. Mińsk! Nie chciała budzić Andrzeja i Jana. Byli wystarczająco okropni, kiedy się wysypiali, cholerni nieszczęśnicy; gdyby zbyt wcześnie się obudzili, byliby jeszcze bardziej ponurzy.

Boże, ależ z nich smutasy. Przez trzy tygodnie ani razu nie usłyszała ich śmiechu. A nie można powiedzieć, że nie starała się ich rozbawić dobrodusznymi przytykami, których używała w kontaktach ze wszystkimi facetami. Ale zamiast podjąć wyzwanie i jej odparować, oni po prostu sprawiali wrażenie skonsternowanych.

A była na nich skazana: to oni wynajmowali to mieszkanie. Prawdę powiedziawszy, zastanawiała się, czemu nie kazali jej po prostu spadać, ponieważ w oczywisty sposób jej nie znosili.

Być może dlatego, że jej pokój był śmiesznie mały, ledwie większy od szafy. (Kiedyś to była kuchnia – zagracony aneks – zanim jakiś tajemniczy poprzedni właściciel nie postanowił przekształcić drugiej sypialni w większą kuchnię, na tyle dużą, aby zmieścił się w niej stół. Fajna sprawa, to jednak znaczyło, że dawna kuchnia ledwie zasługiwała na miano

„pokoju”.)

Lydia podejrzewała – słusznie – że dawna kuchnia została odrzucona przez wielu chętnych przed nią. Łóżko było wąskie i krótkie, żadnego lustra na toaletce (toaletki zresztą także nie było), gdzie mogłaby zawiesić sznur pomarańczowych lampek w kształcie kwiatków, no i nie było szafy, tak więc większość ubrań Lydii leżała w pudłach pod łóżkiem. Podejrzewała także – i znowu trafnie, Lydia rzadko się myliła – że Andrzej i Jan się spodziewali, iż dzięki niej w mieszkaniu widać będzie kobiecą rękę. Naturalnie, mylili się. Niełatwo było postawić się Andrzejowi i jego grafikom – to człowiek zdecydowany – ale przede wszystkim należało od samego początku ustalić, kto jest szefem. Gdy tylko zyska pewność, że chłopcy nie oczekują od niej sprzątania, zacznie przestrzegać grafiku.

Być może...

A tymczasem czynsz był zaskakująco korzystny, całe sto euro na tydzień mniej niż za jej poprzednią kwaterę, no i niezbyt daleko do centrum. A kiedy się dowiedziała, że chłopcy przybyli z Gdańska, odkryła doskonałość słów kończących się na „sk”. Gdańsk! Tak bardzo lubiła wypowiadać je na głos, że aż zaczęła szukać w Internecie podobnych nazw miast. I znalazła całe mnóstwo! Tomsk i Omsk, Mińsk i Murmańsk. Często ich używała. Nie potrafiła do końca powiedzieć dlaczego, po prostuje lubiła. Gdańsk w jej uszach brzmiał jeszcze całkiem pozytywnie, ale wszystkie inne, zwłaszcza Mińsk i Omsk, brzmiały niczym przekleństwa, tyle że znacznie bardziej syczące i żmijowate od tych, jakich zazwyczaj używała. Mińsk! Ależ gniewnie to brzmiało! Świetnie. Można napędzić komuś niezłego stracha, jeśli wypowiedziało się to we właściwy sposób. Omsk! Ależ wściekłym można się wydać, jeśli włoży się w to odrobinę wysiłku. To

były fantastyczne słowa do przeklinania, które nic nie kosztowały, a u Lydii było akurat krucho z gotówką i cieszyła się z darmowych przyjemności.

Niemniej jednak, pomimo gratisowych nowych przekleństw, strasznie jej brakowało Sissy i ślicznego, przestronnego i widnego mieszkania, które dzieliły. Trudno teraz uwierzyć w taki luksus, ale ona i Sissy miały panią do sprzątania! Co prawda przychodziła tylko raz w tygodniu, ale to wystarczało. Nawet kiedy kuchnia była w bardzo złym stanie, tak brudna, że myszy mogłyby tańczyć na suszarce, Lydia umiała przymknąć na to oko, gdyż wiedziała, że za dzień czy dwa znowu zrobi się czysto.

Z Sissy było dokładnie tak samo. Sissy miała to gdzieś. Ona by nigdy nie przedstawiła Lydii grafiku sprzątania. Wolne dni były po to, aby w piżamie leżeć pod kocem, oglądać telewizję i jeść dwanaście misek Coco Pops, a nie po to, aby zakasać rękawy, przywdziać gumowe rękawice i szorować zlew.

Ale czasy sprzątaczek, szaf i normalnej lokatorki należały do przeszłości Lydii... Stanęła przed lustrem w łazience i wylała na dłoń sporą ilość serum, które miało sobie poradzić z jej loczkami. Nigdy się tego nie wyrzeknie, bez względu na stopień swego ubóstwa. Będzie chodzić głodna, a kupi zawsze to serum. Ona i jej burza loczków toczyły ze sobą niekończącą się batalię. Brak kasy absolutnie nie usprawiedliwiał poddania się, co by zrobiło wiele zwykłych kobiet. Włosy Lydii nie były jej szefem. Nie, to ona nimi rządziła.

Udała się do kuchni, gdzie do wielkiego kubka, który nazywała Kubkiem Lydii, wsypała osiem łyżeczek kawy rozpuszczalnej, po czym napełniła go do połowy wrzątkiem, a uzupełniła wodą z kranu. Przełknęła to jak lekarstwo, lekko się krztusząc przy ostatnim łyku, odstawiła kubek na stół, włożyła szybko dżinsy, bluzę z kapturem i adidasy, a potem opuściła

mieszkanie.

Poranek był pogodny, lecz chłodny i Lydia udała się w stronę taksówki. Taksówka? Jakiegoż rodzaju krzykliwa panienka odrzuca usługi transportu publicznego?

Cóż, a to niespodzianka, Lydia bowiem siada na miejscu dla kierowcy! Pół biedy, gdyby zamierzała uruchomić pojazd na kable, ale ona włożyła do stacyjki kluczyk i stało się jasne, że jest właścicielką samochodu i że zarabia na życie jako taksówkarz!

To był jeden z modeli toyoty, niezbyt dobre auto. Złe też nie, po prostu jeden z tych mało ekscytujących samochodów cieszących się popularnością wśród taksówkarzy. Interesujące – zważywszy na jej domowy stosunek do higieny – że auto Lydii było czyste i pachnące. Była wyraźnie z niego dumna.

Uruchomiła radio i odebrała pierwsze zlecenie: miała odebrać kogoś z Shelbourne i zawieźć go na lotnisko.

Zawróciła z piskiem opon i ruszyła w stronę miasta. Światła zmieniły się na zielone, gdy do nich dojeżdżała.

– Gdańsk – powiedziała z satysfakcją, niemal cmokając z zadowoleniem, że zna takie fajne słowo.

Następne światła także były zielone.

– Gdańsk. – Pokiwała głową z podziękowaniem.

Kiedy jednak zatrzymała się przed Shelbourne i do środka wsiadł jej pierwszy tego dnia klient, zobaczyła jego zaskoczenie. „Mińsk! ” – pomyślała.

– Jesteś dziewczyną! – oświadczył.

– Zgadza się – odparła lodowato. „Mińsk! Mińsk! Mińsk! ”

Czemu trafił jej się rozmowny koleś? No czemu? Skoro było tak

wcześnie, a ona wypiła dopiero osiem łyżeczek kawy?

– Jak to jest? – zapytał gorliwie klient. – Być taksówkarką?

Lydia zacisnęła usta. A jak mu się wydawało? Dokładnie tak samo, jak mężczyzną taksówkarzem, tyle że durnie jego pokroju zadawali głupie pytania o jakiejś nieludzko wczesnej porze.

– Jak sobie pani radzi w trudnych sytuacjach? – dociekał. Wszyscy o to pytali. – Jeśli ktoś nie chce zapłacić?

– A mogę ja zadać panu pytanie?

– Ależ proszę! – Zachwycony był rozmową z tą filigranową ślicznotką, jeszcze wilgotną i pachnącą po porannym prysznicu.

– Przyjął pan Jezusa Chrystusa jako swego Pana i zbawcę? To go przymknęło. Resztę drogi pokonali w milczeniu.

Dzień 60…

Na Star Street 66 ludzie zaczynali wiercić się w swoich łóżkach. Andrzej nie spał od piątej trzydzieści pięć, kiedy to Lydia celowo upuściła w łazience coś dużego. Odkąd się tutaj wprowadziła, on i Jan byli w stanie szoku. Wcześniej nie znali takiej dziewczyny i jedyną jej zaletę stanowił niewielki rozmiar. Na tyle niewielki, że mieściła się do krótkiego łóżka i maleńkiego pokoju.

Andrzej wpatrywał się tęsknie przed siebie, wspominając cudowne czasy z ich poprzednim lokatorem, ukraińskim elektrykiem/akordeonistą o imieniu Aleksander. Mieszkanie z nim było takie harmonijne – ponieważ nigdy tu nie przebywał. Każdą noc spędzał w znacznie przyjemniejszym lokum swojej dziewczyny, Wiktorii, a pokój na Star Street 66 służył mu

głównie za szafę. Do czasu, aż Wiktoria uległa czarowi Irlandczyka, urzędnika służby cywilnej, piastującego wysokie stanowisko w Ministerstwie Rolnictwa, a Aleksander został na lodzie. Przemęczył się kilka kolejnych bezsennych nocy z nogami wystającymi piętnaście centymetrów za koniec wąskiego łóżka. Kiedy próbował temu zaradzić, stawiając krzesło, na którym mógł oprzeć pięty, drewniana rama wbijała mu się w łydki, obdarzając dwoma intensywnie fioletowymi obrzękami. Udało mu się usunąć przeszkadzający fragment, tyle że wtedy rama łóżka się rozpadała. Następnym rozwiązaniem okazało się spanie na materacu bezpośrednio na podłodze, przeciwko czemu głośno zaprotestował odcinek lędźwiowy jego pleców i po trzydziestu czterech dniach nieznośnego bólu Aleksander oświadczył Andrzejowi, że dłużej nie wytrzyma.

Wiele osób, głównie Polaków, przychodziło oglądać ten pokój, ale wszyscy bez wyjątku uznawali, że są zbyt duzi na tak małe łóżko. Wiele radości sprawiła im także wizja Aleksandra Szewczenki (który był postacią dobrze znaną; jego uliczne granie przed Trinity stało się niemal atrakcją turystyczną), próbującego się przekimać w takiej klitce. Kiedy więc pojawiła się Irlandka Lydia, Andrzeja i Jana tak oślepiły jej odpowiednio filigranowe proporcje, że kompletnie nie dostrzegli faktu, iż złośliwy z niej gnom.

A teraz za to płacili.

Odbyli całe mnóstwo niekończących się dyskusji, w których pytali siebie nawzajem: Dlaczego? Dlaczego była taka nieprzyjemna? Taka leniwa? Taka okrutna?

Andrzej ostrzegł Jana, że być może nigdy nie poznają odpowiedzi. Poradził, że chyba najlepiej będzie, jeśli po prostu zaakceptują jej paskudny charakter jako fakt równie nieuchronny jak deszcz, jak wszystko inne w tym

wilgotnym i nieprzyjemnym kraju.

Umyci i ubrani, chłopcy wyszli na ulicę, gdzie wyciągnęli przed siebie dłonie i wyrazili przesadne i sarkastyczne zdziwienie, że nie pada deszcz, a potem odbyli dziesięciominutowy spacer na przystanek tramwajowy. Tam każdy odjechał w swoją stronę, Andrzej na wschód do strefy przemysłowej, a Jan na północ do centrum handlowego.

Jan lubił mówić, że pracuje w branży IT, co w zasadzie nie mijało się z prawdą. W ogromnym supermarkecie zajmował się realizacją zamówień internetowych. Dni upływały mu na poruszaniu się między regałami, pchaniu wielgachnego wózka z dwunastoma koszami, odpowiadającymi dwunastu klientom i dwunastu różnym listom zakupów. Kiedy już odnalazł wszystkie artykuły z dwunastu list i umieścił je we właściwych koszach, przekazywał zakupy do działu załadunku, skąd zabierała je furgonetka, *rozwożąca* towar po całym Dublinie, a potem dreptał do drukarki po dwanaście kolejnych list, wieszał dwanaście nowych, pustych koszy na swoim superwózku i cała procedura rozpoczynała się od nowa. Stracił rachubę, ile razy dziennie powtarzał całość.

Andrzej także pracował w branży IT. Tyle że naprawdę. Jeździł po mieście białą furgonetką i naprawiał w biurach zepsuty sprzęt komputerowy. Sporo myśli poświęcał tej furgonetce. Był człowiekiem pragmatycznym i strasznie go irytowało, że każdego wieczoru musi odstawiać ją do bazy, gdzie przez czternaście bezużytecznych godzin stoi bezczynnie, gdy tymczasem on mógłby ją wykorzystać do własnych celów – a konkretnie do wożenia Rosie. Snuł fantazje, jak zatrzymuje się przed domem, który wynajmowała z czterema innymi pielęgniarkami, trąbi i patrzy, jak zbiega po schodach, a na jej twarzy w kształcie serca maluje się podziw. Spotykał się z Rosie (też Irlandką, ale zupełnie niepodobną do tej paskudnej Lydii) od

dwóch miesięcy i ośmiu dni i jak na razie nie zgadzała się oddać mu swego dziewictwa. Andrzej, umięśniony i niebieskooki przystojniak, przyzwyczajony był do tego, że w sprawach damsko – męskich wszystko się dzieje po jego myśli, jednak szczerze podziwiał staromodną cnotliwość Rosie i jego początkowe pożądanie przekształciło się w coś znacznie bardziej złożonego.

Dzień 60…

Na parterze Star Street 66 Matt i Maeve zostali łagodnie przebudzeni przez budzik Zen, brzęczyk, który brzmiał niczym dzwoneczki tybetańskich kóz. Zaczynał od pojedynczych spokojnych brzęków, jakby ktoś raz na jakiś czas stuknął w ksylofon, by po dziesięciu minutach stopniowo przerodzić się w kakofonię zachwycających dźwięków. Nie bardzo w stylu Matta. Wyglądał mi na człowieka, który wolałby budzik zachowujący się jak defibrylator, wydający z siebie fałszywie brzmiące DZYYYYN, tak żeby wszystkie nerwy w jego ciele stanęły na baczność i wyrwały go z łóżka, i żeby on uderzył się pięściami w tors i zaryczał jak Tarzan: „Rrrrr! Uważaj, świecie, nadchodzę, by cię dopaść! ”.

Ale Maeve chciała dzwoneczki, więc Maeve miała dzwoneczki. Miała także niespieszne śniadanie. Podejrzewam, że Matt chętnie wciągnąłby w drodze do pracy snickersa, ale zaparzył dla Maeve herbatę, Maeve zrobiła dla niego owsiankę, następnie usiedli przy kuchennym blacie, odzwierciedlając czynności drugiej osoby, sprawdzając, czy ich towarzysz ma miód, sok pomarańczowy i inne śniadaniowe akcesoria.

Na kuchennym parapecie w ozdobnej srebrnej ramce stało ich ślubne

zdjęcie. Muszę przyznać, że oboje nieźle się odpicowali. Zwłaszcza Maeve. Sądząc po zdjęciu, zdecydowali się na tradycyjny ślub. Sukienka Maeve należała do tych pozornie prostych: góra w stylu empirowym i dół z ciężkiej satyny, bez żadnych zbędnych ozdób. Krój sukni odsłaniał ładne, kremowe ramiona, a jasne, gęste włosy uczesane były w kok, z którego uciekały pojedyncze loczki, otaczając jej twarz. Wyglądała jak dziewczyna z powieści Jane Austen, jej ulubionych. Matt, przyklejony do ramienia Maeve i wpatrujący się w aparat z miną człowieka, który właśnie wygrał w totka, ale stara się tym nie przechwalać, miał na sobie ciemny, poważnie wyglądający garnitur. Taki, jaki zakłada się do podpisywania traktatów pokojowych. Widać było, że wyszukał w sklepach gajerek robiący największe wrażenie, aby pokazać, jak wielką wagę ma dla niego ten ślub. (W żadnym razie nie chcę być niemiły, ale trzy lata temu, kiedy robiono to zdjęcie, było ich znacząco mniej. Oboje byli dużo, cóż, węższi. Najwyraźniej tłuszcze trans nie odgrywały wtedy w ich życiu tak wielkiej – wybaczcie tę grę słów – roli.)

Maeve przełknęła ostatnie krople soku, Matt uderzył łyżeczką w pustą miskę, oboje zażyli po tabletce z witaminowymi suplementami, popijając ją wodą z jednej szklanki, i – w końcu – wyszli z mieszkania, aby się udać do pracy. Matt miał samochód, wypastowane buty, szykowny garnitur i szykownie obcięte włosy. Maeve miała rower, bezbarwną pomadkę ochronną i sztruksy tak niełądne (za duże na nią i w okropnym odcieniu oliwkowej zieleni), jakby je wybrała specjalnie z powodu ich brzydoty.

Pocałowali się na pożegnanie.

– Uważaj – powiedział Matt.

Na co? – zastanawiałem się. Osoba na tyle ryzykancka, aby ruszać rowerem w miasto w porze korków, mogła spodziewać się ostrzeżeń z ust

najbliższych, niemniej jednak wiedziałem, że to nie wywinięcia orła przez maskę samochodu obawiała się Maeve. Zgoda, zdecydowanie była przerażona, nie zrozumcie mnie źle, ale nie znałem powodu; blokowała mnie. Jedyne, co przychodziło mi do głowy, gdy na nią patrzyłem, to że nie obawia się, iż zostanie wyśmiana z powodu badziewnych ciuchów. Fascynujące.

Matt patrzył za Maeve, aż wchłonął ją w siebie sznur pojazdów, po czym pomyślał o swoim aucie. Stało zaparkowane tak daleko, że zastanawiał się, czy nie podjechać do niego autobusem.

Dzień 60..

W mieszkaniu Jemimy psu nie doskwierały żadne skutki uboczne wczorajszej kręciawki. Jemima starała się przywołać go do kuchni, on jednak zgrywał trudnego do zdobycia.

– Grudge, Grudge, mój kochany Grudge.

A więc ta bestia rzeczywiście miała na imię Grudge! Jakież to... cóż, osobliwe.

Jemima była umyta i ubrana od szóstej piętnaście. Nie znosiła wylegiwania się w łóżku. Przykucnęła – w kolanach strzeliło jak z pistoletu – aż jej twarz znalazła się na tym samym poziomie, co łeb nadąsanego Grudge'a.

– To, że przyjeżdża Fionn, wcale nie znaczy, że będę cię mniej kochać – oświadczyła.

Wszystko stało się jasne: Grudge dąsał się, gdyż odkrył, że ma się tu zjawić „Jasnowłosy".

– Chodź coś zjeść.

I po chwili Grudge odtańcowywał Śniadaniowy Taniec. Nadwrażliwe stworzenie, niełatwo wybaczające, chyba że na horyzoncie pojawiało się jedzenie.

Trzymałem się od Jemimy na dystans. Nie chciałem jej przestraszyć. Chyba że zostanę do tego zmuszony. Pomimo to jej myśli mnie dosięgły. Jej wibracje były silne, miarowe i wojownicze, bez problemu przedzierające się przez zagracone mieszkanie i domagające się uwagi.

Myślała z wielką sympatią o słowie „uraza". Cóż za wspaniały rzeczownik. Tak pasujący do swego znaczenia: nie dało się go chyba wypowiedzieć, nie krzywiąc się jak po kwaśnej śliwce. *„Krompir"* to kolejne z lubianych przez nią słów; w języku serbskim oznaczało ziemniaka i miało solidny chrupiący odgłos. Albo „cudaczny", słowo chyba ulubione, wesoły, radosny dźwięk, zawsze przywołujący jej na myśl brzęk tamburyna.

„Grudge" wielu uważało za dziwne imię dla psa, ale kiedy ludzie byli na tyle bezczelni i mówili o tym głośno, Jemima odpowiadała, że sam je sobie wybrał. W schronisku jej powiedziano, że wabi się Declan, ale taki był z niego Declan, jak i z niej. Wierzyła, że można mu zaufać i że sam wybierze sobie imię, kiedy więc przyprowadziła go do domu – gdzie wcisnął się w kąt i leżał żałośnie, opierając się na łapach – Jemima wyrecytowała długą listę poważanych psich imion. Czempion? Boss? Książę? Wiking? Przyglądała mu się uważnie, czekając na jakąś reakcję, ale po każdej propozycji Declan warczał: „GGGGrrrr", po czym wydawał z siebie krótkie szczeknięcie, które brzmiało jak „adż". W końcu go usłyszała: był Grudge'em.

W schronisku ją ostrzeżono, że to pies po przejściach. Wielu rzeczy nie tolerował. Ludzi w perukach i tych, co śpiewają muzykę folk. Koloru

żółtego. Zapachu lakieru do włosów.

Ale uspokajał go szelest torebki po chipsach. Dziewczynki z rudymi włosami. Akcent z okolic Yorkshire. Muzyka George'a Michaela, ale tylko ta wcześniejsza (i nie Wham! – nie cierpiał Wham!).

Był stworzeniem o zmiennych nastrojach, wymagającym ostrożnego traktowania, ale Jemimy to nie zniechęciło. Wyznawała filozofię – którą przedstawiła pracownikowi schroniska – że zrównoważony pies zawsze znajdzie dom, ale tak naprawdę potrzebują go te biedaki po przejściach.

Entre nous, zastanawiam się, czy nie nazbyt pochopnie osądziłem Jemimę, uznając ją za drażliwą staruchę.

Po śniadaniu Grudge obdarzył Jemimę rozbrajającym spojrzeniem maltańczyka, a potem popatrzył niespokojnie na boki. Jemima pomyślała, że to wspaniały pies. Wykazywał się większą intuicją niż większość ludzi. Co nie było trudne, zważywszy na to, że zdecydowaną większość interesowały wyłącznie własne cztery litery.

– Tak, ja też to czuję – oświadczyła Jemima Grudge'owi. – Ale my się nie ugniemy! – Obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni i rozstawiła szeroko nogi, jak kobieta – – wojowniczka. – Słyszysz mnie? – zapytała, a właściwe to zakrzyknęła ostrym tonem, patrząc zdecydowanie przed siebie (ale w niewłaściwą ścianę, kochana staruszka). Dźwięcznie powtórzyła: – Nie ugniemy się!

Nie gorączkuj się tak, Jemima. Wcale nie chodzi o ciebie.

Dzień 60…

Matt lubił jak najszybciej mieć z głowy swój codzienny Dobry Uczynek. W drodze do pracy lustrował uważnie ulice, szukając okazji do zrobienia czegoś dobrego. Na pobliskim przystanku autobusowym stała jedna kobieta. Jasne było, że nie zdążyła na autobus, gdyż o tej porze pod wiatą gromadziło się zazwyczaj kilkanaście albo i więcej osób, obserwujących się nawzajem niczym jastrzębie, uważając, aby nie zostać z tyłu, kiedy autobus w końcu zajeżdżał na przystanek.

Opuścił szybę od strony pasażera i zawołał:

– Dokąd pani jedzie?

Zaskoczona kobieta podniosła głowę znad komórki, z której wysyłała SMS. Masywna postać, wbita w pomarańczowy żakiet, mogła mieć od trzydziestu siedmiu do sześćdziesięciu sześciu lat.

– A po co ci to?

– Mogę panią podrzucić.

– Ty? Nie mogę wsiąść do samochodu z nieznajomym mężczyzną! Nie czytasz gazet, synu?

Uff!

– Może i jestem nieznajomy, ale życzliwy.

– No, raczej byś nie przyznał, że jesteś zabójcą szalejącym z siekierą.

– Jestem żonaty. Kocham żonę. Nie mam siekiery.

– Dzieci?

– Jeszcze nie...

– Ja mam czworo.

– Proszę wsiadać, opowie mi pani o nich po drodze.

– Jasne, a ty pokażesz mi swoją siekierę.

– Jestem sprzedawcą oprogramowania.

– Tak jak i Kuba Rozpruwacz.

– Nieprawda!

– Słuchaj. – Westchnęła. – Może i jesteś uroczym facetem, szczerze mówiąc, to na takiego wyglądasz, ale nie mogę ryzykować. Moje dzieci nie pamiętałyby nawet, w co byłam ubrana, żeby powiedzieć policji. A na wszystkich ostatnio robionych zdjęciach wyglądam fatalnie. Nie mogę dopuścić do tego, aby porozwieszano je na słupach w całym mieście. Jedź już, synu.

Kurde.

Zniechęcony Matt odjechał. Codzienny Dobry Uczynek ciążył mu niczym kamień u szyi. Dręczył go przez cały dzień, jak rzęsa, która dostała się pod powiekę. A dni mijały tak szybko, że miał wrażenie, że dopiero co zrobił DU, a już nadchodził kolejny dzień i pora była na następny DU. I biada mu, gdyby wrócił wieczorem do domu bez ani jednego Dobrego Uczynku wykonanego w ciągu dnia. Nie potrafił okłamywać Maeve i poczucie winy zakazywało mu wrócić, dopóki nie odrobił pańszczyzny.

Bycie dobrym okazywało się trudniejsze, niż można by sądzić. No bo istniały te cholerne zasady (ustalone przez Maeve). Kupowanie „Big Issue” się nie liczyło: było zbyt proste. Dawanie pieniędzy ulicznemu grajkowi także się nie liczyło – chyba że wdało się z nim w pogawędkę, pochwaliło jego grę, zażyczyło sobie jakiś utwór, a następnie stało i słuchało, mową ciała wyrażając uznanie (dopuszczalne było stukanie nogą albo kiwanie głową; gdybyś zmusił się do tańczenia, no to byś już przedobrzył, a nie dało się tego zamienić na dodatkowe punkty przenoszone na drugi dzień).

Dobry Uczynek musiał się wiązać z emocjonalnym kosztem. Musiało to być coś, czego Matt tak naprawdę nie miał ochoty robić.

Jednak jechanie do pracy się nie liczyło. Matt zazwyczaj lubił swoją pracę w Edios. (Jakiś czas temu przeniósł się tam z Goliata.) Ale ten Bank of British Columbia był prawdziwym wrzodem na tyłku. Sam przyznawał, że miał to właściwie na własne życzenie. W banku byli naprawdę zadowoleni ze starego systemu oprogramowania. Naprawdę. Dopóki Matt nie zaczął ich nachodzić, próbując nakłonić do przejścia do Edios. No ale co miał zrobić? Taką miel pracę. Zadzwonił do irlandzkiej centrali banku, a kiedy kazano mu się odczepić, odczekał trochę i zadzwonił znowu, potem znowu, aż w końcu się ugięli i ostrożnie zgodzili na spotkanie. Matt triumfował. Spotkanie się z kimś osobiście mogło wyglądać na zaledwie początek procesu, ale w jego wypadku oznaczało interes de facto ubity. Co nie znaczy, że to generalnie było proste. Matt musiał włożyć w przedsięwzięcie zawsze olbrzymi wysiłek, jakby w pojedynkę napędzał potężny statek wycieczkowy. Ilość uroku i czaru, jakim epatował przez lata sprzedaży oprogramowania, mogłaby doprowadzić do nastania pokoju na Środkowym Wschodzie. Tak czy inaczej przyzwyczajony był do namacalnych rezultatów.

Tyle że Bank of British Columbia robił z nim, co chciał. Przez osiem ostatnich miesięcy flirtował, drażnił się i bawił na wielu wypadach na koszt Edios – siedmiogodzinny obiad w jednej z najdroższych dublińskich restauracji, premiera filmowa, dzień na wyścigach. Teraz przebąkiwał o biletach na Wimbledon – te bilety naprawdę trudno było dostać! – a nadal się nie zadeklarował, że kupi system. Matt znał imiona wszystkich żon, dziewczyn, dzieci i psów, ale – co było dość jak na niego niezwykłe – nie potrafił wyczuć, w jakim to pójdzie kierunku.

W banku poproszono go o spotkanie – kolejne – dzisiejszego ranka i Mattowi nie przychodził do głowy powód. On i jego zespół dokonali pięciu

olśniewających prezentacji; każde zapytanie uzyskało satysfakcjonującą odpowiedź;

Matt osobiście odbierał telefony o każdej porze dnia i nocy, obiecując złote góry w kwestiach modyfikacji, kopii zapasowych i ekspresowej implementacji. Czego jeszcze mogliby chcieć?

Najpewniej biletów na kort centralny.

Myślał o tym z urazą przez cztery sekundy, aż jego uwagę przyciągnęło radio. (Myślenie z urazą nie było dla niego czymś naturalnym i nigdy nie oddawał się temu zbyt długo.) W całej Europie z nieba zaczęły w tajemniczy sposób spadać bryły lodu. Jedna, wielkości fotela, rozbiła przednią szybę auta w Madrycie. Tydzień później inna, równie wielka, przebiła się przez dach domu w Amsterdamie, a nazajutrz kolejna spadła na ziemię w Berlinie, zwalając z cokołu pomnik jakiegoś żołnierza. Fenomen ten badany jest przez ekspertów, ale na razie nikt nie potrafi powiedzieć, skąd się biorą te bryły lodu. Ani gdzie może wylądować kolejna.

Matt słuchał tego z prawdziwą przyjemnością. Lubił tego rodzaju wydarzenia. Kojarzyły mu się z lądowaniem kosmitów.

Tak pochłonęła go ta historia, że nie zwrócił uwagi na fakt, iż przejechał przez dwa zielone światła z rzędu. A potem trzy. Zdał sobie z tego sprawę dopiero wtedy, gdy czwarte światła świeciły na jego korzyść. Cztery zielone światła z rzędu! W godzinie korków! Czy to można uznać za jedno z dzisiejszych Trzech Błogosławieństw Losu? Nie sądził, aby Maeve to kupiła; dla niej błogosławieństwem nie było znalezienie miejsca parkingowego tuż pod ich domem, raczej więc nie uzna czterech zielonych świateł z rzędu. Ale on owszem.

Przez chwilę rozmyślał na temat tego, jak nieoczekiwanie potoczyło się jego życie, wypełnione Dobrymi Uczynkami, Trzema

Błogosławieństwami Losu i tym podobnymi. A wszystko przez Maeve i przez to, że cztery lata i trzy miesiące temu rozsypała drobne na podłodze wagonika kolejki, a on sobie uświadomił: Chryste, jestem zakochany. I to nie w swojej dziewczynie.

Próbował udawać, że to się nie dzieje naprawdę. Nie mógł kochać się w Maeve, gdyż jego związek z Natalie był idealny. Z Natalie, która miała wytworną szyję, śliczne brązowe oczy i cięty dowcip. Spotykał się z nią niemal od roku, ale to Maeve ciągle siedziała mu w głowie. Każdego ranka stanowiła jego pierwszą myśl i przez cały dzień, codziennie, dręczyły go zgubne, upiorne szepty: „Tkwisz w niewłaściwym życiu".

Był tak przerażony, że po raz pierwszy w życiu zupełnie stracił apetyt. Nigdy dotąd nie musiał podejmować takiej dorosłej decyzji i oczywiste było, iż zrani Natalie, przysporzy jej bólu i cierpienia.

No i nagle otworzyły mu się oczy na związek Maeve i Davida. Uważna inspekcja potwierdziła, iż rzeczywiście tworzą parę. Czy Maeve kochała Davida? Matt doszedł do wniosku, że pewnie tak, ponieważ nie należała do osób, które się bawią uczuciami innych. Ale nawet jeśli nie kochała, z całą pewnością wszyscy mężczyźni na świecie chcieli ją dla siebie, prawda? Musiałby stoczyć bój z nimi wszystkimi. Co wcale go nie zniechęcało. Ale dziewczyna tak wartościowa jak Maeve prawdopodobnie pogardzała nim i jego stylem życia (garnitury, samochód, nie Galway). Nigdy nawet nie został potraktowany gazem łzawiącym!

A gdyby przegrał w walce o jej serce? Jak mógłby wtedy żyć?

Wtedy powrócił jego wrodzony optymizm. W sumie miał spore szanse u Maeve, no nie? Był porządnym gościem, nigdy świadomie nikogo nie zranił i choć nie oddawał się żarliwie żadnej „sprawie", to najpewniej dlatego, że po prostu nie znalazł jeszcze tej właściwej. Delfiny! Lubił

delfiny! Może powinien sprawić sobie T – shirt z napisem „Ratujmy delfiny” i nosić go do pracy. Chyba że... a może się mylił... może delfiny nie były wcale gatunkiem zagrożonym? No ale coś przecież było. Może żółwie... ale na takie właśnie problemy człowiek natrafia, próbując być kimś, kim nie jest. Był Mattem Gearym, porządnym gościem. Może to wystarczy Maeve. A, naturalnie, zawsze mógł się trochę zmienić, wyjść Maeve naprzeciw. Spójrzcie tylko na Brada Pitta, w jednej chwili to płytki pięknіś, poddający się szaleńczym dietom razem z Jennifer Aniston, a w drugiej jest człowiekiem wartościowym, adoptującym dzieci na prawo i lewo ze śliczną Angeliną u boku.

Jak najsubtelniej Matt zaczął gromadzić informacje na temat Maeve. Dowiedział się, że jest jedynaczką, ukochaną ***córką,*** która ***późno*** pojawiła się w życiu rodziców sądzących, że już nigdy nie zostaną pobłogosławieni potomstwem. Skończyła ekonomię na uniwersytecie w Galway. Po studiach wyjechała do Australii – „z chłopakiem” – i przez dwa lata mieszkała w Melbourne, dopóki nie wygasła jej wiza. Następnie przez rok podróżowała po Azji i Ameryce Południowej – „nie z tamtym chłopakiem; to jasne, że się rozstali” – po czym wróciła do Irlandii i rozpoczęła pracę w Goliacie.

Matt gromadził te strzępki informacji na temat Maeve, zawsze pragnąc więcej – a potem oprzytomniał. Co on, do diaska, kombinował?

Próbował przekonać samego siebie do bycia człowiekiem sprzed brzemiennej w skutki podróży kolejką. Nieustannie się zadręczał i tak bardzo był rozdarty, że dziwił go fakt, iż nikt niczego nie zauważył.

Niekiedy miał pewność, że między nim a Natalie to koniec, a niekiedy miał równie wielką pewność, że nic nie zagraża ich związkowi i że wspólne zamieszkanie to tylko kwestia czasu.

Próbując ułatwić sobie wyplątanie się z ich związku, Matt starał się

znaleźć w Natalie jakieś wady, ale jedyne, co mu przychodziło do głowy, to fakt, iż zbyt mocno wyskubywała brwi. Czasami pojawiały się tam nawet małe kropelki krwi. Jaka kobieta chciałaby robić sobie coś takiego? Jaka kobieta okaleczałaby własne ciało?

Dziesięć dni po swoim pierwszym olśnieniu Matt leżał na łóżku Natalie i przyglądał się, jak jego dziewczyna szykuje się do wyjścia.

Włożyła dżinsy i przejrzała się w lustrze, ale nie spodobało jej się to, co zobaczyła, gdyż zdarła z siebie dżinsy i włożyła drugie. Te także nie zyskały jej akceptacji, więc w ruch poszła kolejna para. Chwilę później one także leżały na podłodze i w końcu Matt zapytał:

– Ile masz par dżinsów?

– Nie wiem.

Skoro nie wiedziała, to znaczy, że zbyt wiele!

– Strzelaj – rzekł. – Pięć?

– Więcej.

– Dziesięć?

– Więcej.

– Więcej?

Przez chwilę dokonywała w myślach szybkich obliczeń.

– Około szesnastu – stwierdziła. – No ale wszystkich nie noszę, to oczywiste.

– Oczywiste?

– Dlatego że te z rozszerzanymi nogawkami są już niemodne. Nigdy już ich nie włożę. Powinnam je po prostu oddać do Oxfamu.

– Sądziłem, że rozszerzane nogawki znowu są w modzie.

– Ale inaczej rozszerzane.

– Jak myślisz, ile par dżinsów ma Maeve? – zapytał Matt. To było

śmiałe pytanie. Czy Natalie będzie się zastanawiać, dlaczego poruszył temat Maeve?

Ale Nat także zauroczona była Maeve, uważała ją za przeurocze stworzenie i Matt przez jedną szaloną chwilę zastanawiał się nawet, czy może zdołaliby we troje uwić wspólne gniazdko.

– Maeve? Nie wiem. Dwie?

Dwie. Tak, odpowiednia ilość dżinsów dla jednego człowieka. Nosi się jedną parę, gdy tymczasem druga jest w praniu. Każda liczba powyżej dwóch była groteskowa i sugerowała konsumpcyjne rozpasanie. Wtedy Mattowi przypomniało się, że sam jest właścicielem co najmniej sześciu par. Ale to się zmieni, przysiągł sobie w duchu, wszystko się zmieni, kiedy... Nie! Nie, nie wolno mu było o tym myśleć. Tak się nie stanie. Nic się nie zmieni. On i Natalie już zawsze będą razem.

Natalie była gotowa. Stanęła przed nim, szczupła i śliczna, w jednej ze swych szesnastu par dżinsów.

– Pięknie wyglądasz – rzekł.

Ale ogarnięty strachem pojął, że to za mało.

Dzień 60…

O piątej trzydzieści pięć leżąca w nieprzyzwoicie wygodnym łóżku Conalla Katie została obudzona przez właściciela łóżka, który nachylił się, aby ją pocałować na pożegnanie. Miał na sobie garnitur, był ogolony i wypachniony czymś ostrym i cytrusowym.

– Zadzwonię – rzekł.

– Okej – mruknęła i natychmiast z powrotem zasnęła.

W pracy wzięła dzień wolny. Żadne tam udawanie z jęczeniem do

słuchawki, że chyba ma zatrucie pokarmowe. Był to najprawdziwszy dzień urlopu, który już dawno sobie zarezerwowała, ponieważ podczas urodzinowej kolacji miała ochotę pić tyle, ile tylko będzie chciała, nie martwiąc się o pójście nazajutrz do pracy na kacu gigancie. Oczywiście w świecie idealnym nikt by nie świętował jej urodzin w poniedziałkowy wieczór – zresztą urodziny miała dopiero w piątek – ale musiało się to odbyć w poniedziałek, ponieważ dzień później Conall wybierał się do Helsinek, gdzie będzie ciął etaty i siał postrach wśród jakichś nieszczęsnych Finów, dokładnie tak, jak dziesięć miesięcy temu w Apex Entertainment...

Tego ranka po objawieniu Katie, iż kryzys jest dla niej sposobnością na wyjazd do Indii, Danno powitał ją słowami:

– Noc długich noży. Zwolniono połowę działu sprzedaży. Podobno Hathaway przez noc sprzedał na eBayu ich biurka.

– Ile z tego jest prawdą? – zapytała Katie. Bardziej skupiała się na wypchnięciu Knight Ryders z Irlandii. Kiedy tylko znajdą się w przestrzeni powietrznej Niemiec, będzie ich miała z głowy.

– Zwolnił pięć osób – przyznał nieco chmurnie Danno.

Katie sprawdziła e – maile: samolot, który miał zabrać zespół wraz ze świtą do Niemiec, wylądował na lotnisku w Dublinie...

– Na ile?

– Trzydzieści siedem.

... Lila – May była teraz w Four Seasons, zbierając do kupy Elijaha i chłopców...

– To raczej nie połowa, co? – Niemniej jednak poczuła dreszczyk strachu. To się rzeczywiście działo. – Naprawdę sprzedał ich biurka?

– No pewnie. – Danno wyznawał zasadę, że kiedy ktoś przyłapuje cię na kłamstwie, nie powinieneś tracić twarzy.

– Dostał za całość piętnaście euro. Kupiła je hiszpańska firma produkująca drewniane pociągi. Zabawkowe. I domki dla lalek. I...

Zadzwonił telefon Katie i doznała silnego przeczucia: nie powinna go odbierać. Ten telefon zrujnuje jej życie.

To była Lila – May.

– Elijah Knight dał drapaka.

Pierwsza myśl Katie była następująca: Czy to mnie się będzie za to winić? A potem pomyślała: I tak mnie zwolnią, więc co tam.

Elijah równie dobrze mógł wyjść, aby kupić skarpetki, ale mało to było prawdopodobne. Zwłaszcza kiedy Lila – May dodała:

– Kopnął strażnika w głowę obcasem i zwiał. Trzeba mu będzie założyć szwy.

Katie przycisnęła dłoń do oczu. Z żywymi legendami tak cholernie ciężko się pracowało.

– Okej, każ przeszukać hotel. Sprawdźcie wszystkie bary. – Rozłączyła się i zawołała: – Hej, przerwijcie to, co robicie. Elijah zwiał z hotelu.

Rozległy się okrzyki przerażenia, niektóre wydane nawet przez ludzi z marketingu, co było z ich strony miłe, ponieważ zniknięcie Elijaha stanowiło problem PR.

Danno chwycił czarny gruby marker i zaczął go dyskretnie wdychać, szykując się na nieuchronny dramat.

– George! – ciągnęła Katie. – Obdzwoń wszystkich znanych ci dziennikarzy, pod każdy numer, jaki masz w swoich plotkarskich aktach, bo może ktoś zadzwonił z informacją, że go widział.

(Wibracje George'a były słabe i urywane; jedynie chłodna stalowa nić wredności nie pozwalała mu rozpłynąć się w kompletną nicość. Cieszył się

ogromną popularnością wśród dziennikarzy, który uważali go za prawdziwego psa gończego plotek.)

– Nie powinniśmy starać się to ukryć? – zapytała niespokojnie Audrey.

– Nie mamy czasu. – W samym środku paniki Katie dostrzegła, że w biurze pojawił się jakiś mężczyzna. To musiał być ten szczupły i głodny Barbarzyńca. – Rozgłoście to wszędzie; szybciej go znajdziemy.

Znajdował się teraz przy jej biurku.

– Jestem Conall Hathaway – odezwał się. – A ty?

– Katie Richmond.

Kiwnął głową.

– Co tu się dzieje? – Omiótł spojrzeniem pomieszczenie, w którym panika była niemal namacalna.

– Zgubiliśmy wokalistę. Elijaha Knighta. – Z nietypowym dla siebie sarkazmem dodała: – To członek Knight Ryders, zespołu, który wydaje w Apex...

– Wiem, kim oni są.

Zadzwonił jej telefon, przerywając tę wymianę zdań. Manager trasy chciał wiedzieć, jak długo powinien wstrzymywać samolot. Katie zacisnęła palce na skroniach, starając się podjąć właściwą decyzję. Lecieć czy zostać? Zostać czy lecieć? Ekipa potrzebowała co najmniej pięciu godzin na przygotowanie sceny. Ale jaki był pożytek ze sceny bez wokalisty? Z drugiej strony jaki był pożytek z wokalisty bez sceny?

– Katie...?

– Lećcie. – Żołądek ścisnął jej się ze strachu, że źle wybrała. – Zabierz ekipę do Berlina. Potrzebują czasu, żeby przyszykować wszystko na wieczór. Jeśli nie zdążę znaleźć Elijaha do następnego lotu, załatwię

prywatny czarter.

„To ja wydałam polecenie, aby samolot Elijaha wystartował bez niego na pokładzie. A jeśli nie zdążę go wsadzić w następny samolot? To będzie taka kaszana, że na pewno napiszą o tym gazety".

Conall Hathaway nadal stał przy jej biurku. Wzrok miał kamienny. Przyglądał się spekulatywnie jej kubkowi, najpewniej planując jego sprzedaż na eBayu. Wzięła go obronnym gestem do ręki.

„Nienawidzę swojej pracy. Nienawidzę tego niepokoju. Nienawidzę tego, że konsekwencje moich decyzji mają wpływ na tak wielu ludzi".

– Jeśli przyszedł pan tutaj, aby mnie zwolnić – odezwała się do Conalla, zbyt przestraszona, aby zachowywać się ostrożnie – będzie to musiało zaczekać. – Gwizdnęła na Danno jak na wiernego psa. – Do mnie. I ty też, Audrey.

– A do Conalla Hathawaya rzuciła: – Dlatego że ruszam na poszukiwania Elijaha.

– Co się stanie, jeśli go nie znajdziecie?

– Musimy go znaleźć. Dziś wieczorem grają w Berlinie koncert dla osiemdziesięciu tysięcy ludzi.

– Gdzie będziecie szukać?

– Zaczniemy od pubów.

– A jeśli tam go nie będzie?

– Są pewne panie...

– A jeśli nie ma go z nimi?

– To pewnie... ach... pewnie... – Katie patrzyła przed siebie, powoli odczuwając cały ciężar nieprzespanej nocy i zagadki pod tytułem „kryzys czy sposobność? " i usłyszała, jak z jej ust wydostają się słowa: – Pewnie dzisiejszy koncert w Berlinie będzie musiał być wersją instrumentalną. Fani

prawdopodobnie podniosą raban, osiemdziesiąt tysięcy marzeń weźmie w łeb, przepadną miliony euro i...

– I?

– I... – Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się z ulgą, ponieważ przez chwilę wszystko było jasne. – Pewnego dnia wszyscy będziemy martwi i żadna z tych spraw nie będzie już mieć znaczenia.

Wszystko się jednak dobrze skończyło. Dostali cynk, że Elijah siedzi w nastroju sentymentalnym w pubie Neary's. Katie i Danno zawlekli go do samolotu, polecieli razem z nim do Berlina, przekazali niemieckiemu rzecznikowi prasowemu, a następnie wrócili do Dublina. Elijah zaśpiewał jak zwykle i nic złego się nie wydarzyło. Ale nawet dzień później Katie nie dawały spokoju myśli z cyklu „a co by było, gdyby": a co by było, gdyby nie znaleźli Elijaha? Albo gdyby był zbyt pijany, aby wyjść na scenę? No ale skoro i tak miała zostać zwolniona, to czy to wszystko miało znaczenie? Podczas przerwy na lunch, szukając pociechy, postanowiła udać się do pobliskiego sklepu z artykułami papierniczymi. Lubiła przeglądać pióra i zeszyty, a ich kolorowa uroda działała kojąco na jej zbolałą duszę. Natrafiła na notatnik, do którego kartek przyklejono suszone bratki. Śliczny. Zgoda, kartki były pewnie zbyt grube, aby się okazać przydatne, ale miała to gdzieś, podobał jej się ten notatnik i zamierzała go kupić i... Kurde mol! Przy kolorowych karteczkach samoprzylepnych stał nie kto inny, jak Conall Barbarzyńca. Stał zamyślony i bez entuzjazmu wkładał do ust po kilka kostek czekolady z orzechami.

Dlaczego musiał przyjść tutaj, do jej sanktuarium?

Natychmiast zaczęła się wycofywać. Uda się zamiast tego do apteki; apteki lubiła równie mocno jak sklepy z artykułami papierniczymi. Godzinami mogła przeglądać plastry na odciski, leki homeopatyczne i

ampułki na wzmocnienie włosów. Apteka stanowiła róg obfitości, przebłysk dobroci, promyk światła w świecie, który często był mroczny... Za późno! Conall Hathaway ją zauważył! Ich spojrzenia się skrzyżowały, zmiął papierek po czekoladzie w małą kulkę i wierzchem dłoni szybko otarł usta.

– Katie. Witaj. – Jabłko Adama poruszyło się przy przełykaniu ostatniego kawałka czekolady. – Jak się masz?

– Dobrze. – Zapadła cisza i z odruchową grzecznością osoby pracującej w PR Katie zapytała: – Co tam?

Conall wzruszył bezradnie ramionami.

– Raczej nie cieszę się w Apex zbytnią popularnością.

Co za tupet! To takie... jak by to ująć? Tak, już ma! Nieszczere.

Spojrzała na niego beznamiętnie i pomyślała: „Jesteś nieszczery. Stoję tutaj, myśląc, że jesteś nieszczery, i ty o tym nie wiesz. Prawdopodobnie pozbawisz mnie pracy, ale ja i tak dalej mogę sobie myśleć, że jesteś nieszczery i nic z tym nie możesz zrobić".

To było bardzo przyjemne. Tak przyjemne, że oświadczyła:

– Może powinieneś pomyśleć o pracy w innej branży.

– Po czym uzupełniła: – Skoro miłość jest tym, czego szukasz. – Naprawdę to powiedziała? Ku swemu zdumieniu dodała: – Może kapłaństwo?

Indie, pomyślała, patrząc na malujące się na jego twarzy zdumienie. Indie. Żadna jego decyzja nie zrobi jej krzywdy. Najgorsze, co mógł zrobić, to ją zwolnić, a wtedy ona wyjedzie do Indii. Gdzie dozna oświecenia. I przy odrobinie szczęścia zarazi się jaką infekcją układu pokarmowego i schudnie całą tonę. Nie musiała to być rzeczywiście tona. Z wdzięcznością przyjęłaby utratę choćby pięciu kilo. Problem stanowiło jedzenie; gdyby tylko tak bardzo nie kochała jeść. Ale Indie się tym zajmą. Indie, pomyślała. Indie.

– Kapłaństwo? – zapytał Conall.

– Albo może lekarz leczący ślepotę? – zasugerowała.

– On otrzymuje pewnie dużo miłości.

Conall patrzył tęsknie za Katie, która wychodziła ze sklepu, imponująco wyprostowana na dziesięciocentymetrowych obcasach. Ta dziewczyna zrobiła na nim wrażenie. Choć właściwie to już nie dziewczyna. Była starsza od tych, z którymi zazwyczaj się spotykał – czytał akta osobowe Katie, znał więc jej zarobki, adres, wiek: trzydzieści dziewięć. Ale sam miał czterdzieści dwa lata i może pora, aby znalazł sobie dziewczynę, która nie jest o dekadę od niego młodsza, która rozumie jego kulturowe aluzje i pamięta Dawida Bo – wie z czasów jego pierwszego podejścia. I drugiego.

Conall Hathaway nieźle się zadurzył. To przez tę uczynioną przez nią wczoraj uwagę: „Pewnego dnia wszyscy będziemy martwi i żadna z tych spraw nie będzie już mieć znaczenia". Na chwilę zapewniło to szczelinę, przez którą można było zajrzeć do zupełnie odmiennego stylu myślenia. Conall zawsze tak bardzo pochłonięty był pracą, brutalnymi wyborami, jakich musiał dokonywać, ale nagle wszystko to osłabło i ujrzał swoje życie jako coś małego i nieistotnego, a swoje decyzje jako generalnie pozbawione znaczenia, i zdumiał go fakt, jak bardzo wolny się wtedy poczuł. Zaintrygowała go oryginalność Katie, jej odwaga i przede wszystkim mądrość. A bardziej nawet imponujące było to, że śmiała się z niego, z jego wyraźnego szoku.

Gdyby tylko wiedział, że prawda jest dużo, o tak, dużo bardziej złożona. Po pierwsze wibracje serc Conalla i Katie cechowała harmonia. Ponadto cechy twarzy Katie – szeroki rozstaw oczu i lekko spiczasty podbródek – wydobyły z podświadomości Conalla mgliste wspomnienie

nauczycielki, w której się strasznie podkochiwał w wieku lat pięciu. Do tej wybuchowej mieszanki doszedł jeszcze ponętny zapach ropy naftowej – pochodzący z grubego markera Danno – zabierający Conalla do ekscytujących czasów nastoletnich. No i, rzecz jasna, zwrócił uwagę na obfity biust Katie, przykryty obcisłym kaszmirowym kardiganem, W którym Wyglądała zarówno matczynie, jak i bardzo, bardzo niematczynie.

Zastanawiał się, co ma zrobić, wpatrując się w pojemnik z kolorowymi pinezkami takim wzrokiem, jakby właśnie puściły bąka. Raczej nie mógł się z nią umówić, a potem jej zwolnić. Ani zwolnić jej, a potem się z nią umówić. Oczywiście inna opcja to taka, aby jej nie zwalniać, ale nie miał pewności, czy dałoby się to umotywować.

Znalazł się w cholernie niezręcznej sytuacji. Zazwyczaj było tak, że kiedy czegoś chciał, otrzymywał to. Jestem Conall Hathaway, pomyślał, i zawsze dostaję to, na co mam ochotę.

Ze smutkiem wziął z półki bloczek czerwonych karteczek samoprzylepnych w kształcie serca i udał się do kasy.

Dzień 60…

W parku Grudge udawał, że bierze udział w biegu z przeszkodami. Poruszał się wysokimi i długimi susami, pokonując niewidoczne przeszkody, gdy tymczasem Jemima siedziała na ławce i wdychała bogate w tlen, życiodajne poranne powietrze. Grudge odbijał się od ziemi i śmigał jak strzała, długie uszy osła miał blisko głowy, falista szara sierść powiewała na wietrze. Obok Jemimy siadł jakiś mężczyzna i sportowe zmagania Grudge'a obserwował z zainteresowaniem graniczącym z fascynacją.

– Proszę tylko spojrzeć na tego psa – odezwał się.

– To mój pies – odparła dziarsko Jemima. – I jest kochany.

– Jest pełen zapału, to pewne... Ach... jaka to rasa?

– W schronisku mi powiedziano, że to cocker spaniel...

– Spaniel? Nie jest trochę za duży na spaniela?

– ... skrzyżowany z collie...

– Owczarki collie, urocze stworzenia, bardzo zrównoważone.

– ... z odrobiną teriera...

– Teriera? Właściwie to owszem... – mężczyzna zmrużył z powątpiewaniem oczy – może to nawet widać...

– ... no i podobno któryś z jego przodków był wilczarzem irlandzkim.

– Ładne patriotyczne psy.

Jemima wstała i zagwizdała na Grudge'a.

– Muszę już iść – oświadczyła mężczyźnie. – Przyjeżdża mój syn Fionn. Chcę trochę ogarnąć mieszkanie.

Tak naprawdę nie musiała wracać do domu, pragnęła jedynie wymówki, aby wypowiedzieć te cudowne słowa: „Przyjeżdża mój syn Fionn".

Nie był jej biologicznym synem, lecz przybranym, ale ten mężczyzna nie musiał o tym wiedzieć.

– Jest ogrodnikiem. – Nie potrafiła się powstrzymać. Zbyt wielką czuła dumę. – I właśnie dostał własny program w telewizji. Na sześć tygodni. Na razie. Ale jeśli będzie miał dobrą oglądalność... – Tak, upewniła się. Oglądalność, takiego właśnie słowa użył Fionn. – Jeśli będzie miał dobrą oglądalność, mogą go przedłużyć.

– Świetnie.

– Mieszka w Monaghan, ale na czas kręcenia programu zamieszka u mnie. Zaproponowano mu hotel, ale on powiedział, że woli się zatrzymać u

mnie.

– Świetnie. – Mężczyzna lekko się przesunął.

– Na rynku jest luka, jeśli chodzi o dobre programy o ogrodnictwie. Robiłam przegląd rynku i ubóstwo tych programów przechodzi ludzkie pojęcie. Wczoraj wieczorem miałam pecha oglądać ten, którego gospodarzem jest niejaki Monty Don i naprawdę, takie banialuki...

– Ale Monty Don jest fantastyczny!

– Tyle że trudno go nazwać kompetentnym, no nie?

– To ogrodnik, który robi programy o ogrodnictwie. To niewystarczające kompetencje?

– Program mojego syna będzie zapewniał znacznie więcej. „Cały system wsparcia dla naszego stylu życia w dwudziestym pierwszym wieku”. – To był wierny cytat z ulotki reklamowej, którą przysłał jej Fionn. – „Nasze życie biegnie szybciej niż kiedykolwiek, ale odczuwamy potrzebę powrotu do prostoty. Hasła przewodnie to: Świeże! Organiczne! Sam bądź hodowcą! ”

– Świetnie. – Mężczyzna wstał z ławki i zaczął pospiesznie się oddalać.

– Nazywa się ***Twój prywatny Eden!*** – zawołała za nim Jemima. – Kanał ósmy, wkrótce pierwszy odcinek.

Dzień 60…

Podróż Maeve do pracy była przedstawieniem tak wysoce ryzykownym, że należałoby na nie sprzedawać bilety. Zachowywała się jeszcze odważniej i zuchwałej niż cztery i pół roku temu, kiedy Matt po raz pierwszy dostrzegł lawirującą między samochodami czapkę z pomarańczowym pomponem. Teraz śmigała jak strzała przez wąskie szczeliny tworzone przez autobusy i ciężarówki, przejeżdżała skomplikowanym zygzakiem między jadącymi zderzak w zderzak samochodami i – co najbardziej zapierało dech w piersiach – wyrywała się do przodu na czerwonym świetle, manewrując między zaskoczonymi kierowcami, sunącymi w jej stronę zarówno z lewej, jak i z prawej strony. Wyzwalające adrenalinę działanie, które pozostawało w sprzeczności z łagodnym, kojącym budzikiem Maeve.

Nie pracowała już w firmie softwarowej, lecz w dziale rezerwacji Emerald, niezbyt dużej sieci hoteli. Biura personelu administracyjnego Emerald mieściły się w piwnicy ich hotelu flagowego, Isle. Maeve przeszła przez długie pomieszczenie, kiwając głową i uśmiechając się, aż dotarła do swego biurka, które znajdowało się na samym końcu po prawej stronie.

Włączyła komputer i od razu wzięła się do pracy. Wielu otaczających ją współpracowników rozprawiało na temat tego, co jadło wczoraj na kolację, ale Maeve wzrok miała przyklejony do monitora i z zaangażowaniem stukała w klawiaturę.

Wyglądało na to, że Maeve nie tylko pracowała w dziale rezerwacji – ona wręcz była działem rezerwacji. Tylko ona. Dwudziestu paru współpracowników to ludzie z działu płac czy zaopatrzenia, co oznaczało, że Maeve nie musiała zatrzymywać się przy innych biurkach i mówić coś w

rodzaju: „Widzisz tę rezerwację, możesz załatwić te cztery łasice, o które proszą? ”. Jednak nie angażowała się także zbytnio w pogawędki i towarzyskie rozmowy o niczym. Nie zrozumcie mnie źle, Maeve zachowywała się bardzo grzecznie, tyle że trzymała się na uboczu, co było zaskakujące. Podobnie jak nieskomplikowany, niewymagający charakter jej pracy – prawdę powiedziawszy, mogłaby to wykonywać dobrze wyszkolona małpa i nie tego spodziewano się po kobiecie o takich zdolnościach i uroku osobistym. Kto wie, co się wydarzyło od czasu dni świetności w Goliacie, kiedy podczas stażu okazała się tak obiecująca, że ukończyła go dwa tygodnie przed czasem? Być może po tym, jak Matt wzgardził uroczą Natalie na rzecz Maeve, atmosfera w pracy stała się niezręczna i oboje woleli poszukać czegoś innego, a w obecnej sytuacji ekonomicznej to jedyne, co udało jej się znaleźć?

Przez całe przedpołudnie Maeve pochłonięta była swoimi obowiązkami, przydzielając zgodnie z życzeniem apartamenty dla niepalących i pokoje dwuosobowe. Czerpała swoistą dumę ze swoich poczynań: oto ludzie przyjeżdżali do obcych sobie miast i okazywało się, że dzięki Maeve czekają tam na nich wygodne łóżka.

Równo o pierwszej udała się do pobliskiego baru kanapkowego, gdzie została ciepło przywitana przez mamusiowatą kobietę, stojącą za ladą.

– Cześć, Maeve. Na co masz ochotę?

– Cześć, Doreen. Kanapka z...

– ... szynką, razowy chleb, bez musztardy? Paczka zwykłych chipsów i puszka fanty? Nie wiem, czemu w ogóle pytam?

– Pewnego dnia mogę cię zaskoczyć – odparła Maeve.

– Nie rób tego. Szok mógłby się okazać nie do zniesienia. Zbyt wiele jest na tym świecie niepewności. Niech już tak zostanie.

Zaopatrzona w lunch Maeve usiadła w słońcu na schodach przed Bankiem Centralnym. Obserwowała uważnie tłum turystów i zakupowiczów, szukając okazji do zrobienia Dobrego Uczynku. Zastanawiała się, czy nie miała racji uważając, że w zimne miesiące jest łatwiej. Zaczęła to robić w marcu, miesiącu, w którym ludzie często upuszczali części garderoby, takie jak rękawiczki, szaliki, czapki, i Maeve musiała jedynie je podnieść i pobiec za właścicielem, a potem cieszyć się jego wdzięcznością. Z drugiej strony wraz z latem pojawili się turyści, biedni obcokrajowcy, których deprymowały nielogiczne układy ulic Dublina i w ciągu kilku ostatnich tygodni codzienny obowiązek Maeve sam wpadał jej w ręce, kiedy jakiś skonsternowany Włoch czy Amerykanin prosił o wskazanie drogi. Zawsze bardzo się starała, aby turyści dokładnie zapamiętali jej wskazówki, a czasem nawet towarzyszyła im przez część drogi. Dzisiaj jednak nie było tak łatwo. Nikt nie studiował z oszołomieniem mapy, nikt nie potrzebował pomocy we wniesieniu po schodach wózka z dzieckiem, nikt nie musiał pilnie pożyczyć telefonu. Była za dziesięć druga, już prawie pora powrotu do pracy, a ona nadal nie znalazła osoby, dla której mogła być miła, kiedy – aha! – coś jednak zobaczyła. Młoda para, na sto procent turyści. Dziewczyna stała obok bardzo irlandzko wyglądającej zielonej skrzynki na listy, a chłopak robił jej zdjęcie.

Maeve natychmiast wstała. Nie miała ochoty tego robić, nigdy nie miała, ale później poczuje się lepiej. Podeszła do nich i zmusiła się do uśmiechu.

– Chcecie, abym zrobiła wam razem zdjęcie? Obok skrzynki?

Wpatrywali się w nią tak, jakby ktoś zamienił ich w głazy. Może nie rozumieli po angielsku?

– Francuzi? — zapytała. – ***Voulez – vous...*** i – Jesteśmy

Amerykanami – odezwała się dziewczyna.

– Chcielibyście więc mieć wspólne zdjęcie? Obok skrzynki na listy?

– Eee... – rzeki chłopak, obronnym gestem tuląc do siebie aparat.

Wtedy Maeve zrozumiała.

– Słuchajcie, nie zamierzam ukraść wam aparatu. Proszę... – podała dziewczynie swoją torbę – weźcie to jako zabezpieczenie. – Dziewczyna się opierała. – Proszę – dodała Maeve. – Ja chcę jedynie pomóc.

– To coś w rodzaju przypadkowego dobrego uczynku? – zapytała dziewczyna.

– Dokładnie! – Twarz Maeve rozpromieniła się.

– W porządku – powiedziała dziewczyna do swego towarzysza. – Już rozumiem. Daj jej aparat.

Maeve zrobiła sporo zdjęć, a para okazała się urocza i wdzięczna i oświadczyła jej, że jest „naprawdę porządna” i „gdyby kiedykolwiek była w Seattle... ”

– Zrobicie zdjęcie mnie i mojemu mężowi?

– Jasne!

Ostatecznie poczuła się znacznie lepiej. Problem polegał na tym, że książka, która zalecała taką codzienną praktykę – jakiś poradnik – nie brała pod uwagę faktu, że adresaci dobroci Maeve nie zawsze okazywali wdzięczność. Często byli skonsternowani, nieufni albo po prostu zblazowani. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu poświęciła dwadzieścia minut godzinnej przerwy na lunch na to, aby nieść kuchenny kosz na śmieci – może nie ciężki, ale za to mocno nieporęczny – przez tłum na ulicach, przez całą drogę od Abbey Street do stacji Tara Street, a ta kobieta, przypadkowa nieznajoma, właścicielka kosza, wyglądała na urażoną faktem, iż Maeve nie ma zamiaru wsiąść z nią do kolejki, by zanieść kosz do samego domu.

Ale dzisiaj było w porządku. Zastanawiała się, jak Matt radzi sobie ze swoim Dobrym Uczynkiem. Jak nic miał coś wspólnego z jego autem, wpuszczeniem przed siebie innego pojazdu, czymś w tym rodzaju. Zawsze tak było. Pod wieloma względami ona i Matt tak bardzo się od siebie różnili, że szaleństwem był fakt, iż tworzyli parę. Ale od zawsze miała do niego słabość i nadal potrafiła wskazać dokładny moment, kiedy zaczęła się zakochiwać...

To było nieco ponad cztery lata temu, w kwietniu. Pewnego sobotniego wieczoru Maeve leżała skulona na łóżku Davida, na wpół drzemiąc, kiedy nagłe coś ją wybudziło. Chwyciła się za nadgarstek, aby zerknąć na zegarek.

– Kurde mol, David, jest wpół do dziewiątej. Wstawaj! Kto idzie pierwszy pod prysznic?

– Chwileczkę. – Zlekceważył jej ożywienie. – Zwolnij na chwilę.

– Ale inni będą czekać! Jeśli nie zaczniemy się zbierać, może nawet nie zdążymy na koncert.

– Spokojnie – powiedział uspokajająco. Patrzył jej prosto w oczy, a ona poczuła, że udziela jej się jego spokój.

– Spokojnie – powtórzył. – Pięć czy dziesięć minut nie zrobi żadnej różnicy.

– Okej – rzekła i odetchnęła głęboko.

– Okej.

David i Maeve. Maeve i David. Można było powiedzieć, że Goliat to jedno wielkie biuro matrymonialne. Firma zatrudniała ponad dwieście osób, z których większość była przed trzydziestką i miała w zwyczaju tworzyć duże grupy i robić wspólnie „galwayowskie rzeczy”, takie jak chodzenie na występy i festiwale i wspieranie akcji charytatywnych. Jeśli ktoś ci się

podobał, dopilnowywałeś tego, aby wylądować w tej samie grupie, co ta osoba. Prawdziwe randki, na przykład kolacje tylko we dwoje, były wyszydzane, a przynajmniej wśród pszczół robotnic. Oczywiście inaczej sprawa się miała w przypadku kadry zarządzającej – kierownicy zespołów, jak Matt i Nat, to była zupełnie inna rasa: krótkie wypady do wiejskich hotelików, masaże dla par, obsługa hotelowa i takie różne bzdury. Ale nie osądzano ich; właściwy człowiek na właściwym miejscu i tyle.

Krótko po rozpoczęciu stażu w Goliacie do Maeve dotarło, że jej koledzy z pracy są gorącymi zwolennikami „dawania". Nie zdążyła się dobrze dowiedzieć, gdzie stoi automat z kawą, a już została wciągnięta do komitetu organizującego występ komediowy na rzecz bezdomnych. Jego siłę napędową stanowił David. On i inni ochotnicy nakłonili kilku znanych artystów komediowych, aby wystąpili dla pracowników Goliata – zrzekając się honorariów, rzecz jasna – a całe zyski miały zostać przekazane organizacji dobroczynnej. W ciągu następnego miesiąca, kiedy Maeve poświęciła wiele wieczorów na dopinanie tego występu na ostatni guzik, stała się świadoma zainteresowania Davida, które z czasem coraz bardziej przybierało na intensywności. Zauważyła także, że kilka innych dziewczyn z komitetu jest zazdrosnych o to zainteresowanie – i mimowolnie nieco jej to schlebiało. David zjechał sporą część świata, był bardzo inteligentny i żarliwie sprzeciwiał się wszelkim niesprawiedliwościom, no i był nieco starszy od reszty, a jednak to ją polubił. Jej poprzedni chłopak, Harry, którego poznała na studiach w Galway i z którym wyjechała do Australii, był fajny i w ogóle, ale nie imponował jej w takim stopniu jak David.

W końcu nadszedł wieczór występu i wszystko poszło świetnie, dzięki doskonałej organizacji. Zebrano kilka tysięcy euro i po wszystkim, kiedy

komitet zakończył świętującą popijawę, Maeve zrobiła to, co od tygodni wiedziała, że zrobi tej nocy: poszła do domu razem z Davidem.

No i wtedy się zaczęło. Byli razem. Mieli dużo ze sobą wspólnego. Rowery. Piwo. Zespoły berberyjskie. Surfing w Clare. Humus w lodówce. Powieści Barbary Kingsolver. Skłonności do altruizmu. David był najbardziej pryncypialnym, autentycznie najlepszym człowiekiem, jakiego Maeve znała.

– No dobrze, idę pod prysznic – oświadczyła.

Ale David przytulił ją mocno do siebie i owinął wokół palca jeden z jej loków.

– Nie idźmy.

– Co? Gdzie?

– Nie wychodźmy dzisiaj.

Zaskoczyło ją to.

– A co mielibyśmy robić?

– Sporo przychodzi mi do głowy.

Ale całe popołudnie spędzili w łóżku. Jak na razie miała dosyć.

– Nigdy nie widziałam Fanfare Ciocârlia – powiedziała Maeve. – Chcę iść.

– A ja chcę zostać w domu z tobą.

– Zapłaciliśmy za bilety. – Pomyślała, że to powinno zadziałać. Nie lubił marnotrawstwa.

– To tylko pieniądze.

– Tak, ale...

– Okej. – Westchnął. – Wolisz być z ludźmi, z którymi pracujesz, niż ze mną.

– David... – Ale on zdążył już zejść z łóżka i szedł do łazienki.

A na koncercie – grupa cygańskich muzyków grająca na tubach motywy z filmów o Jamesie Bondzie – na kogo wpadła? Na Matta! Szaleńczo podskakiwał i tańczył razem ze wszystkimi! Zaskakujące, gdyż nie licząc piątkowych wypadów do pubu, kierownicy zespołów raczej się nie bratali z podwładnymi. Ale zaskoczenie należało do kategorii miłych, ponieważ wszyscy przepadali za Mattem. Każdy chciał trafić właśnie do jego zespołu. Zgoda, to była praca, często frustrująca i niespokojna, ale dzięki temu, że Matt zawsze zachowywał się pogodnie, było fajnie.

– Matt! – wrzasnęła Maeve, próbując przekrzyczeć muzykę. – Nie wiedziałam, że lubisz coś takiego.

– Ja też nie, ale to cholernie dobre!

– Gdzie Nat?

– To nie w jej stylu.

No i dobrze, że przyszedł bez niej, a jeszcze więcej uroku dodawało mu to, że był taki... był... cóż, był kiepskim tancerzem. Podskakiwał i szalał jak jakiś szczeniak, nie bojąc się, że zostanie wyśmiany. To było urocze. Z sercem zmiękczonym jego słodyczą, Maeve pomyślała: „Matt... ”

To wskakiwanie i wyskakiwanie z basenów ich wspomnień – jestem w stanie to robić, ale nie tak, jak bym chciał. Nie mogę po prostu wskoczyć do ich przeszłości, znaleźć to, co chcę, i wyskoczyć, zostawiając wszystko w stanie nienaruszonym. Już jestem źródłem fal, niepokoju, zdenerwowania. Wkręcam się do ich życia, pokazuję się w snach, balansuję na granicy ich myśli. W kolejnych dniach i tygodniach wszyscy przyznają, że czuli, iż coś się wydarzy. Że wiedzieli.

Dzień 60…

Fionn znajdował się nieco ponad sto pięćdziesiąt kilometrów dalej w hrabstwie Monaghan, ale między nim a Jemimą istniała tak silna więź, że wystarczyło się do niej doczepić, jak trolejbus do przewodu elektrycznego, i śmignąć przez eter. Znalazłem go w parterowym białym domu, zbudowanym na kamienistym terenie, trzy kilometry za średniej wielkości miastem, które nazywało się Pokey. Zachwycająco piękne miejsce. Dom otulała mgła, ale słońce nie dawało za wygraną: świeciło intensywnie, by ją przegonić, więc budynek wyglądał jak otoczony aureolą.

I, o rety, cóż za wibracje emanowały z tego mężczyzny! Tak silne, że aż kolorowe: w odcieniach złota charakterystycznego dla uroku osobistego, czekoladowego brązu charakteryzującego prostolinijność – i coś jeszcze... pasmo srebrzyste niczym rtęć, widoczne tylko wtedy, gdy nie patrzyło się prosto na nie.

Przyznaję. Nie potrafiłem go tak do końca odczytać. A przynajmniej jeszcze nie teraz.

Tyle jednak mogę wam powiedzieć: jego włosom przydałoby się pewnie mycie. A dżinsom pranie. A blatom w kuchni kontakt ze ścierką. Nie były strasznie brudne,o nie, po prostu nie do końca czyste. Wyglądało na to, że Fionn nieufnie podchodzi do kwestii higieny. Podświadomie podejrzewał, że to sztuczne pojęcie, wynalazek Procter & Gamble, mający na celu sianie w ludziach postrachu i nakłanianie ich do zakupu niepotrzebnych środków chemicznych. Często powtarzał, że kilka zarazków nikogo nie zabije. (Z wyjątkiem, rzecz jasna, tych, których zabiją.)

Napychał usta łyżkami musli, a jednocześnie zakładał skarpetki i siorbał z kubka herbatę. Było pięć po drugiej, na pewno się spóźni do pracy.

Fionn miał więcej klientów, niż miał szansę obsłużyć; większość to kobiety, rozrzucone wokół Pokey niczym małe, czerwone, świecące na mapie punkciki.

Fionn mieszkał sam – wystarczyło spojrzeć na jego lokum. Pościel z domieszką poliestru, poduszki tak stare, że prawie płaskie, a sofie brakowało sprężystości. Wszystko było funkcjonalne, nagie, niemal smutne.

Przełknął ostatnią łyżkę musli, następnie przechylił miskę nad głową i wlał do ust resztki mleka. Sygnalizując wielki finał śniadania, rękawem otarł mleko z brody, po czym założył kurtkę i sztyblety – mało praktyczne obuwie dla ogrodnika – i wyszedł.

W ogrodzie schylił się, złapał kilka długich zielonych liści i wyrwał z ziemi pięć dużych, pomarańczowych marchewek. Cały teren wokół domu został przekształcony w ogród warzywny. Była tam szklarnia z pomidorami, wsparte o paliki maliny i spore poletko z ziemniakami. Strząsnął z marchwi większość ziemi, rzucił je na miejsce dla pasażera swego bardzo leciwego (trzynastoletniego) samochodu i ruszył w stronę miasta.

Dzień 60…

Katie spała aż do południa i obudziła się sama we wspaniałym łóżku Conalla w ślicznej sypialni Conalla w olbrzymim domu Conalla. Magiczna kołdra, która zdawała się wypchana najdelikatniejszym ptasim mleczkiem, otulała ją z bezgraniczną miłością. „Wszystko w porządku – szeptała Katie – wszystko w porządku”. Ściana naprzeciwko, w delikatnym odcieniu o nazwie Nieśmiała Śliwka, uśmiechała się do niej. Wysoki sufit patrzył na nią łagodnie, mówiąc: „To dla mnie zaszczyt być twoim sufitem”. Jedwabne zasłony szeleściły i poruszały się lekko, pytając, czy jest gotowa na

wpuszczenie do sypialni promieni słonecznych. Ten pokój był boski. Kiedy ona i Conall rozstaną się – a wszyscy byli pewni, że tak się stanie – to takich rzeczy właśnie będzie jej brakować najbardziej.

Tego i „dopieszczania".

Wszystkie znajome kobiety (z wyjątkiem matki) domagały się szczegółowych relacji z tego, jak Conall radzi sobie w tym swoim wspaniałym łóżku.

– Dobrze – zawsze mówiła Katie. – Fajnie.

– Dobrze? Fajnie? A nie nieziemsko?

– Dobrze, fajnie.

– Ale jest taki przystojny, taki silny, taki posępny... Sądziłam, że będzie fantastycznie.

– Na koniec dnia – Katie udało się wyćwiczyć cudownie beztroskie wzruszenie ramion, towarzyszące temu zdaniu – jest tylko człowiekiem.

Nikomu nie podobała się taka odpowiedź. Ale, tak myślała sobie Katie, skoro wszystkie obecne w jej życiu osoby życzliwie radziły, aby zachowała pewną niezależność od Conalla, nie powinny protestować, kiedy rzeczywiście to robiła. (Albo przynajmniej udawała. Owszem, starała się nie dać się przytłoczyć silnej osobowości Conalla i olbrzymiemu materacowi, ale dopieszczanie stanowiło ten jeden obszar, któremu oddawała się całą sobą. Miała trzydzieści dziewięć lat – cóż, no dobrze, prawie czterdzieści – i była kobietą u szczytu możliwości seksualnych!)

Kiedy Katie schodziła po schodach, gołe deski wydawały się ostre i pełne drzazg, a przykurzone ściany wyglądały jak otwarte rany. Nudząc się w pewien weekend, Conall postanowił zerwać ze ścian tapetę, ale szybko dał sobie spokój, kiedy odkrył pod spodem siedem czy osiem starszych warstw. W korytarzu na podłodze stały bezładnie opierające się o siebie

obrazy, a wiele skrzynek nadal nie zostało otworzonych. Nie licząc sypialni i łazienki, cały dom znajdował się dokładnie w takim stanie, w jakim zastał go Conall, kiedy wprowadził się przed trzema laty. Śliczna sypialnia zawdzięczała swój urok poprzedniczce Katie, dziewczynie o imieniu Saffron, która miała doskonały gust; niestety Conall rozstał się z nią, nim zdążyła się zająć innymi pomieszczeniami. (Wystrój łazienki był dziełem Kym, dziewczyny sprzed Saffron, ale zdaniem Katie Kym nie miała daru Saffron.)

Najgorsza była kuchnia: pomarańczowo – żółte linoleum w geometryczne wzory i rozpadające się meble w kolorze musztardowym. Na nieużywanym stole leżały porozrzucane broszury niemieckich firm, producentów eleganckich, fantastycznych kuchni, oraz próbki marmuru, kamienia i różnych rodzajów drewna, które Conall zamówił, ale nigdy się nie zabrał za podjęcie decyzji. Czasami spojrzenie Katie zahaczało o to wszystko – zwłaszcza o szerokie deski ze stylizowanego na lipę dębu – i niemal składała się jak scyzoryk z pragnienia i frustracji. Mogłaby uczynić to miejsce takim ślicznym! Cóż, prawdę powiedziawszy, zrobiłby to każdy z dostępem do pieniędzy Conalla.

Odwróciła się od pięknego drewna, bo przyszła tu po coś do jedzenia. W żadnej z szafek Conalla nie będzie niczego porządnego, ale zawsze kryła się w nich czekolada, całe mnóstwo tabliczek, wiele paczek kolorowych żelków, no i Katie mogła mieć pewność, że w zamrażalniku znajdzie oszałamiającą ilość lodów. Miała w zwyczaju otwierać drzwiczki i przyglądać się im z podziwem. Leżały tam półlitrowe opakowania lodów Ben & Jerry, być może dwa albo nawet trzy, oczywiście w różnych smakach, no i sześć albo siedem pojedynczych lodów: świderki Galaxy, rożki Cornetto, lody Iceberg w kubeczkach i te z cukierkami Maltesers, i

jeszcze – co było najlepsze – organiczne lody Green & Black's z podwójną czekoladą. Wszystkie, rzecz jasna, w rozmiarze XL. Nie dla Conalla Hathawaya te małe, zabawne porcje. Katie zgadzała się z tym: lody, które można zjeść w dwóch kęsach – co to za przyjemność?

Ale kiedy następnym razem znajdzie się w jego kuchni – a możliwe, że całkiem niedługo, być może za kilka nawet dni – wszystkie te lody znikną i zostaną zastąpione zupełnie inną, niemniej jednak imponującą mieszanką.

Cukier, Conall funkcjonował właśnie dzięki niemu. Był jedynym znanym jej mężczyzną, który jadł desery. Ale dzięki męskiemu metabolizmowi spożywanie cukru nie kosztowało go tak wiele, jak ją. Jego uda były twarde i umięśnione, zero galaretowatości, nie tak jak w jej przypadku. Boże, ależ mu zazdrościła.

Dzisiaj jednak nie zdążyła dotrzeć do lodówki. Na brzydkim, pooranym ostrzem noża blacie rozłożono prezenty. Butelkę szampana z karteczką samoprzylepną z napisem ». Wypij mnie"; kilogramowe pudło czekoladek Godiva mówiące „Zjedz mnie"; ogromny bukiet róż mówiący „Powąchaj mnie"; i różowe pudełko ze zwiewną bielizną mówiące „Włóż mnie".

Zgarnęła wszystko i zaniosła do łóżka, smutna, że nie ma tu Conalla. Zastanawiała się, jak radzą sobie Finowie i czy Conall wielu już zwolnił.

Nadal miała w pamięci ten okres, kiedy cięcia w Apex zaczęły się na poważnie...

Conall zaczął od parteru, ostatecznie pozbawiając pracy jedną piątą Działu Sprzedaży, a potem spokojnie szedł coraz wyżej. Na pierwszym piętrze jedna czwarta Księgowości została rzucona w otchłań bezrobocia. Następny będzie Dział Prawny na drugim piętrze. A tymczasem na trzecim,

ostatnim, PR i Marketing kuliły się przestraszone i pobladłe, czekając na odgłos spadającego topora ich kata.

Budynek został opanowany przez, jak to ujął Danno, Orków – ludzi dostarczonych przez Sony. Zajmowali każde możliwe biurko, ślęczeli nad umowami, dokonując szacunków dla Conalla Hathawaya, na którym spoczywała cała odpowiedzialność.

– To Śiwa, niszczyciel świata – orzekł Danno i choć raz Katie nie uznała, że przesadza. Nie tylko pracownicy obrywali toporem; rozprawiano się także z tymi promowanymi przez wytwórnię artystami, którzy odnosili najmniejsze sukcesy. Decyzje jednego człowieka niszczyły niezliczoną ilość ludzkich istnień.

– Jak taka praca musi wpływać na jego duszę? – zastanawiała się Katie.

– Duszę? – prychnął Danno. – Conall Hathaway nie ma duszy.

– Zaprzedał ją diabłu – uzupełniła Lila – May.

– Chciałaś powiedzieć, że diabeł zaprzedał swoją duszę jemu – skorygował Danno. – Potem Conall zredukował w niej diabelskość i sprzedał z nieprzyzwoicie dużym zyskiem. No ale, Katie Richmond, czym ty się przejmujesz? Jesteś jedyną osobą, która nadal będzie mieć pracę, kiedy to wszystko się skończy.

Dziwna sprawa, ale Conall zdawał się zafascynowany Katie. Na początku nikt w to nie wierzył, potem uwierzono, ale nie rozumiano. Dlaczego Katie, skoro pracowało tu tyle młodszych, bardziej seksownych dziewczyn?

Ale Conall nie wykazywał żadnego nimi zainteresowania. Choć wynajęto go po to, aby zracjonalizować funkcjonowanie Apex w całej Europie, nieproporcjonalnie dużo czasu spędzał w filii dublińskiej i pojawiał

się niespodziewanie, siejąc postrach, by krótko potem zaglądać do Katie z jakimś mało ważnym pytaniem, na które Orkowie bez problemu mogliby odpowiedzieć. Przez to przyciąganie do siebie Conalla Katie naraziła się współpracownikom.

– Rozmawiałam akurat przez telefon z kumpelą z Calgary – rzekła Lila May – kiedy uniosłam głowę i zobaczyłam obok swego biurka Kata Hathawaya. Miał być w Amsterdamie. Mało nie dostałam zawału! Tylko dlatego, że on miał ochotę na cogodzinne zerknięcie na cycki Katie.

Lila – May, mała śliczna lisica, niezbyt dobrze czuła się przyćmiona przez Katie. Tamsin też nie. Z kolei Audrey to nie przeszkadzało.

– Jestem Conall Hathaway i zawsze dostaję to, czego chcę! – Danno zerwał się z krzesła i zaczął paradować butnie po gabinecie. Chwycił Katie, przechylił do tyłu, zbliżył usta do jej ust i nawet położył prawą dłoń na jej lewej piersi.

– Muszę cię mieć – warknął. – I będę cię mieć.

– Przestań, Danno! – Katie wyrwała się z jego objęć.

– Na litość boską, skończ z tym.

– Dlaczego ty? – zastanawiała się głośno Lila – May, mierząc Katie spojrzeniem godnym rentgena. – No bo przecież... dlaczego ty?

Katie była tym równie zaskoczona, jak cała reszta. Mężczyźni pokroju Conalla, w oczywistych garniturach, z oczywistymi zegarkami i z oczywistą aurą władzy, umawiali się z oczywistymi dziewczynami. Ona była za stara, zbyt posiniaczona przez życie, zbyt udziasta dla takiego kogoś.

– Nie wiem, ale kiedy żyje się wystarczająco długo, nic już nie jest cię w stanie zaskoczyć.

– Nie jesteś aż tak stara – rzekł Danno.

– Czemu więc wszyscy zachowujecie się tak, jakbym była?

– Prześpisz się z nim, aby uratować nasze posady? – zapytał George.

– To nie uratuje naszych posad.

– Aha! A więc myślisz o przespaniu się z nim!

Cóż, oczywiście, że myślała. Sądzili, że jest nie tylko stara, ale i głupia?

Ale Conall Hathaway masowo zwalniał ludzi – jej współpracowników, a za kilka dni prawdopodobnie zwolni nawet Katie. To równałoby się kolaboracji.

– Myśli! Myśli! – zapiał Danno. – Ale przecież nim gardzisz.

Owszem, rzeczywiście gardziła nim i jego pracą, ale, co interesujące, odkąd dał jasno do zrozumienia, że uważa ją za niezwykle atrakcyjną, pogardzała nim jakoś mniej. Nie dlatego, że należała do tych kobiet, które automatycznie interesują się mężczyzną tylko dlatego, że on zainteresował się nią, ale ponieważ ją zaskoczył. Conall mógł, co jej koledzy z lubością podkreślali, wystartować do młodej, ponętnej Lili – May albo młodej, niemal – równie – ponętnej Tamsin, albo młodej, nie – bardzo – ponętnej – ale – i – tak – bardziej – ponętnej – od – Katie Audrey. On jednak wzgardził nimi i ruszył prosto w kierunku starszej kobiety. Jak coś takiego mogło nie zrobić wrażenia?

I bez względu na to, co twierdził Danno, Conall Hathaway nie miał zimnych i martwych oczu zabójcy. Z całą pewnością nie przez cały czas. Czasami jego oczy doprowadzały ją do...

– Lepiej uważaj – rzucił ostrzegawczo Danno. – Jesteś wysuszonym na wiór leśnym runem, które od roku nie widziało ani kropli deszczu. Jeśli pozwolisz Conallowi Hathawayowi wzniecić w sobie ogień, może się to przerodzić w piekło, które pochłonie nas wszystkich.

Choć było to irytujące, Danno mówił prawdę. Już od roku nie

uprawiała seksu. (Zerogamia, tak to nazywała jej przyjaciółka Sinead.) Ważne – ba, wręcz konieczne – było, aby nie zachowywała się jak stara panna w średnim wieku, desperacko spragniona męskiego dotyku.

Bo nią nie była.

Dzień 60...

Fionn jechał zbyt szybko, trzymając kierownicę jedną ręką. Po dziesięciu minutach zatrzymał się na podjeździe dużego parterowego domu w stylu rancho i porwał z siedzenia pęczek marchwi.

– Jill! – zawołał, pukając w szklane drzwi na tyłach domu. – To ja, Fionn.

(Jill, spięta kobieta, która tak wiele energii oddawała innym – czwórce dzieci, mężowi i matce – staruszce – że dla niej nie zostawało prawie nic. Z wyjątkiem cienkiej linii pulsującego strachu jej siły witalne były tak wyczerpane, że przez chwilę sądziłem, że nie żyje.)

Na dźwięk głosu Fionna rozbłysła przypływem energii. Fionn był jej prezentem dla samej siebie, częścią sekretnej umowy, którą zawarła, aby pozostać przy zdrowych zmysłach. Kiedyś jedyną przyjemność stanowiła dla niej wieczorna pigułka nasenna, zapewniająca siedem godzin błogosławionej nicości, dopóki Tandy, piętnastoletnia córka, nie ukradła recepty i nie przedawkowała. Tandy natychmiast wszystkim powiedziała, co zrobiła, było więc mnóstwo czasu na płukanie żołądka, ale dla Jill oznaczało to koniec pigułek nasennych. Matka nastolatki nie mogła mieć w domu dosłownie niczego, ani tuszu do rzęs, ani botków do kostek, ani noży, ani środków uspokajających; wszystko zabierały, egoistyczne małpy! Gdy tylko

Tandy wróciła ze szpitala, zaszyła się w swoim pokoju z nożem i wykonała na przedramieniu kilka eksperymentalnych nacięć – czytała o samookaleczaniu w „Take a Break” i pomysł przypadł jej do gustu – tyle że ku jej zdumieniu okazało się to strasznie bolesne. Ta dziewczyna w gazecie mówiła, że nie czuła niczego, że była całkowicie odrętwiała. Podczas gdy Tandy gwałtownie szukała kolejnego dramatycznego sposobu zwrócenia na siebie uwagi, myśląc, że może powinna zajść w ciążę, Jill musiała sobie radzić bez pigułek nasennych, tej obietnicy zapomnienia na koniec każdego dnia.

Ale wtedy poznała Fionna i nikt nie mógł jej go zabrać. Z wyjątkiem być może samego Fionna. Cieszył się takim wzięciem, że gdyby tylko chciał, mógłby ją porzucić dla kogoś innego.

Spóźnił się czterdzieści minut – nigdy nie przyjeżdżał o czasie i myślała już, że może nadszedł ten dzień, w którym w ogóle się nie pojawi – ale w jego obecności strach Jill zniknął jak ręką odjąć.

– Wejdź. – Przymknęła oczy na grudki błota, które naniósł na czystą drewnianą podłogę.

Fionn położył marchewki na kuchennym stole.

– Dziesięć minut temu wyrwane z grządki.

– Marchewka! – Jill przyjęła prezent z takich samym zdumieniem i zachwytem, jakby to były brylanty. – Z kawałkami twojego ogrodu!

– Śliczna i słodka – odparł z promiennym uśmiechem.

– Zresztą tak jak i ty. No dobrze, muszę ci coś powiedzieć. Na jakiś czas wyjeżdżam do Dublina.

– To... to z powodu telewizji? – Jill wstrzymała oddech.

Wszyscy w Pokey słyszeli o tym, co się wydarzyło, kiedy Grainne, siostra Carmine’a Butchera, ta, która „pracuje w telewizji”, przyjechała na

chrzciny najmłodszego dziecka brata; jak poznała Fionna i uznała, że kryje się w nim wystarczająco dużo potencjału, aby miał własny program o ogrodnictwie; jak kilka dni później srebrne bmw pojawiło się przed małym białym domem Fionna i zabrało go do Dublina, gdzie został poddany zdjęciom próbnym, testom z prompterem, rozmowom z firmą producencką, no i tysiącom innych rzeczy.

– Z powodu telewizji – potwierdził Fionn. – Kiepska pora roku na wyjazd, najbardziej płodny miesiąc w ogrodzie, ale w sumie mogę spróbować i zobaczyć, jak to się potoczy.

– Och... – Jill już czuła się opuszczona, no ale z drugiej strony niezaprzeczalny prestiż łączył się z faktem, że twój ogrodnik ma własny program telewizyjny. – Doskonale ci pójdzie, wszyscy tak uważają.

– Przestań. – Z zakłopotaniem przestąpił z nogi na nogę.

– Nie zapomnij o mnie, kiedy staniesz się wielką gwiazdą.

– Nie będę wielką gwiazdą. To tylko program o ogrodnictwie. No i wyjeżdżam ledwie na niecały miesiąc.

– Będą musieli umieścić cię w hotelu.

– Nie. Zatrzymam się u Jemimy.

– Nie opłacą ci hotelu? – Podziw Jill nieco przygasł.

– Opłaciliby. Ale wolę być z Jemimą.

– Naprawdę? – Poczuła rozczarowanie. Nie żeby miała coś przeciwko Jemimie, była całkiem miła jak na uszczęśliwiającą innych na siłę protestantkę, tyle że miała obsesję na punkcie hoteli. Ulubiona fantazja Jill wyglądała tak: jej dom zapada się pod ziemię, wina leży po stronie firmy budowlanej, więc nie ma problemu z ubezpieczeniem, i podczas jego odbudowy Jill musi mieszkać w hotelu. Uwielbiała hotele. Można bałaganić do woli – zostawić ręczniki na podłodze, zabrudzić pościel podkładem,

wylać keczup na wykładzinę – i wszystko to pozostaje problemem jakiejś innej osoby. (Czasami, kiedy Jill miała kiepski dzień, fantazja ta zawierała wątek dodatkowy, w którym czworo dzieci, mąż i matka zostali uwięzieni w zapadniętym domu. Nie żywiła do nich żadnej urazy, po prostu nie chciała ich w tym swoim hotelu.)

– Biorę się do roboty. – Fionn pokazał na widoczny za oknem ogród. – Od mojej ostatniej wizyty sporo wszystko urosło.

– Nie wyjeżdżaj na zbyt długo. Ogród będzie za tobą tęsknił – rzekła Jill. – I ja też – dodała śmiało.

– Ja za tobą również – odparł Fionn, obdarzając ją drugim promiennym uśmiechem. Flirciarz, straszny flirciarz.

Przez zapierającą dech w piersiach chwilę Jill zastanawiała się, czy Fionn może...

Ale nie.

Fionn flirtował ze wszystkimi – robiło to nawet jego zdjęcie – ale nie zadawał się z mężatkami. To nie było w porządku. Ani warte zachodu. Nie chciał, aby wkurzeni mężowie pojawiali się w jego domu i demolowali ogród. (Raz tak się stało, nieporozumienie. Żona Francy'ego Higginsa urywała się na popołudniowe schadzki z Carmine'em Butcherem, ale Francy uznał, że jej kochankiem musi być Fionn – no bo Fionn był zabójczo przystojny, a Carmine wyglądał trochę jak gwiazda horrorów. Fionn zdołał ugłaskać Francy'ego, tyle że ten zdążył kopnąć w szklarnię z pomidorami i rzucić całą serią ziemniaków Fionna w jego samochód. Generalnie nie stało się nic złego, ale ten incydent zdenerwował rośliny, a Fionn nie mógł na to pozwolić. Ziemniak nie prosił się o to, aby być ziemniakiem; nie prosił się o to, aby przedwcześnie wyciągnięto go z ziemi i rzucono nim o szybę.)

Nic dziwnego, że taki miałem problem z odczytaniem Fionna: był

człowiekiem pełnym sprzeczności. Pragnął, aby kochał go cały świat – ale nie był kobieciarzem, a przynajmniej nie w ścisłym znaczeniu tego słowa. Wierzył w monogamię. Nawet jeśli nie zawsze mu się ona udawała.

Dziewczyny pojawiały się w życiu Fionna i wyrażały zainteresowanie staniem się jego lepszą połową, i jeśli były wystarczająco miłe i atrakcyjne, on chętnie na to przystawał. Zdarzało się jednak, że jakaś miła i atrakcyjna dziewczyna pojawiała się i wyrażała zainteresowanie staniem się jego lepszą połową, ale po zbadaniu faktów okazywało się, ze Fionn już ma lepszą połowę. W takich przypadkach Fionn uznawał, że najlepiej będzie, jeśli dziewczyny załatwią to między sobą. Czasem próbowały wciągnąć go do ostatecznej rozgrywki, każąc mu wybrać, on jednak trzymał się od czegoś takiego z daleka. Gdyby którąś wybrał, ta druga byłaby na niego zła, a on nie lubił, gdy ludzie są na niego źli. Prawda była taka, że czuł, iż bez względu na ostateczne rozwiązanie tej sprawy on i tak będzie zadowolony – nowa dziewczyna, stara dziewczyna, bez względu na wynik wszystko się ułoży.

Jednak czasami wygrywającej dziewczynie przychodził do głowy pomysł, że ona i Fionn wezmą ślub, porzucą tę kawalerską norę z poliestrową pościelą i przeprowadzą się na zaciszną uliczkę w Pokey, gdzie sofy mają porządne sprężyny, a domy centralne ogrzewanie. Dziewczyna już w wyobraźni przemieniała Fionna w porządne, dochodowe przedsiębiorstwo, które wystawia faktury i ma czystą nową furgonetkę z wymalowanym na boku numerem telefonu. I zazwyczaj wtedy się przekonywała, że Fionn jest łatwy w obejściu, ale tylko do pewnego momentu. Kiedy coś miało dla niego wystarczająco duże znaczenie, potrafił zaprotestować.

Dzień 60…

Na ostatnim piętrze domu przy Star Street 66 zauważyłem, że Sprawny Conall nie zjawił się rankiem, aby przed wylotem do Helsinek zawiesić lustro. Nadal stało na podłodze. Z niewiadomego powodu robię się zdenerwowany. Pojawią się problemy – tego akurat jestem pewien – jeśli po powrocie Katie do domu lustro nie będzie uśmiechać się ze ściany.

O Boże, właśnie idzie...

Postawiła torbę i zdjęła kozaki, po czym udała się prosto do salonu, w poszukiwaniu swego lustra.

Najpierw – być może naiwnie? – spojrzała na ścianę, a kiedy nie zobaczyła go tam, opuściła wzrok na podłogę. No i stało, dokładnie tam, gdzie wczoraj, i oparte o komodę spoglądało, a przynajmniej spoglądałoby, gdyby mogło, przepraszająco.

Długo się w nie wpatrywała, zaciskając usta w cienką linię, jakby ssała coś nieprzyjemnego.

Katie nieczęsto wpadała w gniew, ale teraz rzeczywiście to zrobiła.

Nie chciałam platynowego zegarka, tak sobie pomyślała. Przy nim prezenty pozostałych gości wyglądały jak jakiś żart (od matki dostała chlebak). Nie chciała, aby Conall płacił za wczorajszą kolację za wszystkich dziesięcioro gości, ponieważ każdy mężczyzna w jej rodzinie był przewrażliwiony na punkcie zamożności Conalla. (Niejednokrotnie słyszała, jak jej tata mruczy pod nosem o „popisujących się draniach”,

nawet jeśli potem się tego wypierał.) Jedyne, czego pragnęła od Conalla na urodziny, to spełnienie czynionych od siedemnastu dni obietnic i zamontowanie w ścianie kołka, tak żeby mogła powiesić nowe lustro. Pokazała mu gdzie, zaznaczyła to miejsce długopisem, a on z pełnym

przekonaniem oświadczył, że wpadnie tu rano przed wylotem do Helsinek i załatwi sprawę. Obiecał, że zajmie to raptem pięć minut.

W jego ustach brzmiało to tak prosto, że zaczęła się zastanawiać, czy sama nie powinna spróbować, ale nie miała wiertarki i nie chciała jej mieć, a nie zamierzała zaopatrywać się w różowe skrzynki na narzędzia, połyskujące kołki i tego typu rzeczy.

Conall mógł kogoś do tego zorganizować, stolarza czy jakąś złotą rączkę – kiedy kupiła lustro, to właśnie zaproponował – ale ona uparła się przy swoim. Jej lustro miało zostać powieszone dzięki wysiłkowi tylko i wyłącznie Conalla. Pragnęła z jego strony gestu, podarowania czasu i energii, czegoś, czego nie da się kupić.

Złapała za telefon i szybko wystukała wiadomość.

Lustereczko, powiedz przecie, kto na podłodze zostawiłże cię?

Była mocno rozsierdzona, och, jak mocno. Conall to egoistyczny kłamca, pomyślała. Conall to drań, na którym nie można polegać. Te myśli były szybkie, rozgorączkowane i kolorowe. Wszystkie niedotrzymane przez Conalla obietnice śmigały dokoła niczym wielobarwne latające talerze i to na siebie była najbardziej zła. W ogóle nie powinna była angażować się w znajomość z tym mężczyzną.

Osiem dni roboczych po swoim pojawieniu się w Apex Conall wezwał do siebie Katie. Wiedziała, co się wydarzy, i miała mnóstwo czasu, aby przygotować odmowę. Tyle że jej nie przygotowała.

Zaczął od rozmowy na temat pracy.

– Mam wieści – rzekł.

– Zamierzasz sprzedać mnie na eBay?

– Nie. Artyści zdali mi raport. Przepadają za tobą. Twierdzą, że im matkujesz. Zatrzymasz swoją posadę.

– A co z moim zespołem?

– Oni także zatrzymają swoje posady.

– Wszyscy?

– Wszyscy.

– Pensje bez zmian?

– Pensje bez zmian.

Patrzyła na niego podejrzliwie.

– Nie ma haczyka – oświadczył. – Wszystko zostało już zatwierdzone. Właśnie są sporządzane nowe umowy o pracę i za godzinę znajdą się na waszych biurkach. No dobrze, umówisz się ze mną?

Spuściła wzrok i nie odezwała się ani słowem. To była chwila, w której własne korzyści ścierały się z lojalnością wobec tych, których zwolniono.

– Mogę cię zabrać na balet? – usłyszała jego słowa.

Od razu uniosła głowę.

– Boże, nie. Nudzi mnie tak śmiertelnie, że aż chce mi się płakać, a kiedy tancerki stają na tych swoich pointach, ze współczucia koszmarnie bolą mnie duże palce u stóp.

Przez jego twarz przebiegł uśmiech, być może pierwszy, który u niego widziała.

– Bolą cię palce? – Wpatrywał się w nią, jakby była czymś zarówno rzadkim, jak i fascynującym. – Rozumiem. No to może opera? Miałabyś ochotę?

– Nie, nie, nie. Nie znoszę opery. W pracy muszę słuchać zbyt dużo muzyki. Nie znoszę wszystkiego.

– Wszystkiego? – Wydawał się zdumiony. – Nawet Leonarda Cohena?

– Nawet Leonarda Cohena.

– Chryste, jaka szkoda. Ja kocham muzykę.

– Bo jesteś mężczyzną.

Na te słowa roześmiał się. Cicho, ale jednak roześmiał.

– No więc jaką muzykę lubisz? – zapytała.

– Operę, naturalnie, ale właściwie to każdą. Może z wyjątkiem soulowych ballad z lat osiemdziesiątych.

– A ja lubię ciszę.

– Ciszę? – Pokręcił ze zdumieniem głową.

Katie znajdowała się w wysoce niezwykłym położeniu, kiedy każde wydobywające się z jej ust słowo uznawano za frapujące. Delektuj się tym, nakazała sobie w duchu. To wspomnienie będzie ci towarzyszyć na stare lata.

– Nie lubisz baletu, nie lubisz opery, nie lubisz muzyki. A co lubisz?

Przez chwilę się zastanawiała.

– Jeść. Spać. Pić wino z przyjaciółmi i omawiać upadki gwiazd. – Dawno minęły czasy, kiedy okłamywała mężczyznę, aby wydać mu się bardziej fascynującą.

– Jeść...? – zapytał. – Spać...? – Ponownie jego twarz rozbłysła podziwem.

Katie nie miała pojęcia, że jest aż tak interesująca.

– Zwłaszcza jeść – rzekła.

– Nie wyglądasz na miłośniczkę jedzenia.

Gdyby tylko wiedział, jaką batalię toczyła ze swoim apetytem. To cholerstwo było niczym rottweiler, ciągnęło, wyrywało się do przodu, próbowało jej uciec i zjeść wszystko w zasięgu wzroku.

– Mam osobistą trenerkę – przyznała.

– Ja też.

– Moja ma na imię Florence. Zabiera mnie na jogging w deszczu i każe robić gwiazdy na parkingu przed Tesco. Spotykamy się tylko raz w tygodniu, ale ufa mi, że sama także ćwiczę, i zżerają mnie wyrzuty sumienia, jeśli tego nie robię.

– Mój ma na imię Igor. Chodzimy na siłownię.

– Nigdy nie chciałam stać się osobą, która ma trenera osobistego – wyznała.

Nie chciała jednak także stać się osobą, która nosi dżinsy w rozmiarze czterdzieści sześć, a pozostawiona sama sobie tak właśnie by skończyła.

– Co powiesz na najbliższą sobotę? – zapytał.

– Dlaczego chcesz się ze mną spotkać? Raczej nie jestem w twoim typie.

– Nie jesteś. Ale ja... – Pokręcił głową. – Ja, ach, no wiesz, nie mogę przestać o tobie myśleć.

Spojrzała na niego błagalnie. Strasznie to było trudne.

– Tylko jedna randka – oświadczyła.

Jedna randka. Przecież nie prosił, aby za niego wyszła. Co nie znaczy, by Katie chciała wychodzić za mąż. Owszem, dawno, dawno temu pragnęła obrączki, białej sukienki i dzieci – i co z tego? Wielu rzeczy pragnęła dawno, dawno temu: nosić rozmiar trzydzieści sześć, biegle mówić po włosku, dowiedzieć się, że Brad wrócił do Jennifer. Nic z tego się nie spełniło, ale jakoś przeżyła.

– Co robiłeś w sklepie papierniczym? – zapytała. – Pamiętasz, spotkaliśmy się tam.

– Pamiętam. Ja tylko... patrzyłem na różności...

– Chcesz powiedzieć, że nie poszedłeś tam kupić niczego

konkretnego? Że jedynie rozglądałeś się?

– Rozglądałem się? Chyba można tak to ująć. Ja... lubię... sklepy papiernicze.

Jej serce przyspieszyło: mieli wspólne zainteresowanie.

– No a apteki? Też czasem się w nich po prostu rozglądasz?

– Lubię je – odparł ostrożnie.

– Ja uwielbiam. Jest w nich tyle dobrodziejstw. Mogą pomóc ci lepiej spać, poradzić sobie z niestrawnością, przyciemnić skórę...

– Zgadzam się. Ale najbardziej lubię dobre sklepy żelazne. A ty?

– No, są przydatne – przyznała z taką samą dozą ostrożności, jakiej przed chwilą użył on. Nie znosiła sklepów żelaznych, zawsze było w nich tak zimno. Ale gotowa była pokazać dobre chęci.

– Sobota? – zapytał Conall, wyczuwając, że zmiękła.

A co z ludźmi, których zwolnił? No ale przecież ma się tylko jedno życie i jedno podejście do szczęścia...

– Masz może czekoladę? – zapytała.

Wyglądał na zaskoczonego.

– Tak.

– Mam na myśli teraz, przy sobie?

Poklepał się po kieszeni.

– Tak.

– Zawsze masz przy sobie czekoladę?

– Eee... tak.

Mężczyzna, który zawsze ma przy sobie czekoladę? To pocałunek śmierci dla jej batalii z jedzeniem. Ale jak mogła nie dać się oczarować – choćby trochę – mężczyźnie, który uwielbia to, co ona?

– W porządku – powiedziała. – Sobota.

Westchnął.

– Wielkie dzięki.

Pośród rodziny i przyjaciół Katie zapanowała konsternacja. Wszyscy mieli w tej kwestii własne zdanie.

Jej przyjaciółka Sinead była uszczęśliwiona.

– Jest dla nas nadzieja! – Ona i Katie razem walczyły w okopach singielek. – Obiecaj mi, Katie, że na okrągło będziecie uprawiać seks. Zrób to dla mnie i reszty pozbawionych go singielek.

Jej przyjaciółka MaryRose wykazywała jednak większą ostrożność.

– Korzystaj z życia, to jasne, ale nie myśl, że przez to, że jesteś stara, to już nie możesz zajść w ciążę. – MaryRose, lat czterdzieści i pół, niedawno po raz pierwszy została matką. Samotną. – Niech twoją mantrą będzie: zabezpieczenie, zabezpieczenie, zabezpieczenie!

Mama Katie, Penny, oświadczyła:

– Nie wiem, czemu marnujesz z nim czas. Skoro ma czterdzieści dwa lata i nigdy nie był żonaty, raczej już nie stanie przed ołtarzem.

Najgorsze przeczucia miała Naomi, siostra Katie.

– Zetrze cię na miazgę – stwierdziła złowieszczo.

– Wcale nie – zaprotestowała Katie. – Nie mam zamiaru się w nim zakochać.

– No więc po co w ogóle zawracasz sobie głowę?

– Po prostu zabijam czas, zanim w końcu umrę.

Dzień 59

Rzeczy, których nie znosi Lydia (kolejność nie gra roli):

Uliczni artyści

Rowerzyści

Kapusta

Ludzie, którzy mówią „Wiem, co czujesz”, kiedy nie wiedzą

Jej brat Murdy

Ludzie, którzy mówią „kolacja”, kiedy mają na myśli „obiad”

Kierowcy autobusów Początkujący kierowcy Kierowcy furgonetek Akcent z okolic Cavan Walentynki Jej brat Ronnie Starzenie się

Uwaga: to nie jest pełna lista.

Dzień 59…

Maeve ledwie zdążyła usiąść za biurkiem, kiedy zadzwonił Matt.

– Zrobiłem już dobry uczynek!

– Nie chodzi o to, żeby być pierwszym, Matt. Ale się uśmiechała.

– Mnie chodzi. Chcesz usłyszeć?

– Pewnie.

– W drodze do pracy wpuściłem przed siebie samochód wyjeżdżający z drogi podporządkowanej.

– Matt! One zawsze mają związek z jazdą samochodem!

– Ale Maeve, to nie było łatwe! Musiałem przystopować jadący za mną sznur samochodów! Zaczęły na mnie trąbić bez opamiętania! Myślałem, że zostanę zlinczowany.

Nie mogła się nie roześmiać. Był taki słodki.

Trochę ponad cztery lata temu...

David i Maeve leżeli w łóżku i czytali „Observera", kiedy w środku artykułu poświęconego pomocy Afryce Maeve przyszło nagle coś do głowy.

– Hej, David, czy to nie fajne, że Matt przyszedł na wczorajszy występ?

– Matt Geary – powiedział z namysłem David. – Młody Człowiek Robiący Karierę. – W jego ustach zabrzmiało to tak, jakby to było karygodne.

– Och! Uważam, że jest naprawdę w porządku – oświadczyła Maeve. – Jest wyjątkowym szefem.

– Tak?

– Utrzymuje wysokie morale. Fantastycznie potrafi wlać w nas pewność siebie.

– Żeby więcej z was wycisnąć.

– Stawia piwo w piątkowe wieczory, nigdy nie zapomina o urodzinach... – Zawsze był pierwszy, jeśli chodzi o obsmarowywanie trudnych klientów, a gdyby Maeve miała określić Matta jednym tylko słowem, byłoby nim „ciacho". Co nie znaczy, że ona i reszta zespołu siedzieli i żartowali z „ciachowatości" Matta. Poważnie traktowali swoją pracę; coś takiego byłoby nie na miejscu.

I z całą pewnością nie zamierzała powiedzieć o tym Davidowi.

– Na okrągło śmieje się i żartuje – oświadczył pogardliwie David.

Maeve zastanawiała się, co w tym złego.

– Zresztą nieważne. Chcę z tobą porozmawiać. W najbliższy piątek macie imprezę pożegnalną Mahmouda. Ale Marta i Holly wyjeżdżają na weekend. – Marta i Holly to jego współlokatorki. – Mamy wolną chatę. No więc może urwalibyśmy się z imprezy?

Pokręciła głową.

– Nie mogę.

– Możesz.

– Nie, chodzi mi o to, że nie mogę ani iść na imprezę, ani do ciebie. W ten weekend muszę jechać do domu. W przyszłym tygodniu mam egzamin na prawko, nie stać mnie na wykupienie więcej jazd, a potrzebuję jakiegoś pojazdu do poćwiczenia.

– No tak. – Po chwili dziwnego milczenia David zapytał: – Mogę jechać? Do domu razem z tobą?

– No pewnie. – Nie wiedziała, dlaczego sama o tym nie pomyślała. – Byłoby miło. – Może. – Tyle że mama i tata są, no wiesz, rolnikami. Ludźmi ze wsi. Nie tacy błyskotliwi jak ty. Nie będziesz się z nich śmiał?

– Śmiać się z nich? – W jego glosie słychać było oburzenie. – Skąd ten pomysł?

Jak miała mu to wyjaśnić? David, erudyta, tyle wiedział, a mama i tata... cóż, ich świat był mały i nieskomplikowany. Dużą rolę w ich codziennym życiu odgrywały krowie wymiona i najpewniej nie słyszeli nawet o Darfurze, nie wiedzieliby więc, co powiedzieć, gdyby David poruszył ten temat.

– Już pora, abym poznał twoich rodziców – stwierdził David. – Tak sobie myślałem...

– Mhm?

– A może razem zamieszkamy? – Spojrzał na nią z powagą, a Maeve nagle zabrakło słów.

– ... Ach... to znaczy tylko ty i ja? Sami?

To nie byłby dla niej pierwszy raz. Cztery lata temu, kiedy Maeve pojechała do Australii z Harrym, swoim ówczesnym chłopakiem,

oczywiście mieszkali razem. Ale raczej z powodów praktycznych niż romantycznych – przybyli aż z Galway, oszczędnie gospodarowali funduszami, czuli się nieco zagubieni w obcym, nowym miejscu i potrzebowali siebie nawzajem jako emocjonalnego wsparcia. To jednak nie było prawdziwe życie. Wizy dostali na dwa lata i Maeve wiedziała, że kiedy będą musieli opuścić Australię, wszystko się zmieni. Że ich związek ma ograniczoną datę przydatności. I kiedy dobiegł końca ich pobyt na antypodach, jej i Harry'ego nic już nie łączyło. W sumie może przyjaźń – gdyby się jeszcze spotkali, tak się jednak nie stało – ale ani śladu głębszych uczuć.

Propozycja Davida była jednak czymś zupełnie innym. Poważnym. Niemal przerażającym.

– No więc? – Nadal się w nią wpatrywał, czekając na odpowiedź.

– ... chyba będę się musiała nad tym zastanowić, David.

– Zastanowić? – Wydał się skonsternowany, a zaraz potem urażony.

– To poważna sprawa – zaprotestowała.

– Nie sądzę. Jesteśmy razem już pięć miesięcy.

– Dopiero cztery.

– Cztery i pół.

– David, to wszystko wydaje się takie... szybkie.

– Szybkie?!

– Tak. Szybkie.

Przyglądał jej się w milczeniu.

– W porządku. – Machnął ręką w geście poddania.

– Przemyśl to na spokojnie. Daj mi znać, kiedy uznasz, że już nie jest tak... szybko.

Dzień 59…

– Barbarzyńca się zjawił? – zawołał Danno, gdy Katie wkroczyła do biura.

– Że co? – Boże, dopiero co weszła!

– Pytałem – powtórzył Danno z przesadną cierpliwością – czy Barbarzyńca zjawił się na twojej urodzinowej kolacji?

– Tak.

– Naprawdę? Cholera!

George zapiał radośnie.

– Mówiłem! Gdzie moja dziesiątka?

Katie patrzyła, jak Danno otwiera portfel o dziwnej fakturze – utrzymywał, że zrobiono go z ludzkiej skóry – i wręcza George'owi dziesięć euro.

– Robicie zakłady? – Czy Conall się zjawi, czy odwoła spotkanie?

– Byłem pewny, że się nie pojawi – przyznał Danno. Pokazał na ekran swojego komputera. Widniał tam wykres przedstawiający te okazje, kiedy Conall odwołał spotkanie z Katie. Na początku działo się to średnio raz na cztery razy, potem raz na trzy. – Ekstrapolując z danych, że wystawił cię trzy razy z rzędu i że wasz związek w zasadzie wyciągnął kopyta, wyliczyłem sobie, że nie przyjdzie. Każdy matematyk doszedłby do takiego samego wniosku.

– Ja za to polegam na intuicji – wtrącił George. – Czuję, że trzy wystawienia z rzędu to po prostu nagły spadek formy. Zresztą to były twoje urodziny, nie mógł cię zawieść.

A poza tym skoro kolacja miała miejsce w taki dzień, żeby mu pasowało, bo w dniu twoich urodzin musiał wyjechać, nie mógł się nie

zjawić.

– Błędne rozumowanie. – Danno uniósł znacząco palec. – Mógł zadzwonić do restauracji z Mogadiszu, czy gdzie tam akurat tnie etaty, i podać numer karty kredytowej. Rodzina i przyjaciele Katie i tak zjedliby kolację i wypiliby drogie wino, a on nie musiałby wcale tam być. Cała reszta pewnie by tak wolała, no nie, Katie?

– Pewnie tak – przyznała.

– Mnóstwo napięcia? – zapytał George, usiłując wykrzesać z siebie współczucie.

– Tak – odparła. – W moim mieszkaniu pojawił się z szampanem.

Danno prychnął.

– Co za gafa! Nikt nie pije szampana. Teraz rządzi białe wino.

George z udawaną uwagą wpatrywał się w swój komputer; George wręcz uwielbiał szampana. Gdyby nałożyły się na siebie wszystkie jego fantazje, przez cały dzień piłby Veuve z czarnych szpilek Christiana Louboutina, noszonych wcześniej przez Nicole Kidman.

– Charlie... – zaczęła Katie.

– To jej brat – powiedział Danno do George'a.

– Przecież wiem.

– Charlie się nie napije, bo po szampanie ma wiatry.

George skrzywił się.

– A Ralph...

– To jej szwagier.

– Przecież wiem.

– ... się nie napije, bo szampana piją tylko dziewczyny.

– No nie! – George przewrócił oczami. – A czy twoja matka zapytała Conalla, czy zamierza się z tobą ożenić?

– Nie na głos. Ale i tak się to słyszało.

– A Conall jej odpowiedział?

– Nie na głos. Ale i tak się to słyszało. Lepiej wezmę się za robotę – rzekła Katie, ruszając w stronę swego biurka, po czym zmieniła zdanie. – Pokaż ten wykres – rzuciła do Danno. – Wydrukuj mi go.

– Po co się zadręczać? – zapytał George.

– Niech się zadręcza, jeśli ma ochotę! Pozwól jej cieszyć się tymi kilkoma przyjemnościami, jakie jej pozostały. Za dwa dni stuknie jej czterdziestka.

Danno położył przed nią wydrukowany wykres i Katie uważnie mu się przyjrzała. Zawierał dane z ostatnich dwóch miesięcy i musiała przyznać, że jest bardzo przejrzysty.

– Widzisz te czarne miejsca? – zapytał Danno. – To wtedy właśnie cię wystawił. Jak widać, ominęły go chrzciny dziecka MaryRose, siedemdziesiąte urodziny twojej matki i kolacja przeprosinowa za przegapienie waszej dziewiątej miesięcznicy.

– Dziękuję ci, Danno – mruknęła. – Bardzo wyraźnie to wszystko zaznaczyłeś.

– Idąc do tyłu... – stuknął w kartkę długopisem – wkrótce znajdziemy się w kolejnej czarnej strefie. Najpierw bal dobroczynny, a potem ten wieczór, kiedy próbowałaś zrobić mu niespodziankę z majtkami Coco de Mer.

Katie musiała przyznać, że to ostatnie okazało się szczególnie żenujące. Udała się do jego domu, porozrzucała wszędzie płatki róż, wcisnęła się w absurdalnie niewygodną bieliznę i czekała na powrót Conalla z pracy. I czekała... i czekała... aż w końcu się przekonała, że wcale nie utkwił w korkach, ale znajduje się na lotnisku, czekając na lot do Singapuru.

Podobno nagły wypadek.

– A co oznaczają te złote miejsca? – chciał wiedzieć George.

– Odpowiadają one tym razom, kiedy Conall rzeczywiście się pojawił.

Katie studiowała uważnie wykres. Widniały na nim spore fragmenty złote, ale i spore czarne. Pomyślała o lustrze, nadal stojącym na podłodze, esemesie, który do niego wysłała i na który ciągle nie otrzymała odpowiedzi...

– Dostałaś od Conalla prezent urodzinowy? – przerwał jej rozmyślania George.

Uniosła rękę, tak że rękaw zsunął się aż do łokcia.

Na widok zegarka George zbladł.

– Platynowy? Brylanty? Tiffany? Och, dziewczyno. Ten facet jest taki zakooooochany.

– Wcale nie – stwierdził dziarsko Danno. – Conall Barbarzyńca, wydając pieniądze, znaczy swój teren. Równie dobrze mógł na nią nasikać. To nic nie znaczy.

Dzień 59…

Kolejne rzeczy, których nie znosi Lydia:

Golfiści

Skarpetki z dziurami na dużym palcu Ludzie, którzy mówią „Dziękować”

Jej brat Raymond

Choroba psychiczna

Zapach moczu innych ludzi

Ludzie, którzy mówią „Ślicznie dziękuję"

Ludzie, którzy mówią „Dzięks, kotku”

Ludzie, którzy mówią „Muchas dzięki”

Ludzie, którzy mówią***, Muchas gracias”*** (Chyba że są Hiszpanami, ale nigdy nie są.)

Ludzie, którzy mówią „Mera” (Chyba że są Francuzami, ale nigdy nie są.)

Klienci, który proszą o paragon

Ludzie, którzy mówią „Sprawa ma się tak”

Ludzie, których imiona to także nazwiska (np. pan Buchanan Buchanan)

Uczniowie, zwłaszcza ci młodsi

Czerwone światła

Przejścia dla pieszych Jej ojciec

Uwaga: to nie jest pełna lista.

Dzień 59…

Jemima pracowała na popołudniowej zmianie.

– Halo, Linia Celtyckich Jasnowidzów. Mówi Mistyczna Maureen, w czym mogę pomóc? Karty? Świetnie, moja droga. A twoje imię? Laurie. No dobrze, w czym problem?

Jemima słuchała. I słuchała. Kiedy litania żalów w końcu się skończyła, Jemima oświadczyła dziarsko:

– Nie, serdeńko, on się z tobą nie ożeni.

– Tak mówią karty? – pisnęła Laurie.

Prawdę powiedziawszy, Jemima jeszcze nawet nie zajrzała do kart. Szybko wyciągnęła jedną. Walet Kier, młody kawaler lubiący zabawę: żadna niespodzianka. Wylosowała raz jeszcze. Dziesięć Mieczy: smutek, żal, utrata wolności.

– Serdeńko, pozwól, że będę szczera: nie trzeba być jasnowidzem, aby wiedzieć, że ten twój kawaler to nicpoń i drań. Pokaż mu drzwi! – Wylosowała kolejną kartę. Królowa Karo. O rety! – I nie zdziw się, jeśli później uderzy w konkury do twojej siostry.

– Ale ona jest w siódmym miesiącu ciąży.

– Widzę jasnowłosą kobietę, plotkarę i złośliwą flirciarę.

– To moja mama! Raczej nie zacznie się przystawiać do mojej mamy!

– Perfidia tego młodego człowieka nie zna granic – oświadczyła ponuro Jemima. – To prawdziwy gagatek.

– Ale ja go kocham.

– Tylko ci się tak wydaje. Ale w twoim kierunku zmierza ktoś znacznie lepszy. – Uważała, że takie słowa nie wyrządzą żadnej krzywdy. Prawdopodobnie rzeczywiście ktoś zmierzał w kierunku Laurie, tyle że ona nigdy tego kogoś nie pozna, jeśli będzie się trzymać swojego ladaco. Wylosowała następną kartę. As Kielichów. – Odnajdziesz spokój i zadowolenie.

– Nie chcę spokoju i zadowolenia. Mam dziewiętnaście lat!

– No tak. – Kolejna karta. Dziesiątka Trefl. – Widzę podróż drogą morską.

– Rejs po Zatoce Dublińskiej. – Laurie wydawała się przybita.

Jemima wylosowała ostatnią kartę. As Trefl. Bardzo dobra karta, choć powinno się udawać, że nie ma czegoś takiego jak „dobre” czy „złe” karty i że wszystko jest kwestią interpretacji. – Aha. Dobra wiadomość. W twoją

stronę napływają pieniądze.

– Okej, trochę lepiej.

– Życzę ci wszystkiego dobrego, moja droga, i nalegam, abyś więcej nie dzwoniła. Koszmarnie dużo liczą za minutę połączenia; obawiam się, że nie mam na to żadnego wpływu, a odpowiedź się nie zmieni. Wydaj pieniądze na coś lepszego. Kup sobie ładny... – Co nosili młodzi ludzie? – ... ładne stringi i wyjdź... – Co robiły młode kobiety? – ... wyjdź na popijawę.

– Popijawę?

– Nie żeby upić się do nieprzytomności, ale wypij kilka... jak się nazywają te śliczne drinki w rubinowym kolorze? Breezerki? Tak. Idź potańczyć. Uśmiechaj się. Baw się dobrze. Zapomnij o tym nicponiu. A teraz żegnam.

Rozłączyła się. Jej zadaniem było jak najdłuższe przytrzymywanie dzwoniących na linii, dzięki czemu z ich kart kredytowych wypływały astronomiczne kwoty. Skandaliczny przekręt, jeden z wielu sposobów współczesnego świata na wykorzystywanie osób przygnębionych i samotnych i na swój własny mały sposób Jemima zachowywała się wywrotowo. Prędzej czy później właściciele tej przeklętej Linii Celtyckich Jasnowidzów dowiedzą się o jej poczynaniach, tymczasem jednak tylu ludzi wymagało pomocy, a tak niewiele zostało czasu.

Gdy czekała na kolejny telefon, co pewnie nie miało potrwać zbyt długo – wyglądało na to, że niekończący się strumień młodych, usychających z miłości kobiet szuka porady jasnowidza – rozejrzała się po swoim ciemnym, zagraconym salonie. Ten widok zawsze poprawiał jej humor.

Jemima mieszkała tutaj od pięciu lat i uwielbiała swoje małe

mieszkanie. Jej zmarły mąż, Giles – którego bardzo jej brakowało – był architektem, zaprojektował nagrodzony przykład „Wysokiego Modernizmu", wybudowany (z powodu głośnych sprzeciwów mieszkańców w niemal każdej innej części Irlandii) w hrabstwie Monaghan. „Wysoki Modernizm" oznaczał szkło, szkło i jeszcze raz szkło. Całe akry szkła. Jemimie śniły się koszmary, że ma za zadanie umyć wszystkie okna na świecie, a jej jedyne pomoce to mała butelka płynu do mycia szyb i stara gazeta. A potem odkrywała, że to wcale nie sen.

Niekończące się codzienne mycie okien to jedno. Poza tym Jemima nigdy nie czuła się komfortowo, załatwiając prywatne potrzeby. Na przykład jeśli czytała ***Madame Bovary*** i ogarniała ją przemożna, podstawowa potrzeba – co się przytrafia wszystkim ludziom, bez względu na ich prawość czy wysoką pozycję w społeczeństwie – w rodzaju podrapania się po tyłku, najpierw musiała sprawdzić, czy akurat nie znajduje się pod ostrzałem spojrzeń trzech albo czterech znudzonych miejscowych. Taki był główny problem z Pokey: nie było tu absolutnie nic do roboty, a szpiegowanie dziwacznej protestantki w jej niedorzecznej szklanej bryle uznawane było za wcale nie najgorsze hobby, podobnie jak hazard czy myśli samobójcze.

Kiedy Giles pożegnał się z tym światem, Jemima dogłębnie odczuła jego stratę, ale nie marnowała czasu i od razu wystawiła Szklany Dom na sprzedaż. Ku niemal orgazmicznemu zachwytowi agenta nieruchomości oświadczyła, że dorzuca do niego wszystkie lekkie tytanowe meble, zaprojektowane specjalnie z myślą o tym domu. Proszę bardzo, pomyślała. I zaczęła się szykować do przeprowadzki do Dublina, uzbrojona w wielkie plany przeczesywania domów aukcyjnych w poszukiwaniu ciemnych, ciężkich mebli.

Miała dosyć Pokey. Za mało tam było potrzebujących ludzi, dzięki którym mogłaby dać upust swoim tendencjom do uszczęśliwiania na siłę. Poza tym, jeśli miała być szczera, niedobrze jej się już robiło na widok zielonych łąk. Tak, gwarny Dublin to coś dla niej, na tyle blisko centrum, na ile mogła sobie pozwolić. Pragnęła czuć, że wokół niej toczy się życie. Na szczęście, zważywszy na szalone dublińskie ceny przed pięcioma laty, jej potrzeby były skromne. Dwie sypialnie, tak żeby Fionn mógł ją odwiedzać, gdy tylko będzie miał na to ochotę, ale poza tym mieszkanie mogło być małe. Chciała ograniczyć prace domowe do minimum, żadnego mycia okien i – co się okazało najbardziej wyzwoleńcze – żadnego ogrodu, potrzebującego nieustannej uwagi i pracy!

Decyzja ta wiązała się także z kosztami. Problem stanowił Fionn. Strasznie będzie za nim tęsknić, a on oczywiście za nią. No ale nie będzie przecież żyć wiecznie. Pora, aby przestał się trzymać jej spódnicy.

Dzień 59…

Lydia miała prawdziwy mińskowy dzień. Miasto przeżywało najazd wakacyjnych turystów i uliczny artysta – cholerny artysta, jakiś szaleniec z akordeonem – przyciągnął na Westmoreland Street uwagę tak wielkiego tłumu, że ludzie wysypali się na ulicę, tańcząc, przez co ona musiała wykonać gwałtowny skręt i niemal zderzyła się z rowerzystą, który obrzucił ją stekiem wyzwisk. Nie znosiła ulicznych grajków z tymi ich pasywno – agresywnymi pozorami, że wykonują usługę. Nawet jeśli byli beznadziejni, człowiek czuł się w obowiązku rzucić im parę centów, no bo przecież się starali. Wołała ludzi, którzy po prostu siedzieli na chodniku i żebrali. Ta transakcja była znacznie uczciwsza, ponieważ człowiek wiedział, co

otrzymuje, to znaczy nic.

No i nie znosiła także rowerzystów – następna świętoszkowata banda, ckliwie jęcząca, jak to działa na rzecz ochrony środowiska i że dlatego może jeździć ulicami, jak sobie chce, a to taksówkarze, porządni ludzie tacy jak ona, ponoszą odpowiedzialność za ich bezpieczeństwo. Gdyby ona rządziła światem, wszyscy rowerzyści zostaliby rozstrzelani.

Następnie odwinęła kupionego na śniadanie bajgla i przekonała się, że chłopak w barze kanapkowym z własnej inicjatywy dodał do serka śmietankowego siekaną kapustę. Nawet gdyby nie czuła odrazy do kapusty, jakim cudem uznał, że serek śmietankowy i kapusta świetnie do siebie pasują?

Przytłoczona tą bajglową potwornością, Lydia zaczęła myśleć o innych rzeczach, których nie znosi, aż w końcu musiała poszukać miejsca parkingowego, po czym zadzwoniła do swego brata Murdy'ego, który mruknął: „Wiem, co czujesz", gdy tymczasem wcale tak nie było, ponieważ gdyby wiedział, to coś by zrobił.

– Przyjedź na weekend – powiedział. – Porozmawiamy o tym przy kolacji. Muszę kończyć.

Nie widząc zbyt wyraźnie z powodu murmańskich łez, Lydia włączyła się do ruchu i w krótkim czasie niemal wjechała pod autobus, niemal stuknęła od tyłu strachajłowatego kursanta i niemal zderzyła się z białą furgonetką, której kierowca mocno ją zwymyślał z silnym akcentem z okolic Cavan. Pomyślała ponuro, że taksówkarze to kozły ofiarne i chłopcy do bicia zmotoryzowanego świata.

No ale być może z dalszą pracą na dzisiaj powinna zaczekać, aż trochę ochłonie. Kiedy znalazła wolne miejsce, zaparkowała i zadzwoniła do swego brata Ronniego, by po chwili pożałować, że to zrobiła. Nowosybirsk!

Dzień 59…

Choć ocena Danno w kwestii związku Katie i Conalla może i była brutalna, Katie musiała przyznać mu rację. To wszystko moja wina, pomyślała. Od samego początku pojawiały się sygnały ostrzegawcze.

Ich pierwsza randka odbyła się z wielką pompą. Conall przedstawił Katie plan podróży.

– Jutro o dwunastej przyjedzie po ciebie samochód.

O drugiej masz lot na Heathrow.

– A potem co?

– Wszystko w swoim czasie.

– Nie moglibyśmy zrobić czegoś prostego i normalnego, na przykład udać się do pobliskiej restauracji i coś zjeść?

Zaśmiał się. Uznał, że Katie żartuje.

– Co mam włożyć na tę magiczną, tajemniczą wycieczkę? Bo jeśli traperki i czapkę z nausznikami, to się na to nie piszę.

Ponownie się zaśmiał. Nadal wszystko, co mówiła, było dla niego niesamowicie urocze.

– Sukienkę. Raczej elegancką.

Nieco desperacko zażądała:

– Potrzebuję trochę więcej informacji.

– Będziesz wyglądać świetnie bez względu na to, co włożysz.

– Mówię poważnie. Jeśli nie powiesz mi nic więcej, nie jadę.

– Och... no dobrze... Czarna suknia. Wysokie obcasy. Mała bezużyteczna torebka.

Udała się pospiesznie do domu i wyrzuciła na łóżko zawartość szafy. Czarna sukienka nie stanowiła problemu; miała ich kilkanaście i chyba tylko

ona była je w stanie od siebie odróżnić. I przynajmniej nie kazał jej być otwartą na modę (ale czy mężczyzna hetero znałby w ogóle takie określenie?). Nigdy nie bawiła się w podążanie za najnowszymi trendami, nawet gdy była w odpowiednim wieku (pomiędzy szesnastym a dwudziestym drugim rokiem życia). Coś w rozmiarze jej biustu sprawiało, że w ciuchach stanowiących ostatni krzyk mody wyglądała strasznie zabawnie: jeśli założyła, na przykład, błyszczącą opaskę na włosy, wyglądała jak niedorozwinięta umysłowo, która w wieku czterdziestu dziewięciu lat nadal mieszka z rodzicami.

Gdy Katie przyglądała się zawartości swej szafy, zaalarmowała ją ilość dobrze skrojonych klasyków. Była niczym cholerna Francuzka! Jasny gwint! Nie chciała być Francuzką. Nie chciała myśleć jak Francuzka. Wolałaby być jedną z tych Niewolnic Nowego Jorku z początku lat dziewięćdziesiątych, w rajstopach w czerwono – czarne paski, martensach i dżinsowych szortach, no ale do czegoś takiego trzeba być bardzo, bardzo chudą.

Dzięki Bogu za buty i torebki. Nawet jeśli ubrania miała bezpieczne, w przypadku butów i torebek szła na całość. I przynajmniej znowu mogła nosić dżinsy. Za czasów Jasona, kiedy jedyne, co robili, to grzali się w domowym ciepełku i zajadali szarlotką, była zdecydowanie zbyt okrągła na dżinsy. Potem to się skończyło i było okropnie, ale przynajmniej schudła prawie dwadzieścia kilo.

Na tajemniczą randkę z Conallem w końcu wybrała prostą w kroju (oczywiście czarną) suknię, ujmującą centymetrów w biodrach i talii. Na czas lotu zakryła ją obszernym żakietem i pewną dozą urazy: krępujące było wsiadanie w środku dnia do samolotu – w pojedynkę – w seksownej sukni i seksownych butach. Ludzie mogli ją uznać za wariatkę, jak jedną z tych

starych szalonych księżnych, które do pralni chodziły w tiarze i sukni balowej.

Kiedy znalazła się na Heathrow, czekał na nią mężczyzna z białą kartką, na której widniało jej nazwisko. Zabrał ją na dół jakimiś tajemniczymi schodami, a plecy Katie płonęły od oskarżycielskich, zazdrosnych spojrzeń pozostałych pasażerów.

– Za kogo ona się uważa? – usłyszała czyjś głos. – Zarozumiała suka.

Mężczyzna zaprowadził ją do limuzyny i udali się w stronę – co to takiego? – stojącego niezbyt daleko helikoptera.

– Co się dzieje? – zapytała.

– Wsiada pani do helikoptera.

– Ale dokąd mam lecieć?

– Nie wiem. Proszę zapytać pilota.

Ale pilot zbyt był pochłonięty dopilnowywaniem, aby założyła słuchawki i zapięła pasy.

– Dokąd lecimy? – zapytała.

– Proszę zapiąć ciut ciaśniej.

– Jest ciasno. Dokąd lecimy?

– Glyndebourne.

Glyndebourne? Co ona wiedziała o Glyndebourne? Opera, to wiedziała. Ale może było tam coś oprócz opery. Ponieważ Katie nie cierpiała opery i Conall o tym wiedział, raczej nie zabierał jej na randkę w miejsce, którego nie znosi.

Kiedy helikopter wylądował, Conall czekał już na nią, ubrany w ciemny garnitur, w którym wyglądał jak przystojny grabarz.

Trzymając jedną dłoń na głowie, przebiegła przez płytę lotniska i

zapytała:

– Co, u licha...

Uśmiechnął się, sprawiając wrażenie mocno szczęśliwego, i odparł:

– Ostatnia prośba. Nie zadawaj na razie pytań. Zaufaj mi. A tak w ogóle to ślicznie wyglądasz.

Zaufać mu. Ale znajdowali się na terenie opery. Wszyscy byli odstrojeni i przechadzali się po pięknym ogrodzie z programami w dłoniach, rozmawiając o – tak! – operze. Conall zaprowadził ją do usytuowanej z dala od ludzi malej altany, gdzie pili szampana, a on odmawiał udzielenia odpowiedzi na pytania. Następnie oświadczył:

– Pora na nas.

Wszyscy inni przemieszczali się w tym samym kierunku. Powiódł ją na widownię, a ona pomyślała: „To nie może być opera, ponieważ mu powiedziałam, jak bardzo jej nie znoszę”. Spojrzała na niego pytająco, na co on powtórzył:

– Zaufaj mi.

I choć Katie czuła się wyjątkowo niepewnie, odparła:

– Ooookej.

Światła przygasły, kurtyna poszła w górę i chwilę później na scenie pojawiło się mnóstwo grubasów i zaczęło pompatycznie śpiewać. Tak, opera. Była tak zdumiona, że nie wiedziała, co myśleć. Uznała, że jest bardzo zła. Następnie zmieniła zdanie i uznała, że jest bardzo smutna: dlaczego nikt jej nigdy nie słucha? Przez elektryzującą chwilę zastanawiała się, czy nie wstać i nie przepchnąć się do wyjścia, ale wyobraziła sobie, jak snajper z noktowizorem pakuje jej w głowę kulkę. W operze nie można przeszkadzać; nawet kaszel spotykał się z ogromną niechęcią.

W końcu wycie dobiegło końca i nastąpił antrakt.

– No i? – zapytał Conall, gdy zapaliły się światła.

– Dobrze się bawisz? – zapytała Katie, wstając z fotela.

– Słucham? – Wyglądał na zdumionego.

– Świetnie się bawisz?

– Że co? – Udał się pospiesznie za nią, próbując dotrzymać jej kroku.

Odwróciła się w jego stronę. Z obu stron mijały ich tłumy ludzi.

– To opera. Tak? Mówiłam ci, że nie znoszę opery. Prawda?

– Ale dlaczego jej nie lubisz?

Wściekła, wyrzuciła z siebie:

– Bo nie. Choćby dlatego, że śpiewający mężczyźni zawsze wyglądają, jakby cierpieli na zaparcie.

– Myślałem, że jeśli posłuchasz czegoś dobrego, to zmienisz zdanie.

Te słowa jeszcze bardziej ją rozsierdziły.

– Co? Uznałeś, że jestem taka... niewyrobiona, że moja opinia nie jest kompetentna?

– Nie, ja...

– Nie słuchałeś mnie.

Conall miał pobladłą twarz i minę niewiniątka.

– Nie miałem racji. Przepraszam. Uwielbiam operę i pragnąłem dzielić ją z tobą. Chciałem zrobić ci niespodziankę.

– Zrobiłeś, a jakże. – Choć pracowała w branży muzycznej i na co dzień miała do czynienia z ludźmi o gigantycznym ego, jeszcze nigdy nie spotkała tak egoistycznego, upartego megalomana. – Jaśniej wyrazić się nie mogłam.

– Tak bardzo cię przepraszam.

– Prawdę mówiąc to uważam... – zmarszczyła brwi i pokręciła głową. – Prawdę mówiąc to uważam, że jesteś lekko obłąkany. I chcę już

do domu.

– Zadzwonię po helikopter.

Ale on mógł przylecieć dopiero za dwie godziny.

– Co chcesz robić, gdy będziesz czekać? – zapytał Conall.

– Usiądę w barze, wypiję butelkę czerwonego wina i wyślę esemesy do siostry i przyjaciółki, informując je o tym, jaki z ciebie szalony drań.

Przełknął ślinę.

– Chciałabyś, abym dotrzymał ci towarzystwa?

– Nie.

Dzień 59…

Rzeczy, które Lydia kocha (kolejność nie gra roli):

Chipsy

Nazwy miast kończące się na „sk” (np. Gdańsk i Murmańsk)

Jej mama Gilbert. Może.

Uwaga: to, owszem, jest pełna lista.

Dzień Lydii nie poprawił się ani na jotę. Każdy kolejny klient był bardziej irytujący od poprzednika. Krótko po sobie usłyszała: „Dziękować”, „Ślicznie dziękuję”, „Dzięks, kotku”, "***Muchas gracias”*** i ***„Merci”*** – i cała piątka chciała dostać paragon! Czy jej udręka wreszcie się skończy? Ale ci upierdliwcy byli niczym w porównaniu z Buchananem, amerykańskim turystą, który wyjaśniał jej system wyborczy swego kraju, każde zdanie rozpoczynając od „Sprawa ma się tak”. Próbowała go uciszyć, zadając swe sztandarowe pytanie o Chrystusa Jezusa (zauważyła, że ludzie są znacznie bardziej przestraszeni, kiedy mówi „Chrystus Jezus” zamiast „Jezus Chrystus”), ale on zdążył już przyjąć Chrystusa Jezusa jako swego Pana i

zbawcę i aż się palił, aby uciąć z nią na ten temat pogawędkę. No i wpadła we własne sidła!

Korki były po prostu straszne. Zatrzymywały ją czerwone światła, roboty drogowe, przejścia dla pieszych i, co było najgorsze, panie przeprowadzające przez ulicę dzieci idące ze szkoły. Kiedy wreszcie nadszedł koniec dniówki, miała nadzieję, że chłopców nie będzie w domu.

Ale chłopcy byli w domu. Jan także miał kiepski dzień. Kobieta w Enniskerry otrzymała ocet estragonowy, choć zamówiła ocet z białego wina, natomiast kobieta w Terenure, której całe życie uzależnione było od octu estragonowego, dostała ocet z białego wina. Nastąpiła katastrofa, a spowodował ją Jan.

Jan opisywał akurat ze smutkiem otrzymaną burę, kiedy zjawiła się Lydia, zrzędliwa i wykończona. Zobaczyła, jak siedzą w salonie i zatrzymała się.

– Na litość boską! Para największych smutasów, jakich znam. Co się dzieje?

– Jesteśmy posępni – odparł Jan, niemal wesoło. Cóż za użyteczne słowo. Posępni, posępni, posępni.

– Dlaczego?

– Pomieszałem zamówienia. Dałem kobietom niewłaściwy ocet. Moja szefowa dostała świra. A ja opierdol.

Lydia spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Mój Boże, Jan, twój angielski naprawdę staje się coraz lepszy.

– Dzienki. – Uśmiechnął się z nieśmiałą dumą.

– Andrzej, a ty czemu jesteś posępny?

Andrzej nie powiedział jej prawdy, która brzmiała: jestem posępny, gdyż muszę mieszkać z tobą.

Wzruszył ramionami.

– Nie przyjechałem do tego kraju, aby być szczęśliwym. Przyjechałem zarabiać pieniądze dla rodziny. Nie oczekuję, że będę szczęśliwy.

– Tak się nie da żyć. – Patrzcie, patrzcie, i kto to mówi. Zamieniła śliczne, dzielone z Sissy mieszkanie na rzecz tej nory. Przepracowywała siedemdziesiąt godzin w tygodniu, a i tak bała się kupić nowe letnie ciuchy – w zeszłym tygodniu szarpnęła się w Primarku na trójpak koszulek za całe siedem euro i poczuła się potem tak gówniano, że mało brakowało, a odniosłaby je do sklepu.

– Jestem silny – oświadczył Andrzej. – Dam radę.

– Taa, ja też. – Westchnęła przeciągle. Wtedy, bez ostrzeżenia, dopadła ją chętka: musiała zalogować się do sieci. Musiała znowu sprawdzić. Może tym razem będzie inaczej. Przysunęła taboret do małego plastikowego biurka, wciśniętego w kąt przy oknie, i zaczęła stukać myszką w blat.

Andrzej zapytał:

– Wychodzisz wieczorem?

Uderzała w klawisze i wpatrywała się w ekran. „No dalej, dalej. Czemu to tak długo trwa? ”

– Lydia? Wychodzisz dzisiaj?

– ... Ucieszycie się, kiedy wam powiem, że owszem.

Chłopcy rzeczywiście się ucieszyli. Mieli w planach rozsiąść się przed telewizorem, oglądać program ***The Apprentice*** i robić notatki. Pewnego dnia oni też będą tacy jak Donald Trump. Tyle że bez tych okropnych włosów.

– Wychodzisz z Biednym Palantem?

Kiedy Lydia wprowadziła się do nich i wspomniała, że ma chłopaka, Andrzej nie potrafił ukryć niedowierzania.

– Ty masz chłopaka?

– Oczywiście, że mam chłopaka! – Co za tupet.

Andrzej myślał, że pęknie mu serce, tak bardzo żal mu było tego nieznajomego mężczyzny. Nie istniało polskie określenie, które by w sposób odpowiedni wyrażało rozmiar jego nieszczęścia, więc Andrzej musiał poszukać czegoś w języku angielskim. „Biedny Palant".

– Tak, wychodzę z Biednym Palantem. I nie mów tak na niego. Ma na imię Gilbert.

Dzień 59…

No więc Gilbert! Jaki to był mężczyzna? Z całą pewnością dość wyjątkowy, skoro wytrzymywał z Lydią. (I czy to on był tą tajemniczą osobą, dla której sprzątała? Powodem, dla którego nie chciała myć naczyń we własnym mieszkaniu?)

Gilberta można było znaleźć w małym, ciemnym pubie, niemal melinie, w bocznej uliczce północnej części miasta. Siedział przy stoliku w towarzystwie czterech innych mężczyzn, rozprawiających o czymś w języku joruba. Pochodził z Lagos w Nigerii, a od sześciu lat jego domem był Dublin.

Kiedy w drzwiach pojawiła się Lydia, dyskusja była na tyle głośna i gorączkowa, że przybycie dziewczyny nie zostało zauważone. Lydia nie znała języka joruba – z wyjątkiem kilku wulgaryzmów, których nauczył ją Gilbert, aby mogła ich używać podczas nigeryjskich imprez, doprowadzając wszystkich do śmiechu – ale brzmiało to tak, jakby planowali zamach stanu.

Udało jej się wyłapać słowa „Leśne Runo" i „Truskawkowa Rozkosz".

Hm.

Nagle dostrzegli Lydię i rozmowa się urwała. Czterej mężczyźni wtopili się w tło, zostawiając przy stole tylko Gilberta.

– Skarbie – rzekł. Jego głos był niczym czekolada. Wyciągnął w jej stronę rękę z długimi palcami (miał piękne, eleganckie dłonie, dłonie muzyka) (którym nie był). Tak jak Lydia był taksówkarzem, zresztą dzięki temu się poznali – w jakiejś kafejce uczęszczanej wyłącznie przez taksówkarzy i wyłącznie w środku nocy. To była bezpieczna kryjówka przed resztą społeczeństwa, gdzie taksówkarze mogli się napić herbaty i ponarzekać na paskudne zachowanie klientów.

Rzeczonej nocy Lydia powoli jadła kanapkę z wędliną i przyglądała się krótko obciętym włosom Gilberta, pięknie uformowanej czaszce, długim, długim rzęsom. Pomyślała: o tak. Wiedziała, że nie jest w guście każdego mężczyzny – jej cięty język odstraszał pozbawionych kręgosłupa durni – uznała jednak, że Gilbert jest dla niej odpowiedni.

Ja, w przeciwieństwie do ludzi, nie oceniam po wyglądzie, lecz po wibracjach, a nastroszone siły witalne Gilberta informują mnie o jego zwyczaju posiadania sekretów. Zbyt mocno lubi porządkować życie, nie mieszać ze sobą pewnych obszarów. Nie do końca mu ufam, ale w sumie go lubię.

Ten Gilbert ma ewidentnie skłonność do fantazyjnych ubrań. Dzisiejszego wieczoru miał na nogach spiczaste buty w kolorze granatowym, które wyglądały – szczerze mówiąc – trochę dziewczęco. Bardziej niepokoiła mnie jego marynarka. Było coś mocno dziwacznego w okolicach talii: wcięcie, niemal jak gorset.

Lydia wyglądała na taką, co bezlitośnie żartuje z osób, które zbyt poważnie podchodzą do kwestii wyglądu, ale przytuliła się do Gilberta jak

kotka i z jej ust nie wydobyły się żadne drwiny.

– Cześć, chłopaki! – zawołała do czwórki mężczyzn, którzy wstali od stołu po jej przybyciu. Dobrze ich znała; wszyscy byli taksówkarzami. – Co się dzieje? O co były te krzyki?

Zaczęli wkręcać się w jej orbitę, wracając w stronę miejsc, które dopiero co opuścili.

– Idźcie sobie – powiedział Gilbert.

– Nie, niech siądą. Chcę wiedzieć, co się dzieje.

Czworo mężczyzn zajęło swoje miejsca.

– No i? – zapytała Lydia. – O co te całe krzyki?

W końcu odezwał się Abiola.

– To Odenigbo.

Na te słowa Odenigbo wybuchnął w języku joruba, a zaraz po nim pozostali.

Lydii udało się wyłapać parę angielskich słów – beza cytrynowa, wiosenny deszcz – i uniosła rękę, uciszając mężczyzn. Z irytacją oświadczyła:

– Drzewka zapachowe? Znowu? Mam już dość tej rozmowy.

W przeciwieństwie do Lydii, która jeździła własnym autem, Nigeryjczycy dzielili trzy taksówki pomiędzy siedmiu kierowców. Gdy jeden z nich wybrał jakiś odświeżacz powietrza, konsekwencje ponosili wszyscy.

– Ja lubię Truskawkową Rozkosz – rzucił Odenigbo wyzywająco, co sugerowało, że jest w tym względzie odosobniony.

Jego słowa napotkały się z zaciekłymi protestami.

– Truskawkowa Rozkosz jest obrzydliwa – stwierdził Gilbert.

– Gorsza niż zapach smrodu – dodał Modupe.

– Gorsza niż zapach pasażerów!

– Przerabialiśmy to milion razy! – wtrąciła Lydia. – Leśne Runo może być, Targ z Przyprawami także, reszta to chłam! Koniec dyskusji. No dobrze, kto chce mi postawić piwo?

Szybko stało się jasne, że Gilbert traktuje Lydię jak królową. Najpierw postawił jej w pubie dwa piwa, a potem zabrał do siebie – do dużego, rozpadającego się domu, który wynajmował razem z szóstką innych mężczyzn. W pulsującej muzyką kuchni przygotował kolację – skromną pizzę. Nie z powodu swoich ograniczeń w zakresie gotowania, ale z szacunku dla jej ostrożnego irlandzkiego podniebienia. Zbyt dobrze pamiętał wcześniejsze eksperymenty, kiedy uraczył ją nigeryjskimi przysmakami: pikantnymi ostrygami, zupą z baraniny, ryżem ***jollof.*** Nie spotkały się z dobrym przyjęciem. Nadal miał w uszach słowa „fuj” i „ohyda”. Wyglądało na to, że upodobanie Lydii do egzotyki tyczy się tylko mężczyzn.

Zjadła pizzę w milczącym skupieniu. Gilbert próbował zagaić rozmowę, ale uciszyła go szorstkim „ćśśś”. Gdy jadła, nie tolerowała żadnego odwracania uwagi. Kiedy już pochłonęła wszystkie sześć trójkącików i oblizała palce, przesunęła pusty talerz w stronę Gilberta, a on wstawił go do zlewu.

– Dzięki – powiedziała.

Zgodnie z panującymi w domu zasadami Gilbert bez entuzjazmu posprzątał, zbyt mokrą ścierką wycierając blat stołu, po czym umył talerze w letniej wodzie.

Lydia siedziała i patrzyła. Palcem nie ruszyła. Kimkolwiek była osoba, której – och, jakże niechętnie – sprzątała, z całą pewnością to nie Gilbert.

– No dobrze – powiedziała, wstając od razu, gdy tylko talerze znalazły się na suszarce. – Chodźmy.

Udali się na imprezę do przeogromnego klubu, z bardzo głośną muzyką i niewielką ilością światła. Bawili się tu prawie wyłącznie Nigeryjczycy i wielu przerywało pocałunki Gilberta i Lydii, aby z szacunkiem przybić piątkę. Kiedy Lydię zmęczyło nieustanne pukanie w ramię i przekrzykiwanie muzyki słowami: „A ja co, niewidzialna jestem? ”, uparła się, aby wyszli. Tak więc wrócili do domu, do jego łóżka.

Istniała między nimi silna więź i fizycznie byli dobrze dopasowani, ale ich serca NIE biły w równym rytmie. To jednak wcale nie znaczyło, że w pewnym momencie tak bić nie zaczną. Nie istniały żadne oczywiste przeszkody... z wyjątkiem sporych kwot, jakie Gilbert bulił na swoje fantazyjne stroje.

Lydia nie wyglądała na zatroskaną tym faktem. Leżała na łóżku i patrzyła, jak Gilbert troskliwie chowa gorsetową marynarkę do pokrowca na odzież.

– Dandys z ciebie – oświadczyła.

Spodobało mu się.

– Powtórz.

– Gilbercie Okuma, dandys z ciebie.

– Dandys. – Zaśmiał się. Na tle ciemnej twarzy zęby wydawały się śnieżnobiałe. – Znasz jakieś inne słowa?

Uwielbiała jego akcent, to celowe przeciąganie samogłosek i króciuteńkie przerwy między każdym słowem.

– Paw. Ofiara mody? Fircyk? Kogucik? Osa?

Miejscowa młodzież, rodowici dublińczycy, chętnie by podrzuciła jeszcze jedno określenie: pacan. („Patrzcie na tego pacana! I na jego buty! I płaszcz! ”)

Ale Gilbert się tym nie przejmował. Ci chłopcy to nie – wykształceni

chłopi, chłystki, które na niczym się nie znają.

Gilbert, interesujący mężczyzna, żył chwilą.

Chwilą...

Ale możliwe, że to się wkrótce zmieni.

Dzień 59…

Matt i Maeve wieczór spędzili leniwie: zjedli duży, mięsny obiad, po nim solidną porcję słodyczy, i cały czas tulili się do siebie na sofie, oglądając programy o metamorfozach domów. To była podnosząca na duchu demonstracja uczuć dwojga zakochanych ludzi – a jednak co jakiś czas wyczuwałem zapach trzeciej osoby, obecność jakiegoś mężczyzny, krążącą po mieszkaniu niczym papierosowy dym.

O dwudziestej trzeciej Matt i Maeve udali się do sypialni, a ja czekałem niecierpliwie, aby się przekonać, co się wydarzy tym razem. No i znowu się rozebrali, a potem na nowo ubrali, jakby zamierzali pobiegać. A tymczasem położyli się do łóżka. Przez chwilę czytali, następnie Maeve otworzyła szufladę nocnego stolika i już się przygotowałem na kolorowe kajdanki, opaski na oczy i inne seksowne drobiazgi. Tyle że ona wyjęła dwa notatniki, jeden ze zdjęciem czerwonego lamborghini na okładce, drugi z reprodukcją obrazu Chagalla, przedstawiającego mężczyznę trzymającego za ręce kobietę, która unosi się nad jego głową niczym balon.

Z pewnym przygnębieniem Matt wziął od żony notatnik i długopis. Na górze czystej kartki napisał: DZISIEJSZE TRZY BŁOGOSŁAWIEŃSTWA. A potem skończyło mu się natchnienie. Wpatrywał się w czystą kartkę i ssał końcówkę długopisu, jakby siedział na egzaminie i nie znał żadnej odpowiedzi.

Musiał wypisać trzy dobre rzeczy, które przydarzyły się dzisiaj. Ale nic nie przychodziło mu do głowy. Boże, ależ on tego nienawidził.

Długopisem w kolorze złotym Maeve napisała: „Przy zielonych światłach zobaczyłam zielony balon".

W drugiej linijce wpisała: „Mała dziewczynka uśmiechnęła się do mnie bez powodu".

A trzecie błogosławieństwo? „Matt", napisała i zamknęła zeszyt, czując spokój i zadowolenie.

Matt nadal ssał długopis. I nagle, w przypływie natchnienia, zaczął pisać:

Tajemnicza bryła lodu nie spadła na mój samochód.

Tajemnicza bryła lodu nie spadła na moje mieszkanie.

Tajemnicza bryła lodu nie spadła na moje...

... na moje...

Zbity z tropu rozejrzał się po pokoju. Na co jeszcze cieszył się, że nie spadła tajemnicza bryła lodu? Co miało dla niego znaczenie? Cóż, Maeve, naturalnie. Znowu zaczął pisać.

Tajemnicza bryła lodu nie spadła na mój samochód.

Tajemnicza bryła lodu nie spadła na moje mieszkanie.

Tajemnicza bryła lodu nie spadła na moją żonę.

No i proszę! Narysował pod tymi zdaniami grubą, radosną linię, bardzo z siebie zadowolony, i oddał notatnik Maeve. To była dobra lista. Czasami Maeve przeglądała jego listę błogosławieństw, aby się upewnić, że robi to w należyty sposób. I Matt czuł, że dzisiejsza lista jest jak najbardziej w porządku.

Dzień 58

Fionn nie lubił Dublina. Choć mieszkał w tym mieście do dwunastego roku życia i mógł nazywać je miastem rodzinnym, wiązało się z nim zbyt wiele złych wspomnień. Zaczekał, aż wszyscy pasażerowie wysiądą z autobusu, po czym wstał i także dał nura w panujący na dworcu chaos.

Musiał znaleźć taksówkę. Oczekiwano go w siedzibie firmy producenckiej Excellent Little Productions, a on nie miał pojęcia, jak się tam dostać. Szukając postoju, z trudem przedzierał się przez tłum ludzi i przez szokująco bezradną chwilę sądził, że będzie musiał przepchnąć się z powrotem do autobusu i nalegać, aby zabrano go do Pokey.

Siły dodała mu jedyne myśl o tym, jak bardzo rozczarowałby Jemimę.

Wyprostował się, zacisnął zęby, przerzucił torbę przez ramię i ruszył w stronę postoju. Był już dwadzieścia minut spóźniony.

Pięć kilometrów dalej, w budynku przerobionym z dawnych stajni, Grainne Butcher przemierzała wysoką, skąpaną w świetle recepcję, wypatrując taksówki. W trzymanej w dłoni komórce po raz siódmy przycisnęła ponowne wybieranie i po raz kolejny połączyła się z pocztą głosową Fionna.

– Kto wyłącza komórkę? – zapytała z niedowierzaniem. Odwróciła się i spiorunowała wzrokiem Alinę, kulącą się ze strachu za biurkiem z jasnego drewna.

– Nie wiem – mruknęła Alina. Znajdowała się najniżej w firmowej hierarchii i to na nią niezmiennie spadały gromy. W firmie było wielu chronicznie rozgniewanych ludzi, począwszy od Mervyna Fossila, właściciela i producenta, i Grainne, dyrektorki (która, tak się akurat składało, że była żoną Mervyna), do stylistki i wyglądało to tak, że Mervyn

wyżywał się na Grainne, ona na wydawcy, ten z kolei na starszym researcherze, on na młodszym, a młodszy na gońcu, który z kolei wyżywał się na Alinie. Jedyną osobą, która nie stanowiła elementu tego łańcucha wściekłości, była sty – listka, a to dlatego, że pracowała jako wolny strzelec.

– I nie zadzwonił? – zapytała ponownie Grainne Butcher.

– Powiedziałabym, gdyby to zrobił.

– Nie pyskuj mi! Chcę tylko tak albo nie.

– Nie – wyszeptała Alina. – Nie zadzwonił.

Do recepcji wtargnął Mervyn Fossil.

– Gdzie. U licha. On jest?!

– Już jedzie – mruknęła Grainne. – Daj spokój, wróć do wykonywania telefonów. Powiem ci, kiedy się zjawi.

Mervyn, niski tyran ze sztuczną opalenizną, spojrzał gniewnie na Grainne.

– Daj spokój – powtórzyła.

Obdarzył ją jeszcze jednym milczącym, aczkolwiek śmiercionośnym spojrzeniem, po czym wycofał się do swojego gabinetu. Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Grainne na nowo zaczęła przemierzać recepcję.

– No, jest w końcu! Dzięki Bogu! – Przy krawężniku zatrzymała się taksówka. Grainne wypadła na zewnątrz i rzuciła kierowcy dziesiątaka. – Reszta dla pana! – A potem wyciągnęła Fionna z samochodu. Otworzyła bagażnik i napotkała pustkę. – Gdzie twoje rzeczy?

Fionn pokazał na średniej wielkości torbę na ramieniu.

– To wszystko, co masz? Na cały miesiąc?

– A czego potrzebuję?

Wtedy Grainne przypomniało się, dlaczego w ogóle ul**e**gła jego

czarowi.

Kto by pomyślał, że w Pokey, na tym totalnym zadupiu, natrafi na kogoś pokroju Fionna? Właściwie to sama nie wiedziała, czemu postanowiła pojechać na chrzciny najmłodszego dziecka Carmine'a: nie znosiła brata, nie znosiła jego żony i nie znosiła samego Pokey.

Siedziała w kuchni przy stole, walcząc o oddech i odliczając minuty do wyjazdu, kiedy w ogrodzie bratowej pojawił się Fionn. Grainne rzuciła okiem na jego włosy, linię żuchwy, wielkie dłonie i poczuła mrowienie – co nie zdarzało się często, o nie.

– Z jakiej on się urwał planety? – zapytała Lorettę.

– Jest tutejszy.

– Od kiedy?

– Od wielu lat.

– Nie pamiętam go z czasów, kiedy tu mieszkałam.

– Gdyby było inaczej, być może nie spieszyłaby się tak z opuszczeniem rodzinnego miasta.

– Mogłaś go znać. Sprowadził się tu razem z matką, kiedy miał około dwunastu lat. Nie dawała sobie rady, biedna kobieta. Ten chłopak był trochę narwany, taki typowy nastoletni łobuziak, dopóki nie przygarnęli go Churchillowie. Adoptowali. Nie, wzięli na wychowanie.

– Kto? Ach, ci wytworni staruszkowie z tego wielkiego szklanego domu w dolinie.

– Tak, kilka lat temu Giles zmarł i jego żona, Jemima, przeniosła się do Dublina.

I nagle w głowie Grainne pojawiło się wspomnienie pięknej, zdezorientowanej kobiety, która nie była w stanie zapłacić w sklepie za zakupy. Angelina, matka Fionna.

– Boże, tak, pamiętam jego matkę! – A potem przypomniała sobie Fionna. Mieszkał w Pokey przez jakiś rok, gdy Grainne w wieku siedemnastu lat dała drapaka do Dublina. Nawet wtedy, gdy miał te dwanaście, trzynaście lat, był szalenie przystojny, ale dla Grainne stanowczo za młody i za narwany.

Kto by przewidział, że wyrośnie na takiego mężczyznę?

Obserwowana przez Lorettę, którą zdumiała i oburzyła jej bezwstydność, Grainne udała się prosto do szopy z narzędziami i zapytała Fionna:

– Załapałabym się na szybką lekcję ogrodnictwa?

Przerwał podnoszenie worka z ziemią.

– A ty jesteś kto?

– Grainne, siostra Carmine'a.

– I chciałabyś lekcji ogrodnictwa?

– Zgadza się.

Nie wydawał się zbytnio zaskoczony. Uznała, że pewnie jest przyzwyczajony do tego, że kobiety rzucają się na niego.

– Nie mam czasu na lekcję, ale możesz iść ze mną – odparł. – Możesz patrzeć, co robię.

Spokojny i bezpośredni, pomyślała. To dobrze. Poszła za nim do ogrodu, gdzie obok świeżo skopanej ziemi stał rząd kwiatów w doniczkach.

Przykucnął i czule wyjął z donicy jeden z nich. Te dłonie!

– Chcesz mi pomóc zasadzić te lilie?

– Okej.

– Na kolana – dodał, przeciągając samogłoski. Mocno zaskoczona, zmrużyła oczy, próbując wyczuć, czy celowo zabrzmiało to tak sugestywnie. Zdążyła go już zaszufladkować jako fizycznie zniewalającego, ale głupiego

jak but, ponieważ Bóg dawał jednemu człowiekowi tylko pewną ilość zalet. Ale czyżby się pomyliła? – Niewiele zdziałasz, stojąc nade mną – dodał głosem, który teraz brzmiał najzupełniej niewinnie.

Czego się nie robi dla swojej pracy, pomyślała, niechętnie przyklękając na wilgotnej ziemi i pozwalając mu umieścić roślinkę w jej złączonych dłoniach.

– Zrób dołek – rzekł i znowu zabrzmiało to tak, jakby mówił o seksie; wcale sobie tego nie wyobraziła, była pewna. Niemal pewna...

– Masz rękawice? – Nie chciała, aby fragmenty natury znalazły się pod jej paznokciami.

– Żadnych rękawic – odparł Fionn. – Zanurz w ziemi dłonie. Nie bój się pobrudzić.

Tym razem nie było mowy o pomyłce. Spojrzała na niego i wymienili długie spojrzenie, uśmiechając się znacząco.

Pokpiwał z samego siebie. Pokpiwał z osoby, jaka się podobała Loretcie i innym gospodyniom domowym z Pokey, osoby, którą Grainne potrafiłaby przejrzeć na wylot, a on doskonale o tym wiedział. Tym bardziej jej się spodobał. Choć jej podziw miał charakter czysto zawodowy, ucieszył ją fakt, że Fionn nie jest głupi. Byłby przynajmniej w stanie zapamiętać swoje kwestie.

– Kochasz więc swoją pracę, co? – zapytała. On o tym nie wiedział, ale właśnie przeprowadzano z nim rozmowę w sprawie pracy.

– Uwielbiam!

– Poważnie. – Wiedziała, że go nie doceniła. Oboje się co do tego zgodzili. Ale teraz naprawdę musieli porozmawiać spokojnie i rzeczowo.

– Poważnie? Chcesz, abym był poważny? Okej. – Westchnął. Poważny także mógł być. Mógł być taki, jaki chciała jakakolwiek kobieta. A

przynajmniej przez jakiś czas. – Nie wyobrażam sobie robić niczego innego.

– Dlaczego?

– Kwiaty, rośliny... są jak cuda. Zakopujesz w ziemi sękatą małą cebulę. Wszystko wokół niej obumiera i oto dwa albo trzy albo pięć miesięcy później zaczyna się przebijać mały tulipan. Prosto ze świata martwych.

– Mów dalej... – Ależ rozjaśniła mu się twarz! Już widziała, jak wychwytuje to kamera. Telewizyjne złoto!

– I nie chodzi tylko o upiększanie świata. Możesz hodować własne jedzenie.

– Ja nie. Mój ogród jest wielkości pudełka od zapałek.

– Nie potrzeba wiele ziemi. To miejsce tutaj – Fionn zatoczył ręką krąg wokół jednej czwartej akra Carmine'a i Loretty – to mógłby być twój prywatny Ogród Edenu.

Grainne niemal zgięła się w pół, kiedy dotarła do niej bolesna perfekcja tego wszystkiego: Twój Własny Eden! Tak właśnie nazwaliby ten program! Albo Twój Tajemniczy Ogród z rozkosznymi podtekstami seksualnymi, tak bardzo przydatnymi, skoro Fionn jest niesamowicie przystojny. Jej głowa zapełniła się pomysłami, a kiedy podzieliła się nimi w Excellent Little Productions, długo wybierano: Twój Prywatny Eden? Twój Tajemniczy Ogród? Ogród Edenu? Przez kilka dni szukano najlepszego tytułu, ale tych dni nie można uznać za zmarnowane, gdyż w telewizji, jeśli wymyśli się odpowiednią nazwę, reszta to łatwizna.

– Bierzmy się za robotę – oświadczył Mervyn Fossil, zaganiając ludzi w stronę sali konferencyjnej. – Wystarczająco dużo czasu zmarnowaliśmy czekając na... – Dosięgło go ostrzegawcze spojrzenie

Grainne: nie obrażaj otwarcie talentu. Niechętnie przełknął słowa „tego głupca”. – Chodźcie – rzekł zamiast tego. – Robota czeka.

Ale Fionn pozostał na swoim miejscu, wsunął rękę do kieszeni marynarki i wyjął jakiś listek czy gałązkę.

– Co to jest? Trochę pogniecione, ale wygląda jak... waleriana? – Pokazał ją Mervynowi Fossilowi. – Wygląda to panu na walerianę?

Mervyn Fossil cofnął się.

– Nie rozpoznałbym waleriany, nawet gdyby rzuciła się na mnie i ugryzła w tyłek.

Fionn wyglądał na lekko skonsternowanego – jasne było, że rzadko miewa do czynienia z ludźmi równie nieprzyjemnymi jak Mervyn Fossil. Ale to go nie wytrąciło z równowagi. Niespiesznie sięgnął do innej kieszeni i wyjął z niej małą książeczkę, brudną od ziemi i z pozaginanymi rogami. To była encyklopedia ziół, z ilustracjami i opisami. Leniwie kartkował książeczkę, aż znalazł walerianę i porównał ją z listkiem w dłoni.

– Aha, tak jak myślałem, waleriana. Przynosi uspokojenie, nadzieję, uwalnia od smutku... – Przesunął spekulatywnym spojrzeniem po Grainne, Mervynie, stylistce i pozostałych, ale nie znalazł tego, czego szukał. Wtedy odwrócił się na pięcie i znalazł twarzą w twarz z siedzącą przy biurku Aliną.

– Ty – rzekł. – Jak masz na imię?

– Alina.

– Alina, to ci się może przydać.

Po chwili zaskoczonego milczenia, wzięła od niego listek waleriany, a potem po jej policzkach zaczęły spływać wielkie, dramatyczne łzy.

– No co? – warknął Mervyn.

– Wczoraj zdechł mi kot.

– O rety – mruknęła Grainne, kociara.

Z mokrą twarzą rozjaśnioną wdzięcznością Alina; zapytała Fionna:

– Skąd wiedziałeś?

– Nie wiedziałem – odparł skromnie.

– Ale przecież wiedziałeś.

Mervyn Fossil zmierzył Fionna podejrzliwym spojrzeniem i zapytał:

– W co ty pogrywasz, synu?

– Zamknij się – rzuciła ostro Grainne, więc tak właśnie zrobił.

Dzień 58…

Jadąc rowerem do pracy, Maeve znalazła się w niebezpiecznej sytuacji: mało brakowało, a jej tylne koło zahaczyłoby o samochód, ale kierowca w porę skręcił i nic jej się nie stało. Przypomniał jej się fragment ***Wielkiego Gatsby'ego,*** mówiący o tym, że można być lekkomyślnym kierowcą, ponieważ wszyscy inni będą się zachowywać ostrożnie. Co nie znaczy, że był z niej prawdziwy kierowca. Gdyż nie umiała prowadzić samochodu.

Nie, cztery lata temu nie zdała egzaminu na prawko i często się zastanawiała, czy gdyby go zdała, wszystko potoczyłoby się tak, jak się potoczyło.

Cztery lata temu...

– No i?

Co najmniej dziesięć wyczekujących osób stało przy biurku Maeve i dziewczyna wyczuła kartę z gratulacjami, tort, może nawet butelkę czegoś z bąbelkami. Jedyne, co musiała zrobić, to wypowiedzieć magiczne słowo, a rzeczy te zostaną wyciągnięte z ukrycia.

Maeve opuściła głowę.

– Oblałam.

– Ooooch!

Nikt się tego nie spodziewał, naprawdę. Każdy oczywiście znal straszne opowieści o egzaminach na prawo jazdy, o tych wszystkich niespodziewanych rzeczach, które się mogą przytrafić nawet tym najlepiej przygotowanym, ale

Maeve – na swój łagodny, beztroski sposób – była człowiekiem sukcesu.

David szybko wziął się w garść.

– Każdy za pierwszym razem oblewa – oświadczył. – To rytuał przejścia. Uznalibyśmy cię za dziwadło, gdybyś zdała.

– Oczywiście!

– Mamy dla ciebie tort – dodał David, a Roja wyjęła go zza pleców. Na warstwie lukru widniał pełen zakrętasów napis: „Gratulacje”.

– To naturalnie gratulacje z powodu niezdania – wyjaśnił szybko David. – Renzo, pokroisz?

– Mamy też dla ciebie szampana – powiedział Tarik.

Maeve pokręciła głową.

– Pracuję z najmilszymi ludźmi na świecie.

Ale wymieniła z Davidem lekki uśmiech, aby mu powiedzieć, że wie, iż to on był siłą napędową tych wszystkich serdeczności.

– Wypijemy teraz czy poczekamy do końca pracy? – zapytał David.

– Jasne, a co tam, napijmy się teraz!

Wystrzelił korek i rozdano plastikowe kubeczki.

– Za niezdanie!

Fatima, rozdająca na serwetkach kawałki czekoladowego tortu, zapytała:

– Chcesz o tym porozmawiać?

– Pewnie. – Maeve czuła się już lepiej. Minęła pierwsza fala upokorzenia. – Cóż, najważniejsza rada, jakiej mogę udzielić wszystkim, którzy mają nadzieję zdać egzamin, brzmi tak: nie ćwiczcie na traktorze swego taty! To żadne przygotowanie. Na drodze miałam wrażenie, że siedzę strasznie nisko i wszystko było nie tak!

Nie musiała wyjaśniać, jak drogie są lekcje doszkalające; wszyscy o tym wiedzieli.

– Ale wiecie, co jest najgorsze? Mój tata ma samochód.

– Czemu więc nie dał ci nim jeździć? – zapytał Franz.

– Bał się, że go rozbijesz?

– Nie – odparła ponuro Maeve. – Wprost przeciwnie. Twierdzi, że samochód potrafi prowadzić każdy, a prawdziwe umiejętności są potrzebne do jazdy traktorem. Uważa, że jestem genialna i że potrafię wszystko. To dopust boży.

– Nie będzie zadowolony, kiedy się dowie. – David na własne oczy widział, jak rodzice ją hołubią.

– Już wie – odparła Maeve. – I jest wzburzony. Jawna niesprawiedliwość, tak na to mówi. Chce poznać nazwisko egzaminatora, aby wnieść oficjalną skargę.

Gromki śmiech.

– No ale przynajmniej potrafię zaorać pole, ślicznie i prosto... – Maeve nie dokończyła, gdyż przerwał jej głos Matta.

– Właśnie się dowiedziałem! Byłem na zebraniu i właśnie się dowiedziałem!

Ruszył w stronę Maeve, a ludzie odruchowo rozstąpili się na boki, robiąc mu miejsce.

– Co za dranie! Tyrani!

Matt wziął Maeve w ramiona, opierając jej głowę na swym ramieniu, odzianym w ciemny garnitur. Wszystkich wzruszyły jego ludzkie uczucia. Ich troska to jedno, byli kolegami Maeve, ale Matt to mimo wszystko przełożony. A jego uścisk trwał dłużej niż obowiązkowe pół sekundy. Widać było, że smutek Matta z powodu upokorzenia Maeve jest szczery. Ależ on uprzejmy, pomyśleli wszyscy. Ale z niego super facet. Wielu się uśmiechało, a ich oczy podejrzanie błyszczały. Wtedy pojawiły się pierwsze ukłucia niepokoju. To przytulanie powinno się już skończyć. Trwało o sekundę dłużej niż to było ogólnie przyjęte. Pora przestać. Przestać! Natychmiast! Ale Matt i Maeve pozostali ze sobą złączeni. Ku wszechobecnej konsternacji, Matt wręcz wzmocnił uścisk, a Maeve przesunęła twarz bliżej jego szyi.

„Rozdzielcie się natychmiast, a nic się nie stanie". Uśmiechy na twarzach widzów bladły. Wszyscy stali niczym posągi wokół tej postaci „dwa w jednym" i wymieniali pełne obaw, pytające spojrzenia – nikt jednak nie spojrzał bezpośrednio na Davida.

Uczucia emanowały z Matta i Maeve niczym ogień, przemieszczając się do najdalszych części biura, aż dosięgły Natalie. „Coś jest nie tak". Wstała i ruszyła w kierunku stojącej wokół biurka Maeve grupy ludzi.

W końcu, ku przemożnej uldze widzów, coś się poruszyło. Maeve uniosła głowę. „Odsuńcie się od siebie" – popędzały zbiorowe myśli. „Matt, wracaj do siebie. Maeve, siadaj przy swoim biurku. A my spróbujemy udawać, że ta dziwaczna scena w ogóle nie miała miejsca".

Ale, ku przerażeniu świadków, zrobiło się jeszcze gorzej. Matt także uniósł głowę, a w chwili, gdy spojrzenia jego i Maeve skrzyżowały się, przeskoczyła między nimi iskra, niemal widoczna. Z twarzami

naznaczonymi zdumieniem i zachwytem wpatrywali się w siebie, wymieniając duszami. Maeve uniosła rękę, aby dotknąć twarzy Matta, jakby sprawdzała, czy to się dzieje naprawdę. Wszystkie otaczające ich osoby wiedziały, że bycie świadkiem tej chwili niewiarygodnej zażyłości jest mocno niestosowne, nikt jednak nie potrafił oderwać od nich wzroku.

Nie w taki sposób Matt planował powiedzieć Nat, że już jej nie kocha, ona jednak i tak wszystko pojęła. Jak zawsze pełna godności, opuściła tę frapującą scenę, wyszła z pracy, pojechała do miasta, siadła w swoim aucie na wielopoziomowym parkingu i rozpłakała się. Następnie kupiła nowy żel pod prysznic, skróciła włosy o piętnaście centymetrów, zjadła jedenaście makaroników, i to sporych, i poczuła, że ma to już za sobą.

Kiedy Maeve się ocknęła, pierwsze, co zobaczyła, to twarz Davida. To była twarz kogoś, kogo znała dawno, dawno temu. W ciągu czterdziestu siedmiu sekund zmianie uległ jej cały świat.

Musiała coś powiedzieć, aby wrócił na swoje miejsce, jednak nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Spojrzała błagalnie na Davida.

„Co się stało? ” – zapytały jego oczy.

Nie wiem.

„Kocham cię”.

Wiem.

„I myślałem, że ty kochasz mnie”.

Ja też tak myślałam.

„Upokorzyłaś mnie”.

Nie miałam pojęcia, że tak się stanie...

Zniknęli wszyscy z wyjątkiem Matta.

– David, ja... – Aie Maeve nie miała pojęcia, co powiedzieć. David patrzył na nią, czekając, aż wszystko naprawi.

– Przepraszam – szepnęła. Nie mogła znieść jego wzroku, widocznego w nich szoku, bólu, gniewu. – Bardzo, bardzo przepraszam.

– Nie jesteś godzien lizać jej butów – rzucił David do Matta. Głos mu drżał. – Jesteś zwykłym... zwykłym cieniasem. – Skierował rozgorączkowane spojrzenie na Maeve.

– A jeśli chodzi o ciebie, nie mam pojęcia, co ty wyprawiasz i ty pewnie też nie wiesz. To jeszcze nie koniec i ani przez chwilę niech ci się nie wydaje, że jest inaczej.

Dzień 58…

Katie miała dzień pełen wyzwań: starała się wzbudzić zainteresowanie mediów mało znanym, „mocno obiecującym" piosenkarzem – kompozytorem. W końcu wróciła do domu i na wpół drzemała na sofie, oglądając ***Kochane kłopoty*** i zastanawiając się, czy nie powinna rzeczywiście położyć się spać, kiedy zadzwonił telefon domowy. Podejrzliwie sprawdziła numer. W dzisiejszych czasach już prawie nikt nie dzwonił na telefon stacjonarny. Z wyjątkiem jej mamy. No i zgadza się, to była mama. Przemknęło jej przez głowę, aby nie odbierać, ale z doświadczenia wiedziała, że mama będzie dzwonić i dzwonić aż do skutku.

– Mama?

– Skąd...? Wolałabym, żebyś tego nie robiła. To wnerwiające.

– Co słychać, mamo?

– Dzwonię teraz, aby ci złożyć życzenia urodzinowe, ponieważ jutro będę mocno zajęta.

– Okej. Dzięki. I dzięki za chlebak.

– Nie tak olśniewający jak platynowy zegarek, naturalnie. Ale

przydatny.

– Zgadza się, przydatny.

– Czterdzieści lat, Katie. Aż trudno uwierzyć, no nie? Kiedy minęły te wszystkie lata? No dobrze, a skoro o tym mowa, to kiedy zaczniesz myśleć o włosach?

– O włosach?

– Są bardzo długie.

– Tylko ciut poniżej ramion.

– Ale masz już czterdzieści lat. Będziesz musiała zacząć się zachowywać stosownie do wieku.

Penny Richmond żyła według surowych, napędzanych strachem zasad. Katie nie do końca wiedziała, skąd mama je w ogóle czerpie. (Przykłady: jeśli nie pomalujesz fasady domu co cztery lata, stowarzyszenie mieszkańców słusznie może publicznie cię za to wychłostać; jeśli słyszysz, jak twój sąsiad co wieczór bije żonę na kwaśne jabłko, prędzej odgryziesz sobie język niż wspomnisz cokolwiek na ten temat; chodzi się na każde przyjęcie, na jakie cię zapraszają, nawet jeśli nienawidzi się pozostałych gości, ponieważ niegrzeczność jest najgorsza ze wszystkiego.)

– No i ten kolor, Katie. Będziesz musiała przestać farbować je na taki ciemny kolor.

– Ale to mój kolor naturalny. Farbę nakładam jedynie na odrosty.

– Nie jest tajemnicą, że wraz z wiekiem cera staje się jaśniejsza i...

– Wiem, że z wiekiem powinno się rozjaśniać włosy – przerwała bezceremonialnie Katie – ale lubię je takie, jakie są!

Na drugim końcu linii zapadła długa, pełna oburzenia cisza. Katie zdumiona była własną zuchwałością: z Penny Richmond, męczennicą numer jeden, zadzierało się na własne ryzyko.

– Przepraszam, mamo – powiedziała z zakłopotaniem.

– Nie wiem, co mi się stało.

Drżącym głosem Penny odparła:

– Ja też nie wiem. Nie będę udawać, że mnie to nie boli, Katie. Ale ponieważ masz urodziny, postaram się o tym zapomnieć.

Gdy tylko Penny się rozłączyła, Katie zadzwoniła do Mary – Rose.

– Odbierz, odbierz – popędzała ją.

Ale włączyła się poczta głosowa. Tak się dzieje, kiedy twoja przyjaciółka akurat rodzi dziecko żonatemu mężczyźnie. Jej możliwości wysłuchiwania psioczeń Katie na mamę dramatycznie zmalały, ponieważ teraz MaryRose na okrągło coś sterylizowała, rozgniatała słodkie ziemniaki albo przemierzała pokój z krzyczącym, ząbkującym dzieckiem w ramionach.

Katie nie miała pojęcia, jak MaryRose daje sobie ze wszystkim radę. Sama MaryRose zagroziła, że skoczy z wiaduktu nad przejazdem kolejowym, kiedy w wieku trzydziestu dziewięciu lat dowiedziała się, że jest w ciąży. Była taka „stara" – urodzi to dziecko już po czterdziestce! No i jak do tego w ogóle doszło? Wyglądało na to, że każda kobieta na świecie musi korzystać z in vitro, a tu ona, praktycznie w wieku menopauzalnym, jeden jedyny raz nie użyła gumki i od razu zaszła w ciążę. Nie tak miało być!

Ale kilka dni po tym, jak na teście pojawiła się przerażająca niebieska kreska, MaryRose zmieniła śpiewkę. Dumnie oświadczyła Katie, że właśnie przeczytała o sobie w „Vogue'u": panował trend na to, że samotne, czterdziestoletnie kobiety zachodzą w pierwszą w ciążę.

– Nie chcę się chwalić, ale możliwe, że w Irlandii jestem pierwsza – rzekła. – Super, no nie? Idę z duchem czasu. Chyba jeszcze nigdy mi się to nie przytrafiło. I nie musiałam się męczyć z in vitro, dawcami spermy i próbami adopcji z Chin. W sumie to szczęściara ze mnie.

Katie zamurowało.

– Nie wiedziałam, że w ogóle chcesz mieć dziecko – oświadczyła.

Na co MaryRose odparła:

– Nie chciałam. Ale teraz chcę.

Obie doszły do wniosku, że to sprawka hormonów.

Katie zostawiła przyjaciółce krótką wiadomość, po czym zaczęła się zastanawiać, do kogo by mogła zadzwonić.

Do Conalla nie było sensu. Dzwonił wcześniej, nim wrócił do pracy, i nie chciała mu przeszkadzać w cięciu etatów. Sinead, do niej powinna zadzwonić. Ale ona siedziała akurat w jakimś barze i ledwie ją było słychać, a nie zgodziła się wyjść na zewnątrz, ponieważ „jakiś niezły koleś mi się przygląda". W końcu Katie nie został nikt oprócz Naomi. Nie okaże współczucia, ale przynajmniej zrozumie.

– Właśnie się poprztykałam z mamą.

– O co?

– O nic.

– Przyzwyczajaj się do tego – rzekła Naomi. – W chwili, gdy stuknie ci czterdziestka, konfrontacje zaczną się na prawo i lewo.

– O Boże! Życie się stanie takie skomplikowane. A poza tym dopiero jutro mam urodziny.

– To dlatego, że jesteś grzeczną dziewczynką i wykonałaś prace przygotowawcze. – Naomi kazała jej zacząć się przygotowywać w wieku trzydziestu ośmiu lat („Powtarzaj sobie: mam czterdzieści lat, mam czterdzieści lat, mam czterdzieści lat, a wtedy nie będziesz zdruzgotana, kiedy rzeczywiście nadejdzie ten dzień").

Ale Sinead poradziła coś zupełnie przeciwnego.

– Wyparcie, tak właśnie trzeba robić. Nawet kiedy do tego dojdzie,

udawaj, że nadal masz trzydzieści dziewięć lat. Już zawsze udawaj, że tyle masz. Do śmierci. Wtedy oczywiście prawda wyjdzie na jaw, ale ty będziesz martwa, więc jakie to będzie mieć znaczenie?

– Dobrze, że zadzwoniłaś – powiedziała teraz Naomi.

– Chodzi mi o twoją sobotnią urodzinową kolację... Dawn może przyjść? Nigdzie nie wychodziła, odkąd urodziła dziecko, czyli od siedmiu miesięcy.

Dawn to przyjaciółka Naomi, nie Katie, ale była w porządku.

– Chyba tak, jasne, czemu nie?

– Kto jeszcze będzie? – zapytała Naomi.

– MaryRose, Sinead i Tania.

– Tania! – W głosie Naomi słychać było zadowolenie.

– Przynajmniej z kimś będę miała coś wspólnego. – Tania była mężatką z dwójką dzieci. – Zamiast tych twoich wszystkich zgorzkniałych, samotnych przyjaciółek.

– Nie są zgorzkniałe! Nie bardziej niż wy, kobiety zamężne, bez końca nawijające o tym, jak pogardzacie swoimi mężami. A MaryRose nie do końca jest singielką!

– Jej chłopak i ojciec dziesięciomiesięcznej córeczki mieszka ze swoją żoną i dwójką dzieci, sporadycznie pamięta o alimentach, a Vivienne nie widział od czterech miesięcy. Och, uwierz mi, Katie, MaryRose jest zdecydowanie singielką.

Zapadła cisza, podczas której Katie żałowała, że nie potrafiła ukryć niczego przed Naomi. (Z wyjątkiem pewnego spektakularnego sekretu o ich bracie Charlie'em – który poznała dzięki Conallowi – i oszczędzała go na okoliczność, kiedy jego ujawnienie naprawdę mocno jej się przyda.)

W końcu Katie stwierdziła:

– Wiesz co, Naomi, zamieniasz się w naszą mamę.

Dzień 58…

W kolejce przed Samarą napotkały uczestników sikhijskiego wieczoru kawalerskiego i to jeden z nich zasugerował, żeby porwać Viking Splash. Lydia była na tak, gdyż nie znosiła stać w kolejce; to było poniżające.

– Jesteś zbyt niecierpliwa – powiedziała wcześniej Shoane, kiedy stanęły na końcu kolejki. Shoane pragnęła zobaczyć wnętrze Samary; lansowała się w nowych czerwonych butach, które widziała już większość Dublina, i chciała, aby dołączyć do tej większości ludzi z Samary. – To wieczór panieński Poppy – dodała. – Musisz robić wszystko, co ona chce.

– Ja po prostu nie znoszę marnowania czasu – oświadczyła z frustracją Lydia. Obecnie tak mało miała wolnych wieczorów...

– Kolejka przesuwa się całkiem szybko – odparła uspokajająco Poppy. – Za dziesięć minut będziemy w środku.

– Dziesięć minut! – wykrzyknęła Lydia. – Ten biedny człowiek... – pokazała na staruszka z ekipy sikhów, krzepkiego, jednakże wiekowego dżentelmena z imponującą brodą rodem ze Starego Testamentu i w turbanie wielkości małego samochodu – ... on może umrzeć za dziesięć minut. Bez urazy – rzuciła w stronę mężczyzny.

Odparł, że naturalnie i zgodził się z nią, że w takim wieku – miał lat osiemdziesiąt jeden – lubi maksymalnie wykorzystywać każdą sekundę.

– Zawsze miałem nadzieję umrzeć szlachetnie – stwierdził. – Śmierć późną nocą w trakcie czekania na odmowę wpuszczenia do dublińskiego superbaru nie byłaby szlachetna. Nekrolog musiałby być mało precyzyjny.

– Można by w nim pisać, że umarł pan pośród rodziny i przyjaciół – rzekła Lydia. – To akurat byłaby prawda. _ Pokazała na sporą grupę mężczyzn w turbanach.

Uczestnicy wieczoru kawalerskiego – siedemnaście osób przybyłych z Birmingham – reprezentowali cztery pokolenia: przyszły pan młody, jego ojciec, dziadek i pradziadek oraz kuzyni, bracia i wujkowie.

– Wygląda mi pani na zaradną młodą osóbkę – stwierdził staruszek. – Gdyby mogła mnie pani wyswobodzić z tej kolejki, byłbym zobowiązany.

– Okej. – Lydia, lubiąca wyzwania, zawołała na cały głos: – Hej! Ten dziadzio wygląda, jakby miał zaraz wykitować!

Wielu wzięło to na poważnie, po czym ktoś – nazajutrz próbowano sobie przypomnieć, kto się okazał prowodyrem, pamięć jednak okazała się zawodna – rzucił:

– Porwijmy Viking Splash!

Propozycja spotkała się z aprobatą wszystkich, nawet Shoane.

Sikhowie, Lydia i jej trzy przyjaciółki oraz przypadkowi pieczeniarze opuścili kolejkę i ruszyli wzdłuż Dawson Street, przebijając się przez tłumy imprezowiczów tam, gdzie czekał Viking Splash.

Była to amfibia, ciesząca się dużą popularnością wśród turystów. Jej trasa prowadziła obok wielu charakterystycznych obiektów Dublina, a w ramach elektryzującego finału jednostka wjeżdżała do kanału i taplała się w nim trochę, po czym wracała na suchy ląd. Z pojazdu można było korzystać wyłącznie w ciągu dnia, ale – i tu szczegóły znowu pozostawały mgliste – sikhowie przygarnęli nowych kolegów, trzech kolesi – wszyscy mieli na imię Kevin – z których jeden pracował jako przewodnik wycieczek Viking Splash i który podwędził z biura klucz i był gotowy odbyć nocną wycieczkę za obniżoną opłatą, naturalnie bez paragonu.

Poppy zaniepokoiła się brakiem dostępu do alkoholu przez czas wycieczki (czterdzieści pięć minut) i szybko kupiła od grupki bezdomnych dziesięć puszek „psychocydru", po czym rozdała je Lydii, Shoane, Sissy, trzem Kevinom i wysokiej, milczącej kobiecie, która później okazała się nie należeć do żadnej grupy. („Myślałam, że jest od Bułgarów". „Kevinowie sądzili, że to jedna z nas".) Sikhowie nie pili.

Wszyscy wpakowali się do pojazdu – pomarańczowe kapoki z powodu turbanów nie chciały przejść sikhom przez głowy, ale to nie miało znaczenia, ponieważ łamano tak wiele przepisów, że jeden więcej nie robił różnicy – a potem ruszyli w ciemną noc.

Tak już lepiej, pomyślała radośnie Lydia, gdy mijali kolejne budynki. Skoro już musiała stracić swój dochód z czwartku, jednego z najbardziej lukratywnych wieczorów w tygodniu – a musiała: z Poppy się przyjaźniła od pierwszego dnia w szkole i nie mogła się nie zjawić na jej wieczorze panieńskim – to chciała otrzymać w zamian coś naprawdę niezłego.

W czwartki odbywały się wielkie imprezy, być może nawet częściej niż w piątki, i Lydia przyzwyczajona była do wożenia pijanych dziewcząt, które wlewały się do jej taksówki – plątanina gołych nóg, pomalowanych paznokci i puszystych włosów – śpiewając, wykrzykując i mrucząc coś pod nosem. Jednak na dzisiaj miała w planach stać się jedną z nich.

Z domu wyszła z mocno umalowanymi oczami, w szpilkach i krótkiej sukience. Była taka krótka, że Jan jedną ręką zakrył oczy papierową serwetką, a drugą się przeżegnał. Andrzej patrzył, ale nie odezwał się ani słowem.

– No już – rzekła do niego.

– Powiedz, co masz na czubku języka. Widzę, że aż się do tego palisz.

Wzruszył obojętnie ramionami.

– Dobrze wyglądasz.

Czekała. Musiało chodzić o coś więcej.

– Zdzirowato, ale dobrze.

Atmosfera zrobiła się nieprzyjemna.

– Wolę tak niż wyglądać, jakbym wszystkie atrybuty kobiecości trzymała w zamrażalniku – oznajmiła Lydia.

Andrzej zdawał się cały napęcznieć.

– Mówisz o Rosie?

– A kogo innego znamy, kto tak właśnie robi?

Lydia – cóż, nie dało się tego określić inaczej, naprawdę – Lydia nienawidziła Rosie. I tego jej całego fałszywie skromnego zachowania, zasłaniających nogi spódnic i szprycerów z białego wina, i kupowania na wyprzedażach porządnych skórzanych kozaków. Lydia na wyprzedażach znajdowała jedynie badziewie, a jeśli kupiła kozaki, to do czasu, kiedy robiło się na tyle zimno, aby je nosić, stawały się kozakami z zeszłego sezonu, a nikt porządny nie nosi zeszłorocznych butów.

Lydia pomalowała usta błyszczykiem, obdarzyła Andrzeja pogardliwym spojrzeniem, które wydało się wyjątkowo wiedźmowate z powodu ciemnozielonego eyelinera z brokatem, po czym wyszła z mieszkania.

Na początku było ich jedenastu i nie zanosiło się na to, aby to była spokojna noc.

– Poproszę drinka – rzuciła Lydia do barmana. – Jakiego chcesz. Zaskocz mnie.

Kiedy pojawił się jej zaskakujący drink (daiquiri z czarną porzeczką), powiedziała:

– Pijemy na umór. To znaczy wiem, że jesteśmy na prawdziwej

popijawie, ale nawet gdybyśmy nie były, piłybyśmy. W dzisiejszych czasach dwie butelki cydru uznaje się już za picie na umór.

– Nic dziwnego, że chodzimy na porządne popijawy, skoro normalne picie ma takie podle opinie – stwierdziła Shoane i wszystkie się zgodziły, że skoro zostaną oskarżone o picie na umór, równie dobrze mogą to wykorzystać i rzeczywiście zalać się w pestkę.

– Jesteśmy takimi dziewczynami, o których piszą w gazetach.

– Przynajmniej mamy na sobie majtki – wtrąciła Poppy.

Choć część miała wątpliwości w odniesieniu do Shoane.

– Po kolejnym drinku tutaj czy idziemy gdzieś indziej?

Shoane nalegała, aby spróbować szczęścia w innym lokalu, żeby więcej ludzi mogło zobaczyć jej nowe czerwone buty. I tak przez całą noc w doskonałych humorach przemieszczały się od pubu do pubu, nawiązując po drodze nowe znajomości. Kiedy natknęły się na sikhów, było już po drugiej i wszystkie cztery miały nieźle w czubie.

Po nielegalnej wycieczce na pokładzie Viking Splash odbyła się zaimprowizowana impreza w hotelowym pokoju drużby sikha, a potem, kiedy skonsumowano cały alkohol z barku, wszyscy rozeszli się do domów.

Sissy obściskiwała się z taksówkarzem. Shoane o piątej nad ranem pojawiła się na progu domu rodziców, choć nie mieszkała tam od siedmiu lat, cała zapłakana, niezdolna się wysłowić i bez nowych czerwonych butów. Poppy obudziła się z czymś dziwnym we włosach, co następnie zidentyfikowała jako wymiociny – wyniośle się upierała, że niemal na pewno nie jej własne. („Można o mnie wiele powiedzieć, ale nie to, że puszczam pawie”.) A Lydia obudziła się w łóżku Gilberta, gdzie on obadał swymi pięknymi dłońmi jej ciało i odkrył trzy zaskakujące sińce na lewej piszczeli.

Jednogłośnie uznano, że to była fantastyczna noc.

Dzień 57

– Generalnie nie należę do miłośników psów, ale ty jesteś inny. Tworzysz osobną kategorię. Chyba ci ufam, a niełatwo obdarzam zaufaniem. Mogę cię czymś poczęstować? Co my tu mamy? Psie herbatniki. Zjedz kilka, nalegam. Zasłużyłeś na nie. Jeśli chcesz, to ja też się poczęstuję, aby dotrzymać ci towarzystwa.

Siedząc u siebie, Jemima słyszała, jak Fionn próbuje w kuchni obłaskawić Grudge'a. Potężny konflikt charakterów. Grudge, paranoiczne, mściwe stworzenie, które czuło się przeraźliwie zagrożone, nie znosił Fionna. Ale Fionn musiał sprawić, aby wszyscy, nawet psy, go kochali. Jeśli nie od razu mu się to udawało, nie dawał za wygraną; posyłał uśmiech za uśmiechem, komplement za komplementem, aż w końcu dana osoba się poddawała i ze znużeniem zgadzała kochać go całym sercem. Ale biorąc pod uwagę to, co przeszedł, biedaczysko, wyrósł na całkiem porządnego człowieka. Być może ciągnęło go do warzyw bardziej niż do ludzi, ale kiedy weźmie się pod uwagę różne potencjalne zachowania dysfunkcyjne – narkomanię, nałogowe urządzanie domu i tym podobne – to naprawdę nie ma co narzekać.

Jemima wciąż miała w pamięci ten czas, kiedy dwunastoletni Fionn zjawił się w Pokey razem z Angeline, swoją matką. Ich przyjazd narobił w mieście sporo zamieszania. Jego mieszkańcy tylko w telewizji widzieli tak piękne i olśniewające kobiety jak Angeline i jej śliczna córka. (Ponieważ z

powodu potarganych, sięgających ramion jasnych loków i ładnej twarzy jakieś sześć miesięcy trwało, nim ludzie zdali sobie sprawę z tego, że Fionn to nie dziewczynka.)

Oficjalna wersja była taka, że przeprowadzili się z Dublina „z powodu klimatu". Uznano to, naturalnie, za eufemizm. Angelina uciekała przed wymiarem sprawiedliwości? Narkotykowy deal się nie udał? No bo kto rozumny przeprowadziłby się do Pokey z powodu pogody? Kto w ogóle przeprowadziłby się do Pokey?

Matka i córka zamieszkały w kawalerce obok bukmachera i niemal od razu po przekroczeniu jej progu zaczęły zalegać z czynszem. Angeline znalazła pracę w pubie i prawie natychmiast ją straciła. Poszukała alternatywnego zatrudnienia we frytkami, ale nie minął tydzień, a ją zwolniono. Na posadzie sprzątaczki także niedługo się utrzymała. Problem stanowiło to, że Angeline często była „chora".

Leniwa, uznano zgodnie. Albo pijaczka. Leniwa pijaczka z Dublina. Która zbyt mocno się maluje. I ogląda za naszymi mężczyznami.

I ma fałszywą córkę, nie zapominajcie o fałszywej córce. (Angeline nigdy nie próbowała nikogo oszukać, że Fionn to dziewczynka, ale pomyłka mieszkańców sprawiła, że poczuli się głupio, a potem byli pełni urazy.)

Narkotyki, szeptał ktoś inny. No i gdzie jest ojciec tego chłopca? Uwielbiali rozprawiać na temat Angeline. Bez końca i niepowstrzymanie patrzyli i mówili, i mówili, i patrzyli, i zupełnie stracili zainteresowanie szpiegowaniem tych dziwacznych protestantów w cudacznym szklanym domu. Uroda Angeline, jej obrysowane kredką oczy, mroczna przeszłość – to było lepsze od opery mydlanej.

Kiedy umarła, nikt w to nie mógł uwierzyć.

Okazało się, że cierpiała na rozedmę płuc. Prawdą było to, że

przyjechała do Pokey z powodu panującego tutaj klimatu. Szukała świeżego powietrza dla biednych, schorowanych płuc, gdy tymczasem potrzebowała lekarstw. Ale ponieważ była wrażliwą, niepraktyczną osobą, desperacko pragnącą pozytywnych rezultatów, a nie pojmowała, jak je uzyskać, nie prosiła o pomoc.

To oczywiste, że nikt w miasteczku nie zaoferował swojej pomocy. Po prostu nie mógł. Choć wszyscy widzieli, że jej życiem rządzi chaos – Fionn nie chodził do szkoły, a w supermarkecie często dochodziło do sytuacji, że Angeline miała za mało pieniędzy – ale dopiero w przypadku, gdyby jej przodkowie mieszkali w mieście od czterech pokoleń, zostałaby uznana za jedną z nich. Może to było surowe, ale zasady to zasady.

Wszyscy założyli, że Angeline to niemoralna zdzira, która nie ma pojęcia, kto jest ojcem jej dziecka, ale Fionn przedstawił policji odpowiednie informacje i wystarczył jeden telefon, aby na miejsce przybył Pearse Purdue. Przystojny mężczyzna, uznała Jemima. Równie atrakcyjny, jak Angeline i tak jak i ona, wolny duch. (Albo, jeśli się chciało być uszczypliwym, ale Jemima nie chciała – patologicznie nieodpowiedzialny.) Jako rybak Pearse większość życia spędzał na przemierzających zachodnie wybrzeże trawlerach. Fionn był owocem krótkiego, jednakże bardzo namiętnego małżeństwa z Angeline, i choć nie byli już ze sobą – Pearse jedenaście miesięcy w roku spędzał na morzu, a Angeline ciut zbyt wolno mówiła jak na gust Pearse'a – ich relacje pozostały serdeczne. Pearse kochał Fionna, ale przyznał, że nie jest w stanie zapewnić mu rodzicielskiej opieki.

Chłopiec musiał trafić do rodziny zastępczej.

Wtedy do akcji wkroczyli Jemima i Giles. Śmierć Angeline ich zbulwersowała.

– Jak mogliśmy do tego dopuścić? – pytała Jemima męża.

– Zaniosłaś jej zupę.

– Ale nie rozpoznałam, jak bardzo jest chora. Fionn dawał jej Lemsip. Myślałam, że to po prostu paskudne przeziębienie.

– Skąd mieliśmy wiedzieć? – rzekł Giles, obejmując ją za ramiona. – Skąd mieliśmy wiedzieć? Ale teraz możemy dać mu dom.

– Będzie z niego urwis – ostrzegł Jemimę pracownik opieki społecznej. – Nieodpowiedzialność odziedziczył po obojgu rodzicach. Podwójne uderzenie. Nie ma nadziei.

I wygląda jak dziewczyna.

– Nas to nie zniechęca – odparła Jemima. – Zrównoważone dziecko zawsze znajduje dom, ale tak naprawdę potrzebują go te biedactwa po przejściach.

Dzień 57…

Dzień urodzin Katie.

– Czterdziestka – oświadczył Danno, kiedy weszła do biura. – Następny przystanek to śmierć.

Do jej biurka zbliżyła się mała delegacja.

– Wszystkiego najlepszego, pani Richmond – rzekł Danno. Wręczono jej kartkę urodzinową i ładnie zapakowany prezent. – To drobiazg, nie jesteśmy wstanie rywalizować z forsą Barbarzyńcy, ale sporo się nad nim zastanawialiśmy.

To był dziennik czterdziestolatki. Na okładce napisano: „Życie zaczyna się... Przewodnik po tym, co ci zostało z życia”. Na górze każdego dnia umieszczoną jakąś podnoszącą na duchu myśl.

– To jest boskie. – Katie kartkowała dziennik. – Pozwólcie, że przeczytam wiadomość na dzisiaj. „Tańcz radośnie każdego dnia twego życia. Ale nie pozwól, aby cię ktoś widział, nie w tym wieku". Cudo. Nie powinniście byli, naprawdę.

– Kat, Hathaway tu jest!

Zdumiona Katie spojrzała na Danno.

– Mówiłaś, że jest w Helsinkach – rzekł oskarżycielsko.

– Był.

– Przyleciał specjalnie po to, aby cię zabrać na lunch – rzucił George.

Katie przyznała, że George ma najpewniej rację. Jeśli chodzi o tego typu gesty, Conall nie miał sobie równych.

– Prywatnym samolotem z kremową skórzaną tapicerką i szafirowym, puszystym dywanem – kontynuował z rozmarzeniem George. – Będziecie pić Kruga i jeść kawior z bieługi, choć kawior jest dziwny i obrzydliwy. To pstrykanie w ustach... jak oranżada w proszku dla smakoszy...

– Przymknij się, idioto – warknął Danno. A do Katie powiedział: – Czeka na dole. Jedząc jak zwykle czekoladę, próbując zrzucić z siebie te wszystkie wyrzuty sumienia, które go dręczą. Czeka na ciebie niecierpliwie.

Katie się nie spieszyła. Miała już zaplanowane coś innego na tę urodzinową przerwę na lunch i wkurzył ją tupet Conalla. W porządku, zamierzała jedynie zajrzeć do działu pielęgnacji i ochrony stóp w Bootsie, ale była kobietą, która na okrągło nosi szpilki i taki dział cieszył się jej szczególnym zainteresowaniem. Miała lekką obsesję na punkcie ochraniaczy do stóp – niewidzialnych żelowych poduszeczek, których zadaniem było niedopuszczanie do nieprzyjemnego, palącego uczucia w przedniej części podeszwy stopy. Nie znalazła jeszcze takich, które sprawdziłyby się w jej przypadku i nie przyklejały się do stopy, lecz pozostawały w bucie, ale nie

traciła nadziei. Poza tym niedawno widziała reklamę nowego produktu, ślicznej przezroczystej osłonki żelowej, która chroniła w sandałach mały palec, i bardzo chciała się temu przyjrzeć. No i skończyły jej się ochraniacze na pięty, bez których nie mogła żyć. Nie tylko zapobiegały ocieraniu się gołej pięty o tył buta, ale także nie pozwalały stopie wyślizgnąć się z buta w kluczowych momentach w życiu, na przykład podczas przechodzenia przez scenę, aby przyjąć nagrodę na oczach setek ludzi, co przytrafiło się Katie, kiedy parę lat temu wygrała nagrodę PR – owca Roku. Statuetka na jej kominku w końcu pokryła się patyną, ale nie to szczególnie upokarzające wspomnienie. Katie już nigdy nie dopuści do czegoś takiego.

Wykonała cztery telefony, które miała w planach, nim Danno obwieścił przybycie Conalla, następnie niespiesznie udała się do toalety i zrobiła użytek ze wszystkich znalezionych w torbie kosmetyków. Dopiero wtedy zjechała windą na dół. Tam, zgodnie z tym, co mówił Danno, czekał Conall. Stukał coś w swoim BlackBerry, ponury i zamyślony.

Gdy Katie zbliżyła się do niego, uniósł głowę i wyraz twarzy od razu mu złagodniał. Zerwał się na równe nogi. Pozwoliła mu się pocałować, nie jakoś super namiętnie, znajdowali się w końcu w miejscu jej pracy, a poza tym nie zawiesił jej lustra ani nie odpisał na esemesa.

– Wszystkiego najlepszego – powiedział, patrząc jej w oczy.

– Co się stało z Helsinkami?

Wzruszył ramionami, nadal się uśmiechając.

– To twoje urodziny.

– To znaczy negocjacje na krótko przerwano, ale jutro tam wracasz?

– Tak. – Westchnął. – Niczego przed tobą nie ukryję. Nie wiem, czemu w ogóle próbuję. Mogę cię zabrać na lunch?

Czekała. Pomyślała o lustrze.

– Prawdopodobnie.

– A później zrobisz sobie wolne popołudnie i spędzisz je ze mną w łóżku?

– Mam konferencję prasową.

– Tęskniłem za tobą – powiedział miękko.

– Mam konferencję prasową. – Zacisnęła zęby. Nie pozwoli sobie powiedzieć ani słowa więcej.

Był nieludzko przekonujący. Nie musiał nawet się odzywać; wystarczyło, że patrzył na nią tymi swoimi oczami, oczami, które mówiły, że jest nieszczęśliwy i że tylko Katie czyni jego życie znośnym.

Dowód na jego dar przekonywania stanowił fakt, że po tamtej koszmarnej pierwszej randce w Glyndebourne Katie w ogóle zgodziła się z nim jeszcze spotkać. Zdecydowana była nie mieć z nim nic więcej wspólnego, ale jakimś cudem namówił ją, aby dała mu jeszcze jedną szansę. Na drugiej randce, która była całkowicie inna od wycieczki do opery, ale prawdopodobnie równie ryzykowna, Conall zabrał ją na imprezę rodzinną. To były urodziny jego bratanków, Laddiego i Hectora, czternastoletnich bliźniaków z identycznymi nieprzyjaznymi fryzurami – włosy opadały im na oczy – i identycznym brakiem zainteresowania osobą Katie, kiedy została wprowadzona do niewielkiego salonu. Dopiero po interwencji Conalla burknęli coś na powitanie, ale pozostali w bezruchu, jeden na sofie, drugi na podłodze.

Katie czuła zażenowanie. Tylko ktoś mający nie po kolei w głowie uznałby coś takiego za dobry pomysł. Ale brat Conalla, Joe, łysiejący blondyn, okazał się sympatyczny, zresztą jego żona, Pat, także. Wtedy mała dziewczynka wpadła do pokoju i oświadczyła:

– Podobają mi się twoje buty.

– Do mnie mówisz? – zapytała Katie.

– A kto inny ma super buty?

To była Bronagh, siedmioletnia bratanica Conalla, tak niesamowicie do niego podobna, że Katie aż się roześmiała.

– Wiem – powiedział Joe. – Można by pomyśleć, że moja pani zabawiała się za moimi plecami z Conallem, ona się jednak zarzeka, – że nie.

Pat przewróciła oczami.

– Jestem szalona, ale nie aż tak. – Zbyt późno dotarło do niej, co powiedziała.

– Dzięki, Pat – rzucił Conall. – Jakbym miał mało problemów, żeby przekonać Katie, że jestem normalny!

– Pokaż nam nowy wóz! – Z tymi słowami Joe ruszył biegiem do drzwi. Nawet Gburowaci Bliźniacy porzucili odrętwienie na myśl o jeździe próbnej nowym lexusem wujka Conalla. Cała czwórka wyszła, a Pat udała się do kuchni, zostawiając Katie sam na sam z Bronagh, która westchnęła z przesadą.

– Chłopcy i ich zabawki. Daj mi przymierzyć swoje buty, a pomaluję ci paznokcie na srebrny kolor.

Kiedy mężczyźni wrócili z przejażdżki po okolicy, Bronagh porwała już Katie na górę i wyznała, że ją polubiła.

Ryzykowna akcja Conalla opłaciła się: ciepło jego rodziny przekonało ją, że może nie do końca jest niepoczytalny.

– Możesz mnie zabrać na lunch – oświadczyła Conallowi.

– A potem spadaj. Nie możesz tak po prostu...

– Wiem, nie mogę tak po prostu zjawiać się tutaj, oczekując, że porzucisz wszystkie plany, które masz od dawna, a to wszystko i tak moja

wina, bo to ja zgodziłem się przyjąć zlecenie w tygodniu, w którym przypadają twoje urodziny, a na domiar złego nie powiesiłem lustra.

Otworzyła usta, po czym je zamknęła. Doskonałe to ujął.

– Dokładnie.

– Dokładnie – zgodził się. – Ale nie możesz mieć człowiekowi za złe, że próbuje.

Gdy szli do restauracji, musieli uskoczyć przed śmigającym po chodniku rowerzystą.

– Jezu Chryste! – rzucił Conall. – Oni są, cholera, wszędzie.

– Przez nich dręczą mnie wyrzuty sumienia. Wciąż myślę, że powinnam zacząć jeździć do pracy rowerem.

– Ochrona środowiska? – Conall otworzył drzwi restauracji.

– Mhm... – To i jej uda. – Ale jestem taka leniwa. To zabawne, bo jako dziecko uwielbiałam rower.

Mężczyzna wyglądający na managera rozpoznał Conalla i zaprowadził ich prosto do zarezerwowanego stolika.

Gdy siedli, Katie zapytała:

– Miałeś rower?

Przez twarz przemknął mu cień.

– No co? – zapytała. – Jakoś dziwnie drgnąłeś.

– Miałem rower.

– Skąd więc to drgnięcie? Powiedz mi. To może być mój urodzinowy prezent.

– Dałem ci już zegarek!

– Powiedz.

Conall zawahał się.

– Wiesz, jak wyglądało moje dzieciństwo?

Dorastał w niezamożnej rodzinie. Nie była to skrajna nędza w stylu ***Prochów Angeli,*** pijany ojciec/matka lafirynda, ale żyli od pierwszego do pierwszego. Jego tato był hydraulikiem, a mama krawcową. Przez całe dzieciństwo Conalla największy pokój stanowił pracownię pani Hathaway, zarzuconą metrami materiałów, dziwnych wykrojów i na wpół uszytych sukni ślubnych. Zbyt szybko rósł i mama ciągle się martwiła o nowe buty dla syna.

– Nie mieliśmy pieniędzy na rowery.

Katie zakryła dłonią usta.

– Nie powinnam była pytać. Przepraszam.

Machnął ręką.

– W porządku, nic się nie stało. Ale Spudz[2] miał wtedy taką ofertę, że jeśli zebrało się pięć tysięcy opakowań po chipsach, dostawało się rower.

– Kto zebrałby pięć tysięcy opakowań po chipsach?

Przez chwilę panowała niezręczna cisza, po czym Conall rzekł:

– Ja.

– Ale jak?

– Musiałem znaleźć miejsce, gdzie chipsy jedzono w dużych ilościach. Poszedłem więc do miejscowego pubu I użyłem siły perswazji.

– Ile miałeś lat?

– Dziewięć. Nie, dziesięć. Nie, dziewięć.

– I co się stało?

– Barmani mieli niezły ubaw. Ale powiedzieli, że będą je dla mnie zbierać.

– I zbierali?

– Aha. I w trzech innych pubach także.

2 Firma produkująca chipsy

– W trzech innych! – Już jako dziewięciolatek był przedsiębiorcą. Co ona robi z tym mężczyzną?

– Trwało to prawie cztery miesiące, ale uzbierałem pięć tysięcy opakowań po chipsach i wymieniłem na rower.

– Co ty mi próbujesz powiedzieć?

Patrzyła, jak z powrotem zamyka się w sobie.

– Że dostałem darmowy rower, kiedy miałem dziewięć lat.

Że nigdy się nie poddawał? Że jeśli coś chciał, otrzymywał to? Że napędzało go coś, czego ona nigdy nie będzie w stanie pojąć?

– Moje lustro... – zaczęła.

– Wisi na ścianie.

– Od kiedy?

– Od... – Zerknął na zegarek. – Od godziny i czterdziestu czterech minut.

– Ślub Jasona?

– Wrócę na czas. Przysięgam na własne życie.

– Na własne życie?

– Na własne życie, zjawię się. Wszyscy w Helsinkach o tym wiedzą.

Wypuściła powoli powietrze, zastanawiając się, czy może się odprężyć.

– Przepraszam – wyrzucił z siebie Conall. – Za lustro. Za to, jaki jestem. Wiem, że nie pozwalasz sobie oddać mi się całkowicie...

Zaskoczyło ją to. Owszem, bardzo się starała nie oddać w pełni swego serca, nadziei i przyszłości mężczyźnie, który może nie jest w stanie zaopiekować się nimi. Ale nie sądziła, że on to zauważył.

– Kto wie, co z nami będzie – rzekł. – Ale nie uda nam się, jeśli tylko jedna osoba się angażuje.

Jeszcze nigdy nie był tak bezpośredni i Katie nie miała pewności, co odpowiedzieć.

– Ale, Conall, jesteś pracoholikiem. Przez to nie można na tobie polegać.

Wzdrygnął się.

– Zmienię się. Próbuję. Wyłączam komórkę, kiedy jesteśmy razem, nie zauważyłaś?

Zauważyła, ale... Zaryzykowała i wkroczyła na dziewiczy teren.

– Już raz złamano mi serce. Naprawdę nie wiem, czy mam dość energii na powtórkę.

– A kto powiedział, że tak właśnie się stanie? – Na jego twarzy malowała się powaga. – Równie dobrze mogę ci się znudzić.

– Może – przyznała.

– Nie dopuść do tego, proszę.

W jego głosie słychać było udrękę i nagle w powietrzu zawisło słowo MIŁOŚĆ, zataczając wokół nich pętlę, dekorując girlandami kwiatów i serduszek, i gołąbków, i różowego brokatu. „Kocham cię". Wisiało to tam i aby wlać w te słowa życie, wystarczyłoby, aby jedno z nich je wypowiedziało. „Kocham cię". Ale Katie

nie zamierzała tego robić.

Mimo że rzeczywiście zakochała się w nim, tak troszkę. Nie dało się nie zakochać. Był seksowny, seksowny, seksowny.

Inicjatywa leżała po jego stronie.

Spojrzał na nią, pytająco unosząc brew. Zaprezentowała mu obojętną minę, a on przyglądał jej się nieco zbyt długo.

– Okej. – Westchnął. – Złóżmy zamówienie.

Dzień 57…

– Cześć, Maeve.

– Cześć, Doreen.

– Co ma być?

– To, co zawsze.

– Szynka, chleb razowy, bez musztardy? Mimo że we współczesnej Irlandii można wybierać z niezliczonej ilości rodzajów kanapek?

– Odpowiada mi szynka.

– Paczka zwykłych chipsów. – Doreen położyła je na ladzie. – I puszka fanty. – Ale na półce nie było fanty. – Gdzie jest fanta? – zawołała Doreen do kogoś niewidzialnego za drzwiami.

– Skończyła się! – odkrzyknął głos.

Maeve zobaczyła, że dziewczyna stojąca w kolejce za nią wydaje się tą wiadomością równie zdruzgotana jak ona.

– Maeve, nie wiem, co powiedzieć, ale skończyła nam się fanta – rzekła Doreen.

– Kurczę! – jęknęła dziewczyna za Maeve. – Uwielbiam fantę!

– Cześć, Samantho. Przykro mi, dziewczęta. – Doreen wyglądała na zmartwioną. – Głowy za to polecą, to jedyne, co mogę powiedzieć. Zrobię wszystko, aby do poniedziałku mieć nową dostawę.

Nagle na zapleczu zrobiło się jakieś zamieszanie, po czym w drzwiach pojawiła się ręka, trzymająca jedną puszkę fanty.

– Ostatnia – odezwał się głos dołączony do ręki.

– Masz szczęście, Maeve – powiedziała Doreen. – Przykro mi, Samantho.

To była szansa Maeve. Dzisiejszy dobry uczynek, tu i teraz. Zmusiła

się, aby oddać puszkę Samancie i okazało się to trudne, niemal tak trudne, jak uśmiechanie się ciepło do przypadkowych przechodniów. Ale Samantha rozpływała się z wdzięczności, a Doreen dała Maeve w zamian gratisową puszkę sprite'a i Maeve starała się delektować tym ciepłem generowanym przez własną dobroć. Problem w tym, że nie lubiła zmian. Wszelkie zmiany w codziennych, rutynowych czynnościach, choćby nie wiadomo jak małe, rozstrajały ją i mimo że sprite był smaczny i odświeżający, przez resztę dnia czuła się nieciekawie.

Dzień 57…

Lydia, skacowana i wykończona, właśnie zabrała się za jedzenie lunchu, jogurtu truskawkowego i banana – to jedyne, co jej żołądek był w stanie przetrawić po tej całej ilości alkoholu, który wypiła zeszłej nocy – kiedy zadzwonił jej telefon. Numer kierunkowy hrabstwa Meath. Najpierw go nie rozpoznała – a potem owszem! Cholera.

– Lydia? Z tej strony Flan Ramble...

– Witaj, Flan. – Mówiła szybko. Znalazła się w szponach strachu. On dzwonił tylko ze złymi wiadomościami. Prawdę mówiąc sprawiał wrażenie, jakby go one cieszyły.

– Nie mów na mnie Flan. Dla ciebie jestem pan Ramble.

– Co się dzieje?

– Był mały... wypadek...

– Jaki? – Po prostu mi powiedz.

– Gdybym miał wypowiedzieć słowa „mały domowy pożar", pojęłabyś, co mam na myśli?

– Pożar? W domu? Mały?

– Brawo! Garnek zbyt długo stał na włączonej kuchence, zapaliły się zasłony, wyleciały szyby w oknach. W sumie nie stało się nic złego, ale będziesz się musiała zająć śladami po przypaleniu. – Zachichotał. – Lepiej tu szybko przyjedź razem z farbą i pędzlem.

– Jestem w Dublinie, panie Ramble. – Flan, Flan, Flan.

– Próbowałem złapać Murdy'ego albo Ronniego, ale są nieosiągalni.

A to mi niespodzianka.

– Jestem w Dublinie – powtórzyła Lydia. – Dzieli nas osiemdziesiąt kilometrów. I ogromne korki.

– Ktoś musi się tu zjawie – oświadczył Flan. Słychać było, że czuje się nieswojo.

„Murmańsk, Murmańsk, Murmańsk".

Choć nie przepadała za Flanem Ramble, bardzo nie przepadała, on jedynie przekazywał wiadomość.

– Okej, dzięki. Już jadę.

Nie było czasu na lunch. Wyłączyła na taksówce znak „WOLNY", zadręczając się utratą połowy dniówki, i ruszyła w stronę domu. Po drodze zadzwoniła do Murdy'ego, który, ku jej zaskoczeniu, odebrał.

– Myślałem, że to z banku – rzucił do słuchawki. – Mam tu kryzys! Cofnęli mi linię kredytową. Będzie po mnie, jeśli nie wycisnę skądś trzydziestu patyków.

I rozłączył się! Cholera, rozłączył! Przyzwyczajona była do tego, ale czy nie rozumiał, że tym razem jest inaczej? Gorzej. Pożar. Płomienie. Spalone zasłony. Poważna sprawa.

Natychmiast zadzwoniła do Ronniego, który – ku jej niedowierzaniu – odmówił angażowania się.

– Robisz z niczego dramat – oświadczył z doprowadzającym do

szału spokojem. – Znowu.

– Dom stanął w płomieniach!

– Skoro aż tak się martwisz, to czemu cię tu nie ma?

I także się rozłączył. Ssskkkk! Dlaczego tylko ona...? Drżącymi palcami wybrała numer Raymonda, ale miał wyłączony telefon. Czemu miałby go wyłączać? Ponieważ wiedział. Dostał cynk.

Pieprzyć go. Pieprzyć ich wszystkich, bandę egoistycznych, bezużytecznych kutasów. Oby sczeźli w Archangielsku. Oby bez rękawiczek znaleźli się w Murmańsku w samym środku zimy. Oby wypadli za burtę w suchym doku w Gdańsku. Będzie musiała jechać do Boyne w hrabstwie Meath i będzie musiała zrobić to teraz, jeśli chciała zdążyć przed piątkowym exodusem z Dublina. Wyjazd dwadzieścia minut później oznaczał dodatkowe trzy godziny drogi, których większość spędzi na N3, wdychając spaliny i stojąc przodem do popołudniowego, palącego słońca, w samochodzie bez klimatyzacji.

W ponurym nastroju poczyniła plany. Kiedy dotrze do Boyne, zrobi nalot na tego palanta Buddy'ego Scutta i nie da mu spokoju, dopóki nie dostanie tego, co chce. Powinna to była zrobić już parę miesięcy temu.

Ostatni telefon wykonała do Gilberta. Po wielu sygnałach włączyła się poczta głosowa.

– Nie będzie mnie dziś wieczorem. Możliwe, że jutro też nie. Zadzwoń do mnie.

Miała jednak przeczucie, że tego nie zrobi. Będzie się pewnie dąsać w dziecinnej próbie ukarania jej za porzucenie go tak w ostatniej chwili.

Czasami nachodziły ją wątpliwości w stosunku do Gilberta.

Poppy zawsze mówiła:

– Nie ufaj mężczyźnie, który ma dwie komórki.

A Gilbert miał trzy.

Trzy, o których wiedziała.

Na Star Street 66 weszła po schodach i wbiegła do kuchni, żeby włożyć do lodówki jogurt, okazało się jednak, że jest pełna – aż po brzegi – schludnie poukładanych puszek piwa, które chłopcy kupowali w polskim sklepie. Jan na weekend wyjeżdżał do dziewczyny, więc Andrzej najwyraźniej miał w planach popijawę z kumplami. W lodówce autentycznie nie było miejsca na jej jogurt. Jeden truskawkowy jogurt! Wiele dziewczyn potrzebowałoby miejsca na mleko sojowe i brokuły, i siemię lniane, i inne duże produkty. Andrzej i Jan nie mieli pojęcia, jak bardzo im się z nią poszczęściło.

Z plastikowego uchwytu wyszarpnęła jedno piwo, na jego miejsce wstawiła swój mały różowy jogurt, a puszkę piwa postawiła na środku kuchni, mając nadzieję, że Andrzej się o nią potknie.

Następnie, trzeźwo myśląca dzięki adrenalinie, zaczęła wrzucać do torby różne rzeczy – bieliznę, zapasowe dżinsy, iPoda. Czego jeszcze potrzebowała na ten nieplanowany krótki wyjazd? Dezodorant, szczoteczka do zębów, chusteczki do demakijażu... Zadzwonił domofon; pewnie któryś z mieszkańców zapomniał klucza. Wcisnęła guzik.

Przechodząc obok salonu rzuciła okiem na komputer. Powinna się zalogować do sieci? Tylko na chwileczkę? Pragnienie okazało się nagle prawie niemożliwe do odparcia. Nie, nie miała czasu. Ostatni rzut oka na łazienkę, na wypadek gdyby coś przeoczyła; w Boyne były oczywiście sklepy, ale może nie mieć czasu na... Co to takiego? Pukanie do drzwi mieszkania. Mińsk! Nie powinna była otwierać drzwi wejściowych bez sprawdzania, kto to taki. No ale nie szkodzi, wpadła w bardzo szybki rytm i kimkolwiek nie byli ci intruzi – mormoni, politycy – szybko się ich

pozbędzie. Zrzuci ich ze schodów w... Jak szybko będzie w stanie to zrobić? Uznała, że w piętnaście sekund.

Otworzyła drzwi.

– Jestem pobożną katoliczką, nie głosuję i nie mam pieniędzy, żeby cokolwiek kupić.

Na progu stała dziewczyna – a więc prawdopodobnie nie mormonka – i nie wyglądała na osobę parającą się polityką. Mówił o tym brak szerokiego, sztucznego uśmiechu. Ale mogła czymś handlować. Najpewniej beznadziejnymi kosmetykami.

– Szukam Aleksandra – odezwała się dziewczyna.

– To znaczy szukasz oświecenia? – Dziewczyna wyraźnie nie była Irlandką; może pomieszały jej się słowa.

– Nie. Szukam Aleksandra. Mężczyzny.

– Będziesz go musiała poszukać gdzie indziej. Tutaj nie mieszka nikt taki.

– To Ukrainiec.

– A może być dwóch Polaków?

– Ale to jest mieszkanie Aleksandra!

– Tu nie ma Aleksandra, a ja się spieszę!

Dziewczyna – zwinna i szybka – prześlizgnęła się obok Lydii i udała prosto do malutkiego pokoju.

– Tu mieszka.

– To mój pokój. Ach! Chodzi ci pewnie o poprzedniego lokatora. – Właściwie to Lydia widziała parę kopert zaadresowanych do Aleksandra jakiegoś tam. Andrzej zgromadził ich w kuchni mały stosik. – Już się zaczęłam martwić. Myślałam, że jesteś stuknięta.

– Aleksander się wyprowadził! – zawołała dziewczyna.

– Ale dokąd?

– Nie mam bladego pojęcia.

– Muszę z nim porozmawiać! Aleksander to seksowny, piękny mężczyzna.

– Zadzwoń do niego.

– Wykasowałam numer!

Lydia patrzyła na nią bezradnie, gorączkowo zastanawiając się nad rozwiązaniem, dzięki któremu pozbędzie się tej dziewczyny i wróci do pakowania.

– Pewnie zjawi się w końcu tutaj, aby odebrać pocztę. Napisz do niego liścik. Przekażę mu go.

Dziewczyna gorliwie napisała coś na kawałku papieru.

– Jestem Wiktoria. Proszę, powiedz mu, że musi do mnie zadzwonić.

– Powiem, powiem, a teraz muszę...

– Powiedz mu także, że popełniłam wielki błąd. Mężczyzna z ministerstwa rolnictwa był głupi i śmierdział krowami.

– Śmierdział krowami. Okej.

– Obiecujesz, że mu powiesz?

– Tak, tak, tak, obiecuję.

Ale Wiktoria nie ruszała się z miejsca, jakby uważała, że jeśli zostanie wystarczająco długo, ten Aleksander wygramoli się spod łóżka, cały zakurzony.

– Naprawdę go tu nie ma. Musisz już iść. Ja też mam mnóstwo problemów.

Dzień 57…

– Napijesz się z nami, Maeve?

Mili byli ci jej koledzy z pracy, że zawsze ją o to pytali, mimo że ani razu nie wybrała się z nimi na piątkową popijawę.

– Nie, dzięki. – Uśmiechnęła się. – Bawcie się dobrze. Do poniedziałku.

Maeve w piątkowe wieczory miała regularne spotkania. Pasował jej ten dzień, gdyż Matta także nie było w domu – chodził wtedy na kufelek razem ze swoim zespołem.

Punkt szósta Maeve skończyła pracę, wsiadła na rower i skierowała się na południe. Po ośmiu minutach pedałowania nagle dotarło do niej, co dzisiaj jest za dzień. Trudno uwierzyć, że dopiero teraz sobie o tym przypomniała, skoro przez cały dzień miała do czynienia z dniami i datami. Przez kilka pełnych szoku sekund z rozpędu dalej jechała, po czym zaskoczyła wielu ludzi – czterech kierowców, siedmiu przechodniów i przede wszystkim siebie – wykonując nagły skręt o sto osiemdziesiąt stopni. Jechała teraz w przeciwnym kierunku. Nie z powrotem do pracy – więc nie było tak, że właśnie sobie przypomniała, iż zostawiła tam coś, na przykład telefon czy portfel – ale w stronę rzeki, do portu. Drogi zrobiły się węższe, ale przemierzała je zygzakiem, podskakując na kocich łbach, jak kobieta, która dokładnie wie, dokąd jedzie. Potem zwolniła i zatrzymała się. W bocznej uliczce oparła rower o ścianę i wystukała szybkiego esemesa.

Przepraszam. Jestem chara. Da zab. za tydzień.

Częściowo schowana za budynkiem, Maeve obserwowała kompleks biurowy, mieszczący się po drugiej stronie ulicy. No Brainer Technology. Firma z branży IT, w tym mieście było ich całe mnóstwo. Ludzie

wysypywali się przez główne drzwi, prawie wszyscy młodzi i swobodnie ubrani.

Maeve patrzyła i patrzyła, a jej twarz pozbawiona była emocji, mimo że stopę wykręciła tak mocno, że stała zwrócona w przeciwnym kierunku. Ale nie czuła bólu. I niemal nie oddychała. A potem ogarnął ją szalejący płomień uczuć. Zluźniła nogę i odwróciła ją, stawiając tak, jak być powinna. Z budynku właśnie wyszedł jakiś mężczyzna. Wysoki, szczupły i przystojny w taki nieco niechlujny sposób, z postawą charakterystyczną dla poety.

Oddalał się od miejsca, w którym kryła się Maeve, ale coś kazało mu się zatrzymać, odwrócić głowę i spojrzeć przez ramię. Zobaczył ją. Ich spojrzenia się skrzyżowały i połączył ich przewód rozgrzanej do białości energii. Przez kilka sekund pulsował i iskrzył, a potem oczy i twarz mężczyzny stały się pozbawione wyrazu, jakby przewód wyciągnięto z gniazdka. Opuścił głowę i ruszył przed siebie.

Ten właśnie mężczyzna był obecny w mieszkaniu Maeve i Matta. Ta właśnie osoba wdzierała się podstępem, zakłócając idealną harmonię tej pary.

Nagle Maeve desperacko zapragnęła znaleźć się gdzieś indziej, gdziekolwiek, ale tak bardzo trzęsły jej się nogi, że nie była w stanie wsiąść na rower. Powoli, ostrożnie stawiając stopy na nierównych kocich łbach, prowadziła rower i prowadziła rower, i prowadziła rower, aż drżenie ustało.

Dzień 57…

Andrzej i Jan szli wzdłuż Eden Quay. Prowadzili dużego, przysadzistego mężczyznę, który chyba nie był w stanie iść ani nawet stać prosto. Można było uznać, że ciut za dużo wypił podczas piątkowej przerwy

na lunch.

Idąc tak we trójkę ramię w ramię, robili sporo zamieszania, a przechodnie musieli ustępować im z drogi. Następnie odwracali się i obrzucali ich wrogimi spojrzeniami. Tyle że po dokładniejszym przyjrzeniu się stawało się jasne, że ta środkowa osoba to nie otyły mężczyzna w stanie upojenia alkoholowego, lecz bardzo duży miś. Większy, prawdę mówiąc, od Andrzeja i Jana.

Cała trójka szła dalej, kierując się w stronę dworca autobusowego.

Jan miał wkrótce wsiąść do autobusu do Limerick, gdzie aktualnie mieszkała Magdalena, jego ukochana. Pracowała w recepcji dużego hotelu. W niedzielę miała urodziny, a Magdalena należała do mocno maskotkowych dziewcząt.

– Do Limerick? – zapytał mężczyzna w kasie. – Jedna osoba?

– Jedna osoba.

Mężczyzna, niejaki Mick Larkin, wychylił się ze swego obrotowego krzesła, aby się lepiej przyjrzeć.

– On jedzie?

– Kto? – zapytał Andrzej. – Bobo?

– Bobo to miś?

– Tak.

– Bobo potrzebuje biletu. Jest za duży. Musi mieć własne miejsce.

– Jedzie odwiedzić ukochaną – zaprotestował Andrzej.

– Kto? Bobo? – Pan Larkin był biurokratą. Lubił dokładnie wiedzieć, z czym ma do czynienia.

– Nie. Jan. Ten tutaj. Magdalena ma urodziny, jest droga w utrzymaniu. – (Prawdę powiedziawszy Magdalena była słodka i bezproblemowa, ale Andrzej uwielbiał to określenie i używał go przy każdej

nadarzającej się sposobności.) – Jan ostrożnie gospodaruje pieniędzmi i potrzebuje całej kwoty, jaką zabrał ze sobą.

Pan Larkin wzruszył ramionami.

– Bobo potrzebuje biletu.

– Nie ma w panu ani odrobiny romantyzmu – rzekł z żalem Andrzej.

– W was też nie. Jesteście Polakami, nie Włochami.

W Andrzeju wezbrał gniew. Wszyscy błędnie ich oceniali. Uważali, że Polacy to pracowici, ale niezdolni do żarliwych uczuć budowlańcy. Nie mieli pojęcia, jacy są naprawdę.

Jan dokonał szybkich obliczeń swoich funduszy, a po uzyskaniu wyniku oświadczył:

– Andrzej, jestem posępny.

– Widzi pan? – Andrzej pokazał na żałosną minę Jana.

– Widzi pan, jaki jest przez pana posępny!

– Posępny. – Andrzej usłyszał, jak mówi to ktoś z tyłu kolejki. – Obecnie rzadko się słyszy to słowo.

– Owszem, a jest całkiem dobre – odezwał się inny głos.

– Dobrze brzmi. Posępny! – To znowu ten pierwszy ktoś.

– Posępny! Ciekawe, czemu to słowo wyszło z użytku.

– Nowy głos. Dyskutowało teraz już kilka osób. – Posępny, posępny, posępny, posępny. Co mówimy zamiast tego?

– Smutny.

– Wkurzony.

– Zniechęcony. Zasmucony. Przygnębiony. W depresji. Zdołowany.

– Nic dziwnego, że to słowo wyszło z użycia! Rynek zalały zupełnie inne określenia. Prawo popytu i podaży, tak to zawsze działa.

– Co się dzieje tam z przodu z misiem? Nie zdążę na autobus –

odezwał się mężczyzna, sześć osób za Janem.

– Choć może okazałoby się to błogosławieństwem. Weekend z rodziną, no wiecie, co czuję...

– O tak – dodała dziewczyna stojąca przed nim. – Zasmucony. Zniechęcony. Przygnębiony. W depresji. Zdołowany.

– Posępny! – uzupełnił i kolejka zaniosła się śmiechem.

– Nie chcę się spóźnić na autobus – powiedziała inna kobieta. Zbliżyła się do początku kolejki i zasugerowała:

– Mógłby posadzić misia na kolanach.

Pan Larkin pokręcił z żalem głową.

– Bobo jest za duży.

– Bobo to miś? No dobrze, ten pan mógłby usiąść na kolanach Bobo.

– Prawdę mówiąc, mógłby...

Andrzej machał na pożegnanie Janowi, usadowionemu na kolanach Bobo i wypowiedział bezgłośnie: „Jesteś wielki”. Gdy tylko autobus zniknął mu z pola widzenia, Andrzej udał się na siłownię, gdzie przez sześćdziesiąt siedem minut podnosił ciężary, a potem popędził do domu, aby podziwiać swoje piwo. Zacierał ręce, ciesząc się wolnością. Andrzej dźwigał wielkie brzemię odpowiedzialności: stanowił główne źródło dochodu dla rodziców i młodszych sióstr w Gdańsku; bardzo się troszczył o Jana, dla którego życie w tym kraju okazywało się chyba jeszcze trudniejsze niż dla niego; no i zaczął się martwić o to, czy Rosie wraca bezpiecznie do domu po nocnej zmianie, mimo że nadal nie chciała pójść z nim do łóżka. Czasami Andrzej miał wrażenie, że jest odpowiedzialny za cały świat. Ale dzisiaj całe brzemię zostało z niego zdjęte. Wysłał do domu pokaźny przelew; na czas weekendu Jan znajdował się pod opiekuńczymi skrzydłami Magdaleny; Rosie była w Cork na wieczorze panieńskim, a więc nie podchodziła pod

jego jurysdykcję; miał lodówkę pełną piwa, a później zjawią się u niego kumple; jednak najlepsze ze wszystkiego było to, że ten paskudny chochlik wyjechał. Poznał to po tym, że zniknęła jej torba podróżna. I dezodorant.

W weekendy zazwyczaj jej nie było – zadręczała Biednego Palanta – ale Andrzej żywił małą, sekretną nadzieję, że brak torby może sygnalizować dłuższą nieobecność.

Nic, nawet potknięcie się o stojącą na środku kuchni puszkę z piwem, nie było w stanie zakłócić jego szczęścia.

Dzień 57…

Kolejne rzeczy, których Lydia nie znosi:

Gazety starsze niż ośmioletnie Spalone garnki

Poczekalnie w gabinetach lekarskich Smród gnijącego jedzenia Recepcjonistki w gabinetach lekarskich Zapach gumowych rękawic Lekarze

Jej brat Murdy Jej brat Ronnie Jej brat Raymond Dr Buddy Scutt

Domy, gdzie nie ma łącza internetowego, choćby modemu

Uwaga: to nie jest pełna lista.

Dzień 56

Matt i Maeve próbowali przejechać wózkiem z zakupami przez korek, który utworzył się w dziale mięsnym.

– Niedziela pizza. Poniedziałek jagnięcina – mruczała Maeve, odliczając na palcach. – Ryba, wtorek i środa. Wołowina, czwartek, piątek coś na wynos. No więc co zjemy dzisiaj?

– Maeve...

– Tak?

– Dzisiaj wychodzimy.

– Och.

– Urodziny mamy. Sześćdziesiąte piąte. Maeve... – Pokręcił głową. To było niemal zabawne. – Niemożliwe, żebyś zapomniała.

– Nie zapomniałam – przyznała Maeve. – Bardzo się starałam, ale jak mogłam, skoro przez ostatni miesiąc przypominałeś mi o tym praktycznie codziennie. Stosowałam jedynie wyparcie. Mając nadzieję, że jeśli będę udawać, że tam nie idziemy, to rzeczywiście nie pójdziemy.

– Ale idziemy.

– Nie musimy więc kupować niczego na dzisiaj?

– Nie. W l'Ecrivain serwują pierwszorzędne żarcie.

– O której mamy tam być?

– O wpół do ósmej.

– No to pewnie nie ma sensu iść dzisiaj na wycieczkę. Musiałaby być naprawdę krótka, żebyśmy w porę zdążyli wrócić.

– Masz rację. No ale szkoda. – Matt starał się udawać, że nie poczuł ulgi.

On i Maeve chodzili w każde sobotnie popołudnie na wycieczkę po wzgórzach Wicklow. Tyle że nie byli tam już od tygodni. Wielu tygodni. Mógł więc sobie leżeć na sofie i oglądać mecz rugby.

Irlandia dostawała akurat po tyłku od Anglii, kiedy do salonu wślizgnęła się Maeve.

– Maaaaaaatt?

– Hmmm? – Nie był w stanie oderwać wzroku od telewizora.

– Matt. Źle się czuję.

Tym przykuła jego uwagę. Odwrócił się i spojrzał na nią.

– Ale jak źle?

– Brzuch mnie boli. Zbiera mi się na wymioty. Chyba nie bardzo mogę dzisiaj iść.

Matt patrzył na nią. Nagle zebrało mu się na płacz.

– Proszę, Maeve. Nie dałabyś rady? Nie widzieli cię od wieków. Pomyślą, że cię zamordowałem i zakopałem w ogrodzie.

Zwiesiła głowę.

– Nie będzie tak źle – namawiał. – Będzie nas tylko sześcioro. Gdyby organizowali wielką imprezę, byłoby gorzej.

Ale imprezy były lepsze. Łatwo wtopić się w tłum, a jeśli dobrze się wszystko rozegrało, prawie z nikim nie musiało się rozmawiać.

– Okej – rzekła. – Pójdę.

– Dziękuję.

– Jak bardzo wytworna jest ta restauracja?

– Znasz mamę. Im coś jest wytworniejsze, tym lepiej.

– Mogę iść w dżinsach?

– Jeśli chodzi o mnie, to możesz iść w czym tylko masz ochotę. Ale gdybyś miała jakąś sukienkę...

Kiedy Matt i Maeve zjawili się w l'Ecrivain, Hilary i Walter Geary siedzieli w części barowej, pijąc już po pierwszym drinku. Hilary, filigranowa, stylowa pani w jasnoróżowej dopasowanej sukience, mówiła coś do Waltera, potężnego, małomównego pana w żółtym pulowerze. Hilary piła gin, a Walter czystą whisky, co z ciężkim sercem dostrzegł Matt.

– Wszystkiego najlepszego, mamo. Przepraszamy za spóźnienie – powiedział Matt. Maeve musiała przymierzyć wszystkie swoje ubrania, nim w końcu znalazła sukienkę, w której czuła się swobodnie.

Hilary zerwała się z miejsca, aby rozdawać pachnące uściski.

– Nie spóźniliście się! To my zjawiliśmy się przed czasem.

– Spóźnili się – rzucił Walter do swej szklanki. – Ale nie tak bardzo, jak jego brat.

– Ignorujcie go. – Hilary zamknęła Maeve w ciężkim od perfum uścisku. – Cudownie cię widzieć, Maeve.

– Zaczynaliśmy się zastanawiać, czy Matt cię nie załatwił – rzekł Walter, po czym dopił drinka.

– Ćśśś! – Hilary uderzyła go żartobliwie wierzchem dłoni. – Nie zwracajcie na niego uwagi. Wiemy, że Maeve jest zajęta. I to nie jej wina, że zdarza jej się zachorować. Wszyscy od czasu do czasu chorujemy.

Walter uniósł szklankę i rzekł do barmana:,

– Jeszcze raz to samo.

– A oto Alex i Jenna – powiedziała Hilary.

Przystojna para: Alex był wyższą, szczuplejszą, odrobinę starszą wersją Matta, a Jenna wyglądała letnio i świeżo z długimi, jasnymi włosami i chabrowymi oczami. Dzisiaj miała na sobie efektowną koralową sukienkę na ramiączkach i seksowne pantofle bez pięty.

– Kupiłaś tę sukienkę! – wykrzyknęła Hilary, pokazując na Jennę.

Jenna pokręciła głową.

– Powinnam cię była posłuchać. Nie potrafiłam przestać o niej myśleć i w końcu po nią wróciłam.

– Mówiłam ci! – Hilary zaśmiała się. – Na ubraniach to się akurat znam, a ta sukienka była dla ciebie stworzona.

– Następnym razem cię posłucham.

– A gdzie przytulenie? – narzekał Walter.

– Nie przytulę cię – zaśmiała się Jenna. – Jesteś zbyt gderliwy. – Ale potem ustąpiła i pocałowała go w czoło.

– Cześć, Matt. – Jenna cmoknęła go szybko w policzek i przeniosła uwagę na Maeve.

Matt dostrzegł oceniające spojrzenie, jakim bratowa obrzuciła jego żonę: zmięta, obszerna sukienka, sandały Birkenstock i potargane loki. Jenna nie patrzyła jak suka, bo nie była suką. Jej mina wyrażała bardziej... cóż... litość.

– Skoro wszyscy się w końcu zjawiliście, możemy iść do stolika? – zapytał Walter. – Chce mi się jeść.

– A prezenty urodzinowe dla Hilary? – Jenna trzymała wymyślnie zapakowane pudełko z mnóstwem wstążek i gwiazdek.

– Gdy już złożymy zamówienie – rzekł Walter, idąc do części restauracyjnej.

– Dawno się nie widzieliśmy – rzekł znacząco Alex do Matta.

Matt zaśmiał się z przymusem.

– Wiesz, jak to jest, praca i w ogóle.

– Nadal zajęty?

– Strasznie! – Matt w żadnym razie nie zamierzał wspomnieć o tym, że dwóch członków jego zespołu w zeszłym miesiącu straciło pracę. Chęć

zaimponowania starszemu bratu była równie automatyczna jak oddychanie.

– Nawet w OKE?

– Co takiego... ach, w Obecnym Klimacie Ekonomicznym? Tak, radzimy sobie. – Przydałaby się jakaś duża sprzedaż, ale klienci nie bardzo się do tego kwapili.

– Słyszałem, że zwolniliście dwie osoby.

Cholera. Skąd Alex wiedział? Tak to już było, jak się mieszkało w Irlandii: wszyscy wszystko o tobie wiedzieli.

– No tak, ale teraz jest już okej.

Paradoksalnie po tych zwolnieniach reszta jego zespołu – cztery osoby – czuła się bezpieczniej. Najgorzej było czekać, aby się przekonać, komu pokażą drzwi.

– Tobie nic nie grozi?

Matt pokręcił głową.

– Jestem kierownikiem działu sprzedaży, więc beze mnie nie byłoby tej sprzedaży. A co u ciebie? Zajęty?

– Jak nigdy. Kryzys, akurat. – Alex pracował w firmie farmaceutycznej jako przedstawiciel handlowy. – Choroba jest odporna na recesję. A nawet lepiej się trzyma. Wszyscy łykają antydepresanty.

– Coś nowego, jeśli chodzi o plany ślubne? – zapytała Hilary Jennę. Alex i Jenna w październiku brali ślub.

– Nic się nie zmieniło od naszego ostatniego spotkania.

– W sumie widziałyśmy się zaledwie kilka dni temu.

– W głosie Hilary odezwało się rozczarowanie.

– Ale za to wieczór kawalerski – wtrącił Alex – zapowiada się bardzo dobrze. Russ kontaktował się z tobą?

Russ był najlepszym przyjacielem Alexa i razem z Mattem miał

drużbować na jego ślubie.

– Nie.

– Nie? Mówił, że napisze do ciebie. No nieważne, wszystko już ustalone. Lecimy do Vegas.

– Vegas! A co z Amsterdamem?

– Wszyscy jeżdżą do Amsterdamu.

– Nie uda nam się załatwić Vegas w weekend.

– Zgadza się. Dlatego właśnie spędzimy tam tydzień. Tydzień? Matt i Maeve wymienili spojrzenia.

– Ostatni tydzień sierpnia – dodał Alex. – Dopilnuj, żeby ci dali urlop.

– Słuchaj... Alex... Jestem twoim drużbą. To ja organizuję wieczór kawalerski. Nie ty.

– Jesteś drużbą razem z Russem. Ostatnie dwa razy nie dałeś rady się spotkać, więc zabraliśmy się za to bez ciebie i zorganizowaliśmy Vegas. Co reszcie pasuje doskonale.

– Ale co robilibyśmy w Vegas przez cały tydzień?

– Sporo przychodzi mi do głowy – wtrącił Walter.

– Ty też się wybierasz? – zapytał Matt ojca.

– Oczywiście! To wieczór kawalerski mojego pierworodnego! To znaczy tydzień kawalerski. Podobno w Vegas są świetne pola golfowe, więc nie będziemy się nudzić.

– Nie gram w golfa – rzekł Matt.

– No to zacznij – powiedział Alex. – Zostały ci jeszcze dwa miesiące. A zresztą czas, abyś się za to zabrał; to jedna z niewielu rzeczy, jakich ty i Maeve nie próbowaliście. Jazda konna, narty, rowery górskie, wycieczki...? A skoro o nich mowa, to jak tam wasze chodzenie po górach?

– Świetnie. Świetnie.

– Byliście dzisiaj? Idealny dzień na coś takiego.

– Nie, uznaliśmy, że będzie tam za dużo dzieciaków, a musieliśmy wrócić na tyle szybko, żeby zdążyć do restauracji.

– A w zeszły weekend?

– W zeszły weekend chyba byliśmy? Byliśmy, Maeve?

– Chyba tak – odparła Maeve.

Alex przyjrzał im się badawczo; wiedział, że oboje kłamią.

Nagle Hilary przyłożyła dłoń do ust, a potem rzekła do Maeve:

– Boże mój, właśnie sobie przypomniałam. Zapomnieliśmy o waszej rocznicy.

– ... Rrrocznicy? – zapytała Maeve.

– Rocznicy waszego ślubu? Dwa dni temu. Strasznie was przepraszam, ale w tym całym zamieszaniu z Jenną i Alexem... Wszystko dobrze, Maeve? Zbladłaś trochę.

– Nic mi nie jest.

Hilary przyglądała się uważnie twarzy synowej.

– Rzeczywiście zbladłaś. – W oczach Hilary pojawił się błysk. – O mój Boże! Jest coś, o czym chcielibyście nam powiedzieć?

– Ale co?

– Jakaś wyjątkowa wiadomość? – Twarz Hilary promieniała nadzieją. Także od ginu.

– Maa – aamo. – Matt skrył twarz w dłoniach. Tak właśnie się działo, kiedy jego matka nie poprzestawała na winie. – Maeve nie jest w ciąży. Jeśli tak się stanie, powiemy wam. Nie musisz ciągle o to pytać.

– Ale nie mogę się powstrzymać! – Hilary mówiła lekko bełkotliwie. – Jesteście małżeństwem już ponad trzy lata, a tylko ja w klubie tenisowym

nie mam jeszcze wnuków. Stawia mnie to w kłopotliwym położeniu!

– Przykro mi, mamo – powiedział cicho Matt.

Maeve wpatrywała się w swoje uda. Paliła ją twarz.

– No bo możecie poszukać pomocy – ciągnęła Hilary. – Jeśli macie „trudności”.

– Boże – jęknął Alex. – Kto pozwolił jej pić gin?

– Testy i różne takie. Zaczęliby od ciebie, Matt. Musiałbyś pójść do takiej małej kabiny...

– Przestań! Natychmiast przestań! – przerwał jej Alex.

– Żaden mój syn nie będzie chodził do małych kabin – zagrzmiał Walter. – Żaden mój syn nie strzela ślepakami.

– Tydzień w Vegas? – zapytała Maeve, gdy taksówką wracali do domu.

– Ja nie jadę.

– To twój brat, jesteś jego drużbą, musisz jechać.

Dzień 56…

Niecałe trzydzieści metrów od l’Ecrivain, w innej restauracji, Katie oraz pięć innych kobiet świętowało jej czterdzieste urodziny.

– Biedna Katie. – Dawn westchnęła pijacko. – Nie dane ci było mieć dzieci.

– Jeszcze nie umarłam.

– Nie ma dla ciebie nadziei – ciągnęła Dawn. – Ten Conall, on nie chce dzieci, prawda?

Katie spojrzała na Naomi, która najwyraźniej nie potrafiła utrzymać języka za zębami.

– Skąd wiesz, że nie chce mieć dzieci?

Naomi spąsowiała.

– Powiedziałam jedynie, że nie jest typem domowym.

– Czemu?

– Nie powiesił lustra.

– Powiesił.

– Nie spieszył się z tym.

– Ale teraz wisi.

– Lepiej, żeby wrócił z Helsinek na ślub Jasona – wyrzuciła z siebie Naomi.

– Wróci.

– A jeśli nie?

A jeśli nie...?

– Przepada za swoją bratanicą, Bronagh. – Katie nie powinna bronić Conalla przed Dawn. – Jest jego chrześniaczką 1 świetnie się dogadują. A jest mała, ma dopiero siedem lat.

– Naprawdę? To nie wydaje się w jego stylu.

– Ale nawet go nie poznałaś!

– A oto idą nasze martini! – zawołała desperacko Sinead. – Cudownie mocne drinki. Tego właśnie nam trzeba!

Atmosfera stawała się pełna napięcia. Zazwyczaj świetnie się ze sobą dogadywały, pomimo różnic w ich życiu rodzinnym i uczuciowym: Naomi, mężatka z dwójką dzieci; MaryRose, samotna matka; Sinead, bezdzietna singielka; Tania, mężatka z dwójką dzieci; Katie, dziewczyna Conalla i z tego powodu przebywająca w strefie półcienia, gdzieś na ziemi niczyjej, gdzie może i nie była singielką, ale z całą pewnością jej związku nie można nazwać bezpiecznym i trwałym.

To przez Dawn. To ona stanowiła źródło problemów, a nawet nie była przyjaciółką Katie; została zaproszona jedynie z grzeczności.

– Założę się, że nie poznałaś jego rodziców – powiedziała teraz.

– Kogo? Conalla? Poznałam.

– Nie lubią cię? Uznali, że chodzi ci tylko o jego pieniądze?

– ... Ach, nie. – Kilka razy spotkała się z Ivorem i Itą i zachowywali się przyjacielsko, ale nie przesadnie. Nie traktowali Katie jak zbawczym, kobiety, która może w końcu zmusi ich najstarszego syna do ustatkowania się. – I mnóstwo razy miałam okazję widzieć się z jego bratem i dziećmi.

– No, może nie mnóstwo. – W zeszłym miesiącu byłam na pierwszej komunii Bronagh.

Dawn przełknęła łyk martini z granatem.

– Jak sobie dasz radę, kiedy cię rzuci?

Wszystkich zmroziło. Dawn jedynie wypowiedziała na głos to, co wszyscy inni myśleli, ale nagle Katie zaczęło to irytować.

– Dawn... – powiedziała niespokojnie Naomi.

– Wylądujesz w wariatkowie – uznała Dawn.

– Wystarczy – rzuciła ostro Katie. – Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

– Ale ja... – Dawn wyglądała na przerażoną. Katie normalnie była taka... miła, sympatyczna.

Katie poczuła się fatalnie. To już druga ostra wymiana zdań, jaką odbyła w ciągu kilku dni. Pierwsza z mamą o kolorze jej włosów, a teraz to. Boże. To prawda, co mówiła Naomi: po przekroczeniu czterdziestki zrobi się nagle strasznie kłótliwa i nic nie będzie w stanie na to poradzić. Wszędzie narobi sobie wrogów.

– Dawn, słuchaj, przepraszam. – Nie mogła żywić do niej urazy.

Dawn miała małe dziecko, od siedmiu miesięcy nigdzie nie wyszła wieczorem i zarówno jej ogłada towarzyska, jak i tolerancja na mocne trunki pozostawiała wiele do życzenia

– Nie uprawiałam seksu od dwóch lat! – oświadczyła Sinead, dyplomatycznie próbując skierować rozmowę na inny tor. – Ostatni raz podczas trzydziestych ósmych urodzin Katie. To była super noc. Pamiętacie tamtych Słowaków, których poznałyśmy...

– Ja nie uprawiałam seksu od jedenastu miesięcy – wtrąciła Naomi.

– Ale przecież jesteś mężatką! Oddałabym wszystko za regularny seks – oświadczyła Sinead.

Naomi cmoknęła.

– Jeśli chodzi o mnie, to mogłabym już nigdy tego nie robić.

Katie westchnęła w duchu. Wiedziała, dokąd to zmierza. Do rozmowy o czekoladzie. Wszystkie obecne kobiety, które miały stałych, wieloletnich partnerów (Naomi, Dawn i Tania) zaraz zaczną narzekać, jak to ich faceci ciągle im wiercą dziurę w brzuchu o seks, ale że one chętnie nie uprawiałyby go już do końca życia, gdyby w zamian mogły co wieczór pałaszować tabliczkę czekolady.

No i proszę bardzo, zaczęło się przerzucanie nazwami batoników: mars; twirls, twix (niezbyt lubiany); bounty.

– Seks z Ralphem raz w miesiącu czy twix każdego wieczoru? – zapytała Tania Naomi.

– Twix, twix! A ja nawet nie lubię twixów!

– Ja też nie. Czemu tak jest?

– To przez kruche ciastko – stwierdziła ze znawstwem Naomi.

– Masz rację! Właśnie przez to!

Wtedy Dawn wspomniała o słodyczach Green & Black i rozmowa

zrobiła się na tyle głośna, że jeden z kelnerów musiał je uciszać.

Dzień 55

Andrzej leżał na łóżku i cicho płakał. Połączenie tęsknoty za domem, kaca po weekendowym ostrym piciu i tego, że jest niedzielny wieczór, najgorszy wieczór tygodnia, okazało się zbyt przytłaczające.

Kiedy usłyszał klucz w drzwiach, zdziwił się, ponieważ Jan miał wrócić z Limerick dopiero nazajutrz rano. Ale nie spodziewał się także złośliwego gnoma. Niedzielne wieczory spędzała zawsze z Biednym Palantem. Ale to była na pewno ona; słyszał ją, jak porusza się lekko, roznosząc po mieszkaniu swój wyjątkowy rodzaj jędzowatości.

Ukrył twarz w poduszce, próbując zdusić szloch. Gnom nie mógł go usłyszeć.

Lydia także nie była w szczytowej formie. Wykończona i przygnębiona po weekendzie, z perspektywą pobudki o piątej trzydzieści i siedemdziesięciogodzinnego tygodnia pracy. A sądząc po unoszącej się w powietrzu atmosferze gburowatości, przynajmniej jeden Polak był w domu. Pewnie Andrzej.

Gilbert by jej pomógł. Brakowało go jej podczas weekendu. Poszukała telefonu, wcisnęła ponowne wybieranie i jeszcze bardziej się zirytowała, kiedy włączyła się poczta głosowa – znowu. Ignorował Lydię od piątku, najpewniej wkurzony jej nagłym zniknięciem. Weekendy spędzali razem. Oboje pracowali w piątkowe i sobotnie wieczory, najczęściej do później nocy, więc sobotę i niedzielę spędzali razem, rozkoszując się sobą w wielkim łóżku Gilberta.

– Przestań się dąsać, dzieciaku – rzuciła do słuchawki.

– Wróciłam i chcę się z tobą spotkać.

Przez chwilę się zastanawiała, ale tak na poważnie, gdzie konkretnie jest teraz Gilbert i co robił podczas weekendu. Nie miała dowodów na to, że spotyka się z innymi dziewczynami, ale zaskoczyło ją nieprzyjemne uczucie niepewności, które ją ogarnęło.

Powinna coś zjeść. Albo może się przespać.

Poppy zawsze powtarzała, że Gilbert prawdopodobnie ma w Lagos żonę i szóstkę dzieci. Przyjaciółki Lydii chętnie żartowały na temat drugiego życia Gilberta. Lydia zawsze sobie z tego drwiła. Osoba mająca na utrzymaniu siedem osób nie wydawałaby na ubrania tyle pieniędzy, co on.

Ale mogło tak być, przyznała. To wcale nie było niemożliwe.

Gilbert był tajemniczy.

Nieszczery, jeśli ktoś woli.

Kiedy się poznali, powiedział, że ma trzydzieści lat, ale kilka tygodni później wymknęło mu się, że tylko dwadzieścia siedem. Pewnych rzeczy na jego temat – na przykład że ma udziały w niewielkiej restauracji na North Great Georges Street – dowiedziała się od Odenigbo. Gilbert nigdy nie wspomniał o tym ani słowem. No ale w sumie czemu miałby to robić? Nie była jego właścicielką, a poza tym on też o niej nie wiedział całego mnóstwa rzeczy.

Musiała jednak przyznać, że niektóre kłamstwa Gilberta wydawały się zaskakujące i niepotrzebne. Powiedział jej, że ma alergię na jajka. Silną alergię. Twierdził, że kęs bezy może go zabić. Widziała jednak, jak spokojnie wcina omlet i wcale nie napuchł strasznie i nie tarzał się po podłodze, walcząc o oddech i wzrokiem błagając o zastrzyk z adrenaliny.

Lydia rozumiała, że kłamie, aby zaciemniać obraz i nie dopuścić do

tego, by poznała go tak do końca. Gilbert część spraw musiał zachowywać wyłącznie dla siebie. Taki już był j według Lydii lepszy taki facet niż dureń, który upiera się ujawnić na swój temat wszystkie fakty, a potem oczekuje, że ona zrobi to samo.

Niemniej jednak dzisiaj żałowała, że jej chłopak nie jest odrobinę mniej tajemniczy. Był pogodny letni wieczór, a ona dostawała świra na myśl o tkwieniu w tym mieszkaniu. Z desperacją wystukała kilka esemesów, ale nikt nie mógł wyjść i się zabawić. Shoane nadal leżała w łóżku, lecząc kaca po zeszłej nocy, a Sissy miała randkę! Z jakimś facetem, którego poznała w kolejce do kasy na dworcu autobusowym. Poppy siedziała nad wielką kartką papieru, próbując zrobić plan rozsadzenia gości na swoim weselu. I to wcale nie było proste, ponieważ różni członkowie rodziny nie rozmawiali ze sobą i trzeba ich było posadzić jak najdalej od siebie.

– Niech sami to załatwią – poradziła Lydia.

– Nie mogę do tego dopuścić. – Po chwili milczenia Poppy rzekła żałośnie: – Ale czasami mam ochotę uciec od tego wszystkiego.

Lydia doskonale ją rozumiała. Gdyby to ona wychodziła za mąż w wieku dwudziestu sześciu lat, wariowałaby ze strachu. Nie potrafiła pojąć, dlaczego Poppy się na to pisze. Była taka młoda, tyle lat życia jej jeszcze zostało, a każdy rok będzie musiała spędzać z Bryanem, który może i był miły, ale czy Poppy utrzyma swoje nim zainteresowanie przez pięćdziesiąt następnych lat? Na myśl, że sama miałaby tego dokonać, zrobiło jej się zimno z przerażenia.

– Wyjdźmy gdzieś dzisiaj. Kilka drinków cię zrelaksuje.

– Lids, nie mogę. – W głosie Poppy pobrzmiewała nutka histerii.

– Mogłabym przyjechać i pomóc ci z tym planem.

– Ale ty byś mi nie pomogła. Mówiłabyś, że jestem idiotką,

wychodząc za mąż w wieku dwudziestu sześciu lat, że Bryan jest nudny...

– Nigdy nie powiedziałam, że Bryan jest nudny...

– Solidny! Powiedziałaś, że jest solidny. A to znaczy to samo co nudny.

– Lubię Bryana!

– Ale nie chcesz za niego wyjść.

– Bo ty to robisz.

– Nie chcesz też, żebym ja za niego wyszła.

– Chcę tego, co daje ci szczęście. – Lydia pomyślała, że to jedno z najbardziej przydatnych zdań, których nauczyła się w życiu. Dyplomatyczne i bez nieszczerości. Brzydko jest kłamać. Jakieś standardy trzeba w końcu mieć.

– Ale nie uważasz, że ślub z Bryanem da mi to szczęście.

– Uważam, Poppy.

– Ale...

– Naprawdę. No dobra, kończę, nie chcę ci przeszkadzać. Powodzenia i w ogóle.

Rozłączyła się, czując ogromną ulgę, że udało jej się uwolnić od tej spirali. Zbliżający się ślub doprowadza ludzi do prawdziwego szaleństwa.

Lydia ponuro zastanawiała się, jak spędzić wieczór. Mogła popracować – właściwie to nawet powinna, żeby choć trochę się odkuć za to, co straciła przez weekend. Wyobraziła sobie, jak schodzi po schodach, wsiada do samochodu i wkłada kluczyk do stacyjki – ale każda komórka w jej ciele głośno zaprotestowała. Dzisiaj po prostu nie dałaby sobie rady z tymi wszystkimi „Dzięks” i ***„Muchas gracias”.*** Nie dzisiaj.

Mogła się zalogować do Internetu i trochę pogrzebać, ale wolałaby już chyba jeździć na taksówce. Sparaliżowana tym nieprzyjemnym wyborem,

popadła w zadumę, próbując zdecydować, którego z braci nienawidzi najbardziej. Ależ z niej szczęściara, naprawdę miała z czego wybierać. Murdy był z całą pewnością kompletnym dupkiem, wystarczyło tylko na niego spojrzeć. Wypiął się na taksówkarskie korzenie i zabrał za budowanie imperium artykułów łazienkowych, chełpiąc się teraz dwoma salonami w hrabstwie Meath. Mieszkał jako człowiek sukcesu w nowiutkiej rezydencji z kolumnadą na obrzeżach miasta, z jasnowłosą, jeżdżącą jeepem żoną i dwójką grubych, niezadowolonych dzieci. Jeździł beemką, chodził do solarium, zapraszał ludzi na „kolacyjkę" i każdego dnia balansował na granicy bankructwa. Zaledwie wczoraj przejęto jego kije golfowe. Pascal Cooper z Cooper Sports („Dla wszystkich waszych sportowych potrzeb") zjawił się u niego i w drzwiach (podwójnej wysokości) miała miejsce krótka, ściszona rozmowa. Lydia podsłuchała parę zdań, wypowiedzianych przez Pascala: „To było specjalne zamówienie z Jackson Hole", następnie „Załatwimy to spokojnie albo przyślę szeryfa – ach, jak się masz, Lydio! Dobrze wyglądasz. Ależ ty masz włosy. Jak cię traktuje wielkie miasto? " „Dzień dobry, panie Cooper". „Pascal, Pascal! To całe »panowanie« sprawia, że staro się czuję. No dobra, Murdy, kije! " Kije zostały wyjęte z bagażnika beemki Murdy'ego i przełożone do bagażnika dziesięcioletniej hondy civic Pascala.

Ronnie, drugi brat Lydii, to zupełnie inna sprawa. Żył z dnia na dzień, był skryty, tajemniczy i obracał co najmniej dwie nieznane rodzinie kobiety naraz. („Jego prawe jajko nie wie, co robi lewe" – cytując Raymonda.) Często znikał (na parę dni albo nawet tydzień), wyłączając komórkę, a kiedy znowu się pojawiał, nie przedstawiał żadnych wyjaśnień. Miał czarną brodę, gęste czarne włosy i wyglądał nieco demonicznie. Osobowość także miał demoniczną. Był wręcz nienormalnie uparty. Nigdy nie wpadał w gniew,

mógł przedstawiać własne argumenty przez dziesięć lat, ani razu nie podnosząc przy tym głosu, a jednak Lydia miała pewność, że gdzieś tam pod powierzchnią płoną nieludzkie pokłady gniewu. Poppy mawiała, że Ronnie, choć przyprawia o gęsią skórkę, jest seksowny. Często mówiła – to było w czasach przed Stabilnym Bryanem – że strasznie jest ciekawa, jaki byłby seks z nim, ale podejrzewała, że po wszystkim czułaby się mimo wszystko skalana.

No i jeszcze Raymond, który uciekł do Stuttgartu, gdy tylko osiągnął odpowiedni wiek. W dzieciństwie Raymond był ulubionym bratem Lydii, najfajniej się z nim bawiło. Ale przez ostatnie półtora roku zaczęła po prostu nienawidzić tej jego zabawowej natury. Za każdym razem, gdy próbowała porozmawiać z nim na jakiś poważny temat, on torpedował ją kolejną „zabawną" anegdotą.

Zerwała się na równe nogi. Miała ochotę się upić i jeśli musiała zrobić to w pojedynkę – trudno. Samotne picie nie było niezgodne z prawem. Wyszła i kupiła pikantne przekąski i butelkę wina. Postawiła wszystko na kuchennym blacie.

Postanowiła, że przystawką będą chipsy cebulowe, a daniem głównym chipsy o smaku teksańskiego barbecue... Co to takiego?

Dziwne odgłosy. Nadstawiła uszu. Dochodziły z pokoju Polaków. Takie jakieś ciche jęki. Przysunęła się bliżej drzwi.

Czy ktoś uprawiał tam seks? Ale kto? Jan wyjechał, a nie było takiej opcji, żeby Rosie rozchyliła przed Andrzejem uda, chyba że włoży jej na palec pierścionek. Lydia przez chwilę delektowała się swoją nienawiścią do Rosie. Nie znosiła tej dziewczyny i jej wyprasowanych ubrań – miała zaledwie dwadzieścia jeden lat, która dwudziestojednolatka prasowała sobie ubrania? – i grzecznego kucyka, i udawanej aury skrzywdzonej

niewinności, i bardzo nieniewinnego sposobu, w jaki wykorzystywała seks jako kartę przetargową... Może Andrzej w końcu miał jej dość i teraz bzykał się z inną? Ale w to było jej równie trudno uwierzyć, jak w to, że mógł bzykać się teraz z Rosie; był zawsze taki zasadniczy i w ogóle... Wtedy znowu usłyszała ten dźwięk i już wiedziała: to był płacz! Andrzej (a może Jan, ale z jakiegoś powodu podejrzewała Andrzeja, mimo jego stoickiej natury) płakał! Cóż, ależ to było zabawne. Musiała to zobaczyć.

Zapukała i otworzyła drzwi, nim Andrzej (a może Jan) zdążył krzyknąć, aby sobie poszła.

To był Andrzej, który, przerażony jej obecnością, odwrócił się gwałtownie w stronę ściany, energicznie wycierając oczy.

– Och, cześć, Andrzej. Masz tu kota? – zapytała. – Usłyszałam jakieś dziwne dźwięki.

– Nie mam kota. – Głos miał zduszony.

– Płaczesz.

– Nie.

– Płaczesz, płaczesz. Słyszałam. Co się dzieje? Rosie zerwała z tobą?

– Nie. – To by dopiero był powód do płaczu.

– Wstawaj. Wychodź stąd. Nudzi mi się.

– Nie.

– To lepsze niż mazanie się w samotności jak dziewczyna. Chodź, mam wino i chipsy.

Nie miał wyboru. Wiedział, że będzie go męczyć, aż się ugnie. Niechętnie opuścił nogi na podłogę.

– No więc dlaczego płakałeś? – zapytała Lydia.

Zastanawiał się nad odpowiedzią. Trudno mu było opisać poczucie beznadziejności, jakie czasami go ogarniało, ale prawdopodobnie dużo z

tym wspólnego miała tęsknota za krajem. Co prawda podobne przypływy rozpaczy miewał i w Polsce, ale teraz nie zamierzał się nad tym zastanawiać.

Wzruszył ramionami.

– Chciałbym móc mieszkać w swoim kraju.

– Ja też bym tego chciała.

Uniósł głowę. Czy ona była miła?

Nie.

– To był żart – wyjaśniła, niemal ze zdumieniem. To już zbyt długo się ciągnęło. – W Polsce nie macie żartów?

– Oczywiście! – W Polsce mieli wszystko, i na dodatek znacznie lepsze niż w tym zacofanym kraju. – Ale ty... kiedy to mówisz, to nie jest zabawne.

– Punkt dla ciebie, mazgaju.

Z wielką godnością odłożył cztery chipsy, jakie trzymał w dłoni i wstał.

– Wracam do łóżka.

– Siedź na miejscu. To ci poprawi humor: opowiem ci o moim weekendzie.

Cóż, znowu płakał. Miał płaczliwy nastrój, a to wszystko było bardzo smutne. Co za historia, nie mógł się doczekać, kiedy opowie ją Janowi.

I spojrzał na Lydię nowymi oczami.

– Więc dlatego jesteś taką okropną osobą!

– Ach, tak... chyba tak. – Była aż taka okropna? – A co ty masz na swoje usprawiedliwienie?:

Dzień 54

Tata Lydii lubił żartować, że umiała prowadzić samochód, nim jeszcze nauczyła się chodzić. Co nie znaczy, by często żartował. Zbyt był zajęty prowadzeniem niedochodowych interesów i wynajdywaniem nowych szkół politycznych i doznawaniem zawałów.

Biedny tata, pomyślała. Właściwie to wcale go nie nienawidziła. Naprawdę się starał, bardzo ciężko pracował i próbował utrzymać wszystko w kupie, tyle że czegokolwiek się dotknął, było skazane na niepowodzenie. No i na dodatek musiał jeszcze przedwcześnie umrzeć w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat, zostawiając po sobie jeden wielki bałagan.

Lydia miała piętnaście lat, kiedy przewiozła pierwszego klienta. Nie była ubezpieczona, nie miała prawa jazdy, ale nie było nikogo innego, kto mógłby to zrobić, a Peggy Routhy zaczęła rodzić i trzeba ją było zawieźć do szpitala. A przed domem Duffych stał wolny samochód, marnując pieniądze z każdą sekundą niespędzoną w trasie, a tata Lydii skrzeczał do niej przez radio, aby siadała za kółkiem i jechała tym cholerstwem, przecież to nic trudnego, i żeby policzyła ekstra za zabrudzenie, gdyby Peggy Routhy odeszły wody na tapicerkę.

Rodzina Duffych to dynastia taksówkarzy. Auggie był miejscowym taksówkarzem, a trzech albo czterech wolnych strzelców podpiętych było pod niego i pod – co ważniejsze – jego radio. Radio władzy. Kto sprawuje kontrolę nad radiem, sprawuje kontrolę nad drogami. A kto sprawuje kontrolę nad drogami, sprawuje kontrolę nad światem. Stało w salonie i rodzina Duffych nigdy nie była wolna od jego obecności, ale czasami udało się przechwycić częstotliwość miejscowej policji i wtedy zapraszano sąsiadów, aby posłuchać i pośmiać się.

Prowadzenie takiego biznesu w domu do życia rodziny wprowadzało chaos. O każdej porze dnia i nocy mógł zadzwonić telefon albo mogło rozlec się pukanie w szybę salonu. (Szanując podział między życiem publicznym a prywatnym rodziny Duffych, szukający taksówki stukali w szybę, a normalni goście stawali pod drzwiami.)

Zawsze mieli problem z opłaceniem podatku, z opłaceniem ubezpieczenia, z opłaceniem czegokolwiek, a dochody Auggiego Duffy nigdy nie były na tyle wysokie, aby mógł się starać o kredyt.

W każdym razie u Duffych było krucho z pieniędzmi, ale nie katastrofalnie, dopóki Auggie nie przeczytał ***Manifestu komunistycznego.*** Efekt okazał się piorunujący. Klucz do zarabiania pieniędzy, o ile dobrze zrozumiał Karola Marksa, stanowiło posiadanie własnych środków produkcji. Ale on, Auggie Duffy, zada kłam podstawowym naukom komunizmu i wykorzysta je do efektywnej pogoni za kapitalizmem.

Uzbrojony w tę nową teorię jakimś cudem przekonał bank do udzielenia mu kredytu, za który kupił cztery samochody, a potem poinformował swoich kierowców, że od teraz będą musieli wynajmować auta od niego. Ale dlaczego, zastanawiali się ci mężczyźni, mieliby wynajmować auto od Auggiego Duffy, skoro mieli własne? Auggie przypomniał im o radiu. Kto sprawuje kontrolę nad radiem, sprawuję kontrolę nad drogami, pamiętacie?

Ale – i Karola Marksa niezmiernie by to uradowało – pracownicy zbuntowali się. Posiadali telefony komórkowe, a jeden z nich wpadł na genialny pomysł wydrukowania małych wizytówek (Corinne z papierniczego zrobi tysiąc za dziesiątaka) z ich numerami. Poroznosili je po mieście, zostawiając w pubach, aptekach i na kościelnej tablicy ogłoszeń, a że ceny mieli niższe niż Auggie Duffy, wkrótce biznes zaczął się kręcić.

Auggie z kolei znalazł się niespodziewanie w sytuacji, w której miał ogromny kredyt w banku, pięć samochodów (cztery nowe plus swój stary) i ani jednego kierowcy. Jego synowie, Murdy, Ronnie i Raymond, oraz żona, Ellen, siłą zostali wcieleni do służby. Auggie cierpiał, jeżeli choć przez sekundę któryś z jego samochodów stał nieużywany. Nie odrzucał żadnych zleceń.

Kiedy więc zjawiła się Peggy Routhy, a Auggie, Ellen, Murdy i Ronnie byli na robocie (do tego czasu Raymond dał już drapaka do Niemiec, wyzwalając się spod kontroli radia), Auggie aż trząsł się na myśl, że straci klienta. Lydia miała dopiero piętnaście lat, ale świetnie radziła sobie za kółkiem.

– Zrób to – polecił córce.

– Nie mam prawa jazdy.

– Słuszna uwaga. Dopilnuj tego, aby nie złapała cię policja.

– Nie jestem ubezpieczona.

– Więc nikogo nie zabij. I pamiętaj, co ci mówiłem. Opłata za zniszczenie.

Peggy klęczała wsparta na rękach przed drzwiami Duffych, rycząc z bólu, a Billy Routhy walił w okno i krzyczał:

– Lydia, no chodź, bo urodzi wam na progu!

Tak więc z poczuciem, że jest jej to pisane, Lydia zdjęła z haczyka kluczyki do corolli i od razu zrobiła się nieco wyższa. Wsiadła do samochodu i przejechała siedemnaście kilometrów, które dzieliły ich od szpitala, przez całą drogę przekraczając dozwoloną prędkość. Peggy z tyłu jęczała i krzyczała. Pod szpitalem małżonkowie wyskoczyli z auta i ruszyli prosto do drzwi, ale Lydia kazała im się zatrzymać i zapłacić za kurs. Zażądała nawet dodatkowej dwudziestki, gdyż, owszem, Peggy odpłynęły

wody i ubrudziły całe tylne siedzenie. Billy z wrogą miną dał pieniądze, a Peggy, zwijając się z bólu, zawołała:

– To podłe z twojej strony. Myślałam, że jesteśmy razem, jak w filmie. Zamierzałam nazwać dziecko Lydia.

Lydia wzruszyła ramionami. Biznes to biznes. Tylne siedzenie zostało zniszczone. A co, jeśli na świat przyjdzie chłopiec?

Tak wyglądał początek. Kiedy Lydia skończyła szesnaście lat, zrobiła prawo jazdy i zaczęła pracować u taty na pełen etat. Tylko przez dwa lata, ale wystarczająco długo, aby nie nadawała się już do żadnej normalnej pracy. Po przeprowadzce do Dublina znalazła pracę w biurze, szybko się jednak przekonała, że jeśli ktoś działa jej na nerwy, nie może po prostu otworzyć drzwi i kazać mu wysiąść.

No i oczywiście w końcu ją zwolniono; usłyszała, że ma trudności w kontaktach z innymi. Aby związać koniec z końcem, wróciła do jazdy na taryfie. Tylko tymczasowo, dopóki te trudności nie znikną. Jednak ta zmiana trwała dłużej, niż Lydia się spodziewała, i na razie skazana była na pracę taksówkarza.

Dzień 53

– Jemimo, co się dzieje? – zawołał Fionn. – Samochód już przyjechał.

– Już idę.

Mozoliła się z zapięciem guzika przy spódnicy. Strasznie to było irytujące. Spódnica z niewiadomego powodu zrobiła się za mała. Ale na tym etapie życia Jemima nie miała w planach zakupu nowej. Nie należała do osób trwoniących pieniądze: miała osiemdziesiąt osiem lat i choć doskonale się trzymała, mało prawdopodobne, aby nosiła tę spódnicę przez czterdzieści lat, nim umrze. Czego, nawiasem mówiąc, nie zamierzała robić w najbliższymi czasie, bez względu na kręcącą się w pobliżu przeklętą kostuchę.

Nie zamierzała także przechodzić na dietę. Coś takiego było domeną innych kobiet, kobiet różniących się od niej, tych biedaczek, które nie potrafią kontrolować cielesnych żądz, które zjadają całe pudełko lodów naraz. Ona od zawsze wyzwała zasadę, że jedzenie nie jest po to, aby się nim delektować. Było jedynie paliwem, które zapewniało siłę niezbędną do uszczęśliwiania innych na siłę. Odkąd skończyła siedemnaście lat, ważyła sześćdziesiąt trzy kilo – z wyjątkiem krótkiego okresu cztery lata temu, kiedy jej waga spadła do pięćdziesięciu dziewięciu podczas starcia z rakiem, w którym rak okazał się stroną przegraną, zmuszoną do ucieczki z podkulonym ogonem – i nie zamierzała zmieniać tego teraz, bez względu na to, co ten krnąbrny guzik próbował jej powiedzieć...

– Jemimo, wszystko w porządku? – zawołał Fionn.

– Kierowca do mnie wydzwania.

Jakież to zabawne! Fionn, najbardziej niesolidne stworzenie na tej ziemi, popędza Jemimę Churchill, dla której punktualność to rzecz święta.

Spoconymi z wysiłku palcami przecisnęła w końcu guzik przez dziurkę i odetchnęła z triumfem. Niestety dla wszywanego paska było to już zbyt wiele i guzik nie tylko wyskoczył z dziurki, ale przeciął pokój niczym pocisk, trafiając Grudge'a w prawe oko. Głośny, wysoki skowyt wydobył się z gardła psa, który w duchu był uradowany. Uderzenie w oko nie bolało – choć wyglądało dość dramatycznie – ale znaczyło, że ma żal, którym może epatować przez kilka dni.

– Jemima! – ryknął Fionn. – Dzwoni ta cholerna Gra – inne. Musimy jechać!

Jemima nie mogła się nie uśmiechnąć. Grainne Butcher miała wszystko na oku. To dopiero drugi dzień telewizyjnej kariery Fionna, a on już cierpiał z powodu wczesnych pobudek i długich godzin pracy. Nie był przyzwyczajony do tego, że w określonym miejscu należy się zjawić o określonej porze i pozostać tam, nawet gdy minie urok nowości. Niemniej jednak dobrze mu zrobi przekonanie się, co to znaczy życie według grafiku i pewna doza dyscypliny.

Jemima raz jeszcze ucałowała Grudge'a, wygładziła rozpinany sweter na luźnym pasku przy spódnicy i wzięła do ręki starą, brązową torebkę. Fionn przemierzał korytarz. Był poirytowany, ale tak oszałamiająco przystojny, że sam jego widok radował jej stare serce. Stylistka Grainne Butcher wpłynęła na Fionna, aby umył włosy, wyprał dżinsy i marynarkę z mnóstwem kieszeni. To książę, pomyślała Jemima, piękny, czysty książę.

Dzisiejszy dzień jest dla Fionna wyjątkowy. Tyle że on o tym nie wie. A przynajmniej nie jest tego świadomy. W głębi jego podświadomości, daleko w głębi, płyty tektoniczne zaczynają się poruszać, pękać, zderzać,

obiecując zbliżające się wstrząsy-

Dzisiaj Fionn żyje trzydzieści sześć lat i sto dwadzieścia osiem dni. Jest o jeden dzień starszy od swojej matki w dniu jej śmierci. Przeżył ją. Aż do dzisiaj Fionn musiał ciężko pracować, aby utrzymać się przy życiu. Tyle energii potrzebował do ochrony samego siebie, że nie starczało jej dla nikogo innego.

Ale dzisiejszy dzień oznacza początek nowego życia.

Dzisiaj, po raz pierwszy w życiu, Fionn jest wolny i może się zakochać.

Powiem wam, że siedzę jak na szpilkach...

Fionn zachowywał się niczym wypuszczony z boksu chart. Ani sekundy do stracenia w tym nowym, ekscytującym etapie życia. Zbiegł po schodach, a za nim Jemima i Grudge, którzy towarzyszyli mu podczas dzisiejszego nagrania. Otworzył drzwi... a niecałe dwa metry dalej, skąpana w żółtym świetle poranka, stała najpiękniejsza kobieta, jaką dane mu było widzieć. Zatrzymał się jak wryty, a Jemima i Grudge wpadli na niego. Wpatrywał się w soczyste usta tej kobiety, przypominające pąk róży, różowobiałą karnację, burzę jasnych loków, jej świeżość, jej niewinność, jej rower, jej...

Zaniepokojona intensywnością jego spojrzenia, kobieta uniosła gwałtownie głowę i na jej twarzy pojawiła się maska zastygłego lęku.

Fionn pokonał kilka ostatnich schodków. W porannym słońcu jego włosy lśniły niczym szczere złoto.

– Jestem Fionn Purdue. – Wyciągnął rękę.

Kobieta zignorowała ją. W milczeniu i bezruchu wpatrywała się w Fionna, jakby zamieniono ją w głaz.

Nie wiadomo skąd wyłonił się młody mężczyzna w garniturze. Fionn

dopiero teraz go zauważył.

– Matt Geary – powiedział.

Raz jeszcze Fionn wyciągnął rękę, ale znowu została zignorowana.

– A to – Matt nachylił się ku Fionnowi i zawołał: – ... to jest MOJA ŻONA!

– Jak ci na imię? – zapytał Fionn bez tchu. Ale piękność nie odpowiedziała.

Fionn przeniósł rozradowane spojrzenie na Matta. Mijały sekundy, w końcu ten rzekł niechętnie:

– Maeve.

– Maeve – powtórzył z zachwytem Fionn. Maeve. Cóż za śliczne imię, chyba najpiękniejsze, jakie słyszał i z całą pewnością pasowało do tej najpiękniejszej kobiety na świecie.

– Maeve, waleczna królowa. Jestem twoim nowym sąsiadem. Mieszkam na pierwszym piętrze, z Jemimą Churchill. Znasz Jemimę? – Gorączkowo machał ręką, przywołując Jemimę bliżej. Obejrzał się na nią i spiorunował wzrokiem.

– No chodź – syknął. – Chodź i przywitaj się z Maeve!

– Ja znam już Matthew. I Maeve – powiedziała grzecznie Jemima.

– Będę tu przez jakiś czas mieszkał. – Słowa Fionna zaadresowane były wyłącznie do Maeve. – Dwa miesiące lub coś koło tego.

Przerwał mu klakson.

– Fionn, wsiadaj wreszcie! – To Ogden, kierowca.

– Grainne dostaje białej gorączki!

I nagle Fionn zachwycony był faktem, że kręci ten program telewizyjny. Koszmarnie wczesne pobudki, głupia odżywka do włosów i ciotowate nowe T – shirty o dziwo nie wydawały się już takie złe. To mogło

zrobić wrażenie na Maeve.

– Mam swój program poświęcony ogrodnictwu – wyrzucił z siebie. – Nazywa się ***Twój własny Eden.*** Kanał 8.

– Ledwie zwrócił uwagę na to, że Jemima chwyciła go za łokieć i stanowczo kieruje w stronę czekającego samochodu.

– Czwartek wieczór – zawołał przez ramię do zjawiska, które nadal stało w bezruchu i milczeniu. – Niedługo!

Trzasnęły drzwi, Ogden dodał gazu, a Fionn wyglądał z zachwytem przez tylną szybę, aż skręcili za róg i już nie było jej widać.

– Kim jest ta kobieta? – zapytał Jemimę.

– Daj jej spokój. – Jak na nią była wyjątkowo ostra.

Fionn zaśmiał się radośnie.

– Nie masz być o co zazdrosna! Zawsze najbardziej będę kochać ciebie. Co wiesz na jej temat?

Jemima zacisnęła usta. Nie zajmowała się plotkami. Aczkolwiek żałowała, że nie. W swym życiu doświadczyła wielu cielesnych uciech: sześćdziesiąt siedem kieliszków słodkiej sherry (jeden w każde Boże Narodzenie od dwudziestego pierwszego roku życia aż do teraz); dwa razy zaciągnęła się cygarem, które Gilesowi podarował klient; na życzenie Fionna skosztowała apetycznego deseru o nazwie Czekoladowe Zadławienie w uroczym lokalu, który nazywał się TGI Friday; no i, oczywiście, seks z mężem. Ale nic nie kręciło jej tak, jak spekulacje na temat życia innych. Pragnęła tego, co czasopisma dla kobiet nazywały „porządnym oplotkowaniem". Poznanie jakiegoś sekretu sprawiało jej przyjemność tak ogromną, że aż niepokojącą, a przekazanie go dalej okazywało się jeszcze przyjemniejsze. Ale Jemima nie mogła oddawać się plotkowaniu. Porządni ludzie tego nie robili. Zdarzało się jednak, że żałowała, iż została wy-

chowana w taki, a nie inny sposób, żałowała, iż jest taka porządna.

Matt patrzył za uwożącym Fionna samochodem. Buzowała w nim wściekłość.

– Za kogo, do cholery, ten palant się uważa?

Maeve spojrzała na niego niespokojnie.

– No to ja jadę.

– Widziałaś go? – Głos miał o kilka oktaw wyższy niż normalnie. – Widziałaś, jak w sposób jawny... – Urwał. Oczywiście, że widziała.

– Będę o tej porze, co zawsze – powiedziała.

– Okej. – Pocałował ją, ale był tak rozgniewany, że ledwie był w stanie ją dotknąć.

Patrzył, jak Maeve odjeżdża, po czym poszukał swojego samochodu i ruszył w stronę pracy, mijając zatłoczone przystanki, ignorując ludzi, którym mógłby zaproponować podwiezienie. No bo i po co? I tak by go oskarżono o to, że jest mordercą.

Na korytarzu w Edios wpadł na Niamh, jedną z najbardziej bystrych osób w jego zespole. Wyglądała na zmartwioną.

I jakoś tak inaczej, gorzej.

– Co się stało? – zapytał.

– A to nie oczywiste? Moje włosy. Wczoraj po pracy poszłam je obciąć. Katastrofa.

A więc to właśnie było w niej inne.

– Wyglądam jak transseksualista – jęknęła żałośnie.

Matt uznał, że rzeczywiście, tak właśnie wygląda. Coś w tej krótkiej, prostej fryzurze nadawało jej wygląd bardzo męskiej kobiety, osoby, która jest w trakcie kuracji hormonalnej i zmiany płci. Oto szansa Matta na odbębnienie dobrego uczynku jeszcze przed dziewiątą. Uzyska rozgrze-

szenie za tych wszystkich ludzi, których zignorował na przystankach.

– Jak zawsze trafiłaś w sedno. – Niamh miała do tego prawdziwy dar. – Wracaj do salonu. Niech zrobią ci coś innego. Nie wiem, co ci zaproponować, nie znam się na włosach. Ale nie możesz chodzić w takiej fryzurze...

Wyraz jej oczu. Wpatrywała się w niego jak szczeniak, którego właśnie kopnął. I była zaszokowana. „Uważałam cię za fajnego – mówiły jej oczy, skonsternowane i pełne żalu**.** Uważałam cię za jednego z najsympatyczniejszych ludzi, jakich znam. Jak mogłeś być tak okrutny? ”

Kiwnął głową, po czym zaczął się oddalać. Coś się straszliwie nie udało.

Po kilku krokach zrozumiał swój błąd. Dobry uczynek powinien był wiązać się z kłamstwem, a nie powiedzeniem prawdy. Ona potrzebowała jedynie odrobiny otuchy.

– Niamh! – zawołał.

Odwróciła się.

– Niamh, przepraszam cię – powiedział pokornie.

– Przemyślałem sprawę. Twoja fryzura. Jest ładna. Trzeba się jedynie do niej przyzwyczaić.

Kiwnęła głową. Drżała jej broda.

– Dzięki.

– Przepraszam, że cię zasmuciłem.

– W porządku.

Ale nie było w porządku. Niamh straciła wiarę w Matta. Już nigdy mu nie zaufa.

Mocno przygnębiony powlókł się do siebie. Pieprzony Dobry Uczynek i Trzy Błogosławieństwa, i całe to cholerstwo. Nic nie działało. Nic nie

pomagało.

Dzisiaj mógł klepnąć sprzedaż dla Bank of British Columbia. Poprosili o jeszcze jedno spotkanie, a nie zostało już nic do omówienia. Nic! Nawet bilety na Wimbledon. Nie dostaną ich, gdyż nie mógł w to pakować dalszych pieniędzy, nie mając wyników. W przeszłości raz – tylko raz – dotarł do tego punktu z klientem, który się jednak wycofał. Tamten cios niemal go powalił. Matt włożył w to tyle pracy i pieniędzy Edios, że kiedy przez telefon zakomunikowano mu złą wiadomość, uszy wypełnił mu ryczący dźwięk, a obraz najpierw mu się zawęził, a po chwili zupełnie zanikł. Koledzy przy sąsiednich biurkach powiedzieli mu, że zemdlał, ale to niemożliwe. Oczywiście, że nie zemdlał!

Mogło tak być, że Bank of British Columbia zwołał to spotkanie po to, aby mu powiedzieć, że nie kupią systemu. Mogło tak być, że zachowają się na tyle uprzejmie i przekażą mu tę wiadomość osobiście zamiast przez telefon. Ale być może zamierzali jednak dokonać zakupu. A gdyby rzeczywiście tak miało się stać, gdyby mu się udało...

Pojawiłaby się prowizja. Pojawiłby się prestiż. I coś jeszcze – nie do końca wiedział, jak to sformułować, ale to by mu przypomniało, kim naprawdę jest.

Najpierw jednak musiał być pełen entuzjazmu. Musiał być optymistą. Jadąc przez miasto, z Salvatore, Cleo i Niamh z tyłu jego auta i Jacksonem z przodu, powiedział sobie w myślach: jesteś sprzedawcą. Bądź sprzedawcą.

Ale w banku, gdy prowadził swój zespół do sali konferencyjnej, gdzie zostanie przypieczętowana przyszłość tego interesu, jego pewność siebie ponownie przygasła. Matt zatrzymał się.

– Grupowy uścisk? – zapytał łobuzersko Salvatore.

– ... Nie. Powodzenia nam życzę. No to idziemy.

– Uśmiechając się najszerzej, jak tylko był w stanie – nie pamiętał, by kiedykolwiek musiał się zmuszać do uśmiechu; to zawsze się działo automatycznie – wszedł do pomieszczenia, gdzie czekało na nich kilka osób, i zaczął wydawać niskie, dobroduszne odgłosy. – Jaaa! Jak leci?

– Świetnie, Matt, a tobie?

– Super! – Chwytał za ramiona i potrząsał nimi po przyjacielsku i delikatnie popychał. Tak właśnie Matt załatwiał interesy. Kumple, tak, wszyscy to kumple. Najlepsi przyjaciele, mnóstwo kontaktu fizycznego, oczywiście bez przekraczania pewnych granic. Rozmowy o kacach. Rozmowy o samochodach. Rozmowy o sporcie. Irlandii źle poszło w rugby. – Ufff! Nie najlepszy to dla nas dzień.

– Rzeczywiście, nie najlepszy!

– Ale jutro wrócimy do walki. Jeee!

– Jeee!

Dzień 53…

– Eden jest wszędzie. – Fionn uśmiechnął się ciepło do kamery. – Nawet w takim małym mieszkaniu w centrum miasta. – Machnął ręką, pokazując to miejsce i kamera zatoczyła łuk, omiatając zagraconą minikuchnię.

– Dobrze, Fionn – powiedziała Grainne. – Tylko ciut więcej entuzjazmu. – Eden jest WSZĘDZIE. Jakbyś nie mógł się temu nadziwić.

– Eden jest WSZĘDZIE. – Fionn uśmiechnął się ciepło do kamery. – Nawet w takim małym mieszkaniu w centrum miasta. – Machnął ręką,

pokazując to miejsce i kamera zatoczyła łuk, omiatając zagraconą minikuchnię.

– Dobrze, Fionn. Tylko ciut więcej zdumienia. NAWET w małym, właściwie to lepiej maleńkim; maleńkie lepiej brzmi. – Grainne naniosła do scenariusza poprawki. – Nawet w MALEŃKIM mieszkaniu w centrum miasta.

– Eden jest WSZĘDZIE. – Fionn uśmiechnął się ciepło do kamery. – NAWET w takim MALEŃKIM mieszkaniu w centrum miasta. – Machnął ręką, pokazując to miejsce i kamera zatoczyła łuk, omiatając zagraconą minikuchnię.

– Bardzo dobrze. Jeszcze raz.

O rety, pomyślał Grudge, uśmiechając się złośliwie pod nosem. Fionn nie jest w tym zbyt dobry, no nie? Ile razy powtarzał już tę farsę? Tyle, że Grudge stracił rachubę.

– Fionn, chcę, żebyś wiedział, że taka ilość dubli to nic nadzwyczajnego – oświadczyła Grainne. – To wcale nie znaczy, że robisz coś źle.

O rety, rety, pomyślał Grudge, przyglądając się swoim pazurom i skrywając kolejny szyderczy uśmieszek. A teraz traktowano go protekcjonalnie, a właściwie to wręcz się nad nim litowano. Nie minie dużo czasu i w Excellent Little Productions przekonają się, jak straszny popełniono błąd, a Fionn Purdue znajdzie się w autobusie wiozącym go z powrotem do Pokey i po takiej sromocie już nigdy nie wróci do Dublina.

Ten idiota nie miał oczywiście pojęcia, jak bardzo jest beznadziejny. Mówił to, co miał mówić, i na zawołanie machał ręką, ale myślał ciągle o tej Maeve. „Zadurzył się” – pomyślał z niesmakiem Grudge. Pomiędzy dublami Fionn wpadał w kretyński stan, w którym uśmiechał się błogo, a w

myślach powtarzał: „Maeve. Maeve, Maeve, Maeve, Maeve, Maeve, Maeve, Maeve, Maeve, Maeve, Maeve, Maeve, Maeve, Maeve, Maeve, Maeve, Maeve, Maeve, Maeve, Maeve, Maeve”. Grudge słyszał to całkiem wyraźnie.

– Okej, Fionn, jeszcze raz – powiedziała Grainne.

– Eden jest WSZĘDZIE. – Fionn uśmiechnął się ciepło do kamery. – NAWET w takim MALEŃKIM mieszkaniu w centrum miasta. – Machnął ręką, pokazując to miejsce i kamera zatoczyła łuk, omiatając zagraconą minikuchnię.

Grainne pokręciła głową.

– Przykro mi, Fionn. Tym razem to nie byłeś ty.

„Nareszcie” – pomyślał z zadowoleniem Grudge.

– Wychwytuję jakiś dźwięk. – Grainne i dźwiękowiec z superczułymi słuchawkami odbyli cichą rozmowę. – Autobus na ulicy, przejeżdżający po studzience.

– Możemy kazać im przestać?

– Cóż, warto spróbować.

Goniec, młoda dziewczyna z mnóstwem kolczyków, Darleen, została wysłana na dół z poleceniem wstrzymania wszystkich autobusów.

– To niemożliwe – orzekła.

– Podczas rozmowy o pracę powiedziałaś mi, że chcesz pracować w telewizji – powiedziała Grainne. – Mówiłaś, że jesteś gotowa zrobić wszystko, czego wymaga ta praca. _ Wzruszyła ramionami. – Tego właśnie wymaga.

Twarda sztuka z tej Grainne, pomyślał Grudge z niechętnym podziwem.

Darleen musiała na dole naprawdę się postarać, ponieważ po dwóch

kolejnych dublach Grainne była zadowolona z Fionna, dźwięku, światła i całej reszty.

W kolejnym ujęciu kamera podążała za Fionnem, który przemieszczał się w stronę ściany, otwierał okno i uśmiechał się:

– Panie i panowie, daję wam Wstęp do Edenu. – Z czułością położył brudną dłoń na parapecie. – Znanym także jako parapet. – Ponownie się uśmiechnął, jakby właśnie podzielił się z widzami sekretem, a Grudge przełknął niespokojnie ślinę. Fionn wyglądał trochę jak gwiazda. Przez chwilę. Szybko zerknął na Jemimę. Dostrzegła to?

Ale Jemima przez cały ranek wpatrywała się w Fionna, jakby to był Daniel Day Lewis, dający występ godny Oscara. Grudge musiał przyznać, że w stosunku do Fionna nie potrafi zachować obiektywizmu. Wszystko, co robił, uważała za zdumiewająco wspaniale. Trzeba jej oddać, że w podobny sposób traktowała jego, Grudge'a. No ale on to przecież inna para kaloszy.

Na koniec dnia Grainne Butcher była nawet zadowolona. Jak na kogoś, kto nigdy czymś takim się nie zajmował, Fionn Purdue naprawdę okazał się niezły. I świetnie wyglądał – ta twarz, to ciało, te włosy, te dłonie! Brudne, urocze dłonie. Zrobiono wiele zbliżeń właśnie na nie, gdy napełniał skrzynki ziemią, czule dotykał gałązek i delikatnie gładził listki kciukiem i palcem wskazującym.

Grainne, która nie lubiła rozdawać pochwal, chyba że naprawdę nie miała wyjścia, musiała przyznać, że Fionn jest w takim samym stopniu cierpliwy, jak i przystojny. Chyba jeszcze nigdy nie pracowała z kimś tak życzliwie nastawionym do niekończących się dubli. Widać było, że ego Fionna Purdue nie jest wybujałe.

Zastanawiała się, jak długo potrwa taki stan rzeczy. Zachowanie godne diwy zaczynało się na ogół po zobaczeniu pierwszego swojego zdjęcia w

prasie. A o Fionnie z pewnością zrobi się głośno; już otrzymała cztery prośby o wywiad z nim, a minął dopiero dzień od wystosowania komunikatu prasowego.

– Na dzisiaj koniec – oświadczyła Grainne. – Dobra robota, Fionn. Do zobaczenia jutro rano. Czy, ach... czy Jemima i Grudge będą ci towarzyszyć? – To dziwne, ale czuła, że ten pies ma jakiś problem w kontaktach z innymi.

– Jeszcze nie wiem – odparł Fionn. – A gdybym zaprosił kogoś innego? Mogłoby tak być?

– Jasne, a kogo?

Ale Fionn chyba już jej nie słyszał. Zdążył zatopić się we własnych myślach. Artyści! Jakby nie byli z tego świata! Właśnie ta cecha irytowała ją najbardziej. Mogła znieść ludzi dręczonych przez wszystkie rodzaje demonów, począwszy od wściekłości i skąpstwa, aż do patologicznej zazdrości, ale do szaleństwa doprowadzało ją, pragmatyczkę, takie wyłączanie się. Oho! Fionn najwyraźniej wrócił z miejsca, w którym przebywał, gdyż zapytał:

– Grainne, jak się nazywa takie uczucie, kiedy nie jest się w stanie przestać myśleć o konkretnej osobie?

– ... Eee... Obsesja?

Fionn pstryknął z wdzięcznością palcami.

– Obsesja! Właśnie!

Dzień 53…

Matt wyszedł z pracy dziesięć minut wcześniej. Poranne spotkanie w Bank of British Columbia niczego nie sfinalizowało. Zachowywali się przyjacielsko, zadawali kolejne pytania i oświadczyli, że będą się kontaktować, a jemu dosłownie rozsadzało głowę. Kiedy wrócił do biura, przez jedną szaleńczą chwilę zastanawiał się, czy nie zadzwonić do nich i nie powiedzieć, że wycofuje propozycję sprzedaży systemu, po to tylko, aby w końcu położyć kres temu pełnemu udręki czekaniu.

Godzinną przerwę na lunch spędził w biurze, czytając „Top Gear". Kiedy skończył – a stało się to zdecydowanie zbyt szybko – chwycił gazetę Cleo i z dziwnym rozgorączkowaniem rozwiązał trzy łamigłówki sudoku, jedną po drugiej. Ale w chwili, gdy wpisał ostatnią liczbę i odłożył długopis, ogarnęły go wyrzuty sumienia. Brzydko jest rozwiązywać krzyżówki innych ludzi. To kradzież. Tak samo, jak zjedzenie kawałka tortu, który ktoś schował sobie do lodówki.

Będzie musiał wyjść z tego z twarzą i zaproponować odkupienie gazety. Przerzucił kartkę, aby ukryć przed sobą to, co zrobił, i wtedy dostrzegł krótką wzmiankę na temat spadających z nieba brył lodu. Krótkie podsumowanie tego, co Matt i tak już wiedział, niemniej jednak fajnie się czytało. Zmrużył oczy i dotarło do niego, że miejsca wybierane przez te bryły to stolice. Czy któryś z ekspertów zwrócił na to uwagę? Co to oznaczało? Czy to początek apokaliptycznego topnienia, którego celem stały się stolice na całym świecie?

Już słyszał komunikaty w CNN. „Gigantyczny grad paraliżuje Buenos Aires... najnowsze wieści z Waszyngtonu... panika na ulicach Tokio... " Jak w dobrym filmie.

Jakie były szanse na to, że jedna z tych lodowych brył spadnie w Dublinie? A gdyby rzeczywiście do tego doszło, to gdzie by wylądowała? Czyj samochód by wgniotła albo czyj dach zniszczyła albo – szokująca myśl – czyje życie by zakończyła? Przez chwilę tak się rozkoszował tą myślą, że aż zamknął oczy.

Jednak wkrótce potem górę wzięło rozżalenie. Nigdy tak się nie stanie. Nie ma na tym świecie sprawiedliwości. Ani trochę.

Nie potrafił się uwolnić od czarnych myśli. Nic, nawet Cleo, wesoło rozgrzeszająca go za kradzież sudoku, nie było w stanie wyrwać go z marazmu i sprawić, aby był sobą. I nie mógł się skupić na pracy. Powinien szukać potencjalnych klientów, namawiać kolejne firmy do zakupu oprogramowania Edios, ale teraz naprawdę nie miał do tego serca.

Miał kiepski dzień; każdy od czasu do czasu go miewał. Może jutro będzie inaczej, ale dzisiaj równie dobrze mógł dać sobie spokój.

– Muszę lecieć. Wizyta u dentysty – rzucił lekkim tonem.

Gdy wychodził, towarzyszyły mu współczucie i zaskoczenie. Odważny Matt, przez cały dzień wiedział, że wisi nad nim wizyta u dentysty, i nic na ten temat nie wspomniał. Ależ to świetny facet. Nawet Niamh (która w przerwie na lunch udała się na kolejne ścięcie włosów, tym razem bardziej twarzowe) zastanawiała się, czy nie powinna zrewidować swojej opinii na jego temat.

Matt wsiadł do samochodu i w ekspresowym tempie wyjechał z parkingu – ale nie pojechał w stronę domu. Udałem się za nim, próbując to rozgryźć. Przez chwilę zastanawiałem się, czy ta historia z dentystą to może jednak nie pretekst do wcześniejszego wyjścia z pracy. Wtedy dostrzegłem, że kieruje się w stronę nabrzeża. Czy to oznaczało to, co mi się wydawało?

... Tak.

W tej samej bocznej uliczce, gdzie cztery dni temu Maeve zatrzymała się z rowerem, Matt zaparkował auto. W parkometrze kupił bilet na dwie godziny, po czym stanął dokładnie naprzeciwko głównego wejścia No Brainer Technology – jawnie, nie chowając się tak jak Maeve – i obserwował wychodzących ludzi, dokładnie tak jak Maeve.

No i pojawił się ten facet, luźne poły koszuli, oberwane guziki i długie, nieuczesane włosy, torba na ramię z postrzępionym paskiem. Kiedy zobaczył Matta, na jego pobladłej twarzy pojawił się strach, ale niemal natychmiast odzyskał spokój i się zaśmiał. Ten dźwięk unosił się nad ulicą, a Matt poczuł, że ryczy w nim wściekłość, rozpychając się w jego ciele i sącząc do wszystkich komórek. Tyczkowaty mężczyzna oddalił się z przesadną niefrasobliwością, a Matt zapragnął walnąć w ścianę.

Wrócił do samochodu i pięć razy walnął się pięścią w brzuch i poczuł się ciut lepiej: gniew zmalał z powodu fizycznego bólu, jaki teraz czuł. Co było jak najbardziej na miejscu, gdyż to wszystko jego wina.

... Nie ma sensu mnie o to pytać. Nie mam zielonego pojęcia.

Dzień 53…

– Co mam założyć? – zapytał Conall, dzwoniąc z Helsinek. Meldował się prawie co wieczór, przed pójściem Katie spać.

– Garnitur od Toma Forda i koszulę, którą ci kupiłam.

– Tę różową?

– Ona nie jest różowa, lecz lawendowa. Bardzo jasna lawenda. Niemal biel. – Niezupełnie; to była intensywna, dziewczęca lawenda, która paradoksalnie sprawiała, że wyglądał wyjątkowo męsko. Ale próby wyjaśnienia tego pozbawione były sensu; czasami lepiej po prostu się przy

czymś upierać. – I zostawiłam ci krawat, który chcę, żebyś założył. Leży u ciebie na łóżku.

– I mam po ciebie przyjechać o pierwszej?

– Moje mieszkanie, trzynasta zero zero, żeby nie było żadnych niejasności. Samochód masz czysty?

Wyczuła lekkie wahanie.

– Będzie czysty. Zawsze możemy jechać twoim.

Nie mogli. Jej samochód był ładny, ale nie imponujący. Nie tak jak jego lexus. Może i było to płytkie, ale w końcu wybierała się na wesele byłego chłopaka. Cieszyła się szczęściem Jasona i tym podobne blablabla, no ale... nie chciała wyglądać, jakby sprawiało jej to ból.

– A twój lot? – zapytała. – Finnair, tak? Lądujesz w sobotę o dziesiątej piętnaście? – Już to wiedziała, każdy jeden szczegół, ale w tym przypadku nie mogło być żadnych nieporozumień. To było bardzo, bardzo ważne.

– O dziesiątej piętnaście.

– Nie mógłbyś przylecieć w piątek wieczorem, żeby nic ci przypadkiem nie wyskoczyło? – Wiele razy zadawała to pytanie, ale dręczył ją niepokój i nie mogła się powstrzymać przed zadaniem go po raz kolejny.

– Nie wyskoczy.

– Okej.

– Obiecuję.

Cisza.

– Obiecuję. Tym razem cię nie zawiodę.

„Tym razem cię nie zawiodę”. Co jeszcze mógł zrobić, aby ją przekonać? Katie cieszyła się, że przynajmniej nie jest teraz w Manili albo

Sajgonie, jak to czasem bywało, z tyloma możliwymi opóźnieniami lotów i niezdążeniem na przesiadkę. Z Helsinek leciał jednym samolotem, tylko dwie godziny. Wszystko będzie dobrze.

W sposób mocno oczywisty zmieniając temat, Conall zapytał:

– No dobrze, to jaką masz myśl na dzisiaj?

– Chwileczkę. – Katie sięgnęła po dziennik, jaki otrzymała w prezencie urodzinowym od Danno i reszty. Otworzyła na właściwej stronie. – Optymistyczny cytat na dziś to: „Kochaj swoje ciało takim, jakie jest. Uważasz, że jest niedoskonałe, i masz rację, ale z czasem będzie jeszcze gorzej".

– Twoje ciało jest doskonałe – powiedział miękko Conall.

Katie prychnęła, ale w sumie mile ją to połechtało...

Kiedy się rozłączyli, zaczęła się zastanawiać, czy wie, jakie ma założyć buty. Powinna do niego oddzwonić? Może lepiej nie. Był niesłowny, ale ubierał się świetnie i może wystarczająco już go musztrowała w związku z tym ślubem.

Postanowiła za to wynieść śmieci.

Dzień 53…

Fionn wstał.

– Dokąd się wybierasz? – zapytała ostro Jemima.

– ... Ach... nigdzie. – Siedział na fotelu, z udawaną koncentracją wpatrując się w mały, bardzo stary telewizor Jemimy.

W milczeniu wypili herbatę, po czym Fionn odstawił głośno filiżankę na spodek, sygnalizując finalizację tej czynności. Wstał i rzucił lekko:

– Chyba się trochę przewietrzę.

– Dość się dzisiaj nawietrzyłeś.

– Muszę wyjść, Jemimo. Dla chłopaka ze wsi siedzenie w małym mieszkaniu to nie jest dobry pomysł. Muszę się przejść.

– Jest dziesiąta wieczór. Na ulicach pełno będzie rozrabiaków i nicponi.

– No i?

– Możesz sobie z nimi nie poradzić – wyjaśniła wyniośle. – Chłopak ze wsi.

– Tylko na kilka minut... – Był już prawie przy drzwiach.

– Jest mężatką – oświadczyła z mocą Jemima.

– Kto?

– Wiesz kto. Maeve.

Fionn pomyślał, że Maeve nie sprawiała wrażenia mężatki.

– Z tego, co mi wiadomo, do tej pory trzymałeś się z daleka od zamężnych pań.

Tak, oczywiście, że tak, jak każdy porządny człowiek. Ale Maeve była inna. Nie wiedział jak, nie potrafił powiedzieć, w jakim względzie, wiedział jedynie, że tak jest.

– Wychowano cię w szacunku dla kobiet zamężnych.

Jemima próbowała go zawstydzić, żeby zapomniał o Maeve, on jednak tego nie zrobił. Nie potrafił! Oszałamiała go i zdumiewała intensywność uczuć do tej kobiety. Przez cały dzień siedziała mu w głowie. Pierwszy raz jakaś kobieta wywarła na nim takie wrażenie i jeśli miał być szczery, to miał gdzieś, czy już do kogoś należy. Pragnął jej i zamierzał ją zdobyć.

– Czuję... jakby to ująć? Że nie jest tak naprawdę mężatką. – Pokręcił głową, mrużąc podejrzliwie oczy. – Ten cały Mark...

– On ma na imię Matthew!

– ... coś jest nie tak, jakby była jego więźniem.

– Czy ty postradałeś zmysły? – zapytała Jemima. – Błagam cię, posłuchaj samego siebie.

– Mówię ci, Jemimo, coś jest nie w porządku.

– Bzdura! Próbujesz jedynie udzielić sobie rozgrzeszenia za zrobienie czegoś strasznego. A ja ci na to nie pozwolę.

– A jak masz zamiar mnie powstrzymać? – Nagle znowu był krnąbrnym piętnastolatkiem.

– Zakazuję ci wyjść.

Patrzyła na niego gniewnie. Zdążył zapomnieć siłę jej spojrzenia. Przemożna siła, tak nazywał ją Giles. Przyszpiliła go niczym laser i chwilę później poczuł, że wraca do pokoju i siada z powrotem na fotelu. Skulił się na nim.

Jemima uśmiechnęła się uprzejmie.

– Jeszcze herbaty, mój drogi?

„Możesz ją sobie wsadzić w ten chudy protestancki tyłek”.

– Dobra – mruknął.

– Powiedz mi – podjęła szorstko Jemima, unosząc im – bryk. – Co planowałeś zrobić? Zapukać do niej i się z nią umówić, gdy tymczasem metr dalej siedzi jej mąż?

– Pomyślałem, że zaproszę ich na nagranie – odparł z lodowatą godnością Fionn. – Oboje. Ludziom się podobają takie rzeczy.

– Myślę, że nic im się nie stanie, jeśli nie wybiorą się na wycieczkę do studia telewizyjnego, wielkie dzięki!

Dzień 53…

Niecałe trzy metry pod Fionnem Matt i Maeve leżeli na sofie, jak zwykle tworząc jedność, i oglądali jakiś program o remontach domów. Bardzo lubili rutynę. Każdego dnia budzili się o siódmej trzydzieści i siadali do cywilizowanego śniadania, na które składała się owsianka, miód i tabletka z witaminami. O ósmej trzydzieści wychodzili do pracy, a o osiemnastej trzydzieści wracali. Każdego wieczoru przygotowywali obfitą obiadokolację z ziemniakami w roli głównej, a po niej zawsze pałaszowali coś słodkiego – byli fanami rafinowanego cukru, ciastek, rożków lodowych, placków z jabłkami i tym podobnych. Kiedy już zjedli swoje porcje, owijali się wokół siebie na sofie i oglądali telewizję, bez względu na to, co akurat leciało, i raczyli się kolejnymi słodyczami. Punktualnie o dwudziestej trzeciej odziewali się w kilka warstw ubrań, kładli do łóżka i zapisywali w notatnikach Trzy Błogosławieństwa.

Matt i Maeve byli dla siebie stworzeni.

Ironią losu okazało się to, że choć David – tak jak i Maeve – był Galwayem, a Matt nie, to z nim Maeve miała więcej wspólnego niż z Davidem. Śmiała się z Mattem, dużo się śmiała. Coś, co raczej nie zdarzało się w towarzystwie Davida, który uważał świat za tak rażąco niesprawiedliwy, że śmiech wydawał się być czymś zupełnie nie na miejscu.

Ale mimo że ona i Matt byli dla siebie stworzeni, dręczyły ją wyrzuty sumienia z powodu Davida. Kochał ją i był dla niej dobry, a ona mu odpłaciła publicznym upokorzeniem. Z perspektywy nowego związku dostrzegała, co nie grało między nią a Davidem, znacznie więcej, niż przyznawała, kiedy byli jeszcze razem. Tak bardzo schlebiał jej fakt, że ze wszystkich dziewcząt w Goliacie David wybrał właśnie ją – David, taki

bystry, pełen pasji i charyzmatyczny – że tak naprawdę nigdy nie zadała sobie pytania, czy to rzeczywiście mężczyzna, którego pragnie.

Bardzo mu chciała wszystko wytłumaczyć, ale David nie pozwolił Maeve niczego „wyjaśniać". W sumie Maeve przyznawała, że raczej nie umiałaby tego zrobić. W jednej chwili jej chłopakiem był David, a Matta po prostu lubiła, zaś w następnej była szaleńczo zakochana w Matcie, a David został zepchnięty na drugi plan.

Próbowała nakłonić Davida, aby spotkał się z nią i porozmawiał, okazało się to jednak niemożliwe. Nie odbierał od niej telefonów, odsyłał wszystkie e – maile i z melodramatyczną godnością przechodził na drugą stronę ulicy, gdy widział zbliżającą się Maeve. Podczas spotkań kilku zespołów czynił ponure aluzje na temat tego, że nie można ufać innym członkom zespołu, a raz, kiedy przypadkowo otarła się o niego w pokoju socjalnym, syknął:

– Nie dotykaj mnie.

Z wrodzonym optymizmem Matt upierał się, że David wkrótce przeboleje Maeve i zainteresuje się inną dziewczyną, ale ona nie była tego taka pewna. David głęboko wszystko odczuwał i cechy, które kiedyś tak podziwiała, na przykład gorące sprzeciwianie się wszelkiej niesprawiedliwości, teraz nagle wyglądały jak wady. David nadal żywił urazę do Henry'ego Kissingera za to, że doprowadził w Chile do zamachu stanu, który obalił Allende, choć w tamtych czasach jeszcze nie było go na świecie.

Natalie to zupełnie inna sprawa. Z godnym podziwu pragmatyzmem niemal natychmiast zaakceptowała nową konfigurację Matt & Maeve.

– Tylko spójrzcie na siebie – machnęła do nich brązową dłonią. – Wasz związek to coś prawdziwego, jesteście dla siebie stworzeni. Na

początku wcale mi się to nie podobało, ale co mogłam zrobić?

– Co powinniśmy zrobić z Davidem? – zapytała ją Maeve.

Ale ona była z tej samej szkoły optymizmu, co Matt.

Nonszalancko poradziła:

– Dajcie mu trochę czasu.

Minął więc miesiąc, potem dwa, ale w zachowaniu Da – vida nic się nie zmieniło, a Maeve zżerało poczucie winy. Co nie ułatwiało pracy. Życia towarzyskiego także. Matt strasznie chciał cały czas być z Maeve; ochoczo przyłączyłby się do wszystkich jej zwykłych zajęć, takich jak jedzenie fałafeli w deszczu, picie piwa w Gogol Bordello albo nieustanne spadanie z deski surfingowej do lodowatego Atlantyku. Ale Maeve nie mogła tego zrobić Davidowi. Tak bardzo go skrzywdziła, że miał prawo do ich przyjaciół i ich życia towarzyskiego.

Przy odrobinie szczęścia coś takiego nie będzie trwać wiecznie, a tymczasem ona i Matt stworzyli nową ścieżkę, odnajdując płaszczyznę porozumienia pomiędzy swoimi zupełnie odmiennymi stylami życia. On dla niej przeczytał powieść Barbary Kingsolver, a ona się dała przekonać do spędzenia weekendu w hotelu ze spa, a nawet wzięcia udziału w masażu dla par. I choć wcześniej była przekonana, że będzie mieć wyrzuty sumienia z powodu poniżającej pracy, jaką musi wykonywać masażystka, przekonała się, że hojny napiwek przegonił poczucie winy.

Prawdę powiedziawszy, musiała przyznać, że cały weekend okazał się wspaniały. Mattowi tak samo spodobała się książka Barbary Kingsolver. No ale wszystko ich w sobie nawzajem zachwycało, więc trudno mieć co do tego pewność.

Dzień 53…

Fionn poruszył się na fotelu i pomyślał: Aha! Tak, aha! Jemima w końcu będzie musiała iść spać. A on poczeka. To była silna kobieta, czasami nawet przerażająca, ale każdy musi spać. Pił więc herbatę i oglądał telewizję, a o jedenastej, kiedy Jemima oświadczyła, że idzie do łóżka, przeciągnął się, szeroko ziewnął i przytaknął, że pora spać. Pocałował ją na dobranoc, a gdy zniknęła u siebie, czekał i czekał, aż usłyszał dochodzące z jej sypialni regularne ciche pogwizdywanie.

I choć zmusił się do tego, aby odczekać jeszcze piętnaście minut, to kiedy otwierał drzwi, autentycznie się bał, że stanie przed nim niczym anioł zemsty i nakaże mu wrócić do łóżka. Tak się jednak nie stało. Najwyraźniej starość robiła swoje.

Zszedł po cichutku po schodach i przez szparę pod drzwiami Maeve wsunął liścik. Nic kontrowersyjnego, absolutnie. Zaadresowany do nich obojga, zapraszający na nagranie. „Kiedy wam tylko pasuje”. Numer jego komórki. Numer komórki Jemimy. Numer telefonu stacjonarnego Jemimy. Wszystko mocno niezobowiązujące.

Katie, w piżamie i szpilkach, wyrzuciła śmieci i właśnie wracała na górę. Umiejętność robienia wszystkiego na dziesięciocentymetrowych obcasach to dar porównywalny z pięknym głosem, dar, który należało szanować, darzyć estymą i uznaniem. Tak jak śpiewacy codziennie pracowali nad swoim głosem, śpiewając gamy i takie tam, Katie także sumiennie ćwiczyła. Gdyby utraciła ten dar, gdyby zaczęła przechylać się w przód, potykać się i narzekać na bolące podbicia, czułaby, że utraciła część siebie.

Wbiegała po schodach i prawie dotarła do mieszkania Lydii, kiedy

usłyszała, jak niżej otwierają się drzwi Jemimy.

A niech to! Jak każdy normalny człowiek, Katie przerażała myśl o konieczności rozmawiania z sąsiadami, ale była zbyt blisko drzwi Jemimy, aby zdążyć uciec. Z obawą odwróciła się, szykując się na kilka minut uprzejmej wieczornej pogawędki ze starszą panią. Ale, ku jej ogromnemu zdziwieniu, to nie Jemima wyszła na korytarz, lecz oszałamiająco przystojny mężczyzna. Złoty bóg, z długimi włosami, idealnymi rysami i malującą się w oczach determinacją.

Kto to taki?

Choć stała znieruchomiała i otwarcie się gapiła, on jej nie widział – dowód na to, że po przekroczeniu czterdziestki stała się niewidzialna. Zafascynowana, pochyliła się nad poręczą i śledziła go wzrokiem, jak po cichutku schodzi na dół i wsuwa pod drzwi Matta i Maeve jakąś kartkę.

O co chodzi?

Wtedy, poczuwszy lekkie zawroty głowy – te obcasy, te obcasy – uświadomiła sobie, że jeśli nie będzie uważać, to wychyli się zbyt mocno i spadnie na sam dół. Przyjęła pozycję pionową i poszła na górę.

Dzień 52

Matt, potykając się i ziewając, szedł do kuchni, aby zaparzyć kawę – zawsze wstawał przed Maeve – i odbywał krótki rekonesans, żeby sprawdzić, czy można bezpiecznie żyć, kiedy na podłodze dostrzegł kartkę papieru. Od razu widać było, że to nie ulotka reklamowa; napisano na niej coś odręcznie i musiał ją wsunąć pod drzwi któryś z sąsiadów. Umiarkowanie go to zainteresowało. Co takiego zrobili? Zbyt głośno grał telewizor? Następnie przeczytał liścik i choć każda komórka w jego ciele kipiała z

wściekłości, wszedł do kuchni i zamknął drzwi, aby uchronić Maeve przed siłą swych uczuć.

Przez kuchenne okno wdzierało się oślepiające poranne słońce i bolały go oczy, a krew krążyła w jego żyłach z taką prędkością, że uszy miał gorące i obolałe. Oparł ręce o kuchenny blat i opuścił głowę. Cóż za brak szacunku!

Powie Maeve? Za cholerę. Wrzucił kartkę do kosza z odpadkami na kompost, tam gdzie jej miejsce, gdzie zgnije razem z resztkami warzyw i innego jedzenia.

Kiedy zaniósł Maeve kawę, leżała jeszcze w łóżku. Wyglądała, jakby nastrój miała wyjątkowo grobowy.

– Matt...?

– Mmm?

– Mam wrażenie... że ktoś mnie obserwuje.

Po raz drugi w ciągu dziesięciu minut Matta zaatakowały emocje. Przytłoczyło go poczucie klęski. Przeraziła go własna lekkomyślność: ta wycieczka, którą odbył wczoraj, co on sobie myślał? Powinien był dać spokój. A tak obudził na nowo demony i przyciągnął do nich. Chyba że to był ten cały Fionn...?

– Teraz? – udało mu się zapytać. – Przez okno?

– Nie, nie tak.

– Obserwował w pracy?

– Może.

– Czekał na ciebie pod pracą?

– Nie, bardziej jakby... to brzmi idiotycznie, jakby mnie obserwował przez ściany.

– Przez ściany? – Przez ściany?!

– Nie wiem, Matt. Przepraszam. Tak się po prostu czuję. Wzięli prysznic, naszykowali owsiankę z miodem, ale

Matt nie był w stanie nic przełknąć. Gardło miał tak ściśnięte, że ledwie udało mu się wmusić w siebie tabletkę z witaminami.

W końcu wychodzą do pracy, ale ja zostaję w mieszkaniu. Szukam czegoś. Ale czego? Z ich herbatą wszystko w porządku; szuflada z bielizną nie skrywa żadnych tajemnic, jedynie slipki i figi, które czasy świetności dawno już mają za sobą; a w łazience zapakowane w folię pudełko z balsamem do ciała Coco Chanel pokrywa cienka warstwa kurzu, co jest może i smutne, ale nic sobą nie wnosi. Następnie wracam do kuchni, zaglądam do szafek, znajduję coś i robi mi się wstyd. Obserwuję Matta i Maeve już ponad tydzień i dopiero teraz zobaczyłem, że łykane przez nich codziennie witaminy to wcale nie witaminy. Tytko antydepresanty.

Dzień 51

Od dołu do góry, od dołu do góry, miała wsmarowywać go do góry. Zrobiła na odwrót, więc w celu naprawienia szkody Katie nałożyła jeszcze jedną porcję kremu na noc, tym razem wsmarowując go we właściwym kierunku – przeciwnym do siły grawitacji. Nagle poczuła czyjąś obecność i ogarnął ją strach. Uniosły jej się włoski na karku, a na rękach pojawiła gęsia skóra.

– Kim jesteś? – szepnęła. Zacisnęła mocno powieki, ponieważ się bała, że jeśli spojrzy w lustro na toaletce, zobaczy siedzącą obok siebie jakąś postać.

Dobry w tym jestem. Tak dobry, że czasem nawet sam się boję.

– Kim jesteś? – powtórzyła.

Ja? Jestem wiatrem w drzewach, rosą na płatkach kwiatów, deszczem w powietrzu.

Ach nie, żartuję.

– Babciu – rzekła Katie. – To ty?

Nie, Katie, nie jestem twoją zmarłą babcią.

Katie przepadała za babcią Spade, matką swojej matki. Można powiedzieć, że babcia Spade uratowała Katie po rozstaniu z Jasonem. Na początku rozstanie wydawało się względnie spokojne, żadnych osób trzecich, może tylko małe niesnaski podczas podziału kolekcji płyt; Katie była smutna, ale nie straciła wiary w nadzieję, szczęście i triumf ludzkiego ducha.

Do czasu... tak, do czasu, aż cztery krótkie miesiące po ich łzawym pożegnaniu dotarły do niej słuchy, że Jason ma nową dziewczynę (Portugalkę) i – o dziwo! – jest ona w ciąży. I w mgnieniu oka Katie zgorzkniała. Jej stan okazał się na tyle poważny, że musiała pójść na kurs „odgorzkniania". (Zwany Ponad Goryczą: jak skończyć z poczuciem winy i na nowo nauczyć się kochać.) Zasugerowała go babcia Spade, leżąca na łożu śmierci.

– Zrobiłaś się bardzo zgorzkniała, Katie – rzekła. – Idź na ten kurs.

Wcisnęła ulotkę w dłoń Katie, a zaraz potem wyzionęła ducha. Cóż, życzenie wypowiedziane na łożu śmierci to nie byle co i Katie nie zamierzała ryzykować tego, że będzie ją prześladował niespokojny duch. Wystarczające trudności miała z utrzymaniem w mieszkaniu porządku i nie chciała, aby nieżyjąca babcia rzucała w nim jajkami, tłukła lustra i generalnie robiła bajzel.

Przez cztery piątkowe wieczory Katie chodziła na kurs i generalnie to,

czego się nauczyła, można ująć w jednym zdaniu: jedynym sposobem na pozbycie się rozgoryczenia nie jest, jak się spodziewała, spalenie dom u Jasona i Donandy, ale – dalibyście wiarę? – życzenie im jak najlepiej. Przez te cztery tygodnie zachęcano ją do robienia rzeczy niemożliwych, takich jak wyobrażanie sobie, że Jason i Donanda mają wszystko to, czego ona, Katie, zawsze pragnęła: troje dzieci, płaski brzuch, kogoś do prasowania. Gdy spróbowała to zrobić po raz pierwszy, miała odruch wymiotny.

To było bardzo, bardzo trudne. Ale, mobilizowana w niemałym stopniu przez strach przed duchem babci Spade, próbowała dalej i kiedy kurs się skończył, była inną osobą.

Zdarzało się, oczywiście, że nadal czerpała przyjemność z odbywania w głowie ożywionych rozmów z osobami, które zrobiły jej coś złego (za każdym razem wygrywała, a oni zmieniali się w pełne skruchy wraki ludzi), ale generalnie była wolna od goryczy.

Dzień 50

– O, przepraszam.

Lydia wparowała do łazienki ubrana jedynie w koszulę nocną (właściwie to T – shirt, jeden z należących do Gilberta, który uratowała przed oddaniem dla biednych) i zderzyła się z myjącym zęby Andrzejem.

Zaspała. Jak mogła zaspać, straciwszy ostatnio tak dużo możliwości zarobku? Teraz liczyła się każda sekunda. Musiała w ekspresowym tempie wziąć prysznic i się ubrać, ale w łazience znajdował się na wpół nagi Polak.

Był goły od pasa w górę, a resztę zakrywał jedynie mały ręcznik, owinięty ciasno wokół wąskich bioder. Cóż... cóż za bezczelność!

– Co ty tu robisz? – zapytała, machając niecierpliwie rękami.

Uniósł brew w sarkastycznym pytaniu: Co ty tu robisz?!

– Nieważne. – powiedziała. – Po prostu wyjdź. Jestem spóźniona. Muszę wziąć prysznic.

Andrzej zapytał się w duchu, dlaczego miałby wychodzić? On też miał pracę. On także miał ablucje do wykonania. I – nie żeby zachowywał się dziecinnie – on zjawił się tu pierwszy.

– Wychodź – powtórzyła, a w jej spojrzeniu czaiła się groźba. – No i – uniosła z irytacją głos – czy mógłbyś się, do cholery, ubrać?

Andrzej wcześniej sądził, że Lydia wyszła już do pracy; zazwyczaj zaczynała ją o jakiejś nieludzkiej porze. Zakładał, że we własnej łazience ma prawo mieć na sobie jedynie ręcznik.

Zaskakując ich oboje, wyciągnął prawą rękę – umięśnione ramię poruszyło się, jakby pod skórą znajdowały się sznury – i przyciągnął Lydię do siebie. Jej nogi stawiały opór, ale Andrzej był dla niej za silny i chwilę później stała przyciśnięta do jego nagiego torsu. Dotyk jego ramienia na jej plecach był twardy niczym skała.

„Jak metalowe pręty, które nie dadzą ci wypaść na kolejce górskiej”.

Zaniemówiła z powodu tej zuchwałości. Że też miał czelność ją dotknąć. Przesunęła spojrzeniem po mięśniach piersiowych i uniosła głowę. On także spojrzał na nią, znieruchomiały. Miętowy oddech omiótł jej twarz. Jego niebieskie oczy błyszczały. Lydia znajdowała się na tyle blisko, by zobaczyć, że jeszcze nie zdążył się ogolić.

Między nimi rodził się ogień i oboje stali się świadomi coraz większej twardości pod ręcznikiem. Wtedy Lydia uwolniła się z jego uścisku i rzuciła

mu ostatnie, pełne konsternacji spojrzenie, po czym odwróciła się.

Dzień 50…

Maeve spięła się, trzymając dłoń przy ustach.

– Ciągle myślałam... – powiedziała w końcu, po czym umilkła.

Dr Shrigley przyglądała jej się ze spokojem.

Dr Shrigley była psychoterapeutką. Wysoka, szczupła i ładna, miała na sobie mokasyny, granatowy rozpinany sweter z ekokaszmiru, który może zwędziła mężowi, i płowożółte spodnie, które również może zwędziła mężowi. Spokojna intelektualistka, nie malowała się, nie miała czasu na takie głupoty. Wystarczyło raz na nią spojrzeć, aby wydedukować, że czyta biografie wartościowych kobiet, a wieczory ze znajomymi spędza na piciu czerwonego wina i dysputach na temat dekonstrukcjonizmu. Istniała także spora szansa na to, że może być dobra w żeglarstwie.

Swoimi życzliwymi poradami dzieliła się w klinice na Eglinton Road, w niewielkim gabinecie, w którym znajdowały się dwa wygodne, ale nie przesadnie wygodne fotele. Na małym stoliku stało kuszące pudełko chusteczek.

Gdy Maeve zwinęła się w żałośnie wyglądający precel, na twarzy dr Shrigley widniała doskonała mina: pełna troski, ale nie protekcjonalna; cierpliwa, ale nie udręczona; zainteresowana, ale nie chorobliwie. Sprawiała wrażenie, że może czekać cały dzień, a przynajmniej do końca godziny,i że żaden problem, jeśli nic nie zostanie powiedziane. Ale gdyby Maeve rzeczywiście otworzyła usta, no, wtedy ochoczo wysłucha tego, co ma do powiedzenia.

Nic dziwnego, że tak długo trzeba studiować, aby zostać terapeutą; wyćwiczenie takiej miny może zabrać całe lata.

Dr Shrigley była dobrą kobietą. Za maską profesjonalnej obojętności pulsowała kochająca, troskliwa częstotliwość. Choć wiedziała, że to znaczące naruszenie granic, nic nie mogła poradzić na to, że martwi się o Maeve. Często o niej myślała pomiędzy ich cotygodniowymi sesjami. Widziała osobę, jaką Maeve kiedyś była i czasami wychwytywała przebłyski osoby, jaką Maeve mogłaby się stać, gdyby się tego wszystkiego trzymała, ale żywiła obawy, że Maeve skończy się nadzieja i porzuci ten proces, nim zostanie do końca uleczona.

Po jakimś czasie Maeve odezwała się:

– Zawsze myślałam o ludziach jak najlepiej. Sądziłam, że świat jest dobry. Ale teraz...

– Bardzo nadużyto twojego zaufania, a dojście do siebie musi potrwać.

– Ale ile jeszcze? To już tak długo!

Dr Shrigley próbowała uśmiechnąć się uspokajająco, ale usta lekko jej drżały.

– To twoja podróż, Maeve. Jest trudna, ale jakoś sobie radzisz. Stawiając jedną stopę przed drugą, poruszając się do przodu.

– Czy jeszcze kiedyś będę się dobrze czuć?

– Tak. Ale nie ma ściśle określonych ram czasowych.

– Nadal codziennie wykonuję Dobry Uczynek i co wieczór zapisuję Trzy Błogosławieństwa. Robię to już od kilku miesięcy. To chyba musi się liczyć, prawda?

Dr Shrigley kiwnęła głową. Obawiała się, że Maeve zbyt wiele wiary wkłada w te czynności, no ale z drugiej strony najpewniej nie wyrządzały jej

one żadnej krzywdy.

– To z całą pewnością jeden ze sposobów na odzyskanie wiary w dobroć świata.

Maeve pokiwała głową.

– Nasz czas się skończył – powiedziała dr Shrigley. – Za tydzień o tej samej porze?

Maeve ponownie kiwnęła głową.

– A odwołane spotkanie z zeszłego tygodnia...? Po prostu źle się czułaś? To wszystko?

Maeve nie potrafiła spojrzeć jej prosto w oczy.

– To wszystko.

Maeve musiała szybko pedałować, aby uciec od swoich uczuć. Jechała wzdłuż Ranelagh Road, młócąc nogami, szybko oddychając, a kiedy zobaczyła, że światła przed nią są czerwone, nie potrafiła się zatrzymać. Zaryzykuje. Wystrzeliła do strefy niebezpieczeństwa i nagle znalazł się tam samochód, który zaraz uderzy ją bokiem. Pedałowała szybciej, a samochód wykonał gwałtowny skręt i przy wtórze klaksonów dotarła na drugą stronę. To była tylko jedna sekunda. Serce waliło jej jak młotem. To było naprawdę bardzo, bardzo ryzykowne, ale nie była w stanie się powstrzymać, a teraz nic już nie groziło, prawda? Przez chwilę nastrój miała niemal euforyczny, ale im bliżej domu, tym gorzej się czuła. To ten Fionn. Nie chciała na niego wpaść. Widziała go znowu dziś rano, kiedy wyszła z domu razem z Mattem. Fionn wsiadał akurat do samochodu i zatrzymał się i wpatrywał w nią z taką... taką... Gdyby kierowca go nie popędził, możliwe, że podszedłby do niej, a nawet gdy samochód się oddalał, Fionn patrzył przez tylną szybę, dopóki nie skręcili na końcu ulicy.

Dzień 49

Katie wydala na sukienkę majątek. I majątek na buty – złote sandałki, Dolce & Gabbana, bardzo szykowne. I majątek na włosy. A teraz miała robiony pedicure klasy de luxe. Za godzinę przyjedzie po nią Conall, więc miała mnóstwo czasu na to, aby dotrzeć do domu, przebrać się... Bipnęła jej komórka i Katie wiedziała: odwoływał swój przyjazd.

Nadal w Helsinkach. Nagła sprawa. Bardzo bardzo bardzo przepraszam.

Przeczytała raz jeszcze, pragnąc, aby te słowa znaczyły coś innego, po czym przełknęła ślinę. Czuła ściskanie w gardle, a pod powiekami łzy gniewu. Miała ochotę w coś kopnąć, ale paznokcie u stóp jeszcze nie zdążyły wyschnąć, a nie miała zamiaru niszczyć pedicure'u. Conall nie był tego wart. Skoro na ślub byłego chłopaka musiała iść sama, mogła przynajmniej trzymać głowę wysoko, wiedząc, że ma idealnie zrobione stopy.

Ten pedicure okazał się darem niebios, zwłaszcza w kościele. Odciągał on jej uwagę od promiennej urody Donandy, szczerości przysięgi małżeńskiej Jasona i pełnych litości spojrzeń tych, którzy kiedyś przyjaźnili się z tandemem Katie i Jason, ale którzy po rozstaniu obrali stronę zwycięzcy. Rzeczywiście, jej wypieszczone stopy były niczym lina ratunkowa w chwili, gdy córeczka Jasona i Donandy na białej aksamitnej poduszeczce podawała im obrączki. „Może i macie słodką córeczkę w wianku z kwiatów, ale ja mam śliczne różowe paznokcie".

Kiedy jednak znalazła się w restauracji, jej pewność siebie mocno zmalała: plan rozsadzenia gości pokazał, że ma miejsce przy NS – Najgorszym Stole.

Wygłosiła w duchu krótką przemowę, nakazując sobie nie popadać w

paranoję. Ona i Jason bardzo się lubili, czemu miałby ją obrazić? Ale jej stół znajdował się na samym końcu, otoczony dwiema ścianami – jedna była za nią, druga naprzeciwko. Pozostali goście, wszyscy Portugalczycy, część dalszej rodziny Donandy, to cztery starsze, ubrane na czarno panie i przysadzisty mężczyzna koło pięćdziesiątki, który miał niezwykłe wąsy i do połowy rozpiętą koszulę. Nie mówili ani słowa po angielsku. Tak, z całą pewnością najgorszy stół.

Było jedno wolne miejsce – z wyjątkiem tego, które przeznaczono dla Conalla – i cała nadzieja Katie w nim. Nie mogła uwierzyć, kiedy zobaczyła, że w stronę stołu zbliża się potargany, bardzo atrakcyjny mężczyzna. Czym sobie zasłużył na miejsce przy NS? Pewnie czarna owca rodziny. Problemy z narkotykami. Być może defraudacja. Postanowiono posadzić go gdzieś, gdzie nie może wyrządzić zbytniej szkody.

Gdy się zbliżył, wyraźnie widać było malujący się na jego twarzy niepokój. Wziął do ręki karteczkę ze swoim imieniem i nazwiskiem i przeczytał złote litery tak, jakby nie wierzył, że to prawda, a potem, z oczami pełnymi paniki, zerknął na sześć przejętych twarzy, wsunął karteczkę do kieszeni i dał drapaka.

– I nigdy więcej go nie widziano – powiedziała Katie.

Żarty na bok, to by było na tyle. Nikt inny się do nich nie dosiądzie. Była udupiona.

Z przesadną galanterią mężczyzna z wąsami przesunął się o jedno miejsce, tak że teraz siedział obok Katie.

Uderzył się w pierś i oświadczył:

– Ja, Nobbie.

– Katie.

– Ty być pijenkna kobieta.

– A ty masz imponujące wąsy. Musisz być z nich bardzo dumny.

– Cioteczna babka Donandy. – Jedna z kobiet pokazała na siebie. Następnie na swoje trzy towarzyszki. – Cioteczna babka, cioteczna babka, cioteczna babka.

Katie puknęła palcem Nobbiego i rzekła:

– Cioteczna babka?

Ależ się śmieli!

– Wujek, wujek – rzekł Nobbie swym głębokim głosem macho. – Ty?

– Była dziewczyna Jasona – wyjaśniła, jakby znali biegle angielski. – Prawdopodobnie był miłością mojego życia.

– Portugalczycy grzecznie pokiwali głowami. – Byliśmy razem sześć lat. Powiem wam, co było najśmieszniejsze.

– Skrzyżowała nogi i nachyliła się w stronę rozmówców.

– Uznaliśmy, że pora na dziecko i dopiero gdy musieliśmy uprawiać dużo seksu okazało się, że już się sobie nie podobamy! Straszne, jak sobie zapewne wyobrażacie. Przez jakiś czas myślałam, że oszaleję. – Portugalczycy zaczynali się robić nerwowi. Ale Katie uznała, że przecież sami ją zapytali.

– Wtedy Jason poznał Donandę.

– Donanda. – Pokiwali do siebie głowami, z ulgą, że w końcu coś rozumieją. – Donanda.

– Kiedy zaciążyła, byłam zdruzgotana. A potem po roku czy dwóch poznałam Conalla, który niestety nie może tu dzisiaj być, ponieważ tnie etaty w Helsinkach. Jestem tu więc sama, aby świętować ożenek byłego chłopaka! – W chwili gdy skończyła, zalała ją fala wstydu. Ci biedni ludzie próbowali jedynie nawiązać rozmowę. Co się z nią działo? Była znacznie

milszą osobą, zanim przekroczyła czterdziestkę.

Natychmiast powzięła postanowienie, że będzie wyjątkowo uprzejma i sympatyczna, ale uprawianie gadki – szmat – ki to trudna sprawa w obliczu bariery językowej, a to było długie przyjęcie, z niekończącymi się przemowami i przerażająco długimi przerwami między kolejnymi daniami. I znikąd pomocy. Tych kilku znajomych twarzy w tłumie gości nie mogła już uważać za sojuszników; po rozstaniu zerwali wszelki z nią kontakt. Właściwie stanowili oni jedyny powód, dla którego po prostu nie wstała i nie wyszła – już słyszała ich udawaną troskę: „Biedna Katie, biedna, biedna Katie. Jej wyimaginowany chłopak nie mógł się pojawić i musiała zjawić się sama. A widzieliście jej buty? Wyobrażacie sobie, ile kosztowały? Cóż, jak ktoś nie ma dzieci, próbuje wypełnić wyrwę w sercu złotymi sandałami".

Co zabawne, najbardziej bolesnym uczuciem, jakie jej doskwierało, była nuda. To było tak cholernie nużące. Chętnie poczytałaby sobie jakąś gazetę. Co jakiś czas wysuwała stopę i podziwiała paznokcie: nadal były śliczne. A potem wstawała i udawała się do toalety. Podczas jednej z takich wycieczek dorwał ją Jason.

– Stolik może być? – zapytał. – Skoro twój chłopak zna portugalski, pomyśleliśmy, że to może być dobry pomysł...

Conall zna portugalski? A to nowość. Dlatego, że Conall był kłamcą. Kłamcą, który obiecał, że na pewno będzie tu z nią dzisiaj i że nie zrobi jej wstydu, podejmując się w ostatniej chwili jakiejś pilnej pracy.

– Tak, Conall jest utalentowany w wielu dziedzinach.

Zwłaszcza w kłamaniu.

– Muszę lecieć. Ciesz się małżeństwem z kimś innym zamiast ze mną.

Aż do tego momentu zachowywała wstrzemięźliwość w piciu, ponieważ a) prowadziła, b) nie chciała się zalać i zacząć płakać, a potem

przyczepić do Jasona i jęczeć:, A pamiętasz, jak zrobiłeś dla mnie piknik w łóżku? A pamiętasz, jak... A pamiętasz, kiedy ja... Sześć lat, Jason, SZEŚĆ LAT. I proszę, oto ty żenisz się z Portugalką, a ja spotykam się z kłamcą".

Kiedy jednak wróciła do stolika, po postanowieniu nie został nawet ślad i w ciągu dwudziestu trzech minut wypiła cztery podwójne rumy z colą (co ciekawe, nigdy dotąd nie piła tego drinka), następnie się wstawiła, następnie chciała jechać do domu, ale nie była w stanie prowadzić i musiała wezwać taksówkę.

Ku jej zdziwieniu taksówkarz okazał się dziewczyną. I Katie ją znała! Mieszkały w tym samym domu!

– Nie miałam pojęcia, że jeździsz taksówką!

– Teraz już wiesz.

Po kilku minutach jazdy w milczeniu dziewczyna zapytała:

– Fajny wieczór?

– Nie.

– Okej.

– Byłam na ślubie byłego chłopaka.

– Kogo? Tego wyglądającego na wkurzonego kolesia, który przychodzi z kwiatami?

– Słucham? Och, masz na myśli Conalla? Nie, innego byłego chłopaka.

Dzień 48

Lydia zamknęła za sobą drzwi i zatopiona w myślach wbiegła po schodach. To właściwie nowość dla Lydii, kochanie swojej matki. Co nie znaczy, by wcześniej jej nie lubiła czy coś w tym rodzaju; jeśli już ją zauważała, towarzyszyło temu mało precyzyjne i mętne uczucie sympatii. Ciepła obecność Ellen zawsze była wyczuwalna gdzieś w tle, klej, który wszystko scalał; uspokajała gwałtowny gniew Auggiego i cicho zapewniała catering i usługi pralnicze, choć była także pełnoetatowym członkiem Operacji Duffy („Wszędzie cię zawieziemy! ”).

Raz na jakiś czas, na przykład wtedy, gdy była świadkiem płaczu Poppy spowodowanego tym, że jej matka, pani Batch, kobieta zgorzkniała i rozczarowana, docinała jej w obecności dentysty, że w wieku dziewiętnastu lat nie wyszła jeszcze za mąż, w przeciwieństwie do swej idealnej kuzynki Cecily, do Lydii docierało, że jeśli chodzi o mamy, to ona ma całkiem niezłą. Ale ona i mama nie były najlepszymi przyjaciółkami, nic z tych rzeczy. Nie tak jak Shoane i jej mama, Mów – mi – Carmel. Ale Mów – mi – Carmel była dziwaczna; ubierała się jak Shoane – wymieniały się ciuchami – i pewnego wieczoru wyszła razem z nimi zaszaleć i przygruchała sobie kolesia, który miał najwyżej dwadzieścia siedem lat. To było niewiarygodnie straszne i w tamtej chwili Lydię zalało uczucie głębokiej wdzięczności w stosunku do Ellen. Ellen nigdy, przenigdy by się nie zachowała jak Mów – mi – Carmel. Ellen była najlepszą mamą na świecie! Ale chwila minęła i wszystko inne w głowie Lydii szybko wróciło na swoje miejsce – pielęgnacja włosów, kace, współlokatorki, chłopcy, debet na koncie i fajne adidasy – a mama opadła tam, gdzie zazwyczaj mieszkała, wiele warstw niżej.

Nawet po niespodziewanej śmierci Auggiego, gdy Ellen w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat została wdową – i, co gorzej, wdową z górą długów do spłacenia – nie zamieniła się w ckliwą płaczkę z przetłuszczonymi włosami. Po prostu radziła sobie dalej. Choć jej imperium zostało zredukowane do jednego samochodu, dalej jeździła na pełen etat, sympatyczny taksówkarz, na którym można polegać. Jej jedyną wadę, jeśli już trzeba ich szukać, stanowił fakt, że jeździła nieco zbyt ostrożnie. „Lepiej, żebyś się nie spieszył na pociąg", jak by powiedzieli jej lojalni klienci. (Co było żartem, bo zazwyczaj wynajmowali Ellen, aby ich podrzuciła na dworzec w Mullingar.)

Ellen pozwalała sobie na trochę płaczu jedynie wtedy, gdy do domu przyjeżdżała – nieczęsto i na krótko – Lydia. Na przemian udawały Auggiego Duffy, przemierzającego salon i błagającego Boga o zesłanie mu pracy.

– Biedny tata – mówiła Ellen, a Lydia odpowiadała:

– Biedny tata.

Roniły wspólnie kilka łez, następnie Lydia głośno pociągała nosem i na wpół poważnie oświadczała:

– Daj mi chusteczkę. Tak czy inaczej był idiotą i dobrze, że się go pozbyłyśmy.

A Ellen uderzała ją w ramię i mówiła:

– Ależ jesteś zuchwała.

Lydia była tak bardzo pogrążona w myślach, że nie zauważyła stojącego na schodach mężczyzny, dopóki na niego nie wpadła.

– Hej – odezwał się. Oczy mu błyszczały, zęby lśniły.

– Jestem Fionn, twój nowy sąsiad.

Przystojniak, który chce, aby go wszyscy kochali – Lydia

natychmiast go rozgryzła.

– Ach tak? – zapytała szyderczo. – O co chodzi z tym uśmiechem?

Dzień 47

Conall ciężko to przyjął.

– Ale Katie, ja cię kocham. – Po raz pierwszy jej to powiedział.

– Nie kochasz.

– Kocham. Przepraszam za Helsinki. Przepraszam za ślub Jasona. Wiem, ile to dla ciebie znaczyło. Ale nie mogliśmy podpisać umowy przejęcia, nie tracąc kolejnych dwunastu pracowników...

– Nie chcę tego wiedzieć.

– Będę mniej pracować. – Chwycił jej dłonie. – Naprawdę. Obiecuję.

– Już to mówiłeś, Conall.

– Ale tym razem mówię poważnie.

– Nie. – Wyrwała dłonie. – Nie można na tobie polegać i już tego nie chcę.

O dziwo, naprawdę tak uważała. Nie uprawiała żadnych gierek, nie rozdzierał jej konflikt pomiędzy głową a sercem, w którym głowa nakazywała wszystko zakończyć, a serce kopało i krzyczało.

Conall był seksowny, bogaty, miał piękne usta, fantastycznie pachniał, miał idealną skórę, kilkudniowy zarost, świetnie całował – i nie miało to znaczenia. Nie mogła dłużej tańczyć w tym rytmie: krok naprzód, krok do tyłu. I jeszcze nigdy tak się nie czuła: smutna, ale pewna, że podejmuje właściwą decyzję.

Czy tak właśnie działało na ludzi przekroczenie czterdziestki?

Niwelowało tolerancję na bzdury? Ludziom kończyła się cierpliwość? Może każdy miał jej w życiu ściśle określoną ilość, a jej przydział właśnie się skończył?

– Mówię poważnie.

Sądząc po oszołomionej minie, zaczynało do niego docierać, że to prawda.

– Nic nie możesz na to poradzić. Wiem, że nigdy nie chciałeś mnie zranić. Nie jesteś złym człowiekiem.

– Litość! – wykrzyknął. – Litujesz się nade mną.

– Nie... Ja... – Boże, a może i tak.

– Ale co ja pocznę bez ciebie?

– Spróbuj z młodszą kobietą – zasugerowała.

Był zdumiony.

– Nie chcę młodszej kobiety. Chcę ciebie.

– Z dwudziestokilkulatką. – Kontynuowała, jakby nic nie mówił. – Najczęściej nie potrafią odróżnić wyzwania od popieprzenia.

Kto jak kto, ale ona o tym wiedziała. Zmarnowała te lata, nie będąc w stanie tego odróżnić.

– Ale co się stało? – zapytał. – Co się zmieniło?

Nie wiedziała. Nie w tym rzecz, że doznała ogromnego przypływu pewności siebie i biegła po mieszkaniu krzycząc: „Jestem fantastyczna i zasługuję na coś lepszego. S. Z. A. C. U. N. E. K.! S – Z – A – C – U – N – EEEEEEEEEE – K. ”

– Po... Po prostu już mi nie zależy.

– Nie zależy?

– Conall, zawsze wierzyłam w miłość, że miłość zwycięży wszystko. Ale to nieprawda. Ponieważ mam czterdzieści lat i widzę, że miłość niczego

nie zwycięża. Z wyjątkiem mojego zdrowego rozsądku przez dwie i pół dekady.

– Ale Katie...

– Chcę, żebyś sobie poszedł. I pamiętaj, co ci mówiłam: dwudziestolatka.

Wibracje serc Conalla i Katie nie są już takie same. Coś wybiło serce Katie z rytmu – możliwe, że te cholerne urodziny – i serce Conalla o tym wie. Trzepocze niespokojnie, próbując znaleźć sobie miejsce w jego klatce piersiowej, próbując załapać ten nowy rytm, próbując znaleźć drogę powrotu.

Dzień 46

Budzik Matta i Maeve rozpoczął swoje łagodne dzwonienie i Matt wygramolił się z łóżka, po czym udał w stronę kuchni. Nie miał dokładnie pewności dlaczego, ale spodziewał się znaleźć dziś na podłodze następny liścik od Fionna.

Razem z Maeve widzieli go kilka razy rano, jak odjeżdżał spod domu mercedesem, wpatrując się w Maeve tak, jakby miał ochotę ją zjeść. Pomyślał, że może powinni zmienić godzinę wychodzenia do pracy. Wtedy w jego głowie pojawiła się gorsza myśl: może Fionn nie przyśle następnego listu, może po prostu pojawi się w ich drzwiach i zapyta, dlaczego się nie skontaktowali, a Maeve dowie się, że Fionn przysłał im list i że Matt wyrzucił go do kosza... Niemal więc poczuł ulgę, kiedy na podłodze pod drzwiami zobaczył białą kopertę.

Podniósł ją i zerknął przez ramię, aby się upewnić, że Maeve nic nie widzi, po czym udał się chyłkiem do kuchni i rozerwał kopertę. Dokładnie to samo, co poprzednio. Nagranie programu o ogrodnictwie. Proszę przyjdźcie. Jeden numer telefonu. Drugi numer telefonu. Kiedy wam pasuje.

Żołądek Matta zaatakowała wściekłość. Ależ ten mężczyzna miał tupet. Maeve była jego żoną. Będzie musiał coś zrobić. Ale co? Teoretycznie Fionn nie zrobił niczego złego. Zaprosił ich oboje na nagranie. Nie jedynie Maeve. Choć wszyscy wiedzieli, że Fionna interesuje tylko ona. Co on, u licha, miał zrobić? Cóż, na początek zniszczy ten list. Podarł go na sto małych kawałków i ukrył głęboko w czeluściach kosza.

Dzień 46…

Katie nie marnowała czasu, jeśli chodzi o rozgłaszanie wieści o zakończeniu związku z Conallem – im więcej ludzi wiedziało, tym bardziej się to stawało rzeczywiste – i zważywszy na fakt, że wszyscy zawsze uważali, iż Katie i Conall to zupełnie inne kategorie wagowe, tych wszystkich mocno to zaszokowało. A kiedy się dowiedzieli, że to Katie zadała śmiertelny cios, byli ogłuszeni.

– Ty?! – pisnęła Naomi. – Myślałam, że ostatnio się poprawił. Że w twoim towarzystwie wyłącza telefon i tym podobne.

– Chyba tak.

– Czemu więc, u licha...?

– Nie umiem tego tak do końca wyjaśnić, Naomi. Po prostu miałam dosyć. Napędza go coś, czego ja nigdy nie będę w stanie pojąć. Kiedyś mi

powiedział, że istotą jego życia jest praca. Podobno każdy ma coś takiego.

– Bzdura. Ja z całą pewnością nie. A ty?

– Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to połączenie jedzenia, ubrań i ćwiczeń. Święta trójca. Ile mogę zjeść, żeby nadal wyglądać przyzwoicie w swoich ciuchach? Ile muszę ćwiczyć, żeby móc jeść tyle, ile chcę? To oczywiste, że mocno się różniliśmy.

– Ale on zaczynał się zmieniać na lepsze. Ta cała praca, którą w niego włożyłaś, tyle cierpliwości!

Przestań.

– Następna kobieta będzie mieć lżej.

Naomi ledwie była w stanie to znieść.

– Ale to nie fair! Nie będziesz za nim tęsknić?

– Trudno tęsknić za kimś, kogo nigdy nie widywałam.

– Widywałaś!

– Boże, zmieniłaś śpiewkę.

– Wiem, że uważasz, iż wszyscy go nienawidziliśmy...

– No bo tak było!

– ... i owszem, w pewien sposób tak. Ale dlatego, że odnosiło się wrażenie, iż nie jest z tobą na poważnie. Nie wydawał się zainteresowany stałym związkiem.

– I ponieważ był szpanerem.

– To tylko tata tak twierdził. W dodatku dlatego, że był zazdrosny.

– Nie mówię, że Conall to zły człowiek, ponieważ tak nie jest. Ale wiesz co, Naomi? Gdyby nie był pracoholikiem, gdyby można na nim polegać i gdyby był... gdyby był... normalny, nie zawracałby sobie głowy mną. Miałby za żonę kobietę pokroju Carli Bruni.

– Ale się z ciebie zrobiła filozofka. A więc nawet za nim nie tęsknisz?

Uważaj, to dopiero jeden dzień. Zobaczymy, co będzie za tydzień.

– Naomi, proszę... Naprawdę bardzo się staram o tym nie myśleć. O nim z inną dziewczyną...

– A szybko ją sobie przygrucha, no nie?

– Przestaniesz? Ja to wszystko wiem; nie musisz wypowiadać tego na głos.

– Ale skoro tak wielki czujesz ból, to czemu...

Jak Katie mogła to opisać? Tę pewność, że mniej bolesne jest życie bez Conalla niż z nim? Że lepsza samotność od chronicznego rozczarowania?

– Dlatego, że... – Cóż, tak, to prawda! Powiedz to, powiedz, powiedz! – Uznałam, że zasługuję na coś lepszego.

Naomi dziwnie zapiszczała. Próbowała wcisnąć te straszne słowa z powrotem do ich pudełka, ale znowu wyskoczyły z ogromną siłą:

– Zasługujesz? Katie, masz czterdzieści lat! To naprawdę dużo. Zgoda, w dzisiejszych czasach żyjemy dłużej, lepiej się odżywiamy i tym podobne, ale i tak już pewnie jesteś na półmetku. Zasługiwanie nie ma z tym nic wspólnego. Bierzesz, co ci dają i powinnaś być wdzięczna.

– Może to Conall powinien być wdzięczny. Pomyślałaś choć raz, że tak naprawdę to on był szczęściarzem? Dałam mu dużo szczęścia. Więcej niż on mnie.

Na linii zasyczała pusta przestrzeń: Naomi oniemiała. Po długiej chwili w końcu się odezwała:

– Zapisałaś się na kolejny kurs? Babcia Spade pojawiła się w twoim śnie i wysłała na następny szalony kurs?

– Nie, ale rzeczywiście to, co mówię, brzmi dziwacznie. Zupełnie nie w moim stylu.

Naomi westchnęła.

– To katastrofa.

– Myślałam, że jego zniknięcie z mojego życia cię ucieszy.

– Nie, skoro właśnie zaczął się zmieniać na lepsze.

– Naomi była niebezpiecznie bliska łez.

– Naomi, to, że uważam, iż zasługuję na coś lepszego, wcale nie znaczy, że to otrzymam. Właściwie to jestem pewna, że nie.

– Nie? – Naomi wydawała się tym udobruchana.

– Nie.

Cóż, w takim razie nie było już tak źle.

Dzień 45

– Gilbert, przespałam się... – Lydia zawahała się. Skoro zamierzała powiedzieć mu prawdę, równie dobrze mogła to zrobić należycie. – Uprawiałam seks z Andrzejem.

Czekała na pojawienie się na jego twarzy wściekłości, ale poza błyskiem w oku nie zobaczyła niczego. Przez długą chwilę Gilbert wpatrywał się w nią, po czym bardzo grzecznie zapytał:

– Z jakim Andrzejem? Twoim współlokatorem?

– Tak.

– Z tym, którego tak bardzo nie lubisz?

– ... A, no tak.

– Może – ciągnął swym aksamitnie czekoladowym głosem – raczysz mi powiedzieć, jak do tego doszło.

Otworzyła usta, po czym ponownie je zamknęła. Strasznie trudno było

to opowiedzieć.

– Zaczęło się od garnka – wyznała w końcu.

– Od garnka?

– No wiesz, rondelka, małego. Byliśmy w kuchni. Chciał go użyć, ale ja go nie umyłam. Zirytował się. Zresztą czy kiedykolwiek zachowuje się inaczej?

Zastanawiała się, jak najlepiej opisać to, co miało miejsce później. Andrzej walnął rondlem o blat, patrząc na nią gniewnie płonącymi, niebieskimi oczami. Ona odpowiedziała mu równie gniewnym spojrzeniem i nagle – i Lydia autentycznie nie miała pojęcia, jak to się zaczęło – całowali się gorączkowo, namiętnie, i to była taka ulga. A potem ona szarpała jego ubranie, desperacko pragnąc więcej, a on – nie odrywając się od niej – zaprowadził ją do swojego pokoju. Zamknięta w stalowym uścisku jego ramion upadła na łóżko, a on mruczał czułe słówka po polsku i obsypywał gorączkowymi pocałunkami linię jej włosów. Lydia wyciągnęła rękę i zrzuciła na ziemię stojące na stoliku przy łóżku zdjęcie Rosie. Andrzej się wtedy zaśmiał. I chociaż łóżko było wąskie, a ona tak bardzo nie lubiła Andrzeja, to był najlepszy seks w jej życiu.

Ale tego nie mogła powiedzieć Gilbertowi.

– To mieszkanie jest za małe. – Tylko takie w miarę logiczne wytłumaczenie przyszło jej do głowy. – Wydaje mi się, że mężczyźni i kobiety nie powinni mieszkać tak blisko siebie. Kiedy wiele kobiet mieszka razem, synchronizują im się okresy. Kiedy razem mieszkają kobiety i mężczyźni, wtedy kończy się to uprawianiem seksu... – Urwała. Tym akurat nikogo nie przekona. – To nic nie znaczyło – rzekła.

Wprawdzie było to najbardziej intensywne piętnaście minut jej życia; jeszcze nigdy nie czuła takiej wdzięczności za to, że przyszła na świat, że

ma skórę i zakończenia nerwowe, i zmysł dotyku, i zapachu, i smaku, ale to absolutnie nic nie znaczyło.

– „To nic nie znaczyło? ” Mówisz jak facet. – Mina Gilberta pozostawała chłodna i obojętna.

– Bo to nic nie znaczyło. I już się nigdy nie powtórzy. Ja go nawet nie lubię... a ciebie lubię bardzo.

– No więc, Lydia. – Zastukał długimi eleganckimi palcami o stół. – Zadaję sobie pytanie: dlaczego mi o tym mówisz?

– Bo tak należy. Muszę być szczera. Szanuję cię.

– Szanujesz mnie? Idziesz do łóżka z innym mężczyzną i mówiąc o tym okazujesz mi szacunek?

– Nie! Przespałam się z innym, przez przypadek, a ciebie szanuję na tyle, by powiedzieć ci prawdę. Myślisz, że chciałam ci mówić? Znacznie prościej byłoby milczeć, traktując cię jak frajera, ale to nie byłoby w porządku. Ważna jest szczerość. Jeśli nie ma szczerości, nie ma niczego.

Ale nawet gdy wypowiadała te słowa, zadawała sobie pytanie, czy się przypadkiem nie myli.

– Kiedy to przypadkowe zdarzenie miało miejsce? – zapytał Gilbert.

Lydia spojrzała na zegarek.

– Godzinę i... trzydzieści siedem minut temu.

– Przyjechałaś tu prosto z jego łóżka?

– Musiałam ci powiedzieć. – Uważała, że każda sekunda, która mijała bez wiedzy Gilberta o tym, co się wydarzyło, to tym większa dla niego zniewaga...

– Ależ ty jesteś troskliwa.

... tyle że Gilbert był tak rozgniewany, że już nie miała pewności. Ale nie mogłaby żyć, ukrywając to zajście. Najlepiej byłoby, gdyby w ogóle nie

uprawiała seksu z Andrzejem, niestety nie dało się tego cofnąć.

– Myślisz, że byłaś moją jedyną kobietą? – zapytał łagodnie Gilbert. W jego oczach nagle pojawiła się mściwość.

Przełknęła z trudem ślinę.

– Tak – powiedziała. – Prawdę mówiąc, tak myślę.

– Ale nie byłaś.

Ponownie przełknęła.

– Super. Rozumiem. Okej.

– Były inne.

– Okej. – Wypuściła z płuc przetrzymywane tam powietrze. – No to dobrze, że doszło do takiej rozmowy, no nie?

– Ale te inne kobiety – z triumfalnym błyskiem w oku i z sarkazmem w głosie powtórzył jej wcześniejsze słowa – nic nie znaczyły.

– Nic nie znaczyły? Tak jak w moim przypadku? Ale wiesz, co jest zabawne? – rzekła, wstając i kierując się w stronę drzwi. – Zupełnie nie mam wrażenia, że powiedział to facet.

Dzień 43

Lata obeszły się z tobą łaskawie. To weekendy wyrządziły wszystkie szkody.

Katie tak to ubawiło, że aż wydała cichy dźwięk. Zastanawiała się, czy można uznać, że się zaśmiała. Czyżby dzisiejszy cytat okazał się aż tak zabawny? Automatycznie sięgnęła po telefon: Conallowi strasznie się to spodoba.

Wtedy sobie przypomniała, że nie może do niego zadzwonić. Ani teraz, ani nigdy. Z jej gardła wydobył się kolejny dźwięk i tym razem to z całą pewnością nie był śmiech.

Na zawsze minęły dni, kiedy mogła swobodnie wziąć telefon i odczytać najnowszy ironiczny bon mot z ***Życie zaczyna się...***

Och. To wcale nie było przyjemne. Dziś rano kiepsko się czuła. W poniedziałkowy wieczór, wtedy gdy z nim zerwała, nie było źle. We wtorkowy wieczór nie było źle. W środowy wieczór nie było źle. Wczoraj wieczorem już było.

Ponieważ popełniła straszny, ale to straszny błąd i przeczytała Anitę Brookner – nie znała tytułu, jej wszystkie książki były takie same – i padł na nią blady strach. Była przekonana, że do końca życia będzie musiała spędzać wakacje w towarzystwie jakiejś kobiety, którą ledwie zna z pracy, kobiety z tłumionymi skłonnościami lesbijskimi, i że razem będą zwiedzać katedry: w butach na grubych podeszwach i z przewodnikami w rękach będą podziwiać piętnastowieczne nawy. Wieczorem udadzą się na ***prix fixe,*** wypiją po jednym kieliszku czerwonego wina domowego, a krypto – lesbijka oświadczy: „Mężczyźni, paskudni brutale. My, kobiety, same się potrafimy o siebie zatroszczyć”.

Tak właśnie się działo z kobietami, które skończyły czterdzieści lat i nie były w stałym związku.

I najprawdopodobniej umrze w samotności. Minie osiem dni, nim ktoś odkryje jej zwłoki, i to tylko dlatego, że miauczenie dwudziestu siedmiu głodnych kotów w końcu zaalarmuje nieczułych i obojętnych sąsiadów.

Ale tym akurat tak bardzo się nie przejmowała; przecież i tak już nie będzie wtedy żyć. To o wakacje się martwiła: buty na grubych podeszwach, katedry, tanioszki z ***prix fixe*** (zupa dnia, melon) i o to, że wszystkie pyszności ***à la carte*** – krewetki, okoń morski – nie będą już dla niej. A gdyby zapragnęła drugiego kieliszka wina, to czy jej lesbowata towarzyszka pozwoliłaby na takie rozpustne bachanalia?

Potarła oczy. Cóż za ponura wizja życia... I – właśnie przyszło jej do głowy coś jeszcze – będą mieć pudełko czekoladek, jakiejś kiepskiej marki w rodzaju Milk Tray, i co wieczór, nim położą się do wąskich, jednoosobowych łóżek, aby przeczytać cztery strony swoich budujących książek, towarzyszka Katie poczęstuje ją czekoladką. W ramach podziękowania Katie będzie się czuła zobligowana do wielogodzinnego czytania przewodnika i jeszcze dłuższego delektowania się tą jedną czekoladką, jedyną przyjemnością w swoim życiu, następnie pudełko zostanie schowane w walizce – i zamknięte! – aż do kolejnego wieczoru.

O Boże! Boże, Boże, Boże!

Problem w tym, że na samym początku nie okazała się wystarczającą realistką. Conall był wyjątkowym mężczyzną, zajmującym dużo miejsca. Nie dało się wyciąć kogoś takiego jak on ze swego życia bez wprowadzania zmian i poprawek. Karmiła się złudzeniami, że będzie to proste. W połączeniu z faktem, że to pierwsze jej rozstanie po czterdziestce, czy powinna się dziwić trudnościom?

Można było też spojrzeć na to pozytywnie: nie licząc strachu przed wakacjami z zakonspirowaną lesbijką, jakoś sobie radziła. Wprawdzie pijąc co wieczór butelkę wina, wprawdzie kiepsko sypiając, wprawdzie dwanaście razy na dzień biorąc do ręki telefon, aby zadzwonić do Conalla, ale sobie radziła.

Dzień 41 (bardzo wcześnie)

– Trzy podwójne espresso – zamówiła Lydia.

– Ale ty jesteś tylko jedna – odparł Eugene. Ledwie go było widać przez buchającą z ekspresu parę.

– Jestem wykończona – wyjaśniła. – Muszę jakoś wytrzymać do dziewiątej.

Eugene spojrzał na duży, zatłuszczony zegar na ścianie. Było dwadzieścia po czwartej.

– Jeszcze ci trochę zostało. Zjesz coś?

– Coś z mnóstwem cukru.

– Nie ma sprawy, przyniosę ci wszystko razem.

Odwróciła się, szukając wolnego miejsca. Kafejka pełna była taksówkarzy, wcinających mocno wczesne śniadanie i – Gdańsk! – zobaczyła znajomą twarz.

– Hej, Odenigbo!

Odenigbo uniósł z niepokojem głowę, po czym z obojętną miną kiwnął głową i demonstracyjnie odwrócił się w drugą stronę.

Murmańsk! Wcale nie Gdańsk.

– Wszystko zajęte – mruknęła do Eugene'a. – Poczekam na zewnątrz.

Zamknąwszy za sobą drzwi i czując chłodne nocne powietrze na rozgrzanej twarzy, Lydia przełknęła z trudem ślinę. Fakt, że Odenigbo tak ją potraktował, nie był przyjemny. Ale tylko idiotka mogłaby oczekiwać, że koledzy Gilberta nadal się będą z nią kumplować. Lojalność i tak dalej. Rozumiała to. Zrobiła Gilbertowi świństwo; oczywiście, że jego ***compadres*** zewrą szyki. Niemniej jednak było to przykre. Brakowało jej pozostałych Nigeryjczyków; fajnie z nimi było. No i przecież Gilbert zrobił świństwo jej! I to ma być sprawiedliwość?

Musiała z kimś porozmawiać. Czwarta dwadzieścia pięć – jaka była szansa na to, że Poppy nie śpi? Prawdę powiedziawszy, całkiem spora. Za pięć tygodni wychodziła za mąż; już od miesięcy nie przespała spokojnie całej nocy.

Nie spisz?

Dziesięć sekund później Poppy zadzwoniła.

– W samą porę do mnie napisałaś. Właśnie śnił mi się koszmar związany z kwiatami i teraz leżę i się trzęsę. A jeśli będą wstrętne?

– Ale to kwiaty. Jak kwiaty mogą być wstrętne?

– Mama była w zeszłym tygodniu na ślubie i mówiła, że kwiaty były paskudne.

Tak, ale pani Batch to zgorzkniała stara torba, której nic się nie podoba. Gdyby została przyjęta do nieba, narobiłaby w recepcji rabanu, zażądała rozmowy z kierownikiem i głośno narzekała, że wszystko jest zbyt promienne i błogie.

– Twoje kwiaty będą super, uspokój się, Poppy! Nigdy nie wyjdę za mąż, skoro ślub robi z ludźmi coś takiego. Odenigbo właśnie mnie zignorował.

– Och! To przykre. Ale nie oczekujesz, że ja, Sissy czy Shoane

zachowamy się miło, jeśli wpadniemy na Gilberta.

Przez chwilę milczały. Obie miały wątpliwości w stosunku do Shoane.

– Masz rację. Ja tylko... no wiesz, znowu sobie o tym przypomniałam. Wykonaj na mnie swój test, Poppy!

– Odpowiadasz tylko „tak” albo „nie”, jasne? Pytanie numer jeden: Twoje życie się skończyło?

– Nie.

– Do końca życia nie poznasz już żadnego mężczyzny.

– Nie, nie, pewnie poznam.

– Kiedy myślisz o Gilbercie z innymi dziewczynami, masz ochotę obedrzeć się ze skóry?

– Tak.

– Przykro ci, że tyle razy kazałaś porządnej przyjaciółce poppy się zamknąć, kiedy ci mówiła, że zostawił w Lagos żonę i sześcioro dzieci?

– Nie.

– Och. Jesteś pewna?

– Przestań!

– Przechodzę do kolejnego punktu. Fantazjujesz, że zjawi się w twoich drzwiach i oświadczy, że zrobi wszystko...

– ... spali marynarkę od Alexandra McQueena, tę, która kosztowała ponad tysiąc euro, aby mi pokazać, jak bardzo żałuje.

– Uznaję to za odpowiedź twierdzącą. Powiedziałaś mu, że go kochasz?

– Wiesz, że nie.

– On powiedział, że cię kocha?

– Nie, bym ci o tym powiedziała.

– A kochałaś go?

– Nie wiem. Miałam nadzieję, że powie mi to Test Poppy.

– On cię kochał?

– Cóż, najwyraźniej nie, skoro się bzykał z innymi.

– Poczyniliście plany wspólnych wakacji? Może kilka dni w Barcelonie?

– Nie, ale nie dlatego, że on nie chciał. Dlatego, że ja nie mogę...

– Test Poppy wymaga wyłącznie odpowiedzi „tak” lub „nie”. A więc uznaję, że nie. A teraz zliczę punkty. Okej. Ten związek był bardzo luźny. Cóż, właściwie to trudno go nazwać związkiem. Trochę poboli, nawet dość mocno, ale rana nie jest głęboka. Jak zacięcie papierem.

– Zacięcie papierem! – Lydii to się spodobało. – Wiem, o co ci chodzi. Naprawdę, naprawdę boli, co jest zaskakujące, no bo tylko kawałek cholernego papieru. Nie wielka szabla, którą ścinają głowy na filmach Al – Kaidy.

– Przez kilka dni będzie boleć cię wszystko, co robisz.

– A potem przestanie.

– I nawet nie zauważysz, że już nie boli. Nie myślisz o tym, że moglibyście do siebie wrócić? – zapytała delikatnie Poppy.

Lydia prychnęła.

– Nie ma mowy. Nie przyjęłabym go.

Zresztą to skomplikowana sprawa. Nie jak w przypadku innych rozstań, kiedy tylko jedna osoba źle postąpiła, a druga ***może*** czekać jak zadowolony z siebie męczennik na błaganie o wybaczenie. Oboje zostali zarówno skrzywdzeni, jak i skrzywdzili, a to znaczyło, że nie ma wyjścia z tej sytuacji.

– To dobrze. Nic ci nie będzie, a w Lagos jest całe mnóstwo innych facetów – dodała Poppy.

Poppy miała rację co do jednego: zawsze można liczyć na przypływ innych mężczyzn. Nawet jeśli Lydia nadal czekała, aż pozna takiego, który w końcu nie rozczaruje jej swoim frajerstwem, niewiernością czy szokującą głupotą.

– Wiesz co, Poppy? Jeśli chodzi o facetów? To nie rozpacz mnie zabija...

Razem wyrecytowały:

– ... ale nadzieja.

– Kiedy przejdzie mi Gilbert? – zapytała Lydia.

– Minęły trzy dni? Przeznacz na to tydzień. A teraz mogę wrócić do swoich koszmarów?

Lydia miała ochotę mówić dalej. Pragnęła wyrzucić z siebie to, jak bardzo nie znosi samej siebie za to, że sądziła, iż Gilbert jest jej wart. Ale gdyby to powiedziała, Poppy opieprzyłaby ją za to, że ma nienormalnie rozbuchane poczucie własnej wartości i że innym dziewczynom się nie spodoba, jeśli będzie chodzić i opowiadać takie rzeczy.

No i coś jeszcze.

– A co z... nim, tym innym... – Lydia się lekko zachłysnęła tym słowem – ... mężczyzną?

– Z Andrzejem, współlokatorem, z którym przypadkowo się przespałaś? To się nie kwalifikuje do Testu Poppy.

– Ale co o tym myślisz?

– Myślę, że za każdym razem, gdy na niego spojrzysz, będziesz czuć konsternację, wyrzuty sumienia.

– Odrazę.

– Odrazę?! Aż tak źle?

– Nie jestem w stanie przebywać w mieszkaniu razem z nim, odkąd...

Odkąd miała miejsce chwila – no, chwile – obłąkania. Gdy tylko było po wszystkim, dała drapaka z mieszkania i popędziła do Gilberta, próbując przekonać samą siebie, że jeśli się przyzna, to być może wcale do tego nie doszło. Chryste, jak bardzo można się mylić? Przekonała się, że owszem, doszło, a co gorsza, że ona i Gilbert nie tworzą już zgranego tandemu. Już sama myśl o Andrzeju napawała ją taką odrazą, że dosłownie nie była w stanie oddychać tym samym powietrzem, co on. Ale nie miała się dokąd wynieść – dom Gilberta nie wchodził już w rachubę – więc kursowała przez całą noc. Wracała do domu około wpół do dziewiątej, żeby Andrzej zdążył już wyjść do pracy. No i ustaliła sobie inny grafik – jeździła nocą i wracała się przespać dopiero wtedy, gdy miała pewność, że Andrzej wyszedł. Za kilka tygodni wybierał się do Polski na urlop; może do tego czasu jakoś jej się uda go unikać.

– Osobiście – odezwała się Poppy – uważam, że Andrzej to niezłe ciacho. Potrafię zrozumieć, czemu ty...

– Błagam! Nie! Przestań! – Miała dreszcze na samą myśl, że oni – wrrrr! – uprawiali seks. Seks! Wrrr, wrrr, wrrr!

– Okej, odraza. Będziesz go winić za rozstanie z Gilbertem. Ale musisz to poskromić do czasu, aż jedno z was się nie wyprowadzi. Naucz się z tym żyć.

– Może nie powinnam była mówić Gilbertowi.

– To nie zmieniłoby faktu, że cię zdradzał.

– Taa. Wolę o tym wiedzieć. – Po raz milionowy zalała ją fala czerwonej wściekłości.

– Lydia, muszę spróbować jeszcze zasnąć. Zapomnij o Gilbercie. Narazka.

Poppy się rozłączyła, pozostawiając Lydię sam na sam z własnymi

myślami. Nie mogła uwierzyć, jak szybko wszystko uległo zmianie. O tej porze tydzień temu, nawet cztery dni temu, jej życie – prawie całe – było super. Miała świetnego faceta, a on przyjaciół, których lubiła i razem tworzyli małą społeczność, niemal rodzinę, a potem wydarzyło się to szaleństwo z Andrzejem i nagle wszystko się sypnęło.

Nowosybirsk! Kopnęła pustą puszkę, która odbiła się kilka razy o chodnik, burząc spokój nocy. Lydia naprawdę nie czuła się dobrze. Ją i Gilberta łączyła więź. Wydawała się całkiem mocna, a wystarczyła jedna krótka rozmowa, aby ją zniszczyć. Oboje kiepsko się prezentowali – egoistyczni, nielojalni i płytcy – a to wystarczało, aby zminimalizować do zera szanse na dramatyczne palenie marynarki i powrót do siebie. Co nie znaczy, że by go przyjęła, pomyślała, a wyobraźnia podsunęła jej życzliwie kilka pornograficznych ujęć Gilberta, bzykającego jakąś tajemniczą dziewczynę. Lydię zalała kolejna fala wściekłości. Pieprzyć go.

Lydię obudziło głośne pukanie. Jej twarz leżała na kierownicy, język miała przyklejony do podniebienia, a serce waliło jak młotem. Uniosła głowę i zobaczyła, że przez szybę do samochodu zagląda zdumiony Jan.

– Co ty robisz? – usłyszała.

Rzeczywiście, co? Zbyt ją oszołomiło to nagłe wybudzenie, żeby mogła mówić. Poza tym nie wiedziała, co się dzieje. Rozejrzała się z konsternacją. Wyglądało na to, że znajduje się w swoim samochodzie. Zaparkowanym na Star Street. Był dzień. Słoneczny.

– Myślałem, że masz zawał. – W głosie Jana pobrzmiewała nadzieja.

Niezdarnie opuściła szybę.

– Która godzina? – Język miała jak z waty.

– Dziewiąta trzydzieści.

– Rano? – Odkąd zaczęła jeździć nocą, jej zegar biologiczny

zwariował.

– Rano. Idę do pracy. Dziś później zaczynam.

Powoli wracała jej pamięć. Po trzech kawach i pączku trafiła jej się wymarzona klientka, którą zawiozła aż do Skerries. Potem jednak szczęście ją opuściło. Kiedy wróciła do centrum, ponad godzinę spędziła na postoju w niekończącym się rzędzie taksówek i około siódmej postanowiła dać sobie spokój. Pojechała do domu i zaparkowała na Star Street, kiedy dotarło do niej, że jest niedziela, zdecydowanie za wcześnie, aby Andrzej już się obudził i wyszedł. Postanowiła więc zaczekać. I najwyraźniej zasnęła.

– Mam ślad na twarzy? – zapytała. – Od kierownicy?

– Tak. Już na zawsze będziesz człowiekiem toyoty.

– Czy... ach... kto jest w domu?

– Nikt. Andrzej wyszedł.

Nic więcej nie musiała wiedzieć.

Weszła do pustego mieszkania i choć ogarnęła ją nagła i pilna potrzeba zalogowania się do Internetu, najpierw musiała wziąć prysznic. Nadal nie lubiła się myć, ale przez kilka ostatnich dni te krótkie chwile w wodzie poświęcała tarciu skóry tak mocno, że aż robiła się czerwona i szczypiąca, próbując wymazać kalający ją dotyk Andrzeja. Wrrr!

Dzień 40 (wczesne godziny)

Katie pomagała Keithowi Richardsowi włożyć skarpetki

– „Grzeczny chłopiec, bardzo dobrze, teraz druga noga”

– kiedy obudziło ją jakieś stukanie i szamotanie pod drzwiami. Leżała na boku, zamarłszy w pozycji, w której się obudziła. Według czerwonych,

diabolicznych cyfr na budziku było dwadzieścia dziewięć po piątej i ktoś właśnie włamywał się do jej mieszkania. Nasłuchiwała i po raz kolejny do jej uszu dobiegła seria dziwnych dźwięków, jakby ciało uderzało o drzwi. Nie powinna czegoś zrobić? Na przykład zadzwonić na policję? Na przykład śmignąć do kuchni i chwycić coś do samoobrony?

Ale nie mogła uwierzyć, że to się rzeczywiście dzieje.

I nie mogła uwierzyć, że włamywacz zachowywałby się tak głośno. Zdumiewał ją jego brak profesjonalizmu.

Tym razem silniejsze odgłosy – ktoś próbował wyważyć drzwi – a potem rozległ się dźwięk najbardziej przerażający: metaliczny stukot klucza szukającego dziurki.

Ktoś ukradł i podrobił jej klucz? Niemal oszalała ze strachu gorączkowo szukała w pamięci chwili, kiedy zostawiła torebkę bez nadzoru i mogło do czegoś takiego dojść.

Istniało jeszcze jedno wytłumaczenie obecności tego kogoś pod drzwiami.

To mógł być... Conall.

Drzwi otworzyły się z kliknięciem i ktoś, ktokolwiek to był, znalazł się w jej korytarzu.

– Katie – usłyszała naglący szept Conalla. – Katie.

Should have changed that stupid lock.

Zapukał lekko do drzwi jej sypialni.

– Katie. Śpisz? Obudź się.

Should have made you leave your key.

Zapaliło się światło, niemal ją oślepiając. Przy łóżku stał nieco niechlujnie wyglądający Conall i lekko się chwiał.

– Katie, ja wariuję.

– Dlaczego?

– Bo cię kocham. Przepraszam za to. – Machnął ręką, obejmując tym gestem siebie, stojącego w jej sypialni o piątej trzydzieści rano. – Powinienem był zadzwonić, ale jest tak późno. A może za wcześnie.

– Uznałeś więc, że lepiej zjawić się osobiście.

– Właśnie tak!

Dotarło do niej, że jest pijany.

– Katie, chcę się z tobą ożenić. – Upadł na jedno kolano i zachwiał się lekko, ale jakoś udało mu się utrzymać równowagę.

Wpatrywała się w niego, zastanawiając się, czy rzeczywiście się obudziła, czy może po prostu przeniosła do jedne go z tych snów, kiedy śni ci się, że nie śpisz.

– Wyjdź za mnie – powiedział.

– To oświadczyny?

– Tak.

Zelektryzowało ją nagle olśnienie. To była jedna z najważniejszych chwil w jej życiu. Wyjdzie za Conalla Hathawaya, pogodzi się z jego pracoholizmem i niesolidnością, ponieważ miał wiele innych wspaniałych cech, a każdy dobry życiowy wybór przynosi współmierną stratę. No i zawsze istniała szansa, że Conall się zmieni.

Tak, pomyślała, pewna swej decyzji, zostanie żoną Conalla Hathawaya ze wszystkimi wiążącymi się z tym przyjemnościami i zgryzotami, ale tylko jeśli przyniósł ze sobą pierścionek.

– Pierścionek? – zapytała ponaglająco.

To byłby znak, że spędzony osobno tydzień go zmienił, że w przyszłości będzie bardziej skory do ustępstw.

Conall poklepał jedną kieszeń, potem drugą i kieszenie spodni, aż w

końcu powiedział trudną do przełknięcia prawdę:

– Nie mam pierścionka...

Cóż, no to mamy jasność. Decyzję podjęto za nią, a wizja jej życia jako żony Conalla Hathawaya rozpłynęła się i zniknęła.

– Miałbym, ale przyjechałem tu w takim pośpiechu...

– Bez pierścionka to nie prawdziwe oświadczyny – rzekła Katie.

– Mogę go załatwić. – Zdążył już wyjąć komórkę. – Trevor, z tej strony Conall Hathaway. Obudziłem cię? Przeproś w moim imieniu szanowną małżonkę. – Katie pomyślała, że z całą pewnością jest pijany, gdyż normalnie nie mówił, jakby zszedł z kart powieści Dickensa. – Słuchaj, potrzebny mi pierścionek z brylantem. Teraz. Sytuacja awaryjna. Otwórz sklep. Wynagrodzę ci to. – Conall zakrył dłonią mikrofon I zapytał Katie: – Chcesz brylanty? – Jakby zamawiał jedzenie na wynos.

Pokręciła głową.

– No to szmaragdy? Szafiry? Co tylko chcesz, tylko powiedz.

Ponownie pokręciła głową. W tej akurat sytuacji pieniądze mu nie pomogą.

– Trevor, oddzwonię. – Conall był skonsternowany.

– Katie, a czego chcesz?

– Niczego.

– Ale... – Wyraźnie był w kropce. Ludzie zawsze czegoś chcieli. – Zmieniłem się. Już jestem innym człowiekiem. Zamierzam zatrudnić zastępcę. Jutro zacznę poszukiwania. Koniec z długimi wyjazdami. Koniec z nagłymi zleceniami, koniec z pracą dwadzieścia godzin na dobę.

Jeszcze raz pokręciła głową.

– Ale... czemu? Sądziłem, że tego właśnie chcesz? _ W ogóle tego nie pojmował. Mogło istnieć tylko jedno wytłumaczenie. – Poznałaś kogoś?

– Nie... Ja... – Oczywiście, że nikogo nie poznała, ale z jakiegoś powodu oczami wyobraźni ujrzała złotowłosego mężczyznę z dołu, a Conall, ta przebiegła maszyna, wyczuł to.

– Poznałaś! – oświadczył z oburzeniem.

– Nie.

Ale Conall więcej nie mógł znieść. Jak ranne zwierzę musiał zostać sam.

Zbliżała się taksówka. Dar niebios, pomyślał i wyciągnął rękę. Zatrzymała się obok niego, więc pociągnął za klamkę i siadł na miejscu obok kierowcy.

– Wysiadka – powiedział kierowca. To znaczy powiedziała, bo to była dziewczyna. – Ja już nie jeżdżę.

– Zawieź mnie do Donnybrook. Tak szybko, jak się da.

– Skończyłam na dziś. Wysiadka.

– Czemu więc się zatrzymałaś?

– Nie zatrzymałam. Parkowałam. – Sprawnie podjechała do przodu, następnie wrzuciła wsteczny i wykonała perfekcyjny skręt, wjeżdżając w ciasne wolne miejsce na parkingu. – No i proszę, zaparkowałam – rzekła. – No to wysiadka.

Sięgnął po portfel. Musiał się oddalić z tego straszliwego miejsca, miejsca swego wstydu. Po raz drugi w przeciągu pięciu minut rzekł:

– Wynagrodzę ci to.

– Nie jestem do wynajęcia. Właściwie to śpię już z otwartymi oczami i nie powinnam prowadzić, gdyż zagrażam bezpieczeństwu na drodze... – Wtedy uważnie mu się przyjrzała. – Co ci się stało?

– Nic.

– A właśnie, że tak. Masz przekrzywiony krawat i potargane włosy.

– Nie potrzebuję twojego współczucia.

– A ja go wcale nie oferuję. Zabieraj swój gruby portfel. Zawiozę cię według stawki licznikowej, jeśli mi powiesz, co się dzieje. Nieszczęście innych zawsze poprawia mi humor. Dokąd?

– Wellington Road.

Zacisnęła usta i wrzuciła bieg.

– To było dobre miejsce, najlepsze ze wszystkich, a zanim wrócę, ktoś zdąży je zająć. Więc twoja historia lepiej niech będzie tego warta. Ma coś wspólnego z tą seksowną nauczycielką?

– Z kim?

– Tą kobietą z cyckami i szpilkami? Twoją dziewczyną? Gdańsk!

– Masz na myśli Katie? Skąd ją znasz?

– Mieszkam w tym samym domu. Piętro niżej.

– Naprawdę? Star Street 66? Jaki ten świat mały. Ale ona nie jest nauczycielką.

– No to guwernantką? A więc cię rzuciła, tak? Dlaczego?

– Bo za dużo pracuję.

– Czemu? Cierpisz na brak kasy? Oszczędzasz na okres, kiedy twojej matce zabraknie piątej klepki i będziesz ją musiał oddać do domu opieki?

– Nie.

– Wymagający szef?

– W zasadzie pracuję na własny rachunek.

– Więc, w zasadzie, pracujesz za dużo, bo to lubisz?

– ... Nie, to nie tak...

– Bo ciągle musisz coś sobie udowadniać?

– Chyba tak. Zresztą tak ciągle powtarza moja dziewczyna. Skąd wiedziałaś?

Machnęła lekceważąco ręką.

– Na okrągło wożę takich jak ty. Emocjonalnie upośledzonych pracoholików. Gdańsk.

– Ale ja zamierzam się zmienić.

– Gdybym otrzymywała euro za każdym razem, kiedy to słyszę, pewnie mieszkałabym na Wellington Road, po sąsiedzku z tobą.

– Czemu ciągle mówisz „Gdańsk”?

– Lubię mówić „Gdańsk”.

Przez długą chwilę panowała cisza. W końcu przerwał ją Conall.

– Dlaczego?

– Bo początek brzmi radośnie, ale końcówka to dźwięk „sssskkkk”. Uwielbiam ten dźwięk. Można go użyć, żeby się kogoś pozbyć. Na przykład tak. – Odwróciła na chwilę uwagę od drogi i syknęła na niego z jadem: – Sssssskkkk!

Conall wzdrygnął się.

– Widzisz? To super słowo. Gdańsk! Gdybyś też chciał go używać, proszę bardzo. To mój prezent dla ciebie.

Conall przyglądał jej się z nagłym zainteresowaniem. Cóż za zabawne, zgryźliwe stworzenie z tej malej...

– Ty byś pewnie kazał sobie płacić za jego używanie – kontynuowała. – Pewnie dlatego ludzie tacy jak ja mieszkają w dzielnicy ósmej, a ludzie tacy jak ty na Wellington Road.

... a kiedy przyjrzał jej się uważniej, dostrzegł, że jest bardzo ładna: błyszczące oczy, seksowne usta, burza ciemnych loków...

– No ale z drugiej strony – ciągnęła w zamyśleniu – ja nie jestem emocjonalnie upośledzonym pracoholikiem jak ty.

... i nagle przypomniała mu się rada, której udzieliła mu Katie... a rady

Katie zawsze warte były wszystkich pieniędzy.

Powoli zapytał:

– Ile masz lat?

– Co prawda to nie twoja sprawa...

– Co prawda to nie moja sprawa. – Coraz bardziej mu się podobała.

– Dwadzieścia sześć.

Dzień 40…

Nagle Maeve się obudziła. Nie wiedziała, która jest godzina, ale sądząc po kolorze porannego światła, było wcześnie, na tyle wcześnie, że budzik nie rozpoczął jeszcze swego łagodnego pobrzękiwania. Co ją wybudziło? Bez względu na to, co to było, nie obudziło Matta. Posapywał cicho przez sen, tuląc się do jej pleców. I wtedy to poczuła. Jego erekcję. Twardą i dziarską, nawet przez kilka warstw ubrań, które mieli na sobie. Naciskającą na jej pośladki i zadziwiająco ogromną. Musiała wydostać się z łóżka.

Szybko, ale cicho wysunęła się spod kołdry i wyszła na korytarz i znowu zaczęła oddychać – gdy jednak zobaczyła na podłodze pod drzwiami białą kartkę, strach wrócił. To nie mogła być ulotka reklamowa. Całą pocztę ze świata zewnętrznego zostawiano na stole na klatce schodowej, tak więc musiał to dostarczyć ktoś z wewnątrz. Bała się ją podnieść. No ale w końcu bała się wszystkiego.

Drodzy Maeve i Marku.

Powoli dochodzę do wniosku, że mnie ignorujeciel Może: nie otrzymaliście moich wcześniejszych listów,

Jakich listów?

Po *raz trzeci* chciałbym Was zaprosić na nagranie programu *TWÓJ WŁASNY EDEN. (Wkrótce na Kanale 8.)*

A poniżej litania numerów telefonów.

Dajcie mi znać, jaki termin Wam pasuje.

Pozdrowienia,

Fionn

Fionn. W chwili, gdy jej spojrzenie spoczęło na kartce, leżącej tak niewinnie pod drzwiami, wiedziała, że to od niego. A co z tymi innymi listami, o których wspominał? Matt musiał coś z nimi zrobić. Cóż, ona zrobi coś z tym. Złożyła kartkę na pół, potem jeszcze na pół i jeszcze, i jeszcze, i składałaby już tak po wsze czasy, tyle że kwadracik zrobił się zbyt gruby i nie chciał się dalej składać. Następnie udała się na palcach do salonu i schowała go w portmonetce na drobne w wewnętrznej kieszeni torby. W pracy wrzuci ją do niszczarki.

Myśli o Fionnie podążały za nią przez cały dzień, jak cień. Przyjechał razem z nią do pracy i stał obok, gdy niszczyła jego list, a potem szedł przy jej boku, gdy wykonując dobry uczynek, poszła do pubu po telefon, którego zapomniał kolega z pracy. Przez cały dzień pozostawała świadoma jego obecności.

Kiedy weszła do mieszkania, miała nadzieję, że zostawi go na korytarzu, on jednak wślizgnął się razem z nią. Towarzyszył jej w kuchni, gdy omawiała z Mattem kwestię kolacji, i dopiero kiedy położyła się na sofie, bezmyślnie przerzucając strony gazety, by dotrzeć do programu telewizyjnego, w końcu dał jej trochę spokoju.

Ale, nagle znowu! Fionn. W gazecie. Kolorowe zdjęcie, uśmiechające się do niej. Na jej rękach pojawiła się gęsia skóra, a po karku tańczyły lodowate igiełki. „To się nie dzieje naprawdę. Musiałam to wszystko sobie

wymyślić”.

Dotknęła gazety opuszkami palców i zdjęcie nie zniknęło. Miało dużą rozdzielczość; widać było wyraźnie poszczególne pasma złotych włosów i jasny, kilkudniowy zarost. A przynajmniej sądziła, że to widzi. Oddałaby wszystko, aby ktoś potwierdził, że wcale sobie tego nie wyobraża, że nie zaczęło jej się pogarszać i nie zaczyna kompletnie wariować, tyle że w mieszkaniu znajdował się jedynie Matt, a on był ostatnią osobą, którą mogła o to zapytać. Słowa wokół zdjęcia podskakiwały jak w pchlim cyrku, Maeve nie była więc w stanie się dowiedzieć, dlaczego ten mężczyzna wyskoczył z jej głowy na stronę gazety. W końcu małe czarne kształty jakoś się uspokoiły, poukładały w schludne linijki i zdradziły jej, że Fionn będzie gospodarzem nowego programu poświęconego ogrodnictwu – to pewnie o nim wspomniał w swoim liście.

Zaczęła swobodniej oddychać. To było normalne. Przypadkowe, ale normalne. Ludzie pojawiali się w gazetach, kiedy mieli się pokazywać w telewizji. I wypisano tu fakty, których nie znała, na przykład to, że Fionn pochodzi z Monaghan i że program będzie puszczany przez sześć tygodni. Nie, nie wyobraziła sobie tego.

Ale zobaczyć jego zdjęcie po tym, jak przez cały dzień myśli miała zaprzątnięte właśnie nim...

Przygotowała się, aby zrobić to, czego jeszcze nie zrobiła: spojrzeć mu w oczy. A wtedy on... powoli do niej mrugnął. Gwałtownym ruchem odrzuciła od siebie gazetę i wcisnęła dłonie między uda, aby przestały drżeć.

– Jaki masz dla nas film? – zapytała mama Lydii.

Dzień 39

– ***Piraci z Karaibów.*** – Lydia miała ręce po łokcie zanurzone w mydlinach i twarz czerwoną od pary. Zniszczy jej się fryzura. Będzie wyglądać jak Tina Turner.

– Już to widziałam. Musical.

Lydia przerwała energiczne szorowanie.

– Chyba z czymś ci się pomylił, mamo, to nie musical. To film z Johnnym Deppem.

– Johnny Depp. Och tak, jest uroczy. Udręczony. Podobają mi się udręczeni mężczyźni.

Lydia ponuro przyznała jej rację. Jej myśli okupowało kilku mężczyzn i jeśli o nią chodzi, to im bardziej byli udręczeni, tym lepiej. Nagle dotarło do niej, że żywot tego akurat garnka dobiegł końca; żadne szorowanie nie usunie przypalonego jedzenia. Było podgrzewane i studzone tak wiele razy, że stare warstwy wręcz wżarły się w aluminium i stały się jego częścią. Wyciągnęła go z miski za rączkę, strząsnęła większość piany i ruszyła w stronę kosza na śmieci.

– Lydia, co ty robisz z tym garnkiem?

– Wyrzucam go, mamo. Do niczego się już nie nadaje.

– To dobry garnek.

– Jest kurewsko spalony.

– I tymi ustami całujesz swoją matkę?

– Ha ha. – Lydia uskoczyła na bok, pokazując język, a mama trzepnęła ją w plecy.

– Odejdź, ty paskudo.

Lydia wzięła kolejny garnek i z brzękiem wstawiła go d***o*** zlewu. Od

dwudziestu minut szorowała, aż bolały ją ręce, a góra brudnych garnków i naczyń w ogóle nie wydawała się maleć. To było jak na obłąkanej herbatce u Szalonego Kapelusznika – gdy tylko użyto jakiegoś garnka, talerza czy kubka, jej mama po prostu wyciągała kolejny czysty, niczego nie zmywając, a kiedy wszystko już było brudne, zaczynała ich używać od nowa.

– Jak mam ugotować obiad, skoro wyrzucasz mi garnki?

Przez chwilę Lydia rozważała wyrzucenie ich wszystkich. Brak garnków oznaczał brak gotowania, a to z kolei brak śmierdzącej, brudnej sterty, czekającej na nią za każdym razem, gdy przyjeżdżała z Dublina. Zmniejszał on także ryzyko ponownego podpalenia firanek.

... Ale mama za bardzo by się zaniepokoiła, gdyby nagle zniknęły wszystkie jej garnki. A Lydia nadal pełna była determinacji, że uda jej się zmusić Murdy'ego i Ronniego, tych leniwych drani, do dzielenia się obowiązkami.

– Dziś zamówimy coś na wynos, mamo. Chińszczyznę, lubisz chińszczyznę.

– Lubię. A potem pójdziemy potańczyć?

– Mamy DVD. Pamiętasz? Oglądamy film.

– Jaki film?

– Wiesz, jaki. – „Błagam, wiedz".

– A skąd mam wiedzieć?

– ***Piraci z Karaibów.***

– Och, ten staroć. – W głosie mamy słychać było rozczarowanie. – Nie lubię musicali.

Lydia przełknęła ślinę.

– To nie musical; myślisz o czymś innym. To jest dobre, gra w tym Johnny Depp.

– Johnny Depp! Lubię go. Smętny. Mam wrażenie, że nie potrafiłby być szczęśliwy, nawet gdyby przyłożyło mu się Pistolet do głowy, wiesz, co mam na myśli?

– Wiem, mamo.

– Kiedy skończysz to zmywanie?

Lydia rozejrzała się z przerażeniem po kuchni, niebezpiecznie chwiejących się stosach talerzy i garnków i niedokończonego jedzenia.

– Jeszcze trochę mi zejdzie.

– Jestem głodna – oświadczyła Ellen.

– Okej, niedługo zamówię coś na wynos.

– Będziemy mieć jedzenie na wynos? Super!

– Najpierw wstawię pranie.

Gdy w łazience Lydia przekopywała się przez kosz z brudnymi rzeczami, ze zdziwieniem natrafiła w nim na męską bieliznę. Po bliższym przyjrzeniu okazało się, że to slipki Ronniego. Co za bezczelność! Żadnej dziewczyny nie powinno się nigdy zmuszać do oglądania brudnych majtek swego brata! To było z gruntu niewłaściwe. Wrzuciła je z powrotem do kosza, jakby były radioaktywne (a z Ronniem i jego stylem życia nigdy nic nie wiadomo).

Ostrożnie zeszła wąskimi schodami. Góra prania w ramionach zasłaniała jej niemal wszystko. Kopniakiem otworzyła drzwi do kuchni. Ellen siedziała na krześle, dokładnie tak, jak ją zostawiła. Spiorunowała Lydię wzrokiem.

– My dwie w ogóle nie mamy życia. Sobota wieczór, a my siedzimy w domu.

– Mamy wtorek.

Jej mama zerwała się z krzesła i podskoczyła po dziewczęcemu.

– Powinnyśmy coś zrobić. – Obróciła się z rozłożonymi rękami. – Nie czujesz tego, Sally? Och, Sally, życie jest za oknem, gorące, głodne i intensywne. Pozwalamy, aby prześlizgiwało nam się między palcami!

Lydia wiele czasu spędziła w Internecie, wpisując objawy mamy – konsternację, zapominanie, nagłe zaprzestanie wykonywania wszystkich czynności związanych z prowadzeniem domu – i szukała choroby, która będzie pasować. Ale na podstawie takich objawów – mama odgrywająca sceny z jakiegoś gównianego czarno – białego filmu – jakąż można postawić diagnozę?

– Sally, uczesz mnie.

Powinna? Bezradna i sfrustrowana, Lydia nie wiedziała czy lepiej spełnić jej zachciankę, czy kazać wrócić do rzeczywistości. Nikt jej tego nie powie. Nikt w ogóle nie przyzna, że mama zrobiła się nieco obłąkana.

– Uczesz mnie w koka na czubku głowy.

Włosy Ellen były krótkie, zresztą tylko takie Lydia pamiętała, decyzja została więc podjęta.

– Mamo, wiesz, że nie jestem Sally, prawda?

Ellen przyglądała jej się nieufnie.

– Jesteś... Lydia?

– Ale ciągle mówisz na mnie Sally.

– Wybacz, skarbie, po prostu jesteś taka do niej podobna.

– Ach, mamo! – Nagle ogarnęła ją irytacja. – To żadne wytłumaczenie. No bo na przykład Ronnie wygląda jak Szatan, ale nie mówisz na niego Lucyfer.

– Może nie głośno – przyznała Ellen z nagłym błyskiem w oku. – Ale w myślach owszem. Belzebub.

– No coś ty! – Lydia się roześmiała. – Belzebub.

– Nie chodzi mi o to, że jest Belzebubem, a tylko...

– ... tak wygląda, tak, wierzę ci.

– Och, Lydia, twój własny brat! Ubóstwiał cię, nazywał cię swoją małą laleczką. Byłaś małym szkrabem, a potrafiłaś okręcić go wokół palca. Zrobiłby dla ciebie wszystko.

Taaa, cóż, to było dawno temu. Dzisiaj nie zrobiłby dla niej nic.

– Jedz – popędziła ją mama.

– Okej. – Lydia bez entuzjazmu włożyła do ust kolejną porcję smażonego ryżu.

– Jest pyszne! – wykrzyknęła mama.

Nie było. Nie było także paskudne, a jedynie jakieś takie bez smaku. Ale kiedy lody z podwójną czekoladą też jej się takie wydały, Lydia przyznała się do tego, co już wiedziała: to nie jedzenie, tylko ona. Z jej życia zniknął smak.

Bez Gilberta i żadnych ciekawych perspektyw. To przecięcie papierem zbyt długo się goiło. Bezmyślnie wzięła do ręki telefon.

– Do kogo dzwonisz? – zapytała ostro mama.

– Do nikogo.

– Oglądaj Johnny’ego Deppa.

Sprawdzała tylko, czy Gilbert nie zostawił jej wiadomości, choć i tak wiedziała, że nie. Zresztą ona też nie dzwoniła. Jeszcze dwa dni do końca przewidzianego przez PopPy Tygodnia Żałoby, a potem wreszcie koniec z myśleniem o nim...

– Och, mamo! – Czekoladowe lody ciekły mamie po brodzie, kapiąc na spódnicę. Lydia sięgnęła po papierowy ręcznik. – Spójrz na mnie, wytrę ci twarz.

Mama skrzywiła się.

– Przestań traktować mnie jak dziecko. I po co przyjechałaś mnie odwiedzić, skoro nie zamierzasz oglądać ze mną filmu?

– Oglądam!

– Wcale nie. Myślami błądzisz zupełnie gdzie indziej.

No właśnie. Niekiedy mama mówiła z sensem i w takich chwilach Lydia wmawiała sobie, że może jednak nic jej nie jest.

Wyparła z myśli Gilberta, następnie wyciągnęła nogi, położyła je na kolanach mamy i przez dwie godziny pełnię uwagi poświęcała Johnny'emu Deppowi. Nawet mama oglądała z uwagą, dopóki nie pojawiły się napisy końcowe.

– Podobał ci się film, mamo?

Ale Ellen zacisnęła usta.

_ Co się stało?

Uciekała wzrokiem.

– Mamo? Co się dzieje?

– Mówiłaś, że zamówimy jedzenie na wynos. Kiedy je przywiozą?

Dzień 39…

Domki dla lalek, ministajnie i maleńkie błyszczące maszyny do szycia – tyle różu. Katie szukała prezentu dla Vivienne, córeczki MaryRose. Przyjaciółka okazała jej dużo dobroci podczas pierwszego tygodnia bez Conalla i chciała jej jakoś podziękować, ale MaryRose zachowywała się dziwnie, kiedy otrzymywała coś dla siebie. Prawdę mówiąc, wydawała się skonsternowana, jakby zupełnie zapomniała, że nadal jest człowiekiem, a nie jedynie służącą Vivienne, tak więc wszelkie prezenty musiały być adresowane do dziecka. Katie mitrężyła czas przy półkach, bezmyślnie

biorąc zabawki do ręki, a chwilę później odkładając.

Do diabła z Conallem Hathawayem!

W zeszłym tygodniu sobie poradziła. Cóż, nie śpiewająco, to oczywiste. Za dużo piła, nie potrafiła przebywać wyłącznie we własnym towarzystwie i bała się lesbijskich towarzyszek wakacyjnych wyjazdów. Ale chroniło ją niezachwiane przekonanie, że jeśli dalej będzie stawiać jedną stopę przed drugą, maszerując przez ten cały smutek i żal, pewnego dnia nie będzie już tak boleć.

Przetrwała cały tydzień, włączając w to dni robocze i weekend, i te wszystkie chwile, kiedy poczucie straty atakuje cię w najmniej spodziewanym momencie, i jakoś dała sobie radę. Właściwie to ze wstydem musiałaby przyznać, że przez cały zeszły tydzień była wręcz zadowolona z siebie. Patrząc na siebie z boku, jak żyje, dokonawszy trudnego, ale właściwego wyboru. Była nawet – Boże, ależ się tego wstydziła - dumna, tak, dumna ze zrównoważonej, dorosłej osoby którą się stała. (I przymykała oczy na wieczorne scenariusze z butelką wina, ponieważ one odbierały wszystkiemu nieco blasku.)

Ale teraz to się naprawdę porobiło. Kiedy Conall wpadł wczoraj w nocy do jej mieszkania, wywołał taki efekt, jakby do spokojnego stawu włożył gruby kij i mocno zamieszał, wzbijając całe błoto, które zdążyło opaść na dno.

Po jego wyjściu nie była w stanie ponownie zasnąć, a z każdą mijającą godziną słabła jej stalowa pewność co do słuszności podjętej decyzji. „Może byłam zbyt krytyczna, może nie powinnam była upierać się przy pierścionku... ”

Zaćwierkał jej telefon i Katie aż podskoczyła – niedobór snu bawił się w ciuciubabkę z jej nerwami – i upuściła różową stację benzynową z

miniaturowymi dystrybutorami.

To Naomi.

– Katie, gdzie jesteś?

– W sklepie z zabawkami. Chcę coś kupić w ramach podziękowania dla MaryRose. – Powoli podniosła stację z podłogi.

– Ja też dostanę prezent?

– Bardzo śmieszne. – Richmondowie nie robili sobie spontanicznych prezentów. Mogłoby się to okazać ciut zbyt sympatyczne. – No więc co się stało?

– Tak tylko dzwonię. Chciałam się upewnić, że nie masz już obsesji na punkcie tej jednej czekoladki każdego wieczoru. Na takie lesbijskie wakacje możesz zabrać własne czekoladki, wiesz? Albo możesz jechać ze mną, Ralphem i dzieciakami.

– To już wolę lesbę.

– No to spadaj.

– Nie obrażaj się, Naomi. Chodzi po prostu o to, że nie chcę być dodatkiem do wakacji innych, nie chcę czuć, że ktoś się nade mną lituje. Wyobraź sobie siebie i Ralpha, jak spaleni słońcem delektujecie się grillowaną rybą i karafką sangrii, a przy stoliku siedzę z wami ja, jak psująca zabawę przyzwoitka. Lesba przynajmniej chciałaby mojej obecności.

– Przecież Conall nigdy cię nie zabrał na wakacje.

To akurat nie było prawdą.

– A ja nic bym nie miała przeciwko twojej obecności. Przy tobie Ralph mniej by mnie męczył o seks. Właściwie – w głosie Naomi pojawiło się nagłe podekscytowanie – to ty i ja mogłybyśmy zająć pokój dwuosobowy, a Ralpha umieścić w twojej jedynce.

– Super. No to ustalone. Odwołam wycieczkę objazdową po francuskich katedrach. Hortensja będzie rozczarowana.

– Pal ją licho.

– Kupiła już przewodnik, a jest naprawdę skąpa.

– Może jechać sama. A zresztą nie powinna żerować na takich jak ty, jesteś hetero.

– Posłuchaj... – Katie aż się paliła, aby jej opowiedzieć o wizycie Conalla, choć wiedziała, że nie powinna. Ale jak mogła tego nie zrobić? – Mam wiadomości z ostatniej chwili.

– Tak?

– W środku nocy odwiedził mnie Conall.

– Przyszedł na seks? Bezczelny drań. Nie dziwi mnie to jednak. Boże, co za koszmar. Choć w sumie nie protestowałabym, gdyby to on leżał na mnie zamiast Ralpha...

– Poprosił mnie o rękę.

– Że co?! A niech mnie! – Na Naomi zrobiło to piorunujące wrażenie. – Ale z ciebie szczwana bestia, grasz na zwłokę, rozstając się z nim, zmuszasz go do odkrycia kart, a przez cały ten czas czekasz na główną nagrodę.

– Nie jestem szczwaną bestią. I wcale go nie zmuszałam do odkrywania kart.

– ... To znaczy...? – Po długim, zaszokowanym milczeniu Naomi wyrzuciła z siebie: – Chryste miłosierny, Katie, nie mów mi, że odmówiłaś.

– On nie mówił poważnie, Naomi. Był wstawiony i nie przyniósł pierścionka i...

Naomi zaczęła jęczeć.

– Nie wierzę, nie wierzę. Czego ty chcesz, jeszcze ci mało?

– Nie mówił poważnie. Wytrzeźwiałby i zmienił zdanie.

– No to dlaczego cię o to prosił, skoro nie mówił poważnie?

– Bo nie lubi przegrywać. Nawet kiedy wcale nie chce głównej nagrody.

– Okej, ja mam dość. Nie mogę z tobą rozmawiać. Jestem zbyt rozstrojona. Ale zastanów się, Katie, jak mogę ci pomóc, jeśli ty nie pomagasz samej sobie?

Rozłączyła się i ciągły sygnał zabrzmiał jak obelga. Nagle Katie stwierdziła, że nie jest w stanie jasno myśleć; wszystko wokół niej było zbyt różowe.

Na kilka sekund zamknęła oczy, a kiedy je otworzyła, odsunęła się od zabawek. Zresztą MaryRose, niezbyt zamożna samotna matka, potrzebowała rzeczy praktycznych. Ten nowy kanion rzeczy to wózki, kocyki i dziecięce gadżety. Katie wzięła do ręki coś białego i plastikowego, ale ponieważ nie była w stanie tego zidentyfikować, odłożyła z powrotem na półkę. Olbrzymia ilość akcesoriów dziecięcych zaczęła ją przytłaczać. Powinna po prostu zadzwonić do MaryRose i zapytać, co ona chce, ale instrukcje w przypadku zakupów dla dzieci okazałaby się mocno skomplikowane. MaryRose powiedziałaby coś w rodzaju: „Niebieskie nie, ale czerwone może być. A rozmiar to koniecznie MM. Zapamiętasz? MM. To znaczy medium medium. Zwykle M to za mało. Powiedzą ci, że ML jest takie same, ale to nieprawda... ”

Wycofując się do działu zabawek, wzięła do ręki kolejny przedmiot. Co to, u licha, takiego? Jakieś zwierzę... No tak, jeż, z wieloma fakturami, aby przyzwyczajać dziecko do różnych powierzchni. A ta maskotka w kształcie kwiatka wydawała osiem różnych dźwięków. A to małe urządzenie

to po co? Na opakowaniu napisano, że będzie imitować wibracje łona matki. Katie przycisnęła pudełko do piersi. Kupi to. Dla siebie.

Jednak chwilę później odłożyła je niechętnie na półkę. Coś takiego jej nie pomoże. Nawet kiedy Katie skrywała się w łonie, jej matka najpewniej powtarzała: „Siedź prosto, przestań kopać, zbyt mocno się nie wychylaj, nikt nie lubi tych, co ciągle zwracają na siebie uwagę".

Dzień 38

Z samego rana wpadłem sprawdzić, co u Matta i Maeve, i owszem, przyznaję się do winy. Maeve leżała w łóżku, czekając, aż Matt przyniesie jej kawę, a ja chyba za bardzo się zbliżyłem, no ale chciałem się tytko przekonać, czy jestem w stanie się tam wślizgnąć, wiecie? Może coś z niej wydobyć, poznać część sekretów, ponieważ ze wszystkich mieszkańców tego domu to ona opierała mi się najbardziej i doprowadzało mnie to do szaleństwa. Wykonałem obrót wokół jej głowy – a ona mnie poczuła...

Nagle wszystko w Maeve działo się dziesięć razy szybciej niż normalnie. Serce waliło jak młotem, krew pędziła przez tętnice, spiesząc się, by wrócić do serca i ruszyć w dalszą drogę. Ciało buzowało adrenaliną, a po skórze przebiegały ciarki. Natychmiast usiadła, opierając się plecami o ścianę, a głowa chodziła jej na boki, gdy rozszalałym wzrokiem próbowała zobaczyć wszystko naraz, spatrolować wszelkie możliwe zagrożenia. Zaczęła szlochać z przerażenia. Coś złego działo się z jej klatką piersiową, koszmarny ciężar naciskał na płuca i ledwo mogła oddychać. Ze świszczącym odgłosem powietrze zasysało się przez otwarte usta Maeve, a jej oczy zrobiły się okrągłe ze strachu. Musiała zawołać Matta, który nie

mógł być daleko, wyszedł tylko do kuchni, ale była jak sparaliżowana, trzymana w szponach niekończącego się spazmu, jak w jednym z tych nocnych koszmarów, kiedy wiesz, że śpisz, ale nie jesteś w stanie się obudzić.

– Wstawaj, śpiochu, i... O Chryste! – Matt głośno odstawił dwa kubki na półkę i podbiegł do Maeve. – Oddychaj – nakazał. – Po prostu oddychaj. Nic ci nie jest, nie umrzesz. To tylko atak paniki. Oddychaj.

Objął ją za ramiona, tak aby czuła jego bliskość, ale żeby jej nie utrudniać dopływu powietrza.

– Wdech przez nos, wydech przez usta, właśnie tak.

Kiedyś Maeve próbowała mu opisać przerażenie, które ją ogarnia podczas takiego ataku. „Wyobraź sobie, że jesteś zamknięty w bagażniku samochodowym razem z psem, taką prawdziwą bestią tresowaną do walk, i że ten pies rzuca się na ciebie. Wyobraź sobie, jakie byś czuł przerażenie. Tak właśnie jest".

– Oddychaj – powtarzał Matt. – Nic ci nie grozi, jesteś bezpieczna, nie umrzesz. Wdech przez nos, wydech przez usta.

Po dziesięciu czy piętnastu minutach świszczących wdechów i wydechów Maeve powiedziała:

– Chyba już jest dobrze. – A potem od razu wybuchła płaczem. – Och, Matt, strasznie cię przepraszam.

– Wszystko w porządku, nic się nie dzieje, nie musisz przepraszać.

– Tyle czasu minęło od ostatniego razu. Myślałam, że mi się polepszyło.

– To pewnie jednorazowy przypadek – rzekł Matt.

– Tak myślisz?

– Właśnie tak.

Wcale tak nie myślał.

Dzień 37

Początki choroby Ellen były dość niewinne. Pewnego wieczoru, jakieś półtora roku temu, Ellen zadzwoniła do Lydii i zdała szczegółową relację z miejscowego pogrzebu: eleganckie czarne pantofle wdowy, wymyślna trumna i skonsternowany stary ksiądz, który mówiąc o zmarłym, używał niewłaściwego imienia. To właśnie uchodziło za rozrywkę w Boyne, które wciąż czekało na wydanie pozwolenia na budowę kina, i Lydia, słuchając tylko jednym uchem, włączyła zestaw głośnomówiący. Nazajutrz mama znowu zadzwoniła – co samo w sobie było dość niezwykłe; zazwyczaj nie rozmawiały ze sobą częściej niż raz w tygodniu – i gdy trajkotała o głupstwach, Lydia ponownie słuchała tylko jednym uchem i zabrała się za malowanie paznokci u stóp. Dopiero po jakimś czasie dotarło do niej, że już słyszała tę relację.

– Antoinette O'Mara – mówiła Ellen. – Tak, nawet w taki dzień, tak bardzo dla niej smutny, ponieważ ona i Albert kochali się, bez względu na to, co ludzie opowiadali o nim i tamtej kobiecie z Trim, odstawiła się jak na pokaz mody. Jej pantofle, Lydio, jej piękne pantofle...

– Czekaj, wiem...

– ... oczywiście czarne, musiały takie być, ale z mięciuchnej skórki i na całkiem wysokich obcasach. Można by pomyśleć, że na pogrzeb wybierze coś bardziej praktycznego, no ale to dama w każdym calu. I...

– Wiem.

– ... nawet kiedy ten stary idiota, ojciec Benedict, ciągle mówił o biednym Albercie, używając innego imienia, ani razu nie drgnęła. „Nasz

brat Horace otrzymał już swoją nagrodę". Cały kościół patrzył na siebie i mówił: „No to świetnie ma ten Horace, kimkolwiek jest, ale co z biednym Albertem O'Mara? Czy w ogóle otrzymał jakąś nagrodę? "

– Wiem, mamo, wczoraj mi wszystko opowiedziałaś.

– Jak to wczoraj?

– Przez telefon.

– Ale ja wcale do ciebie nie dzwoniłam.

Tak to się zaczęło.

Tyle że oczywiście zaczęło się wcześniej. Trwało to już jakiś czas – Lydia nie miała pewności, jak długo, może dwa lata, może nawet dłużej – ale wtedy dostrzegła to po raz pierwszy i nagle na powierzchnię wydostały się wspomnienia innych dziwnych rzeczy: kiedy znalazła w cukiernicy zegarek mamy, kiedy mama ciągle powtarzała: „ta rzecz, której się używa do czyszczenia zębów", ponieważ z niewiadomego powodu nie pamiętała słowa „szczoteczka", kiedy mama mówiła na nią Sally. (Sally była młodszą siostrą mamy, zmarłą w wieku dwudziestu trzech lat.)

Każdy z tych epizodów mocno irytował Lydię, zwłaszcza ta Sally. „Przestań, mamo, wkurzasz mnie. Sally nie żyje! " – ale tym razem było inaczej. Tym razem Ellen zapomniała całą rozmowę.

– Mamo, niemożliwe, abyś jej nie pamiętała. Strasznie długo gadałyśmy.

– Lydio, nie wiem, co powiedzieć... Na pewno chodzi ci o jakąś inną okazję...

– Och, o inny raz, kiedy Albert O'Mara wykitował, a jego kochanica z Trim pojawiła się nad grobem w czarnym kapeluszu z woalką.

– Skąd o tym wiesz?

– Ponieważ mi o tym powiedziałaś. Wczoraj wieczorem. Przez

telefon.

– Nie... ach...

Na linii syczał brak zrozumienia.

To ja jestem córką, pomyślała Lydia, dziwnie urażona. Ty jesteś matką. To ja mam cię lekceważyć i całymi tygodniami zapominać o dzwonieniu do ciebie; ty z kolei masz się radować na mój widok, kupować specjalnie dla mnie czekoladę, łaskotać mnie w stopy i nigdy, ale to nigdy niczym mnie nie martwić.

W końcu Lydia zaoferowała gałązkę oliwną.

– Piłaś coś na pogrzebie, mamo? Może nie pamiętasz, że do mnie dzwoniłaś, bo byłaś wstawiona.

– Nie byłam wstawiona.

– Co wypiłaś na stypie?

– Dwa kieliszki baileysa.

Lydia skłonna była w to uwierzyć. Jeśli chodzi o alkohol, Ellen była amatorką, której kręci się w głowie po dwóch kieliszkach wina. Wtedy w głowie Lydii pojawiła się straszliwa myśl. Być może Ellen nadużywała środków uspokajających.

– Boże, mamo, nie zaczęłaś brać tabletek, co?

– Na litość boską, nie biorę nawet aspiryny.

To prawda, a zresztą Ellen była zrównoważonym stoikiem, dzięki czemu przetrwała trzydzieści lat małżeństwa z Auggiem Duffy i jego radio, i ambitne, katastrofalne plany. Jej ośrodkowy układ nerwowy był ze stali. Tabletka valium nie miałaby pojęcia, co z nim zrobić; położyłaby się i płakała.

– No dobrze, mam tego dość – powiedziała Lydia.

– Podczas naszej następnej rozmowy spróbuj nie zachowywać się jak

wariatka.

Rozłączyła się i natychmiast o wszystkim zapomniała.

Ale przypominała sobie, gdy zbyt długo czekała na zmianę świateł albo koszmarnie się nudziła, wiozący jakiegoś wyjątkowo uciążliwego klienta. Zegarek w cukiernicy. Mleko w mikrofalówce. Luka w pamięci w miejscu, gdzie powinna się znajdować rozmowa na temat pogrzebowych butów Antoinette O'Mara.

Co to oznaczało?

Lydia ostrożnie wybadała braci:

– Nie sądzicie, że mama trochę świruje?

– Mama?! Masz na myśli Ellen Duffy? Swoją matkę Ellen Duffy? Umysł ma ostry jak brzytwa i przeżyje nas wszystkich!

A potem odebrała pierwszy telefon od Flana Ramble.

– Kto? Och, pan Ramble, sąsiad mamy? – Lydii zamarło serce. Flan Ramble jej nie znosił, zawsze tak było, odkąd jako mała dziewczynka naśmiewała się z włosów, które mu rosły w uszach, raczej więc nie zadzwonił z zamiarem ucięcia sobie towarzysko – sąsiedzkiej pogawędki.

– Nie będę owijał w bawełnę, Lydio. Twoja matka zeszłej nocy udała się na przechadzkę. Znaleziono ją na drodze do Mullingar, w koszuli nocnej. Policja przywiozła ją do domu radiowozem.

– ... Lunatykowała?

– Można tak to ująć... tyle że ona nie spała. Nie wiedziała, co się z nią dzieje.

– Och... – To było zbyt dziwaczne. Choć częściowo spodziewała się takiego telefonu, Lydia poczuła, cóż, zaskoczenie. Jej matka nie należała do samolubnych osób, które stwarzają problemy.

– Lydio, czy to alkohol?

– Nie.

– No to traci rozum.

Ale mama miała dopiero sześćdziesiąt pięć lat i była na coś takiego stanowczo zbyt młoda. I Lydia także była zbyt młoda na ten cały ambaras ze starzejącym się rodzicem.

Wiedziała, że za jakiś czas, w mocno odległej przyszłości, mama może się zacząć trochę trząść i się skurczy. Podczas tych rzadkich okazji, gdy w ogóle o czymś takim myślała, w jej głowie pojawiał się obraz małego, składanego siedzenia pod prysznicem. Będzie trzeba kogoś wezwać, aby to zainstalował. Ale to miało być kiedyś!

– Jeśli zaczyna słabnąć na umyśle – rzucił ostrzegawczo Flan Ramble – to nie powinna jeździć taksówką.

– Nasza matka to najbardziej sprawna kobieta, jaką znam.

– Taka była, Murdy, ale to się zmieniło. To właśnie próbuję ci powiedzieć. Nie jest z nią dobrze. Zaczyna tracić rozum.

– Nic jej nie jest – orzekł Murdy.

– Nic jej nie jest – orzekł Ronnie, kiedy w końcu do niego zadzwoniła.

Oszalała z frustracji zadzwoniła do Stuttgartu do Raymonda, który oświadczył:

– Nic jej nie jest.

– Błądziła po ulicach w koszuli nocnej!

– Tak jak i połowa miasteczka. To był Wielki Piątek, nikt nie wylewał za kołnierz. – A potem gładko mówił dalej tym swoim rechotliwym głosem z cyklu „opowiem ci coś zabawnego”: – Opowiadałem ci, jak kiedyś zatrzasnąłem drzwi w hotelowym pokoju w samym środku nocy? Myślałem, że idę postawić klocka, a tu się okazało, że stoję na korytarzu, a drzwi za

mną zamykają się. I wtedy z windy wyszła para Włochów i mnie zobaczyła, nagusieńkiego jak mnie Pan Bóg stworzył, i ta kobieta, zresztą całkiem niezła, mówi...

– Chryste, czy ty się w końcu zamkniesz?

– Mówię jedynie – w jego głosie słychać było urazę – że w przypadku mamy to też coś w tym rodzaju.

– Wcale nie. Musi iść do lekarza.

– No to powodzenia.

Ellen błagała Lydię, aby ta nie zabierała jej do dr Buddy'ego Scutta, miejscowego internisty.

– Tylko go obrazisz, a ja muszę tu przecież mieszkać.

– Nie obrażę.

– Obrazisz. Tak już masz. Nic nie możesz na to poradzić.

– Wchodźcie, wchodźcie! – Dr Buddy Scutt przywitał Lydię i Ellen z nieprofesjonalną, zdaniem Lydii, serdecznością. (Ellen i Buddy w czwartkowe wieczory w Condemn'd Man grali w quizy w tej samej drużynie.) Buddy przeciągnął swoje krzesło na drugą stronę biurka i we trójkę siedli w małym kole. Ich kolana niemal się stykały. Zbytnia poufałość, jak na gust Lydii.

Odkaszlnęła i podjęła próbę nadania atmosferze powagi.

– Doktorze Scutt, jestem pewna, że słyszał pan o tym, że w środku nocy policja przywiozła mamę do domu.

– Lunatykowałam – wtrąciła Ellen. – Buddy, ja tylko lunatykowałam.

Buddy kiwnął głową, przekazując jej wiadomość: „Niech panienka się wygada, a potem zrobię z nią, co trzeba".

– Ale są też inne rzeczy. Wstawia mleko do mikrofalówki, zapomina

całe rozmowy...

– A ty jesteś idealna, tak?

– Nie, ale... Mamo, przepraszam. Naprawdę przepraszam. – Nie wiedziała, czy Ellen ma jej za złe takie publiczne upokorzenie, ale przekonała się ze zdumieniem, że dla niej jest to straszne. Tchu pozbawiały ją nieznajome uczucia: współczucie, bolesna miłość. – Mógłby jej pan wypisać skierowanie na rezonans? – Szperanie w Internecie zrobiło swoje. – Rezonans magnetyczny?

– Po co? Rezonans kosztuje majątek, a z twoją matką nie dzieje się nic złego.

– Zapłacę.

– To tak nie działa. Nie da się tak z marszu zrobić rezonansu. Jest duże zapotrzebowanie. Powinno się go robić tylko chorym ludziom.

– Ale ona jest chora! Wybacz, mamo!

Buddy Scutt pokręcił głową.

– Wszystko z nią jest w porządku. Znam tę kobietę od zawsze.

Ale co to oznaczało?

– A więc jeśli zna pan jakiegoś pacjenta, to nie może on zachorować na raka?

– Mam raka, Lydio?

– Nie to chciałam powiedzieć, mamo. Ty jesteś tylko trochę... zniedołężniała czy coś w tym rodzaju.

– Zniedołężniała, dobre sobie! – wtrącił Buddy. – Kiedy muszę zdążyć na pociąg, to do kogo dzwonię? Do Ellen Duffy.

– No właśnie, kwestia taksówki – powiedziała z zakłopotaniem Lydia. – Nie jestem pewna, czy w ogóle powinna nią jeździć.

To najtrudniejsze słowa, jakie dane było Lydii wypowiedzieć. Gdyby

Ellen przestała jeździć, ktoś inny musiałby przejąć odpowiedzialność za zapewnienie jej utrzymania. A to dopiero rodziło prawdziwe problemy.

– Sami ją zapytajmy. Ellen, martwisz się?

– Jasne, po prostu się starzeję – odparła szybko.

Ale Lydia wychwyciła lekkie drżenie w jej głosie. Ellen wiedziała, że coś gdzieś zaczyna nawalać, ale tak jak cała reszta – Murdy, Ronnie, Raymond, Buddy – nie chciała wiedzieć, co to takiego.

– Słyszałaś swoją matkę. Mam poczekalnię pełną naprawdę chorych ludzi, więc nie marnujcie mojego czasu.

– Doktorze, skieruje ją pan na rezonans i wtedy się przekonamy.

Buddy przewrócił oczami do Ellen.

– Dzieci! Wystawiają nas na próbę. Do zobaczenia w czwartek, Ellen.

– Proszę – powiedziała Lydia. – Proszę, czy mógłby pan wypisać skierowanie? Bez niego nie ma szans na rezonans.

– Nie wypiszę, ponieważ nic złego się z nią nie dzieje. A teraz żegnam.

Lydia wyszła. Lekarz z wieloletnim doświadczeniem orzekł, że mamie nic nie jest. Ale wiedziała, że się myli. Nie potrafił się przemóc, aby powiedzieć Ellen, że traci rozum, bojąc się tego, że może zostać wyrzucony z quizów. A od śmierci żony czuł się samotny. Czwartkowe wieczory wiele dla niego znaczyły.

Cóż jeszcze mogła zrobić Lydia? Poczekać, aż mamie się pogorszy, a potem spróbować po raz kolejny?

I oto mamie się pogorszyło. Zawsze wręcz pedantycznie dbała o porządek, a tu dosłownie z dnia na dzień zaprzestała wszelkich prac domowych. Gdy Lydia przyjechała w pewne zimne niedzielne popołudnie, przekonała się, że wszystkie garnki, patelnie, talerze i kubki, jakie były na

stanie domu, poustawiano w chwiejne piramidy. I coś dziwnie pachniało, a właściwie śmierdziało. Jak zepsute mięso czy coś podobnego. Chryste! I nie dało się z nią rozsądnie i logicznie porozmawiać. Jak w ***Inwazji porywaczy ciał.*** Jej matkę zastąpiła zupełnie inna kobieta. A Ronnie i Murdy nie zrobili nic – nic! – aby pomóc. To zadziwiające, cholernie zadziwiające, że pozwolili żyć mamie w tym chlewie. Ale gorsze było to, że mamie to nie przeszkadzało. W ogóle nie zwracała uwagi na bałagan.

Aby nie dopuścić do wybuchu epidemii dżumy, Lydia co pięć czy sześć dni przyjeżdżała z Dublina i sprzątała z wściekłością.

Ze zrozumiałą wściekłością. No to już wiem, czemu nie chce zmywać choćby po sobie samej. Co raczej nie jest sprawiedliwe w stosunku do tych biedaków, Andrzeja i Jana. Co nie znaczy, że mam prawo kogokolwiek osądzać. A może...?

W następnej kolejności Ellen zaczęła mieć problem z liczbami – Nie zawsze, w niektóre dni wszystko było okej, ale w inne system dziesiętny zaczynał w jej głowie wariować i banknot o wartości pięciu euro uznawała za pięćdziesiąt euro. Kiepska sprawa, jeśli jeździło się na taksówce i miało do czynienia z pieniędzmi. Ostre wymiany zdań towarzyszyły sytuacjom, kiedy Ellen policzyła klientom mocno za dużo. Jednak gorzej było, mając oczywiście na uwadze Lydię, kiedy Ellen zaczęła wydawać resztę ze stu euro tym, którzy dali jej dziesiątaka. (Flan Ramble triumfował. „Mogłem wrócić tamtego wieczoru do domu i cieszyć się z dodatkowych dziewięćdziesięciu euro. Tyle że ja jestem człowiek uczciwy. Ale w mieście jest sporo innych, którzy potem stawiają kolejkę wszystkim w pubie”.)

Ellen przestała płacić rachunki. Ponieważ nie była już w stanie złożyć podpisu. („Tak się nazywam, Lydio? Jakoś mi to nie pasuje”.)

Lydia zabrała ten zestaw nowych problemów, poszła z nim do braci i

położyła go u ich stóp jak kot martwego ptaka. No a oni oczywiście zaczęli się uchylać, twierdząc że: Lydia przesadza, Ellen ma menopauzę, opieka nad chorymi to domena kobiet.

– Powinnaś wrócić do domu i się nią zająć – oświadczył Raymond. – Tylko ty nie masz żadnych zobowiązań.

– Cholerny Ronnie nie ma zobowiązań!

Ale Ronnie był mężczyzną.

I tak przez większość czasu Lydię zżerała destrukcyjna wściekłość. Miała dwadzieścia sześć lat, nie powinna mieć tego rodzaju zmartwień. Była w rodzinie najmłodsza, jedyna dziewczyna; bracia powinni mieć na jej punkcie bzika. Dranie.

Raz na jakiś czas, tak dla urozmaicenia, podmieniała powodowane urazą mordercze myśli szaleńczym przerażeniem, kiedy zastanawiała się, jaki kolejny numer wywinie Ellen. Jedyne, co powstrzymywało ją przed postradaniem zmysłów ze strachu, była pewność, że prędzej czy później wydarzy się coś na tyle strasznego, że chłopcy w końcu przyjmą to do wiadomości.

No i proszę, dwa tygodnie temu zapaliły się zasłony w kuchni, i to był prawdziwy pożar: szyby w oknach popękały od gorąca, farba na suficie tak się zaczęła łuszczyć, że trzeba go pokryć nową warstwą, a ściany były czarne jak smoła. Gdyby nie przenikliwy wzrok Flana Ramble, który wypatrzył pożar, nim ogień zdążył się rozprzestrzenić na cały dom, nie wiadomo, co by się stało. Ale Murdy, Ronnie i Raymond (i Ellen także!) upierali się, że nie, domowi nie groziło żadne niebezpieczeństwo, a do Lydii dotarło, że pora przypuścić nowy atak na Sukinkota Scutta.

– Skierowanie na rezonans – oświadczyła Lydia jego recepcjonistce (Peggy Routhy). – Nie wyjdę, dopóki go nie wypisze. A w czekaniu jestem

dobra. Jak każdy taksówkarz. W Dublinie czasem jedenaście godzin muszę czekać na klienta.

Peggy Routhy wkroczyła do gabinetu i przenikliwym szeptem powiedziała Buddyemu Scuttowi, aby „przegonił" Lydię. Widać, że Peggy nadal żywiła urazę o to, że musiała zapłacić za kurs do szpitala, gdy zaczęła rodzić. Mieściny, pomyślała pogardliwie Lydia. Nie istnieje coś takiego jak zawodowy obiektywizm; wszystko przesłaniają relacje osobiste.

Peggy wróciła do siebie i uśmiechnęła się z wyższością.

– Nic z tego.

Super. Mogła czekać.

– Dzień dobry, pani Tanner – powiedziała głośno.

– Co pani dolega? Ból w klatce piersiowej? Nie wiem, po co w ogóle przyszła pani do tego konowała. On o niczym nie ma pojęcia. Powinno się go wykreślić z listy lekarzy, mówię pani. Zaraz opowiem pani, jak błędnie zdiagnozował moją biedną mamę...

Peggy Routhy znowu zniknęła w gabinecie, a po kilku minutach pojawiła się z kopertą. Wręczyła ją Lydii.

– Skierowanie na rezonans?

– Nie.

Lydia zerwała się z krzesła i wparowała do gabinetu Scutta.

– Nie wolno ci wchodzić bez umówienia wizyty!

Scott siedział za biurkiem.

– Co to? – Lydia zamachała kopertą.

– Skierowanie do innego lekarza, po drugą opinię – wyjaśnił. – Jeśli uzna, że twojej matce potrzebny rezonans, w co naprawdę wątpię, może wypisać skierowanie. Ale ja tego nie zrobię.

Lydia uświadomiła sobie, że ten rezonans stał się kwestią zasady.

Personalną potyczką między nią a Scuttem. On się nie podda. Nie mógł tego zrobić. To by znaczyło, że przyznaje się do tego, że nie miał racji.

– Do kogo ją pan odsyła? To musi być specjalista.

– Ktoś, kto zna się na zanikach pamięci, konsternacji... okej, na Alzheimerze, równie dobrze mogła to przyznać, gdyż chociaż to słowo ją przerażało, wyniki internetowych poszukiwań ciągle do niego wracały. – Lekarz, który zna się na matkach zmieniających się w szaleńców. I nie ktoś, kto osobiście zna mamę. Żaden głupiec, jak pan.

– Nazywa się William Copeland – odparł nieprzyjemnym tonem Buddy. – Specjalista neurolog, spec od szaleńców.

Katie przerzuciła kartkę książeczki i czytała dalej, a leżąca w łóżeczku Vivienne westchnęła z senną przyjemnością.

„... i król wróżek rzekł do Killiana:

– Wykonałeś zadanie. Twoje życzenie może się spełnić. Zyskasz możliwość posiadania wszechwiedzy.

– Teraz stąd odejdę – odrzekł Killian – i pokażę wszystkim swoją wspaniałą wiedzę.

Na to król:

– Nie tak szybko”.

Dzień 37…

Katie przestała czytać i zerknęła z powątpiewaniem na okładkę książki. ***Mity celtyckie,*** tak na niej było napisane. Coś o tytule ***Człowiek, który wszystko wiedział.*** Nie znała tej historii.

Vivienne się poruszyła – czemu czytanie się skończyło? – i Katie pospiesznie wróciła do książki.

Tylko duch może być wszechwiedzący. Musisz wyrzec się swego życia.

Killiana ogarnął gniew.

– Oszukałeś mnie – oświadczył. – I jak to możliwe, skoro jestem wszechwiedzący, że o tym nie wiedziałem?

Król wróżek pełen był współczucia.

– Nie przeczytałeś tego, co napisano drobnym drukiem. Nigdzie nie było mowy o tym, że będziesz wszystko wiedział, tylko że będziesz miał możliwość posiadania wszechwiedzy – ale będziesz musiał na nią zapracować".

Co za dziwaczna bajka, pomyślała Katie, ponownie zerkając na okładkę. Niewiarygodne, że takie bzdury ktoś wydaje. Ale równie dobrze mogła dokończyć tę historię. Vivienne chyba się podobała.

– Nie chcę wyrzec się życia – powiedział Killian.

– Musisz. Ludzie nie mogą wiedzieć wszystkiego – odparł król wróżek. – Nie znieśliby tego brzemienia.

– Pozwól mi żyć.

– Czas na to minął – rzekł król ze smutkiem. – Twoje życie zostało przypieczętowane. Możesz narodzić się z nowym życiem, ale kiedy ponownie staniesz się śmiertelnikiem, cała twoja wiedza zniknie. Co wybierasz? Wiedza czy Życie?

Killian przez chwilę się zastanawiał, ale wybór okazał się prosty.

– Życie.

– Możesz zdecydować, komu się chcesz narodzić. Użyj swej wielkiej wiedzy. Mądrze wybierz.

Wielu było ludzi w Irlandii, których Killian mógł sobie wybrać. Odwiedził północną część kraju, południową, wschodnią, zachodnią, poznał

ludzi uprzywilejowanych, pięknych, bogatych, mądrych. Ale sercem ciągnęło go do pewnej pary, skromnych, dobrych ludzi, którzy bardzo się kochali, tak bardzo, że ich serca połączyły się w jedność.

– Ten mężczyzna i ta kobieta mają najczystsze serca w całym kraju. Doświadczyli wielu smutków, ale ja mógłbym dać im szczęście.

– Idź więc.

Kiedy duch Killiana zamieszkał w ciele nowej matki, król wróżek dotknął Killianowej głowy.

– Tym dotykiem zabieram twoją wiedzę, a daruję ci niewinność, abyś mógł się znowu narodzić.

Killian zaczął drżeć i iskrzyć. Niczym nadchodząca fala, zmywająca ślady na piasku, znikał coraz bardziej, puszczając wolno swą duszę, aby wślizgnęła się w ciało zupełnie nowej osoby.

A mężczyzna i kobieta, skromni, dobrzy ludzie, kochający się towarzysze, którzy mieli jedną duszę i którzy doświadczyli w życiu wiele smutku, którzy wiedzieli, co to strach, samotność i rozpacz, mocno byli szczęśliwi, kiedy się dowiedzieli, że w końcu zostanie im zesłane dziecko.

KONIEC”

No i tyle. Katie przerzuciła kilka kartek, zastanawiając się, czy czegoś nie przeoczyła, ale wyglądało na to, że nie. Jakie to... dziwne. Pomimo dziwności bajki Vivienne zasnęła, a jej twarzyczka wyglądała słodko i spokojnie w różowym świetle lampki nocnej. Katie wyszła na paluszkach z pokoju i udała do kuchni, gotowa na kieliszek wina.

– ***Człowiek***, ***który wszystko wie***? – powiedziała do MaryRose. – Dziwna bajka.

– Nie znam jej. Mała ma tyle książek.

– Zupełnie inna od bajek z naszego dzieciństwa.

– Bo nam opowiadano bajkę o dobrej dziewczynie z długimi włosami, którą ratuje książę ze służbowymi lexusem i posadą w sektorze finansowym.

Katie skrzywiła się i powoli usiadła na sofie.

– Napij się wina, napij się wina. – MaryRose niespokojnie wcisnęła jej kieliszek w dłoń.

– Za dużo piję.

– To dobrze. Przynajmniej jakoś dajesz sobie radę.

– Dobrze mi szło. – Katie spojrzała na nią błagalnie.

– A nawet świetnie. Przez kilka pierwszych dni byłam cholernie zblazowana. I pewna, że robię to, co należy. Ale nie przemyślałam sprawy. Każdego ranka, bez względu na to, gdzie akurat przebywałam, czytałam mu z dziennika myśl na dany dzień... a teraz już nie mogę.

– Masz tu mój telefon. Zadzwoń do niego. I zgódź się.

Powiedziała MaryRose o oświadczynach. Wszystkim powiedziała, ponieważ chciała, aby ją na to namówili.

– Ale on był na bani. Gdybym się zgodziła, natychmiast wrócilibyśmy do stanu rzeczy, w którym zajmuję piąte lub szóste miejsce na liście jego priorytetów. No nie?

– Może wyciągnął wnioski?

A jeśli nie?

– Na pewnym etapie znowu musiałabym przechodzić przez to wszystko. Mam za sobą dziesięć dni udręki. Nie mogą pójść na marne.

MaryRose próbowała dolać wina do kieliszka Katie, mimo że aż się z niego przelewało.

– Muszę po prostu żyć dalej. – Katie uśmiechnęła się łzawo. – Kiedy się nad tym zastanowić, mam naprawdę fajne życie. Mam przyjaciółki i siostrę, i pracę...

– I buty! Masz takie śliczne buty.

– Tak...

– I ciasto! Mało jest w życiu smutków, których się nie da przegnać za pomocą ciasta.

– Ciasto, tak, ciasto.

Ale po niepewnej chwili milczenia Katie pochyliła się tak, że czołem niemal dotykała kolan.

– Zawsze już będę kobietą bezdzietną, która musi czytać bajki dzieciom innych ludzi.

– Mogłaś mieć dziecko! Jeśli tego właśnie pragnęłaś.

– Chodzi mi po prostu o to, że teraz nie ma szansy na... nic – powiedziała Katie do swoich kolan. – Równie dobrze mogę nie żyć.

– Ale przecież nie musisz być bezdzietna ani martwa ani na wycieczce z tą Hortensją. Conall poprosił cię o rękę! Dostał nauczkę, kocha cię, myśli poważnie o waszej przyszłości.

– Ale jeśli nie, MaryRose? A jeśli się oszukuję? I myślę, że tak właśnie jest. Że oszukuję samą siebie. O Boże, nie mam pojęcia, co zrobić!

Dzień 37…

Kolacja, telewizja, ciastka, kolejne ciastka, łóżko – czy Matta i Maeve nigdy to nie nudziło? Nic dziwnego, że Maeve musiała codziennie ryzykować własnym życiem na rowerze; to jedyny sposób na odrobinę ekscytacji.

Leżeli na sofie, oglądając program o wakacyjnych domach, ale Maeve myślami była daleko stąd, z jakiegoś powodu myśląc o tym, jak ona i Matt się zaręczyli.

Natalie zgadła, nim zdążyli powiedzieć choć słowo.

– Szybka robota! – oświadczyła.

– Minęło pięć miesięcy.

Być może nieprzyzwoicie szybko.

– No ale ma się pewność... – rzekła Maeve.

– Moje gratulacje. – Nat uśmiechnęła się szeroko.

– Rzuć bukietem w moją stronę.

– Jesteś fantastyczna, Nat, naprawdę.

– Biedny David nie będzie z tego powodu szczęśliwy – ostrzegła Nat. – Nadal czeka, aż ze sobą zerwiecie.

– O Boże. – Maeve skryła twarz w dłoniach. – Wiesz, chyba odejdę z Goliata i poszukam pracy gdzie indziej. Oglądanie codziennie mnie i Matta musi być dla Davida naprawdę trudne.

– On wam naprawdę nie wybaczył. – W ustach Natalie brzmiało to niemal zabawnie.

– Wiem i dręczą mnie wyrzuty sumienia.

David nadal nie rozmawia! z Maeve – ani, naturalnie, z Mattem – i nie okazywał zainteresowania żadnym innym dziewczynom.

– To jego ego – stwierdziła Natalie. – Nie mógł po prostu uwierzyć, że taki nowicjusz jak ty go porzucił.

– Nie mów tak. Ma prawo tak się czuć. Ale chcę, aby te całe zaręczyny były spokojne i dyskretne. Nie chcę jeszcze bardziej go urazić.

Wszystko się jednak zmieniło, kiedy Hilary Geary uparła się, że w swoim wystawnym domu na przedmieściach Dublina urządzi przyjęcie zaręczynowe.

– To przecież nie grzech, że chcę uczcić to jakże radosne wydarzenie! – oświadczyła Hilary. – Gości przywitamy koktajlami z szampanem –

dodała, zapisując to w notatniku.

– A w salonie ustawimy prawdziwy bar. I musicie zaprosić wszystkich z pracy! Nie co dzień najpiękniejsza dziewczyna na świecie zgadza się wyjść za mojego syna!

Maeve miała przeczucie, że raczej nie jest dziewczyną, którą Hilary Geary wybrałaby dla syna (prawdopodobnie wolałaby kogoś, kogo nieco bardziej interesują ciuchy, manicure i plan rozsadzenia gości), ale nawet jeśli Hilary miała jakieś zastrzeżenia względem przyszłej synowej, nie dawała tego po sobie poznać. Wciąż nawijała o tym, jak śliczna jest Maeve, jaką ma cudowną cerę, jak doskonale pasuje do Matta i jak pięknie będzie wyglądać w sukni ślubnej.

Maeve pomysł przyjęcia nawet się spodobał – tyle że przejmowała się Davidem.

– Nie możemy – powiedziała Mattowi. – Davida zbyt mocno by to zasmuciło.

– Musimy. Mamy nie uda nam się powstrzymać – odparł Matt. – Każdy pretekst dobry do tego, aby się napić. Mówię poważnie; wiem, jaka ona jest. To przyjęcie się odbędzie, jak nie tak, to inaczej.

Powinni więc zaprosić Davida czy nie? Maeve strasznie się tym zadręczała.

– Niezaproszenie go byłoby dla niego policzkiem, ale jeśli go zaprosimy, to nie wyjdzie na to, że triumfujemy?

– Słuchaj, zaprośmy go i niech sam zdecyduje – rzekł Matt.

– Nie, Matt, proszę... to nie takie proste. Jest rozstrojony.

– Wygląda to tak, Maeve: on pragnął ciebie, ja pragnąłem ciebie, ja cię zdobyłem. I tyle. Pora, aby wszyscy przeszli nad tym do porządku dziennego.

– Jesteś zbyt pragmatyczny.

– Zgadza się. Brutal ze mnie. – Szturchnął ją, a ona się uśmiechnęła. Po czym powiedziała ze smutkiem:

– Matt, nie jestem bez serca, pomyśl o jego uczuciach.

– Myślałem o jego uczuciach. Robiłem to przez pięć ostatnich miesięcy. I w zasadzie przez trzy wcześniejsze miesiące także. Wystarczy.

– Okej, zaproszę go.

Kiedy do dnia przyjęcia nie udzielił żadnej odpowiedzi, Matt orzekł:

– Chyba możemy założyć, że nie przyjdzie.

Maeve nie miała takiej pewności. Częściowo się spodziewała, że gości przybywających do ślicznego domu Hilary i Waltera powita David i grupa osób sympatyzujących z nim, którzy będą pikietować i głośno nawoływać do zbojkotowania tej imprezy.

Ale wszystko poszło dobrze. David się nie zjawił, a Maeve nie wiedziała, czy ma czuć żal, czy ulgę.

Dzień 37…

Według Lydii najbardziej wkurzające było to, że na krótkie okresy Ellen potrafiła wziąć się w garść. Kiedy razem z mamą weszła do gabinetu Williama Copelanda, mało brakowało, a powiedziałaby: „Oto moja mama, poprosimy o skierowanie na rezonans i już nas nie ma”. Ale neurolog upierał się, aby „rozruszać” Ellen, na co ona zareagowała miłą pogawędką. W odpowiedzi na jego delikatne pytania poprawnie nazwała prezydenta, następnie – i to właśnie dręczyło Lydię – poradziła sobie z działaniami matematycznymi. Kobieta, która nabijała kieszenie połowie Boyne przez to, że nie potrafi odróżnić dziesięciu euro od stu, teraz umiała pomnożyć sześć

przez dwanaście. Następnie, cholera jasna, doskonale sobie poradziła podczas krótkiego – bardzo prostego, co niespokojnie zauważyła Lydia – testu na inteligencję.

– Wszystko wygląda dobrze – orzekł dr Copeland.

– Test był bardzo prosty.

– Standardowy.

– Ale mama, tak bardzo się... zmieniła.

– Proszę o przykład.

– Nie rozróżnia już pieniędzy.

– Właśnie pokazała, że owszem.

– Jest po prostu uprzejma. Ponieważ pan jest lekarzem...

– Specjalistą.

– No to specjalistą. Kiedy stąd wyjdziemy, znowu zrobi się obłąkana.

– Nie bardzo lubię to określenie.

– No to szalona. – Kiedy w ogóle nie wydawał się tym rozbawiony, zapytała: – Możemy ją wysłać na rezonans?

– Nie widzę podstaw.

– Uważa, że jestem jej zmarłą siostrą.

– Myśli tak pani? – zapytał mamę.

– Lydia wygląda niemal identycznie, jak Sally, kiedy zmarła – odparła cicho Ellen. – Czasami wymknie mi się niewłaściwe imię.

Dr Copeland kiwnął głową.

– Czasami mówię na mojego syna Sophie. A to imię psa.

– Przestała sprzątać dom – kontynuowała Lydia.

– A zawsze miała nieskazitelnie czysto.

– Ma prawo trochę odpuścić. Nie uważa pani, że wystarczająco długo zajmowała się panią i – zerknął do notatek – pani braćmi?

Tak właśnie twierdził Ronnie.

– Ale jej dom robi się odrażający. Wybacz, mamo, ale tak jest. Zaczynam się bać szczurów i innych rzeczy.

Ellen zaśmiała się cicho.

– Widziałam twoje mieszkanie. Ty i Sissy mieszkacie w prawdziwym chlewie.

– Ale, mamo, ja mam dwadzieścia sześć lat. Jestem nieodpowiedzialna. Mam gdzieś sprzątanie. A poza tym – dodała z rozpaczą – nie mieszkam już z Sissy. Wyprowadziłam się dwa miesiące temu. O tym też zapomniałaś.

Dr Copeland pisał coś w swoim notatniku. W końcu uniósł głowę i rzekł:

– Lydio, coś pani powiem. Przychodzą do mnie dorosłe dzieci zaniepokojone tym, że ich rodzice nagle wybierają się na wycieczkę do Australii i, tu cytat: „wydają nasz spadek”. Mówią mi, że ich rodzice postradali zmysły.

– Ja nie próbuję oddać gdzieś mamy, żebym sama mogła położyć łapę na jej pieniądzach! Nie ma żadnych pieniędzy. Nawet dom nie stanowi jej własności.

Copeland patrzył na nią twardym wzrokiem, jakby próbował zmusić Lydię do przyznania, iż jej oskarżenia są bezpodstawne. Lydii nagle przypomniała się znana wszystkim prawda: wszyscy lekarze od głowy to szaleńcy, znacznie bardziej szaleni od swych pacjentów.

Po długiej chwili milczenia dr Copeland rzekł:

– Lydio, czego pani chce dla swojej matki?

– Chcę jedynie nazwania rzeczy po imieniu i zdiagnozowania jej choroby. Wtedy może zacząć brać leki i znowu

świetnie się czuć.

– I znowu zacząć sprzątać dom?

– Być dawną sobą.

Dzień 37…

Naomi nie miała racji, mówiąc, że Conall nigdy nie zabrał Katie na wakacje. Spędzili weekend w Budapeszcie, cztery dni w oszałamiającym hotelu na Ibizie (które skurczyły się do dwóch z powodu opóźnionego lotu), ale najmilej Katie wspominała ich pierwszy wspólny wyjazd. Spotykali się niecały miesiąc, kiedy Conall zjawił się z biletami do Tallina. Nadal próbował jej wynagrodzić fiasko w Glyndebourne.

– Wybrałem Tallin, ponieważ znajduje się tam sześciusetletnia apteka – wyjaśnił. – A wiem, jak lubisz apteki.

Dotarli na miejsce w piątek wieczorem, a nazajutrz przede wszystkim udali się do owej apteki. Właściwie to była trzecia albo czwarta rzecz, jaką zrobili. Obudzili się w rzeźbionym łóżku i uprawiali długi, leniwy seks, następnie spożyli śniadanie w postaci szampana i truskawek, ponieważ Conall może i był szpanerem, ale wiedział, jak szpanować z klasą. W końcu się ubrali i ucięli sobie pogawędkę z concierge'em na temat map i lokalizacji. No, Conall ją uciął. Katie nie interesowały tego typu sprawy. Uważała, że to tylko dla mężczyzn – uwielbiali zakreślacze, znaczki „x" na mapie i tym podobne. Kiedy rozmowa dobiegła końca, Katie ruszyła w stronę drzwi, jednak poczuła, że Conall ciągnie ją z powrotem ku schodom.

– Zabiorę ci tylko chwilę – mruknął z błyskiem w oku.

Wrócili do apartamentu, z którego dopiero co wyszli, upadli na łóżko i odbyli nieoczekiwany, ale bardzo seksowny szybki numerek.

– Okej. – Conall pomógł Katie wstać i założyć stanik. _ Wizyta w aptece, podejście drugie.

To był Tadż Mahal aptek, piękny i staroświecki. Wzdłuż ścian stały drewniane regały z małymi, kwadratowymi szufladami, a wysoko na półkach poustawiano brązowe szklane słoje opatrzone chemicznymi symbolami. Światło, odbijane w upstrzonych przez muchy lustrach, było przytłumione i pełne szacunku. Była to jednak nadal funkcjonująca apteka i ku radości Katie znajdowało się w niej także mnóstwo współczesnych produktów.

– No dobrze – powiedział Conall. – Oprowadź mnie.

– Przyciągnął ją do siebie. – Czy ty... słuchaj, nie musisz się wstydzić.

– Oczywiście, że się wstydzę – odparła. – Nie znam nikogo innego, kto aż tak lubiłby apteki.

– Ale ja za to lubię sklepy żelazne. Następnym razem wybierzemy się do największego na świecie sklepu z wihajstrami. A razem będziemy chodzić do sklepów papierniczych.

– Jesteś pewny, że cię to interesuje?

– Przysięgam. Chcę, żebyś mi pokazała rzeczy, które kochasz. – Wziął do ręki pudełeczko. – Co to takiego?

– Specjalne mydło antytrądzikowe. – Nic szczególnego.

Nie stała zbyt długo przy produktach do pielęgnacji skóry i włosów – bez względu na to, jak bardzo energicznie potakiwał, podejrzewała, że udaje. Zresztą jej ulubieńcem był dział pierwszej pomocy. Te wszystkie wynalazki były takie zmyślne.

– Co to? – Wziął z półki plastikowy walec.

– Och, Conall. – Nic nie mogła poradzić na to, że entuzjazm aż z niej

tryskał. – To środek do przemywania ran i jest po prostu fantastyczny. Pamiętasz, jak byłeś mały, przewróciłeś się i rozbiłeś kolano i były tam fragmenty kamieni i brudu i jak paskudnie było, kiedy przemywano je jodyną. Teraz już tak nie jest. Psikasz tym na kolano i wydaje mi się, że zapewnia łagodne miejscowe znieczulenie, no i oczywiście ma działanie odkażające.

Conall czytał uważnie instrukcję.

– Widzę, zmywa „ciała obce". Czy to...

– ... kamyczki i brud. Dokładnie!

– Chryste, aż żałuję, że nie mam żadnej rany, bo wtedy mógłbym to wypróbować.

Spojrzała na niego dziwnie i oboje zaczęli się śmiać, a Conall wykrzyknął:

– Katie, ja się wcale nie nabijam. Naprawdę uważam, że to jest ciekawe. A to? Co to takiego?

– Plaster w sprayu. Dla problemowych miejsc, gdzie nie da się przykleić tradycyjnego. Musisz jedynie psiknąć.

Nacisnął i kropla płynu z sykiem wylądowała na jego palcu.

– To jest suche! Już! Zobacz. – Zamachał ręką. – I działa dokładnie jak plaster z opatrunkiem?

– Nie dopuszcza do powstania infekcji.

– Rozumiem, co masz na myśli, to rzeczywiście jest ekscytujące.

– A to musi być jakaś nowość. – Wzięła z półki coś, co okazało się płynem do płukania gardła z jeżówką. – Za granicą czasem można dostać specyfiki, których nie znajdzie się u siebie. Coś takiego jest idealne na zimę, kiedy zaczyna boleć gardło.

Uparł się, aby kupić jej ten płyn.

Wiedziała, że tak naprawdę nie rozumiał tej fascynacji aptekami, nikt tak do końca nie rozumiał. Ale liczył się fakt, że chciał spróbować.

Dzień 37…

Kosztowało to czterysta euro. Czterysta euro musiała zapłacić za to, że praktycznie oskarżono ją, że próbuje ubezwłasnowolnić mamę i położyć łapę na jej pieniądzach, jakby byli w jakiejś dziewiętnastowiecznej powieści, może pióra którejś z sióstr Bronte. Lydia nie należała do miłośników literatury, nie miała więc pewności, ale w szkole musiała czytać różne rzeczy i obecna sytuacja nieco jej to przypominała.

William Copeland, co za głupiec.

Lydia przyznawała jednak, że w sumie cały ten murmański bajzel rozbijał się o pieniądze. Od czasu, gdy z głową mamy zaczęło być coś nie tak, Lydię trzymał w swych szponach strach – strach przed tym, że mama się zmieni, strach przed tym, że mama zniknie i strach przed tym, że mama umrze. A przedzierając się przez ten cały strach, przez różne jego poziomy, odkryła, że podłożem każdego innego strachu, tak jak to miało miejsce przez całe jej życie, jest strach przed brakiem pieniędzy. A jeśli mama będzie musiała pójść do domu opieki? Ktoś będzie musiał za to zapłacić, a w przeciwieństwie do innych rodzin Duffy nie mieli nic.

Dom mamy nie był jej własnością, Lydia nie miała pieniędzy, Murdy nie miał pieniędzy, Raymond nie miał pieniędzy, Ronnie zachowywał się tak, jakby ich nie miał, ale on należał do osób, po których śmierci się okaże, że mają aktywa warte miliony: tak czy inaczej nie był skłonny do dzielenia się nimi.

Podczas gdy bracia coraz głośniej się upierali, że nie dzieje się nic złego, Lydia obrała inną drogę i zaczęła się przygotowywać na katastrofę. Zaczęła pracować praktycznie non – stop, przestała kupować fajne adidasy, przeprowadziła się do tańszego mieszkania, zaczęła grać w totka.

Odwiedziła nawet kilka domów opieki, i święci pańscy, cóż to za przerażające miejsca! Same stare próchna, wszyscy byli strasznie starzy. Nigdy dotąd nie widziała starych ludzi, nie w prawdziwym życiu, a ci byli niczym żywe trupy. Nigdy też nie czuła ich zapachu! To prawda, co się mówi o tych miejscach: że czuć w nich sikami. Jezu. Kiedy nadejdzie czas, mama nie może trafić do jednego z tych domów. Co nie znaczy, że Lydię było na coś takiego stać. W obu przypadkach astronomiczny koszt stanowił rozkładającą się wisienkę na robaczywym torcie.

– Wsiadaj do samochodu, mamo.

– Nie.

– Wsiadaj, musimy jechać do domu.

Ellen wyrwała się Lydii.

– Sally, daj mi spokój!

– Och, a więc postanowiłaś znowu być obłąkana. Hej!

– Lydia wrzasnęła w stronę drugiego piętra budynku, który dopiero co opuściły. – Hej, wasza wysokość, Copeland, moja mama znowu zwariowała. Zejdź i teraz zrób ten swój test.

– Sally! Ćśś, Sally! Przestań krzyczeć.

– Nie mam na imię Sally! Jestem Lydia, twoja córka!

Oczy Ellen były ogromne, drżała jej dolna warga. Wyglądała jak zbesztane dziecko i Lydię natychmiast ogarnęły wyrzuty sumienia.

– Przepraszam, mamo, przepraszam, przepraszam. To nie twoja wina, wiem, że to nie twoja wina.

– Ja też przepraszam.

Szlochając wpadły sobie w ramiona.

– Nie bądź na mnie zła – powiedziała zduszonym głosem Ellen, wtulając twarz w ramię Lydii.

– Nie jestem zła. Przepraszam, mamo, strasznie cię przepraszam.

– Jesteś moją dziewczynką, Sally, moim maleństwem, dla ciebie zrobiłabym wszystko.

Lydia patrzyła przed siebie, nie widząc drogi, zbyt załamana, aby przejmować się jazdą.

Tyle musiała walczyć o dzisiejszą wizytę i naprawdę sądziła, że prawdziwy lekarz zobaczy to, co ona, że mama dostanie skierowanie na rezonans, że to, co się dzieje z jej mózgiem, zostanie zdiagnozowane i że ją wyleczą.

Co mogła teraz zrobić? Wrócić do Buddy'ego Scutta i poprosić o kolejny list polecający? Głupi ramol pewnie by go nie dał, ewentualnie wysłałby je do kolejnego ze swoich kumpli z taką samą śpiewką. Co się robiło, kiedy lekarze nie mogli – albo nie chcieli – dostrzec, że ktoś jest chory? Może powinna spróbować zabrać mamę do innego internisty, lekarza, który nie jest jej znajomym, lekarza, który nie będzie się martwił skutkami postawienia nieprzyjemnej diagnozy. Nie byłoby to proste. Mamę przerażało urażenie ludzi z miasteczka; nadal chodziła do tego samego rzeźnika, który sprzedał jej kilo zepsutej szynki na bierzmowanie Murdy'ego dwadzieścia pięć lat temu.

Lydia postanowiła, że nie będzie teraz o tym myśleć. Pomyśli o czymś innym, czymś miłym. Ale jej mózg nie chciał dać za wygraną. Ciągle podrzucał kolejne straszliwe scenariusze. A jeśli się pogorszy? Jeśli nadejdzie czas, kiedy mamy nie będzie można zostawić samej? Nie licząc

Flana Ramble, większość sąsiadów z dawnych lat zniknęła. Prawie każdy dom na ich ulicy został sprzedany młodym garniturkom, którzy dojeżdżali do pracy do Dublina, całymi dniami nie było ich w domu i nie interesowała ich opieka nad zniedołężniałą kobietą.

I czemu mama miałaby być uzależniona od dobrej woli sąsiadów, skoro miała czworo dzieci? Ale bracia Lydii nie zgodziliby się na wprowadzenie grafiku, a ona nie miałaby jak ich do tego zmusić. Większość ludzi była w stanie zmusić do niemal wszystkiego, ale jej bracia byli ulepieni z tej samej gliny, co ona.

Wciąż powtarzali, że powinna wrócić do Boyne, skoro się tak martwi. Ale jej lepiej było w Dublinie; tam mogła więcej zarobić... Poza tym prawda była taka, że nie miała ochoty wracać do Boyne. Łagodnie mówiąc. Zwariowałaby tutaj. To jak pogrzebanie żywcem. Nie minąłby miesiąc, a byłaby równie szalona jak mama.

Chryste, ależ żal jej było osoby, którą kiedyś była – zanim musiała nauczyć się żyć z tym wielkim, koszmarnym zmartwieniem. Była wtedy twarda i nieczuła na ból, i wszystko było możliwe, ponieważ niczego się nie bała. Teraz była jedną wielką raną, wrażliwą i podatną na infekcje.

Była na to wszystko za młoda. Mamie się nie polepszy, ale nikt nie podzieli się z Lydią tym brzemieniem. A to niesprawiedliwe, żeby egoistyczna, nieodpowiedzialna dwudziestosześciolatka musiała się borykać z taką miłością, bólem, strachem i samotnością.

Leżąca na jej kolanach komórką piknęła, a zakończenia nerwowe Lydii zaiskrzyły. Gilbert! Ale to tylko esemes od Poppy. Okej! Dość tego! Minęło osiem dni, a osiem dni to wystarczająco długo. Gilbert nie zamierzał do niej dzwonić; ona nie zamierzała dzwonić do niego. Było, minęło. Koniec sprawdzania telefonu. Koniec głupoty i nadziei. I nawet gdyby kajał się

przed nią, dręczony wyrzutami sumienia, nie zamierzała przyjąć go z powrotem.

Zjechała na pobocze.

– Sally, co się dzieje? – Ellen była skonsternowana.

Lydia szybko wykasowała numer Gilberta. No i proszę! Nie ma. Teraz naprawdę nie mogła już do niego zadzwonić.

Przez chwilę zastanawiała się, czy się przypadkiem nie rozpłacze – ta cała sprawa z mamą dała jej się porządnie we znaki – ale oparła głowę o zagłówek i poczekała, aż ta chwila słabości minie.

Następnie włączyła się z powrotem do ruchu.

Dzień 37…

Matt i Maeve ubrali się do snu, następnie przyszła pora na wypisanie Trzech Błogosławieństw. Mattowi poszło naprawdę szybko. Dzisiejszego wieczoru, tak jak to od jakiegoś czasu robił codziennie, napisał po prostu:

Tajemnicza bryła lodu nie spadła na mój samochód.

Tajemnicza bryła lodu nie spadła na moje mieszkanie.

Tajemnicza bryła lodu nie spadła na moją żonę.

Napisanie tego zabrało mu dziesięć sekund; żadnego zadręczania się ani zaglądania w głąb własnej duszy, po prostu raz, dwa, trzy i gotowe. Maeve w ogóle już tego nie sprawdzała. Rzucił notatnik na łóżko i zabrał się za czytanie gazety.

Matt dawno już skończył, a Maeve nadal intensywnie myślała, rysując złotym długopisem kontury gór. Musiało być coś dobrego, musiały istnieć błogosławieństwa.

W końcu napisała: „Pierwsze błogosławieństwo: Matt ode mnie nie odszedł”.

Po dłuższej chwili napisała: „Drugie błogosławieństwo: Ja nie odeszłam od Matta”.

A trzecie błogosławieństwo? Nic nie przychodziło jej do głowy. Zamknęła notatnik, aby się przyjrzeć okładce, obrazowi Chagalla. Tę kobietę trzymał na ziemi jedynie mężczyzna, ale uścisk jego dłoni wyglądał tak niepewnie. Tak łatwo byłoby ją puścić, a gdyby to zrobił, uleciałaby do góry, znikając na zawsze.

Ponownie otworzyła notatnik. Dzisiejsze trzecie błogosławieństwo? No dalej, trzecie błogosławieństwo, popędzała się w duchu. W końcu z uczuciem porażki napisała: „Nie miałam ataku paniki”. Następnie zatrzasnęła notatnik i zgasiła lampkę.

Jedna rzecz, o której chyba powinienem wspomnieć, bo jest tak cholernie dziwna – kiedy Maeve bierze rano prysznic, ma na sobie kostium kąpielowy, jakby występowała w Big Brotherze.

Dzień 36

Juz pedze, zagadujcie ich.

Spóźniona do pracy, Katie zbiegała po schodach, próbując jednocześnie wysłać esemesa do Danno. Następnie, najpewniej dlatego, że trzymała w ręce telefon, zajęła się myślami, które przez trzy ostatnie dni przybierały na sile i stawały się coraz bardziej prawdziwe. „Conall dostał nauczkę, kocha cię, myśli poważnie o waszej przyszłości”. Była zbyt surowa, upierając się przy tym, że powinien mieć wtedy przy sobie pierścionek – to było coś spontanicznego, kierowały nim niemożliwe do

odparcia uczucia. I ciągle myślami wracała do tego: poprosił ją o rękę. I powiedział, że ją kocha...

Niemal się złamała. Po co dłużej tak cierpieć?

Może po prostu do niego zadzwoni, porozmawia, zobaczy, co z tego wyniknie – Chwileczkę! Znała ten van! Ten, który zaparkował przed jej domem i którego ujrzeć już się nie spodziewała. To był Cesar, dostawca kwiatów.

Och, Conall.

Cesar wyskoczył z auta.

– Dzień dobry, Katie. – W ciągu dziesięciu miesięcy Conall przysłał jej tyle bukietów, że zdążyła się zakumplować z Cesarem.

Cesar obszedł auto i otworzył pakę, a Katie udała się za nim. Jej serce śpiewało, śpiewało, śpiewało. Słońce uwolniło się od przysłaniającej je chmury.

Cesar sięgnął do środka i Katie zapuściła żurawia, próbując zobaczyć. Zastanawiała się, jak duży okaże się bukiet. Rozmiar będzie wskazywał na powagę intencji Conalla.

Szeleszcząc celofanem, Cesar wydobył bukiet, no i okazał się olbrzymi. Było w nim jednak coś nietypowego; zrobiono go z dziwnych spiczastych pąków, ostrych, niemal agresywnych. Czy to... oset... czaił się pośrodku? Conall zazwyczaj przysyłał lilie, eleganckie i pachnące. Czemu przysłał te spiczaste brzydactwa?

Tknięta złymi przeczuciami, Katie wyciągnęła ręce, aby odebrać ten kolczaście wyglądający bukiet. Ale Cesar sprawdzał coś na podkładce do pisania.

– Zmieniłaś mieszkanie?

– Nie.

– Ale to jest dla mieszkania numer trzy.

– Na pewno pomyłka, ja mieszkam pod czwórką.

– Mieszkanie numer trzy. Tak tu jest napisane. – Pokazał jej arkusz.

– Ktoś się po prostu pomylił. Cesar, przepraszam cię, ale jestem spóźniona do pracy. – I jeszcze bardziej się spóźni, ponieważ musiała pobiec na górę z kwiatami, gdyby więc Cesar po prostuje dał... Coś jej przyszło do głowy. – Chyba że nie są od Conalla.

– Przysłał je pan Hathaway.

– No to dla mnie.

– Chwileczkę. – Cesar wyciągnął komórkę. – Dryndnę tylko do dziewczyn. – Po krótkiej rozmowie zatrzasnął telefon. – Są dla taksówkarki, która mieszka pod Katie Richmond.

– Och. – Katie nie miała pojęcia, co jeszcze mogłaby powiedzieć, więc powtórzyła: – Och.

Uszło z niej całe powietrze. O co chodziło Conallowi? Skąd znał Lydię? Skąd wiedział, że jeździ taksówką?

– Ja, ach... tylko... – Cesar gestem pokazał, że musi ją minąć, aby sięgnąć do dzwonka. Aby wręczyć kwiaty właściwej osobie. Wyglądał na nieco zażenowanego. Kontaktu wzrokowego nie dałoby się nazwać pełnym. – No dobrze, ach... Powodzenia, Katie, miłego dnia.

– Tak, ach, Cesar. Tak, nawzajem.

Dzień 36…

Lydia wpadła do mieszkania w stanie najwyższego pogotowia, szukając śladu obecności Andrzeja. Czy też raczej mając nadzieję na jego brak. „Niech cię nie będzie, ty smutasowaty Polaku, bądź na uczelni, bądź u swojej odrażającej dziewczyny, bądź na imprezie, byle nie tutaj”.

Wsunęła głowę do salonu, no i go zobaczyła. Cholera. To pierwszy raz, odkąd oni... Odkąd oni nic. Odkąd oni zrobili to, co zrobili.

– Gdzie Jan?

– W pracy.

– Kiedy wróci?

– Po dziesiątej.

– Wieczór spędzasz w domu? – Może gdzieś wyjdzie razem ***z.*** Rosie.

– Tak.

„Mińsk”.

– Przychodzi Rosie – dodał.

O nie! To gorzej niż źle! Rosie była koszmarna. Zawsze, gdy Lydia znajdowała się w jej pobliżu – nieczęsto, co wcale jej nie przeszkadzało – ogarniała ją przemożna chęć, aby zacząć krzyczeć, że Rosie to oszustka, że tylko udaje dobroć i cnotliwość, podczas gdy tak naprawdę jest wyrachowana, zimna i najpewniej ma plan zdobycia władzy nad światem. To wcale nie znaczy, że Lydii przeszkadzało istnienie osób wyrachowanych i zimnych. Ale uważała, że skoro już takim się jest, to należy być uczciwym. A jeśli ktoś ma plan zdobycia władzy nad światem, to powinien mieć na tyle przyzwoitości, aby mieszkać w podziemnym schronie, nosić biały garnitur i głaskać grubego białego kota; nie nawija się wtedy ciągle o kwiatkach, puszystych króliczkach i kolorze różowym. Jedyne, co powstrzymywało Lydię

przed dziabnięciem ją widelcem w oko, to fakt, że Rosie także nie cierpiała Lydii i w ogóle się z tym nie kryła, i Lydia to szanowała, gdyż choć raz Rosie nie oszukiwała.

– Andrzej, kiedy wyjeżdżasz na wakacje?

– Za cztery tygodnie, sześć dni i szesnaście godzin.

Długo. Później niż sądziła. Znacznie później. Do diaska.

– Aha, pożyczyłam sobie twoją torbę – powiedziała.

– Tę z zamkiem.

– W porządku – odparł. – Gdzie byłaś. U mamy?

Kiwnęła szorstko głową.

– Smutna? – zapytał.

Wsadź sobie gdzieś to swoje „smutna? ”. Gdyby nie ty, Gilbert nadal byłby moim chłopakiem.

Naturalnie gotowa była zebrać cięgi za rolę, którą sama odegrała w zakończeniu związku z Gilbertem, ale, jeśli się nad tym zastanowić, generalnie winę ponosił Andrzej.

Udała się do kuchni i w drzwiach zatrzymała się jak wryta. Natychmiast cofnęła się do salonu.

– Skąd się wzięły te wszystkie kwiaty? Kuchnia jest nimi dosłownie zawalona! Prawie się nie da wejść.

– Są dla ciebie.

– Ha ha.

– Poważnie. Są dla ciebie.

– Naprawdę? – Sądziła, że kupił je dla wrednej Rosie.

– Od kogo? – Wtedy w jej głowie pojawiła się straszliwa myśl. – Nie od ciebie?

– Ha ha. Bardzo śmieszne. – Jego sarkazm był imponujący.

Wróciła do kuchni, skonsternowana i poirytowana. Znajdowały się w niej cztery bukiety, a każdy ogromniasty.

Jeden leżał w zlewie, drugi na suszarce, a dwa stały pionowo na krzesłach i wyglądały, jakby zaraz się miały zabrać za jedzenie kolacji. Wiedziała, że nie przysłał ich Gilbert. To nie ten typ faceta i w sumie dobrze, że sypiał z innymi dziewczynami) ponieważ tego rodzaju tandetny gest od razu by ją od niego odstraszył.

Co ona miała z nimi zrobić? Jaki był pożytek z kwiatów? Czekoladki była w stanie zrozumieć, ale kwiaty to tylko niepotrzebne cholerstwa. Czy Poppy nie otrzymała bukietu, kiedy odchodziła z ostatniej pracy...? W głowie Lydii błąkało się mgliste, pijackie wspomnienie tego, jak próbowały wdychać pyłek, jednak bezskutecznie. Jak już mówiła: niepotrzebne cholerstwa.

Odwróciła się na pięcie i wróciła do Andrzeja.

– Od kogo są?

– Od mężczyzny w vanie.

– Tak, ale kto je przysłał?

Wzruszył ramionami.

– Otwórz kopertę. Przy każdym zbiorze jest koperta.

– Nie zbiorze, tylko bukiecie.

Ostrożnie podeszła do bukietu w zlewie. Andrzej mówił prawdę, w sam środek wetknięto drucik z małą, białą kopertą. Gdy po nią sięgnęła, coś ją ukłuło.

– Ała! Chryste!

Co to było? Czy te pierzaste liście to... pokrzywy? Rzeczywiście, pokrzywy! Prawdę mówiąc to wszystkie rośliny – bo tak naprawdę nie można ich nazwać kwiatami, głównie oset i głóg – były kłujące i

agresywne i wyglądały na niebezpieczne. Związano je małą kokardą, bardzo ładną, tyle ze wykonaną z drutu kolczastego. Lydia rozerwała kopertę, a na białym, kryjącym się w niej bileciku napisano:

Zobaczyłem je i pomyślałem o Tobie.

To było takie nieoczekiwane, że aż się roześmiała. Ale bilecik nie był podpisany, sięgnęła więc do środka drugiego bukietu, tego, który leżał na suszarce. Mnóstwo dużych, zamkniętych pąków w kolorze cielistym, wyglądających złowieszczo, jakby mogły się nagle otworzyć i chwycić cię zębiskami. Co za paskudy. Szybko wyciągnęła kopertę, nim zdążyły ożyć i odgryźć jej dłoń.

... i te...

Na litość boską!

Podeszła do jednego z bukietów na krześle. Spiczaste i pomarańczowe dziwadła, podłużne i ostre, jeżyły się złowrogo.

... ite...

Ostatni bukiet był inny. W końcu normalne kwiaty: okrągłe, uśmiechające się pąki w jaskrawych kolorach – żółtym, czerwonym i różowym – jak na dziecięcym rysunku.

... i te. Conall Hathaway. Zadzwoń do mnie.

Kto? Aha! Pan Wellington Road. Ten starszy, nadziany facet. Podczas tamtego kursu tak była zmęczona, że tylko częściowo go pamiętała. Ale pamiętała, że chciał się z nią umówić.

– Umówić? – Zatkało ją.

– Tak. Na randkę.

Potem zapytał ją, czy lubi sklepy papiernicze. Albo apteki. Był naprawdę dziwny. Chyba ani razu nie była w sklepie papierniczym.

– Nie, dzięki – odparła.

– Dlaczego?

Dlaczego? Odwróciła się i spiorunowała go wzrokiem.

– Nie jesteś w moim typie. – Po czym dodała: – Delikatnie mówiąc.

– Jestem popieprzony – rzucił kuszącym tonem.

Ze zdumieniem zapytała:

– A od kiedy to coś dobrego?

– Słyszałem, że to właśnie lubią dziewczyny. A przynajmniej te młode.

– Wiesz co, po prostu mi zapłać i wysiadaj.

– Trudno mnie zdobyć.

– Wcale nie! Podajesz się na tacy! Łatwiejszy być nie możesz.

– Tylko teraz, tak na dobry początek. Za miesiąc będzie zupełnie inaczej. Ile jestem ci winien?

– Osiem euro czterdzieści. Opuszczę do ośmiu, jeśli w końcu wysiądziesz.

Podał jej dziesięć euro.

– Reszta...

– ... dla mnie? Nie, dziękuję. Masz tu swoje dwa euro. I wysiadaj. Muszę jechać do mamy. – Zerknęła na zegarek.

– Ale najpierw potrzebuję kilku godzin snu.

– Jedna z moich dziewczyn, ta przed Katie, parkowała przed moim domem przez sześćdziesiąt siedem godzin, kiedy z nią zerwałem.

– Nigdy nie umówiłabym się z kimś takim jak ty. Jesteś za stary. Jesteś za... Śmiertelnie mnie nudzisz... Słuchaj! Smutno ci z powodu seksownej guwernantki, ale nie martw się, przyjmie cię z powrotem; ten typ tak ma.

– Jestem Conall Hathaway. Podobasz mi się. Wkrótce się odezwę.

– Odpieprz się, ty świrze. Pewnie będziesz chciał paragon? Ten typ tak ma.

– Kto przysłał kwiaty? – zapytał Andrzej.

– Taki jeden szaleniec.

Uśmiechnął się znacząco.

– No co? – zapytała ostro.

– Przecież nic nie powiedziałem.

– Owszem, ale pomyślałeś, że facet musi naprawdę być szalony, skoro przysłał mi kwiaty.

– Nic nie powiedziałem – powtórzył z niewinną miną. Spiorunowała go wzrokiem, ale odpuściła.

Dzień 36…

Fionn w progu, przed uchylonymi niebieskimi drzwiami. Udawał, że obserwuje gwiazdy, a tymczasem próbował dostrzec Maeve przez szparę w zasłonach w jej salonie. Niestety, widział jedynie siedzącego na podłodze Matta, metodycznie pałaszującego coś – Fionn nie miał pewności, za daleko stał – co wyglądało jak naleśniki z czarną porzeczką. Może nie czarną porzeczką, to mogły być jeżyny albo nawet jagody, ale z całą pewnością ruloniki z fioletowym nadzieniem.

– Co tu robisz, synu? – Para policjantów przerwała mu wypatrywanie.

– Stoję przed własnym domem i patrzę na gwiazdy.

– Gwiazdy są tam. – Większy z policjantów pokazał na niebo i dopiero gdy Fionn uniósł głowę do góry, oddalili się.

Fionn wpatrywał się w szafirowe niebo, czekając, aż chłopaki znikną,

żałując każdej sekundy, podczas której nie mógł mieć Maeve na oku. Zresztą gwiazd to nawet dobrze nie było widać, nie w tym mieście, gdzie wszędzie świeciło sztuczne światło, przyćmiewając cuda natury. „Siłowanie się na rękę z naturą”. Lubił ten zwrot. Ciekawe, czy Grainne pozwoliłaby mu go użyć. Może i tak, nigdy nie wiadomo. No ale może i nie, a z Grainne trudno dojść do ładu... Coś kazało mu odwrócić głowę i w mglistym świetle zmierzchu ujrzał idącą w jego stronę kobietę. Z głową pełną komet i gwiazd, kolorów i spirali – Fionn znowu się zakochał.

Jak osoba, która odkryła nową umiejętność, na przykład smażenie naleśników czy jazdę na rowerze, Fionn aż się palił, by ją wypróbowywać. Choć oszałamiała go miłość do tej nowej kobiety, tej wyglądającej jak spod igły ślicznej istoty, był na tyle miły, aby pomyśleć o Maeve i wiedział, że zawsze będzie wspominać ją z czułością, swoją pierwszą miłość. Ale nagle Maeve wydała mu się surowa i zaniedbana – „O co chodziło z tymi workowatymi sztruksami? ” – i reprezentowała typ kobiety, w której zakochałby się ktoś młodszy i niedoświadczony. To nowe uczucie było inne, nieskończenie bardziej wyrafinowane, ponieważ Fionn był teraz bardziej dojrzały, bardziej męski.

Utkwił spojrzenie w powiewającej spódnicy tej kobiety, jej wąskiej talii, przecinającym powietrze kucyku. Wszystko w niej pasowało do siebie: buty, pasek, torebka. Haftowana bluzka. Skromna dziewczyna, jakby żywcem wyjęta z dawnych czasów, być może początku lat osiemdziesiątych. Miał stuprocentową pewność, że potrafi przyszyć guzik przy koszuli. Wyobraził sobie, jak przeciąga wzdłuż dolnej wargi nitkę, a potem wprawnie przegryzają białymi ząbkami.

Fionn uczynił krok naprzód, aby nie pozwolić zjawisku iść dalej Star Street. Nie był w stanie się powstrzymać.

– Dzień dobry – zagaił.

Zatrzymała się. Zatrzymała się!

– Dzień dobry.

Był na tyle blisko, że dostrzegł delikatny złoty krzyżyk, zawieszony na łańcuszku na szczupłej, białej szyi.

– Stoję tu i spoglądam na gwiazdy – oświadczył.

– Każdy musi mieć jakieś hobby.

– Widzisz tamtą? – Pokazał na punkcik intensywnego światła. – To planeta Wenus. Tak naprawdę wcale nie jest gwiazdą.

– Kto by pomyślał? Wygląda jak gwiazda. Tylko jaśniejsza.

– Najjaśniejsza gwiazda na niebie. Nazywają ją planetą miłości. – Posuwał się za daleko? – Jestem Fionn Purdue.

– Miło pana poznać, panie Purdue.

Cóż za skromność, cóż za słodycz!

– Fionn, Fionn, Fionn. A jak ty się zwiesz?

– Rosemary Draper.

– Rosemary – mruknął Fionn. Boże, cóż Za śliczne imię. *Rose,* Rose, Rose. Mary. Mary. Mary.

– Przyjaciele nazywają mnie Rosie.

– A ja mogę...?

– A jesteś moim przyjacielem?

Och, trochę flirtu! I kto to robi? Damulka z miną niewiniątka.

– Chciałbym nim zostać.

– Och, przestań, ty bezwstydniku! – Ale się uśmiechnęła. Był to uśmiech sztywny i jakoś tak brakowało w nim ciepła, niemniej jednak uśmiech.

Fionn już tyle wiedział na jej temat. Ich dom zawsze będzie schludny i

ładny, znacznie bardziej czarujący niż identyczne domy sąsiadów; będzie doskonale gospodarować pieniędzmi; będzie świetną kucharką, dokonującą cudów z kawałków taniego mięsa; będą jedynymi mieszkańcami ulicy, którzy jeżdżą na zagraniczne wakacje; zachowa szczupłą figurę nawet po urodzeniu niezliczonej ilości dzieci i zawsze będzie się ubierać we własnoręcznie szyte spódnice i bluzki. Fionn nie wiedział dokładnie, dlaczego ich wspólne życie będzie wyglądać jak żywcem wyjęte z lat pięćdziesiątych, no ale tak już było.

– W jaki sposób zarabiasz na życie, Rosemary? – Planował oświadczyć jej zaraz, że on wkrótce zostanie gwiazdą małego ekranu.

– Jestem pielęgniarką.

Pielęgniarka! Wydawała się zbyt, no, sztywna, jak na pielęgniarkę. Pielęgniarki, które znał Fionn, były prostolinijne i hałaśliwe, za dnia z oddaniem opiekowały się chorymi i umierającymi, a wieczorami wypijały duże ilości alkoholu i tańczyły do upadłego w Copperface Jacks w towarzystwie Policjantów i strażaków.

– A teraz, jeśli pozwolisz...

Rosemary – ośmieli się nazwać ją Rosie? – uczyniła taki ruch, jakby chciała ominąć Fionna. Chyba się kierowała w stronę uchylonych drzwi.

– Wchodzisz! Ty też tu mieszkasz? Ja na pierwszym piętrze! – Jakim cudem ten dom pełen jest pięknych kobiet? Syren! Kusicielek! Wtedy dotarło do niego, że może jedynym powodem, dla którego się zatrzymała, był fakt, że próbowała wejść do domu, i jego wielka radość nieco zmalała.

– Przyszłam do mojego chłopaka. Andrzeja Pawelskiego.

– Masz chłopaka? – A to cios.

– Mam chłopaka.

No oczywiście, że ma. Nieważne. Już on się postara, aby ten chłopak

zniknął z horyzontu.

– W którym szpitalu pracujesz? – zawołał, gdy zaczęła już wchodzić po schodach.

Jej nogi od kolan w dół – tyle tylko widział przez drzwi – zawahały się. Następnie w jego kierunku popłynęły magiczne słowa:

– St Vincent's.

A potem nogi ruszyły dalej po schodach.

Dzień 36…

– Nie mam nic do jedzenia, a umieram z głodu – oświadczyła Lydia. – Mogę zjeść trochę tego twojego śmiesznego polskiego chleba?

– Nie ma sprawy, ale jest stary.

– Czerstwy. Mówi się czerstwy. Mogę zjeść trochę twojego śmiesznego polskiego sera?

– Jasne.

Złożyła gruby plaster białego sera i dwie kromki czerstwego chleba, po czym siadła na sofie. To niesamowite, co ci smakuje, gdy jesteś głodny. Leciał jakiś program, coś o egzorcyzmach i uwalnianiu domów od duchów. Zbyt była zmęczona, aby prosić o przełączenie na coś porządnego.

Zerknęła kątem oka, aby się przekonać, czy Andrzej nie zamierza może iść do siebie. I chyba wyczuł jej wzrok, gdyż odwrócił się i spojrzał na nią i przeskoczyła między nimi iskra solidnej, wzajemnej niechęci. Jawnej antypatii. Wtedy jedno z nich – po wszystkim Lydia doszła do wniosku, że Andrzej – wykonało mały ruch i wszystko się zamazało. Przechylili się, ciało w stronę ciała, a potem jakoś rzucili się na siebie, całując się,

przyciągając i rozbierając, uwięzieni w gorączce pożądania.

I było tak, jak za pierwszym razem, tyle że teraz Lydia doświadczyła przyjemności związanej z oczekiwaniem. Wiedziała, jak będzie fantastycznie. Wiedziała, jaka będzie jego skóra – gorąca i zimna, gładka i szorstka – dotykająca jej skóry. Wiedziała, jak będzie dociskał jej biodra do łóżka, napinając bicepsy. Wiedziała, że wygnie się w łuk, wychodząc mu naprzeciw. Wiedziała, jak on będzie się w niej poruszał, w przód i w tył, gładko i szybko jak tłok. Wiedziała, że oplecie go nogami w pasie i przeżyje orgazm za orgazmem.

Objawieniem było odkrycie takich pokładów rozkoszy, dostępnych dla niej we własnym mieszkaniu. We własnym ciele. Skóra jego pleców pod jej dłońmi, opór mięśni, kiedy wciskała pięty w jego pośladki. Gdyby miała tak spędzić resztę życia, uwięziona w tej jednej chwili, z ustami Andrzeja na jej ustach, jego ciałem poruszającym się w jej ciele, przystałaby na to z ochotą.

Z Gilbertem było inaczej, powoli. Gdyby to określenie nie wywoływało w niej mdłości, powiedziałaby, że się kochali. Ale z Andrzejem nie było mowy o finezji; było dziko i intensywnie, jak na kolejce górskiej.

Harmonijne wibracje serca? Wszystko jest ogarnięte tak szaleńczym pragnieniem, wszystko bije w tak gorączkowej, ogłuszająco głośnej kakofonii, że nie da się tego określić.

Generalnie Andrzej i Lydia nie wyglądają na dobraną parę, ale nie można mieć uprzedzeń, no nie!

Dzień 36…

Rosie cicho zapukała do drzwi mieszkania numer trzy, po czym zrobiła krok w tył, wygładziła spódnicę i przywdziała słodki uśmiech.

Ale mijała chwila za chwilą, a drzwi pozostawały zamknięte. Zaskoczyło ją to. Właściwie to zirytowało. Konieczność zapukania po raz drugi świadczyła o... cóż, o braku szacunku. Gdy zapukała raz jeszcze, minę miała lodowatą, taką, z którą Andrzejowi niełatwo będzie sobie poradzić.

I mimo to – dziwna sprawa – nikt się nie pojawił. W ogóle się tego nie spodziewała. Uzgodniła z Andrzejem, że przyjdzie o wpół do dziewiątej i proszę bardzo, oto była, za dziesięć dziewiąta.

Powinna zapukać raz jeszcze? Po raz trzeci? Poważnie?

Zastanawiała się, czy po prostu nie zbiec po schodach. Miała na sobie dobrą spódnicę do tego celu. Ale takie zbiegnięcie nie miało sensu, jeśli nie widział tego żaden mężczyzna.

Zapukała raz jeszcze, tym razem dość gniewnie, aż zabolały ją knykcie – i mijały sekundy, a drzwi pozostawały zamknięte. Coś takiego było zupełnie nie do przyjęcia. Rosie Draper nie należała do dziewcząt, które czekają pod zamkniętymi drzwiami.

To nie był celowy afront; Andrzej miał na jej punkcie bzika. Coś się musiało wydarzyć w pracy albo z vanem, albo z tym kretynem Janem, co pokrzyżowało mu plany. Niemniej jednak skoro Andrzej nie potrafił zorganizować sobie życia tak, aby wypełniać zobowiązania względem niej, będzie musiał ponieść karę.

Już ją planowała. Mogła się rozpłakać. To go dobijało. Albo mogła zachować się jak królowa lodu. Powiedz mi, proszę – tak by rzekła lodowatym tonem – dlaczego nie otrzymałam esemesa z informacją o

zmianie planów.

Bez względu na to, co zrobi, da mu jasno do zrozumienia, że ta zniewaga o wiele tygodni odwlecze ten dzień, kiedy – a właściwie: jeśli – pójdzie z nim do łóżka. Jego pragnienie już graniczyło z rozpaczą, a dalsze przykręcenie śrubki byłoby zabawne...

Rety, ciągle stała pod tymi drzwiami i nadal nikt nie otwierał. Chyba rzeczywiście nie było go w domu. Mogła do niego zadzwonić. Ale nie zrobi tego. Ona, Rosemary Draper, dzwoniąca, próbująca namierzyć mężczyznę? Nie ma mowy!

Usłyszała, jak piętro niżej Fionn wchodzi do swego mieszkania i woła:

– Wróciłem! – Potem rozległo się głośne szczekanie.

– Spadaj, ty szalony psie!

Fionnowi najwyraźniej znudziło się obserwowanie gwiazd. Niezłe ciacho, jeden z najprzystojniejszych mężczyzn, jakich poznała. Jednak dość pewny siebie.

Ale poprosił ją o numer telefonu, a Andrzej mocno sobie nagrabił. Rosie była zdecydowaną zwolenniczką planów B i lubiła być przygotowana na różne ewentualności.

Sięgnęła do torebki i wyjęła ładny notesik. Miał jasno – żółte kartki z jaskrami. Żółtym długopisem napisała:

Drogi Andrzeju,

Przyszłam tak, jak się umówiliśmy, ale Ciebie nie ma w domu. Nie potrafię zrozumieć, co takiego zrobiłam, aby zasłużyć na tak wielkie upokorzenie.

Zastanawiała się, czy nie dodać: „Zawsze starałam się być dla Ciebie dobra”, ale podejrzewała, że może tym przedobrzyć. Mniej znaczy więcej. Czasami.

Wyrwała kartkę i wsunęła ją przez szparę w drzwiach, po czym zbiegła po schodach i jeszcze raz sięgnęła po notesik. Wyraźnie napisała swoje imię i numer do pracy, ostrożnie wyrwała kartkę, złożyła ją równo i wsunęła pod drzwi Fionna.

Dzień 36…

Leżeli przytuleni, głowa Lydii spoczywała na szerokim torsie Andrzeja, a jego palce wplątane były w jej loki.

– Ja tego nie rozumiem – powiedział w zamyśleniu Andrzej. – Bardzo cię nie lubię.

– Mhm, a ja ciebie nie znoszę.

– Jesteś bardzo źle wychowana.

– A tobie brak poczucia humoru.

– Możesz mi więc wyjaśnić, dlaczego do tego doszło?

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Na pewno?

Westchnęła.

– Najpewniej dlatego, że twoja dziewczyna to zawodowa dziewica, a to mieszkanie jest za małe.

Czar pryskał.

Wygramoliła się z łóżka, zabrała swoje ubrania z czterech kątów pokoju i zatrzymała się przy drzwiach. Nie zakryła się niczym. Niech sobie patrzy. Trzeba przyznać, że on także się nie zasłaniał. Leżał na łóżku z ręką pod głową, eksponując twarde umięśnione ciało.

– Nigdy więcej – oświadczyła Lydia. – Słyszysz? Jeśli to się

powtórzy, ja się wyprowadzam. Będziecie musieli znaleźć nowego lokatora, a pomyśl, jak ciężko wam szło ostatnim razem. Będziecie musieli zamieścić ogłoszenie w „Midget Times”.

Wzruszył ramionami.

– Nigdy więcej jak najbardziej mi odpowiada.

Dzień 34

Katie wsunęła głowę do salonu.

– Cześć, tato.

Ożywiony jej widokiem, Robert Richmond zrzucił gazetę z kolan na dywan.

– Co słychać u panny Havisham?

– To znaczy... u mnie?

– Ach, Katie, Katie, co ty sobie wyobrażałaś? Pojawia się w środku nocy, niewątpliwie wstawiony, klęka na jedno kolano, a ty myślisz, że mówi poważnie?

Katie w duchu przeklęła samą siebie za to, że opowiedziała wszystkim o nocnej wizycie Conalla. Zwłaszcza cholernej Naomi! A jej siostra, choć utrzymywała, że nie znosi matki, wszystko jej wyśpiewała. W domu Richmondów nigdy nie było miejsca na prywatność, miejsca, gdzie można w spokoju lizać rany.

– Nie uważałam, że mówi poważnie. – Bardzo się starała, aby nie zadrżał jej głos. – Nie zgodziłam się.

– Podobno ma już na oku jakąś młódkę – ciągnął Robert, niemal radośnie. – Naomi mówiła, że wysłał jej kwiaty. A ty jesteś cała

rozstrojona.

W chory, dziwny sposób to okrucieństwo taty stanowiło formę troski. Robert i Penny Richmond mocno pracowali nad tym, aby wpoić swym dzieciom silny system wartości: wygórowane ambicje zawsze kończą się łzami; nieposkromiona pycha zawsze zostanie ukarana. Kluczem do szczęścia są niewygórowane oczekiwania.

Z kuchni przyszła Penny, kapłanka domowego ogniska w fartuszku z rodziną Simpsonów. Słyszała, o czym rozmawiali.

– W ogóle nie powinnaś się była z nim zadawać.

– A to czemu?!

Matka Katie zrobiła krok w tył. Na jej twarzy malował się szok.

– Podnosisz na mnie głos?

Robert, nigdy nie przegapiając okazji do tego, aby się obrazić, zaczął wstawać z fotela.

– Podnosisz głos na matkę? W jej własnym domu? Podczas gdy ci gotuje niedzielny obiad?

Przez długą, pełną napięcia chwilę nikt się nie odzywał. Katie usłyszała, jak Naomi w kuchni pyta:

– Co tam się dzieje?

Dziewięcioletnia Nita odparła:

– Chyba ciocia Katie podniosła głos na babcię.

A głos Ralpha rzekł:

– Chryste, Naomi, co za rodzina. Gdzie wino?

Penny piorunowała wzrokiem Katie, a usta drżały jej z urazy. Jej szyja wydawała się nienormalnie długa, a że brodę dociskała do piersi, wyglądała jak niezadowolona gęś.

– Dlaczego nie powinnam się była z nim zadawać?

– Głos Katie drżał. Następnie sama sobie odpowiedziała:

– Ponieważ nie byłam wystarczająco dobra.

– Nie wiem, co w ciebie wstąpiło. – Penny patrzyła gniewnie na Katie.

– Nie przejmuj się nią, kochana – wtrącił Robert.

– Wracaj do robienia obiadu.

O szyby bębnił deszcz, a poza tym jedynym słyszanym podczas obiadu dźwiękiem było uderzanie sztućców o talerze. Penny Richmond przez ponad godzinę miała minę męczennicy i nawet dzieci Naomi, Nitę i Percy'ego, ta toksyczna atmosfera uciszyła. Jedyna butelka wina błyskawicznie zniknęła, a kiedy do Katie dotarło, że nie ma więcej, po jej policzkach zaczęły bezgłośnie spływać łzy.

– Czemu płaczesz, ciociu Katie? – zapytała Nita.

– Bo nie ma już wina.

Nita poklepała ją po kolanie.

Kiedy ten pełen udręki posiłek dobiegł końca, Naomi wyciągnęła ją do ogrodu.

– Kazałam ci nic jej nie mówić – zaczęła z wyrzutem Katie.

Naomi zrobiła przepraszającą minę, ale obie wiedziały, że kiedy Penny Richmond coś wyniucha, nikt nie wytrzyma jej krzyżowego ognia pytań.

– Tę sprawę z dziewczyną z twojego domu mogłabyś załatwić jednym telefonem – powiedziała Naomi.

– A czemu miałabym to robić?

Co by jej to dało? W najgłębszej głębi duszy Katie wiedziała, że nie powinna była traktować oświadczyn Conalla na poważnie. Próbowała wmówić sobie, że w nie uwierzyła. Tak zmanipulowała przyjaciółki, że żywiły przekonanie, iż oświadczyny były na serio, ale ona zawsze znała

prawdę. Niemniej jednak...

– ... Czemu musiał poderwać kogoś w moim domu?

Naomi wciągnęła powietrze przez zęby i zmrużyła oczy.

– Bo to drań. – Machnęła do Katie palącym się papierosem.

– O niczym nie ma pojęcia. Ale to wszystko zrobiło się takie ciężkie. Na początku to było proste chirurgiczne cięcie, a teraz w ranę wdało się zakażenie.

– Ty rzeczywiście uwielbiasz analogię medyczną. No więc potrzebny ci środek uśmierzający ból. – Naomi podawała jej papierosa. – Przytrzymaj, dobrze? Zapalę drugiego dla ciebie.

– Jak na bystrego faceta potrafi być naprawdę głupi... Przestań mnie tym szturchać. Nie palę.

– Dzisiaj tak.

Katie wzięła od niej papierosa.

– Tylko żeby nas nie zobaczyła – dodała Naomi.

– Masz czterdzieści dwa lata. – Katie się zaciągnęła. Kiepski pomysł. I tak było jej niedobrze, a teraz miała pewność, że zwymiotuje. – Ile musisz mieć lat, aby mama pozwoliła ci palić?

W milczeniu przysiadły na mokrych krzesłach ogrodowych i słuchały skapujących z gałęzi kropli deszczu.

– Cholerny niedzielny obiad – rzuciła Naomi markotnie.

– Tortury.

– Jak Charliemu udaje się od niego wywinąć?

Katie zawahała się, bojąc się, że związany z Charlie’em sekret wydostanie się po prostu z jej ust, po czym kontynuowała:

– Ma większą wolę przetrwania niż my. Wie, że u mamy będzie się czuł gówniano, więc w ogóle nie zawraca sobie głowy.

– Taa.

– Nienawidzę jej – oświadczyła nagle Katie. – Nienawidzę ich obojga. Czemu nie mogliśmy mieć rodziców, którzy nam mówili, jacy jesteśmy wspaniali?

– Cóż, sama ich wybrałaś.

– Słucham?

– Czytam taką książkę. Właściwie to twoją. Louise L. Hay. Wzięłam ją z twojej półki tamtego wieczoru, kiedy miałaś urodziny. Jest tam napisane, że sami wybieramy wszystko, co otrzymujemy od życia. Nawet rodziców.

– Wybieramy sobie rodziców?! Zanim przyjdziemy na świat?

– A nawet zanim zostaniemy poczęci.

– Ale jak mielibyśmy to robić? To po prostu... bzdety.

– Wiem. Te wszystkie książki to bzdety. Tak tylko ci mówię.

Dzień 33

Zadzwonił telefon Maeve.

– Rezerwacje hoteli Emeralds, Maeve Geary, w czym mogę dzisiaj pomóc? – Musiała to mówić za każdym razem, gdy podnosiła słuchawkę. Czasami jej rozmowy monitorowano i Maeve mogłaby mieć nieprzyjemności, gdyby skracała swój wstęp.

– Maeve, tu Jenna.

– Och. Jenna. Cześć – Czemu narzeczona brata Matta miałaby do niej dzwonić? Lubiła Jennę, ale nie były ze sobą blisko. Do Maeve dotarło, że musi to mieć związek z wieczorem panieńskim. Kurde mol!

– Przepraszam, że dzwonię do pracy.

– Nie szkodzi – odparła ostrożnie Maeve.

– Chciałam z tobą porozmawiać o czymś trochę... delikatnym.

– Okej.

– Nie!

– Wasz miesiąc miodowy...

– Nasz miesiąc miodowy?

– Dobrze mi się wydaje, że zapłacili za niego Hilary i Walter?

– Tak, to był ich prezent ślubny.

– Cóż, tak samo jest w naszym przypadku, moim i Ale – xa. Też oni płacą.

– Dokąd...?

– Na Antiguę. –

– No tak, wiedziałam.

– Chodzi o to, Maeve, że nalegają, aby opłacić lot w Masie biznes, a Alex i ja, cóż, nie wiemy, czy powinniśmy się zgodzić. To się wydaje trochę... no wiesz, szczodre. Ale jeśli ty i Matt także lecieliście klasą biznes, wtedy możemy przyjąć ich prezent.

Maeve zaśmiała się cicho.

– Przykro mi, Jenno, ja i Matt lecieliśmy klasą ekonomiczną. Ale na litość boską, wy lećcie sobie wygodniej. Czemu nie? Skoro wam to proponują.

– Tak, ale... – Jenna strasznie się zadręczała, pragnąc zrobić to, co należy.

– Matt i ja nie będziemy mieć nic przeciwko, jeśli tym się właśnie martwisz.

– Rozumiem, cóż, porozmawiam z Alexem i się zastanowimy, i dzięki.

– Nie ma sprawy. No to na razie.

Maeve odłożyła słuchawkę i przez chwilę czuła się oblana połyskującym, kryształowym światłem. Dość dawno nie wracała myślami do miesiąca miodowego, najcudowniejszych dwóch tygodni w jej życiu. Sybaryckie czternaście dni i nocy w malezyjskim kurorcie, *all inclusive,* z klimatyzacją, kostkami lodu z wody Évian, usłużnym personelem i prywatną, krytą strzechą chatą z ciemnego drewna. Tak bardzo inne od wakacji Maeve z czasów sprzed Matta, kiedy zbaczała z utartych szlaków, jeździła na stopa, jadła z ulicznych straganów i cierpiała na biegunkę, zmorę prawdziwego podróżnika.

Kiedy zjawili się w tym kurorcie – całym chyba z rzeźbionego drewna tekowego – poczuła się trochę jak zdrajca, ale poczucie winy zniknęło w chwili, gdy uśmiechnięty mężczyzna w haftowanej koszuli podał jej rozkosznie zimny, pachnący trawą cytrynową ręcznik, aby otarła zmęczoną po podróży twarz. Z nieoczekiwaną łatwością zaakceptowała życie w luksusie.

Zewsząd otaczało ją piękno: triumfująco żółte poranne słońce, intensywnie ubarwione egzotyczne kwiaty, błękitna woda, połyskujące srebro piasku. Ona i Matt całymi dniami wylegiwali się na nieprzyzwoicie wygodnych leżakach, poddawali się masażom, dzwonili po hotelową obsługę, spali, pływali i – przede wszystkim – uprawiali seks. Każdego popołudnia, gdy Maeve kołysała się delikatnie w hamaku, wiszącym w cieniu ich własnych drzew, jedząc plastry mango i nucąc radośnie pod nosem, Matt czytał na głos nową powieść o Jamesie Bondzie, co normalnie nie wzbudziłoby jej zainteresowania, ale ponieważ udawał różne akcenty, głosy i muzykę – była zafascynowana.

Każdego wieczoru po kolacji wracali do swej uroczej chatki, w której

jakaś niewidzialna, przesympatyczna osoba zdążyła pozapalać mnóstwo świeczek, a na olbrzymim łóżku płatki róż porozkładała w kształcie serca.

Było cudownie.

Dzień 33…

– Chcesz powiedzieć, że cały czas tam byłeś? – zapytała Rosie. – W swoim mieszkaniu? Gdy ja stałam na korytarzu i pukałam chyba przez godzinę?

– Ale nie użyłaś dzwonka. Dzwonek jest głośny. Pukanie twoimi małymi rączkami nie jest głośne. Nie słyszałem.

Andrzej był zrozpaczony. Zupełnie zapomniał o swojej kochanej Rosie; wszelkie myśli w jego głowie zostały wyparte przez siłę o imieniu Lydia.

Kiedy w korytarzu znalazł tę pachnącą żółtą karteczkę...! Wstyd ciął go niczym noże, docierając do samych kości.

Dopiero po kilku dniach Rosie odezwała się do niego, a nawet wtedy był to cichy szept.

– Widać, że nic dla ciebie nie znaczę, Andrzeju. Szkoda tylko, że mi o tym nie powiedziałeś. Ale chcę, żebyś był szczęśliwy. Mam nadzieję, że poznasz naprawdę miłą dziewczynę, której będzie zależało na tobie tak bardzo, jak mnie.

Musiał przystąpić do pełnej ofensywy przeprosinowej, na którą składała się niezliczona ilość esemesów i telefonów. W Polsce spotykał się z dwiema lub trzema dziewczynami pokroju Rosie i znał cenę, jaką trzeba zapłacić za tego rodzaju przewinienie. Naturalnie kwiaty. Ale wyłącznie róże i wyłącznie czerwone, i wyłącznie w liczbie dwunastu. Ani więcej, ani

mniej. Tuzin czerwonych róż – jakiekolwiek odstępstwo od tej reguły mogło jeszcze bardziej pogorszyć i tak niewesołą sytuację. Następnie coś z biżuterii. Ale to nie była pora na pierścionek zaręczynowy, ponieważ dziewczyna rozpłakałaby się i oświadczyła: „Kiedy tylko pomyślę o naszych zaręczynach, oczami wyobraźni ujrzę, jak stoję przed tamtymi drzwiami jak jakaś... jak jakaś... ” Słowa staną się niezrozumiałe, po czym zupełnie się rozmyją w morzu łez.

Wisiorek do jej bransoletki, małe złoto – rubinowe serduszko, ono będzie idealne. No i jeszcze obietnica weekendowego wyjazdu, gdzie nikt nie będzie musiał czekać pod żadnymi drzwiami.

Andrzej wiedział, że Rosie próbuje wycisnąć dla siebie z tej sytuacji, ile się da, ale reguły to reguły i musiał się ich trzymać.

Ale Jezu Chryste i wszyscy aniołowie! Gdyby tylko Rosie wiedziała, co wyczyniał, gdy ona stała zaledwie kilka metrów dalej. Ciągle nachodziły go chwile, kiedy kręciło mu się w głowie, a na czole pojawiały się krople potu, gdy przypominał sobie akt – akty! – zdrady. Jechał vanem albo rozkręcał komputer i nagle ogarniało go takie przerażenie, że pragnął upaść na kolana i modlić się o wybaczenie.

Zależało mu na Rosie. Możliwe, że nawet ją kochał. Cóż więc wyprawiał z Lydią?

Dzień 32 (bardzo wcześnie rano)

Wszystkie wyglądały tak samo, te wysokie, wytworne domy w stylu georgiańskim. Lydia zatrzymała się przed numerem jedenaście i sięgnęła po komórkę. Nie wyszła z samochodu i nie zadzwoniła do drzwi, gdyż mżyło, a musiała przecież mieć na uwadze swoje włosy.

– Taksówka dla Eilish Hessard. Czekam na dole.

W ciągu tych kilku lat pracy w zawodzie przekonała się, że nie ma żadnej reguły w kwestii tego, gdzie ją rzuci kolejne zlecenie. Czasami trafiała na jakąś ulicę pierwszy raz w życiu, i od razu z pięć razy w ciągu jednego tygodnia...

... tak więc klient na Wellington Road mógł być pozbawionym znaczenia zbiegiem okoliczności.

Ale sama w to nie wierzyła. Nie po tych cholernych kwiatach. Nie zaskoczyło jej więc bardzo, gdy drzwi od strony pasażera otworzyły się i obok niej siadł ten nadziany, starszy facet.

– Dzień dobry, Lydio!

– Wysiadaj – warknęła. – To taksówka Eilish Hessard.

– To moja asystentka. Taki mały podstęp. Ja cię zarezerwowałem. Dostałaś kwiaty?

– Jak udało ci się mnie namierzyć?

– Sądziłem, że chociaż zadzwonisz i podziękujesz za kwiaty.

– Nie prosiłam się o nie. Powinno istnieć prawo zakazujące wysyłania rzeczy ludziom, którzy ich nie chcą. No to jak mnie znalazłeś?

– Bez problemu. Na szczęście nie ma wielu dziewczyn, które jeżdżą na taksówkach. Eilish obdzwoniła wszystkie korporacje.

– Kazałeś dzwonić asystentce?

– Bo to kobieta. Uznałem, że raczej nie będą chcieli podać twoich danych mężczyźnie.

Wcale nie byli tacy porządni, pomyślała Lydia.

– Eilish powiedziała, że wiozłaś ją i że cię polubiła. Człowiek, z którym rozmawiała, jakoś nie mógł w to uwierzyć, ale... żartuję, Lydio.

– Pokładam się ze śmiechu. No więc gdzie chcesz jechać?

– Nigdzie. Tak sobie pomyślałem, że posiedzimy i porozmawiamy. A może wejdziesz na śniadanie?

– Ty to masz tupet! Muszę zarabiać na życie. Nie jestem twoją... zabawką.

– Zapłacę ci.

– Nie chcę, żebyś mi płacił. – Wzdrygnęła się. – To wszystko przyprawia mnie o gęsią skórkę. Budzisz we mnie odrazę. Wysiadaj.

Wpatrywał się w nią zdumiony i przerażony.

– Źle to wszystko rozegrałem – mruknął. – Jak mogę to naprawić?

– Wysiadając z mojego samochodu i nie kontaktując się więcej ze mną. Wtedy nie wniosę oskarżenia.

– Daj mi szansę.

– Proszę, wysiądź z mojego samochodu.

– Kiedy masz dzień wolny od pracy? Co byś chciała robić? Powiedz, na co miałabyś ochotę. Cokolwiek, a ja to spełnię.

– Taa, super, no to tak: chcę, żebyś mnie zawiózł do Boyne w hrabstwie Meath, pomógł posprzątać naprawdę usyfioną kuchnię, zabawić moją nie do końca normalną mamę, pojechał ze mną do domu starców i postraszył jednego z moich braci. Nieważne którego. Mam trzech, do wyboru, do koloru.

– Nie wolałabyś czegoś bardziej... no wiesz? Moglibyśmy jechać do Powerscourt i zjeść lunch w...

– Zero negocjacji. To mój wolny dzień; to właśnie będę robić.

– Kiedy?

– Jutro.

– Jutro? Jutro muszę jechać do pracy.

– Więc jedź. Guzik mnie to obchodzi.

Lydia z przygnębieniem wchodziła po schodach. Dzięki temu szaleńcowi, Conallowi Hathawayowi, jej nocny zarobek zmniejszył się o co najmniej trzydzieści euro. Nie mogła wziąć od niego pieniędzy, czułaby się skalana. Kiedy w końcu udało jej się wyrzucić go z samochodu, jakoś nie miała w sobie energii, aby robić następny kurs. Była siódma trzydzieści i chciała jechać do domu. Postanowiła, że weźmie prysznic, zmyje z siebie nocną pracę, a potem położy się spać. A kiedy się obudzi, pójdzie do sklepu i kupi porządne jedzenie, świeże, z witaminami i enzymami; koniec z odżywianiem się chipsami i czekoladą. Może wtedy nie będzie przez cały czas taka wykończona...

Weszła do mieszkania i gdy zamknęła za sobą drzwi, usłyszała jakiś dźwięk. Był to odgłos otwierających się drzwi do pokoju Andrzeja i Jana. Pojawił się Andrzej, w spodniach od dresu i niczym więcej, jakby na nią czekał. Niewiele myśląc, zbliżyła się do niego, a on wziął ją w ramiona i bez słowa rozpiął bluzę. Lydia nie protestowała. Z uczuciem ulgi poddała się jego twardemu ciału, jego zapachowi, jego pewnemu siebie dotykowi. Nagle po zmęczeniu nie został ani ślad i zdzierała z siebie ubrania i popychała go w stronę jego pokoju, kiedy jednak napotkała opór, uświadomiła sobie, że Andrzej kieruje ją w stronę jej pokoju. Jan. Zupełnie o nim zapomniała.

– Jan? Jest tutaj? – wydyszała.

– Śpi. Musimy być cicho – odszepnął gorączkowo Andrzej.

Ale to było niemożliwe. Gdy obsypywał jej ciało pocałunkami, nie była w stanie powstrzymać cichych jęków. Kiedy wszedł w nią, jęknął głośno, a kiedy doszła, zakrył jej usta dłonią i wpatrywała się w niego, w te płonące niebieskie oczy, a w jej ciele eksplodowały wodospady rozkoszy.

– Co z Biednym Palantem? – zapytał Andrzej, tuląc ją do siebie. – Wy nadal...?

– Nie. Już go nie ma.

– Powiedziałaś mu? O tym?

– Taa. – Poczuła, że Andrzej się spina. – Martwiłeś się, że zjawi się tu banda Nigeryjczyków i ci wieje?

– Nie martwiłem się.

– Co z Rosie? – Odruchowo chciała dodać jakiś obraźliwy opis w stylu: „Rosie, ostatnia dziewica w Irlandii", ale coś takiego nie wydawało się na miejscu. „No bo w końcu sypiam z jej chłopakiem. Już bardziej obrazić bym jej nie mogła".

– Nie wypowiadaj jej imienia.

Odsunął się od niej, wstał i wyszedł z pokoju, co ją ucieszyło, gdyż teraz mogła spokojnie iść spać.

Dzień 32…

Matt wszedł do biura, a Salvatore przywitał go słowami:

– Nie wiedziałem, że wziąłeś sobie wolny ranek.

– Bardzo śmieszne.

Tak, a więc był kwadrans po jedenastej. Tak, a więc Matt się spóźnił. Ale Maeve miała rano kolejny atak paniki, już drugi w ciągu tygodnia, i długo trwało, nim udało mu się ją uspokoić i przekonać, że oboje mogą jechać do pracy. Zupełnie jakby wrócili do dawnych, koszmarnych czasów, a to wszystko przez Fionna Purdue.

– Co się stało? – zapytał Salvatore.

– Nagły wypadek.

– No coś ty! Jaki wypadek?

Matt przyjrzał mu się uważnie. Z Salvatore zawsze była mądrala, ale tym razem chyba ciut przesadził.

– Prywatny – odparł Matt. – A teraz jestem tutaj.

Wcale nie był jakoś strasznie zawalony pracą. On i jego zespół generowali dla firmy stałe dochody, opychając nowsze wersje oprogramowania tym klientom, którzy już dokonali u nich zakupów – nie lada wyczyn w obecnej sytuacji ekonomicznej – ale na horyzoncie nie rysowało się zbyt wiele obiecujących perspektyw. Potrzebne im było upolowanie grubego zwierza, przekonanie jakiejś firmy, najlepiej gigantycznego koncernu, aby zmieniła oprogramowanie na to z Edios. Zadziwiająca sprawa, ale Bank of British Columbia nadal nie wykonał żadnego ruchu. Ani się nie zgodził na sprzedaż, ani nie wycofał z negocjacji, przez co cały proces znajdował się w stanie nieprzeniknionej stagnacji. Znak czasu, Matt to wiedział – ludzie bali się wydawać pieniądze – ale ten impas źle działał na morale ich wszystkich.

Zastanawiał się, czy ludzie z jego zespołu nie tracą w niego wiary. Brak szacunku ze strony Salvatore nie stanowił dobrego objawu. Ale, patrząc na to z innej strony, prawdopodobnie miał szczęście, że nadal dowodzi własnym zespołem.

Patrząc na to z innej strony, prawdopodobnie miał szczęście, że w ogóle ma pracę – tak mówił cichy, ponury głos w jego głowie.

Szybko odsunął od siebie tę nieprzyjemną myśl i zabrał się za e – maile. Nic ciekawego, z wyjątkiem maila od Ale – xa, w temacie którego było napisane: „DZISIEJSZY WIECZÓR!!! ”

Matt, Alex i drugi drużba, Russ, mieli się spotkać po pracy, aby dograć szczegóły wyjazdu do Vegas.

6. 30 The Duke. Nie nawal po raz kolejny! Alex

Matt napisał dziarską odpowiedź:

Zjawię się. Powinienem być przed czasem. Zamówię nam po piwku.

Akurat. Nie z Maeve w jej obecnym stanie. Przez chwilę życie zdawało się zaciskać wokół jego szyi – Maeve, praca, stagnacja wszystkiego – pozbawiając światła i nadziei... Wtedy przyszedł mu do głowy fantastyczny pomysł! Istniało wyjście z tej sytuacji!

Pełen energii i nadziei, od razu chciał się tym zająć. Kiedy mógł się wymknąć? Kiedy można uznać, że jest już pora lunchu? Dwunasta, tak będzie dobrze. Za niecałe czterdzieści minut.

– Fajnie, że wpadłeś – zawołał za nim Salvatore, ale nic nie mogło przebić balonu nadziei Matta.

Nowy dom, tak postanowił. To było rozwiązanie! Nowy początek w nowym miejscu wszystko naprawi. Przez dłuższą chwilę stał przed agencją nieruchomości, błądząc wzrokiem po zdjęciach, zastanawiając się, jaką formę przyjmie nowe życie jego i Maeve, po czym wszedł pewnie do środka, gotowy, by je urzeczywistnić.

Dziewczyna za biurkiem – Philippa – uniosła wyczekująco głowę. A potem coś w niej nieco oklapło.

– W czym mogę pomóc? – Na jej twarzy pojawił się zawodowy uśmiech.

– Chciałbym zmienić mieszkanie.

– Proszę usiąść. Pan tu już był?

– ... Eee... tak.

– Matt, prawda?

– Matt Geary.

– Zgadza się, pamiętam. A więc mamy w aktach pańskie dane. Poproszę adres.

– Star Street sześćdziesiąt sześć. Mieszkanie na...

– ... parterze. Już mi się wszystko przypomniało. – Philippa zaczęła stukać w klawiaturę. – Ostatnio był pan u nas w marcu.

Tak niedawno? Mattowi wydawało się, że od tamtego czasu minęło znacznie więcej czasu.

– Dokładnie rok temu byliśmy u państwa w domu – powiedziała Philippa. – I dokonaliśmy wyceny. Ale w obecnej sytuacji rynkowej tamta kwota uległa znaczącemu obniżeniu.

Matt przełknął ślinę.

– Jak znaczącemu?

– Niedawno sprzedaliśmy mieszkanie bardzo podobne do waszego, parter, ogród, lokalizacja w centrum, za... – Po kilku kolejnych stuknięciach w klawiaturę podała kwotę, która była tak niska, że Matt się przeraził. Jeszcze niższa niż ostatnio, co, jeśli Philippa się nie myliła, miało miejsce zaledwie trzy miesiące temu.

– Będziemy więc szukać czegoś innego mniej więcej w tej cenie? – zapytała Philippa. – Nie wygrał pan w totka ani nic w tym rodzaju?

Matt pokręcił głową.

– A myślał pan o czym? Mieszkaniu w podobnym domu, jak obecnie? Czymś w nowym budownictwie? Można znaleźć mieszkania w naprawdę dobrej cenie na nowym zamkniętym osiedlu w CityWest. Niesamowicie nowoczesnym. Mieszkania są fantastyczne, no i jest tam siłownia, sauna, jacuzzi, ogród do uprawiania jogi...

– W każdym mieszkaniu?

– Och, nie. Wspólne. Dla wszystkich.

– No tak. Cóż, myślałem raczej o domu. O czymś spokojnym. No wie pani, gdzie nie będzie trzeba spotykać na klatce innych ludzi.

– Z całą pewnością nie znajdzie pan domu tak blisko centrum. Nie za taką kwotę.

– Okej. No dobrze, to proszę mi pokazać, co macie.

– A tak z ciekawości – zapytała Philippa – to co się stało ostatnim razem?

– Mojej żonie nie spodobało się to, co wybrałem.

– Rozumiem. Cóż, no to zobaczmy, czy uda nam się znaleźć tym razem coś. co jej się spodoba.

Dzień 32…

Lydia nie znała numeru, który wyświetlał się na ekranie jej komórki, ale mimo wszystko odebrała.

– Z tej strony Conall Hathaway.

– Na litość... Skąd masz mój numer?

– Rano zadzwoniłaś, żeby mi powiedzieć, że czekasz pod domem.

Włosy! Cholerne, wymagające włosy – powinna była po prostu wysiąść z samochodu i zadzwonić domofonem.

– Postanowiłem przyjąć twoje zaproszenie – oświadczył.

– Jakie zaproszenie?

– Jutro. Robię sobie dzień wolny. Spędzimy go razem. Pojedziemy gdzieś i... co mówiłaś? Posprzątamy? Spotkamy się z twoją mamą?

– Powiedziałam to tylko dlatego, że wiedziałam, iż w to nie wejdziesz.

– Ale ja wchodzę.

– Nie jedziesz.

– O której mam po ciebie przyjechać?

– O burej. Nie jedziesz. Pogódź się z tym. Idź do pracy, zarób kolejny

milion.

– Jadę.

W jego głosie słychać było stanowczość i zdecydowanie i Lydia pomyślała, że to dobrze, iż miała już do czynienia z takimi, jak on. Miała okazję wieźć ładnych paru takich mężczyzn – prawie wyłącznie mężczyzn – pewnych siebie i zupełnie nieliczących się ze zdaniem innych. Chcieli czegoś, to to zdobywali, nie patrząc, jakie powodują zamieszanie. Istniało określenie, którego goście z wojska używali, kiedy próbowali wytłumaczyć śmierć cywili. „Zniszczenia uboczne", tak to brzmiało. Taa, Conallowie tego świata w ogóle się nie interesowali zniszczeniami ubocznymi.

– Tak myślę, że koło dziesiątej – kontynuował. – Wcześniej nie będziesz chciała z powodu korków. Później też nie, bo zbyt dużo stracisz dnia.

Gdyby tak postępował z kimś innym, może nawet by *mu się* udało. Ale nie z nią.

– No więc... do zobaczenia o dziesiątej?

– Do zobaczenia o dziesiątej – powtórzyła z przekąsem.

Wyjedzie o dziewiątej.

Dzień 32…

Gdy Matt jechał do domu, minął kobietę, która parę tygodni temu oskarżyła go o mordercze zamiary. O dziwo, poczuł wściekłość. Która jeszcze przybrała na sile, kiedy przypomniał sobie, że dzisiaj nie wykonał Dobrego Uczynku. Cholera. Najpierw spóźnienie do pracy, potem przyglądanie się ofertom Philippy, no i w tym wszystkim zupełnie wyleciało mu to z głowy. Ale myśl o byciu miłym dla jakiejś przypadkowej,

nieznajomej osoby napotkała szokujący opór. Nie potrafił tego robić. Nie ma mowy. Postanowił, że okłamie Maeve; ta myśl tak łatwo wślizgnęła się do jego głowy, że aż się przestraszył. Nie, powie jej prawdę i po prostu poprosi O dzień wolnego. A potem przyszedł mu do głowy jeszcze lepszy pomysł: a czy Dobrym Uczynkiem nie było pójście do agencji nieruchomości? Znajdując Maeve potencjalny nowy dom, zrobił Dobry Uczynek dla niej. A może i dla siebie. Ale ta myśl była tak nowa, że szybko ją porzucił. Tak, Dobry Uczynek dla Maeve. A nie spotykając się dzisiaj z Alexem wyświadczy Maeve kolejny Dobry Uczynek. A skoro o tym mowa...

Gdy tylko Matt zaparkował – miał niesamowite szczęście, bo znalazł wolne miejsce tuż pod domem – wystukał szybko esemesa do Alexa.

Sytuacja awaryjna w pracy.Nie dam rady. Zaczynajcie beze mnie.

A potem udał się spiesznie do domu, jakby był w stanie uciec od poczucia winy.

Maeve siedziała na sofie i oglądała *South Park.*

– Popatrz tylko na to. – Matt położył jej na kolanach stertę kolorowych broszur.

– Znowu? – zapytała.

– Już dawno nic nie szukaliśmy i pomyślałem... Maeve, tutaj nie jest dobrze. Zbyt wielu ludzi wchodzi i wychodzi. Lepiej nam będzie we własnym domu. Tylko się przyjrzyj, bez uprzedzeń, tylko o to cię proszę.

Maeve kiwnęła głową.

– Okej. Bez uprzedzeń. Dobrze. – Zerknęła na pierwszą broszurę, przeczytała adres i oświadczyła: – Nie. Kurde, nie, Matt.

– Czemu?

– To niecałe pięć minut jazdy samochodem od Hilary i Waltera. Na okrągło będą do nas wpadać. To znaczy Hilary. – Istniało spore

prawdopodobieństwo, że Walter nigdy ich nie odwiedzi. – Wiem, że to twoja mama, Matt, i jest kochana, ale nigdy byśmy się jej nie pozbyli. Do późna przesiadywałaby przy kuchennym stole, pila wino i rozmawiała o głupotach.

– Nie częstowalibyśmy jej winem.

– Przyniosłaby własne.

– Okej. – Matt ciężko westchnął. – Odłóż to na bok. Następny dom!

Dwupiętrowy klocek na osiedlu w Shankill, na przedmieściach.

– Shankill? – Spojrzała z rozpaczą na Matta. – A od kiedy jesteśmy tego typu ludźmi?

– Pomyślałem, że byłoby przyjemnie, tak trochę na uboczu...

– Bardzo na uboczu, gdzie nikt nie usłyszy twego krzyku.

– W porządku, zapomnij o tej ofercie. – Oczywiste było, że Maeve podjęła już decyzję. – Spójrz na ten dom w Drumcondra. Daleko od moich rodziców, nie na przedmieściach, idealny.

Maeve przyglądała się fotografii domu, a Matt przyglądał się Maeve.

W końcu się odezwała:

– Dwanaście.

– Co dwanaście? – Ale już wiedział.

– Pięć na parterze, sześć na piętrze i świetlik na poddaszu. Okna. Nie ma mowy. Co jeszcze znalazłeś? – Maeve wzięła do ręki czwartą i ostatnią broszurę. – Rany, Matt? Osiedle zamknięte? – Szybko przebiegła wzrokiem opis.

– Bramy na szyfr, drzwi na szyfr, wspólne jacuzzi?!

– Wiem, że to nie dla nas. Właściwie to wcale nie chciałem brać tej broszury, ale dziewczyna w agencji mi ją wcisnęła.

– A ci ludzie, Matt, wyobrażasz sobie, kto mógłby chcieć mieszkać w

takim miejscu? – Bezduszni karierowicze z obsesją na punkcie tajskiej kuchni, zachowujący się tak, jakby sos rybny wymyślono dopiero niedawno. – Całymi dniami siedzieliby w pracy.

Skupisko szklanych wież wyglądałoby jak wymarłe miasto.

– Wiem, że koło naszego mieszkania przechodzi sporo ludzi... – powiedziała Maeve i Matt rozumiał, o co jej chodzi. Niespodziewanie bezpieczniejsze się wydawało mieszkanie na parterze na Star Street, nawet w sąsiedztwie tego wstrętnego Fionna, ponieważ przynajmniej byli w pobliżu ludzie.

Maeve zebrała broszury do kupy i wręczyła je Mattowi.

– Kosz.

Dzień 31

Conall Hathaway cztery razy musiał okrążyć kwartał, nim w końcu znalazł wolne miejsce z dobrym widokiem na drzwi wejściowe domu przy Star Street 66. Zgasił silnik i sięgnął po BlackBerry. Migało czerwone światełko. Super. Nowe e – maile.

W sumie siedem i w żadnym nic ekscytującego, niemniej jednak komunikacja była dla niego niczym życiodajny tlen – pilne telefony, pełne skrótowców esemesy, szczegółowe e – maile. Gdyby minęło zbyt dużo czasu od ich wymiany, mógłby umrzeć.

Wypił kawę, przeleciał przez stacje radiowe i patrzył na niebieskie drzwi. Poruszył się na fotelu i zerknął na BlackBerry, żałując, że czerwone światełko już nie miga. Był podenerwowany. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz zadzwonił do Eilish i wypowiedział słowa: „Dziś mnie nie będzie”. Naturalnie wiele, wiele razy nie było go przy własnym biurku, ale tylko dlatego,

że w tym czasie siedział przy innym biurku w innej firmie podczas procesu jej przejmowania. No i jeździł na imprezy służbowe, płynące szampanem dni w Monako czy Ascot, ale robił to po to, aby utrzymywać kontakty z tymi tajemniczymi osobistościami rynków finansowych, które wiedziały, kiedy jakaś spółka upada na długo przed tym, nim dowiadywała się o tym sama spółka. Takie imprezy to i tak była praca.

Nigdy dotąd nie zadzwonił do Eilish i nie powiedział, że go nie będzie, ponieważ... no, po prostu go nie będzie. Nie czuł się z tym dobrze, ale nie miał wyboru.

Zależało mu na Katie, bardzo mu zależało, prawdę mówiąc, i w ogóle nie był przygotowany na ich rozstanie. Fakt, że to kobieta zakończyła z nim znajomość, stanowił radykalne odchylenie od modelu związków Conalla Hathawaya. Coś takiego już dawno się nie wydarzyło, być może nigdy, i to nim wstrząsnęło. Może nie do głębi, gdyż głęboko w środku skonstruowany był z tytanu. Ale całkiem głęboko.

Gorsze od porzucenia przez Katie było to, że nie chciała przyjąć go z powrotem. Zaoferował jej niebywałą nagrodę

– małżeństwo – a ona ją odrzuciła. Jego odrzuciła. Zamiast jednak marnować czas na załamywanie rąk, zapytał samego siebie, co go to może nauczyć. W pracy coś takiego zawsze się sprawdzało. Stworzył nawet własny model, „Dwa O, A i R”:

Ocena sytuacji.

Określenie, w którym miejscu zawiodła kontrola.

Adaptacja nowych, bardziej odpowiednich działań dla przyszłych sytuacji.

Ruszenie do przodu.

Żałował, że ten slogan nie jest bardziej chwytliwy. Najlepsze byłyby

cztery O. No ale jakoś nie znalazł nic, co by pasowało.

W przypadku Katie Ocenił sytuację i nie bał się przyznać, że popełnił błąd – właśnie dzięki temu tak świetnie sobie radził w swojej pracy – i we własnej opinii był mężczyzną takiego formatu, że zdołał Określić, że porzucenie nastąpiło z jego winy.

Teraz pora na Adaptację: będzie musiał stać się bardziej elastyczny w kwestii pracy. Adaptacja w celu przetrwania. Nie wierzył w przeznaczenie, ale w maksymalizację możliwości, kiedy więc pojawiła się Lydia i rzuciła mu wyzwanie związane z wzięciem wolnego w środku tygodnia, przyjął je. Sprawdzi, czy świat się wtedy zawali; a jeśli tak, cóż, zawsze mógł skorzystać z BlackBerry.

Nawet ubranie, które miał dziś na sobie, zostało wybrane pod kątem przetrwania. Lydia oskarżyła go o to, że jest za stary", włożył więc modne dżinsy, przysłane kurierem z Brown Thomas, a do nich – po długim namyśle – wybrał T – shirt z The Clash, no bo przecież oni byli wiecznie młodzi. No nie?

A skoro mowa o The Clash, włożył do uszu słuchawki i wysłuchał połowy zwrotki *Rock the Casbah,* ale mu się znudziło i przełączył na Johnnyego Casha. Śpiewał razem z nim *Walk the Line* i wpatrywał się w drzwi domu z numerem sześćdziesiąt sześć. Nigdy nie lubił tej kołatki w kształcie banana. Teraz, gdy związek jego i Katie był kaput, już nigdy nie będzie musiał jej oglądać. Chyba że, naturalnie, wyjdzie mu z Lydią...

Nie potrafił wyjaśnić, dlaczego tak bardzo mu się spodobała. To nie na urodę zwrócił przede wszystkim uwagę, ale owszem, ślicznotka z niej. Podobała mu się jej koścista twarz i drwiące oczy. Podobała mu się, drobna i wściekła, za kierownicą taksówki. Lubił jej „Gdańsk! " i „Wysiadka! ", i tym podobne. Była jedyna w swoim rodzaju.

I była w odpowiednim wieku. Katie trafiła w dziesiątkę: dwudziestolatka będzie do niego pasować idealnie. Dwóm dziewczynom, z którymi się spotykał przed Katie, zdążyła stuknąć trzydziestka i były... jak by to ująć? Pełne wyczekiwania. Tak, pełne wyczekiwania i czujne. Oba te związki postrzegał jako prostą linię; znalazł poziom, który mu odpowiadał i mogło się tak to ciągnąć bez żadnych zmian już zawsze. No, może nie zawsze. Ale na pewno bardzo długo.

A tymczasem, z perspektywy czasu, widział, że zarówno Saffron, jak i Kym wyobrażały sobie ich związek jako coś w kształcie klina, jak kawałek cheddara. Zaczynając od małego kawałka, oczekiwały, iż wszystko będzie się rozprzestrzeniać, na zewnątrz i ku górze, w trzech wymiarach, z dodatkami mniej więcej co miesiąc. Dodatkami w rodzaju: poznanie ich przyjaciół; poznanie jego przyjaciół (tych nielicznych, których posiadał); towarzyszenie im na balu dobroczynnym i branie udziału w licytacji; słuchanie ich sugestii odnośnie do tego, jak powinien urządzić swój dom; wyrażenie zgody na zaaranżowanie przez nie jednego pomieszczenia; walka z mnóstwem kosmetyków, które w ciągu jednego dnia pojawiły się w łazience; bycie nakłanianym do tego, aby zostawić parę wyprasowanych koszul w ich szafach; no i w końcu największy kawałek sera: rozmowa o wspólnym zamieszkaniu.

A Katie? Jak ona wyobrażała sobie ich związek? Z jej strony nie czuł podobnej presji. Jakąś owszem, ale być może kąt nie był tak ostry. Bardziej kawałek brie niż klin cheddara.

A Lydia? Któż to wiedział. Prawdopodobnie w ogóle nie miała oczekiwań. Jej kąt mógł być płaski, jak w zwykłych plasterkach. Właściwie, i ta myśl chyba mu się nie spodobała, to może w ogóle nie być ser.

Dochodziła ósma trzydzieści i o ile Conall rozgryzł Lydię, niedługo

wyjdzie z domu, aby pokonać wiele kilometrów, nim on zjawi się o dziesiątej. Ale on już tu był!

Wziął do ręki kubek z kawą i ze zdumieniem przekonał się, że nic nie zostało. Może zawieruszyła się tu gdzieś puszka coli. Dogłębne przeszukanie schowka na drzwiach zaowocowało jedynie czterema chipsami i siedmioma zielonymi żelkami. Zjadł je bez entuzjazmu; zielone lubił najmniej i zawsze zostawiał na sam koniec. Chętnie by zjadł całą paczkę. Nudziło mu się, a Johnny Cash już się nie sprawdzał. Wyciągnął z uszu słuchawki i przewijał ekran, czytając biuletyny, sprawdzając strony internetowe, dokonując oceny rynków finansowych, szukając anomalii w cenach akcji. Kto osiągał wyniki gorsze od spodziewanych? Kto lepsze? Krążyły plotki, że H&E Enterprise, duża firma odzieżowa, lada dzień ogłosi kwartalną stratę. Nie jakąś katastrofalną, poza tym przez jedenaście ostatnich kwartałów firma notowała zyski. Ale Conall obserwował rosnące koszty materiałów, które sprowadzali z Dalekiego Wschodu, i poinformowano go, dyskretnie że ich czwarty pod względem ilości zamówień odbiorca robi podchody do innej firmy. Jeden kwartał z zanotowaną stratą to jeszcze nie powód do paniki, ale Conall czuł w ciele mrowienie. Dwóch największych konkurentów H&E od ponad roku kręciło się w pobliżu i jeśli miało dojść do przejęcia bądź wykupu, on chciał wziąć w tym udział. Tym bardziej, że H&E głównie działała w południowo – wschodniej Azji, a to była jego specjalność. W razie potrzeby zajmował się Europą Wschodnią czy Skandynawią, ale najlepiej radził sobie na Filipinach, w Kambodży i Wietnamie.

Spojrzał na telefon, następnie na niebieskie drzwi. Mógł wykonać szybki telefon do jednej z tych tajemniczych postaci, aby ocenić szkody H&E i ryzykować, że w tym samym czasie w drzwiach pojawi się Lydia?

Wykonał ten telefon. Nie potrafił się powstrzymać. Nie miał kawy, nie miał słodyczy, muzyka się nie sprawdzała; potrzebował Czegoś, a więc będzie musiał wystarczyć szybki zastrzyk adrenaliny. Saffron mawiała, że powinien udawać, iż ma alergię na osy i że po ukąszeniu dozna wstrząsu anafilaktycznego, ponieważ wtedy lekarz mógłby mu zapisać zastrzyki z adrenaliną, które on mógłby sobie aplikować w chwilach znudzenia. Nie mówiła tego na początku ich dwuletniego związku, wtedy była szczęśliwa; zaczęła to mówić pod koniec, kiedy mocno rozczarował ją Conall i jego poświęcenie się pracy.

Słuchał sygnału dzwoniącego telefonu i jednocześnie kopał pedał gazu. Odbierz, na litość boską! Chryste, ależ on się nudził.

Ktoś odebrał.

– Halo?

– Tajemnicza Postać?

– Conall?

– Gdzie jesteś?

Gram w golfa.

– Gdzie? – Był w nastroju na pogawędkę.

– Syria. Czego chcesz?

– Pogłosek? H&E? Ugnie się?

– Możliwe. Czekam na wiadomość. Dam ci znać.

Tajemnicza postać rozłączyła się i Conall już nie czuł znudzenia. Zawsze polował na nowy projekt. Koniecznie musiał mieć ustawioną nową robotę przez zakończeniem bieżącej, gdyż przerwy między projektami mocno go unieszczęśliwiały. Potrzebował nowych wyzwań. A jednak kiedy na horyzoncie pojawiało się coś nowego, na równi z podekscytowaniem czuł strach.

Każde przejęcie było inne. Doświadczenie nabyte podczas wcześniejszych projektów przydawało się, ale zawsze nadchodził moment, kiedy Conall nie miał pojęcia, co teraz, kiedy sam musiał zbudować ścieżkę, żeby iść dalej. Ludzie myśleli, że jego praca jest łatwa. Że po prostu się zjawiał i zwalniał, a niezwolnionych przenosił do budynku ze znacznie niższym czynszem. Zakładali, że płacono tak dużo, aby pieniędzmi mógł zagłuszyć wyrzuty sumienia związane z rujnowaniem życia innym ludziom.

Podczas pewnej uroczystej kolacji, jeszcze za czasów Saffron, jakiś człowiek zapytał Conalla:

– Ta pańska praca? Jak pan sypia?

Nim Conall zdążył powiedzieć coś na swoją obronę – szczere przekonanie, że gdyby nie zwolnił części pracowników, to prędzej czy później wszyscy znaleźliby się na bruku – do akcji wkroczyła Saffron.

– Milion euro rocznie bardzo nam to ułatwia – oświadczyła.

Było to oczywiście w czasach, kiedy jeszcze ceniła jego umiejętność podejmowania decyzji bez udziału emocji.

W trakcie projektu, kiedy w celu podjęcia właściwych decyzji próbował wyobrażać sobie wszystko w trzech wymiarach, Conall czasem żałował, że nie jest listonoszem, jak jego brat. Każda podejmowana przez niego decyzja wiązała się z potężnymi implikacjami finansowymi, jednak on nigdy nie miał czasu na prześledzenie wszystkich możliwych per – mutacji, gdyż najważniejsze było to, aby te decyzje podejmować szybko.

Po finalizacji każdego projektu ogarniał go strach. Czy zwolnił nie tych ludzi? Zamknął nie tę filię w nie tym kraju? Sprzedał nie te aktywa? A jeśli wyciął niezbędne do życia organy i teraz to wszystko umrze?

Jak na razie nigdy do tego nie doszło. Ale przypominało mu to grę w bierki. Za każdym razem, gdy zabierał jedną, wstrzymywał oddech i czekał,

czy reszta nie rozsypie się z hałasem.

A kiedy wszystko zostało dopięte na ostatni guzik, satysfakcja z dobrze wykonanej pracy, rozebrania spółki na czynniki pierwsze i złożenia na nowo, tym razem w lepszej konfiguracji, trwała tylko jeden wieczór. A potem znowu do akcji wkraczał głód. Kym mówiła, że jest jak rekin, zawsze w ruchu, zawsze na polowaniu. (Mówiła także, że ukradł jej najlepsze lata życia.)

Conall nie wiedział, dlaczego pracuje właśnie w taki sposób. Nie chodziło o pieniądze. Prawdopodobnie miał ich już wystarczająco dużo. Nie robił tego dla szacunku ze strony rówieśników, ponieważ już go miał. Robił to, bo robił.

Gotowy był przyznać, że w jego przypadku równowaga na linii praca – życie prywatne nie jest idealna. Miał bardzo niewielu przyjaciół. No ale przecież większość ludzi miała bardzo niewielu przyjaciół. Miał naturalnie Joego, swego brata, ale podejrzewał, że jego sukces tworzy między nimi jakąś barierę. Dlatego właśnie potrzebna mu była dziewczyna.

Dzień 31…

Wstawaj, nakazała sobie Katie. Wstawaj i staw czoło światu.

Chyba jeszcze nigdy w życiu tak źle nie spała. Swoją genezę miało to w fakcie, że wczoraj wieczorem, podczas imprezy promocyjnej, odrzuciła wszystkie pozory profesjonalizmu i przyssała się do darmowych drinków. Piła z ponurą miną i zacięciem, aż życie straciło ostre krawędzie.

Mgliście pamiętała, że stała zbyt blisko Danno i mówiła:

– Naprawdę jestem porządnie wstawiona. Dzięki temu będę dobrze

spać.

Jakoś udało jej się wrócić do domu i zapaść w pijacką, pozbawioną snów śpiączkę.

W samym środku nocy raptownie się obudziła. Śnił jej się paskudny koszmar, w którym wylądowała na bezludnej planecie, szarej i skalistej, smaganej wyjącym, pioruńsko zimnym wiatrem. Sama, zupełnie sama, uwięziona już na wieczność.

Czekała, aż przerażenie minie, tak się jednak nie stało – ponieważ dotarło do niej, że to prawda. Była sama, zupełnie sama, uwięziona na wieczność. Już nikt nigdy jej nie pokocha.

Za każdym razem, kiedy kończył się jakiś jej związek, była święcie przekonana, że już nigdy się nie zakocha. Ale tym razem to naprawdę koniec. Guzik prawda, że czterdziestka to nowa osiemnastka. Można się faszerować botoksem po sam czubek głowy, można się tłoczyć razem z piętnastolatkami w Topshop, ale czterdziestka to czterdziestka.

I kiedy sądziła, że gorzej już czuć się nie może, przypomniało jej się coś strasznego: poleciła, aby jedna z podstawionych dla artystów limuzyn zawiozła ją do domu.

Wyszła chwiejnym krokiem z klubu, zobaczyła, że czeka na krawężniku i ją porwała. Kierowca wcale nie chciał jechać, powtarzał, że czeka na Mr Alpha, ale ona nadużyła swego stanowiska i zagroziła mu zwolnieniem.

O nie! To wspomnienie było tak zawstydzające, że aż zakwiliła w poduszkę. Nie tylko była uwięziona na wieczność na bezludnej planecie, ale na dodatek ukradła samochód wielkiej międzynarodowej gwieździe, którą wszyscy znają.

Wstała, zwymiotowała i wczołgała się z powrotem do łóżka,

desperacko pragnąc snu, który uwolni ją od tych straszliwych myśli, ale nadal nie spała, kiedy ptaki rozpoczęły swoje śpiewy. Nie wiedziała, która jest godzina, ponieważ za bardzo się bała spojrzeć na budzik, ale nie było dobrze. W pewnym momencie odpłynęła w lekki, niespokojny sen, a kiedy budzik włączył się o siódmej trzydzieści, miała ochotę się pociąć.

Kosmetyki nic nie dały. Wklepała pod oczy mnóstwo korektora, a i tak wyglądała jak Sylvester Stallone. W końcu, cała zdenerwowana i wyczekująca bólu, osiągnęła gotowość, aby wystrzelić z budynku (tak bardzo się bała wpaść na Conalla romansującego z Lydią, że kiedy tylko musiała opuścić mieszkanie, sprintem pokonywała trzy piętra, z zamkniętymi oczami i na wstrzymanym oddechu).

Ale minęło pięć dni, odkąd przysłał te straszne kwiaty – dostarczono je w piątek, a teraz była środa. Przez weekend w ogóle się tu nie kręcił i zakwitł w niej maleńki pączek nadziei: może to tylko jednorazowy wybryk.

Znajdowała się już za drzwiami, szaleńczy bieg dobiegł końca. Mogła otworzyć oczy, mogła zaczerpnąć powietrza. Wtedy sobie przypomniała, że nie ma sensu brzęczeć kluczykami do samochodu, ponieważ nie ma samochodu. Po tym numerze z limuzyną Mr Alpha jej auto nadal stało na parkingu w pracy. Ale zaraz! To samochód Conalla. Właśnie tutaj! Nie myśląc, ruszyła w jego stronę.

– Conall?

Uniósł głowę znad BlackBerry. Jezu Chryste, Katie! Stała na ulicy! Wygramolił się z auta i nachylił, aby pocałować ją grzecznie w policzek.

– Co ty tu robisz? – zapytała.

– Ach... czekam na kogoś. – Był bardzo, bardzo zażenowany. Powinien przewidzieć, że może do tego dojść. Chyba że przewidział – to powiedział cichy głosik w jego głowie.

Z widocznym napięciem Katie zaczęła się wycofywać. I nagle drzwi domu numer sześćdziesiąt sześć otworzyły się i na chodniku pojawił się duży, wyglądający jak osioł pies, a za nim starsza pani, która mieszkała na pierwszym piętrze, a za nią ten... Mężczyzna i to właśnie on przyciągnął uwagę Conalla. Saffron oskarżała Conalla o to, że jest pozbawionym emocji robotem, ale prawda była taka, że szczycił się swoją intuicją. Instynktownie wyczuł, że firma Arthur Andersen przebiła go w licytacji Jasmine Foods – w pewne niedzielne popołudnie, w alejce z cegami w Hardware Hut, wpadł na dyrektora działu przejęć i choć ten zachowywał się względem niego dość przyjaźnie, Conall wiedział. Teraz zaalarmowało go takie samo poczucie zagrożenia. To ten jasnowłosy, byle jak ubrany, wyglądający na próżniaka... kretyn wygrał z nim w wyścigu o uczucia Katie.

Katie nadal się cofała, oddalając od Conalla, no i wpadła na tego mężczyznę. Szybko się odwróciła i Conall usłyszał, jak mówi: „Przepraszam”, a mężczyzna na to: „Nie, to ja przepraszam”, a potem rozległy się śmiechy i znowu coś mówiono, jednak za cicho, by Conall wszystko słyszał, potem znowu śmiechy, a potem Złotowłosy ujął dłoń Katie i z przesadną czułością ucałował. Kutas! Pies, staruszka i mężczyzna wpakowali się do merca i odjechali, a Katie zaczęła się oddalać i Conall został sam.

Z olbrzymią pogardą Grudge patrzył, jak Fionn wygląda przez tylną szybę, gdy oddalali się od Katie.

– Kim była ta kobieta? – zapytał Fionn.

Jemima oparła głowę o zagłówek i zamknęła oczy.

– Fionn, chłopcze drogi, naprawdę nuży mnie już ta twoja niestałość uczuć.

– Ach, Jemimo!

Fionnowi błyszczały oczy i wyraźnie nie mógł usiedzieć na swoim miejscu. Grudge pokręcił z odrazą łbem. Jemima nie była już tak młoda, jak kiedyś i czymś niestosownym – „niestosowny" to ulubione słowo Grudge'a; usłyszał je w programie *Dr Phil* – czymś niestosownym ze strony Fionna było angażowanie jej w tak niedojrzałe... głupoty.

– Najpierw biedna Maeve, potem Rosie...

Grudge spróbował zacmokać, ale miał za gruby język. To był naprawdę potworny epizod, gdy ta pielęgniareczka wsunęła pod drzwi kartkę z numerem telefonu. Jemimę strasznie to rozstroiło i błagała Fionna, aby trzymał się z dala od dziewcząt, które są już przypisane do innych. „Ona i Andrzej do siebie pasują". Ale Fionn zlekceważył niepokój Jemimy i zadzwonił do Rosie. I umówili się na dzisiejszy wieczór, ale czy Fionn się pojawi, skoro jego uwagę przyciągnęła Katie?

– Katie? Ma męża? – naciskał Fionn.

Jemima wypuściła z płuc powietrze.

– Męża nie. Tamten ciemnowłosy, ponury mężczyzna w lexusie przez wiele miesięcy trwał przy jej boku, ale mam przeczucie, że to się niedawno rozpadło.

– A więc jest wolna! – Fionn zatarł radośnie ręce.

– Tam, skąd przyjechałeś, nie ma żadnych kobiet? – Ogden przyjrzał się Fionnowi we wstecznym lusterku. – Jeszcze nigdy nie spotkałem takiego napaleńca.

„Taa" – Grudge uśmiechnął się szyderczo. „Napaleniec".

– Ogden uczynił słuszną uwagę, Fionn. Być może powinieneś rozważyć powrót do Pokey. Obawiam się, że miejskie życie zbyt silnie cię pobudza.

Dzień 31…

No i dobrze Conall przewidział! Za pięć dziewiąta Lydia wyszła z domu, wcześniej, niż zapowiedziała, byle go tylko uniknąć.

Wysiadł z samochodu i zaszedł jej drogę.

– Wybierasz się gdzieś?

Na jej drobnej twarzy najpierw pojawiło się niedowierzanie, a chwilę później ogłuszająca wściekłość.

– Okej, dość tego – oświadczyła. – Dzwonię na policję.

Nie potrafił przestać się śmiać.

– Lydia, ja chcę jedynie umówić się z tobą na randkę.

– Nękasz mnie!

– Zalecam się do ciebie.

– A co to za głupie określenie?

– Chodzi mi o to, że cię lubię i próbuję nakłonić do tego, żebyś się ze mną umówiła. Od kiedy jest to przestępstwem?

– Posłuchaj mnie, gdybym należała do tych, co się boją, to byś mnie przestraszył.

– Dziewczyna przed Katie powiedziała mi, że to jej ulubiona fantazja. Że zjawiam się nieoczekiwanie.

– Moje kondolencje dla tej dziewczyny. – Lydia wcisnęła w telefonie dwa przyciski, po czym z satysfakcją kiwnęła głową. – Dzwoni.

– Pomoc w nagłych wypadkach?

– Komisariat na Kevin Street.

– Masz szybkie wybieranie komisariatu?

– Jeżdżę taksówką. Jestem w stałym kontakcie z gliniarzami.

Conalla zdjął niepokój. Telefon miała przyciśnięty do ucha, a głowę

przechyloną na bok.

– Naprawdę dzwonisz na policję? – zapytał.

– Naprawdę. Nie martw się, często odbierają dopiero po kilku minutach. Są zajęci.

– Lydia, rozłącz się. – „Rozłącz się, rozłącz się, rozłącz się”. – Rozłącz się.

Ich spojrzenia się skrzyżowały. W jej oczach płonął ogień, ale to jego wola weźmie górę...

„Rozłącz się, rozłącz się, rozłącz się”.

... tak, weźmie górę. Tyle że to branie góry trwało nieco dłużej niż zazwyczaj...

„Rozłącz się, rozłącz się, rozłącz się”.

... iii... wzięła górę! Brawo!

– Na litość boską! – Lydia zatrzasnęła telefon. – Czego ty chcesz?

– Jednej szansy. Tego dnia, o którym mówiłaś. Jedzie – my do tego miasteczka w Meath, ja sprzątam brudną kuchnię, rozmawiam z twoją matką i nastraszam twojego brata.

– Ale ja nie chcę, żebyś jechał.

– Pojedziemy moim autem. Zawiozę cię.

Nie była zadowolona, ale propozycja zawiezienia zadziałała na jego korzyść. Jedną z umiejętności Conalla było odnajdywanie słabych stron, a wcześniej uznał, słusznie, jak się okazało, że Lydia ma po dziurki w nosie siedzenia za kółkiem.

„Jestem Conall Hathaway i zawsze dostaję to, czego chcę”.

Dzień 31…

Danno zauważał wszystko. Katie nie zdążyła otworzyć do końca drzwi, a ich spojrzenia się skrzyżowały.

– Co tam? – zapytał.

– Nic.

Wstał z fotela. Patrzyła, jak idzie zygzakiem w jej stronę i nie miała siły go powstrzymać.

– Wracaj do biurka, Danno. Zajmij się tym, za co ci płacą.

– Nie przejmuj się samochodem Mr Alpha – powiedział cicho. – Załatwiłem inny.

Przełknęła ślinę. Dziś rano tyle zdążyło się wydarzyć, że niemal zapomniała o swoim skandalicznym zachowaniu. '

– Co Barbarzyńca zrobił tym razem? Zadał ci ból?

To troska Danno ją złamała.

– Chyba... – Nie powinna mówić tego Danno. Była jego przełożoną, a on i tak robił wszystko, co w jego mocy, aby ignorować hierarchię służbową. – Conall chyba spotyka się z dziewczyną, która mieszka pode mną.

George westchnął teatralnie i przyłożył dłoń do piersi.

– To ciut za blisko.

– Katie. czemu tak uważasz? – zapytał Danno.

Katie opowiedziała o piątkowymi epizodzie z kwiatami i o tym, jak dziś wpadła na Conalla, czekającego w samochodzie pod jej domem.

– To mógł być po prostu zbieg okoliczności. – Audrey zdążyła się przysunąć do biurka Katie. Wszyscy się przysunęli, niczym małe leśne stworki, które powyskakiwały ze swoich norek.

– W życiu Conalla Barbarzyńcy nie istnieje coś takiego, jak zbieg okoliczności – orzekł Danno. – Nic się nie dzieje przypadkiem. Ty! – Wskazał palcem George'a. – Przeżyła szok, idź i kup jej drożdżówkę. – A do Katie rzekł: – A więc sądzisz, że spotyka się z nią, aby ci dogryźć?

– A wy jak sądzicie?

– Tak – odparła Tamsin.

– Nie. – To Lila – May.

– Ale skąd miałby wiedzieć, że zobaczy go dziś rano?

– No bo codziennie chodzi do pracy!

– Okej, skąd wiedział, że spotka tego dostawcę kwiatów?

– Może kazał mu je dostarczyć o takiej porze, kiedy wychodzi do pracy.

Przez dłuższą chwilę sprzeczali się ze zjadliwą uszczypliwością, ale nie doszli do żadnych konkretnych wniosków.

– Ale wydarzyło się coś jeszcze? – zapytał Danno.

Katie nie spodziewała się tego.

– Skąd wiesz?

– No bo wyglądasz... tak jakoś.

– Poznałam mężczyznę. – Nawet w jej uszach kiepsko to zabrzmiało.

– Ooooch. – Słuchali jej teraz wszyscy podwładni, co nie zdarzało Się często.

– Nie, nic z tych rzeczy. – Na ich twarzach malowała się konsternacja. – To nie jest żaden potencjalny chłopak.

– Nie, nie, jesteś na to trochę za stara – zarechotał Danno. A potem natarł na George'a. – Jeszcze tu jesteś? Nie mówiłem ci, żebyś poszedł po drożdżówkę?

– Wpadłam na niego – powiedziała Katie, nie mogąc się

powstrzymać przed mówieniem o Fionnie. – I to całkiem dosłownie. Cofałam się przed Conallem i wpadłam na niego, a on był taki miły... – Urwała. Mina Lili – May mówiła: „Żałosna", więc z całą pewnością nie mogła wyznać, co naprawdę czuła: że Fionn ukoił jej ból. Szok, jakiego doznała na widok Conalla czekającego na inną, zazdrość, straszliwe poczucie straty – zupełnie jakby dręczył ją koszmarny ból zęba i nagle, gdy Fionn uśmiechnął się i odezwał, ból zniknął jak ręką odjął.

– Musi mieszkać w pobliżu, skoro na niego wpadłaś – powiedział George. – Może na tej samej ulicy.

– Na tej samej ulicy? Mieszka w tym samym domu. Dwa piętra niżej.

– Że co?!

– Co się wyprawia w tym domu? – zapytała ostro Lila- May.

– Jak to?

– Coś się dzieje. Coś dziwnego. Zbyt wiele zbiegów okoliczności. Nowa dziewczyna Barbarzyńcy, twój nowy facet.

– Za dużo czytasz Stephena Kinga – stwierdził Danno. Nagle Katie przypomniała sobie przerażenie, które ją ogarnęło pewnego wieczoru, jakieś dwa tygodnie temu, kiedy z absolutną pewnością poczuła, że ktoś albo coś znajduje się w tym samym pomieszczeniu co ona. Niemal słyszała jego oddech i jeszcze nigdy w życiu nie była tak przerażona. Ale co to miało wspólnego z Conallem czy Fionnem? Prawdopodobnie nic.

– Będzie tu mieszkał tylko przez dwa miesiące. Mówi, że kręci jakiś program o ogrodnictwie.

– To nie ten facet? – Oczy George'a rozszerzyły się.

– Finn jakiś tam?

– Fionn Purdue.

– Tak! Wygugluj go! – George wstał. – Wygugluj go. Wygugluj.

Widziałem go w gazecie. Wygugluj go!

Stłoczyli się wokół komputera Katie i patrzyli z podziwem jak piksel po pikselu pojawia się zdjęcie Fionna.

– Naprawdę jest taki piękny? – zapytała Tamsin. – Czy sprawka photoshopa?

Katie przełknęła ślinę.

– Pewnie mi nie uwierzycie, ale to zdjęcie wcale nie jest zbyt korzystne.

– Chryste!

– Pocałował mnie w rękę.

– Szczęściara!

Przyglądali się uważnie kwadratowej szczęce Fionna i promieniującemu z niego blaskowi, próbując zdecydować, jak nazwać kolor jego włosów, kiedy z ekranu wyskoczył promyk światła i cała piątka się cofnęła.

– Czy on właśnie... mrugnął? – zapytał słabo Danno.

Nikt nie odpowiedział.

– Przepięcie czy coś.

– Tak. Przepięcie. – Zaczęli wracać do biurek. Musieli oddalić się od Katie i tych dziwactw.

– Powiedział, że wieczorem się ze mną spotka.

– Kurde... – Lila – May zmarszczyła czoło. – Dlaczego ty?

– Naprawdę nie mam pojęcia.

Dzień 31…

Maeve siedziała na schodkach przed Bankiem Centralnym i jadła kanapkę, czujnie wypatrując okazji do Dobrego Uczynku. Najpierw zauważyła nieduży plecak, kolorowy i haftowany. Przytwierdzony był do dziewczyny, dość drobnej brunetki z krótkimi włosami, która wyglądała całkiem zwyczajnie, nie licząc otaczającej jej aury wyizolowania. Była sama, zupełnie sama, przemieszczając się przez pozbawiony celu tłum kolorowych ludzi i Maeve rozpoznała sztywny, nieruchomy wyraz jej twarzy. Choć znajdowała się za daleko, aby dojrzeć oczy tej dziewczyny, wiedziała, co by w nich znalazła. To był dzisiejszy Dobry Uczynek, a Maeve tak bardzo nie chciała go robić. Już by wolała wtaszczyć dwadzieścia spacerówek po schodach, ale jaki miała wybór? Nagle, wyczuwając wzrok Maeve, dziewczyna odwróciła głowę, a kiedy ich spojrzenia się skrzyżowały, Maeve zmusiła się do uśmiechu. Prawdziwego uśmiechu, takiego prosto z serca. Dziewczyna wyglądała na skonsternowaną – zastanawiała się, czy zna Maeve, no bo dlaczego ktoś nieznajomy miałby tak ciepło się do niej uśmiechać? Maeve dalej się uśmiechała, wysyłając miłość, ale dziewczyna patrzyła na nią z niepokojem, niemal strachem. „Uśmiechaj się, uśmiechaj”. Wtedy Maeve zaczęły drżeć usta i musiała odwrócić wzrok. Kiedy znowu spojrzała, dziewczyna zdążyła zniknąć, a Maeve czuła się niewyobrażalnie strasznie. Dobre Uczynki miały sprawiać, że poczuje się lepiej, a nie że ogarnie ją rozpacz. Po cóż miała je robić? Ataki paniki wróciły, dziś rano miała kolejny.

Postanowiła, że równie dobrze może zaprzestać Dobrych Uczynków i Trzech Błogosławieństw. Nie działały. Ale jak o tym powie Mattowi?

Dzień 31…

Conall znalazł miejsce parkingowe przy Star Street 74, zaskakująco blisko numeru 66. Jak on to zrobił, zastanawiała się Lydia. Jak to możliwe, że ludzie jego pokroju zawsze dostawali to, czego chcieli?

– Dzisiaj poszło całkiem dobrze – powiedział Conall.

Zdążyła już odpiąć pasy i ręką sięgnęła do klamki, ale się zawahała.

– Nie znoszę, jak to robisz. Ciągle wszystko oceniasz i przypasowujesz konkretną wartość.

– No więc co będziemy robić na drugiej randce?

– Pa.

– Opisz swój wymarzony wieczór.

– Ogłuchłeś?

– No dalej. Wymarzony wieczór.

– Jesteś niewiarygodny. Słyszysz tylko to, co chcesz słyszeć.

– Opisz go. Wszystko, na co zawsze miałaś ochotę.

– No i proszę, znowu to robisz.

Wzruszył ramionami i czekał.

– Aaaa! – Ukryła twarz w dłoniach. – Należysz do tych ludzi, którzy milczenie biorą za... – Nadal się nie odezwał i w końcu Lydia rzekła: – Nie wiem, jak ty to robisz. Opiszę, jeśli mi przyrzekniesz, że nie będę musiała tego robić.

– Twój wymarzony wieczór. Nie chcesz tego robić?

– Nie z tobą.

– Słucham cię.

– Nie słuchasz. Okej, bardzo bym chciała się wybrać...

– Chwileczkę, zanim zaczniesz, opisz coś, co jest do zrealizowania.

Nie ma sensu mówić, że chciałabyś lecieć na Księżyc...

– Nie chciałabym – odparła zwięźle. Kto chciałby lecieć na Księżyc? – Chciałabym się wybrać do Float. To ten klub z basenem na dachu i...

– Znam go.

– Ale trzeba być członkiem...

– Jestem członkiem.

– Panie Hathaway! Naprawdę? Bosko! – Jej twarz rozświetlił promienny uśmiech.

– Możemy tam iść, żaden problem. – Wyglądał na zadowolonego, że może jej sprawić przyjemność.

– Z Poppy, Shoane i Sissy.

– A kto to?

– Moje przyjaciółki.

Twarz mu stężała.

– Więc... jak to? Ja też idę? I płacę za wszystko?

– Wielkie dzięki, Conall. Lubimy różowy szampan.

Patrzył na nią, nic nie mówiąc.

– Och. – Lydia zmarszczyła czoło i pokręciła ze smutkiem głową. – Pan Hathaway nie jest zadowolony?

Z całą pewnością na takiego nie wyglądał.

– Zapytałeś, jak by wyglądał mój wymarzony wieczór. A ja opowiedziałam. Proste.

Wzruszył ramionami i uciekał wzrokiem.

– Dąsasz się? W twoim wieku? Chciałeś, aby mój wymarzony wieczór pokrywał się z tym, na co i ty masz ochotę. Ale ja nie jestem tobą, Hathaway. Nie możesz kazać ludziom chcieć tego samego co ty.

Coś w jej słowach... Nagle usłyszał echo z przeszłości, z tego dnia,

kiedy zabrał Katie do Glyndebourne. To, co mu wtedy powiedziała. „Uważam, że jesteś lekko obłąkany”.

Adaptacja! Adaptacja w celu przetrwania!

– Okej. Zabierz swoje przyjaciółki. Kiedy chcesz tam iść? Dziś wieczorem?

– Boże, nie. Musimy mieć czas na zrobienie włosów.

I chcemy trochę powyczekiwać. Może dla ciebie chodzenie co wieczór do fantastycznych miejsc to nic wielkiego, ale dla nas owszem.

– To co, sobota?

– Sobota! – Ależ pogardliwe spojrzenie mu rzuciła.

– Każdy kretyn wychodzi w sobotę. My pójdziemy w poniedziałek, wtedy się bawią porządni ludzie.

Poniedziałek nie był idealny. We wtorek Conall miał lecieć do Mediolanu. Może udałoby mu się przełożyć to na środę.

– Dobrze, poniedziałek.

– I jeszcze jedno? – dodała miękko.

Spojrzał na nią, gotowy przyjąć słowa wdzięczności.

– Będziesz starszy od nas wszystkich o jakieś sześćdziesiąt lat. Więc o ile ci to nie przeszkadza...?

Trzy lata temu

Wesele Matta i Maeve było tradycyjne i huczne: biały rolls royce, obiad dla stu pięćdziesięciu gości, tradycyjne spory o to, których kuzynów zaprosić. Sami wcale nie mieli ochoty na tak wielką imprezę, ale rodzice, jedni i drudzy, tak bardzo ich na nią namawiali, że dla świętego spokoju dali za wygraną.

– Nieważne jak, ważne, że to zrobimy – stwierdził Matt.

– Jeśli mam być szczera, to wolałabym darować sobie tę całą szopkę – przyznała Maeve. – Cholerni fotografowie, sukienki druhen i cała reszta. Ale mama i tata...

– Tak. – W głosie Matta słychać było zdecydowanie.

– Pogódź się z tym. Jedyne dziecko Reenee i Steviego Deeganów, czyli ty, będzie mieć huczne wesele, czy tego chce, czy nie.

– Nie chcę – powiedziała ponuro Maeve, po czym, niemal natychmiast, się rozchmurzyła. – A co tam, ale będzie impreza.

To jasne, że zorganizowanie wielkiego wesela w sześć miesięcy okazało się sporym wyzwaniem. Hilary i Walter Geary twierdzili, że nie są w stanie zrozumieć akcentu rodziców Maeve. Tymczasem na Reenee i Steviem Deeganach, pragmatycznych ludziach ze wsi, którzy pieniądze na tę okazję odkładali niemal od dnia przyjścia Maeve na świat, wyrafinowanie Hilary i Waltera nie robiło żadnego wrażenia.

Jednak sprawy przybrały znacznie gorszy obrót, kiedy nieoczekiwanie Hilary i Reenee zawarły niecny sojusz: Hilary podsuwała Reenee pomysły, a ta, opływająca w gotówkę, ochoczo im przytakiwała.

Nagle Reenee Deegan nalegała na to, aby Maeve miała wizażystkę, specjalistę od fryzur ślubnych, akrylowe paznokcie i suknię z Harrodsa.

– Z Harrodsa? – zapytała bezradnie Maeve.

– Tak, z Harrodsa – oświadczył zdecydowanie Stevie Deegan. – Wszyscy polecimy do Londynu. Nasza Maeve zasługuje na wszystko, co najlepsze.

– Ale Harrods to... to... jakiś żart! – wykrzyknęła Maeve.

– To najbardziej ekskluzywny sklep na świecie – rzekła Reenee.

– Wcale nie.

– Hilary mówi, że tak.

– Walter też – dorzucił Stevie.

– I musisz mieć sztuczną opaleniznę – kontynuowała Reenee. – Wszyscy będziemy mieć. Hilary zna kobietę, która przyjedzie i nas wypsika. Weźmie ze sobą mały namiot, żeby nie zniszczyć łazienki.

– Nie – powiedziała Maeve z rosnącą paniką. – Żadnej sztucznej opalenizny. Nie czułabym się sobą.

– Nie przynoś nam wstydu, Maeve – skarcił ją Stevie.

– Hilary zna się na rzeczy. Mówi, że w dzisiejszych czasach każda jedna panna młoda w Irlandii robi tę opaleniznę. Wie, co należy robić i dzięki Bogu za to, że ją mamy.

Ale suknie z Harrodsa i mama poddająca się opalaniu natryskowemu nie stanowiły jedynego zmartwienia Maeve. Był jeszcze David. Nie obnosił się już tak dramatycznie z urazą, jak na początku, ale nadal nie odzywał się ani do Maeve, ani do Matta. Czasami w pracy Maeve przyłapywała go na tym, jak przygląda jej się ze smutkiem, ale wtedy pospiesznie odwracał wzrok.

– Powinniśmy zaprosić Davida? – zapytała Matta, trzymając w dłoni długopis i listę potencjalnych gości.

– Chrzanić go – odparł pogodnie Matt.

– Och, Matt.

– Nie jest moim przyjacielem. Ani twoim.

– Ale strasznie go zraniliśmy.

– Minął już prawie rok. Pora, aby to przebolał.

– Nie bądź taki paskudny. – Maeve postawiła ptaszka przy nazwisku Davida. – Zaprosimy go.

– Nie przyjdzie.

– A może przyjdzie.

Maeve nie miała pewności, co byłoby gorsze – czy gdyby przyszedł, czy gdyby nie przyszedł, i nie miała pojęcia, jak to będzie, gdyż David postąpił identycznie jak w przypadku zaproszenia na przyjęcie zaręczynowe: zignorował zaproszenie, nie udzielając ani odpowiedzi twierdzącej, ani przeczącej.

Ślub i wesele były piękne i Maeve bawiła się lepiej, niż się spodziewała, zwłaszcza, że w kwestii opalenizny i sukni z Harrodsa postawiła na swoim. Jednak pod warstwą radości słychać było cichutkie buczenie strachu, tak ciche, że ledwie była go świadoma. Przez cały radosny dzień – a naprawdę był radosny – na coś czekała.

Strach ten sięgnął zenitu podczas tej części ceremonii, kiedy ksiądz pyta, czy ktoś zna jakiś powód, dla którego ona i Matt nie powinni zostać złączeni węzłem małżeńskim. David, pomyślała, i oczami wyobraźni ujrzała, jak wpada do kościoła, wymachując transparentami i wołając, że Matt skolonizował Maeve. Mógł rzucić farbą albo krzyczeć albo... albo...

Ale obyło się bez żadnego incydentu i Maeve znowu zaczęła oddychać.

A potem było po wszystkim. Przysięgi złożono, obrączki nałożono, a ona i Matt szli przez kościół, przez morze uśmiechniętych twarzy, przy triumfującym wtórze organów Przez chwilę od teraźniejszości oderwała Maeve jedna myśl: kiedy wróci z podróży poślubnej, zacznie się rozglądać za inną pracą. Tak będzie fair w stosunku do Davida.

Decyzja została podjęta i nagle już nic nie zakłócało pełni szczęścia Maeve.

Dzień 31…

Katie wiedziała, jak to jest. Telewizja: pracowano do późna. Fionn nie określił godziny, o której się zjawi, ale może przyjść nawet dopiero o dziewiątej. Albo i później, zależnie od tego, co akurat kręcono.

Ubrała się swobodnie i niezobowiązująco. Dopiero po wielu próbach udało jej się stworzyć odpowiednią kombinację, a i tak jeszcze przejmowała się stopami. Nie mogła założyć złotych sandałków, no bo kto chodzi po domu na dziesięciocentymetrowych obcasach? Ale kiedy założyła japonki, od razu musiała je zdjąć, przerażona tym, jak masywnie wyglądają w nich nogi.

Śliczny pedicure, który miała na ślubie Jasona, już się wytarł i wróciła twarda skóra na piętach, ale nic z tym nie zrobiła. Niech się dzieje, co chce!

„Zanim porządnie wygładzę pięty diamentową polerką, on już tu będzie”.

Wiedziała, że Fionn się zjawi. Miała co do tego pewność. Pojawiło się między nimi coś silnego i pewnego, czego nie potrafiła wytłumaczyć.

– Możesz na mnie liczyć – rzekł, kiedy rankiem miała miejsce ich pierwsza rozmowa. – Zawsze możesz na mnie liczyć.

I choć to absurd mówić coś takiego nieznajomej osobie, wiedziała, że to prawda.

Pięty miała już całkiem gładkie, ale on jeszcze się nie zjawił, tarła więc jeszcze trochę, po czym przestała. Jutro nie będzie w stanie chodzić, jeśli nie przestanie.

Zbyt była podekscytowana, aby coś zjeść. Kursowała między salonem a łazienką, sprawdzając makijaż, sprawdzając go ponownie, stając na desce sedesowej i unosząc wysoko lusterko, ponieważ tam było najlepsze światło

w mieszkaniu. Zadowolona, ale także przerażona, dostrzegła na brodzie spory placek nieroztartego podkładu. A gdyby go nie zauważyła? Gdyby polegała wyłącznie na normalnym lustrze w normalnymi świetle? I czy to znaczyło, że na co dzień chodziła z takim makijażem, a inni trącali się na jej widok łokciami i parskali śmiechem? Powinna zapytać o to Danno? A może lepiej Lilę – May: ona zawsze była koszmarnie szczera. Zdjęta paniką, Katie popędziła do sypialni i zmieniła bluzkę. Nie pasowała, w ogóle nie pasowała. Gdzie ona miała oczy?

Szybkie zerknięcie na zegarek. Zrobiła się już za piętnaście dziesiąta, a do Katie zaczął zakradać się strach.

Wiedziała, jak to jest. Telewizja: zgoda, pracowali do późna, ale kontrolowały ich związki. Gdy tylko technicy przepracowali określoną ilość godzin, ich czas biegł według zupełnie innej stawki. Żaden reżyser tego nie chciał. Fionn już dawno powinien był skończyć.

Nagle poczuła głód. Straszliwą chęć na coś pieczonego i w dużych ilościach, ale w szalkach nic nie miała. Nie mogła trzymać w mieszkaniu słodyczy, to by ją zadręczało i wszystko by zjadła, żeby mieć choć trochę spokoju. Pochłonęła banana i natychmiast zapragnęła kolejnych dwudziestu. Koniecznie musiała natychmiast wyjść z kuchni.

Mogła obejrzeć coś na DVD, coś krótkiego, tylko pół godziny, a kiedy odcinek się skończy, Fionn już tu będzie.

Obejrzała jeden odcinek *Star Stones,* ten z Simonem Cowellem, jej ulubiony, a kiedy się skończył, obejrzała ten o Tomie Cruise.

Może da mu czas do jedenastej.

Nie przyjdzie.

Cóż z niej za kretynka, że myślała inaczej. Koniec tego! Mleczko, tonik, krem nawilżający i do łóżka! Ale czy nie powinna położyć się w

makijażu? No bo gdyby zjawił się tu za pięć minut... Nie! Tarła bezlitośnie twarz, aż skórę i oczy miała różowe.

Drań, pomyślała z taką falą goryczy, że aż ją to zaszokowało. Musiała się pilnować. Nie mogła dopuścić do tego, aby stało się z nią to, co wtedy, gdy Jason poznał Donandę. Nie chciała się zapisywać na kolejny kurs. Ani być nawiedzaną przez babcię Spade.

Zgasiła światło i niemal natychmiast w mieszkaniu pod nią zaczęły się jakieś hałasy. Przesuwanie i uderzanie drewna o coś. Przestawiali meble? O takiej porze?... O nie! Ktoś uprawiał seks!

W jej głowie pojawiła się nieznośna myśl: to chyba nie Conall, prawda? Z tą małą taksówkarką Lydią? To by ją zupełnie dobiło. Musiałaby wyjść z łóżka, zejść w piżamie na dół i położyć się na środku ulicy i czekać, aż przejedzie ją autobus. Bo na pewno nie wytrzymałaby słuchania, jak Conall uprawia seks z inną. Z powrotem włączyła światło, wstała z łóżka i przyłożyła ucho do podłogi, nasłuchując. Nie rozpoznawała tych stęknięć. Conall owszem, lubił postękać, ale inaczej. To pewnie jeden z tych Polaków. Jak on miał na imię? Nie mogła sobie przypomnieć...

– Andrzej! Och, Andrzej, Andrzej!

– Dziękuję! – wrzasnęła Katie do podłogi. – Nie zmrużyłabym oka, próbując to sobie przypomnieć. Jestem ci cholernie zobowiązana!

Gniewnie wcisnęła do uszu stopery, tak głęboko, że niemal dotarły do mózgu, i w końcu zapadła w niespokojny, aczkolwiek głęboki sen.

Dzień 31…

– Zrywasz ze mną? Na naszej pierwszej randce?

– Chodzi o to, Rosemary, że poznałem inną.

– Jak? Mnie poznałeś zaledwie pięć dni temu.

Fionn wzruszył bezradnie ramionami. Jak mógł opisać to, co poczuł w stosunku do Katie? W przeciwieństwie do tego wieczoru, kiedy poznał Rosie, z Katie nie było spirali i kolorów. Zamiast tego ogarnęło go nieodparte uczucie, że dotarł do bezpiecznego portu. Wszystko – wszystko – wskoczyło na swoje miejsce. Nie miał na to żadnego wpływu, a jego krótkotrwała fascynacja Rosie natychmiast wydała mu się niemądra i sztubacka.

– Przepraszam – powiedział, mając nadzieję, że będzie mógł odejść. Wieki całe potrwa, nim wróci na Star Street i do Katie.

Na miejsce ich pierwszej randki Rosie wybrała lokal na przeciwległym końcu miasta. Pub w Greystones z oknami wychodzącymi na niewielki port. Bardzo malowniczo. Poza tym – podejrzewał Fionn – tutaj Rosie raczej nie wpadnie na kogoś znajomego.

Fionn nie chciał tu przyjeżdżać. Skoro poznał Katie, jaki to miało sens? Ale dysponował jedynie służbowym numerem Rosie (przebiegła z niej bestia, nie podała numeru swojej komórki), a dzisiaj miała akurat wolne. Nie miał jak tego odwołać, a nie chciał dopuścić do tego, aby siedziała sama w Harbour View w ładnej, bawełnianej sukience w kolorze cytrynowym, sączyła kolorowego drinka i z nadzieją podnosiła głowę za każdym razem, gdy otwierają się drzwi. Kiedyś ją kochał.

Chciał szybko to załatwić – dzięki, że przyszłaś, przepraszam i w ogóle, chodźmy stąd – ale stracił cenny czas, wsiadłszy do niewłaściwej

kolejki i zaliczył dwudziestopięciominutowe spóźnienie.

– To jest niedopuszczalne. – Rosie drżała z oburzenia.

– Nie pozwala się damie siedzieć samej w pubie. Zawsze powinieneś się zjawiać kwadrans przed czasem.

– ... Eee, przepraszam. – Fionn bal się przyznać do pomyłki z kolejką. – Moja praca, przedłużyło się, a to telewizja...

– Telewizja? To może robić wrażenie. Ale złe maniery wrażenia na mnie nie robią nigdy.

Musiał przeczekać krótki wykład na temat etykiety, a potem się okazało, że próbuje rozchmurzyć Rosie. Problem był taki, że Fionn nie do końca wiedział, w jaki sposób z nią zerwać, ponieważ jeszcze nigdy nie musiał tego robić. Do tej pory działo się to bez jego udziału. Kiedy zaprotestował przeciwko planom małego vana z numerem telefonu, pojawiały się łzy, krzyki, być może rzucenie kilkoma przedmiotami. W końcu dziewczyna odchodziła, a Fionn przez jakiś czas był sam z ziemniakami i cukiniami, aż w końcu pojawiała się nowa.

– Rosie, jesteś uroczą dziewczyną – powiedział niepewnie.

Kiwnęła głową. Wiedziała o tym.

– Jestem pewny, że jako dziewczyna jesteś świetna.

– Warto o mnie zabiegać, Fionn.

– I przepraszam, jeśli wprowadziłem cię w błąd...

– Wprowadziłeś w błąd?

– ... ale to się chyba nie uda.

Wtedy dotarło do niej, co się dzieje.

– Zrywasz ze mną? Na naszej pierwszej randce?

Ale nie zalała się łzami upokorzenia. Wyprostowała się, kipiąc słusznym oburzeniem.

– Nie możesz mi tego zrobić. Nie jestem dziewczyną, z którą uprawia się gierki.

Fionna ogarnął wielki niepokój. Będzie nalegać na związek? Zamierzała go zmusić?

– Myślisz, że mam w zwyczaju dawać swój numer mężczyznom? I spotykać się z nimi w Wicklow? Sporo ryzykowałam. Mam chłopaka!

– Nadal go masz?

Niechętnie kiwnęła głową. Do Fionna dotarło, że zbyt jest przebiegła, aby porzucać jednego, nim drugi zostanie przyklepany. Dzięki Bogu za to.

– Wracaj do swojego chłopaka, Rosie. Zapomnij o mnie. – Fionnowi przypomniało się zdanie, które czasami słyszał przy okazji rozstania. – Jestem pieprzonym idiotą. Nie jestem ciebie wart.

Z Greystones do miasta musieli wrócić tą samą kolejką – rzadko tu kursowały i spóźniało się na własne ryzyko. Siedli, naturalnie, w różnych wagonach. Kiedy on wysiadł na Pearse Street, ona została, a kiedy pociąg ruszył i Rosie go mijała, uniosła brodę i odwróciła głowę, wyraźnie okazując pogardę. Nie było to przyjemne.

Fionn wbiegł po schodach na ostatnie piętro Star Street 66, ale jego pukanie spotkało się z brakiem reakcji. Katie spała? A może go ignorowała?

Koniecznie musiał się z nią spotkać. Musiała się dowiedzieć, że Fionn nie jest dziwadłem. Ani...? Gorączkowo szukał w myślach obelg z dotychczasowych rozstań. Co jeszcze wykrzykiwały dziewczyny, nim po raz ostatni opuszczały jego dom? Że jest miernotą. Cwaniakiem. Popaprańcem. Niedojrzałym durniem. Ale najbardziej popularny był pieprzony idiota.

Ale teraz już taki nie był; teraz był mężczyzną, mężczyzną, którego zamiary są poważne, i Katie musiała się o tym dowiedzieć. Ale nie otwierała drzwi.

List. Napisze list i wszystko wyjaśni. W kieszeniach znalazł cieknący długopis i kilka kartek z rozpiską wczorajszego odcinka.

Droga Katie,

Przepraszam, że przyszedłem dopiero teraz.

Ale nie miał zegarka, nie wiedział więc, co to za teraz.

Chciałbym się z Tobą spotkać. Zadzwonię. Możesz być tego pewna.

Pozdrawiam,

Fionn

Ale słowa były frustrująco nieadekwatne. Musiał udowodnić, że jest mu przykro. Obszukał kieszenie i wyjął gałązkę szałwii. Nie. Na co mu była mądrość? Albo szare kamyki? Albo rozdarty papierek po gumie do żucia? Dalsze poszukiwania zaowocowały wygrzebaniem z dna kieszeni przywiędniętej, ciemnozielonej gałązki. Co to takiego? A potem skojarzył. No, idealnie! To była ruta. Ruta doskonale się nadawała do przekazywania informacji – Boże Wszechmogący, zaczynał myśleć scenariuszami Grainne Butcher – gdyż była gorzka i trująca. Dawniej ludzie rzucali nią podczas ślubów, kiedy ich ukochany lub ukochana poślubiali innego.

Proszę, przyjmij ten dar na dowód mego żalu.

Nie miał pewności, czy gramatycznie jest to poprawnie, ale za to na pewno prosto z serca, a Grainne ciągle powtarzała, że jeśli coś jest prosto z serca, to na pewno zadziała. Następnie zawinął gałązkę w kartkę i próbował wsunąć przez szparę pod drzwiami – ale się nie dało. Drzwi Katie miały na dole coś w rodzaju krótkiej szczotki. (Sposób na przeciągi, ale skąd miał to wiedzieć on, który nie lubił zajmować się domem.) Niechętnie zostawił kartkę przed drzwiami i niespokojnie zszedł do mieszkania Jemimy, gdzie od wielu godzin Grudge czekał na to, aby go ugryźć, a potem udawać, że to był przypadek.

Fionn się bał. Dzisiejszego wieczoru przekonał się, że nie wszystkie kobiety są takie jak te w Pokey, które, z perspektywy czasu, były słodkimi, uległymi stworzeniami, zawsze dającymi mu dużo luzu, pomimo obelg zazwyczaj sygnalizujących koniec znajomości. Katie mogła się okazać równie twarda i bezlitosna jak ta cała Rosie.

Katie mogła się już nigdy do niego nie odezwać.

Masz rację, Fionn, mogła.

Dzień 30…

Zadzwonił telefon Lydii. Otworzyła go i rzuciła:

– Cześć, Poppy.

– Odsłuchałam twoją wiadomość. Ale kim jest ten facet?

– Nikim. To po prostu nadziany starszy koleś, który mnie zamęcza.

– I za wszystko zamierza zapłacić? Różowy szampan, ile tylko mamy ochotę?

– Ile tylko mamy ochotę.

– Lydia, tak nie można.

– Wie, jaka jest sytuacja, i nie chce dać mi spokoju.

– Ale to tak, jakby... jakby cię kupował.

– Wcale mnie nie kupuje! Nie jestem na sprzedaż.

– Nie boisz się? Tego faceta?

– On nie jest taki. Właściwie to trochę mi go żal.

– Ale te kwiaty były dobre. Zabawne.

– Tak, kwiaty rzeczywiście były dobre.

– Nie wiem, Lydia, to wszystko wydaje się nieco podejrzane.

– Chcesz iść do Float czy nie?

Zgodnie z przewidywaniami Lydii Conall nie miał zielonego pojęcia o sprzątaniu. Wlał do zlewu prawie całą butelkę płynu do naczyń i powstała piana niemal zmiotła Ellen, Lydię i jego. Kuchnia wyglądała jak po jakiejś niezłej imprezie.

Ale poza tym Lydia musiała przyznać, że poradził sobie całkiem nieźle. Ellen go polubiła.

– Jesteś chłopakiem Lydii? – zapytała go, gdy przedzierał się przez pianę, próbując zlokalizować zlew.

– Jeszcze nie, może. Ale pracuję nad tym.

– Starszy mężczyzna?

– Na to wygląda.

– Chłopcy zawsze lubili Lydię.

– Wierzę pani.

Na dźwięk otwieranych drzwi cała trójka odwróciła się. To Ronnie, z czerwonymi ustami, kontrastującymi z czarną, szatańską brodą. Lydia nie pamiętała, kiedy ostatni raz się z nim widziała.

– Co tu się dzieje? – Ronnie mówił cicho, ale w jego glosie czaiła się groźba.

– Och, no wiesz – odparła Lydia. – Sprzątam brudny dom, opiekuję się naszą mamą, ponieważ...

Ronnie zignorował ją i skupił się na Conallu.

– A ty co za jeden?

– Conall Hathaway. – Conall wytarł dłoń o dżinsy, wyprostował się i uścisnął rękę Ronniego tak, że pewnie go zabolało. Żaden się nie odezwał, ale emanowało z nich tyle wrogości, że Ellen zerknęła niespokojnie na Lydię.

Impas uległ przerwaniu, kiedy jakiś dźwięk przed domem kazał Ellen wyjrzeć przez okno.

– Przyjechał Murdy!

– Jak w sitcomie – stwierdził Conall.

Ellen zaśmiała się radośnie.

– Powinieneś tu częściej przyjeżdżać. Zazwyczaj chłopcy unikają Lydii jak zarazy.

Po tym przenikliwym stwierdzeniu zapadła pełna zdumienia cisza. Nawet Ronnie wydawał się zaskoczony.

– Jeśli zostaniesz wystarczająco długo – dodała Ellen z błyskiem w oku – to ze Stuttgartu przyleci Raymond.

Do domu wszedł Murdy i za cel obrał sobie Lydię.

– Flan Ramble dzwonił, że przed domem stoi elegancka fura z dublińską rejestracją. – Zmarszczył czoło i niemal zapiszczał: – Zamierzasz kupić lexusa?!

– Nie, należy do mojego przyjaciela.

Murdy cofnął się o krok, gdy zza Lydii wyłonił się Conall.

– Conall Hathaway. – Posłał Murdy'emu twarde spojrzenie.

– Miło cię poznać, miło cię poznać. – Murdy był cały w uśmiechach. Zawsze lekko głupiał, gdy wyczuwał pieniądze. – Przyjaciele siostry i tak dalej, sam wiesz. Razem pracujecie czy to prywatna znajomość?

Bombardował Conalla sondującymi pytaniami i przesadnymi komplementami. („Ile masz wzrostu, metr dziewięćdziesiąt, metr dziewięćdziesiąt pięć? Tylko metr osiemdziesiąt trzy? Wydajesz się znacznie wyższy". „Oprócz lexusa masz jakiś inny samochód? " „Czym jeździ twoja żona? Nie masz żony? Psiakość! " „Myślisz o tym, aby poprowadzić siostrę do ołtarza? " „Jakie autko byś jej kupił, gdybyś się z nią

hajtnął? ” „W obecnej sytuacji ekonomicznej najlepiej inwestować w niewielkie biznesy”.) Murdy rozpaczliwie pragnął poskładać wszystko do kupy: ile Conall jest wart? Jak dużą władzę ma nad nim Lydia? Co on, Murdy Duffy, mógłby z tego mieć.

– Jaki jest brat numer trzy? – Conall zapytał Lydię *na* tyle głośno, że Ronnie i Murdy wszystko słyszeli.

– Raymond? Fajny. Zna mnóstwo zabawnych historyjek.

– Już go nie znoszę – odparł Conall przeciągle.

Dzień 30…

Katie nie chciała się obudzić. Nie chciała iść do pracy. Wszystko było do dupy.

Gdyby nie wskrzeszenie kariery tego biednego Wayne’a Diffneya, w ogóle nie wstałaby z łóżka.

Kiedy pod drzwiami zobaczyła kartkę, wywnioskowała, że to od Fionna, ale nie zabiło jej mocniej serce. Już nigdy tego nie zrobi. Rozłożyła kartkę i zignorowała małą, ciemnozieloną gałązkę, która spadła na ziemię.

Przepraszam

Taa, jasne.

Zadzwonię. Możesz być pewna.

Nie sądzę.

Proszę *przyjmij ten prezent*

Następny Conall, co to sądzi, że ze wszystkiego się może wykupić. A zresztą jaki prezent? Rozejrzała się, ale nie zobaczyła żadnych kwiatów ani czekoladek, żadnego pudełka z absurdalną bielizną. Ktoś mógł to

oczywiście ukraść, ale raczej mało to było prawdopodobne. Fionn to kolejny dziwak. Kolejny Conall.

Zwinęła kartkę w kulkę i wrzuciła ją przez ramię do mieszkania, po czym zamknęła za sobą drzwi. Na podłodze koło schodów leżał jakiś chwast. Powinna go podnieść i wyrzucić do kosza, ale rozdeptała go na miazgę czerwoną podeszwą swego Louboutina.

Dlaczego opowiedziała wszystkim w pracy o Fionnie? Teraz będą czekali z niecierpliwością na wieści, jak jej poszło. Nie mogła znieść myśli, że będą się nad nią litować, postanowiła więc, że skłamie. Kłamstwo będzie mało precyzyjne i nonszalanckie. Tak, był u niej. Tak, bardzo przystojny. Nie, okazał się niezbyt mądry. Nie, nie poszła z nim do łóżka. Nie, więcej się nie spotkają.

Dzień 30…

Dziś wieczorem żadnego specjalnego makijażu. Twarz Katie odziana była jedynie w cierpkie rozczarowanie.

Krótko po dziewiątej rozległo się gorączkowe pukanie do drzwi. To mógł być mężczyzna w kominiarce, z harpunem w ręce i złem w sercu, ale Katie i tak otworzyła. A co jej szkodzi? Splądrowanie jej domu, zbezczeszczenie ciała... miała to wszystko gdzieś. Niemniej jednak nie zdziwiła się zbytnio, widząc na progu Fionna, złotego i promiennego, uśmiechającego się do niej z miłością.

– Spóźniłem się – rzekł.

O dwadzieścia cztery godziny i dwadzieścia lat, pomyślała.

– Mogę wejść?

– Nie. Mogłeś wejść wczoraj wieczorem, ale niestety nie skorzystałeś

z tej możliwości.

– Wczoraj wieczorem musiałem coś załatwić i potrwało to dłużej, niż zakładałem. Dostałaś rutę?

– Co takiego?

– Rutę.

Tak, tak właśnie chyba powiedział.

– Taka roślinka. Wczoraj wieczorem zostawiłem ci gałązkę.

Przypomniał jej się chwast, który rozdeptała rano obcasem.

– Nie wiem, skąd ją miałem – dodał pospiesznie. – Nie hoduję jej, jest trująca. Ale kiedy wczoraj próbowałem ci napisać, jak bardzo jest mi przykro, pojawiła się w mojej kieszeni. Musisz mi wybaczyć. Tak ma być.

Bzdury.

– Jesteś dziwadłem.

– Tak! I cwaniakiem, popaprańcem, niedojrzałym durniem, a najbardziej to pieprzonym idiotą. Ale jestem gotowy się zmienić. Dla ciebie.

Milczała. To były naprawdę imponujące przeprosiny. Znacznie bardziej szczere i przekonujące niż cokolwiek, co przygotował naprędce Conall.

– Naprawdę się boję, że mi nie wybaczysz – rzekł Fionn.

– Mogę ci opowiedzieć o wczorajszym wieczorze. Musiałem jechać do Greystones i wsiadłem w niewłaściwą kolejkę, częściowo dlatego, że, jak powiedziałaś, jestem dziwadłem, a częściowo dlatego, że próbuję udawać, iż Dublin nie istnieje, chociaż mieszkałem tu do dwunastego roku życia.

Upadł na jedno kolano.

– Wstawaj – odezwała się Katie. – Dobrze ci idzie, ale zaczyna się z tego robić farsa.

– ... przerobiłabym cały pokój na garderobę dla butów. Pamiętasz,

jaką Mr Big zrobił dla Carrie? Nie? No to ci opiszę...

– ... Jemima kupiła mi kurtkę, taką zwyczajną wiatrówkę. Ale wmawiałem sobie, że kiedy ją noszę, to mam w sobie magiczną siłę. Że sprawię, aby mój tata wrócił z morza...

Jakimś cudem skończyło się to tak, że leżeli na łóżku Katie, w ubraniach, szeptem wyjawiając swoje sekrety.

– ... własny mały van i jeździłabym na festiwale i ranni ludzie przychodziliby do mnie, a ja przemywałabym im rany i miałabym plastry w najprzeróżniejszych rozmiarach, no bo do owinięcia palca potrzebny jest mały, ale kiedy zranisz się w kolano, potrzebujesz dużego, dziesięciocentymetrowego...

Ujął jej twarz i ponownie pocałował. Katie pomyślała, że dobrze, iż leży, inaczej mogłaby zemdleć. Jeszcze nigdy nikt jej tak nie całował, tak powoli, tak bezgranicznie, jakby całowanie się było sensem istnienia. – co ci się stało w rękę? – zapytała. – Skaleczyłeś się?

– Wczoraj wieczorem ugryzł mnie pies Jemimy. Udawał że to niechcący. To zwierzę ma nie po kolei w głowie.

Ponownie się pocałowali, a jakiś niezmierzony czas później, Fionn zapytał:

– Ty też to poczułaś? Jak tylko cię zobaczyłem, wiedziałem. Że jesteś najważniejszą osobą w moim życiu.

– Dlaczego ja?

– Bo ty nie umrzesz.

– Co masz przez to na myśli?

– Właściwie to nie wiem.

– Ale ja umrę. Wszyscy umrzemy.

– Ale nie w najbliższym czasie. Najtrudniejsze za tobą. Trzydziestka.

Wtedy właśnie kobiety umierają.

– Twoja żona?

– Nie.

– Mama?

Kiwnął głową.

– Tego właśnie najbardziej pragnąłem, kiedy nosiłem Magiczną Kurtkę. Żeby wróciła.

Katie musiała odczekać chwilę, w przeciwnym razie wyglądałaby na osobę zupełnie nieczułą. Po czym zapytała:

– Więc wyglądam na czterdzieści lat?

Prawdę mówiąc, sądziła, że trzyma się całkiem nieźle. Zawsze stosowała krem z filtrem, piła dużo wody i tym podobne.

– Tego nie twierdzę. Nigdy nie mam pojęcia, ile ktoś ma lat. Ale ty wydałaś mi się bezpieczna.

– Jak to bezpieczna?

– Bezpieczna dla mnie. Niezagrożona nieszczęściem. Po prostu bezpieczna.

Dzień 29

Kiedy Katie się obudziła, jej sypialnia skąpana była we wczesnoporannym świetle. Nadal miała na sobie ubranie, oprócz butów. Miała wrażenie, że odziana jest w jedwabną, utkaną przez wróżki siateczkę. Kto by pomyślał, że jej dobra, stara kołdra może się wydawać tak rozkosznie delikatna?

– Muszę już iść – oznajmił Fionn. – Do pracy.

– Okej.

– Dziś wieczorem?

Kiwnęła głową.

– Mam dla ciebie prezent. – Podał jej zieloną gałązkę.

– Znowu ruta? – Ziewnęła. – Nie mówiłam, że ci wybaczyłam?

– To szałwia. Zasiałem ją kilka miesięcy temu i nie wiedziałem dlaczego, ale teraz widzę, że hodowałem ją dla ciebie. Szałwia oznacza mądrość.

– Dzięki.

Pozwoliła, by włożył jej szałwię w dłoń, ale nie chciała mądrości. Fionn był jej przygodą, jej prezentem dla samej siebie; gotowa była przygarnąć swawolną głupotę.

– No no no! Ktoś tu coś dostaje! – wykrzyknął Danno, gdy Katie szła do swego biurka.

– Promieniejesz, dziewczyno – oświadczył George.

– Czy ty nie... zeszczuplałaś? – Lila – May zmrużyła oczy.

– Jak to, od wczoraj?

– Powrót Barbarzyńcy? – zapytał Danno.

Katie niemal się potknęła.

– Nie.

– No to kto? Ten ogrodnik – celebryta?

Kiwnęła głową.

– Mówiłaś, że to idiota!

– Tak, cóż...

Dzień 29…

Matt i Maeve leżeli na sofie, smętnie oglądając, jak jacyś ludzie urządzają na nowo łazienkę. Po dwudziestu sześciu minutach milczenia

odezwał się Matt:

– Można by pomyśleć, że ludzie nabiorą podejrzeń, kiedy człowiek kupi siekierę.

– Co takiego?

– Siekierę. Nie wysyłałby tym samym sygnałów, że planuje morderstwo, gdyby wrócił do domu z błyszczącą, nową siekierą? Do czego innego mógłby jej użyć?

– Do rąbania drewna?

– Kto w dzisiejszych czasach rąbie drewno? Nie żyjemy w bajce o Czerwonym Kapturku.

– O czym ty mówisz?

– Na przystanku stała kobieta...

– Myślisz o tym, żeby mnie zabić?

– Maeve!

– Twoja podświadomość najwyraźniej próbuje mi coś powiedzieć.

– Nie mam podświadomości! Cholerna dr Shrigley. Przez nią masz potem takie pomysły. Mówię jedynie, że parę tygodni temu na przystanku stała pewna kobieta i...

– Co byś zrobił, gdybym umarła?

Z widocznym wysiłkiem jakoś się uspokoił.

– Moje życie byłoby nie do zniesienia, równie dobrze mogłoby się skończyć.

– Poznałbyś inną mnie.

– Nie. No bo jak? Nigdy nie będzie innej ciebie.

– Na świecie są miliony dziewczyn takich jak ja, dziewczyn znacznie lepszych ode mnie. Byłbyś szczęśliwszy z jedną z nich.

– Nieprawda.

Zaśmiała się lekko, niemal pogardliwie.

– Kiedyś mówiłeś, że gdybym umarła, to byś się zabił.

– ... Bo tak bym zrobił. Zabiłbym się. O to mi chodziło.

– Nie to powiedziałeś.

– To miałem na myśli.

Przez chwilę panowała pełna napięcia cisza.

– A zresztą – przerwał ją Matt – ty nie zamierzasz umierać.

Nie byłbym tego taki pewien, mój milusieńki Amigo...

W końcu dotarło do mnie, że Maeve nie ryzykuje podczas jazdy rowerem tytko po to, aby zrównoważyć nudę życia domowego. Przez kilka ostatnich dni obserwowałem ją, naprawdę uważnie obserwowałem. Pomimo muru między nami jedna czy dwie jej myśli były tak intensywne i szokujące, że mnie dosięgły.

„Gdyby ta ciężarówka skręciła i wjechała we mnie, nie miałoby to znaczenia, w ogóle nie miałoby to znaczenia".

„Gdybym przejechała na tym czerwonym świetle i gdyby uderzył we mnie samochód, proszę jedynie o natychmiastową śmierć".

Nie chce połykać tabletek ani ciąć nadgarstków – a przynajmniej na razie. Ale jeśli wystarczająco długo będzie tak ryzykancko jeździć, w końcu coś się stanie.

Dzień 27

Dwa i pół dnia gry wstępnej. Calutki weekend. Tyle trwało, nim w końcu się rozebrali. Dopiero późnym wieczorem, w niedzielę, Fionn pozbawił Katie ubrań z takim namaszczeniem, jakby robił coś uświęconego.

Szczupły i długonogi, leżał przed nią nagi. Całował ją wszędzie: palce

u stóp, miejsca za kolanami, dolna część kręgosłupa, miejsca, których dotąd nikt nie całował. Kiedy jej podniecenie osiągnęło szczytowy poziom, przeturlała się na Fionna, ale on ją powstrzymał.

– Proszę – powiedział. – To nasz pierwszy raz i nie chcę, aby się kończył.

Jęknęła.

– Nie, to musi być teraz.

Opuściła się na niego i była tak upojona rozkoszą, że miała wrażenie, że tworzą z Fionnem nierozerwalną całość. Jeszcze nigdy nie przeżyła takiego seksu, był niemal mistyczny.

Kiedy nastąpił koniec, wszystko zaczęło się od nowa, jeden ciągły, płynny akt, a Katie była tak rozanielona, wolna i upojona, że zasnęła, czując go jeszcze w sobie. Słońce zdążyło już wzejść.

Bicie ich serc... Fionna w ogóle nie wyczuwam. Zupełnie jakby cały oddał się Katie. Stali się jednością.

Dzień 26

Mam wielki problem i piszę da ciebie, mój irlandzki bracie, prosząc o pomoc.

Spam od jakiegoś mistrza przekrętów. Conall czytał Black – Berry i musiał przyznać, że podziwia go za to, że wybrał rynek irlandzki. Leniwie przewijał łzawą opowieść o niedolach i aktywach zamrożonych w zagranicznych bankach... kiedy coś kazało mu unieść głowę. Do jego boksu prowadzono młodą kobietę. Dopiero po chwili rozpoznał w niej Lydię. W krótkiej spódnicy, szpilkach i z mocno pomalowanymi oczami była zupełnie inną osobą. Seksowną wręcz niewyobrażalnie.

Porzucił BlackBerry i wyprostował się.

Lydia ciągnęła za sobą trzy inne dziewczyny, wszystkie pachnące, wystrojone i rozchichotane, ale żadna nie była tak seksowna jak ona. Za nimi szło dwóch ponurych mężczyzn.

– Panie Hathaway, pańscy goście. – Hostessa uśmiechnęła się i zniknęła.

Conall nachylił się, aby pocałować Lydię w policzek, ona jednak zdążyła odwrócić głowę, aby ocenić, jak ich boks wypada w porównaniu z innymi. Patrzył, jak lustruje wszystko uważnie, dostrzegając ich punkt obserwacyjny nad parkietem i bliskość do wiodących na basen schodów.

– To dobry stolik – orzekła.

– Najlepszy – odparł. Ponieważ o niego poprosił. I za niego zapłacił. Nie ma co zdawać się na łut szczęścia.

Wtedy przypomniało jej się chyba, że nie przyszła sama.

– A właśnie, Poppy, Shoane, Sissy, Conall.

Były słodkie, ale nie wykazywały nim większego zainteresowania – mocno się to różniło od innych okazji, kiedy po raz pierwszy spotykał grono przyjaciół jakiejś dziewczyny. Tamte okazje zawsze charakteryzowało napięcie i podekscytowanie. Musiał paradować jak konkursowy byk, a jego dziewczyna była z niego taka dumna i tak desperacko pragnęła, aby polubił jej przyjaciół. Nieuchronnie rozmowy prowadzono zbyt wysokim głosem; niemal bez powodu rozlegały się nieco histeryczne wybuchy śmiechu; żartobliwe uwagi niewłaściwie odbierano, a wszelkie próby wyjaśniania czyniły to wszystko jeszcze potworniejszym.

Tym razem było zupełnie inaczej. Poznanie przyjaciół Lydii nie miało nic wspólnego z klinami sera i dodatkami. Był po prostu użytecznym głupcem, który akurat posiadał kartę członkowską we Float.

Lydia kiwnęła głową na czających się za dziewczynami chłopaków, przywołując ich bliżej.

Zachowywali się ostrożnie, niemal nerwowo.

– To Solidny Bryan.

– Miło cię poznać, Solidny Bryanie.

Solidny Bryan miał zbolałą minę.

– A to BusAras Jesse.

– Miło mi.

Jesse miał błyszczące oczy i wydawał się przejęty. Chyba pochodził z południowej Afryki. Nie, lekko inny akcent. Prawdopodobnie Zimbabwe.

– Siadajcie – rzuciła Lydia i wszyscy ruszyli ochoczo w stronę boksu. Tylko dzięki swej zwinności Conallowi udało się wejść przed Shoane i tym samym zająć miejsce obok Lydii.

Czająca się w pobliżu kelnerka, wysoka blondynka z długaśnymi, opalonymi nogami, wymruczała:

– Mam otworzyć szampana, panie Hathaway?

Uśmiechem wyraził zgodę.

W milczeniu obserwowali rytuał wyjmowania butelki kubełka z lodem, otwierania i nalewania szampana do kieliszków.

– Różowy – stwierdziła Poppy.

– Mówiłam – rzekła Lydia.

Po napełnieniu siedmiu kieliszków okazało się, że butelka jest niemal pusta. Kelnerka spojrzała pytająco na Conalla, na co on skinął dyskretnie głową, ale najwyraźniej nie dość dyskretnie, gdyż zobaczył, jak Poppy ściska ramię Sissy, a Sissy Poppy w geście mówiącym: „Możesz w to uwierzyć? ”

Rozdano kieliszki i nastąpiło stukanie się nimi.

– Toast – ktoś zawołał.

– Za Lydię, że nas tu przyprowadziła!

– Nie, jak się nazywa ten facet? – usłyszał Conall pytanie Solidnego Bryana.

– Conall Hathaway – odparła Lydia, jakby nie siedziała tuż obok niego.

– Za Conalla Hathawaya!

– Okej. Za Conalla Hathawaya!

Conall pozwolił sobie na blady uśmiech. Wiedział, kiedy ktoś z niego drwi.

– Kiedy idziemy pływać? – zapytała Sissy kilka butelek później.

– Jestem jeszcze za mało pijana – odparła Shoane.

– To zabawne – stwierdziła Sissy. – Ja chyba jestem za bardzo pijana. Mogłabym się utopić. Boże, nie mogę uwierzyć, że tu jestem.

– Nie pływam zbyt dobrze. – Lydia nie znosiła wody. Włosy zrobiłyby jej się pierzaste, a z ciała zmyłby się bronzer. Fajnie być w miejscu z basenem, ale nie trzeba przecież z niego korzystać.

– Ten twój Conall nie jest taki zły, jak mówiłaś – powiedziała cicho Shoane. – Jeszcze się nie rozsypuje.

– Przestań.

– Ma dopiero czterdzieści dwa lata – wtrąciła Poppy,

– Zamierzasz się z nim przespać?

– Nieeee! – zarechotała Lydia. – ... Jasne, pewnie to zrobię.

– To będzie fair.

– I przyzwoite.

– Kupił nam tyle szampana.

– Bądź dla niego miła.

– Daj staruszkowi trochę szczęścia.

– Czemu nie? Ale na litość boską... – Lydia przywołała je gestem, aby złączyły się głowami. – Nie pozwólcie mu tańczyć.

– Nie, nie. To byłoby straszne. Jedno z nas zostanie z nim gadać. Może Bryan?

– Jasne, Bryan lepiej też niech nie tańczy – stwierdziła Poppy. – Gdybym to zobaczyła, obawiam się, że odwołałabym ślub.

Conall wymacał w kieszeni BlackBerry. Czy mógł...? Tylko zerknąć? Źle by to wyglądało? W końcu nie musiał się nikim przejmować. W boksie siedział sam; wszyscy się rozpierzchli. Po chwili otwarcie odpisywał na maile.

Nie widział Lydii od jakiejś godziny. Wraz z pozostałymi dziewczynami poszła tańczyć i choć sam nie miał tego w planach – miał w końcu swoją godność – Lydia położyła mu stanowczo dłoń na klatce piersiowej i oznajmiła: „Ty tu zostajesz i rozmawiasz z Solidnym Bryanem".

Ale Solidny Bryan nie należał do błyskotliwych rozmówców. Tak bardzo wydawał się przerażony zbliżającym się ślubem, że prawie w ogóle się nie odzywał. Mruknął coś o papierosie i od tamtej pory Conall go nie widział.

Na początku BusAras Jesse zapowiadał się lepiej. Uraczył Conalla opowieścią o tym, jak poznał Sissy w kolejce do kasy na dworcu autobusowym. Miało to jakiś związek z rozmową na temat słowa „posępny", w którą zaangażowali się chyba wszyscy podróżni. Następnie dowiedział się, w ilu krajach Jesse skakał już na bungee. I poznał jego plan jazdy na snowboardzie na jakiejś czarnej trasie, gdzie często giną ludzie.

– To nielegalne, ale znam pewnego kolesia. Trenuje tam gwardia

pretoriańska Kaddafiego.

Ciekawe, czemu ludzie z półkuli południowej tak bardzo sobie upodobali sporty ekstremalne. I czy Kaddafi rzeczywiście ma gwardię pretoriańską?

Następnie Jesse wyzwał go na pojedynek, polegający na wstrzymywaniu powietrza w basenie, a kiedy Conall odmówił, sprawiał wrażenie zaskoczonego i urażonego.

– Jak sobie chcesz, facet – oświadczył i odszedł gniewnie, zostawiając Conalla sam na sam z Black Berry.

– Coś do picia? – Przy stoliku pojawiła się kelnerka.

– ... Ach... chyba jeszcze jedną butelkę – odparł.

– Jasne. Coś jeszcze?

Conalla mocno kusiło. Serwowano tu jedzenie. Ale nie mógł tego zrobić – dorosły mężczyzna jedzący w nocnym klubie lody czekoladowe to doprawdy przezabawny widok. Kokaina, to właśnie konsumowało się w nocnych klubach, a nie lody.

– Nie, nie, dzięki. Po prostu jeszcze jedną butelkę szampana.

Gdy zniknęła, Conalla naszły poważne wątpliwości. Już tak długo nie widział Lydii, że ona i jej przyjaciele mogli już dawno stąd sobie pójść. Wstał, by wypatrzyć ją na parkiecie, i nagle pojawiła się przed boksem.

– Byłyśmy na górze – rzekła. – Mały ten basen. – Następnie zamachała dłońmi, ochlapując go wodą i ze śmiechem uciekła.

Powoli wytarł rękawem czoło. Miał dość. Nie podobało mu się tutaj. Był członkiem każdego klubu w Dublinie na wypadek, gdyby goszcząca z wizytą tajemnicza postać miała ochotę gdzieś wyjść, ale nie należał do stałych bywalców, a to miejsce wydawało się gorsze od większości tego typu przybytków. Zauważył, że nie jest we Float jedynym mężczyzną ze

świtą znacznie młodszych kobiet; różniło ich jedynie to, że jego dziewczyny nie były Rosjankami. Nagle Conall poczuł się głupio, i wykorzystywany, i wykorzystujący, i naprawdę żałośnie. Generalnie nie potrafił przyznać się do porażki, ale nie wkładał w to swego serca. Samemu wybiera się swoje bitwy, a jemu już nie zależało, aby tę wygrać.

Ni z tego, ni z owego pomyślał o Katie.

Dzień 26…

Katie pochyliła się, gdy na ekranie pojawiła się czołówka *Twojego własnego Edenu*. W montażowni panował spory tłok: Jemima, Grudge, Grainne Butcher, Mervyn Fossil, Alina, technicy oraz gońcy. Wszyscy cisnęli się na sofie, niemal siedząc jeden na drugim. To była dopiero wersja robocza

– jeszcze bez muzyki – ale bardzo ważna, ponieważ aż do teraz nikt oprócz Grainne nie widział całego programu.

No i oto pierwsze ujęcie Fionna! Stojącego na wzgórzu i zapatrzonego w horyzont. Katie uścisnęła jego dłoń, która była spocona ze zdenerwowania.

Fionn zadzwonił dziś do niej do pracy.

– Grainne mówi, że jest już gotowy pierwszy odcinek. Wieczorem będziemy go oglądać. No i tak jakby świętować. Przyjdziesz?

Zaskoczyło ją to i wzruszyło, zwłaszcza że nie podawała mu numeru do pracy.

– Alina mi go znalazła – przyznał.

Sztywna z koncentracji, Katie z uwagą wpatrywała się w monitor, modląc się, aby program nie okazał się totalnym niewypałem. A jeśli się

okaże? Co wtedy powie? „Odważny”, to dobre słowo. „Zaskakujący”.

Z niepokojem musiała przyznać, że kamera nie oddaje sprawiedliwości Fionnowi; w prawdziwym życiu był znacznie piękniejszy. No i ta gadka o robieniu własnego kompostu jakoś do niej nie przemawiała. Kiedy jednak przeszli do następnego punktu programu i na ekranie pojawił się Fionn,

przechadzający się po wiejskim targu, omawiający produkty sezonowe, a potem nastąpiło mnóstwo zbliżeń jego dłoni, powoli dotykających i gładzących falliczne warzywa, Katie poczuła interesujący dreszczyk.

– Wow – mruknęła, a Fionn spojrzał na nią z wdzięcznością.

Co jakiś czas kamera pokazywała, jak Fionn spontanicznie wyjmuje z kieszeni kamyczki, zioła czy kryształy i wręcza je przypadkowym przechodniom. Obdarowani reagowali zaskoczeniem i ciekawością i często ten drobny podarunek okazywał się im bardzo przydatny. Te małe obrazki stały się motywem przewijającym się przez cały program, a kiedy Fionn po raz kolejny sięgnął do kieszeni, Katie się przekonała, że rzeczywiście czuje podekscytowanie. Co się tym razem wyłoni? I jakie będzie mieć znaczenie dla obdarowanej tym czymś osoby?

– Ta marynarka powinna mieć swój własny program – stwierdziła Katie, a pozostali zaśmiali się serdecznie.

Tego nie dało się udawać. Dzięki nabytemu w pracy doświadczeniu Katie potrafiła rozróżnić prawdziwą wiarę w dany produkt od symulowanego. Dla niej *Twój własny Eden* był świetny. Jego sukces był oczywiście uzależniony od oglądalności, która będzie uzależniona od czasu antenowego, który będzie uzależniony od reklam, które będą uzależnione od oglądalności. Coś jak z pytaniem, co było pierwsze: jajko czy kura? Zapewnienie sukcesu jakiemuś programowi telewizyjnemu było bardzo

trudne. Istniała niezliczona ilość zmiennych i tak wiele zależało od łutu szczęścia.

Stojący przy drzwiach Menyn strzegł trzech butelek bąbelków. Gdyby uznał, że program jest do bani, po prostu zaniósłby je z powrotem do samochodu i zawiózł do domu.

– Otwórz je – warknęła do niego Grainne. – Wszystkie trzy.

Strzelił korek i popłynął musujący strumień.

– Gratulacje! – słychać było ze wszystkich stron.

Katie stuknęła się kieliszkami z Fionnem, Jemimą, Grainne i jeszcze raz z Fionnem. Patrząc mu w oczy, przełknęła łyk płynu. To nie był szampan. To nie było nawet prosecco. Była to jakaś taniocha, ale smakowała szczęściem.

Dzień 26…

Program o urządzaniu domów. Po wszystkim Matt pomyślał z pewną dozą zjadliwości, że skoro on nie jest bezpieczny, to co jest? Ona nie była nawet jakoś szczególnie atrakcyjna, ta prezenterka, Rhoda Stern. Cóż, oczywiście, że nie miała dwóch głów, ponieważ gdyby miała, to nie uczyniono by jej gospodynią tego programu, za to jej zadaniem było udzielanie porad i wytykanie – z niepotrzebną złośliwą satysfakcją, zdaniem Matta – wszystkich błędów, jakie ludzie popełniają podczas urządzania domów.

Matt i Maeve leżeli na sofie i oglądali z pewną dozą współczucia, jak Rhoda wyszydza wystrój sypialni pewnej młodej pary, nawet podobnej do nich.

– Według mnie nie jest tak źle – powiedziała Maeve.

– Zasłonki są ładne.

– Ale! – zawołała Rhoda. (Ponieważ w takich programach prezenterzy zawsze krzyczą.) – Jest coś, dzięki czemu ten pokój nie jest totalną katastrofą! – Kamera wykonała skręt, pokazując olbrzymie łóżko. – Mhm – Rhoda oblizała usta. – Wiem, na co bym miała ochotę w takim łóżku.

– Spojrzała sugestywnie do kamery. – Spać przez dwanaście godzin bez przerwy.

Ale było za późno. Coś w tym sugestywnym spojrzeniu obudziło bestię. Nagle Matt uświadomił sobie poruszenia. Na dole. W lędźwiach. Coś puchło i powiększało się i miał wrażenie, jakby pompowano tam całe litry krwi. Przestań, nakazał sobie w myślach. „Każę ci przestać". Ale nic z tego, to coś zaczęło żyć własnym życiem. Matt zmienił lekko pozycję żeby Maeve nic nie wyczuła, ale przez to zrobiło się więcej miejsca na ekspansję i żywy organizm zaczął napierać na bieliznę, pragnąc się uwolnić.

„Stopy procentowe" – pomyślał rozpaczliwie Matt. „Leczenie kanałowe". Cokolwiek, byle powstrzymać zdradliwe ciało. „Mysie odchody. Gangrena... "

Poczuł, jak Maeve się spina. Wyczuła. Odwróciła się i spojrzała w jego czerwoną twarz.

– Matt...? – Wyglądała na niemal skonsternowaną.

Nie mówiąc nic więcej, zsunęła się z sofy, a chwilę później usłyszał, jak w łazience leci woda.

– Wykąpię się! – zawołała Maeve udawanie pogodnym tonem.

– Miłej kąpieli! – odkrzyknął Matt, zmuszając się do podobnie wesołego tonu.

Usłyszał, jak drzwi do łazienki się zamykają i opadł z powrotem na

sofę, czując się beznadziejnie. Jestem mężczyzną, pomyślał. Jestem zwierzęciem. Tak mnie zaprogramowano, że na pewne bodźce reaguję w określony sposób. Nie jestem nic w stanie z tym zrobić. Nie mam nad tym kontroli.

Nie mam kontroli nad niczym.

Właśnie dotarło do mnie coś szokującego: serca Matta i Maeve biją w idealnej harmonii, ale od bardzo, bardzo dawna nie wydarzyło się między nimi nic, co miałoby związek z seksem.

Dzień 26…

Siedząc na kibelku, Lydia wpatrywała się w swój telefon. Osiem nieodebranych połączeń. Cztery wiadomości. Wszystkie od Flana Ramble.

Cholera. Akurat wtedy, kiedy się dobrze bawiła.

Ale nie, nie jechała, nie tym razem. Murdy mógł się tym zająć. Ronnie mógł się tym zająć. Mama mogła się tym zająć. Przecież w sumie nic jej się nie stało, Lydia nie musiała opuszczać Float i gnać w środku nocy do Boyne. Zresztą była zbyt wstawiona, by prowadzić.

Spodziewali się oczywiście, że wskoczy za kółko i przy – jedzie, ale tym razem mogli się odpieprzyć. Zbyt wiele razy pokonywała tę trasę, aby oskarżano ją o to, że próbuje ukraść pieniądze swojej mamy. Choć raz niech sobie radzą sami. Niech się przekonają, że ona, Lydia, miała rację, a wszyscy oni się mylili... Przyjemnie dryfując w tej małej zadumie i użalając się nad sobą, aż podskoczyła, kiedy zadzwonił telefon.

Znowu Flan Ramble. Ale nie, to nie on. To...

– Mamo?

– Lydia?

– Wszystko w porządku?

– ... Eee... nie. – Głos miała cichy i żałosny. – Coś zrobiłam, ale nie pamiętam co i jest tu policja i naprawdę się boję.

– O Boże, mamo. Nie zabiłaś nikogo, co?

– Nie. nie. – W jej głosie nie było pewności. – Jest tu Flan. On ci powie.

– Ale się narobiło – powiedział głośno Flan. – Wracała kursu do miasta i musiała źle wymierzyć zakręt, bo wyleciała z drogi do zbiornika, i zamiast się ratować, jak każdy normalny człowiek, została w samochodzie, śmiejąc się, gdy zapadał się w muł. Kiedy przyjechali policjanci, nie mieściło im się w głowach, że nie jest pijana, tylko zupełnie trzeźwa. Mówiłem ci, Lydia – dodał świętoszkowatym tonem – że nie powinna prowadzić samochodu. I na razie nie będzie. Tylko dlatego, że wszyscy ją tu znają i lubią, nie spędzi nocy w celi.

– Okej, już jadę.

Conall nadal siedział w boksie. I chyba pisał e – maile.

– Muszę lecieć – powiedziała. – Nagły wypadek. Dzięki za dzisiejszy wieczór.

– Czekaj, czekaj, co się dzieje?

– Mama. Wjechała do zbiornika.

– Nic jej nie jest?

– Nie, ale... no wiesz, jest rozstrojona.

– Nie musisz jechać. Na miejscu są twoi bracia.;

– Widziałeś, jacy oni są.

– Chyba nie chcesz siadać za kółkiem?

– Wezmę taksówkę. Któryś z chłopaków odda mi przysługę.

Conall wstał.

– Ja cię zawiozę.

– Ty? Nie wypiłeś za dużo?

– Nie przepadam za różowym szampanem. Chcesz się pożegnać z przyjaciółmi?

Lydia przez chwilę zastanawiała się nad tym. Ale wszyscy byli zbyt pijani; a ta cała sprawa z mamą – tak naprawdę jej nie rozumieli.

– Nie, chodźmy.

Dzień 25

Fionn wcześnie obudził Katie.

– Wykąp się ze mną – szepnął, pomagając jej wstać.

Wcześniej pozapalał pachnące świeczki, a wanna pełna była wody, piany i płatków róż. Katie była tak rozespana i rozchichotana, że ledwie mogła stać. Pomógł jej wejść do ciepłej wody. Następnie ją umył, pocierając śliską pianą tak długo, aż poróżowiała i wezbrała pożądaniem.

– Muszę lecieć – powiedział.

– Okej. – Ledwie mogła mówić. Czuła się jak pijana.

– Dziś wieczorem?

– Pracuję. Impreza promocyjna. Wayne Diffney. Biedny Wayne. – Zaśmiała się cicho.

– Dlaczego biedny Wayne?

– Och, no wiesz. – Nie mówiła zbyt wyraźnie. – Kiedy był w Laddz, to jemu kazali być tym ze zwariowanymi włosami.

– Jak opera w Sydney?

– To ten.

– Tak mi się wydawało, że znam to nazwisko.

– Kiedy rozpoczął karierę solową, żona go zostawiła dla Shocko O'Shaughnessy'ego, a wytwórnia płytowa kopnęła go w tyłek. Potem napisał o tym album i wiesz co, Fionn? Wcale nie jest zły. Słyszałam gorsze, znacznie gorsze. Dziś wieczorem jest wielka impreza promocyjna. Wiele od niej zależy.

– Mógłbym przyjść po niej.

– Późno się skończy. Zaczyna się dopiero o dziesiątej.

– Mogę przyjść?

– Słucham?

– Powiedziałem coś złego? Zbyt dużo czasu spędziłem na tym zadupiu i nie wiem, jak to się robi w wielkim mieście.

– Nie, tylko... – ... Conall nigdy się nie zjawił na żadnej z jej imprez. Wykorzystywał je jako wymówkę, aby samemu także pracować.

Dzień 25…

Matt nie znał numeru, który do niego dzwonił, ale odebrał. Pracując w dziale sprzedaży, zawsze trzeba odbierać, bo może to być przecież ktoś, kto ma ochotę kupić oprogramowanie za milion euro, a decyduje się zadzwonić tylko raz.

– Matt Geary.

– Tu Russ.

Chryste! Przyjaciel Alexa, drugi drużba!

– Russ! – Matt automatycznie dołączył do głosu wylewność. Alex nie odezwał się do niego po tamtymi niepojawieniu się w zeszłym tygodniu i to milczenie było właściwie bardziej zawstydzające, niż gdyby zadzwonił i mu nawstawiał.

– No więc, Russ, co u ciebie?

– Tak sobie. Co się dzieje, Matt? Twój brat się żeni...

– To przez pracę – przerwał mu Matt. – Wiesz, jak to jest. Trudne czasy! – Zaśmiał się z przymusem. – Jestem zawalony robotą.

– Zarezerwowałem bilety do Vegas.

– Tak? – Cholera! – To świetnie. Wielkie dzięki...

– Dwanaście osób. Wylatujemy dwudziestego trzeciego sierpnia, wracamy trzydziestego. Potrzebny mi czek. Mailem ci wyślę wszystkie szczegóły.

– Hej, dzięki, Russ.

– Zaklepałeś już sobie urlop?

– Jasne! Już dawno! – W ogóle nic o tym nie wspomniał.

– To dobrze. Martwiliśmy się trochę... Okej. Zarezerwowałem także hotel.

– Naprawdę? Sporo miałeś roboty!

– Metro MGM. Jesteś w pokoju z Walterem.

– Z tatą? Cóż...

– A to pech, że ci nie pasi. Mogłeś zjawić się tydzień temu w Duke i zaklepać sobie miejsce. No dobra, Matt, słuchaj. Alex sporo już zrobił, ale są sprawy, które musimy zorganizować my, ty i ja.

– Na przykład?

– Niespodzianki – odparł z irytacją Russ. – Jazda quadami, tego typu rzeczy. Ten biedak nie może przecież sam rezerwować własnych niespodzianek. Musimy się spotkać.

– Super! Słuchaj, odezwę się do ciebie jutro albo pojutrze.

– Nie. Ustalmy to teraz...

– Świetnie! Oddzwonię. – Matt szybko się rozłączył. Ręce miał tak

spocone, że telefon mu się wyślizgnął.

– No więc tak! Młody pan Geary! Jak blisko jesteśmy finalizacji tej transakcji z Bank of British Columbia?

Dłonie Matta nie zdążyły jeszcze dobrze wyschnąć, kiedy został nagle wezwany do Gabinetu Strachu, aby się rozliczyć z Kevinem Dayem, Dyrektorem Zarządzającym, z tych wszystkich pieniędzy, które wydał na próby opchnięcia systemu.

Trzy grube ryby Edios – Dyrektor Zarządzający, Dyrektor Finansowy i Prezes – siedzieli już w gabinecie Kevina i aż się palili, żeby porozmawiać z Mattem.

– Wydałeś sporo kasy – odezwał się Dyrektor Finansowy, kładąc przed nim kartkę papieru i obdarzając świdrującym spojrzeniem.

– Trzeba wydać, aby zarobić. – Widzieli w tym ostrym świetle jarzeniówek pot na jego twarzy?

– Kiedy dojdzie do finalizacji? – zapytał Kevin Day.

Kiedy? Minęło dziesięć dni, odkąd ktoś z banku do niego oddzwonił.

– Tak sobie myślę – rzekł Matt, wpatrując się w kąt sufitu – że powinniśmy to zamknąć w przyszłym tygodniu.

– Naprawdę? – I znowu przenikliwe spojrzenie Dyrektora Finansowego.

Matt poczuł skurcz jelit. Boże, bał się. Powinien był się tego spodziewać; nie wiedział, dlaczego się nie przygotował.

– Dobrze, dobrze, w ciągu tygodnia. Świetnie – rzekł Prezes. – Powiedz mi, Matt, jak tam morale?

Morale sięgnęło dna. Matt i jego zespół włożyli tyle energii w ten deal, a teraz nie mogli nawet w spokoju lizać ran.

– Morale? – Matt uśmiechnął się szeroko i poczuł, jak po plecach

spływa mu strużka potu. – Morale jest doskonałe!

Matt dostrzegł idealną szansę. Starszy pan nie radził sobie z samoobsługową kasą w Tesco. Nie potrafił znaleźć kodu do zeskanowania i nie wiedział, że musi zważyć jabłka. Wyglądał na zdezorientowanego i mocno przestraszonego wrogimi spojrzeniami ludzi, stojących w kolejce za nim. Cholerny dar niebios. Matt mógł wkroczyć do akcji i delikatnie wskazać jabłka na ekranie i pokazać mu, gdzie na herbatnikach znajduje się kod kreskowy.

Minął go jednak i stanął w kolejce do innej kasy.

Nie ma dziś Dobrego Uczynku. Ani nigdy więcej. Nie ma sensu. To cholerstwo nie działało. I zamierzał powiedzieć o tym Maeve. Kiedy wróci domu, Maeve jak zawsze zapyta, jaki jest jego dzisiejszy Dobry Uczynek, a on jej powie, że go nie wykonał. Tak po prostu. Żadnego tłumaczenia się, żadnych nerwowych przeprosin. Powie, że miał doskonałą okazję, ale że minął ją obojętnie. Wzgardził nią. I zobaczy, co ona na to.

– Jak ci minął dzień? – zapytał Matt.

– Och, no wiesz.

„No dalej, zapytaj mnie, zapytaj”.

Był gotowy, był przygotowany, był niecierpliwy.

„No dalej, zapytaj mnie, zapytaj”.

Ona jednak milczała. Nie opowiedziała także o swoim Dobrym Uczynku, co też było mocno dziwne. Zrobiło się jeszcze dziwniej, kiedy przyszła pora spania, a ona nie wyjęła z szuflady ich notatników z Trzema Błogosławieństwami.

Matt nie usłyszał żadnych wyjaśnień i w końcu się złamał. Musiał się dowiedzieć, co się dzieje.

– Eee, Maeve, nie ma dziś Trzech Błogosławieństw?

– Nie.

– Dajemy sobie spokój?

– Aha.

– ... Czemu?

– To nie działa.

I wtedy się dopiero przeraził.

Dzień 25…

Conall zajechał na stację benzynową na przedmieściach Boyne.

– Kupimy coś do jedzenia na drogę powrotną.

Właściwie to nie jedli przez cały dzień, a tylko pili w kuchni Ellen niezliczone kubki herbaty. Ktoś, najpewniej żona Murdy'ego, Sabrina, wyskoczyła do SuperMacs, ale kiepsko wyliczyła ilość potrzebnego jedzenia. Dom mamy przekształcił się w Sztab Kryzysowy i znajdowało się w nim mnóstwo ludzi – Buddy Scutt, Flan Ramble, policjanci, no i jeszcze Murdy i Ronnie. No i bardzo dobrze, pomyślała Lydia, ale zjedli przydział jej i Conalla. Ależ ten Buddy Scutt ma tupet, siedzieć tu i pałaszować jej kryzysowego kurczaka, gdy tymczasem dziewięć miesięcy temu miał czelność oświadczyć, że mamie nic nie jest.

Lydia kazała Conallowi jechać, powiedziała mu, że sama wróci do Dublina, on jednak odparł, że ma tak dobry sygnał w BlackBerry, że zostanie. Więc mu pozwoliła. Nie mogła nie zauważyć – i było to niesamowicie irytujące – że odkąd pojawił się Conall, wszyscy traktują ją znacznie poważniej.

Stukał w klawiaturę BlackBerry i nikt mu nie mówił, że to niegrzeczne, a potem, kiedy Ellen wyszła do łazienki, oznajmił:

– Słuchajcie. Rezonans magnetyczny. To właśnie potrzebne jest Ellen.

– Co to takiego? Ten rezonans?

– Co on robi?

– Robi zdjęcie mózgu – odparła z napięciem Lydia. Nikt jej nie słuchał, kiedy prosiła o rezonans, ale wystarczyło że zasugerował go bogaty mężczyzna, który jeździ lexusem, i nagle wszyscy zamieniają się w słuch. – Widać wtedy uszkodzone fragmenty i można rozpocząć leczenie.

– Jak zrobić taki rezonans?

– Jej lekarz musi wypisać skierowanie.

– Tyle że on nie chce – wtrąciła Lydia.

– Możesz jej załatwić ten rezonans? – Ronnie zmrużył oczy, patrząc na Buddy'ego Scutta.

– Aaaach. – Buddy poruszył się krześle. – Chyba mogę.

– To czemu wcześniej tego nie zrobiłeś? – syknął Ronnie.

– Taa – dorzucił szyderczo Murdy. – Czemu?

– Nie uważałem, aby z nią coś było nie tak. Wy zresztą też nie.

– Nie jestem lekarzem.

– Nie jestem jej synem.

– Moglibyśmy cię za to pozwać – oświadczył Murdy.

– Chłopcy, chłopcy, dajcie już spokój. – Conall pokręcił głową. – Wszyscy jesteście winni. Tylko Lydia próbowała pomóc.

– Umiem się o siebie dopomnieć – oświadczyła z żarem Lydia.

Jasne jednak było, że nie.

Conall po południu zdrzemnął się w fotelu i dopiero gdy zaczęło powoli zmierzchać, Lydia go obudziła.

– Jedziemy do domu – oznajmiła.

– Okej. – Wstał nieco oszołomiony.

Po niecałym kilometrze jazdy zajechał na stację benzynową. Lydia, nadal w krótkiej, obcisłej sukience z wczorajszego wieczoru, przyciągała sporo spojrzeń, kiedy chodziła między półkami, wybierając mleczne koktajle i torebki z popcornem.

Przy kasie dołączyła do Conalla, który próbował zachować kontrolę nad sporą ilością lodów i słodyczy.

– Daj mi to – zarządziła. – Zapłacę. Przynajmniej tyle mogę zrobić.

Na parkingu wyjęli z papierków lody. Conall wbił się zębami w swój, bez chwili namysłu krusząc czekoladową polewę.

– Mojego zjem pooowoooliii. – Posłała mu spojrzenie spod opuszczonych rzęs, po czym zreflektowała się. Nie powinna go dręczyć. – Dzięki, wiesz, za to wszystko. Że mnie tu przywiozłeś i spędziłeś tutaj cały dzień. Skąd wiedziałeś o rezonansie?

– Eilish się dla mnie dowiedziała. Szybko jej poszło. Twoja mama powinna go mieć już wiele miesięcy temu. Nie wiem, dlaczego nie dostała skierowania.

– Bo jej lekarz to idiota, a moi bracia nie chcieli o niczym wiedzieć.

– Teraz wiedzą.

– Tak, cóż... dzięki, że to powiedziałeś. I dzięki za wczorajszy wieczór.

– Spodobało ci się we Float? – Conall napoczął drugie Magnum.

Przez chwilę zastanawiała się.

– Nie bardzo. Jest jakoś tak podejrzanie. Chciałam tam iść głównie dlatego, że nie mogłam.

– Zawsze pragniemy tego, czego nie możemy mieć.

– Tak jak ty mnie.

Zaśmiał się, ale nie odpowiedział.

– Masz kasę, masz dom na Wellington Road, jesteś... no wiesz... – Machnęła ręką, pokazując na jego ciało.

– No co?

– Jak na starszego faceta całkiem dobrze wyglądasz. Mógłbyś mieć mnóstwo dziewczyn. Czemu molestujesz właśnie mnie?

– Jesteś ładna. – Zawahał się. – Bardzo ładna. I może nie jesteś sympatyczna, ale za to interesująca. Jak film Davida Cronenberga. *Crash.* – Uniósł brew, ale jej nic ten tytuł nie powiedział.

– Kiedy zrobi się naprawdę dziwacznie i nagle zacznę szaleć na twoim punkcie?

– Prawdę powiedziawszy, powinno się to było już stać. Większość dziewczyn... pojechałem do twojej chorej matki. I ruszyłem ci na ratunek, wioząc cię tam w środku nocy. Takie rzeczy normalnie są dość skuteczne.

– Kiedy więc dasz mi spokój?

To już się zaczynało dziać. Wczorajszy wieczór we Float – możliwe, że to było zaledwie wczoraj? – pokazał mu, jak bardzo są niedobrani.

– Kiedy pójdziesz ze mną do łóżka.

Zaśmiała się. Przynajmniej był szczery.

W końcu rzekła:

– Dobrze.

– Co dobrze?

– Łóżko. Zróbmy to.

– Podobam ci się?

Zawahała się.

– W miarę. Tak trochę. – Znowu się zawahała. – Chyba jestem ciekawa. – Z nagłym niepokojem zapytała: – Ale nie będziesz cały stary i obwisły? Przyzwyczajona jestem do młodych, sprawnych facetów.

– Mam czterdzieści dwa lata, a nie osiemdziesiąt dwa. Mam dobre geny. I trenera osobistego.

– No ale jesz takie śmieci.

– Mam szybki metabolizm.

– Okej, o ile tylko nie będzie jak w *Nocy żywych trupów*.

– Zapomnijmy o tym. Nie masz wcale ochoty...

– Mam. – Po czym dodała: – Chyba.

Nagle coś ją pociągnęło w jego stronę i ich usta się złączyły. Pachniał inaczej. Bardziej dorośle. Gilbert lubował się w wodach po goleniu, które otulały go cierpko – ostrą mgiełką, rozsiewając wszędzie nuty głowy, serca i Bóg wie, czego jeszcze. Andrzej pachniał męskim ciałem i potem, i pożądaniem. Ale Conall pachniał... wyrafinowaniem. Pachniał starą skórą i dymem z kominka i parkietem. Pachniał pieniędzmi. I lodami, ale tylko przez chwilę.

Lydia czekała. Chciała się przekonać, jak na niego reaguje. Tak, działał na nią. Zapach jego skóry i ciepło dłoni na jej talii.

– Już to robiłeś – stwierdziła, kiedy się od siebie odsunęli.

– I ty... – powiedział powoli – ... też.

Okej, na pewno jej się podobał.

Wibracje ich serc nie są harmonijne. Bicie serca Lydii jest trochę spóźnione, tak że początek jej uderzenia nakłada się na koniec uderzenia serca Conalla. Ale to interesujący, zachodzący na siebie rytm raz – dwa i w sumie jest bardziej uwodzicielski niż harmonia. Fascynujące.

Dzień 25…

– Dobry wieczór – powiedziała Jemima. – Linia Celtyckich Jasnowidzów.

– Mistyczna Maureen?

– Przy telefonie, moja droga.

– Aha! To rzeczywiście ty, nareszcie! Poznaję ten wytworny głos. Rozmawiałam z dwunastoma, cholernymi dwunastoma rzekomymi Maureen, próbując cię znaleźć.

Tak, Jemima musiała przyznać, że zatrudniająca ją firma lubi tworzyć iluzję, że Linia Celtyckich Jasnowidzów zatrudnia tylko jedną mądrą staruszkę zamiast wielu kobiet, pracujących na zmiany i bardzo kiepsko opłacanych.

– Tyle razy do ciebie dzwoniłam, a natrafiałam tylko na te kłamczuchy, które o niczym nie mają pojęcia. Bałam się, że nigdy cię nie znajdę. Myślałam, że, no wiesz, umarłaś czy coś w tym rodzaju.

Ostatnimi czasy Jemima mocno ograniczyła godziny pracy. Powodem był Fionn. Towarzyszyła mu podczas nagrań, próbowała przytemperować jego zapędy kobieciarza i nie dopuszczała do nadmiernej wrogości między nim a Grudge’em, no i trochę się tym męczyła.

– Rozmawiałam z tobą jakiś miesiąc temu i sprawdziło się wszystko, co mi przepowiedziałaś.

– Jeśli przepowiedziałam radosne wydarzenia, w takim razie bardzo się cieszę. Ale jestem pewna, że powiedziałam ci wtedy, że nie mam zdolności parapsychologicznych. Nie ma czegoś takiego.

– Mam na imię Sissy. Pamiętasz mnie? Powiedziałaś, że poznam mężczyznę w kolejce do kasy w BusAras.

– Zapewniam cię, że z całą pewnością tego nie uczyniłam. Nigdy nie powiedziałabym niczego tak konkretnego. Z tego, co pamiętam, przedstawiłaś mi w ogólnych zarysach swoje życie, a ja kazałam ci się uczesać, uśmiechać do ludzi i dostrzegać to, co się kryje pod powierzchnią. Że na pierwszy rzut oka mężczyzna może się wydać... i pamiętam, że tu użyłaś słowa „denny", a jego włosy mogą być, opierając się na twoim opisie, „czerstwe"...

– Powiedziałaś, że dobre serce bić będzie pod paskudną pomarańczową bluzą z kapturem.

– Że może. Powiedziałam, że dobre serce może bić pod paskudną pomarańczową bluzą z kapturem. Niczego nie gwarantowałam. Po prostu zaleciłam brak uprzedzeń.

– Skąd wiedziałaś, że będzie miał na sobie pomarańczową bluzę?

– Nie wiedziałam. Opis był twój. Mam osiemdziesiąt osiem lat. Myślisz, że znam się na bluzach?

– Powiedziałaś BusAras. Że tam go poznam.

– Potwierdzam, że rozmawiałyśmy o tym, że na weekendy jeździsz autobusem do rodziny. Powiedziałam, i wierzę, że to prawda, iż dworce to miejsca, gdzie kwitnie miłość, że podróżujących mniej wtedy krępuje ich codzienna tożsamość. To zwykły zdrowy rozsądek.

– Uczesałam się, uśmiechałam, zaglądałam pod powierzchnię. Poznałam mężczyznę! Wszystko wydarzyło się dokładnie tak, jak przewidziałaś.

– Bardzo się cieszę, moja droga. – Czekała już na koniec tej rozmowy, nużyły ją te głupoty. Podjęła się tej pracy tylko po to, aby oszczędzić młodym dziewczętom marnowania ciężko zarobionych pieniędzy. Ostatnie, czego pragnęła, to przekonywać je, że to działa.

_ Wyciągnij dla mnie kartę – poprosiła Sissy. – Czy Jesse to mężczyzna moich marzeń?

Jemima wybrała kartę. Wierność.

– Tak.

– Będziemy mieć dzieci?

Jemima wylosowała kolejną kartę.

– Tak.

– Ile?

– Dwoje. Chłopca, potem dziewczynkę.

– Jak damy im na imię? Żartuję!

– Finian i Anastasia.

Sissy wciągnęła gwałtownie powietrze.

– O. Mój. Boże. Skąd wiedziałaś? Nikt tego nie wie. Jesteś niesamowita.

– Nic nie wiem. To dwa pierwsze imiona, jakie mi przyszły do głowy.

– Ale to imiona moich dziadków. Rodziców taty. Moich ulubionych dziadków! Och, często do nich jeździłam, kiedy byłam mała, i nigdy nie musiałam jeść normalnego jedzenia. Na śniadanie dostawałam herbatniki sklejone masłem i ściskałam je, aż masło wychodziło dziurkami i... o mój Boże, aż mnie przeszedł dreszcz. No bo to przecież nie są popularne imiona, takie jak Paddy czy Mary. Nie mogłaś powiedzieć ich ot, tak.

– Szczęśliwy traf. – Tak bardzo była zmęczona.

– Wcale nie. Jesteś genialna. Powinnaś mieć własny program w telewizji.

– Serdeńko, muszę kończyć. I tak już za dużo cię to kosztuje. Życzę ci dobrej nocy.

Dzień 25…

Jechali nieco ponad godzinę, niedługo – o dziesiątej wieczorem na ulicach nie było dużego ruchu – ale wystarczająco, aby Lydia mogła przemyśleć to, co zamierza zrobić. Doszła do wniosku, że nie jest źle. Conall jej się podobał, była tego niemal pewna, i wyleczy ją z Andrzeja. Jeśli będzie sypiać z Conallem, przestanie z Andrzejem, taka już była. W przypadku mężczyzn nie uznawała wielozadaniowości. Niektórzy, a konkretnie Shoane, uwielbiali intrygi związane z posiadaniem dwóch lub trzech facetów naraz. Ogromną frajdę sprawiało jej przechodzenie z jednego łóżka prosto do drugiego i stawiała sobie nawet wyzwania w rodzaju przespania się z całą trójką w ciągu dwudziestu czterech godzin. Ale z jakiegoś powodu Lydia nie lubiła takich komplikacji. Zastanawiała się, czy naprawdę trzeba nienawidzić mężczyzn, aby się tak zachowywać.

Ale jak to będzie z Conallem? No bo przez te wszystkie lata uprawiał tyle zwyczajnego seksu, że z pewnością przerzucił się na różne wymysły? Może potrafił dojść tylko chłostany? Albo podduszony? W sumie chyba będzie fajnie. Tak jakby. Cóż, a przynajmniej interesująco. Problem jedynie w tym, że nie bardzo wiedziała, jak się kogoś dusi, ale uznała, że Conall jej to pokaże.

Bez wcześniejszych ustaleń zawiózł ich na Wellington Road i choć Lydia w żadnym razie nie wpuściłaby Conalla do swej klitki na Star Street, poczuła się lekko urażona. Mógł chociaż zapytać.

Jezu, jak tu wygląda. – Lydia omiotła spojrzeniem korytarz, wiele warstw częściowo pozdzieranych tapet, wyglądających jak otwarte rany.

– Tak... jest trochę... – Conall sprawiał wrażenie, jakby dostrzegł to po raz pierwszy. – Byłem taki zajęty.

– Niewiarygodne. – Lydia odwróciła się i zaczepiła sukienką o wystający ze skrzynki gwóźdź. – Puszczaj! I to nie jest kwestia pieniędzy? To znaczy masz ich na tyle, żeby wyremontować ten dom?

– Policjant nie zadałby mi takiego pytania. Tędy. – Poprowadził ją na piętro szerokimi, drewnianymi schodami, a potem do sypialni. Conall klasnął dwa razy w dłonie i nagle z ciemności wyłonił się raj.

Oszołomiona Lydia zatrzymała się w progu. Właściwie to nie wiedziała, na co patrzeć w pierwszej kolejności. Gruby, bardzo gruby dywan, rozciągający się przed nią niczym szeroka równina, w kolorze, którego nie potrafiła nazwać – nie szary, nie gołębi, nie jasnoniebieski, ale jakiś inny, coś znacznie bardziej pięknego i wyjątkowego. Najwyraźniej wymyślono nowy kolor, specjalnie dla dywanu w sypialni Conalla Hathawaya. No i zasłony, takie jak w drogich hotelach, z ciężkiego, satynowego materiału, opadające prawie cztery metry z wysokiego sufitu, tworzące na podłodze połyskujące plamy.

– Co się stało? – zapytała. – Wkroczyliśmy w inny wymiar?

A to łóżko! Olbrzymie. Takie dłuuuuuuugie. Takie szerokie. I jeszcze kołdra. Nawet z daleka dawało się wyczuć, jak bardzo jest przyjemna w dotyku, chłodna, gładka i zapraszająca.

– Co za łóżko – jęknęła z podziwem. – Będę dziś spała jak zabita.

– Jeśli to będzie zależało ode mnie, to nie – powiedział miękko.

Odwróciła się w stronę głosu. A tak. On. Na chwilę zapomniała, czemu się tu w ogóle znalazła.

– Jak więc chcesz to zrobić?

– Zrobić co?

– To. – Pokazała na łóżko.

– Nie wiedziałem... Myślałem, że będziemy po prostu improwizować.

Zobaczymy, co się stanie?

Pocałował ją i ciało Lydii zaczęło reagować.

– A może to rozepnę... – Bawił się guzikami z przodu sukienki, a kiedy dłoń otarła się o sutek, Lydia zadrżała.

Ich spojrzenia się skrzyżowały i znowu zadrżała.

– Dobrze czy źle?

Nie miała pewności.

Zataczał palcami kółka wokół guzików, aż pomyślała, że nigdy ich nie rozepnie, że ona i jej pragnienie na zawsze pozostaną w zamknięciu. Wtedy z nagłym, niemal gwałtownym pstryknięciem wszystkie cztery guziki zostały rozpięte, a Conall zdjął jej sukienkę przez głowę. Położył ją na łóżku i powoli zdjął figi. Ciężko dyszała.

– Chcesz, żebym cię wychłostała? – zapytała bez tchu.

Przerwał i spojrzał na nią.

– Albo dusiła?

– Nie. – Na jego twarzy malowało się przerażenie.

– Tego właśnie pragniesz?

– Nie. Zastanawiałam się, czy ciebie to nie podnieca.

– Ty mnie podniecasz.

Ujął jej dłoń i położył na swoim kroczu.

– Rzeczywiście.

Dzień 25…

– W porządku, szefowo? – zapytał Danno.

Katie odwróciła się do niego. Jej twarz promieniała.

– Okej? – zapytała.

– Taa, no spójrz... – Pokazał na klub, wszystkich ludzi, dziennikarzy, modelki i celebrytów, którzy się zjawili, aby razem z Wayne'em Diffneyem świętować promocję płyty *Seven Vintage Cars, One Dart Ticket.* – Chcesz czegoś ode mnie?

– Danno, mogę z ręką na sercu powiedzieć, że jeszcze nigdy w życiu nie byłam tak szczęśliwa.

Danno wyglądał jak człowiek mocno rozczarowany.

– Sądziłem, że nie bierzesz dragów.

– To nie dragi. Po prostu szczęście. – Posłała mu kolejny promienny uśmiech.

– Upalona życiem? – Danno nie miał do czegoś takiego za grosz zaufania.

– Powinnam być wykończona – wyznała. – W nocy prawie w ogóle nie spałam. Ale czuję się tak, jakbym już nigdy nie musiała spać. Czuję się niezwyciężona.

– Mnie to trąci dragami – orzekł z powątpiewaniem.

– Nie pozwól, aby ten twój facet zawrócił ci w głowie.

– Och, Danno, nie martw się! To jest jak wakacyjny romans. Albo program okaże się klapą i Fionn wróci do Pokey, albo odniesie sukces i Fionnowi uderzy do głowy sodówka. Nie ma dla nas przyszłości, ani trochę, ale na chwilę obecną jest idealnie.

Impreza promocyjna Wayne'a udała się wyśmienicie. Goście zaczęli przybywać jeszcze przed dziesiątą, więc Katie nie musiała przeżywać długich, spoconych minut, stojąc w pustym klubie i znosząc żałosne spojrzenie Wayne'a, przerażonego, że nikt się nie zjawi. I ci, co przyszli, to byli porządni goście. Ciotki i kuzyni Wayne'a byli spoko, ale żeby się

wszystko udało, musieli się zjawić ludzie mediów, no i ku radości Katie rzeczywiście się pojawili. W dużej ilości. Z rozmów z nimi wywnioskowała, że Wayne Diffney może liczyć na ich życzliwość. „To, co zrobiła mu żona... ” „Pal licho żonę; gorsze były włosy z czasów Laddz. Tak mi było żal tego biedaka”. „Dobrze rozumiem, że tytuł tej płyty znaczy tyle, że Shocko miał siedem starych samochodów, a Wayne tylko bilet na kolejkę tego dnia, kiedy Hailey go zostawiła? ”

Katie oprowadzała Wayne’a po klubie, dopilnowując, aby grzecznie rozmawiał ze wszystkimi autorami kroniki towarzyskiej i dziennikarzami, nawet tymi, którzy w przeszłości nie zostawili na nim suchej nitki – a było ich wielu – i nagle natknęła się na Fionna. W brudnych butach i marynarce z mnóstwem kieszeni stał sam, uśmiechał się z zakłopotaniem i był przez wszystkich ignorowany.

– Chcę tylko, żebyś wiedziała, że tu jestem! – zawołał.

– Rób to, co masz robić. A ja będę czekał, gdybyś mnie potrzebowała.

Zaczepiła przechodzącego akurat George’a.

– George, to jest Fionn. Zajmij się nim. Przedstaw go paru ludziom.

George zabrał Fionna ze sobą, a Katie dalej krążyła po klubie w towarzystwie Wayne’a. Raz na jakiś czas w tłumie wyłapywała Fionna. Śmiał się i rozmawiał, i poczuła ulgę.

– Wayne, to Catherine Dały z „Timesa”...

– Wayne, Casey Kaplan ze „Spokesmana”. Wiem, że znacie się od dawna...

Przed nią pojawił się Keith z „Tribune”.

– Katie, pożycz nam na chwilę Wayne’a. Chcę zrobić mu z kimś parę fotek. – Sprawiał wrażenie ożywionego.

– Z kim?

– To tutaj. – Keith poprowadził ich przez tłum. – Wayne, Katie, to jest Fionn Purdue. Zapamiętajcie to nazwisko, bo na pewno jeszcze o nim usłyszycie. Jest gospodarzem nowego programu poświęconego ogrodnictwu. Sporo wokół niego szumu.

Katie zaśmiała się radośnie.

– Miło cię poznać, Fionnie Purdue.

– Miło poznać ciebie, Katie Richmond.

Ani Wayne, ani Keith nie rozumieli, co w tym takiego zabawnego.

– Katie. – Pojawił się Danno. – Jesteśmy gotowi na przemowy.

Dla uczczenia tej okazji z Londynu przyleciał James „Woolfman" Wolf, dyrektor zarządzający Apex Europe, w towarzystwie oszałamiająco pięknej żony, Karoliny, i równie ślicznych córek, Sieny i Mayi. W normalnych okolicznościach promocje w Irlandii nie były zaszczycane obecnością nikogo z Londynu.

Woolfman, obdarzony niezwykłą wprost urodą i magnetyczną charyzmą, opowiadał ze swadą o tym, jak poznał ikony, takie jak Nelson Mandela, Robert Plant, no i oczywiście Dalajlama. „No ale kto nie poznał Dalajlamy" – pomyślała Katie. Tej marce groziła nadekspozycja. Trochę jak w przypadku Louisa Vuittona. Wszędzie outlety, nawet w strefach wolnocłowych. Szybko się rozejrzała: wszyscy wpatrywali się błyszczącymi, pełnymi oddania oczami w Woolfmana, a ona poczuła pierwsze ukłucie niepokoju. Tak bardzo oszołomiła ich miłość do Woolfmana, że zupełnie zapomnieli o powodzie, dla którego się tutaj znaleźli, Waynie Diffneyu. Ale... w końcu!... Woolfman oświadczył:

– Teraz do listy ludzi, których poznaniem się szczycę, mogę dodać Wayne'a Diffneya.

I sytuacja została uratowana! Katie zalała fala ulgi i zastanawiała się,

dlaczego w ogóle zwątpiła w Woolfmana. Był niesamowitym czarusiem, gwiazdą public relations, bohaterem.

Oklaski i gwizdy towarzyszyły pojawieniu się Wayne'a na scenie. Jego przemowa była krótka i wypełniona podziękowaniami, a potem, z przećwiczoną wcześniej spontanicznością, ktoś (Danno) podał mu gitarę i poprosił o zaśpiewanie kilku piosenek, co oczywiście uczynił. *Dzień, w którym odeszła*. Następnie *Urodziła mu dziecko.* No i naturalnie pierwszy singiel z albumu, *Zabili moje włosy.*

Być może ciut ckliwe, ale nikt nie mógł odmówić mu racji.

Praca Katie, można powiedzieć, że dobiegła końca, i przez resztę wieczoru Fionn nie odstępował jej na krok. Wywoływał spore zainteresowanie. Raz za razem Katie słyszała, jak ktoś go pyta:

– Skąd znasz Wayne'a?

– Jeśli mam być szczery, to nie znam – odpowiadał zawsze. – Poznałem go dopiero dzisiaj. Jestem tu z Katie Richmond.

– *Z* Katie Richmond?

– *Z* Katie Richmond.

– Ta dziewczyna zmierza ku upadkowi. – George pokręcił smętnie głową.

– Ten związek nie przetrwa – zgodziła się Lila – May.

– Co się z wami dzieje? – zapytał z rozdrażnieniem Danno. – Czemu nie dacie jej być po prostu szczęśliwą?

– Ale co on w niej widzi?

– Co? Uważasz, że to powinnaś być ty? Z długimi włosami i sterczącymi cyckami i...

Ogarnięty nagłą wściekłością Danno rzucił się na Lilę –May i obdarzył ją gorącym, namiętnym pocałunkiem, który mocno zaskoczył oczywiście ją,

ale jeszcze bardziej jego. Do tej pory głęboko wierzył, że jest gejem.

Dzień 25…

– Dlaczego nie masz chłopaka? – zapytał Conall, przerywając ciszę.

Leżał z nogą przerzuconą przez nogi Lydii, przyszpilając ją do łóżka. Lydia była oniemiała i szczęśliwa, zarówno z powodu wielkości łóżka, jak i seksu.

– A co każe ci sądzić, że go nie mam?

– Nie robilibyśmy tego, gdybyś miała, no nie?

– Tak to działa? – Nawet ona usłyszała w tym stwierdzeniu gorycz. Choć nie zależało jej już na Gilbercie, jej duma pozostawała nieco zraniona: kto by pomyślał, że bzyka się z innymi dziewczynami?

– No co? – W głosie Conalla słychać było nagłe zainteresowanie.

– Miałam chłopaka, ale od miesiąca nie mam.

– Bo?

– Bo przypadkowo przespałam się ze współlokatorem.

– Że co? – Conall aż usiadł, tak go to zdumiało.

– Przypadkowo przespałam się ze współlokatorem.

– Ile razy? Tylko raz?

– Tylko raz. Nie licząc jednego czy dwóch innych razów. Szkoda została już wyrządzona, no nie? Równie dobrze mogliśmy to powtórzyć. No nie?

Conall nie wyglądał na zadowolonego.

– Nadal więc z nim sypiasz?

– Cóż, nie w tej chwili, to oczywiste.

Kiedy Conall nawet nie udał, że go to bawi, dodała:

– W ogóle z nim nie sypiam.

Kiwnął głową. To go chyba usatysfakcjonowało.

– Z wyjątkiem tych razów, kiedy tak się dzieje. – Lydia czuła, że lepiej to dodać.

– O czym ty mówisz?

– Czasami to się po prostu dzieje. Jeśli wpadnę na niego w kuchni... – Wzruszyła ramionami. – Albo w salonie.

– Ile razy to się po prostu stało?

– Cztery.

– Cztery?

– Chyba cztery. Choć może i ciut więcej.

Straciła rachubę po dziewięciu.

– Jest twoim chłopakiem.

Lydia zaśmiała się.

– Posłuchaj samego siebie, mówisz jak... – Szukała określenia, jakie miało w sobie odpowiednią ilość pogardy.

– ... zaborcza dziewczyna. To nie jest mój chłopak. Nie rozmawiamy ze sobą. My się nawet nie lubimy. Trochę jak ty i ja.

– Ale ja cię lubię.

– No ale ja ciebie nie. – Choć nie do końca było to prawdą.

– Kiedy uprawialiśmy seks, czułaś się jak z... jak on ma na imię?

– Andrzej. – Nie. Nic nie mogło się równać z seksem z Andrzejem. – Słuchaj, Conall. Andrzej i ja to nie jest prawdziwe życie.

– Jest fantastycznie, prawda? – zapytał Conall.

Przez chwilę milczała, nie mając pewności, co powiedzieć. Ale czemu miałaby kłamać?

– Owszem. Aleja go nawet nie lubię. To nic nie znaczy. Nic –

powtórzyła. – A teraz chodźmy spać. Muszę bardzo wcześnie wstać.

– Ja też.

– A o której?

Spojrzał na nią.

– O piątej trzydzieści. Lecę do Mediolanu.

– Tak późno? Boże, ja będę już wtedy w połowie zmiany. Co robisz w Mediolanie?

– Dokonuję przejęcia pewnej spółki.

– Dla niektórych łatwizna.

– Mediolan to dopiero pierwszy przystanek. Później lecę do Malezji.

– Przejmować następną firmę?

– Tę samą. Centrala jest w Mediolanie, ale większość operacji dokonują w południowo – wschodniej Azji. – Przygotował się na grad niespokojnych pytań: jak długo go nie będzie? Kiedy wróci? Jak miała przetrwać jego nieobecność?

– Conall?

– Mhm? – No i proszę.

– Jak mam zgasić to głupie światło?

– Ach... klaśnij dwa razy.

– Nie. Czułabym się jak kretynka. Ty to zrób.

Conall klasnął i zapadła ciemność.

– Mogę coś powiedzieć? – zapytała Lydia.

– Co?

– W sumie nic takiego. Tylko że dość głupio wyglądałeś. Leżąc nago i klaszcząc jak szaleniec.

– Dobranoc.

Och, cóż za cudowna pościel, pomyślała Lydia, gładząc ją bez końca.

Taka gładka i przyjemna. Och, ile miejsca do wy – ciągnięcia rąk i nóg, och, rozkosznie mięciutkie poduszki, tak dużo...

– Ile ma lat? – Ciszę przerwał głos Conalla.

– Kto... Och, Andrzej. Nie wiem.

– Dwadzieścia parę? Trzydzieści?

– Dwadzieścia parę. Może siedem? Śpij już.

– Czym się zajmuje?

– Komputerami. Chyba je naprawia. Tak naprawdę to nie wiem. Już ci mówiłam, że nie rozmawiamy ze sobą. Śpij.

– Nie ma więc własnej firmy?

– Nie.

– Czym jeździ?

– Jakimś vanem. Zresztą służbowym.

– Van. – W głosie Conalla pobrzmiewała pogarda i zadowolenie.

– Ale ma bardzo dużą fujarkę.

Conall zesztywniał jak kłoda drewna.

– Żartuję. – Choć Andrzej rzeczywiście miał bardzo dużą fujarkę. – A teraz śpij już.

To był sen najcudowniejszy z możliwych. Podskakiwała na morzu pierza, najdelikatniejszego, najsłodszego... i wtedy coś się stało, ktoś nią potrząsał. I już nie śnił jej się cudowny sen. Leżała obudzona, w rzeczywiście oszałamiającym łóżku Conalla Hathawaya.

– Jak on wygląda? – zapytał głos. Conall Hathaway.

– Kto? Och, na litość boską! Miej choć trochę dumy!

– Muszę po prostu wiedzieć, jak wygląda.

– Niebieskie oczy. Bardzo krótkie włosy. Jasne.

– Wysoki?

– Tak.

– Umięśniony?

– Bardzo. Kolorowych snów.

Dzień 24…

– Balowało się wczoraj?

– ... Co? – Do Matta dotarło, że Salvatore mówi do niego.

– Gdzie mój uśmiech?

– Słucham?

– Skąd ta mina? Jedno amaretto za dużo?

– Nic się nie dzieje.

Matt uśmiechnął się z przymusem, a potem poczekał, aż Salvatore wróci do siebie i znowu zrobił posępną minę, tak posępną, jak jego uczucia.

Dobre Uczynki stanowiły wrzód na tyłku, ale fakt, że Maeve dała sobie z nimi spokój, o wiele bardziej go niepokoił. Miało być coraz lepiej, ale zaczęło się dziać dokładnie na odwrót. Nie miał pewności, czy potrafi przejść przez to raz jeszcze; nie miał już w sobie tego czegoś, co było potrzebne.

Wziął do ręki pozostawioną przez kogoś gazetę i minimalnie poprawił mu się nastrój, kiedy przeczytał, że spadła kolejna bryła lodu, tym razem w Lizbonie. Lizbona. Widzicie? Znowu stolica. Czy tylko on zwrócił na to uwagę? Dziwne było to, że – przynajmniej na razie – nikt nie ucierpiał. Bryły spadały z nieba, niszczyły samochody, dachy i pomniki, ale na ich drodze nie pojawił się żaden człowiek. Matt pomyślał z nadzieją, że gdyby – nie, kiedy – taka bryła pojawi się w Dublinie, spadnie z całą pewnością

na człowieka, konkretnego człowieka, i zrobi z niego mokrą plamę. Jeśli na tym świecie istnieje sprawiedliwość. Tyle że oczywiście nie istnieje. Smętny nastrój powrócił, a nawet stał się jeszcze gorszy, kiedy Matt przeczytał, że naukowcy badają ten fenomen (na chwilę zatrzymał się na słowie „fenomen", pachniało science fiction, tym, co lubił) i doszli do wniosku, że lodowe pociski to z całą pewnością nie salwy, wystrzelone przez wrogo nastawionych kosmitów. Spece najbardziej optowali przy teorii, że te bryły lodu pochodzą od przelatujących samolotów.

Zadzwonił telefon Matta, a on aż podskoczył. Z sercem walącym mu aż w gardle odebrał:

– Edios. Matt Geary.

– Matt? – To była Natalie. – Odchodzisz z Edios?

– Nie. Dlaczego?

– Dostałam propozycję pracy.

Część jego mózgu, ta, która w dawnych czasach ostrzegała przez zagrażającym życiu niebezpieczeństwem, nagle się uaktywniła.

– Od Edios – kontynuowała Natalie. – Kierowanie działem sprzedaży, wyszukiwanie nowych klientów, prowadzenie negocjacji do czasu podpisania umowy.

– To moja praca.

– Tak też pomyślałam. Sorry, Matt.

Zwalniają go. Nie istniało inne wytłumaczenie. Nie zatrudnialiby Natalie do kierowania drugim zespołem sprzedaży, nie w obecnej sytuacji ekonomicznej, kiedy pracy ledwo starcza dla jednego. Nagle Matt zrozumiał, że wczorajsze wezwanie do Gabinetu Strachu było po to, aby straszliwa trójca podjęła ostateczną decyzję.

Matt wiedział, że wszystko sprowadza się do Bank of British

Columbia. I że winę ponosi on. To jego ogarniał kłopotliwy paraliż, przez który nie miał siły woli, aby nakłonić bank do dokonania zakupu, i nie miał odwagi, aby zmusić go do pokazania kart, i dlatego też doszło do tego impasu.

No ale Chryste. Zostać zwolnionym? Ogarnęło go przyprawiające o zawroty głowy przerażenie. Nigdy dotąd go nie zwolniono. Zawsze było na odwrót; pracodawcy go uwielbiali, a kiedy tylko próbował odejść, zawsze go błagali, aby zmienił zdanie. Zwolniony Matt? Nie znał takiej osoby.

Pieniądze. Co oni zrobią bez jego dochodu? Pensja Maeve była śmiesznie niska, praktycznie kieszonkowe. Będzie musiał poszukać innej pracy, ale po raz pierwszy w życiu czuł, że nie da rady. Nie był już tym człowiekiem, co kiedyś. Nie potrafił już wejść do gabinetu, tak jak w przeszłości, śmiało stanąć przed członkami komisji i ich przekonać, że potrzebują właśnie jego, Matta Geary.

Nie tylko pieniędzmi się martwił. Ale i Maeve. To ją dobije. Wszędzie widziała katastrofy i takie pechowe zdarzenie będzie dla niej znakiem, że ich wspólne życie jest przeklęte.

Miał okropne uczucie, że wszelka kontrola już dawno zniknęła, a teraz on i Maeve zmierzają w stronę jakiegoś strasznie mrocznego finału. Dobro i szczęście odeszło na zawsze i niczego się nie da odzyskać. To się skończy, w dodatku bardzo źle. Ostatnie trzy lata spędzili na próbach uniknięcia przeznaczenia, ale ono biegło im spiesznie na spotkanie.

Zadzwonił jego telefon. Mając wrażenie, że właśnie śni mu się jakiś koszmar, odebrał i... och, cóż za nieznośna ironia... to kierownik działu zaopatrzenia Bank of British Columbia. Zdecydowali się zakupić system.

Za późno. Za długo to trwało. Wydał na pościg zbyt dużo pieniędzy. Ale dla dobra zespołu musiał zachowywać pozory. Krzyczeć. Wykonywać

triumfalne gesty.

– Przez chwilę myślałem, że ci dranie wypną się na nas! Ale tylko przez chwilę!

Musiał porwać Salvatore w objęcia i wirować z nim dookoła pomieszczenia. Posłać Cleo po szampana. A kiedy w końcu zaczął płakać – i przez kilka przerażających chwil nie był w stanie przestać – uznano, że to łzy ulgi.

Było prawie wpół do szóstej, kiedy go wezwano: miał się jak najszybciej stawić w gabinecie Dyrektora Zarządzającego. Dawny Matt rzuciłby jakąś dowcipną uwagę w stylu „Trochę tam pewnie posiedzę". Ale dawnego Matta już nie było. Nie odezwał się do nikogo ani słowem. Już nigdy więcej ich nie zobaczy; nie będzie mu wolno wrócić do biura i się pożegnać; zostanie wyprowadzony z budynku bez swojego specjalnego kubka i zdjęcia Maeve. Ale to nie miało znaczenia. To tylko rzeczy; to tylko ludzie.

Dzięki Natalie wiedział przynajmniej, na co się zanosi. Gdyby nie jej telefon, może i pędziłby do Gabinetu Strachu, sądząc, że dyrektor poklepie go po plecach za sfinalizowanie wielkiej sprzedaży. Gdy nogi niosły go bezwiednie w stronę gabinetu, nie mógł uwierzyć, że wszystko aż tak się pochrzaniło. Miał wrażenie, że porusza się we mgle i w ogóle nie czuł, jak stopy dotykają podłogi.

Przybył. Zapukał. Drzwi otworzono, więc wszedł. Same poważne twarze. Matt zwiesił głowę i czekał, aż spadnie topór.

Ale było gorzej, niż się spodziewał. Znacznie, znacznie gorzej.

Matta nie zwolniono. O nie. Matta awansowano.

Dwa tygodnie później

Dzień 10

Zadzwonił telefon Lydii. Conall.

– Gdzie teraz jesteś? – zapytała.

– Wietnam.

Zaśmiała się głośno.

– Nie? Naprawdę? – Przez dwa ostatnie tygodnie kursował między Mediolanem, Kuala Lumpur a Manilą. – Co dalej?

– Phnom Penh. Kambodża.

– Ty cholerny szczęściarzu.

– To wcale nie jest takie fajne, jakby się mogło wydawać.

– Taa, akurat. Latanie pierwszą klasą, zatrzymywanie się w hotelach, *room service*. Uwielbiam *room service*.

– Kiedy wrócę, moglibyśmy się gdzieś wybrać. Do jakiegoś hotelu.

– Jak chcesz.

– No więc co słychać?

– Jutro wyniki rezonansu mamy. Dr Buddy Scutt wszystko wytłumaczy.

– Powodzenia. Daj znać.

– Pewnie. Nic więcej nie słychać. W środę ślub Poppy. Ta dziewczyna fiksuje.

– Ciągle cię miałem zapytać o to, jak to możliwe, że nie jesteś jedną z jej druhen?

– Jej matka mnie nie znosi. A Poppy ma Cecily, swoją Perfekcyjną

kuzynkę. Gdy miały dziesięć lat czy jakoś tak, Przyrzekły sobie, że będą swoimi druhnami.

– A kto jest twoją Osobą Towarzyszącą?

Kiedyś miał to być Gilbert.

– Chyba nikt. Chyba nie zgłaszasz się na ochotnika, co?

– Może zgłaszam.

– Możesz iść, o ile tylko nie będę musiała się tobą zajmować. To znaczy, że jesteś moim chłopakiem?

– Nie wiem. Znaczy?

I już go nie było. Rozłączył się! Zawsze to robił; był absolutnym mistrzem w posiadaniu ostatniego słowa.

Przez kilka sekund piorunowała telefon wzrokiem, po czym zadzwoniła do Poppy.

– Conall Hathaway chce przyjść na twój ślub.

– To znaczy, że jest twoim chłopakiem?

– Też go o to zapytałam.

– Może i jest. A co słychać u apetycznego Andrzeja?

– Jestem wyleczona. – Nie spała z nim ani razu od tamtej nocy w olbrzymim łóżku Hathawaya. Prawdę mówiąc, tak była zajęta mamą, rezonansem i spotkaniami w Boyne, że nie miała pewności, czy przez ostatni tydzień w ogóle widziała Andrzeja. Albo i dłużej. – 1 nie nazywaj go apetycznym.

Dzień 10…

Jemima przewracała się w łóżku z boku na bok, próbując znaleźć pozycję, w której nie będzie jej bolało. Grudge wszedł na łóżko i położył

głowę na jej brzuchu. Emitowane przez niego ciepło to doskonały środek przeciwbólowy, tak mu często mówiła Jemima. Ale ona nie mogła się wygodnie ułożyć, nie był więc zdziwiony, gdy powiedziała:

– Wybacz mi, mój kochany Grudge, ale trochę mi niewygodnie z twoją głową na brzuchu.

Zdziwiony nie, ale urażony. Och, jak bardzo urażony. Zszedł z łóżka i wyszedł sztywno z pokoju, aby się gniewać w swoim koszu. I znieruchomiał. Fionn! Tak wielka była nienawiść Grudge'a, że był go w stanie wyczuć nawet z dużej odległości.

Fionn był pod domem razem z Katie. Wysiadali – a raczej wypadali – z taksówki i próbowali trafić kluczem do dziurki. A potem szli po schodach, potykając się, chichocząc i coś mamrocząc. Byli zawiani – tak określiłaby to Jemima. Grudge potrząsnął z niesmakiem głową.

Do tej pory lubił Katie – cóż, o ile można powiedzieć, że kogokolwiek lubił – ale jej flirtowanie z Fionnem pokazało godny pożałowania brak gustu.

Próbując wydąć z pogardą wargę, Grudge nasłuchiwał śmiechów i szeptów, gdy zakochana parka wchodziła – nie bez trudu – po schodach. Mnóstwo „ćśśś" i tłumionego śmiechu. Niestosownego. „Przestań, ty smarkaczu! " – nakazała Katie głośnym szeptem, a Grudge zastanawiał się, co takiego zrobił Fionn. Wsunął dłoń pod jej spódnicę? A może włożył ją w majtki? Słychać było jakieś ciche uderzenie. Fionn musiał ją pchnąć na ścianę i obmacywać. Dobry Boże, co za szopka!

Przeszli na palcach obok Grudge'a, ukrytego za drzwiami Jemimy i warczącego cicho. Teraz udadzą się do mieszkania Katie na najwyższym piętrze i będą odbywać hałaśliwe stosunki.

Od niemal trzech tygodni Fionn nie przespał w mieszkaniu Jemimy ani

jednej nocy. Praktycznie mieszkał u Katie. Takie rozwiązanie cieszyło Grudge'a niepomiernie – nie tylko znowu miał Jemimę wyłącznie dla siebie, ale mógł także oddawać się długim sesjom świętoszkowatej pogardy. Ależ ten Fionn był zmienny i nieodpowiedzialny. Nielojalny niewdzięcznik. Jemima opiekowała się nim, gdy tak bardzo tego potrzebował, a on odrzucił ją jak gorący ziemniak, kiedy się spiknął z wypachnioną, biuściastą Katie.

Biedna Jemima próbowała udawać, że nie jest jej smutno. „Katie to taka słodka dziewczyna. Taka rozsądna. Ale jak długo wytrzyma z Fionnem? Oto jest pytanie".

Obecnie widywali Fionna tylko wtedy, gdy wpadał odbierać zaproszenia na różne wspaniałe imprezy. Pierwsze kilka razy udawał, że to prawdziwe odwiedziny, ale potem Jemima zmądrzała. Obecnie układała duże i kolorowe koperty w schludny stosik na sekretarzyku i kiedy Fionn wpadał do mieszkania, udawał się prosto do niego i zabierał się za otwieranie.

Budził odrazę, on i te jego zaproszenia. Każdego dnia przychodziły trzy albo cztery, czasami nawet nie zwykłą pocztą, ale kurierską, i Fionn się uważał za cholernie fantastycznego. Im więcej ich dostawał, tym bardziej się stawał nieznośny i Grudge oddałby wszystko, co ma, aby tylko mu powiedzieć, że te zaproszenia przychodzą tylko dlatego, że znajduje się na komputerowej liście mailingowej jakiejś firmy PR. Nikt go tam tak naprawdę nie chciał. No i te jego narzekania!

O nie, promocja albumu jest tego samego wieczoru co impreza urodzinowa jakiejś celebrytki! Albo: Jeśli przejdziemy się po czerwonym dywanie, ale nie zostaniemy na sam film, uda nam się załapać na końcówkę otwarcia galerii.

Jakby to kogoś obchodziło.

Trzeba przyznać, że Fionn próbował namówić Jemimę na udział w niektórych z tych imprez – choć Grudge podejrzewał, że niemal na pewno to Katie za tym stoi. No ale po co Jemimie takie imprezy? Miała osiemdziesiąt osiem lat i choć była otwarta i wolna od uprzedzeń, to czy Fionn naprawdę oczekiwał zainteresowania jazdą próbną najnowszym modelem ferrari?

Za to nowe, olśniewające życie Fionna Grudge winą obarczał tę okropną Grainne Butcher. Przekazała dane Fionna każdej agencji PR w kraju i kazała mu „się pokazywać", ponieważ ruszyło już odliczanie do emisji pierwszego odcinka *Twojego własnego Edenu*. Zostało zaledwie dwanaście dni, a ona chciała narobić „hałasu".

Grudge nie mógł się już doczekać. Pragnął, aby program wyemitowano i aby zebrał takie cięgi, na jakie zasługiwał. Widział roboczą wersję pierwszego odcinka i wszyscy – idioci! – uważali chyba, że jest dobry. To przechodziło ludzkie pojęcie! Miał to być program poświęcony ogrodnictwu, a zamiast tego jakiś kretyn paradował w brudnej marynarce, wyjmując z kieszeni chwasty i kamyki!

Twój prywatny Eden zaliczy klapę. Nie ma innej możliwości.

Dzień 9

– Maeve?

– Mhm?

„Powiedz jej, powiedz, powiedz".

– ... Ach... – „Ty beznadziejny głupcze, powiedz jej w końcu". – ... Nic.

Kierownik działu sprzedaży międzynarodowej, takie stanowisko

piastował teraz Matt. A przynajmniej tak było napisane na sztywnych nowych wizytówkach, które otrzymał tamtego popołudnia w Gabinecie Strachu, tego dnia, gdy Bank of British Columbia oznajmił, że kupuje system Edios. Grube ryby z Edios zasypały Matta gratulacjami z powodu awansu. Dłoń uścisnął mu Dyrektor Finansowy, Prezes poklepał po plecach i Matt się starał, aby nie widać było po nim rozpaczy, gdy Kevin Day, Dyrektor Zarządzający, zalewał go strumieniem entuzjastycznych informacji. „Ogień trzeba zwalczać ogniem, tak właśnie trzeba sobie radzić w czasach recesji. Wiesz, co znaczy międzynarodowy, prawda, synu? Zgadza się, dużo wyjazdów! Te wszystkie wspaniałe nowe rynki na Dalekim Wschodzie, tylko czekające, aż ktoś je podbije, a kto będzie w tym lepszy od naszego Matta Geary? ”

Naturalnie nie mógł liczyć na podwyżkę. „Recesja, synu, no ale liczy się także prestiż, no i oczywiście mnóstwo wyjazdów. ”

Maeve chyba zwariuje. Kiedy jej powie.

Ale minęły dwa tygodnie, a on nadal tego nie zrobił. Czas płynął, a każde kolejne dwadzieścia cztery godziny mijały szybciej od poprzednich. Nat złożyła w Goliacie wypowiedzenie; jeszcze tylko dziesięć dni roboczych i wypchnie Matta zza jego biurka.

Każdego dnia kładł się spać, zadręczając się tym, że minął kolejny dzień, a on nadal nie powiedział Maeve, a każdego ranka wiedział, że musi to zrobić teraz. Wtedy mijała minuta, potem następna i następna i wszystkie one dodawały się do siebie, aż w końcu znowu nastawa! wieczór, a słowa pozostawały zamknięte w jego wnętrzu.

Odrzucenie nowego stanowiska nie wchodziło w rachubę – wszystko było postanowione, jego poprzednie stanowisko przekazano komuś innemu – a jednak nie mógł go także przyjąć i nie było wyjścia z tej matni.

Dzisiejszy dzień rozciągał się przed nim i Matt wiedział, że niczego nie powie, i że wieczorem pójdzie spać, i obudzi się jutro i nie powie Maeve, i dzień minie, nastanie nowy i tak będzie codziennie aż do dnia, kiedy w Edios pojawi się Nat, a na dublińskim lotnisku będzie czekał samolot, gotowy zabrać Matta do Chin, i co się wtedy stanie?

Dzień 9…

– Spotykasz się dziś z Andrzejem?

Rosie uśmiechnęła się enigmatycznie i zaczęła się krzątać przy szafce ze strzykawkami, ponieważ nie, nie spotykała się dzisiaj z Andrzejem, ale nie zamierzała przyznać się do tego koleżance z pracy, Jewgienii. Nie można okazywać słabości. Mijał ósmy dzień, odkąd Andrzej miał po raz ostatni czas i Jewgienia prowadziła rejestr.

Rosie tego nie rozumiała. Tuż po zakończeniu, Afery Drzwiowej" powiedziała Andrzejowi, gdzie chce go widzieć: na kolanach. Były czerwone róże. Był breloczek w kształcie serca, który zabrała do wyceny do jubilera; oszacował go na dwieście euro, nie tak wysoko, jak by chciała, ale wystarczająco. Były żarliwe obietnice, że Andrzej zapyta w pracy, czy będzie mógł pożyczyć vana, żeby mogli się udać na romantyczny weekend do Kerry.

Potem jego zapał w nagły i niewytłumaczalny sposób ostygł. Podczas ich dwóch ostatnich spotkań, kiedy się w nią wpatrywał, nie miał już tak rozanielonej miny, esemesy stały się nieregularne i nie pojawiła się już żadna wzmianka na temat Kerry.

– Proszę zacisnąć dłoń, panie Dewy – powiedziała do staruszka leżącego na wysokim, wąskim łóżku. – Aż zobaczymy żyły.

– Jestem pan Screed – powiedział, nerwowo patrząc na strzykawkę w ręce Rosie.

Naprawdę? No to kim był pan Dewy? Ach tak, mężczyzna który rankiem zmarł na sąsiednim łóżku. Oni wszyscy wyglądali tak samo.

– Panie Screed. – Próbowała się uśmiechnąć. – Przepraszam, skarbie. To zmęczenie. – Zastukała w zgięcie łokcia. – Ma pan w ogóle jakieś żyły?

Nieoczekiwany policzek od tego przystojnego Fionna zachwiał jej pewnością siebie i wzmógł uczucia względem Andrzeja: on nigdy by jej nie kazał siedzieć samej w pubie, on był dżentelmenem. Zgoda, musiała czekać pod drzwiami jego mieszkania, ale autentycznie nie słyszał jej delikatnego pukania. Zrobiła z tego wielką aferę, ale tylko dlatego, że tak trzeba, ale tak naprawdę to była tylko taka gierka. Tego właśnie mężczyźni tacy jak Andrzej oczekiwali od dziewcząt takich jak Rosie: zranionych uczuć, wrażliwości, konieczności perswazji itd.

Może – oczywiście, że coś takiego mogło przyjść do głowy – atencja Andrzeja osłabła, ponieważ poznał inną. Uważała to za mało prawdopodobne. Andrzej to nie Fionn; on był solidny i można na nim polegać.

Ale, co zabawne, czasem nachodziły ją niespokojne myśli na temat Lydii – mimo że ta dziewczyna była taka ostra, krzykliwa i szorstka, że Rosie nie mieściło się w głowie, aby mogła się komukolwiek spodobać. Ale ich mieszkanie było takie małe, a mężczyźni, nawet ci porządni, to w gruncie rzeczy zwierzęta...

Dzień 9…

Na twarzy Katie widniały resztki wczorajszego tuszu do rzęs, wyglądające jak sadza. Wpatrywała się w swoje odbicie w łazienkowym lustrze, dokonując oceny szkód. To zadziwiające, że nie wyglądała jeszcze gorzej. Sypiała najwyżej cztery godziny na dobę. Pielęgnacja cery poszła w kąt. Jadła byle co i o fatalnych porach: czekoladowe herbatniki na śniadanie, tosty z serem o czwartej rano. I kompletnie zaniechała jakichkolwiek ćwiczeń fizycznych. Poza seksem, a trzeba przyznać, że to akurat robiła bardzo często.

– Nie ma mleka? – zawołał Fionn z kuchni.

– A skąd miałoby się wziąć? – Oparła się o drzwi i patrzyła, jak parzy herbatę z torebki. – Jesteś przy mnie, odkąd wczoraj skończyłam pracę. Chyba że wyszłam po nie w środku nocy.

– Pójdę na dół do Jemimy i przyniosę.

– Nie. – Nie powinien traktować jej jak sklepu.

– Dlaczego? Nie będzie miała nic przeciwko.

Może i będzie. Tyle że nie da tego po sobie poznać.

– Wypij czarną, nic ci się nie stanie.

– Będziemy musieli zrobić zakupy. – Machnął ręką w stronę pustego chlebaka. – Jedzenie i tym podobne.

– Może dzisiaj? A potem spokojny wieczór w domu?

Zmarszczył brwi. Mówiła poważnie? A potem oboje wybuchnęli śmiechem. Co wieczór coś się działo. Nie było w Dublinie imprezy, na którą Fionn nie otrzymałby zaproszenia: premiery filmowe, przyjęcia urodzinowe, promocje samochodów, otwarcia hoteli. Wszystkie zaproszenia zatykał ramę lustra Katie i często stał i je podziwiał. Mówił: „Tyle lat spędziłem na

zadupiu. Spójrz tylko, co mnie omijało”.

– Prawdę mówiąc, wolny wieczór dobrze by nam zrobił _ powiedziała Katie.

Nawet Fionn wydawał się dziś rano taki jakiś blady, a wokół oczu miał zmarszczki, których wcześniej nie widziała.

– Jutrzejszy wieczór powinien być spokojny – odparł. – Jaki jest plan?

– Urodziny mojego taty. Pamiętasz?

– Wiem. O której godzinie?

– Och! Wybierasz się?

Po chwili rzekł:

– ... A nie?

Poczuła ukłucie bólu. Tak świetnie się razem bawili, surfując dniami i nocami na oceanie adrenaliny i ekscytacji. Przypominało to ciągły haj wywołany jakimś cudownie radosnym narkotykiem bez żadnych skutków ubocznych i zejść. Nic nie sprowadziłoby jej życia szybciej na zwykły, wyboisty tor niż rzucenie się jej rodziny na Fionna.

– No wiesz, Fionn, to może ciut za szybko. – Byłoby to niczym rzucenie go wilkom na pożarcie. – Moja rodzina jest specyficzna.

Na jego policzkach pojawił się rumieniec.

– Ciut za szybko? Jesteśmy razem strasznie długo.

Dopiero trzy tygodnie, choć rzeczywiście wydawało się, że znacznie dłużej.

– Moja rodzina – powiedziała z zakłopotaniem – była okropna dla Conalla.

– Ja to nie Conall.

Musiała się roześmiać.

– Co ty nie powiesz. – Aby go pocieszyć, dodała: – A może umówimy się z nimi na następny weekend?

– Okej.

– I przepraszam za dzisiejszy wieczór. i

– Nic się nie dzieje. – Ale jednak sprawiał wrażenie nie – co naburmuszonego. – Pewnie i tak będzie nudno.

– Gdyby tylko – rzekła ze smutkiem.

– Wyjdziemy gdzieś potem?

– Mogę wrócić dość późno.

– Katie. – Markotnie kopnął czubkiem buta w lodówkę.

– Nie znoszę nie być z tobą.

Dzień 9…

Demencja. Proszę bardzo, czarno – biało – szare cyfrowe zdjęcie mózgu Ellen Duffy pokazywało wyraźnie, że cierpi ona na demencję wielozawałową.

– Nie ma więc Alzheimera? – zapytał Murdy.

– Nie. – Buddy Scutt gorliwie uchwycił się tej jedynej dobrej wiadomości.

– Prawdę mówiąc, jest to możliwe. – Lydia wiedziała wszystko na ten temat dzięki wielogodzinnym przeszukiwaniom Internetu. – Czasami demencja wielozawałowa współistnieje z Alzheimerem. Może go nawet aktywować.

– Jeśli nie ma Alzheimera, no to świetnie – oświadczył gorliwie Murdy.

– Wcale nie świetnie! Ma inny rodzaj demencji, równie zły. I może

mieć Alzheimera.

– No więc co to takiego ta demencja wielozawałowa? – zapytał Ronnie Buddy'ego Scutta.

– Miała mnóstwo mikroudarów – wyjaśniła Lydia.

– Nie miała udaru – zaprotestował Murdy. – Wiedzielibyśmy o tym.

– Mikroudary, mikroudary! Są naprawdę małe, jak zresztą wskazuje ich nazwa, ale zniszczyły dostęp krwi do części mózgu.

– Zgadza się? – Ronnie zapytał Buddy'ego Scutta, który siedział na drugim końcu stołu, a wyglądał na przestraszonego i zakłopotanego. No i dobrze, pomyślała z niechęcią Lydia.

Buddy odkaszlnął.

– Demencja wielozawałowa jest wynikiem serii małych udarów, które blokują dopływ krwi do części mózgu.

– Siostra właśnie to powiedziała.

– I lepiej to wylecz. – Ronnie. To, że mówił cicho, wcale go nie czyniło mniej groźnym.

– Możemy z całą pewnością dopilnować tego, aby udary już nie występowały. Natychmiast zaczniemy podawać leki na rozrzedzenie krwi, aby nie dochodziło do zatorów.

– I naprawisz szkody, doktorku? – Ronnie nie dawał za wygraną.

– Ach, no bo widzicie. – Buddy Scutt wiercił się niespokojnie na krześle. – Powstałe szkody są nieodwracalne.

– Nieodwracalne? – Ronnie mówił jeszcze ciszej.

– O rety, nie, to mi się wcale nie podoba.

– Uwierz mi, Ronald, gdybym mógł wyleczyć waszą matkę, zrobiłbym to.

– Siostra przyszła do pana prawie rok temu, prosząc o skierowanie na

rezonans, a pan odesłał ją z kwitkiem. Przez cały rok mama miała te udary, które coraz bardziej niszczyły jej mózg.

– Pozwiemy cię za to! – oświadczył z mocą Murdy.

– Obedrzemy cię z całej kasy, jaką masz.

– Ta beemka na początek. – Na parkingu Murdy dokonywał już oceny aktywów Buddy'ego Scutta. – I nie ma żony, nie będzie więc mógł przepisać majątku na nią. Tacy jak on często to robią, kiedy więc dobrzy ludzie, tacy jak my, uzyskują wyrok na swoją korzyść, i tak nic nie dostają.

– Zamknij się, ty kretynie – powiedziała ze znużeniem Lydia. – Nie będziemy go pozywać.

– Powinien zostać skreślony z listy lekarzy.

– Ale nie zostanie. Oni trzymają się razem, lekarze i ci, co mają ich skreślać. Tacy jak my nie mają najmniejszej szansy.

– Moglibyśmy wymierzyć jakąś pozasądową karę – powiedział Ronnie, niemal tak, jakby mówił do siebie.

– Ty też się zamknij. Zapomnijcie o zemście.

Bracia byli teraz tak zaangażowani, że aż ją to denerwowało. Wszyscy razem, zjednoczeni Operacją Szalona Matka. Tylko Raymond nadal trzymał się na dystans.

– Co zrobimy, żeby zająć się mamą?

– Aaaach...

– Co Hathaway ma na ten temat do powiedzenia? – zapytał Ronnie.

– Naprawdę powinien tu przyjechać – rzekł Murdy.

– Żebyśmy mogli razem ułożyć plan działania. Kiedy wraca z Wietnamu?

– Musi jeszcze lecieć do Kambodży – odparła zwięźle Lydia. Na litość boską! Hathaway?! On dla mamy był nikim, a jednak tych dwóch

zachowywało się, jakby to on ją uratował.

– Kambodża? – Murdy zacmokał z uznaniem. – Niezły kolo.

– A może sami spróbujemy ułożyć plan? – zaproponowała słodko Lydia. – I przedstawimy go Hathawayowi, kiedy już wróci.

– Może być.

No więc proszę, pomyślała Lydia w drodze powrotnej do Dublina, w końcu zdolna w spokoju przyswoić wieści. Wiedziała, że z mamą dzieje się coś strasznego. Już dawno temu przestała mieć nadzieję, że tylko to sobie wyobraża, ale usłyszeć to oficjalnie...

Miała rację. A cała reszta się myliła i choć mama nie poczuje się dzięki temu lepiej, fajnie jest mieć rację.

Ale to koszmarne zmarnotrawienie czasu... Cały dodatkowy rok, podczas którego mama była niszczona od wewnątrz. Biedna mama.

I biedna Lydia, pomyślała nagle. Otworzyła usta i zaczęła wyć, płakać jak mała dziewczynka, jakby pękało jej serce. Zdjęła jedną dłoń z kierownicy i zakryła nią usta, próbując zdusić szokujące odgłosy własnego żalu. Po jej twarzy spływały łzy i zamazywały widok, a ona jechała, ponieważ co innego mogła zrobić?

Dzień 9…

Taksówka jechała agresywnie przez bulwar z dziesięcioma pasami, lawirując między vanami, samochodami, rowerami i ryczącymi motocyklami, aż w końcu zatrzymała się przed szklanym wejściem do hotelu. Pojawił się lokaj w liberii, usłużnie otworzył drzwi i Conall wysiadł. Natychmiast otuliło go ciepłe, nieznośnie wilgotne nocne powietrze. Wręczył kierowcy garść zmiętych banknotów i ruszył w stronę chłodnego

wnętrza hotelu, kiedy głośne przekleństwo kazało mu się odwrócić. To taksówkarz, drobny, chudy mężczyzna, pocący się w nylonowej koszuli. Wyglądał na wkurzonego i wysiadł – wysiadł! – z auta, czego taksówkarze nigdy nie robili, zwłaszcza jeśli do bagażnika trzeba załadować dużą walizkę. Machał zwitkiem banknotów i krzyczał coś do Conalla. Jedyne słowa, jakie rozumiał, to „Wietnam, Wietnam! ”.

W tej wilgoci jego myśli poruszały się zbyt wolno. Za mało mu zapłacił? Ale był przekonany, że do widniejącej na liczniku kwoty dorzucił hojny napiwek.

Do akcji wkroczył lokaj i wyjaśnił:

– Mówi, że zapłacił mu pan wietnamskimi dongami.

No i?

– To nie jest Wietnam.

Nie? A więc gdzie on teraz był?

Conall miał w głowie kompletną pustkę. W poszukiwaniu jakichś wskazówek rozejrzał się. Za sobą miał szklany i pełen blichtru hotel, po drugiej stronie bulwaru znajdowało się wieczorne targowisko pełne niskich, brązowych mężczyzn, dalej widać było jakieś zrujnowane budy.

Boże, ten człowiek miał rację, to nie był Wietnam. Wietnam był wczoraj. Dzisiaj coś innego. Kolejny gorący kraj. Przypomni sobie za chwilę. Indonezja!

– Kambodża, sir.

– Zgadza się, Kambodża! – Wyjął portfel. Powinien mieć trochę waluty kambodżańskiej. No i rzeczywiście były tu banknoty z wielu różnych krajów, ale... – Jak one wyglądają?

– Mogę, sir?

Lokaj grzecznie wziął od Conalla portfel. Conall dostrzegł pogardliwe

spojrzenie, jakie wymienił lokaj z taksówkarzem: wielki, bogaty, biały człowiek ze zbyt dużą ilością pieniędzy.

– To był męczący dzień – wyjaśnił Conall. I rzeczywiście był. Zaczął się w innym kraju, w innej strefie czasowej.

Sprawa z taksówkarzem została załatwiona i portfel wrócił do właściciela.

– Przepraszam.

– Dałem mu napiwek – rzekł lokaj.

– Wielkie dzięki i, eee, sobie też weź.

– Dziękuję, sir.

Umieszczono go w apartamencie z ogromnym salonem, garderobą i dwiema łazienkami. Spędzi tu tylko pięć godzin.

O szóstej rano musiał jechać na lotnisko, gdzie czekał samolot do Manili. Wystrój był typowy dla luksusowego hotelu – flokowana tapeta, masywne komody i puszyste dywany. Za wymyślnie udekorowanymi oknami były trzydzieści dwa stopnie.

Chciał zdjąć krawat, ale ten dawno zdążył zniknąć. Gdzieś pośród dzisiejszych wyzwań Conall go porzucił.

Kiedyś praca zaczynała się w wiozącym go z lotniska samochodzie, ale teraz ludzie czekali na niego już przy drzwiach samolotu i zapoznawali z sytuacją, gdy poruszali się ruchomymi chodnikami i czekali w kolejce do kontroli paszportowej. Rano nie zdążył opuścić lotniska w Phnom penh, a już przyswoił mnóstwo informacji na temat miejscowej infrastruktury, prawa korporacyjnego oraz wad i zalet siły roboczej.

Jak zwykle miał do dyspozycji wielką ekipę złożoną z prawników, księgowych, tłumaczy i asystentek. Ekipa w Phnom Penh doskonale sobie radziła i wyglądało na to, że to zamknięcie okaże się dość bezproblemowe –

dopóki pheakdei Thong nie przyniósł mu fragmentu miejscowego ustawodawstwa: udzielono czasowych zwolnień podatkowych, a w zamian działalność w Kambodży miała być prowadzona przez dziesięć lat. Na razie minęły niecałe cztery. Gdyby Conall zamknął spółkę, dyrektorom postawiono by w sądzie zarzuty.

Borykanie się ze złożonymi i podstępnymi problemami lokalnymi – za to właśnie płacono Conallowi.

Powiesić dyrektorów na najbliższym drzewie – to by było najbardziej opłacalne. Ale...

Pheakdei Thong czekał cierpliwie, gdy tymczasem Conall zatopił się w myślach, symulując najprzeróżniejsze konfiguracje, obmyślając każdą możliwą kombinację, po czym łamał je na pół, potem jeszcze raz, i jeszcze, aż dochodził do konkretnych osób rozsianych po całym globie, albo tracących pracę, albo ją zachowujących.

„Jeśli zostawię magazyny w Hanoi, ale zamknę fabryki, dobiję targu z dostawcami w Laosie, przeniosę filię transportową z Indonezji do... dokąd? Może na Filipiny, taa, okej, Filipiny. Ale w takim przypadku potrzebny mi port bardziej na północ. Ho Chi Minh jest portem. Ale amerykańskie sankcje względem Wietnamu... ”

No dobrze, spróbujmy innej kombinacji.

„Dostawcy w Laosie zostają i – jak to możliwe, że nikt do tej pory na to nie wpadł? – produkcja też będzie w Laosie, puszczona Mekongiem do Tajlandii, gdzie są główne magazyny. Ale chwileczkę, czy między Tajlandią a Laosem nie ma przypadkiem ograniczeń handlowych...? ”

Wypróbował wiele innych wersji, żałując, że nie może podzielić się na dwie części, trzy, a nawet sześć, i wrócić na Filipiny, do Wietnamu czy Laosu, aby wyjaśnić tamtejszą sytuację. W końcu stało się jasne, że

rozwiązanie tego impasu znajduje się na Filipinach. Będzie musiał wrócić do Manili. Cholera.

Wstał.

– Skończyliśmy.

Pheakdei Thong wyglądał na zaskoczonego.

– Co się dzieje?

– Nic. Wy zostajecie. – Tyle zmarnowanego czasu.

– Czy ktoś mógłby zarezerwować mi lot na Filipiny?

Nawet nie kryli radości z faktu, że się go pozbywają. Zostawił ich, świętujących jego wyjazd, i udał się taksówką do hotelu, gdzie z powodu zmęczenia zapomniał, w jakim przebywa kraju.

Musiał coś zjeść; nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio jadł. Nie musiał zaglądać do menu obsługi hotelowej, aby wiedzieć, co się w nim znajduje: sałatka cesarska, kanapka klubowa, pizza z pieczarkami.

Ale był zbyt wykończony, żeby choć chwilę rozmawiać z obsługą, która przyniosłaby jedzenie. Jak panu minął dzień, panie Hathaway? Mam nalać kawy, panie Hathaway? Zostawić to tutaj, panie Hathaway?

W barku w takim hotelu zawsze można znaleźć M&M’sy, choć jedna stała w tym jakże niepewnym świecie. No i proszę, oczywiście, że były, jego mali przyjaciele. Ostrożnie, gdyż ciało miał sztywne i obolałe, Conall położył się na podłodze, po czym wsypał do ust całą paczuszkę kolorowych pereł rozkoszy.

Kiedy o szóstej rano zadzwonił telefon, nadal leżał na podłodze przed barkiem, a w otwartych ustach miał grudę na wpół pogryzionych cukierków.

Trzy lata temu

Dwa dni po powrocie z podróży poślubnej Maeve na korytarzu w pracy spotkała Davida. Z poczuciem winy przygotowała się na to, że spuści głowę i z dramatycznym smutkiem minie ją, tak jak już to robił wiele razy, ale ku jej ogromnemu zdziwieniu, David podszedł do niej, uśmiechając się życzliwie.

– Witaj, Maeve, a może powinienem powiedzieć pani Geary? – zapytał kordialnie. – Przyjemna podróż poślubna?

– Eee... tak...

– Przepraszam, że nie towarzyszyłem wam w tym ważnym dniu...

– Nie! Proszę! Nie przejmuj się, ja to rozumiem. Miałeś nam za złe, że cię zaprosiliśmy? Było tak: zaprosimy cię, będziesz wkurzony, nie zaprosimy cię, też będziesz wkurzony.

– Tak, wiem, wiem.

– David, naprawdę mi przykro – powiedziała cicho.

– W porządku.

– Dzięki.

– Za co?

– Że mi wybaczyłeś.

– Hej, tego nie powiedziałem. – Ale uśmiechnął się, a jej ciężar spadł z serca i poczuła się lekka i wolna. Nastały nowe czasy w relacjach na linii Maeve – David.

– Nie chciałam cię zranić, Davidzie. – Po czym dodała żarliwie: –

Wiele dla mnie znaczyłeś. Jesteś dobrym człowiekiem. To ostatnie, co chciałam zrobić.

– Wiem o tym. – Niemal zawstydzony rzekł: – Mam dla was ślubny prezent.

– Och, David...

– Ale nie chcę przynosić go tutaj. Czułbym się trochę...

– Wiem! Oczywiście.

– Mogłabyś odebrać go z mojego mieszkania.

– Jasne, kiedy tylko ci pasuje.

– Dziś wieczorem?

– Jasne, czemu nie?

Prawdę powiedziawszy, dzisiejszy wieczór pasował jej doskonale. Matt wybierał się na kolację z potencjalnymi klientami. Cichy głosik w jej głowie pisnął, że może lepiej nie mówić mu o tym. Po wszystkim się oczywiście dowie, no i zobaczy nowy ślubny prezent, ale teraz chyba nie trzeba mu było mówić? Mógłby jej odrzec, że nie powinna zawracać sobie głowy, że David to przeszłość. Ale to była jej szansa na naprawienie kontaktów z Davidem, na zmniejszenie poczucia winy. Matt miał dobrze, Natalie była tak arogancka, że nic nie było w stanie zachwiać jej wiary w siebie, ale Maeve wyrządziła Davidowi naprawdę wielką krzywdę i bardzo źle się z tym czuła.

Dzień 8

Najpierw Lydia sądziła, że mieszkanie jest puste. Ale w salonie siedział cicho Andrzej.

– Cześć – odezwał się. Na twarzy miał maskę uprzejmości. – Byłaś

w Boyne?

– Tak. Pożyczyłam twoją torbę.

– Właśnie widzę.

Skrzywiła się. To zjadliwa uwaga czy stwierdzenie faktu?

Spojrzał na nią – i nagle jakby ich wystrzelono z kata pulty. Chwytali się swoich ubrań, włosów, skóry. Poruszając się jak jedno ciało, wycofali się na korytarz, wpadli na drzwi do jego pokoju, a potem padli na łóżko. Chwilę później znalazł się w niej. Żadnej gry wstępnej ani miłych słówek, to było szybkie i wściekłe, a ona właśnie czegoś takiego chciała. Żadnego gadania, żadnej techniki, po prostu natychmiastowe przejście do sedna sprawy.

Był jak zwierzę. I ona także. Wyłącznie instynkt i czucie.

Ale gdy tylko było po wszystkim, wrócił rozsądek. Była... cóż, była zaskoczona.

Lydia sądziła, że Conall Hathaway wyleczył ją z Andrzeja. Ale teraz, gdy przeanalizowała fakty, uświadomiła sobie, że przez ostatnie dwa tygodnie prawie w ogóle nie widywała Andrzeja, a nawet jeśli, to w pobliżu zawsze kręcił się Jan. Łatwo się uleczyć z przypadkowego uprawiania szaleńczego seksu z kimś, kogo się nie widuje.

– To był ostatni raz – oświadczyła Lydia. – Ostatni ostatni. Mam chłopaka.

– Chcesz medal? Ja mam dziewczy... – Andrzej zamarł. Na korytarzu słychać było jakieś dźwięki. – Jan. Wrócił do domu.

Andrzej wystrzelił z łóżka jak z procy i zaczął się ekspresowo ubierać.

– Ubieraj się!

– Sam się ubieraj!

Nieco obraźliwe było to, jak bardzo Andrzej chciał ukryć wszystko przed Janem, ale Lydia też nie chciała, aby Jan się o nich dowiedział. W

sumie nie robili nic nielegalnego, ale im mniej wiedziało o tym ludzi, tym łatwiej jej było wierzyć, że to w ogóle nie miało miejsca. To w sumie cud, że Jan do tej pory niczego się nie domyślił, nawet biorąc pod uwagę jego niesamowitą głupotę.

Śpiewał sobie pod nosem. Słychać było, jak kładzie coś na kuchennym stole, a potem wszedł do łazienki. Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Andrzej rzucił nagląco:

– Idź.

Zadzwoniła do Poppy, ta jednak nie odebrała.

– Pops, zadzwoń do mnie. Nie jestem wyleczona.

Potem zadzwoniła do Sissy, ale ona także nie odebrała.

Nie miała wyjścia i zadzwoniła do Shoane, choć ta nie bardzo się nadawała do roli arbitra moralności.

– Znowu uprawiałam seks z Andrzejem.

– Rozumiem. – Usłyszała, jak Shoane zapala papierosa, szykując się na pogawędkę.

– Pod koniec przyszłego tygodnia jedzie na urlop do Polski, ale do tego czasu będę musiała z nim mieszkać. A jeśli znowu do tego dojdzie? Przecież Hathaway jest teraz tak jakby moim chłopakiem. Nie lubię grać na dwa fronty. – Jeden chłopak po drugim, super. Znalezienie sobie nowego trzy dni po porzuceniu poprzedniego, w porządku. Ale niewierność nie. Źle się z tym czuła i już.

-Na twoim miejscu wcale bym się tym nie przejmowała – stwierdziła Shoane. – Jestem pewna, że Hathaway zabawia się z prostytutkami, kiedy mieszka w tych różnych hotelach.

– Myślisz?

– Możliwe. Ma przecież dość kasy, no ale wiesz, jak tak tylko mówię,

nie przejmuj się.

– Cóż, okej. Dzięki za słowa pociechy. Chyba.

Dzień 8...

Maeve i dr Shrigley siedziały w ciszy. Od ponad siedmiu minut żadna nie odezwała się ani słowem.

– ... Nie wiem. – Maeve ze znużeniem potarła twarz.

– Fionn nadal cię niepokoi?

– Nie... ma teraz dziewczynę. Katie. Mieszka w tym samym domu, co ja.

Niczego to jednak nie zmieniało. Szkoda została wyrządzona. Listy Fionna i jego otwarte gapienie się rozpoczęły proces czegoś w rodzaju prucia się i mimo że stracił nią zainteresowanie, to nie wystarczyło, aby go odwrócić.

– To dobrze – powiedziała dr Shrigley. – ... Prawda? Maeve? Jesteś tutaj?

– Przepraszam. Tak.

– Nadal spełniasz codziennie Dobry Uczynek?

– Tak. – Już dawno przestała.

Po raz kolejny zapadła cisza.

– Spóźniłaś się dzisiaj – powiedziała nagle dr Shrigley. To zaskoczyło Maeve. Dr Shrigley rzadko odzywała się pierwsza. – Spóźniłaś się na trzy ostatnie sesje.

Maeve wzruszyła ramionami.

– Każde zachowanie jest sposobem komunikacji. Twoje spóźnienia mówią, że może nie angażujesz się już w ten proces.

Przez ciało Maeve zaczęło się przetaczać uczucie ulgi – Wyglądało na to, że dr Shrigley okrężną drogą zmierza ku temu, aby ją zwolnić. Nie musiałaby już przychodzić tu i udawać. Zniknąłby ostatni element udawania.

Dzień 8…

Coś się wydarzyło. Nim Katie zdążyła wyciągnąć z torebki klucz, jej mama otworzyła szeroko drzwi. Penny aż się trzęsła z wściekłości.

– W „Heraldzie" było twoje zdjęcie – syknęła. – Z twoim nowym chłopakiem. Żeby coś takiego zrobić ojcu w dniu jego urodzin?

– Naprawdę? – Katie była podekscytowana. Jak dotąd pojawiła się w gazetach rozczarowująco niewiele razy. Zważywszy na ilość promocji, na które chodziła i gwiazdorski kaliber ludzi, z którymi pracowała, można by sądzić, że to się dzieje znacznie częściej. – Ładnie wyszłam?

– Niełądnie. Zrobiłaś zeza. I spóźniłaś się. Siadamy już do stołu.

Katie udała się do salonu. Wszyscy tam byli: Naomi i Ralph z dziećmi, tata u szczytu stołu. Nawet Charlie się zjawił.

– Boże! – Katie aż się cofnęła. – Nie widzieliśmy się od...? – Od jej urodzin. Wieki temu. – Wszystkiego najlepszego, tato. – Wręczyła mu prezent. – No, to pokaż to zdjęcie.

– Dama tylko dwa razy w życiu powinna pojawić się w gazecie – oświadczyła Penny. – Z okazji swego ślubu i śmierci.

– Rzeczywiście istnieje taka zasada? – zapytała Katie.

– Czy wymyśliłaś ją sobie? – Jeszcze jeden sposób na to, aby wszyscy beznadziejnie się czuli? – No dobra, gdzie ta gazeta?

– Wyrzucona – odparła Penny.

– Żartujesz? – Wkurzyło ją to. W pracy na pewno ją dostanie, ale chciała zobaczyć to zdjęcie już teraz. – I czemu to zrobiłaś? – Wstrętna stara krowa.

Penny spojrzała dziwnie na Katie.

– Dobrze się czujesz?

– Doskonale – odparła pogodnie. To sprawka Fionna, on był jej środkiem przeciwbólowym. Pędziła przez życie i nic nie było w stanie przebić jej bańki, ani praca, ani zgorzkniała matka, nic.

– I dlaczego, skoro cały kraj wie już o waszym romansie, my nie poznaliśmy tego mężczyzny?

– To tylko zabawa, coś tymczasowego.

– Zabawa? – Penny zmarszczyła z niepokojem brwi.

– Tymczasowego? – Sama już nie wiedziała, co jest gorsze.

– Katie, pamiętaj, że jedyne, co posiada kobieta, to reputacja.

– Nie chcę się czepiać, ale ja mam także mieszkanie, samochód, telewizor...

– Za mały, nie liczy się – wtrącił Charlie.

– ... trzydzieści osiem par butów, obraz Lucy Doyle i dwieście euro w banku. – I zadłużenie na kartach kredytowych sięgające tysięcy, ale o tym akurat nie trzeba było wspominać.

– Nic z tych rzeczy nie liczy się tak, jak reputacja. I jest ogrodnikiem? Pracownikiem fizycznym? Znacznie od ciebie młodszym?

Najwyraźniej napisano, ile Fionn ma lat.

– Katie, jesteś profesjonalistką! Ile on zarabia?

– A niech to – odezwał się Robert, myśląc o tym, ile on i Penny płacą swojemu ogrodnikowi. – Conall Hathaway miał przynajmniej porządną pracę. I nie był młodym nicponiem, który jest z tobą tylko dla pieniędzy.

– Fionn ma własny program telewizyjny. – Choć płacono mu grosze (Grainne Butcher wstydu nie miała).

– Medialna dziwka. – Penny musiała niedawno poznać to określenie. – A Naomi mówi, że mieszka z tą staruszką w twoim domu? Ale nie jest jej synem? Wnukiem?

– Nie. Przybranym...

- No to wszystko jasne – stwierdził Robert. Fionn najwyraźniej miał w zwyczaju wiązać się z zamożnymi starszymi kobietami.

– I mieszka tam za darmo? – zapytał Charlie.

– Tego akurat nie wiemy...

– Uważaj, żeby cię nie namówił na zmianę testamentu na jego korzyść – wtrącił Ralph. – I uważaj na herbatę, która smakuje gorzkimi migdałami. – Mrugnął. – Arszenik.

– Nie ma się z czego śmiać – oświadczyła Penny. – On przecież wykorzystuje Katie.

– Generalnie wszyscy jesteście zdania, że Fionn uwiódł mnie z powodu moich pieniędzy, a ja jestem na tyle stara, niekochana i bezbronna, że myślę, iż naprawdę mnie kocha?

– Uwiódł? – zapytała niespokojnie Penny.

– Uwiódł.

Słowo to zawisło w powietrzu, a Ralph mruknął:

– Chryste, no to się doigrałaś.

– Mamo. – Katie uśmiechnęła się. – Uprawiam seks. Od wielu, wielu lat. A Naomi pali dwadzieścia papierosów dziennie. A... – Długo czekała, aby ujawnić tajemnicę, którą poznała kilka miesięcy temu dzięki Conallowi, aby spuścić bombę, która wysadzi w powietrze tę całą strukturę świętoszkowatej rodziny. Była w stanie to zrobić? – ... A Charlie ma synka,

o którym nam w ogóle nie powiedział.

Dzień 7

Lydia weszła do swojego pokoju i stanęła jak wryta. Wszystko wyglądało inaczej. Krótkie łóżko zakrywała polska flaga, a na ścianie wisiał plakat z tym polskim papieżem, który normalnie zamieszkiwał ścianę obok łóżka Jana. Na jej wieszakach porozwieszano męskie dżinsy i T – shirty.

– Gdzie moje rzeczy? – zawołała.

Udała się spiesznie do drugiego pokoju. Dwa pojedyncze łóżka zostały złączone, tworząc jedno, z niepasującą do siebie pościelą. Na nich leżała zwiędnięta gerbera, wyjęta z bukietu, który przysłał Conall. Wyglądała jak oskarżenie. *Siedlisko grzechu.*

– Co się dzieje? – zapiszczała.

Pojawił się Jan.

– A więc zobaczyłaś? – Wydawał się rozgoryczony, zupełnie jak nie on.

– Ty to zrobiłeś?

– Nie jestem aż taki głupi. Robisz z Andrzejem seks.

– Nie uprawiam seksu z Andrzejem.

– Wiem o tym. Nie kłam.

Myśląc szybko, szybko, szybko Lydia zaczęła mówić:

– Słuchaj, Jan, jesteś zdenerwowany. – Ponieważ uwielbiał Andrzeja i uważał, że Lydia jest go niegodna. Wiedziała, że Jan wcale nie chce, aby ona i Andrzej dzielili pokój; dawał jedynie do zrozumienia, co myśli i czuje (może czuł się upokorzony tym, że tak długo o niczym nie wiedział), ale pal licho uczucia Jana, nie miała na nie teraz czasu. – Jan, słuchasz mnie? To

ważne. Przyznaję, że miało to miejsce parę razy, ale to był przypadek.

Nie mogła dzielić pokoju z Andrzejem. Ta myśl koszmarnie ją przeraziła. Poczuła się uwięziona. Uwięziona. Uwięziona – Nie, nie, nie.

– Rosie to miła dziewczyna. Dobra dziewczyna.

– Jan, pomóż mi poprzenosić rzeczy z powrotem. Szybko, nim do domu wróci Andrzej i uzna, że to może i całkiem dobry pomysł".

– Nie. Pozwolę wam śpiewać jak dwa gołąbki.

– Nie. I nie śpiewać, a gruchać.

– Naprawdę? – Wzruszył wyzywająco ramionami. – Jesteście dwa gołąbki?

– Zamknij! Się! Szybko! Szybko, szybko, szybko! Wynosimy stąd wszystkie moje rzeczy!

Jakoś nakłoniła Jana do posłuszeństwa i nie minęło piętnaście minut, a znalazła się w swoim pokoju, ze swoimi rzeczami. Nie czuła się jednak za fajnie. To wszystko zrobiło się zbyt poplątane. Będzie się musiała wyprowadzić.

***Nie,** mam Względem niej plany. **Nie** może **się** wyprowadzić.*

Trzy lata temu

– Gdzie wszyscy? – zapytała Maeve, wchodząc do mieszkania Davida i natrafiając na ciszę.

– Chyba jeszcze nie wrócili. Wejdź. – Pokazał na salon.

– Znasz drogę.

Nic się nie zmieniło – szorstka wełniana narzuta na sofie, tybetańska tkanina dekoracyjna na ścianie, marokański dywan na starej, drewnianej podłodze, poduchy, prosta ceramika, lampa lava, w kącie gitara. Wszędzie

różne rzeczy, kurz i tytoń.

– Wciąż masz te same...

– ... współlokatorki? Nie. Marta wróciła do Chile, a Holly postanowiła podróżować. Teraz dwaj faceci z Turcji. Możliwe, że poznasz ich później.

Nie planowała zostać dłużej niż godzinę; ale po co wspominać o wyjściu, skoro dopiero co przyszła? Wydawał się taki uradowany jej widokiem.

– Coś do picia? – zapytał.

– Okej. Poproszę herbatę.

– Nie, nie. Nie. Coś porządnego. Nie co dzień moja była dziewczyna wychodzi za mąż. Piwo.

Przyniósł dwa Dos Equis i siadł obok niej na sofie.

– Za dawną przyjaźń. – Stuknęli się butelkami.

– Za dawną przyjaźń – powtórzyła.

Pili w milczeniu.

– Podróż poślubna udana? – zapytał.

– Bardzo! – Natychmiast pożałowała, że w jej głosie słychać było tyle entuzjazmu.

– Malezja, zgadza się? Opowiadaj.

– Cóż...

– Dużo milicji wojskowej?

– Ja nie widziałam – odparła Maeve zgodnie z prawdą.

– Nie? – Wydawał się zaskoczony. A właściwie rozczarowany. Dotarło do niej, że David bardzo chciałby wysłuchać opowieści o tym, jak faszystowscy żołnierze oddziału szturmowego prali na kwaśne jabłko miejscowych hindusów za jakąś niewielką oznakę wiary, na przykład pozwalanie krowie przejść przez ulicę. Przykro jej było, że nie może mu

sprawić tej przyjemności.

Zmienił taktykę.

– Ale dominuje islam?

– Boże, nie wiem, David. Nie jestem pewna. Niektóre kobiety miały zasłoniętą twarz, inne nie.

– Interesujące. – W zamyśleniu bębnił palcami o brodę. – To się w końcu zemści, ale na chwilę obecną Malezja świetnie sobie radzi, krocząc tą ścieżką.

Wiedziała, o jakiej ścieżce mówi David, tej pomiędzy kulturowym imperializmem Ameryki a islamskim fundamentalizmem. Ona także interesowała się polityką światową, ale nagle zrozumiała, że Davida nie interesują pozytywne interpretacje; on chciał, aby wszystko wyglądało jak najgorzej.

– Brakowało mi ciebie, Maeve. – Wyciągnął rękę i zaczął obracać w palcach loki na jej szyi. Siedziała sztywno. Czuła, że to nie jest właściwe, ale w przeszłości zachowała się tak okrutnie, że teraz nie mogła ranić go jeszcze bardziej i kazać przestać.

– Mam nadzieję, że możemy być przyjaciółmi, Davidzie.

– Jak za dawnych czasów?

– Jak za dawnych czasów, dokładnie! A kiedy poznasz dobrze Matta, polubisz go i...

Niespodziewanie David znalazł się przed nią i zaszokował Maeve tym, że już – już miał ją pocałować. Szybko odwróciła głowę, tak że jego usta wylądowały na jej uchu.

– David, przepraszam, wiesz, że nie możemy tego robić

– Trącił nosem jej szyję. – Przepraszam, David, wiesz co chyba lepiej będzie, jak sobie pójdę.

– Ale nie widziałaś waszego prezentu ślubnego.

Wstała.

– Nic się nie martw. Dasz mi go innym razem. Przepraszam, ale muszę iść.

– Nie masz się czego bać. – Sprawiał wrażenie zaskoczonego i urażonego. – Po tym, co mi zrobiłaś, chcę ci jedynie dać prezent z okazji ślubu.

– Wiem, ale...

– No chodź, pokażę ci.

– Gdzie? Gdzie on jest?

– Tam. – Pokazał na drzwi swego pokoju.

– Och... nie, Davidzie – powiedziała niepewnie. – Przynieś go tutaj.

– Nie mogę, jest za duży. Chodź ze mną.

– Przepraszam, nie czuję się z tym dobrze...

Westchnął ciężko.

– Masz pojęcie, jak ja się teraz czuję? – Spojrzał na nią smutno. – Nie zrobię ci krzywdy. Chodź, jest fajny, spodoba ci się.

– Okej. – To był David. David.

Gdy otwierał drzwi do pokoju, rzekł:

– Zamknij oczy.

Poczuła na ramionach ciężar i ciepło jego dłoni, popychających ją do przodu.

– Tyle zachodu. – Zaśmiała się. – Oby było warto.

Dzień 6

Rosie mocno zaciskała powieki. Usłyszała odgłos zdejmowanych dżinsów, następnie szelest bawełny (to pewnie koszula). Leżała, naga i sztywna, zastanawiając się, co będzie dalej, a kiedy zimna dłoń Andrzeja znalazła się na jej brzuchu, aż podskoczyła.

– Wszystko w porządku – rzekł uspokajająco. – Wszystko w porządku, śliczna Rosie.

Całował ją, jej twarz, usta, szyję. Gdzieś tam znajdowało się jego... coś. Twarde i napuchnięte. Wiedziała, jak wygląda erekcja; przez sześć miesięcy pracowała na oddziale geriatrycznym, gdzie cierpiący na demencję mężczyźni zabawiający się ze sobą to wcale nierzadki widok.

Andrzej zamierzał włożyć w nią to coś i będzie bolało, a on będzie jęczeć i krzyczeć, i pocić się, i przeklinać, a potem będzie po wszystkim, a ona nadal będzie mieć chłopaka.

Zawsze się bała, że coś takiego nastąpi, odkąd skończyła sześć lat i zobaczyła *Grease* i Olivię Newton – John, która zachowała się niegrzecznie po to, aby utrzymać przy sobie mężczyznę.

You better shape up...

Będąc cnotliwą damą, raczej nie utrzyma przy sobie Andrzeja, poszła więc na całość, oferując mu swoje dziewictwo.

Choć oczy nadal miała zamknięte, wyczuwała, że Andrzej coś tam majstruje. Pewnie zakładał prezerwatywę.

Jest sześć dni za wcześnie, ale może zaryzykować? To najlepsza okazja z dotychczasowych. Pal licho prezerwatywę, to się da załatwić, żaden problem. Mogę ją rozerwać albo przebić, nawet jeszcze przed nałożeniem, kilka odważnych plemników mogłoby się wymknąć, a przecież potrzebny jest i tak tylko jeden.

Jednak wybaczcie, że się czepiam, ale ja naprawdę nie lubię Rosie. Andrzej jest w porządku, trochę zasadniczy, ale w głębi duszy to porządny człowiek. Nie miałbym nic przeciwko niemu. Ale przeciwko niej owszem.

Rosie zacisnęła powieki jeszcze mocniej. Za chwilę Andrzej położy się na niej i wejdzie w nią. Całe jej ciało zesztywniało na tę myśl. Będzie okropnie, ale to się opłaci i... Czemu to tak długo trwa? Zaczynało jej się robić zimno.

– Co się dzieje?

– Nie wiem – odparł Andrzej.

Coś było nie tak. Wydawał się zawstydzony. Otworzyła oczy.

– Co?

– Nie wiem.

Wsparła się na łokciach i spojrzała w dół. Gdzie był ten wielki, siny taran? Czemu zamiast niego widziała nieśmiałą, oklapłą, różowawą dyndałkę?

Andrzej odwrócił się i ukrył twarz w poduszce.

– Przepraszam, moja Rosie.

Głos miał stłumiony, ale słychać w nim było udrękę.

Rosie zrobiło się zimno z przerażenia. Źle to wszystko rozegrała. To najgorsze, co mogła zrobić: zjawiła się u Andrzeja, rozebrała się, położyła sztywno na jego łóżku. On nie był tego typu mężczyzną.

– Rozumiem – powiedziała, próbując emanować spokojem i ratować, co się da. Przy mężczyznach nie można nigdy okazywać strachu. To znaczy prawdziwego strachu. Udawać oczywiście można. Ale w sytuacjach takich jak ta to kobieta musi przejąć kontrolę. – Zbyt wiele żywisz w stosunku do mnie szacunku.

Dziarsko zeskoczyła z łóżka i zaczęła się ubierać. Andrzej nadal

skrywał twarz w poduszce.

– Nastawię wodę – oświadczyła pogodnie. – I zobaczymy się w salonie.

Dzień 6…

Conall padł na szerokie hotelowe łóżko i pozbył się butów. Lepiej, żeby zamówił budzenie. Mógł ustawić alarm w telefonie, ale nie wiedział, która godzina jest teraz tutaj, w Manili. Przynajmniej wiedział, gdzie się znajduje. A potem głośno jęknął: zapomniał kupić nową koszulę i bieliznę. Minęły dwa tygodnie, odkąd zaczął przemierzać południowo – wschodnią Azję, a jego torba podróżna mieściła tylko podstawowe drobiazgi. Już dawno skończyły mu się czyste ubrania, ale nie przebywał w żadnym miejscu na tyle długo, aby oddać je do prania, więc od Dżakarty kupował nowe, a zużyte wyrzucał.

Będzie musiał zadzwonić do konsjerża. Będzie musiał być miły. Chryste.

– W czym mogę pomóc, panie Hathaway?

– Mam wyjątkową prośbę.

– Oczywiście, sir!

Do Conalla dotarło, że pewnie pomyślał: „Dziewczyny! ”. Nie chciał dziewczyny. Miał śliczną dziewczynę w domu. Kojąco podziałało na niego mgliste wspomnienie obfitego biustu i kobiecego zapachu. Katie. Nie Katie. Teraz miał nową. Lydia, tak, jego twardy, błyszczący, mały brylant.

– Potrzebuję dwóch koszul i bielizny.

– Oczywiście, sir. Coś jeszcze, sir?

– Cóż, prawdę mówiąc...

Bronagh przysłała mu e – mail przypominający o jej urodzinach.

Jako że jesteś moim wujkiem, ojcem chrzestnym i jedynym milionerem w rodzinie, chciałabym porządny prezent.

– Mógłby pan kupić urodzinowy prezent dla dziewczynki?

– Ile ma lat?

– Siedem. – A może osiem? Jakoś tak.

Obudził się przestraszony. Gdzie on jest? Hotel... któryś z milionów. Ktoś pukał do drzwi, to go właśnie obudziło. Przesunął językiem po podniebieniu, próbując się pozbyć tej paskudnej suchości, po czym otworzył drzwi. Młody chłopak z nowymi koszulami, bokserkami i kolczykami z szafirami dla Bronagh. Conall znalazł w kieszeni jakieś banknoty, które wcisnął w rękę chłopakowi.

Spojrzał na zegarek. Prawie piąta. Równie dobrze mógł wykonać parę telefonów, skoro i tak już nie spał, a w Irlandii była teraz jakaś normalna pora.

– Wszystkiego najlepszego, Bronagh!

Bronagh westchnęła głośno.

– Wujku. O jeden dzień za późno. Jak zawsze. Urodziny miałam wczoraj.

– Jestem w Azji. Dzisiaj to jutro.

– No to spóźniłeś się dwa dni.

Chryste, miała rację.

– Mam osiem lat. Jesteś moim wujkiem i ojcem chrzestnym. Przypomniałam ci, ułatwiłam ci zadanie, a ty i tak mnie rozczarowałeś.

Święci pańscy. Za bardzo mu to przypominało zbyt wiele innych telefonicznych rozmów.

– Muszę kończyć, skarbie. Do zobaczenia po moim powrocie.

Szybko zadzwonił do Lydii.

– Hathaway? – zapytała dziarsko. – Jesteś w domu?

– W Manili.

– Znowu?

– Tak, musiałem wrócić. Pojawił się problem z kambodżanskim..

– Lalalalala. Nie słyszę. Uuuuuuuuu! – przestała zawodzić i zapytała ostrożnie: – Jest już bezpiecznie? Przestałeś?

– Tak. – Zabroniła mu opowiadać o pracy, bo była zbyt nudna. Zawsze mógł jednak opisać pokój w hotelu. Albo bufet śniadaniowy, zwłaszcza gorące płyty, gdzie serwowano naleśniki.

– Kiedy wracasz?

– Jakoś tak w przyszłym tygodniu.

– Mówiłeś, że wrócisz w weekend.

– Ale się pozmieniało. Sytua...

– Nieważne.

Dzień 6…

Andrzej pogrążony był w czarnej rozpaczy. Jego męskość go zawiodła. Pierwszy raz padł ofiarą takiego upokorzenia. Normalnie cechowała go seksualna pewność siebie.

A to nie koniec złych wiadomości.

Kiedy Jan wrócił z pracy, oznajmił, że go zwolniono i że wraca do Polski. Na dobre.

– Tu już nie ma pracy. A ja chcę wracać do domu. Magdalena także.

Andrzeja to zaszokowało. Jan był jego kumplem, praktycznie bratem. Przylecieli do Irlandii tym samym samolotem i przez dwa ostatnie lata

dzielili wszystko: pokój, piwo, zwierzenia.

A jeśli Jan wyjedzie, on zostanie sam z chochlikiem, tylko we dwoje.

– Zaczekaj, aż pojedziemy do domu – powiedział Andrzej z pewną nutką desperacji w głosie. Za niecały tydzień obaj wybierali się na wakacje do Gdańska. – Tęsknisz za domem, ja też! Ale czas spędzony z rodziną i przyjaciółmi da ci siłę do poszukania nowej pracy i wytrzymasz w Irlandii jeszcze rok.

Jan pokręcił głową.

– Żadnej nowej pracy. Kiedy w piątek wyjedziemy, ja już nie wrócę.

Jan nie należał może do najbystrzejszych ludzi na świecie, ale kiedy podjął jakąś decyzję, nic nie było w stanie go od niej odwieść. Andrzej zastanawiał się z zażenowaniem, czy przypadkiem nie domyślił się prawdy o nim i o tym okropnym chochliku. Rozróżnianie przez niego dobra i zła było jeszcze bardziej stanowcze niż u Andrzeja i coś takiego mogło go mocno zaniepokoić.

Na myśl o życiu w Irlandii bez Jana ogarnął go smutek, niemal strach. A po tej hańbie z Rosie... z pewnością nie będzie chciała mieć z nim więcej do czynienia?

Być może zostanie po prostu w Polsce razem z Janem.

Nie, Andrzeju, nie!

Dzień 5 (bardzo wcześnie)

Andrzej po raz kolejny przekręcił poduszkę. Przez kilka cudownych chwil chłodna bawełna niosła ulgę jego rozgrzanej twarzy, ale potem także stawała się ciepła. Jeszcze żadna noc nie wydawała mu się taka długa. Coś się musiało popsuć z czasem; miał wrażenie, że ta niedzielna noc trwa już

tydzień. Czy świt w końcu nadejdzie? Przekręcał się i rzucał na łóżku, nie znajdując ucieczki od zadręczających go myśli. Problem był taki: nie miał pojęcia, czy ta jego porażka z Rosie to tylko żenujący, odosobniony przypadek, czy też jest skazany na powtórki. I tak się tego bał, że chyba już nigdy nie zdecyduje się uprawiać seksu.

Co nie znaczy, aby Rosie nalegała – akt seksualny wyraźnie napawał ją odrazą... Cóż za cnotliwy kwiatuszek z tej dziewczyny. Taka skromność należała do rzadkości, a jednak ofiarowała mu swoje ciało.

Och! Żeby ten świt w końcu nadszedł.

Ale gdy słońce zaczęło wschodzić, wstyd Andrzeja z powodu tego, że nie udało mu się skonsumować związku z Rosie, zaczął słabnąć, a jego miejsce zajęło nowe i nieoczekiwane uczucie: wdzięczność. Oczywiście, że nie mógł tak zbezcześcić swojego kwiatuszka! A przynajmniej dopóki nie byli małżeństwem.

Albo chociaż narzeczeństwem.

Gdy pod zasłonami zaczęło się wślizgiwać poranne światło, zamieszkała w nim nadzieja i wiedział już, co musi uczynić. Koniec z Lydią. Musiał się usunąć z jej zasięgu. Gdy wizja przekształciła się w przekonującą możliwość, jego brzemię stało się lekkie, niemal żadne. Cicho, nie chcąc obudzić Jana, ze schowanej na dnie szafy skarpetki wyjął zwitek banknotów. Wziął prysznic, ubrał się i wypił dwie kawy i był już na korytarzu, niemal bezpieczny, kiedy na odgłos klucza w zamku zamarło mu serce. Lydia wracała z pracy. Drzwi otworzyły się i weszła do korytarza. Spojrzała na niego, on spojrzał na *nią* i przeskoczyła między nimi iskra.

– Nie! – zawołał z udręką w głosie. Rzucił się w stronę otwartych drzwi. Musiał uciec, nim ta kobieta zwabi go do siebie i zniszczy wszystkie plany. Biegi po schodach, biegi, biegł, a kiedy znalazł się na ulicy, szedł

szybkim krokiem, aż w końcu był już poza jej zasięgiem.

Miał ściśle określony cel. Wiedział, dokąd idzie: do niewielkiego sklepu jubilerskiego na South Anne Street. Pewnego wieczoru on i Rosie oglądali wystawę, pokazując pierścionki, które im się podobają, jak jakaś para z opery mydlanej z lat sześćdziesiątych.

Miał jeszcze sporo czasu – sklep otwierano o dziewiątej, a była dopiero szósta trzydzieści pięć – ale pozostał trzeźwy i skupiony na celu, a kiedy jubiler otworzył metalową kratę i pozwolił mu wejść, Andrzej był stuprocentowo przekonany, że obrał właściwą drogę.

Wiedział, jakiego pierścionka pragnie Rosie. Ale nie było go na niego stać. Kupił więc inny, znacznie tańszy. Prosty krążek z jednym brylantem: słodki i skromny, taki jak sama Rosie. Następnie udał się do jej domu, gdzie zadzwonił i przyklęknął na jedno kolano.

W odpowiedzi na jego modlitwy drzwi otworzyła Rosie,a nie jedna z jej współlokatorek.

– Rosie – powiedział, w ogóle nie dostrzegając ulgi, zabłysła w jej oczach na widok małego pudełeczka z aksamitu. – Wyjdziesz za mnie?

Dzień 5…

– Nie uwierzysz. – Fionn wpadł do mieszkania Katie i rzucił na stół faks. – Spójrz na to.

Katie rozprostowała pogiętą kartkę i szybko wyłapała wzrokiem istotne fakty. Cholera! Kanał 8 przesunął emisję programu Fionna o cztery tygodnie. Właśnie udało im się kupić prawa do *DOA: Żywy lub martwy*, popularnego amerykańskiego serialu kryminalnego, i postanowili puścić go w tym czasie antenowym, który był przeznaczony dla *Twojego własnego*

Edenu.

– W zamian zaproponowali Grainne poniedziałkowy wieczór, ale ona mówi, że wtedy oglądalność jest najgorsza w całym tygodniu. Stanęło na dwudziestej pierwszej w niedzielę, ale musimy zaczekać, aż skończy się emitowany teraz program kulinarny.

– Biedny Fionn.

– Jest wokół mnie szum – rzekł Fionn, wyraźnie cytując Grainne. – Jestem hot. Ale musimy czekać kolejne cztery tygodnie. A wtedy może być już za późno.

Katie nie wiedziała, co powiedzieć. W mediach takie rzeczy działy się na okrągło. Sama miała z tym do czynienia tyle razy, że aż straciła rachubę. Wielokrotnie udzieliła gazecie zgody na wywiad na wyłączność, aby rozreklamować jakiś koncert w Irlandii, a potem wywiad znikał i pojawiał się długo po tym, jak koncert się odbył, a artysta zdążył opuścić kraj. Zdążyła się do tego przyzwyczaić, ale Fionn to niewinny nowicjusz. Jego rozczarowanie okaże się bolesne.

Kiedy stacja zaczynała kombinować z datami transmisji zazwyczaj wskazywało to na brak pewności i przetasowanie priorytetów. Nawet jeśli nadal wierzono w ten program, trajektoria sukcesu uległa zakłóceniu; coś przepadło, coś, czego się już nie da odzyskać.

– Głowa do góry. Za czterdzieści pięć minut mamy się zjawić w Merrion, aby się pławić w blasku sławy Boba Geldofa.

– Nie chcę iść.

– Och, Fionn...

– Czuję, że wszyscy się będą ze mnie śmiać. Jestem telewizyjnym ogrodnikiem bez programu.

– Masz program.

Ale dopóki nie zacznie się emisja, to w sumie nie.

– I co ja mam robić? W piątek kończymy filmowanie.

Katie świetnie rozumiała, co ma na myśli: dopóki program nie zostanie wyemitowany, w Excellent Little Productions nie mieli pojęcia, czy otrzymają zamówienie na kolejne odcinki. Czy Fionn powinien zostać i zobaczyć, co się stanie? A może powinien wrócić, choćby tymczasowo, do Pokey, aby utrzymać swoich klientów? Katie poczuła ściskanie w brzuchu na myśl, że oto nadchodzą niepewne czasy. Dla rachunku bankowego Fionna. Dla ego Fionna. Być może dla romansu Fionna?

Dzień 5...

Odezwała się komórka Matta. Esemes.

Kutas

Russ. Matt nadal nie wysłał mu czeku pokrywającego koszty lotu do Vegas, który dla niego zarezerwował. Zarzekał się, że dziś go wyśle, ale nie mógł tego zrobić. Maeve zauważyłaby brak tych pieniędzy na koncie i zrobiłaby się z tego wielka afera, ponieważ sprawa wyglądała tak, że Matt nie mógł lecieć do Vegas na wieczór kawalerski brata. Coś takiego w ogóle nie wchodziło w rachubę. Wyjechać na cały tydzień? Maeve nie mogła zostać sama, a nie istniał Plan B. Nie mieli żadnych przyjaciół. Zostali im tylko jej rodzice, ale oni mieszkali w Galway, za daleko.

Matt fatalnie się czuł z powodu Russa, tego, że zostawił go na lodzie, tego, że tyle razy go zawiódł, tego, że kiedy raz rzeczywiście udało im się spotkać, aby omówić, co powinni zarezerwować w Vegas dla Alexa, to jemu nie przyszedł do głowy żaden pomysł.

Za miesiąc nadejdzie dzień, kiedy wszyscy powinni się znaleźć w samolocie i Matt nie miał najmniejszego pojęcia, co wtedy zrobi.

Ale wcześniej musiał się zmierzyć z czymś jeszcze gorszym: praca. Dzień pierwszego spotkania z bankiem w Szanghaju pędził ku niemu jak skała z kosmosu, a on nie był w stanie uskoczyć na bok.

Tkwił uwięziony w sytuacji najgorszej z możliwych, nie mając żadnego pola manewru. Przypomniał mu się jeniec wojenny z książki, którą czytał jako chłopiec: połamano mu nogi i wsadzono do klatki, gdzie ani nie mógł stać, ani siedzieć. Matt czuł, że bez względu na to, co zrobi, będzie udupiony.

Życie stawało się coraz bardziej mroczne. Miał wrażenie, że porusza się w tunelu, który robi się coraz węższy i ciemniejszy i coraz mniej w nim powietrza, a wkrótce nie będzie miał czym oddychać ani gdzie się ruszyć.

Dzień 5...

Zadzwonił telefon Lydii. Conall.

– Hathaway? Gdzie teraz?

– Dżakarta.

– Przypomnij mi raz jeszcze.

– Stolica Indonezji. Słuchaj, nie wiem, jak ci to powiedzieć, Lids, bardzo, ale to bardzo cię przepraszam...

– Przespałeś się z dziwką?

– Nie.

– Zaraziłeś mnie chlamydią?

– Nie zdążę wrócić na ślub Poppy. Przyrzekam, że ci to wynagrodzę.

– Wyluzuj, Hathaway. To ty chciałeś na niego iść.

Dzień 4

– Dzień dobry, Andrzeju. – Jemima lubiła witać tych biednych chłopców z Polski w ich ojczystym języku. Mała uprzejmość, która nic ją nie kosztowała, a która mogła uprzyjemnić im dzień.

– Dzień dobry, Jemimo. Dzień dobry, psie. – Andrzej padł na kolana i zaczął wesoło tarmosić Grudge'a.

– Mój drogi, wydajesz się bardzo radosny. – Choć raz.

– Żenię się.

– Moje gratulacje! Z uroczą Rosemary?

Andrzej przytaknął i pokraśniał z dumy.

– Szukamy mieszkania.

„To prawda? ”

Jemima rzekła z zainteresowaniem:

– Możliwe, że będę wam mogła pomóc. Moje mieszkanie wkrótce się zwolni.

– Wyprowadza się pani? Kiedy?

– Myślę, że za jakiś tydzień.

– To się świetnie składa. W piątek wszyscy wyjeżdżamy do Gdańska, Jan, Rosie i ja. Kiedy wrócimy, Rosie i ja, możemy się wprowadzić.

– Zabierasz Rosie, aby poznała twoją rodzinę? Cudownie. No dobrze, spodoba ci się mieszkanie, ale jest jeden warunek.

Cóż, pomyślał ze smutkiem Andrzej, a czy nie jest tak zawsze?

– Musicie się zaopiekować moim psem.

– To ten warunek? To wszystko? Nie może pani zabrać psa do nowego mieszkania?

– Niestety nie.

– A Fionn? On też się wyprowadza?

„Tak, tylko jeszcze o tym nie wie”.

– Obawiam się, że Fionn i Grudge niezbyt za sobą przepadają. Fionn jest dorosły. To oczywiste, że on się także wyprowadzi.

– Lubię tego psa. – Andrzej uśmiechnął się szeroko.

– Rosie go także polubi. Ona wszystkich lubi.

– Jeszcze jedno. Jesteś pewny, że i ty, i Rosemary nie chcielibyście zacząć wspólnego życia w zupełnie nowym miejscu? Daleko od Star Street?

Jemima uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

O tak, słyszała, jak on i Lydia „to” robią. Wiele razy. Może i nie miała już najlepszego słuchu, ale nawet głuchy usłyszałby ich entuzjastyczne piski i jęki.

Co nie znaczy, że ich osądza. Porządny człowiek nie osądza. Ale chciałaby mieć pewność, że Andrzej wie, co robi. Patrzyła, jak przez jego twarz przebiega mnóstwo uczuć, mieszanka wstydu, rachunku sumienia, rozgrzeszenia, hartu ducha i czegoś bliskiego szczęściu.

– Dziękuję pani za troskę – powiedział, także patrząc jej prosto w oczy. – Ale na Star Street jest dobrze. Blisko do tramwaju. Kiedy będziemy mieć dzieci, to przyda nam się coś większego, ale na razie wystarczy małe mieszkanie. Umowa najmu będzie na jak długo? Sześć miesięcy? Rok?

– Jak długo będziesz chciał, mój drogi.

Dzień 4…

Polacy wyjeżdżali! Wyjeżdżali – i nie wracali!

W piątek wyjeżdżali na wakacje, co samo w sobie było wspaniale. Ale szykowały się wielkie zmiany. Jan wracał do Polski na stałe, a Andrzej zaręczył się z Rosie, ostatnią dziewicą w Irlandii, i zamierzali zamieszkać razem.

Jan opowiedział to wszystko Lydii ze sporą dozą triumfu.

– Dobra dziewczyna wygrywa – oświadczył.

– Jeśli nagrodą jest Andrzej, to może ją sobie zatrzymać.

– Opłacimy czynsz za dwa miesiące – powiedział Jan, do czego nawet ona nie mogła się przyczepić. – Mieszkanie jest twoje, jeśli chcesz.

Pomyślała, że może je sobie zostawi. Lokalizacja nie była zła. Ale może przeprowadzi się gdzieś indziej. Nie musiała już mieszkać w tej klitce, gdyż wszystko się zmieniło. Ta katastrofa z mamą nadal była rzeczywista, ale dzięki pomocy Murdy'ego i Ronniego już nie dźwigała tego ciężaru w pojedynkę. I teraz, kiedy już się tak nie bała, zobaczyła, jak śmieszne były jej próby oszczędzania. Nigdy by jej nie było stać na opłacenie domu opieki dla mamy, nawet gdyby zamieszkała pod mostem.

I oto zjawił się Andrzej.

– Przyszły pan młody – powiedziała. – Chyba należą się gratulacje. – Wydawał się ciut nieśmiały, ale niezaprzeczalnie dumny. – Klęknąłeś przed nią, jak mniemam? – zapytała. – Ostatni z wielkich romantyków.

Spojrzeli na siebie z wzajemną niechęcią i przez ułamek sekundy możliwe było to, co zwykle. Wszystko zamarło wszechświat przysiadł na skraju przepaści, nikt nie oddychał... a potem oboje odwrócili głowy.

Teraz, kiedy wszystko się uspokoiło, bicia ich serc się rozłączyły i, Matko Boska, cóż za katastrofa. Są tak niedobrani, jakby mówili w dwóch różnych językach.

Dzień 3

– Katie? Katie! – Ledwie rozpoznała głos Fionna, taki był zrozpaczony. – Skradziono mi tożsamość.

– Fionn, gdzie jesteś? – Pomyślała, że musi to mieć związek z odrzuceniem jego karty kredytowej. Prawdopodobnie zapomniał spłacić zadłużenia.

– W pracy. Jest jeszcze jeden Fionn.

– Wydający twoje pieniądze?

– Nie! Widziałaś dzisiejszego „Irish Timesa”?

Katie rozejrzała się. W pracy mieli wszystkie gazety.

– Danno. Przynieś „Timesa”.

– Strona szesnasta – powiedział Fionn.

Katie przewracała kartki i... *Cholera.*

Nagłówek krzyczał: OGRODNICTWO? NOWY ROCK’N’ROLL? Towarzyszyło mu wielkie zdjęcie nieuczesanego, nieogolonego boga seksu, uśmiechającego się i głaszczącego wielkimi, brudnymi dłońmi cukinię. „Ale ten mężczyzna to nie Fionn”.

To był Barry Ragdale, gwiazda *Kopiemy*, nowego programu poświęconego ogrodnictwu na RTE, którego emisja rozpocznie się za dwa tygodnie. Chwyt reklamowy stanowiło to, że Barry grał kiedyś w zespole na basie i teraz co tydzień będzie grał coś na koniec programu.

Katie natychmiast dostrzegła najgorsze z możliwych konsekwencje. Dla Fionna. I dla niej.

– Dlatego właśnie Kanał 8 mnie przesunął? – zapytał Fionn.

Możliwe. Najprawdopodobniej dowiedzieli się o programie RTE i albo

nie mieli odwagi zmierzyć się z nadawcą ogólnokrajowym, albo czekali, żeby się przekonać, co z tego wyniknie. Gdyby program okazał się katastrofą, w ogóle nie zawracaliby sobie głowy własną wersją; gdyby się okazał hitem, mogliby się podpiąć pod sukces Barry'ego Ragdale'a.

– Coś ci powiem, Katie. – Głos Fionna drżał. – Żałują że w ogóle się w to wplątałem. W Pokey byłem szczęśliwy. Teraz jestem zazdrosny i niespokojny, i wszystkich nienawidzę.

– Fionn, posłuchaj mnie. – Katie starała się, aby jej głos brzmiał spokojnie. – Zawsze będą inni artyści, inni ludzie, którzy z tobą konkurują. Tak już jest na tym świecie, a zwłaszcza w tym okrutnym środowisku, jakim jest telewizja. Musisz uzbroić się w cierpliwość. Poczekać i zobaczyć. Ten Barry Ragdale może ponieść spektakularną klęskę, a wtedy ty będziesz gotowy, aby zająć jego miejsce.

– Naprawdę?

– O tak. – Była w tym dobra. To w końcu jej praca, uspokajanie artystów. Niestety w uspokajaniu siebie nie była już taka dobra. – A Kanał 8 nie wycofał *Twojego własnego Edenu.* Pierwszy odcinek w niedzielę za trzy tygodnie, zgadza się? – „To wcale nie znaczy, że go nie wycofa, ale po co się zadręczać? ”

– A co, jeśli wycofa? Wtedy będę musiał wracać do Pokey.

– Fionn, wybiegasz przed orkiestrę. Spójrz na to w ten sposób: prawdę mówiąc to komplement, inny przystojny ogrodnik i jego program. To pokazuje, że idziesz z duchem czasu.

– No tak. O tym nie pomyślałem.

– Wszystko jest w porządku. – „Cóż, kto to wie, co będzie? ”

– Masz rację, Katie, jest w porządku, zwłaszcza że gdy – bym nie przyjechał do Dublina, to bym nie poznał ciebie.

Dzień 2

Na początku wyglądało to tak, jakby Matt szukał po prostu alternatywnej drogi do domu. Po dwudziestu trzech frustrujących minutach, posuwając się w żółwim tempie do przodu, nieoczekiwanie zawrócił i szybko odjechał w przeciwnym kierunku. Lada chwila skręci ostro w prawo, potem jeszcze raz i znowu będzie się kierował w stronę domu. On jednak tego nie zrobił. Odległość między nim a Star Street stawała się coraz większa i nie minęło dużo czasu, a jechał wzdłuż rzeki, kierując się w stronę portu. Jechał uliczkami, które stawały się coraz węższe, aż dotarł do kocich łbów.

Zostawił auto na pierwszym wolnym miejscu, nie przejmując się tym, że to podwójna żółta linia – załóżcie blokadę, zróbcie co chcecie, on ma to gdzieś – i zajął pozycję naprzeciwko No Brainer Technology.

Minęło trzydzieści siedem minut, nim pojawił się ten tyczkowaty, nieco zaniedbany facet. Biegł po schodach, dżinsy niemal z niego spadały, włosy wpadały mu do oczu, brązowa tweedowa marynarka wyglądała tak, jakby niedawno wyjęto ją z bagna, gdzie przeleżała sto dwadzieścia trzy lata. Biegł za wysoką, szczupłą dziewczyną z atrakcyjną szparą między górnymi jedynkami.

– Zaczekaj! – zawołał, kładąc rękę na jej ramieniu. – Steffi, zaczekaj!

W Matcie puściła zapora i zalała go wściekłość.

Ale zaraz, poznaję tego faceta ze wspomnień Maeve! To...

– David!

Tak, David. Dawny chłopak Maeve. Dopiero teraz, kiedy Maeve mnie wpuszcza,jestem w stanie poznać wszystkie szczegóły z jej przeszłości.

– David! – Matt usłyszał głos dziewczyny z diastemą

– Ależ mnie przestraszyłeś!

David powiedział coś, czego Matt nie usłyszał, po czym objął dziewczynę w talii, przyciągnął do siebie i mocno przytulił. A więc ma dziewczynę, pomyślał Matt. Wyglądała na miłą i wydawali się szczęśliwi. A najlepsze było to, że mógł tam teraz pójść – wystarczy siedem albo osiem kroków – i kilkoma zdaniami zniszczyć ich szczęście. Mógł powiedzieć tej miłej dziewczynie takie rzeczy na temat Davida, że natychmiast pognałaby w przeciwnym kierunku.

Przygotował się, napiął mięśnie łydek, szykując się do wtargnięcia w ich życie niczym granat – „no idź, idź" – a potem to się stało. Szedł zdecydowanym krokiem, a David, zwierzęcym instynktem wyczuwając niebezpieczeństwo – zobaczył go. Drgnął – Matt miał nadzieję, że ze strachu – ale on go zignorował i całą uwagę skupił na dziewczynie.

– Muszę z tobą porozmawiać.

Skuliła się i Matt uświadomił sobie, że jego napięcie ją przeraża.

– Przepraszam, Steffi, prawda? – Kiwnęła ze strachem głową, a on przełknął ślinę. – Jestem Matt Geary.

– Mąż Maeve? – zapytała Steffi.

To ostatnie, czego się spodziewał. Zapytał z niedowierzaniem:

– Wiesz o mnie?

– David mi powiedział.

Matt odwrócił się w stronę Davida, który uśmiechał się drwiąco, po czym znowu spojrzał na Steffi.

– Ale nie powiedział ci prawdy.

– Powiedziałem jej prawdę.

Matt go zignorował. – posłuchaj, Steffi, proszę, posłuchaj...

– Hej – wtrącił David. – Nie możesz tak się tu zjawiać i straszyć – Na coś takiego są paragrafy.

Paragrafy. Paragrafy! To dla Matta już było za dużo. Nagle wszystko go opuściło, cały impet zmalał do zera, a on poczuł pustkę, niewyobrażalną pustkę.

Odszedł, kuśtykając, jakby odniósł fizyczne rany. Do jego pleców David zawołał:

– Weź się w garść, człowieku, okaż sobie odrobinę szacunku i w końcu się z tego wylecz!

Dzień 2…

Conall wyglądał przez okno w samolocie, w ogóle nie widząc zabudowań Dublina na dole. W końcu udało mu się zidentyfikować to nieprzyjemne uczucie, które dręczyło go od dziesięciu dni.

Nie powinien był zostawiać filii w Kambodży. Była nie – wydajna, przeżarta korupcją i uzależniona od okropnej infrastruktury lokalnej.

Ten jeden błąd wywołał lawinę innych sytuacji, a każda z nich przekształciła się w łańcuch zdarzeń, upadających jak kostki domina i generalnie robota Conalla okazała się fuszerką.

W swojej branży słynął ze sprawnej, chirurgicznej pracy. Kiedy ciął jakąś spółkę, a potem składał ją do kupy, blizny szybko znikały i wkrótce ta nowa wersja wyglądała jak jedyna możliwa. Nikt by nie uwierzył, że dawna, chwiejąca się i rozdęta konfiguracja w ogóle istniała, nie wspominając o funkcjonowaniu.

Tym razem było jednak inaczej. Na powierzchnię świadomości Conalla wciąż wydostawała się myśl, że ta zredukowana spółka nigdy się

nie okaże do końca przekonująca. Czuł się jak chirurg plastyczny, który przeprowadził operację zmniejszenia piersi i zapomniał doszyć sutki.

Pozwolił, by kwestie osobiste stanęły na drodze praktycznym. Nie chciał, aby ci kambodżańscy dyrektorzy wylądowali w kiciu, i to zaburzyło płynność i przejrzystość jego myślenia. W końcu przyszło mu do głowy rozwiązanie, ale teraz, kiedy już było pozamiatane, a on jedną nogą w domu, spojrzał na to z innej, bolesnej perspektywy.

Poniósł... wypróbowywał w myślach to słowo; stanowiło dla niego nowość... cóż, poniósł klęskę.

Poniósł klęskę. Nikt inny tak na to nie patrzył, jego mediolańscy mocodawcy wydawali się zadowoleni, ale Conall miał tego świadomość. I w końcu w świat pójdą plotki. Conall Hathaway się skończył. Za stary. Wypalony. Już nie niezawodny.

Ścisnął mu się żołądek. Fatalnie się czuł po porażce, ale przez cały czas żył ze świadomością, że prędzej czy później jego ocena sytuacji go zawiedzie. To było coś, co zawsze miał na uwadze. Brał jedno zlecenie za drugim, czując potrzebę gromadzenia triumfów, aby w przyszłości, kiedy szczęście w końcu się od niego odwróci, wskaźnik sukcesów sięgał stratosfery. Teraz, gdy doświadczył porażki, wiedział, że to się będzie powtarzać. Kiedy samolot zaczyna podchodzić do lądowania, wiesz, że zmieniło się ciśnienie, jeszcze zanim usłyszysz komunikat pilota. Jego nieprzerwane pasmo sukcesów uległo zakłóceniu i Conall żywił irracjonalne, przesądne przekonanie, że kierunek jego życia uległ zmianie i że musi iść tam, gdzie prowadzi go nowa ścieżka.

Adaptacja! Adaptacja, adaptacja! To właśnie musiał zrobić: adaptacja w celu przetrwania. I jeszcze jedna myśl znalazła drogę na powierzchnię. Musiał – chciał – mieć kogoś, kto pomoże mu w pracy. Dopiero teraz,

kiedy praca dobiegła końca, a on prawie dotarł do domu, gotowy był przyznać, jakie to trudne. Te wszystkie loty, zmiany stref czasowych, brak snu, przeciążenie informacjami... Zbyt wiele razy w ciągu minionych trzech tygodni ogarniało go lodowate przekonanie, że po prostu nie jest w stanie tego robić. Co prawda każde przejęcie napawało go lękiem, i właśnie dzięki temu taki był dobry w tym, co robi – ten poziom strachu generował mnóstwo adrenaliny – ale tym razem było inaczej. Szaleństwem okazało się porywanie się na to w pojedynkę. Operacja na taką skalę potrzebowała kilku Conallów.

Zastępca. Proszę bardzo, powiedział to: potrzebował zastępcy. Kogoś, kto zajmie się częścią zadań, będzie podrzucał pomysły i przejmie część odpowiedzialności. Właściwie nawet miał paru kandydatów na oku, ludzi młodszych od siebie, możliwe, że nawet bardziej zaciekłych niż on w ich wieku i już się zastanawiał, którego wybierze. Ale kto powiedział, że musi mieć tylko jednego zastępcę? Mógł mieć dwóch, nawet zespół, całą grupę osób, które myślą w sposób nieszablonowy. Razem byliby przerażający.

Ale im bardziej byliby efektywni, tym głośniej brzmiałby komunikat, że Conall Hathaway, samotny specjalista, już efektywny nie jest. Ta osoba odeszła. Bez względu na to, co niesie ze sobą przyszłość, a mogło być przecież świetnie, on i tak zaliczył porażkę.

Zastanawiał się, jak to będzie. Co mu zapewni adrenalinę? Czy będzie musiał zabrać się za wspinaczkę górską albo jakieś sporty ekstremalne? Boże, nie. Oczami wyobraźni zobaczył, jak rywalizują z Jessem we Float, który dłużej wytrzyma pod wodą – wtedy przypomniała mu się Lydia. Dzięki Bogu. Ta dziewczyna była wystarczająco ekstremalna.

W końcu samolot wylądował. Conall odpiął pasy i włączył telefon, jeszcze zanim padło oficjalne pozwolenie – może i zapomniał przyszyć

sutki, ale nigdy nie będzie wypełniał tych żałosnych poleceń.

Wstał i przeciągnął się, niemal licząc na to, że steward go zbeszta, a potem wybrał numer Lydii.

– Hathaway?

– Wróciłem. Moje łóżko, za trzy kwadranse.

– Jeśli mnie pragniesz, to sam do mnie przyjdź. Całą noc jeździłam.

To cudownie, że wrócił do kraju, zwłaszcza że Andrzej wyjeżdża. Mam plany względem Hathawaya. O tak, wielkie plany.

Dzień 2…

W zasadzie umiała w nich nawet biegać. Dwanaście centymetrów – choć przyznawała, że mają dwucentymetrową platformę, dzięki czemu jest ciut wygodniej, no ale dziesięć centymetrów to i tak dużo – a ona nie tylko szybko szła, ale wręcz biegła. Nie każda kobieta to potrafiła, zwłaszcza nie każda kobieta po czterdziestce, i ta umiejętność bardzo się przydawała, bo Katie była już bardzo spóźniona. Jakoś udało jej się rozchmurzyć Fionna i teraz pędziła do domu, aby się przebrać w suknię koktajlową i wziąć razem z nim udział w potańcówce w amerykańskiej ambasadzie. Nadal chodzili na każdą imprezę, na którą ich zapraszano, ponieważ Katie uparcie nie myślała o przyszłości i za wszelką cenę chciała się dobrze bawić aż do ostatniej chwili, bez względu na to, kiedy ta chwila nastąpi. Ale całe to udzielanie się towarzysko pochłaniało mnóstwo czasu i wychodząc z pracy, już była spóźniona, potem musiała wpaść do sklepu po mleko i inne podstawowe produkty, no i zwabiła ją do siebie apteka. Rzeczywiście potrzebowała tabletek z żelazem (nie wytrzyma takiego tempa bez wspomagania), ale zboczyła na chwilę do regału z artykułami do pielęgnacji paznokci i wpadła

w trans. Boże, dobre tu mieli rzeczy: nową markę lakierów nawierzchniowych i pilniczki do paznokci we wzory Marimekko... Straciła mnóstwo czasu, ale w końcu dotarła do domu i...

– Conall! – O mój Boże. To był Conall. Hathaway. Stał Przed drzwiami domu pod numerem sześćdziesiąt sześć i wydawał się taki wielki. Strasznie dawno go nie widziała.

Wydawał się równie zaszokowany jej widokiem.

– Katie?

– Conall.

– Fantastycznie wyglądasz.

– Wyglądasz... na wykończonego. – Garnitur miał pognieciony, a włosy potargane.

– Dopiero co przyleciałem z Filipin.

– Nic się nie zmieniło. – Włożyła klucz do zamka.

– Mogę... Chcesz, abym cię wpuściła?

– Czekam na... Ach...

– Lydię?

– Tak, już schodzi.

– To twoja... – Katie zachowywała się ostrożnie, jakby przechodziła przez stary most, którego spróchniałe deski mogą się pod nią bez ostrzeżenia załamać. – To twoja dziewczyna?

– Eee, tak.

No i proszę, pomyślała Katie. Wypowiedziała te słowa i nic się nie stało. Nie wpadła w straszliwą otchłań; prawdę powiedziawszy, nie poczuła nic. Fionn, cóż za fantastyczny środek przeciwbólowy. Lepszy niż jakikolwiek lek dostępny na rynku. Powinien się opatentować; zbiłby na tym majątek.

– A – rzekł Conall – podobno ty i... Fionn, tak? Jesteście parą?

– Tak. Ale teraz muszę lecieć. Jestem spóźniona.

– I dobrze wam się układa?

Boże, Conall – rywalizacja zawsze na pierwszym miejscu. Jakiej odpowiedzi się spodziewał? Nikt nigdy nie będzie tak dobry, jak ty, Conall? To nieprawda. Wzruszyła enigmatycznie ramionami i otworzyła drzwi.

Dzień 2…

Kapcie, czepki pod prysznic, mydełka, czekoladki, długopisy – mnóstwo ślicznych rzeczy z hotelowych pokoi Conalla.

– Hathaway, niezły zestaw.

– Do usług. – Sprawnie rozpiął Lydii stanik. Zdążył rozebrać ją prawie do naga, gdy tymczasem ona skupiała się na pudełku z darami.

– Och! – westchnęła z zachwytem. Żele pod prysznic Molton Brown. Znacznie lepsze od reszty, które przywiózł.

Conall zaśmiał się i delikatnie przygryzł jej prawy sutek, następnie lewy.

– Uwielbiasz to, prawda? Dopieszczanie?

– Mhm. – Uświadomiła sobie, że Conall sądzi, iż jej westchnienie miało podłoże seksualne. Powinna się skupić. Stał przed nią nagi Conall Hathaway, wyraźnie gotowy do działania. Darmowe żele pod prysznic mogą poczekać.

– Tak nazywała to Katie – dodał, kładąc ją na łóżku.

Lydia zamarła.

– Co Katie tak nazywała?

– Dopieszczanie. To jej określenie.

Lydia odsunęła się i usiadła.

– Nigdy więcej nie wspominaj o Katie. To żałosne.

– ... Och...

– Mnie to nie przeszkadza. Ale kiedy kopnę cię w tyłek, nigdy nie utrzymasz przy sobie żadnej dziewczyny. Te frajerki, z którymi wcześniej się spotykałeś, może one przymknęłyby na to oko, bo masz dom na Wellington Road. Ale jeśli chcesz mieć przy sobie mnie...

– No tak... przepraszam.

– Zapomniałeś, co ci mówiłam, że Katie i Złotowłosy są parą?

– Nie.

– Szaleją za sobą. Ciągle to robią. W środku nocy biorą kąpiel i gonią się po mieszkaniu, i piszczą, nie pozwalając ciężko pracującym ludziom, takim jak ja, spokojnie spać.

Dzień 1

– O której dziś wrócisz? – zapytała Maeve.

– Mogę być późno.

– Och, Matt.

– Wiesz, jak to jest. – Uśmiechnął się przepraszająco.

– Potencjalni klienci, prywatna sala, smaczne menu, drogie wino. Takie coś lubi się przeciągać.

– Piątkowy wieczór to dość dziwna pora.

– Jedyny wieczór, który wszystkim pasował. Ale dasz sobie radę. Masz spotkanie z doktor Shrigley, no nie?

– Mhm. A w pracy jest impreza pożegnalna. – Nie wiedziała, dlaczego to powiedziała. Przecież i tak na nią nie pójdzie.

– Mogłabyś iść po terapii. Wtedy nie byłabyś w domu zbyt długo sama.

Maeve zamarła, z łyżką owsianki w połowie drogi do ust. Matt zazwyczaj nie namawiał jej do tego, aby się spotykała z ludźmi z pracy.

– Czemu nie? Spróbuj przez godzinę – powiedział Matt.

– Może dobrze ci to zrobi. A jeśli nie, to zawsze możesz przecież wyjść.

Maeve spojrzała na niego z powątpiewaniem.

– Pół godziny? Nigdy nic nie wiadomo, może ci się spodoba.

– Ale Matt... nawet normalni ludzie nie lubią imprez pożegnalnych.

– Maeve, posłuchaj. – Zobaczyła w jego oczach desperację. – Musimy próbować.

Spuściła wzrok. Nie, koniec z próbowaniem. Tę akurat misję wypełniał sam.

– Maeve?

Musiała coś powiedzieć.

– Do której restauracji idziesz?

– ... Do... do Magnolii.

– Myślałam, że ją zamknięto.

– ... Ach... nie, nie.

Matt wyjął z blistra dwie tabletki i podał jedną Maeve.

– Tak czy inaczej będę późno, więc nie musisz się spieszyć. Maeve wrzuciła tabletkę do ust i popiła wodą. Podała szklankę Mattowi.

– Umyję zęby i możemy wychodzić.

Wyszła z kuchni. Matt cały się spiął i nasłuchiwał łazienkowych odgłosów. Kiedy usłyszał brzęczenie elektrycznej szczoteczki, rzucił się na torbę Maeve, gorączkowo w niej czegoś szukał, po chwili wyjął pęk kluczy,

schował je w szafce pod zlewem, a torbę rzucił z powrotem na podłogę.

Właśnie zauważyłem coś niedobrego, coś bardzo, bardzo niedobrego. Matt i Maeve, no, ich wspólne bicie serca... już go nie wyczuwam. Zniknęło i dociera do mnie, że tak naprawdę nie ma go już od dawna. To, co wyczuwałem, nie było prawdziwe, to było coś w rodzaju nagranej wiadomości, echo z przeszłości. Jak światło, które dociera do nas od dawno zgasłej gwiazdy.

Dzień 1…

Lydia rzuciła się na podłogę, aby sprawdzić, czy nie zostawili niczego pod łóżkami. Chciała pozbyć się chłopców co do ostatniego mikrowłókna. Zobaczyła tylko kurz. Dokładnie się spakowali; ostatnie dni były naprawdę gorączkowe.

– Jan, nie zapomnij plakatu z papieżem. – Podskoczyła, aby odkleić go ze ściany.

– Zatrzymaj go – powiedział Jan. – Może ci pomóc.

– Mnie? – Uśmiechnęła się szeroko. – Mnie nic nie pomoże.

– Wygląda na to, że mamy wszystko. – Andrzej po raz ostatni omiótł spojrzeniem pokój.

– Jeśli o czymś zapomnieliście, odbierzesz to po powrocie.

Nie przejęła się nawet tym, że nowa kwatera Andrzeja znajduje się zaledwie piętro niżej. Był teraz mężczyzną zaręczonym, a to działało na nią niczym środek odstraszający. Ich wyskoki należały do przeszłości, żenująca amatorszczyzna, definitywnie zakończona.

Tak radował ją fakt, że się ich pozbywa, że pomogła zanieść do vana ostatnie kartony.

– Do widzenia. Do widzenia. – Skoro odjeżdżali, niemal pozwoliła sobie na sentymenty. – Bezpiecznej podróży i w ogóle.

Gdy patrzyła, jak van znika na końcu ulicy, zadzwonił jej telefon.

– Hathaway?

– Dziś wieczorem?

– Sprzątam. Przeprowadzam się do mojego ślicznego nowego, dużego pokoju. Po pracy wpadnie Sissy, aby mi pomóc. Ty też możesz, skoro tak świetnie ci poszło sprzątanie u mamy.

– Wpadnę. Mogę pomóc. – Chyba był ciut naburmuszony. – Chcesz potem jechać ze mną do mojego brata Joego? Dać Bronagh prezent urodzinowy?

– Kim jest Bronagh?

– Siostrzenica. Mówiłem ci o niej.

– A tak. – W ogóle o tym nie pamiętała. – A odpowiedź brzmi: nie.

– Nie?

– Nie znoszę dzieci, a dzieci nie znoszą mnie.

– Ale ona jest fajna!

– Uwierz mi, Hathaway, na pewno nie w stosunku do mnie.

– Ach... no dobrze. Pojadę tam sam, a potem wpadnę do ciebie.

Dzień 1…

No więc potem poleciałem z powrotem do Manili i...

– Taa? – zapytał Joe, pijąc herbatę i rozglądając się nie – widzącym

wzrokiem po kuchni.

Nagle Conall uświadomił sobie, że brzmi to tak, jakby się przechwalał. Jego brat nigdy nie był w południowo – – wschodniej Azji i nigdy nie będzie; dla niego to jedynie jakaś odległa część świata, o której czasami mówią w wiadomościach. Conall raptownie zamilkł.

W milczeniu pili herbatę. Conall siorbał z zapałem, aby pokazać, że nie odciął się od korzeni. Zastanawiał się, czy nie pstryknąć knykciami, bał się jednak, że ten gest może zostać odebrany jako wrogi.

– Gdzie mój prezent?

Napiętą atmosferę przerwało pojawienie się Bronagh.

Conall sięgnął do kieszeni i wyjął niewielkie pudełko.

– O rany – westchnęła Bronagh, rozwiązując wstążkę i zdejmując srebrny papier. – To jest dobry prezent. – Nabożnie uniosła wieczko i jej oczom ukazały się połyskujące klejnoty.

– Co to, u licha, jest? – zapytał Joe.

– To są... co to jest? – zapytała Bronagh.

– Szafiry.

– Ach, na litość...

Oczy Bronagh zrobiły się wielkie jak spodki.

– Są prawdziwe?

Conall skinął głową.

– Ona ma osiem lat, chłopie. – W głosie Joego słychać było gniew. – Nie ma nawet przekłutych uszu.

– Adoptuj mnie, wujku Conallu. – Bronagh zaczęła tańczyć po kuchni, trzymając szafiry przy uszach. – Zabierz mnie do swojego domu. Ocal przed tymi śmierdzącymi wieśniakami.

– Ach. – Conall zaczerwienił się z zakłopotaniem. Boże, ale

namieszał. Desperacko pragnąc to naprawić, złapał Bronagh za ramiona i powiedział, patrząc prosto w oczy: – Mój brat to najlepszy tata, jakiego mogłabyś mieć.

– Ty też mógłbyś być dobrym tatą, gdybyś tak dużo nie pracował – odparowała Bronagh. – Ale wtedy pewnie nie miałbyś pieniędzy na szafirowe kolczyki. Hmm. Trudny wybór.

– Coś ci powiem, Conall – oświadczył kategorycznie Joe. – Może i jeździsz na Filipiny i w te wszystkie miejsca, ale ja nie muszę opuszczać domu. Posiadanie dzieci to największa przygoda, jaką można sobie wyobrazić.

– Masz rację, chłopie. Ja też zaczynam tak uważać.

Twarz Joego złagodniała. Po czym zmartwiała.

– ... O nie, Conall, chłopie. Posiadanie dzieci to nie to samo, co kupno motocykla. Nie możesz ich oddać, jak ci się znudzą.

Jestem jednym wielkim oczekiwaniem na jutro. Chyba się zdecyduję na Hathawaya i Lydię. Co prawda ona twierdzi, że nie lubi dzieci, ale z własnym maluchem będzie inaczej. A Hathaway? On jest gotowy. No, a przynajmniej oswaja się z tym pomysłem. Gdyby coś nieoczekiwanie poszło nie tak, mam jeszcze Katie i Fionna. Natomiast jeśli chodzi o Matta i Maeve, to obawiam się, że potrzebny byłby cud.

Dzień 1…

– Macie coś przeciwko, jeśli wyjdę wcześniej? – zapytał Matt. –

Muszę się zabrać za pakowanie.

Odpowiedziały mu dobroduszne śmiechy i okrzyki.

– Jest dopiero dziesięć po piątej, a on już wychodzi! Ci ze Sprzedaży Międzynarodowej to mają dobrze.

– W Sprzedaży Krajowej nie ma już nic do roboty.

– Nową nazwę nadano działowi zajmującemu się sprzedażą na terenie Irlandii. – Nie ma sensu, żebym się tu kręcił i zbijał bąki. – Uśmiechnął się szeroko, blady i spocony. – No to narazka.

– O której się spotykamy? – zapytał Salvatore.

– O siódmej? Przy stanowisku odpraw Aer Lingus?

W poniedziałek rano Salvatore i Matt mieli lecieć do Szanghaju.

– Jasne. No to do zobaczenia na lotnisku! – wykrzyknął Salvatore. Początek nowego przedsięwzięcia zawsze był ekscytujący.

– Okej – powiedział wesoło Matt. – Do zobaczenia w poniedziałek na lotnisku.

Czy Maeve o tym wie?

Dzień 1…

– Co u ciebie, Maeve? – zapytała dr Shrigley.

– W porządku.

Ale była daleko, pogrążona we własnych myślach. Cały czas miała przed oczami obraz, jak wylatuje w powietrze, lekka i bezwolna niczym szmaciana lalka. Obrazy stawały się coraz bardziej drobiazgowe. Wciąż to widziała, chwilę, gdy samochód zderzył się z jej rowerem, a ona wyleciała w powietrze, krew tryskającą z ust, czaszkę roztrzaskującą się jak skorupka jajka, kiedy lądowała na asfalcie, i światło, które nagle znika z jej oczu. Nie

martwił jej ból; była tak odrętwiała, że nie sądziła, aby go w ogóle poczuła.

W ciągu kilku ostatnich tygodni miała cztery ataki paniki i za każdym razem wyczuwała obecność śmierci. Wtedy się bała, ale teraz już nie.

Nie mogła się doczekać, kiedy to wszystko się skończy.

To była jej ostatnia wizyta u dr Shrigley. Nie wiedziała, jak jej to powiedzieć, więc tego nie zrobi. Dr Shrigley sama do tego dojdzie, kiedy Maeve przestanie przychodzić. To nie miało znaczenia. Nic nie miało.

Jechała rowerem do domu, szybko i nieostrożnie. Kiedy dotarła do Star Street, zeskoczyła z siodełka i kilka ostatnich metrów prowadziła rower. Zdumiewał ją fakt, że nadal żyje. No bo w końcu co trzeba zrobić, aby dać się zabić?

Choć raz się cieszyła, że Matta nie będzie przez kilka godzin w domu. Tym sposobem nie dowie się, że nie poszła na tę imprezę w pracy. Choć niemożliwe, aby sądził, że rzeczywiście to zrobi. Biedny Matt. Pragnął dowodu, że jej się poprawia, gdy tymczasem wszystko wskazywało na to, że jest coraz gorzej.

Zerknęła szybko przez ramię, aby sprawdzić, czy nikt nie czai się za nią, po czym sięgnęła do torby po klucze. Ale nie mogła ich znaleźć. Jej dłoń rozczapierzała się i zamykała, rozczapierzała i zamykała, jak te maszyny z zabawkami w wesołym miasteczku, niczego jednak nie znalazła. Ostrożnie opierając się plecami o drzwi, tak żeby mieć na oku wszystkich przechodniów, wysypała zawartość torby na schodek. Kluczy nie było. Z całą pewnością nie było. Portfel owszem. Czemu ktoś miałby zabrać jej klucze, a zostawić portfel? Chyba że nikt niczego nie zabrał, a klucze może po prostu wypadły. Ale że nie usłyszała brzęku?

Że też musiała je zgubić akurat dzisiaj. Napisała szybko esemesa do Matta. Będzie musiał przysłać taksówką swoje klucze. Ale myśl, że wielki,

krzepki taksówkarz miałby mieć dostęp do jej mieszkania... Szybko wysłała drugiego esemesa.

Przyjedź do domu.

Nie miało sensu dzwonić do któregoś z sąsiadów. Nikt nie dysponował zapasowym kluczem. Nikomu w tej kwestii nie ufała.

Czterech idących chodnikiem mężczyzn przyglądało jej się, jak siedzi na schodach, z kolanami podciągniętymi pod brodę. Nie mogła tak tu siedzieć, ogłaszając wszem wobec swoją bezbronność. Powinna wejść przynajmniej na klatkę schodową.

Pomyślała, żeby zadzwonić do tej starszej pani, ale się zawahała, ponieważ u niej mieszkał ten Spragniony Fionn. A gdyby to on odebrał? Nie mogła także zadzwonić do Katie, gdyż ona i Fionn byli parą. Zostawało tylko mieszkanie na drugim piętrze. Nieco się bała tych Polaków, którzy tam mieszkali, ale wtedy przypomniało jej się, że rano, kiedy wychodziła do pracy, oni się akurat wyprowadzali.

Wcisnęła guzik domofonu i ktoś, najpewniej ta niecierpliwa taksówkarka, powiedział:

– Hathaway?

– Tu Maeve z...

Drzwi otworzyły się.

– Dzięki – rzuciła Maeve, wprowadzając rower i opierając go o drzwi.

Siedziała na najniższym schodku i wpatrywała się w telefon. Dlaczego Matt jej nie odpisał? Co go powstrzymywało? Po jakimś czasie zadzwoniła do niego i od razu włączyła się poczta głosowa. Nigdy nie wyłączał telefonu. Dlaczego akurat dzisiaj musiał to zrobić?

Brzęczenie kluczy przy drzwiach sprawiło, że wyprostowała się z

nadzieją, ale to była Katie. Weszła na klatkę, a za nią Spragniony Fionn. Oboje zanosili się śmiechem.

– Och, przepraszam! – zaśmiała się Katie. – Prawie na ciebie nadepnęłam. Maeve, prawda? Wszystko w porządku?

Maeve nie chciała nic mówić, nie w obecności Fionna.

– Nie masz kluczy? – zapytała Katie.

A czy w innym przypadku siedziałaby na tych cholernych schodach?

– Chodź do nas – zaprosił Fionn.

Maeve niemal zadrżała.

– No właśnie – dodała Katie. – Za jakąś godzinę wychodzimy, ale ty możesz zostać jak długo chcesz.

– Nic mi nie jest. Mój mąż niedługo przyjedzie.

– Chcesz do niego zadzwonić? – Katie sięgnęła do torebki.

– Już jedzie. – Maeve pokazała mały telefon w dłoni.

– Dzięki. Wszystko w porządku.

Matt nadal jej nie odpisał. To było bardzo dziwne. Minęło tyle czasu. Zerknęła na zegarek w telefonie – prawie piętnaście minut...

Usłyszała za sobą głos:

– Co się dzieje? – To był Fionn. – Nadal tu siedzisz? Zerwała się na równe nogi. Serce waliło jej jak młotem i wszystko w niej krzyczało, że grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo. Fionn zszedł po kilku ostatnich schodkach. Wydawał się niemal rozbawiony. Pamiętała, jak kiedyś na nią patrzył, jakby chciał ją zjeść. Pożreć. Zabić.

– Chodź na górę i poczekaj u Katie – rzekł.

Pokręciła głową, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

W uszach huczała jej krew, a w klatce piersiowej wzbierał coraz większy strach, coraz większy, coraz większy, uniemożliwiając oddychanie.

– Nie ma się czego bać.

„Nie ma się czego bać”.

Podszedł bliżej i wyciągnął rękę.

– Nie zrobię ci krzywdy.

„Nie zrobię ci krzywdy”.

– Chodź. – Zamknął dłoń na jej ramieniu.

Ostatnim razem nie krzyczała – to był jej największy błąd i nie zamierzała go powtórzyć.

– Przestań! Proszę!

Coś się działo za drzwiami wejściowymi. Ktoś tam był. Zadzwonił domofon.

– Matt! – zapiszczała. – Matt!

Ale to nie był Matt, lecz ten wielki, ciemnowłosy mężczyzna. Conall, tak chyba miał na imię. Chłopak Katie. A przynajmniej kiedyś nim był.

– Co tu się dzieje? – zapytał Conall, patrząc na Maeve, na Fionna, na dłoń Fionna na ramieniu Maeve, na wyrywającą się Maeve.

Conall uczynił krok naprzód, a szamotanie się Maeve Przybrało na sile.

– Nie podchodź! Proszę! Błagam cię.

Conall natychmiast się cofnął.

Maeve była mgliście świadoma tego, że na schodach pojawiły się inne twarze, wychylające się przez poręcz – Katie, opryskliwa Lydia, jeszcze jedna dziewczyna i starsza pani.

– Daj jej spokój – rzucił Conall do Fionna. – Przerażasz ją.

– Ja? Ja jej pomagam.

– Panicznie się ciebie boi. I mnie. Prawda? – zapytał Maeve.

Ich spojrzenia się skrzyżowały. Kiwnęła głową.

– Ona nie może oddychać – powiedział Conall. – Maeve... Maeve, prawda? Czy któraś z dziewcząt może ci pomóc?

Nie. One też mogły maczać w tym palce. Maeve zaczęła dyszeć ze strachu. Wszyscy mogli maczać w tym palce.

– Niech ktoś jej da papierową torbę. – Nikt się nie ruszył. Wszyscy stali nieruchomo, jakby włączono pauzę, więc Conall, nie spuszczając wzroku z Maeve, sięgnął do kieszeni i wyjął dużą torebkę żelków. Wysypał je na stolik na listy, po czym podał Maeve puste opakowanie. – Oddychaj do niej.

– Spojrzał na Katie. – Może być plastikowa?

– Nie wiem. Chyba nie.

– Czy ktoś może mi powiedzieć, co się dzieje? – zapytał Conall.

– Maeve nie ma kluczy – odparła Katie. – Jej męża nie ma w domu, a nikt z nas nie ma zapasowych kluczy.

– Wiesz, gdzie on jest? – zapytał Conall. – Matt? Tak ma na imię?

– Już jedzie do domu.

– Skąd?

– Z Magnolii.

– Magnolii?! – zapytali jednocześnie Conall i Katie.

– Myślałem, że ją zamknięto – powiedział Conall, szukając potwierdzenia u Katie.

– Zgadza się. Jakiś miesiąc temu.

– Tak też mi się wydawało – szepnęła Maeve.

Zapadła pełna skrępowania cisza.

– Moglibyśmy spróbować wyważyć zamek – zaproponował Conall.

– Jak? – Maeve wyglądała na oszołomioną.

Spojrzenia wszystkich, jak na komendę, pomknęły ku Lydii.

– Czemu wszyscy patrzą na mnie? – zapytała. – ... No dobrze.

Pobiegła na górę i wróciła z metalowym wieszakiem. Wyprostowała go i wsunęła do dziurki, ostrożnie manewrując. Nagle znieruchomiała. Wyszarpnęła drut. Zbladła.

– Są zamknięte od środka. W zamku jest klucz.

– On tam jest? – zapytała bezgłośnie Sissy.

– Matt jest w środku? – zapytał Conall Lydię.

– Co to znaczy, że jest w środku? – Maeve walczyła o oddech.

Conall zapukał głośno do drzwi.

– Matt? Matt? – Odwrócił się do Maeve. – Dzwoniłaś domofonem? – Bez słowa pokręciła głową, więc otworzył drzwi wejściowe i wyszedł, aby wcisnąć przycisk z mieszkaniem nr i, długo i mocno. Kiedy nie odezwał się żaden głos, a Matt nie pojawił się w drzwiach, Conall powiedział do Maeve: – Zadzwoń do niego. Na telefon stacjonarny.

Maeve podała mu telefon.

– Pod „dom”.

Conall przycisnął kilka klawiszy i chwilę później za drzwiami rozległ się dzwonek telefonu. Wszyscy wstrzymali oddech, a kiedy usłyszeli, że włącza się automatyczna sekretarka, dotarło do nich, że jakimś sposobem znaleźli się w samym środku jakiejś tragedii.

– To, że w drzwiach jest klucz, nie znaczy, że Matt tam jest – odezwał się Fionn.

– Jak to? – zapytał Conall.

– Mógł zamknąć drzwi i wyjść oknem.

– Ale jak bardzo jest to prawdopodobne? – Conall odsunął rower Maeve spod drzwi. – Cofnij się.

Wszyscy patrzyli zaszokowani – jak to możliwe, że tak szybko

sprawy przybrały tak poważny obrót? – jak Conall rzuca się na drzwi, po czym się od nich odbija. (Jemima dostrzegła, jak Fionn uśmiecha się szyderczo.) Spróbował raz jeszcze, uderzając w drzwi ramieniem, i tym razem nie odbił się już tak mocno.

– Co się dzieje? – wyszeptała Maeve. – Nie rozumiem.

Trzeciemu uderzeniu towarzyszył odgłos rozszczepianego drewna. Dwa kolejne uderzenia ramienia Conalla i drzwi stały otworem.

– No dobrze – wydyszał. Rozejrzał się po twarzach. Nikt nie chciał wejść do środka. Sam będzie musiał to zrobić. Zawahał się w progu, jak człowiek, który zaraz ma wskoczyć do rzeki pełnej krokodyli, po czym dał nura. Przez chwilę panowała straszliwa cisza, a potem go usłyszeli. – Katie! Katie!

Pobladła Katie wbiegła do mieszkania i niemal natychmiast wróciła, by wydać rozkazy:

– Lydia, dzwoń po karetkę. Fionn, idź tam, musisz pomóc go podnieść. Jemima, zostań z Maeve. – Mówiąc to, uniosła spódnicę i zsunęła rajstopy. Zdjęła je i przedarła w kroku na pół. – Opaski uciskowe – wyjaśniła.

Jemima położyła dłonie na ramionach Maeve.

– To nie pora na udzielanie rad, ale możliwe, że nie będzie innej okazji. Posłuchaj, co mam do powiedzenia, to bardzo, bardzo ważne. Twoje ciało należy do ciebie. Nie do tamtego mężczyzny, kimkolwiek on jest. Odbierz mu je.

W oczach Maeve malowało się oszołomienie. Była otępiała z szoku.

– Skąd wiesz?

– Jestem bardzo stara. Dużo w życiu widziałam. Twój strach przed mężczyznami, workowate ubrania, dla mnie to było jasne...

– A niech mnie...! – To Sissy. Położyła rękę na ramieniu Jemimy – – Czy ty to... Mistyczna Maureen?

„Nie teraz, moja droga, to nie jest odpowiednia pora”, Jemima niechętnie się odwróciła.

– Sissy, moja droga?

– Nie mogę uwierzyć, że to ty! – Sissy odwróciła się do Maeve: – Słuchaj jej. Musisz jej słuchać. Co to za kobieta!

– Sissy zamachała z emfazą rękami. – Uwierz we wszystko, co ci mówi. Jest superjasnowidzem.

– Nie, naprawdę, nie jestem jasnowidzem. Jestem po prostu stara. Aleja...

– Jest karetka!

– Ale szybko – ktoś szepnął.

Lydia patrzyła, jak bezwładne, ociekające czerwoną wodą ciało Matta z czarnymi nylonowymi rajstopami obwiązanymi wokół ramion, wynoszone jest na noszach do karetki. Podeszła do Conalla. Ciemny garnitur miał mokry, a jego biała koszula poplamiona była czymś, co wyglądało na krew. Rozmawiał przez telefon z Eilish Hessard, załatwiając nowe drzwi do mieszkania Maeve. Gdy tylko skończył rozmowę, zapytała cicho:

– Co się stało?

Conall zerknął na Maeve, upewniając się, że go nie słyszy.

– Był w wannie. Podciął sobie żyły.

Chryste! Matt podciął sobie żyły! To bardzo szokujące i smutne i w ogóle, ale Lydia mimowolnie pomyślała, że to dość dziewczyńska próba samobójcza.

Jeden z sanitariuszy, niski i przysadzisty, wrócił na klatkę schodową.

– Kto z was jedzie? Proszę się pospieszyć.

– Żona Matta – rzekł Conall.

– Może jechać w karetce, ale reszta się nie zmieści.

Maeve skuliła się w sobie.

– Nie mogę. To mężczyźni.

– Musisz jechać, serdeńko – powiedziała Jemima.

– Musisz być z Matthew. Ale dołączymy do ciebie.

Katie objęła Maeve ramieniem, a ta dała się zaprowadzić do karetki.

– Wiedziałam, że czai się tu śmierć. – Jemima patrzyła, jak w karetce zamykają się drzwi. – Od kilku tygodni ją czułam. Byłam pewna, że przyszła po mnie. Lepiej po mnie niż po tego młodego człowieka.

Na litość boską! Nie jestem śmiercią. Jestem jej całkowitym przeciwieństwem.

– Czy ten mężczyzna, ten Matt, naprawdę, eee, nie żyje?

– Sissy przełknęła ślinę.

Conall wyglądał na udręczonego.

– ... Nie wiem. Nie wyglądał mi na żywego.

Na wycie syreny wszyscy podskoczyli. Karetka odjechała.

– Ktoś musi jechać do szpitala, żeby towarzyszyć Maeve – powiedziała Jemima.

Lydia wpatrywała się w swoje stopy. Ona się do takich rzeczy nie nadawała. Z tym akurat by sobie nie poradziła.

– Mogę jechać – zgłosiła się Katie.

– Mogę jechać, jeśli uważasz, że to jej dobrze zrobi – dołączył Conall.

– I ja mogę jechać – dodała Sissy. – Mimo że w ogóle mnie nie zna.

– Ona nie zna nikogo z nas – zauważył Fionn.

– Ja bym chciała jechać – wtrąciła Jemima. – Jeśli nie macie nic

przeciwko.

Ani trochę, pomyślała Lydia. Czuła olbrzymią ulgę wszystkich zainteresowanych.

– Nie pojechałbyś ze mną, Fionn? – zapytała Jemima.

– Ona się mnie boi.

W Lydii wezbrało oburzenie. Okej, nikt z nich nie chciał jechać, to było makabryczne i owszem, Maeve koszmarnie się bała Fionna i Conalla, ale nie można kazać tej kobiecie jechać samej. Była naprawdę stara.

– Hej, ja panią zawiozę.

– Nie trzeba – wtrąciła Katie. – Ja to zrobię. Samochód mam niedaleko.

– Pojadę, a towarzyszyć mi będzie Fionn – oświadczyła Jemima. Fionn otworzył usta, by po chwili poddać się temu, co nieuchronne. Jemima może i była stara, ale siłę woli miała ze stali. – Weźmiemy taksówkę.

Przez chwilę się sprzeczali: Lydia ponownie zaoferowała swoje usługi, a Jemima za nie podziękowała.

– Jak pani chce. – Lydia w sumie czuła ulgę, że nie musi jechać.

Fionn poszedł na górę, aby zmienić mokre, poplamione krwią ubranie, a potem on i Jemima wyszli, pozostawiając Lydię z Conallem, Sissy i Katie.

– Może powinniśmy się napić – odezwała się Sissy.

– Okej – Conall spojrzał na Katie, unosząc brwi. – Jakieś propozycje?

– Latająca Butelka? To blisko. I nikomu nie będzie przeszkadzać, że masz krew na koszuli.

– Jest to wręcz obowiązkowe. – Uśmiechnął się blado.

– Latająca Butelka? – zapytała Lydia, czując w ustach gorzki smak.

– No wiesz, ten pub na końcu ulicy – odparł Conall.

– Była tam bijatyka pewnego wieczoru, kiedy tam poszliśmy – wyjaśniła Lydii Katie. – Stąd ta ksywka. Ale teraz jest wcześnie, powinno być w porządku.

– W porządku – rzekła Lydia. W porządku.

Gdyby to nie była Latająca Butelka, ich pojawienie się mogłoby wywołać kilka komentarzy. Lydia i Sissy w brudnych dresach i adidasach, Katie w klasycznej małej czarnej i szpilkach, a Conall w grafitowym garniturze Brioni, na którym plamy krwi zaczynały się już robić czarne.

– Pójdę do baru – rzucił Conall, gdy Sissy próbowała znaleźć cztery stołki, których siedziska nie były poprzecinane nożem, przez co wystawała z nich gąbka. – Czego się napijecie?

– Wódka z Red Bullem – odparła Lydia.

– Ja też – dodała Sissy.

– Katie?

– Och? Przepraszam! – Katie była blada i wyglądała na oszołomioną. – Chyba brandy. Podobno jest dobra na wtrząs.

– Okej. Lydia? Sissy? Na pewno nie chcecie zmienić zamówienia? Na brandy?

– Na pewno – warknęła Lydia.

Zaczekała, aż Conall stanie przy barze tyłem do nich.

– No więc jesteś specjalistą od pierwszej pomocy? – spytała Katie. Coś jej mówiło, że odpowiedź na to pytanie jest ważna.

Katie żałośnie pokręciła głową.

– Jestem jedynie zapaloną amatorką. Lubię kupować w aptekach spraye i maści, wszystkie nowości, za każdym razem, kiedy wypuszczają nowy rodzaj Savlonu, ja go kupuję, ale kiedy przychodzi co do czego, tak jak teraz z Mattem, nie wiem nic. – Ręce jej drżały i wyglądała, jakby się

zaraz miała rozpłakać.

– Wiedziałaś o opaskach uciskowych.

– Tylko dzięki oglądaniu filmów kowbojskich. A jeśli było za późno? A jeśli on zdążył...?

Komórka Katie piknęła. Spojrzała na wyświetlacz.

– To Fionn. Matt żyje. Właśnie mu robią transfuzję.

– To znaczy, że nic mu nie jest? – zapytała Sissy.

– Nie wiem. Tego nie napisał. Może nikt jeszcze nie wie – odparła Katie.

Conall wychylił brandy, po czym wstał i spojrzał na Lydię.

– Zbieramy się?

Potrzebował szalonego seksu, aby oddalić od siebie obecność śmierci.

Trzy lata temu

– Zamknij oczy – powiedział, otwierając drzwi pokoju.

Poczuła na ramionach ciężar i ciepło jego dłoni, popychających ją do przodu.

– Tyle zachodu. – Zaśmiała się. – Oby było warto.

– Będzie.

Poleciała na podłogę, nim zdążyła zdać sobie sprawę z tego, co się dzieje. Refleks miała spóźniony o jakieś trzy sekundy. Poczuła ostry ból w kości biodrowej i dzwonienie w czaszce i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że David z całych sil pchnął ją na ziemię, że jej kolana się ugięły i wylądowała na podłodze. Gdy próbowała pozbierać to wszystko do kupy, David usiadł na niej, kolanami na ramionach, całym ciężarem na jej tułowiu.

W ogóle nie oddychała; tak intensywnie się rzucała i wyrywała, że zapomniała o tym, a kiedy spróbowała zaczerpnąć tchu, nie była w stanie,

ponieważ David ją przygniatał.

Skołowana, najpierw sądziła, że to wypadek. Ale teraz David siedział na niej, twarz miał czerwoną i uśmiechniętą. Najwyraźniej zrobił to celowo. To był kiepski żart, z gatunku takich, które robią krzywdę. Oddychając płytko i z trudem, powiedziała:

– David, złaź, zejdź ze mnie. – Była poirytowana, niemal wkurzona. Ale nie przestraszona. Jeszcze nie.

Z gibkością, o którą go nie podejrzewała, zmienił szybko pozycję tak, że teraz klęczał bokiem na jej rozpłaszczonym ciele, lewą piszczelą przyciskając do podłogi tułów Maeve, a prawą unieruchamiając biodra.

Jeszcze nigdy żaden człowiek nie używał wobec niej siły – David był wyższy, cięższy i znacznie, znacznie silniejszy. To było zupełnie nowe doświadczenie. Nie licząc nieszkodliwych przepychanek na szkolnym boisku, o przemocy nie wiedziała zupełnie nic.

– David, pozwól mi wstać. Zejdź ze mnie. Nie mogę oddychać.

Rozpaczliwie oparła dłonie o podłogę i wiła się, w nadziei, że zrzuci go z siebie, jednak jego ciężar tak mocno przytwierdzał ją do podłogi, że ledwie się była w stanie ruszyć.

Wyglądał dziwnie, jak ktoś zupełnie obcy. Nie potrafiła niczego wyczytać z jego twarzy, nie wiedziała, czego on chce, ale w jej głowie odezwał się dzwonek alarmowy. Była z nim sama. Nikt nie wiedział, że tutaj jest. A on był rozgoryczony i rozgniewany – teraz wiedziała, że nie powinna była sądzić, że jej wybaczył.

– Pozwól mi wstać. Wrócimy do salonu i porozmawiamy. David, jesteś porządnym facetem. – Jeszcze sądziła, że jakoś uda jej się uwolnić.

Nie mogła unieść głowy, kiedy więc bardziej poczuła niż zobaczyła, że grzebie przy guziku jej dżinsów, ogarnął ją autentyczny strach.

– David, co ty robisz? – Próbował ją przestraszyć. I udało mu się. – David, nie! To szaleństwo. Jesteś zraniony, jesteś wkurzony, ale to się posunęło za daleko. Przestań natychmiast!

Ale on to zrobił, guzik był rozpięty. Zawsze myślała, że można coś zrobić, aby się bronić, można drapać, można kopać, można gryźć. Ale na jej ramionach spoczywał taki ciężar, ze nerwy w dłoniach nie pracowały, stopy znajdowały się za daleko, a głowę miała przyszpiloną do podłogi.

Teraz rozpinał jej dżinsy.

Czy on zamierzał... ją... zgwałcić? Tak to wyglądało, ale to nie mogła być prawda, ponieważ... Dlaczego nie? Bo takie rzeczy nie przytrafiały się ludziom takim jak ona.

– Okej – wydyszała. – Jestem przerażona, udało ci się. A teraz mnie puść. – Poruszył się, inaczej rozkładając ciężar ciała, gdy ściągał jej dżinsy. – Proszę, David, nie rób tego, David.

„Powinnam krzyczeć". Może w innych mieszkaniach są akurat ludzie, może ją usłyszą. Dziwne, ale niemal poczuła zażenowanie na myśl o melodramatycznym krzyku „Pomocy! ". Przecież to był David. Kiedy jednak otworzyła usta, z uczuciem szoku przekonała się, jak słaby jest to krzyk – leżała płasko na plecach, nie miała siły krzyczeć.

Niezgrabnie, ale metodycznie ściągał jej majtki, drobnymi ruchami.

– Proszę, przestań, David, och proszę. – Z jej oczu płynęły łzy. Nawet ich nie zauważyła.

Wtedy pojawiła się jego erekcja, purpurowa i gniewna.

„Mój Boże, on naprawdę mnie zgwałci".

Zacisnęła uda, mocno, z całych sil. Myśl, błagała się w duchu, myśl! Gdzieś kiedyś przeczytała, że gwałcicielowi powinno się opowiadać o sobie, apelować do jego współczucia, dać mu do zrozumienia, że jest się

człowiekiem. Ale David to wszystko wiedział.

– Przepraszam, że cię zraniłam, naprawdę przepraszam. Ale nie rób mi tego, błagam. – Łzy spływały po jej skroniach.

Poruszył się, szykując się, by w nią wejść, i na chwilę puścił jej ręce. To była jej szansa. Wyszarpnęła się i usiadła, i tym razem wydała z siebie prawdziwy krzyk, głośny i świdrujący.

Pchnął ją z powrotem na podłogę, po czym przyłożył jej ramię do gardła i pchnął. Nawet nie jakoś mocno. Natychmiast zaczęła się dusić. Oparł się mocniej. Przerażona, wyrywająca się, desperacko walcząca o oddech, przekonała się, z jaką łatwością mógłby ją zabić. Takie rzeczy się zdarzały. Kobiety gwałcono i zabijano, a teraz robiono to jej. Obraz zaczął jej się rozmywać i natychmiast zwiotczały jej mięśnie. Musiała przeżyć. To jedyne, co naprawdę miało znaczenie. Wszystko inne... cóż, później się tym zajmie, ale nie mogła umrzeć.

Wdzierał się w nią, nacierał penisem i nieoczekiwanie poczuła okruch nadziei: może do tego nie dojdzie, może jest zbyt spięta, żeby zdołał w nią wejść. Ale on nie dawał za wygraną, aż znalazł minimalny przesmyk i wdarł się w niego siłą. Zaczął poruszać się miarowo, do przodu i do tyłu.

„Jestem gwałcona. A więc tak to jest”.

Po raz pierwszy, odkąd przyprowadził ją do swego pokoju, odezwał się.

– Dobrze ci?

Bez słowa wpatrywała się w niego, a potem poczuła coś dziwnego, jakby opuściła własne ciało i unosiła się nad swoją głową. Nie było jej; czekała na zewnątrz siebie, aż to się skończy. Widziała siebie, sztywną na podłodze, z zaciśniętymi powiekami, spływającymi spod nich łzami; widziała, jak on leży na niej, poruszając się miarowo, a co najdziwniejsze,

szepcząc słowa miłości. „Jesteś piękna”. „Kocham cię”. „Naprawdę mnie zraniłaś”.

Zdawało się to nie mieć końca. Dwa razy erekcja mu osłabła i musieli czekać, aż będzie gotowy do dalszego działania. Kilka razy wracała do swego ciała, ale to nadal się działo, więc znowu musiała uciekać.

Po długim czasie w końcu miał wytrysk. Ciąża, pomyślała. Chlamydia, pomyślała. Dowody.

Zimny metal. Badanie wewnętrzne. Wymazy i zdjęcia. Test na choroby weneryczne. Test na AIDS. Za wcześnie, naturalnie, aby wykonać test ciążowy. Stopy w strzemionach i kolejne badanie. Matt trzymający ją za rękę. Sprawdzanie, czy są sińce, rany szarpane, krwotok wewnętrzny. Cały świat, o którym dotąd nie miała pojęcia.

Kiedy David skończył, zsunął się z niej i położył na podłodze, wpatrując w sufit. Maeve leżała sztywno, zastanawiając się, co teraz zamierza jej zrobić. A kiedy mijały sekundy i nic się nie działo, zerwała się z podłogi i gorączkowo zaczęła zakładać majtki i dżinsy, nadal się spodziewając, że ją zatrzyma, siłą przewróci na podłogę i zacznie wszystko od początku.

Inna kobieta może by mu oświadczyła: zgwałciłeś mnie i wszystkim to powiem. Ale ona w ogóle nie myślała o zemście. Liczyło się tylko to, że udało jej się ujść z życiem.

Na dole odpięła rower. Nie była w stanie jechać, ale nie mogła go tu zostawić. Musiała stąd zabrać każdą część siebie; nie mogła mu nic zostawić. Ruszyła więc, niemal biegnąc, prowadząc rower przez prawie cztery kilometry i miała wrażenie, że już chwilę później zjawiła się pod swoimi drzwiami.

Nie zadzwoniła do Matta; nie chciała zakłócać mu spotkania. Siedziała

tylko na sofie, drobna i zmarznięta, czekając, aż wróci do domu. A kiedy tak się stało, był zdezorientowany, przynajmniej na początku, ale jej uwierzył.

Dwoje policjantów spisało jej zeznania.

– Dostaliście... wiecie co? – zapytała Maeve, próbując nie drżeć. – Możecie zrobić badanie DNA, udowodnić, że to był on? – Nie wzięła kąpieli, nie zmyła z siebie żadnych dowodów; była z tego dumna. Udała się do domu i czekała na Matta, i choć miała wrażenie, że to wszystko jej się śniło, instynktownie wiedziała, że nie powinna się nawet przebierać.

– Trochę na to za wcześnie – powiedział mężczyzna. Vincent, tak miał na imię. – Na razie nie wiemy, czy to był stosunek bez przyzwolenia drugiej strony.

Maeve spojrzała na niego w osłupieniu.

– Ale tak właśnie było. – Spojrzała na policjantkę, Sandrę. – Tak było – powtórzyła. Spojrzała na Matta. – Tak było.

– Wiem – odparł Matt.

Sandra spokojnie zmierzyła ich wzrokiem.

– Zacznijmy od początku. W co pani była ubrana?

– W tamto. – Maeve pokazała na plastikową torbę na materiały dowodowe, w której znajdowały się jej dżinsy i bielizna. I po raz kolejny zrobiła dokładnie to, co należy: wiedziała, że zabiorą jej ubranie, więc zabrała z domu zapasowe.

– Niezbyt prowokujące, prawda? – zapytał wyzywająco Matt.

– Byłoby lepiej, gdyby pani Geary po prostu odpowiadała na pytania – odparła Sandra. – Maeve, nie miała pani na sobie sukienki?

– Co to znaczy?

– Niełatwo jest ściągnąć komuś dżinsy, gdy ten ktoś się wyrywa.

– Tak, ale... on to zrobił. – Jak mogła wyjaśnić ciężar Davida, jego

siłę?

– Proszę. – Vincent podał j ej pudełko chusteczek i Maeve uświadomiła sobie, że po jej policzkach spływają łzy.

– Jak opisałaby pani swoje relacje z panem Price’em?

– Z kim... och, z Davidem. Kiedyś był moim chłopakiem. Zanim się związałam z Mattem.

– Dziś wieczorem udała się pani do jego mieszkania.

– Sandra zerknęła na zegarek. – Jeszcze dziś. Poszła tam pani sama? Dlaczego mąż nie poszedł z panią?

– Miał spotkanie służbowe – odparła Maeve.

– Ma prawo do własnego życia – rzekł w tym samym czasie Matt.

– Ale pani mąż nie miał nic przeciwko tej wizycie?

– Nie wiedział o niej – musiała przyznać Maeve.

– Ale nie miałbym nic przeciwko – uzupełnił Matt.

– Nie powiedziała mu pani o tym, że zamierza odwiedzić pana Price’a? Dlaczego trzymała to pani w tajemnicy?

– To nie była tajemnica, a jedynie coś, o czym mu nie powiedziałam.

– Razem z panem Price’em piliście alkohol? Można powiedzieć, że miała pani mniej zahamowań z powodu upojenia alkoholowego?

– Wypiłam jedno piwo. Nawet niecałe. Proszę posłuchać, ja w ogóle nie chciałam się z nim spotkać, ale on powiedział, że chce mi dać prezent ślubny.

– Prezent ślubny? – Sandra uniosła brew i Maeve uświadomiła sobie, jak podejrzanie to zabrzmiało. – Muszę panią o coś zapytać, ponieważ jeśli ta sprawa trafi do sądu, ponownie usłyszy pani to pytanie: kiedy była pani dziewczyną pana Price’a, odbywaliście stosunki płciowe?

Przełknęła ślinę.

– Tak, ale ten był inny.

– Dokładnie panią zbadano. Nie ma żadnych sińców ani obrażeń wewnętrznych.

– Muszą być siniaki. Uderzyłam głową o podłogę, a on przyłożył mi rękę do gardła i dusił.

– Pani ubranie nie jest podarte, pani nie jest ranna, brak dowodów na to, że stoczono walkę.

– Ale ja walczyłam.

– Sińce stałyby się widoczne po kilku minutach. Minęły ponad cztery godziny od tego domniemanego incydentu.

– Walczyłam, ale był dużo silniejszy.

– Gdyby to mnie gwałcono, walczyłabym z całych sił.

– Bałam się, że mnie zabije.

I znowu uniesiona brew.

– Zabije? – zapytała, zapisując coś. – Wow.

– Ale z niej pizda – oświadczył Matt, gdy dwoje policjantów opuściło pokój przesłuchań.

Maeve nieoczekiwanie zachichotała.

– Nie możesz używać takich słów.

– Normalnie bym tego nie zrobił, ale dla niej jestem gotów zrobić wyjątek.

– Myślisz, że co teraz będzie?

– Porozmawiają z... nim.

– I co, aresztują go? Pójdzie do więzienia... od razu dzisiaj? Tak to działa?

– Nie wiem. Może wyjść za kaucją. Do czasu sprawy w sądzie.

„Sprawa w sądzie. Sąd”.

– Matt? Mam wrażenie, że to wszystko mi się śni.

– Ja też.

– Trzy dni temu o tej porze byliśmy w podróży poślubnej.

– Jakoś to przetrwamy.

Z nagłym błaganiem w głosie rzekła:

– Matt, nie mów mamie ani tacie. Nie znieśliby tego. Są tacy... niewinni.

– Dobrze. Zatrzymamy to dla siebie, tylko ty i ja. – Wcisną to straszne wydarzenie do małego pudełka, a potem je zakopią i ukryją już na zawsze.

– Matt, widzisz siniaka na mojej szyi?

– Przysuń się bliżej światła, to się przyjrzę.

– Z przodu. Na grdyce.

– Chyba coś widzę – odrzekł niepewnie.

– Może nic tam nie ma – przyznała ze smutkiem. – Nie musiał mocno przyciskać. – Nawet lekki nacisk wystarczył, aby zaczęła się dusić i bać, że umrze. – A moja głowa? Jest siniak z tyłu? Albo guz?

Delikatnie Matt obmacał jej czaszkę.

– Nie bardzo widać, włosy zasłaniają. Boli cię?

Żałowała, że nie.

– Już nie, ale wtedy bardzo bolało. – Przyszło jej do głowy coś nieprawdopodobnego. – Boże, Matt. A jeśli nie będzie żadnych dowodów? Jeśli uznają, że to zmyśliłam?

– Nikt tak nie uzna.

Mijały godziny. Oparci o siebie, czekali, aż wszystko zostanie naprawione i będą mogli wrócić do domu i normalności.

– Chciałabym, aby ktoś nam powiedział, co się dzieje

– odezwała się Maeve, starając się, aby nie drżał jej głos.

– Wkrótce tak się stanie. Wszystko będzie dobrze.

W końcu oboje zapadli w drzemkę i tuż po czwartej nad ranem obudził ich dźwięk otwieranych drzwi. Wrócił Vincent. Wysunął dla siebie krzesło i rzekł:

– Okej, wygląda to tak. Przesłuchaliśmy pana Price'a. Przyznaje, że odbyliście stosunek. Twierdzi, że za obopólną zgodą.

Do ust Maeve napłynął strach, gorzki i lepki.

– Ale tak nie było.

– Pani słowo przeciwko jego słowu. Proszę posłuchać.

– Vincent nachylił się ku niej. – Jest pani pewna, że nie dopadły pani wyrzuty sumienia? Ostatni raz, w imię dawnych czasów, a potem przestraszyła się pani, że mąż może coś zwietrzyć.

– Jestem pewna.

– Jest pani pewna, że chce to dalej ciągnąć? Iść z tym do sądu?

– Jestem pewna.

– Ponieważ to zniszczy mu życie. Tak żeby pani wiedziała.

Osiem dni później w ich mieszkaniu zjawił się policjant Vincent.

– Prokurator nie zamierza wnieść oskarżenia.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że prokurator uważa, że nie ma wystarczających dowodów, aby doprowadzić do skazania.

– Ale ja wiem, że są. – Maeve nie czuła ust, gdy mówiła.

– Ale to nie pani wszczyna postępowanie. To zadanie prokuratora.

– Więc... to znaczy, że nie będzie sprawy w sądzie?

– Zgadza się. Nie będzie.

Strasznie się jej bała, wiedziała, że będą ją wypytywać o życie

seksualne i udowadniać, że jest zdzirą; ale teraz, kiedy nie miało do tego dojść, miała wrażenie, że spada w przepaść. Musieli iść do sądu. Jak inaczej można to wszystko poukładać?

– Dlaczego? – Matt miał zaciśnięte zęby.

– Prokurator nie ma obowiązku podawać powodów.

– Chodzi panu o to, że uważacie, iż David jest niewinny? – Maeve strasznie kręciło się w głowie i bała się, że zaraz może zemdleć. – Uważacie, że to zmyśliłam?

– Chodzi mi o to, że prokurator nie uważa, że są wystarczające dowody.

– Więc... więc nic mu się nie stanie? – Twarz Matta była biała.

– Niewinny, dopóki wina nie zostanie udowodniona i tak dalej.

– Ale jak może zostać udowodniona, skoro sprawa nie trafi do sądu? Maeve i ja pracujemy w tej samej firmie, co on. Twierdzi pan, że on będzie tam dalej pracował, jakby nigdy nic?

– W oczach prawa nie zrobił niczego złego. – Policjant wstał i skierował się do wyjścia. – Czemu ten człowiek miałby stracić pracę?

– Chwileczkę. Nie, chwileczkę. – Maeve nie mogła pozwolić mu odejść, zanim zmieni zdanie. Ponieważ gdyby wyszedł teraz, zostawiając wszystko tak jak jest, zostaliby już z tym na zawsze. – Możemy się odwołać?

Uznał to za zabawne.

– Nie, nie możecie się odwołać. Decyzja prokuratora jest ostateczna i wiążąca. – Spojrzenie mu nieco złagodniało.

– Ale wie pani co, może dobrze, że tak się stanie. W tego typu sprawach strasznie dużo brudów lubi wychodzić na jaw.

Nikt jej nie uwierzył.

Zwierzyła się Yvonne, przyjaciółce z czasów szkolnych.

– David mnie zgwałcił.

– Jak mógł cię zgwałcić? Chodziliście kiedyś ze sobą. Już uprawiałaś z nim seks.

Zwierzyła się Natalie.

– David mnie zgwałcił.

– David nie musi nikogo gwałcić. To miły facet.

Zwierzyła się Jasmine, byłej współlokatorce.

– David mnie zgwałcił.

– To straszne, co mówisz. Mógłby cię za to pozwać.

Przestała się zwierzać.

Ale wracała do pracy. Za dwa tygodnie. Trzy tygodnie. Na początku przyszłego miesiąca. Kiedy się skończy jej dwumiesięczny certyfikat. Po lecie.

Zaczęły się ataki paniki. Za pierwszym razem nawet nie wiedziała, co to takiego. Wiedziała jedynie, z absolutną pewnością, że zaraz umrze. Serce zaciskało się spazmatycznie, nie mogła oddychać i myślała, że nie przeżyje intensywności swego strachu. Takiego strachu, jaki czuła na podłodze pokoju Davida, kiedy jego ramię tak łatwo przygniatało jej szyję.

Zaczęła bać się mężczyzn, ich wzrostu, siły, zwykłego spojrzenia w jej stronę.

Zbyt dużo jadła, zarówno ona, jak i Matt, zagłuszając uczucia masłem, cukrem i słodyczą. Przybrała na wadze, ale nie tyle, ile by chciała. Pragnęła zniknąć w pulchnym ciele, stać się w nim niewidzialna, tak żeby już nigdy nikomu się nie spodobała.

Nie była w stanie znieść własnej nagości, nawet sama. Dotyk innego człowieka, nawet Matta, pozbawiał ją tchu. Z Mattem uprawiali seks po raz

ostatni podczas podróży poślubnej.

Zatrzymała jej się miesiączka. Zaczęły wypadać włosy. Skóra na dłoniach się łuszczyła, dotknięta egzemą. Zasypiała tylko przy zapalonym świetle. Nim doczytała jakieś zdanie, zapominała jego początku. Rzadko się odzywała.

Jedyne, co czuła, to strach. Poza nim nic. Zupełnie jakby wtedy, kiedy wydostała się ze swego ciała tamtego wieczoru na podłodze u Davida, w ogóle do niego nie wróciła. Wszystko, co jej się przydarzyło... oglądała to niemal jak film. To się przytrafiło komuś innemu, innej Maeve, nie tej prawdziwej.

Nagle, po mniej więcej czterech miesiącach, sprawy zaczęły przybierać lepszy obrót i Maeve poczuła się na tyle pewnie, aby spróbować wrócić do pracy. Ale tego ranka, gdy Matt zawiózł ją na parking i zobaczyła wejście do budynku, ogarnęło ją tak wielkie przerażenie, że nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Nie była w stanie wysiąść z samochodu i Matt musiał ją odwieźć do domu. Zbyt szybko spróbowała i najlepiej było przełożyć powrót do następnego poniedziałku. Albo jeszcze następnego.

Nowy dom, tak postanowił Matt: oto rozwiązanie! Nowy początek w miejscu bez żadnych strasznych skojarzeń. Pełen energii i nadziei udał się do agencji nieruchomości, ale Maeve doszukała się wad w każdym mieszkaniu, które zaproponował, i cały entuzjazm Matta opadł, pozostawiając jedynie strach. Maeve miała rację. Lepsze znane niebezpieczeństwo niż nieznane. I musiał przyznać, że z bólem zostawiłby mieszkanie, które pełni nadziei kupili z myślą o wspólnym, małżeńskim życiu.

Był jeszcze jeden powód przemawiający za tym, aby zostali tam, gdzie są. Kwestią problematyczną stały się pieniądze. Po sześciomiesięcznej nieobecności pensja Maeve została obcięta o połowę; teraz, gdy minął rok,

w ogóle nie miała już do niej prawa.

No i jeszcze ogród – mały ogródek na Star Street 66, przylegający do ich mieszkania. To właśnie on podczas kupowania mieszkania stał się czynnikiem decydującym, dlatego że Maeve miała głowę pełną planów uprawiania naparstnic, marchewki i pomidorów.

– To takie proste! Zobaczysz, Matt. Nim się obejrzysz, będziemy samowystarczalni!

Teraz byli samowystarczalni, zgoda, ale w zupełnie inny sposób. Nie mieli nikogo z wyjątkiem siebie. Wszyscy przyjaciele – wszyscy! – się odsunęli, gdyż uważali, że Maeve stała się taka dziwna z tymi oskarżeniami o gwałt, upieraniem się, że a to ten mężczyzna patrzy na nią, a to tamten, i przesadnym dramatyzmem w stylu dyszenia i kiwania się w przód i w tył, i łapania się za serce. I to na dodatek w miejscach publicznych.

Życie towarzyskie Matta skończyło się, ponieważ Maeve nie była w stanie spędzić bez niego w domu całego wieczoru. Jakoś dawała sobie radę, kiedy miał spotkania służbowe, ponieważ wiedziała, że nie mają wyboru: tylko praca Matta ratowała ich przed życiem w nędzy.

Jedyną współczującą osobą był Alex, jego brat, ale w końcu nawet jego zmęczyła chroniczna niedostępność Matta.

– Musi się nauczyć być czasem sama – oświadczył bratu. – Pogarszasz sytuację, zawsze jej ustępując.

Choć odrzucenie przez ludzi, na których wcześniej mogli polegać, było bolesne, towarzyszyła temu dziwna ulga. Nie mieli już z tymi ludźmi nic wspólnego; ich zmartwienia wydawały się takie trywialne. Ku nieopisanej uldze Maeve udało im się utrzymać jej rodziców w niewiedzy na temat strasznych wydarzeń. Rodzice Matta także o niczym nie wiedzieli. Ale odgrywanie przy nich normalności było takie wyczerpujące, że nie dało się

tego robić zbyt często. Jej wyjazdy do rodziców stały się rzadsze, a dwa na trzy razy udawała chorobę, byle tylko nie musieć brać udziału w uroczystościach rodzinnych państwa Geary.

Oboje spalała myśl, że David jest wolnym człowiekiem, gdy tymczasem oni tkwią w więzieniu.

Matt pragnął go zabić. Naprawdę zabić. Prawie codziennie widywał go w pracy i fantazjował o tym, że udaje się za nim do domu, porywa z ulicy, wrzuca na tył vana, zabiera do ich mieszkania, gdzie go knebluje, wiąże i każe mu długo, długo cierpieć.

– Ja też o tym myślę – przyznała Maeve. – Wiedziałeś, że płatny zabójca kosztuje tylko dwa tysiące? Sprawdziłam w Internecie.

– Ja też.

Uznali jednak, że nie mogą tego zrobić.

– To by nas zniżyło do jego poziomu – rzekła Maeve.

– Nie obchodzi mnie to – stwierdził Matt.

Maeve w sumie także.

– Ale by nas złapano. Jesteśmy oczywistymi podejrzanymi. Wylądowalibyśmy w więzieniu. Nie możemy pozwolić, aby jeszcze bardziej zrujnował nam życie.

– Nie rozumiem, jak to możliwe, że inni nie biorą sprawiedliwości w swoje ręce i nie zabijają kolesia.

Matt odkrył rzeczy, o których nigdy dotąd nie myślał: że tylko jeden na dziesięć zgłaszanych gwałtów trafia na salę sądową, a wśród nich tylko sześć na sto kończy się skazaniem. No a te wszystkie gwałty, których nigdy nie zgłoszono, ponieważ dziewczyna za bardzo się boi? Gwałciciela? Policji? Te wszystkie gwałty niepotwierdzone, niepomszczone. Doprowadzało go to do szaleństwa. Jak to możliwe, że świat był równie normalny jak

kiedyś? Gdzie się skrywała ta cała wściekłość, niesprawiedliwość, ból i strach?

Kiedy Matt się przekonał, że Maeve nigdy nie wróci do Goliata, że nie musi zostawać, aby ją chronić, on także odszedł.

Wcześniej był zdecydowany, że nie odejdzie, że ten drań nie pozbędzie się go tak, jak Maeve, ale zmęczyło go drżenie z wściekłości podczas zebrań, drżenie tak wielkie, że nie był w stanie stukać w klawiaturę, kiedy David znajdował się gdzieś w pobliżu. Kwestią dumy był dla Matta fakt, aby nigdy nie okazywać słabości, w ogóle żadnej reakcji. W wyobraźni torturował go długo i straszliwie, ale w prawdziwym życiu prezentował obojętność. Pozory niewzruszenia to jedyne, co mu pozostało, pociecha cienka jak bibułka, ale zawsze jakaś.

A jeśli chodzi o Davida, to nie było po nim widać żadnych wyrzutów sumienia ani poczucia winy. Nigdy się nie odzywał bezpośrednio do Matta, ale szyderczy błysk w jego oczach mówił sam za siebie. „Zabrałeś mi ją, a ja wam wszystko spieprzyłem”.

Matt odszedł z Goliata na jeszcze lepsze stanowisko w Edios. Najwyraźniej nadal mógł wykonywać swoją pracę.

Zarówno Matt, jak i Maeve zaczęli brać antydepresanty, a potem zapisali się na cotygodniowe spotkania z dr Shrigley. Matt przestał na nie chodzić, gdy dr Shrigley próbowała nakłonić go do przyznania, że czasem wątpi w wersję Maeve.

Ale rzeczywiście wątpił. Czasami. Jakże być mogło inaczej? Wszyscy inni wątpili, a on był tylko człowiekiem. Bywało, że jej nienawidził. Irracjonalnie wściekał się na nią za to, że dała się zgwałcić, za to, że wszystko zniszczyła.

Minęły prawie dwa lata, nim Maeve poszła do pracy, którą zdobyła

tylko dzięki temu, że jako jedyna przystała na bardzo niską pensję. Uświadomiła sobie, że rozwiązaniem jest rutyna. Dzięki niej będzie bezpieczna. Wykonywała małe, przewidywalne kroczki, a czasami przed jej oczami pojawiał się obraz tego wszystkiego, co utraciła. Czy naprawdę była kiedyś tamtą osobą, beztroską i niewinną, która wszystkich kochała? Która witała świat z sercem na dłoni, jakby życie było wspaniałym, wielkim, soczystym, czerwonym jabłkiem, czekającym tylko, aż się w nie wgryzie?

Miała wszystko. Pod pozorem zwyczajnego życia udało jej się osiągnąć nirwanę. Była kochana i miała przyjaciół, pracę, zwykle, porządne szczęście. Ale to wszystko należało do przeszłości.

Śledzili Davida. Ale Matt nie wiedział, że Maeve to robi, a Maeve nie wiedziała, że Matt. Raz na jakiś czas, niezależnie od siebie, pojawiali się pod No Brainer z nadzieją, że może David okaże choć trochę skruchy, ale zawsze odchodzili, czując się jeszcze gorzej.

Nawet w najbardziej beznadziejnych czasach Matt doznawał czasem przypływu dawnego optymizmu i wpadał na pomysł, jak ich wyleczyć: zaczną jeździć konno albo na górskie wycieczki, albo grać w badmintona, albo – co miało miejsce najczęściej – przeprowadzą się.

Nic nie trwało zbyt długo i nic nie pomogło.

– Czas leczy rany – mówił czasami do Maeve. Tymczasem minęły trzy lata, a oni nadal czekali poranieni.

Dzień 1

Conall popędził Lydię po schodach i do sypialni. Rozpaczliwie jej

pragnął.

– Co pomyślałeś? – Lydia wyślizgnęła się z jego objęć.

– Kiedy zobaczyłeś Matta w wannie?

Conall zacisnął usta. Nie chciał o tym rozmawiać. Kiedy otworzył drzwi do łazienki, zamarł z przerażenia. Wszystkie mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa, a w łydkach poczuł skurcz.

Po oglądaniu w telewizji takich ilości krwi i wnętrzności spodziewał się, że coś takiego go nie ruszy, ale serial *CSI: Kryminalne zagadki Miami* nie był w stanie oddać potworności, jaką jest widok martwej osoby.

Wciąż to miał przed oczami: wanna wypełniona krwią Matta; purpurowe, wirujące w wodzie kłaczki; woskowa, pozbawiona życia twarz unosząca się na nieruchomej, czerwonej linii wody.

– Pomyślałem, że nie żyje – odparł.

Gdy stał w drzwiach tamtej łazienki, miał wrażenie, jakby Ziemia przestała się obracać, a do przerażenia dołączył żal, przemożne poczucie straty z powodu zmarnowania życia młodego człowieka.

W swoim czasie Conall żył naprawdę intensywnie: jeździł drogimi samochodami z karygodnie bezmyślną prędkością; w pracy podejmował ryzyko, które mogło kosztować miliony; doświadczył ogromnego piękna – dziewczyny jak z okładek magazynów, bezcenne dzieła sztuki, najbardziej malownicze miejsca na ziemi. Ale w tamtej nieskończenie długiej chwili zrozumiał, że prawdziwą wartość życia poznaje się dopiero wtedy, kiedy staje się twarzą w twarz ze śmiercią. Życie wydało mu się tak potwornie cenne, że miał ochotę wyć.

– Pomyślałeś, że nie żyje? – zapytała Lydia. – Poważna sprawa.

– Już po wszystkim. – A przynajmniej taką miał nadzieję, lecz jego łydki ponownie złapał skurcz. Wyciągnął rękę do Lydii, ale ona cofnęła się

przed nim.

– Dlaczego zawołałeś Katie? – zapytała. – Żeby ci pomogła?

– Bo... to było oczywiste?

– W jakim sensie oczywiste?

– Zna się na udzielaniu pierwszej pomocy.

– Posiadanie siedmiu różnych wersji Savlonu nie czyni z nikogo sanitariusza. Zapytałam ją o to w tej waszej tak zwanej Latającej Butelce. A tak w ogóle to dzięki. Wasz prywatny żart, czemu go sobie nie przypomnieć, no nie? Tak czy inaczej gówno wie na temat pierwszej pomocy.

Conall wyglądał na lekko zdziwionego.

– Do czego zmierzasz?

– Byłeś przerażony, bardzo, bardzo przerażony, i to Katie chciałeś mieć przy sobie.

Przewrócił oczami.

– O nie – rzekła. – Nie rób mi tego. Nie jestem jedną z twoich frajerek.

– Wiem, że nie jesteś jedną z moich frajerek.

– Nie. To ja wiem, że nie jestem jedną z twoich frajerek.

– Okej – powiedział z przesadną cierpliwością. – Ty wiesz, że nie jesteś jedną z moich frajerek.

– Do ciebie to nie dociera, prawda?

Wpatrywał się w nią i wtedy coś mu kliknęło w głowie.

– Zrywasz ze mną?

– Na miłość boską, w końcu załapałeś. Masz tupet, że przyprowadzasz mnie tutaj, aby uprawiać seks, a tak naprawdę to Katie pragniesz.

– Nie pragnę jej. Pragnę ciebie.

Zniknęła w łazience, a po chwili wyłoniła się z niej z naręczem butelek

– szampon i tym podobne – i wrzuciła je do torby.

– Co ty robisz?

– Zabieram swoje rzeczy.

– Dlaczego?

– Bo odchodzę, tępaku. Na wypadek, gdybyś musiał komuś wyjaśniać, co się dzieje: zerwałam z tobą. I nie, nie możemy być przyjaciółmi. Ty tak właściwie z nikim się nie przyjaźnisz, prawda? To kolejna rzecz, którą powinieneś się zająć. Będę ci obsmarowywać tyłek przy każdej nadarzającej się okazji. Jeśli po mieście zaczną krążyć plotki, że masz przedwczesny wytrysk, to ja będę osobą, która je rozpuści.

Otworzyła szafkę przy łóżku, wyjęła z niej paczkę prezerwatyw i wsunęła do kieszeni dżinsów.

– Moje – powiedziała.

Omiotła sypialnię ostatnim, pełnym pogardy spojrzeniem, sprawdzając, czy czegoś nie zapomniała, po czym wypadła z pokoju i zbiegła szybko po schodach.

Dom zadygotał, kiedy zatrzasnęła za sobą drzwi. Conall automatycznie sięgnął po BlackBerry. O co Lydii chodziło? Strasznie była napastliwa. Jak takiej osobie można przemawiać do rozsądku? Zawołał Katie, bo to było oczywiste. Była kompetentna, była dorosła, wiele rozumiała, była... no, po prostu oczywista.

Dostał cztery nowe e – maile i przeczytał je łapczywie, klikając szybko od jednego do drugiego, ale tym razem to nie zadziałało. Nie czuł się zbyt dobrze, wszystko wydawało się nieco surrealistyczne. Nieprzyjemne. Włączył *Nebrascę* Bruce'a Springsteena, ale było w tym tyle smutku, że przełączył na Sex Pistols. Jednak rozszalała gitara też mu nie pasowała. Może *Madame Butterfly,* ale po dwóch minutach słuchania o bolesnym

porzuceniu nagle do jego oczu napłynęły łzy – Nie mógł na to pozwolić! Zaniepokojony wyłączył muzykę. Cisza była bezpieczniejsza.

Leżał na olbrzymim łóżku, wpatrując się w ścianę. Po jakimś czasie zaczął się zastanawiać, czy nie powinien zadzwonić do Katie. Żeby się dowiedzieć, co z Mattem.

Wtedy dotarło do niego, że powinien dzwonić do Lydii – przepraszać, wyjaśniać i tym podobne. Conall wiedział, że takie są zasady. Nie powinno się woleć byłej dziewczyny od obecnej. Ale on nie wolał Katie. To była sytuacja wyjątkowa, na litość boską: ktoś umierał, trzeba było coś zrobić, w dodatku szybko. Do tego nadawała się Katie.

Niechętnie przyznał, że może Lydia ma rację. Może to ją powinien był zawołać. Ale ona była taka twarda, a tym, co wtedy potrzebował, w tamtej chwili, kiedy się wydawało, że przerażenie weźmie górę... tym czymś była miękkość.

Dzień 1…

– Do poduszki – powiedziała pielęgniarka. – Proszę to robić do poduszki, inaczej będę musiała panią wyprosić.

Maeve uniosła głowę. Twarz miała rozpaloną i podrażnioną od soli, a oczy tak spuchnięte, że ledwie widziała. Dopadł ją kolejny spazm niekontrolowanego szlochu.

– Poduszka! Są tu inni ludzie. Oni są także zdenerwowani.

Maeve zgięła się w pół i skryła twarz w poduszce, która pojawiła się nie wiadomo skąd, i zapiszczała:

– Jak mogłeś mi to zrobić? Jak mogłeś zostawić mnie zupełnie samą? Nigdy ci tego nie wybaczę.

Kiedy w końcu dotarło do niej, co zrobił Matt, wylądowała z głuchym uderzeniem w swoim ciele, z powrotem w Maeve. Towarzyszyło temu uczucie, jakby leciała samolotem i zatykały jej się uszy. Była żywa, udręczona bólem i oszalała z wściekłości.

Wokół łóżka Matta rozstawiono czerwony parawan, aby zapewnić im nieco prywatności. Maeve siedziała obok na twardym, szpitalnym krześle. Nadgarstki miał pozszywane, zaklejone i owinięte nieskazitelnie czystymi białymi bandażami; przetoczono mu cztery litry krwi i dwa litry elektrolitów. Rurkami był podłączony do kroplówek i zielonych pikających monitorów. Zajrzał śmierci w oczy, ale będzie żyć.

– Ależ ty mnie musisz nienawidzić, skoro to zrobiłeś!

Oczy miał zamknięte, wyglądał na nieprzytomnego, ale Maeve uważała, że udaje.

– Gdy tylko cię stąd wypiszą, idziesz prosto do domu i zabierasz swoje rzeczy. – Oderwała twarz od poduszki, nie mogąc się powstrzymać. – Idź do hotelu, wprowadź się do rodziców. – W gardle czuła krew. – Mam to gdzieś.

– Poduszka!

Fionn chodził tam i z powrotem po szpitalnym parkingu. Oddział ratunkowy przypominał poczekalnię w piekle, z mnóstwem rannych osób, płaczących i jęczących, wiodących za sobą całe świty. Ktoś ustąpił Jemimie miejsca, ale on musiał stać. Co nie znaczy, że byłby w stanie siedzieć, za bardzo był wzburzony. A właściwie to rozgniewany. Po pierwsze na Jemimę, za to, że nalegała, aby jechał z nią do szpitala, zostawiając Katie z tym zaborczym Conallem. A po drugie na Maeve, za to, że traktowała go jak antychrysta. W którymś momencie wieczornych, dramatycznych wydarzeń dotarło do niego, że uczucie, które pojawiało się na twarzy Maeve na jego

widok, to nie podziw. To strach. Przemożny, paraliżujący strach. Czuł się głupio, a nawet był urażony faktem, że sądził, iż Maeve za nim szaleje. No a dlaczego tak się nie działo? Wszyscy inni go kochali.

Czekali tu już całe wieki. Nie miał pewności, jak długo, ale zdążyła zapaść ciemna noc.

Miał tego dość.

Wparował do poczekalni. Ktoś wył jak potępieniec. Maeve, jeszcze jej nie przeszło. Umieszczą ją w psychiatry – ku, jeśli nie będzie się pilnować.

– Co przegapiłem? – zapytał Jemimę. – Umarł czy co?

– Nie, na pewno ucieszy cię wiadomość, że będzie żył.

– No to czemu ona dalej tak krzyczy?

– Jest zrozpaczona.

– Nie mogą jej czegoś dać?

– Mnie pytasz? Obawiam się, że nie studiowałam medycyny.

A to zgryźliwe babsko!

– Jemima, chodźmy stąd.

– Maeve potrzebuje, aby ktoś z nią był.

– Ona nawet cię tu nie chce. – Wcześniej Maeve odtrąciła Jemimę, kiedy ta próbowała ją pocieszać.

– To, czego Maeve chce, a czego Maeve potrzebuje, to dwie zupełnie inne rzeczy.

– A ona w ogóle wie, że nadal tu jesteś?

– Ja wiem, że tu jestem.

Boże, Jemima potrafiła być naprawdę irytująca.

– Kiedy minie burza, a minie, możliwe, że ją ucieszy moje towarzystwo. Ale ty jedź do domu, Fionn. Nic mi nie będzie. Dziękuję, że przyjechałeś tu ze mną.

– No więc co? Będziesz czekać, aż przestanie krzyczeć? Raczej się na to nie zanosi. Może darowałabyś sobie te dobre uczynki, Jemimo? W twoim wieku?

Jemima uśmiechnęła się blado.

– Możliwe, że nie będę mieć więcej ku temu okazji.

– Ty? – prychnął. – Przeżyjesz nas wszystkich.

– Może i nie, serdeńko. – Zawahała się. – Fionn, pamiętasz to moje małe starcie z rakiem?

– To było wiele lat temu.

– Cztery...

– I teraz jesteś zdrowa.

– No, chodzi o to, że...

– Słuchaj, skoro jesteś pewna, że zostajesz, to ja się stąd zmywam.

Przeskakując po trzy stopnie naraz, Fionn błyskawicznie znalazł się na samej górze. Jacyś ludzie zakładali już nowe drzwi do mieszkania Matta i Maeve. Conall, Pan Myślę – o – Wszystkim, można się porzygać.

Katie czekała przy otwartych drzwiach.

– No i? – Widać, że wcześniej płakała.

– Będzie żyć.

– Dzięki Bogu, och, dzięki Bogu. A jak się trzyma Maeve?

– Powiedz mi coś. – Jego zranione uczucia wydostały się na powierzchnię. – Co ja jej takiego zrobiłem? O co jej chodzi?

Katie wpatrywała się w niego.

– Coś się musiało wydarzyć. To oczywiste. Coś, co ma związek z mężczyzną lub mężczyznami. Uważamy, że może została... zgwałcona. Nie możesz brać tego do siebie.

– No tak. Chyba nie.

– Równie mocno bała się Conalla.

Musiał zamknąć oczy.

– Porównujesz mnie do niego?

Minęło kilka sekund, po czym Katie wzięła go za rękę i zaprowadziła do salonu.

– Fionn, daj spokój. To był koszmarny wieczór. Wszyscy jesteśmy roztrzęsieni.

– Okej – mruknął. – Co straciłem?

– Niewiele. Byłam z resztą na szybkim drinku w Latającej Butelce.

– Jaką resztą?

– Z Conallem, Lydią i Sissy.

– Chwileczkę. Byłaś tam z Conallem?

– I Lydią, i Sissy.

– Dlaczego?

– Bo byliśmy zdenerwowani. Bo chcieliśmy się napić.

– I uznałaś, że możesz z nim wyjść, mimo że jest twoim byłym chłopakiem? I mimo że na oczach wszystkich robił wszystko, abym wyglądał jak jakiś dręczyciel kobiet?

– Fionn... – Objęła go. – To był pokręcony, koszmarny wieczór. Wszyscy jesteśmy wytrąceni z równowagi. Usiądź. No chodź. Z Jemimą wszystko w porządku?

– Z Jemimą? Jak najbardziej.

Dał się zaprowadzić na sofę, ale gdy tylko usiadł, poczuł się jak w pułapce.

– Wyjdźmy gdzieś.

– Co? Teraz?

– Tak. Teraz. W Residence jest jakaś impreza promocyjna.

– Nie chcę nigdzie wychodzić. – Katie wydawała się zaszokowana. – Nie mogłabym.

– A to czemu?

– Bo ktoś prawie umarł, i to niemal na naszych oczach. Jestem cala roztrzęsiona. Nie potrafiłabym być wesoła i rozgadana. Potrzebuję trochę spokoju.

– Kilka drinków?

– Fionn... nie.

– Byłaś wystarczająco wesoła, żeby iść na drinka z Conallem.

– Fionn.

– Więc naprawdę nie chcesz dzisiaj wyjść?

Katie przechyliła głowę na bok i wpatrywała się w niego. Próbował odgadnąć, co ona myśli. Wyglądała na przestraszoną. Wyglądała na skołowaną. Wyglądała – o dziwo – na zasmuconą.

– Nie, Fionn – rzekła. – Ale ty idź. Baw się dobrze.

Chryste przenajświętszy. Bicie ich serc kompletnie się pochrzaniło. Wcześniej byli jednością, idealnym wspólnym rytmem, ale ta cała sprawa z Mattem nimi zatrzęsła i rozdzieliła, i to zmieniło ich sercowe wibracje. Serce Fionna przyspieszyło, wybijając niespokojny, naglący rytm, serce Katie zostawiając z tyłu.

No to się porobiło. Wszystkie trzy pary rozstały się, a mnie został niecały dzień.

Dzień zero (bardzo wcześnie)

Pozostało 5 godzin

– Przepraszam – wychrypiał Matt, budząc Maeve z niespokojnej drzemki.

– Och, a więc żyjesz. Przykro mi. To nie ja uratowałam ci życie. Ja pozwoliłabym ci umrzeć.

– Maeve, bardzo, bardzo cię przepraszam. – Po policzkach spływały mu łzy i wyglądał na zrozpaczonego. – Ale nie byłem w stanie ci pomóc. Nic nie było w stanie pomóc.

– Nie zrzucaj winy na mnie.

– Moja osoba przypominała ci o tym, co się wydarzyło. I przez cały czas pragnąłem go zabić. Na okrągło buzował we mnie gniew i byłem tym wykończony.

– A co? Myślisz, że mnie się to podobało?

– Nie powinienem był tego robić. Wtedy inaczej myślałem. Byłem u kresu sił. Czułem, że w ogóle nie jestem ci przydatny.

– Nie jesteś. Wypuszczą cię stąd o siódmej. Przyjedź do domu. Ja zacznę już pakować twoje rzeczy.

– Gdzie pójdę?

– A co mnie to obchodzi? Byłeś zdecydowany umrzeć, nie proś mnie więc o to, abym ci mówiła, gdzie masz mieszkać.

– Jak się dostanę do domu?

– Autobusem. Albo taksówką.

– Nie zaczekasz na mnie?

– Nie.

Lydia wjechała na krawężnik.

– Wysiadka – poleciła.

– Ale jeszcze nie dojechaliśmy – odparł pasażer, młody mężczyzna.

– Mówiłam. Ostrzegałam. Jeśli nie przestaniesz śpiewać piosenek Neila Diamonda, to cię wysadzę. Nie przestałeś, więc wysiadka. Już!

Mruczał pod nosem coś o szalonych jędzach, niemniej jednak zrobił to,

co mu kazała. Lepiej przez jakiś czas nie brać żadnego nowego klienta. Nie, gdy była w takim nastroju.

Ale ten Hathaway to miał tupet. To oczywiste, że nadal szaleje za tą guwernantką. Powodzenia, krzyżyk na drogę i w ogóle. Pasowali do siebie wiekiem, oboje strasznie starzy i Lydia się tym nie przejmowała, nigdy jej na nim jakoś szczególnie nie zależało; w sumie to była tylko zabawa. Tyle że, kurde, ale miał tupet...

Mówiła do siebie. Niedobrze. Rozejrzała się; gdzie się konkretnie znajdowała? Przestała to rejestrować w trakcie słuchania *Sweet Caroline.* Okej, była na Parkgate Street. Dość blisko kafejki Eugene'a. Zajrzy tam, uzupełni niedobór cukru i powymyśla na pasażerów.

– Pączki? – zapytała Eugene'a. – Masz z kremem budyniowym?

– Pewnie, że mam.

– Zacznę od dwóch. I możliwe, że wrócę po więcej. Rozejrzała się za wolnym miejscem i...

Chwileczkę, może nie wszystko stracone, ponieważ...

... na drugim końcu zaparowanej kafejki siedział nie kto inny jak Biedny Palant vel Gilbert.

Nie znajdował się na górze mojej listy kandydatów, ale na tym etapie gry nie mam zbyt wielkiego wyboru.

Ich spojrzenia się skrzyżowały i Gilbert ruszył w jej stronę. No i podszedł. Te rzęsy. Te modne ciuchy. Ten głos.

– Hej, Lydia.

– Hej, Gilbert.

– Co u ciebie? – Wyglądał na zmieszanego.

– W porządku. A u ciebie? – Zakładała, że sama pewnie też wygląda na zmieszaną.

– Świetnie.

– Dawno cię nie widziałam. – „Odkąd cię zdradziłam”.

– To prawda. – „Odkąd się przyznałem do tego, że cię zdradzam”.

– Jak tam chłopaki?

– Dobrze.

– Nadal się zabijają z powodu drzewek zapachowych?

– Co? Och? Ostatnio nie tak często.

– Naprawdę? – Kiedyś tak bardzo się o nie kłócili. To była taka ważna część ich życia. Cóż, pomyślała, wszystko się przecież zmienia. – Pozdrów ich ode mnie.

– Jasne. Biznes idzie dobrze?

– Świetnie. A tobie?

– Też. – Chwila milczenia. – No, Lydia... – Otworzył szeroko oczy i rozłożył ręce. Wydawał się zaskoczony tym, że nie ma nic więcej do powiedzenia. – Trzymaj się.

– Ty też.

Odwrócił się i zaczął się od niej oddalać, lecz nim zniknął z jej życia na zawsze, zawołała:

– Chodź tu, Gilbert, chcę cię o coś zapytać.

Wyglądał na lekko zaniepokojonego.

– O co?

– Masz w Lagos żonę i sześcioro dzieci?

Zaśmiał się głośno, błyskając śnieżnobiałymi zębami.

– Ja? Żonę? Dzieci? Nieeee, Lydia.

– Poppy będzie rozczarowana. – Szybko zadała kolejne pytanie: – Masz alergię na jajka?

Zbyt szybko. Nie miał czasu przygotować gładkiej odpowiedzi.

– ... Ach... nie.

– No to czemu mówiłeś, że masz, ty idioto?

Przez chwilę autentycznie się zastanawiał. Wzruszył ramionami.

– Czasami życie samo w sobie to za mało. Jeśli prawda nie jest interesująca, muszę... no wiesz?

– Może, tak.

Nagle zauważyła, że czterech mężczyzn zwalnia stolik.

– Ja go biorę! Pa. – Wystrzeliła przed siebie, rzuciła torbę na jedno krzesło, bluzę na drugie, a sama siadła na trzecim, mając nadzieję, że zniechęci przypadkową osobę do pytania: „To miejsce jest wolne? ”.

– Eugene! – zawołała w stronę lady. – Tu siedzę. I czekam na pączki.

I wtedy ze światem wszystko już było dobrze: miała miejsce siedzące, zaraz pojawi się cukier, nikt nie śpiewał piosenek Neila Diamonda. Nie widziała, że drzwi się otwierają i zamykają za Gilbertem. Przystojnym facetem w ciut absurdalnej marynarce, który kiedyś był jej chłopakiem.

Już zdążyła o nim zapomnieć.

– Chwileczkę, serdeńko! – Jemimie udało się zatrzymać Maeve, gdy ta wyszła chwiejnym krokiem zza czerwonego parawanu i kierowała się ku wyjściu. – Wychodzisz?

– Tak.

– Bez Matthew?

– Matthew próbował się zabić. Matthew dał jasno do zrozumienia, że nie chce być ze mną.

Jemima uznała, że sarkazm tej dziewczynie nie pasuje. Była zbyt słodka, aby kogoś nabrać na tę pozę. Krzyki i butny krok, ale mało przekonujące.

– Koniecznie musimy porozmawiać, Maeve. Jesteś rozgniewana i uważasz, że zostałaś zdradzona, ale musisz poznać pewne fakty. A mianowicie: mężczyźni najczęściej popełniają samobójstwo przez powieszenie. Innymi słowy to niemal pewne, że Matthew chciał, aby go znaleziono.

Maeve patrzyła kamiennym wzrokiem przed siebie.

– Nigdy mu nie wybaczę.

– Naprawdę, serdeńko, taki melodramat. Jeśli się nad tym zastanowić, to on musiał coś zrobić. Ile jeszcze lat zamierzaliście spędzić na sofie, oglądając tę przeklętą telewizję i jedząc ciastka?

Na twarzy Maeve pojawił się szok.

– Tak, prawda jest bolesna, Maeve. Ale staw czoło faktom. Tkwiliście w martwym punkcie. Coś się musiało wydarzyć. I nie mów mi, że sama też nie miałaś myśli, żeby skończyć ze sobą.

– Ale! Skąd...?

– Byłaś zrozpaczona – odparła spokojnie Jemima.

– Tak się dzieje ze zrozpaczonymi ludźmi, kiedy wszystkie drzwi są zamknięte, a ucieczka wydaje się niemożliwa.

Maeve zapytała z ciekawością:

– Miała pani myśli samobójcze?

– Ja? O nie, serdeńko. Niestety, nie mam w sobie takich skłonności. Mogę się tylko domyślać, że to kwestia genów. A w swoim czasie ja też otrzymałam od życia porcję nieszczęść. Giles i ja pragnęliśmy mieć własne dzieci, ale nie dane nam było. Zrozumiałą reakcją byłaby rozpacz, ale nie, ja się nie poddałam. Gotowałam zupę biednym i tym podobne. – Popadła w zadumę, ale po chwili wróciła do rzeczywistości. Klasnęła w dłonie. – No dobrze, ty i Matthew! Musicie mieć dziecko.

Po długim, niemal wrogim wpatrywaniu się w starszą Panią Maeve zapytała:

– Dlaczego?

– Jest cale mnóstwo powodów. Relacje między wami musiałyby ulec naprawie. Czułabyś potęgę swego ciała zamiast jego bezbronności. Mielibyście kogoś do kochania, oprócz samych siebie. Dziecko pozwoliłoby odzyskać skradzioną wam niewinność.

Maeve dopiero po chwili się odezwała:

– I to wtedy... tak jakby cofnie wszystko, co się wydarzyło?

Młodzi ludzie? Skąd oni brali przekonanie, że życie działa według takich zasad? Łagodniejszym tonem odpowiedziała:

– Co się stało, to się nie odstanie. Nie da się tego cofnąć. Jesteś inna, Matthew jest inny, ale musicie się z tym po prostu pogodzić.

Maeve musiała pomyśleć.

– A więc dziecko? To właśnie widzisz w mojej przyszłości? Widzisz to, jak mówiła Sissy?

Orety. Te młode dziewczęta i ich wiara w mistyczne to i paranormalne tamto i zupełny brak wiary we własną autonomię. Cóż, skoro tak trzeba...

– To właśnie widzę. Masz wybór, Maeve. Możesz pójść na dno albo walczyć... – Nagły paroksyzm bólu w okolicach wątroby sprawił, że Jemima aż się zgięła w pół.

– O rety! – wykrzyknęła Maeve. – Co się dzieje? Dobrze się pani czuje?

– Doskonale. To tylko ból brzucha. Pewnie przez to całe rozemocjonowanie.

– Chce pani usiąść?

– Nie, dziękuję ci, serdeńko. Muszę jechać do domu. Ale błagam cię,

poczekaj na Matthew. Jest czwarta trzydzieści, a jego wypuszczą za dwie i pół godziny. Nie możesz tyle zaczekać?

Maeve przygryzła wargę. Nie chciała już robić niczego dla Matta, ale ból brzucha Jemimy sprawił, że nie chciała jej się przeciwstawiać.

– Zapewniam cię... – Jemima dyszała, gdy nadszedł kolejny paroksyzm bólu. – Zapewniam cię, Maeve, że pewnego dnia znowu będziesz szczęśliwa. Twoje życie stanie się lepsze.

– Będzie takie jak kiedyś?

Jemima westchnęła.

– Nie da się wrócić do przeszłości. Ty też to wiesz.

– Co mam więc zrobić?

I czemu im się wydawało, że Jemima zna odpowiedzi na wszystkie pytania?

– ... Może dałabyś radę... żyć dalej?

4 godziny

Rzeka krwi, przez którą brnął. Wirowała mu wokół nóg, a on próbował się jej oprzeć, jednak prąd był zbyt silny i – Conall się obudził. Miał straszny sen, ta cała krew i... Teraz już nie spał. Serce waliło mu jak młotem, ale leżał we własnym łóżku, wszystko było dobrze. Zobaczył na zegarku, że jest czwarta czterdzieści pięć, mógł więc jeszcze spokojnie zasnąć. I wtedy pomyślał: „Wanna".

Nadal była pełna krwi Matta. Kiedy on i ten kutas Fionn ostrożnie wyjęli z niej śliskie ciało Matta, żaden z nich nie miał wystarczająco odwagi, aby zanurzyć rękę w czerwonej wodzie i wyciągnąć korek. Maeve nie mogła wrócić do domu i tego zobaczyć. Możliwe, że już zdążyła wrócić,

ale Conall musiał tam jechać, bo może nie jest jeszcze za późno. Na myśl o powrocie do tamtego strasznego pomieszczenia zaprotestowały wszystkie mięśnie, ale trzeba to było zrobić.

Ociężale i niemal ze smutkiem zaklaskał w dłonie i w pokoju zrobiło się jasno. Obiecał sobie solennie, że zlikwiduje to głupie światło i wróci do zwykłego włącznika. Nawet kiedy był sam, przez to klaskanie czuł się absurdalnie. Otworzył szafę i wyjął pierwsze z brzegu dżinsy, a potem pogrzebał w niej, szukając jakiejś koszuli albo T – shirta, który mógłby spokojnie poplamić. Wszystkie ubrania miał drogie, a zresztą jakie to miało znaczenie?

Katie raptownie się obudziła, a przez jej głowę w przyspieszonym tempie przelatywały potworności minionego wieczoru: klucz w zamku, wyważone drzwi, Conall wchodzi do mieszkania, wołają i – najstraszniejsze – widok Matta, leżącego bez życia w czerwonej wodzie. Choć mogło minąć najwyżej kilka sekund, miała wrażenie, że całymi godzinami stała w drzwiach, próbując pojąć tę makabryczną scenę. Matt? Matt?! Młody, pogodny, uśmiechnięty Matt, ten Matt? Co on robił, pobladły i bez życia, w tej wannie pełnej własnej krwi... „Wanna”, pomyślała. To właśnie ją obudziło.

Ta woda nadal w niej była? Jeśli tak, to trzeba ją wypuścić i umyć wannę, a zakrwawione ręczniki, które zostały na podłodze, przed powrotem Maeve trzeba wyprać. Spuściła nogi na podłogę – i wtedy to sobie uświadomiła: w łóżku nie było Fionna. Wyszedł na miasto i wygląda na to, że nie wrócił. Kiedy wypadł z jej mieszkania, Katie nie chciała – niemal się bała – iść do łóżka. Skuliła się na sofie i oglądała w telewizji jakieś badziewie, czekając na jego powrót. Powiedziała sobie, że jeśli wróci, zanim ona położy się spać, to wszystko będzie dobrze. O drugiej w nocy było jej

tak zimno i dziwnie, że weszła pod kołdrę, obiecując sobie, że nie zaśnie. Żywiła przesądne przekonanie, że jeśli zaśnie, to stanie się coś niedobrego. Ale musiała jednak zasnąć, ponieważ zegarek pokazywał piątą rano, a Fionna nadal nie było. W sumie mógł spać na dole u Jemimy, ale już samo to źle by wróżyło. Od wielu tygodni nie spędził tam ani jednej nocy.

Prawdziwe życie w końcu ich dogoniło, oto, co się stało. Przez kilka tygodni uprawiali z nim żywiołowy taniec, podskakując ze śmiechem, radośnie pozostawiając je w tyle, świetnie się bawiąc. Ale Katie przez cały ten czas przygotowała się na coś takiego. Przewidywała, że albo program ogrodniczy odniesie sukces i Fionnowi uderzy do głowy woda sodowa, albo program skończy się fiaskiem i Fionn wróci do Pokey. Nie do końca stało się tak, jak przewidywała; sukces się nie pojawił, ale i tak uderzyła mu sodówka.

I wystarczyło jedno nieprzyjemne zdarzenie, aby się okazało, jak mało zapewniają sobie nawzajem wsparcia.

Nie potrafiła wyrzucić z myśli, jak lekceważąco traktował Jemimę ani jego braku empatii względem Maeve, ale nie potrafiła go także znielubić – a przynajmniej nie w tej chwili; kto wie, co będzie czuć za godzinę, jutro czy za tydzień?

I szczerze mówiąc, była wykończona: piciem, seksem i nocnymi błazenadami. Cerę miała w stanie godnym pożałowania, od tygodni nie robiła prania, a obijaniem się w pracy przekroczyła wszelkie granice przyzwoitości.

A skoro mowa o pracy, nie podobało jej się to, że zaczęła traktować Fionna jak jednego ze swoich artystów. Obiecując mu, że wszystko będzie dobrze, traktując protekcjonalnie.

Uderzyła ją dziwna myśl – zdecydowanie dziwna jak na kobietę z jej

stosunkiem do jedzenia – że bycie z Fionnem jest jak jedzenie przez cały czas czekolady: teoretycznie fantastyczne, ale raz na jakiś czas człowiek ma ochotę na coś zwyczajnego.

Na krześle leżała bluza z kapturem, więc wciągnęła ją na piżamę. Do tego buty na średnich obcasach – czuła się nieco zbyt niepewnie na klasyczne, dwunastocentymetrowe szpilki. Z szafki pod zlewem wyjęła środek czyszczący, gumowe rękawice i dwie gąbki, po czym zeszła po cichu na parter. W świetle ulicznych latarni zobaczyła, że wstawiono już tymczasowe drzwi z płyty MDF. A na stoliku na listy leżały dwa komplety lśniących, nowych kluczy.

Jedyne, co musiała teraz zrobić, to wziąć jeden z nich i otworzyć drzwi, ale nagle coś ją przed tym powstrzymało. Przedziwny impuls kazał jej otworzyć drzwi, ale te na ulicę, ponieważ na progu będzie czekał Conall Hathaway.

Przekręciła gałkę, pchnęła drzwi, a na progu stał...

– Conall?

– Katie?

Tyle dziwnych rzeczy się dzieje, pomyślała. Nie nadążam za wszystkimi.

– Jest piąta rano – powiedziała.

– Piąta piętnaście. – Spojrzał na zegarek, po czym powiedział ze zdumieniem: – Miałem zadzwonić do ciebie domofonem, żebyś mnie wpuściła. Zobacz. – Pokazał dłoń.

– Właśnie miałem wcisnąć guzik z twoim nazwiskiem. A ty... się zmaterializowałaś.

– Musiałam chyba usłyszeć twój samochód – odparła słabo Katie. – Szukasz Lydii?

– Jest w pracy. – Cóż, to całkiem możliwe, nigdzie nie widział jej samochodu. Nie zamierzał mówić Katie o ich rozstaniu. – Jakieś pół godziny temu obudziłem się nagle i moją pierwszą myślą było: „Wanna”.

– Ja też. – Katie pokazała na środki czyszczące. – Nie chciałam, aby Maeve...

– ... wróciła do takiej łazienki...

– ... pomyślałam więc, że zejdę i...

– ... wypuszczę wodę z wanny i...

– ... trochę posprzątam.

Uśmiechnęli się do siebie niepewnie.

– Ładne buty – powiedział.

– Jakieś standardy trzeba zachować. A co ty masz na sobie? – Dotknęła opuszkami palców jego czarnego swetra.

– Kaszmir? Do sprzątania?

– Nie mam pojęcia, co to jest – odparł. – Coś musiałem włożyć. No i co z tego, jeśli pobrudzę się krwią?

Kiwnęła ponuro głową.

– Wiem, co chcesz przez to powiedzieć. Po czymś takim patrzy się na wszystko z innej perspektywy, no nie? Ale jemu nic nie będzie. Fionn mówi, że przetoczono mu cztery litry krwi i że rano wyjdzie ze szpitala.

Conall skinął głową.

– Znałaś go? Matta?

– Tylko z widzenia. A ty?

– Tak samo. Pomyślałem, że Maeve mogła już wrócić do domu.

– Fionn mówił, że o północy była jeszcze w szpitalu...

– ... a klucze leżą tutaj...

– ... więc chyba możemy wejść...

Otworzyli drzwi i weszli do cichego mieszkania. Skierowali się od razu w stronę łazienki. Conall pchnął czubkami palców drzwi, a te otworzyły się i ich oczom ukazała się wanna pełna krwi. Bardziej czerwonej i jeszcze bardziej szokującej, niż zapamiętał.

Przełknął głośno ślinę.

– Trzeba wyciągnąć korek.

Wymienili spojrzenie.

– Ja to zrobię – powiedziała Katie.

– Nie, ja...

Katie wykonała dwa kroki, włożyła rękę, pociągnęła i natychmiast rozległo się bulgotanie spływającej wody.

– Proszę bardzo. – Próbowała się uśmiechnąć. – Zrobione.

– ... Ach... dzięki. Chryste, jesteś niesamowita. – Podał jej ręcznik, aby wytarła rękę.

Wzruszyła ramionami, nieco zażenowana.

– Nie zrobiłam nic nadzwyczajnego.

– Ja nie chciałem tego robić.

– Nie sądzę, aby ktokolwiek rzeczywiście chciał to robić.

– Myślałem, że nie żyje. – Głos miał schrypnięty. – Kiedy tam wszedłem... To było straszne. Nigdy tego nie zapomnę.

– Najdziwniejsze było to, że nie wiedziałam, na co patrzę. Nie byłam w stanie tego pojąć.

– Wiem, o co ci chodzi.

– Na przykład dlaczego woda jest taka czerwona.

– Tak, i dlaczego Matt wygląda tak... wiesz? Człowiek nie jest przygotowany na takie rzeczy.

– Nie jest. – Pełna była empatii. – To najgorsze, co w życiu

widziałam. Boże... – Po jej twarzy zaczęły spływać ciche łzy.

– Nie płacz! – Conall niepewnie położył dłoń na jej ramieniu, a kiedy dalej płakała, przyciągnął ją niezgrabnie do siebie. – Nic mu nie będzie.

– Ale to takie smutne. – Pozwoliła sobie, tylko na chwilę, wtulić się w miękkość jego swetra. – Przez co oni musieli przejść? Aby dojść do takiego punktu?

Oparł brodę na jej głowie, a ona płakała mu w sweter. Kiedy minęły najgorsze łzy, odsunęła się.

– Już mi lepiej.

– Na pewno?

– Tak. Dzięki. – Ale w jego ramionach czuła się dobrze i w jej głowie pojawiła się niespodziewana myśl, że może ona i Conall zostaną teraz przyjaciółmi. – Bierzmy się za sprzątanie.

– Okej. – Conall zaczął zbierać z podłogi zakrwawione ręczniki. – Co mam z nimi zrobić?

– Wrzuć je do pralki i... Och, ty pewnie nie masz pojęcia, jak się wstawia pranie.

– Oczywiście, że mam.,

– No to pokaż.

– Proszę bardzo!

Z naręczem ręczników wyszedł na korytarz i poszukał pomieszczenia gospodarczego. Włożył wszystko do pralki i zamknął drzwiczki.

– Trzeba ją włączyć – odezwała się Katie. – Trzeba ustawić odpowiedni program.

– Wiem. – Obrócił kilka tarczy (czy coś takiego może być trudne?) i czekał, aż pralka zacznie chodzić.

– Płyn do prania. – Katie podała mu butelkę.

– No tak, o mały włos bym zapomniał. – Otworzył drzwiczki i już – już miał chlusnąć do środka, kiedy Katie go powstrzymała.

– Nie. Nie. Nie tutaj. – Śmiała się. Trochę kręciło jej się w głowie. To pewnie spóźniona reakcja na wstrząs. – Nie masz o tym pojęcia, prawda?

Spojrzał na nią. Nigdy się nie przyznawał, że czegoś nie wie.

– Ta pralka to chyba inny model niż mój.

Spokojnie wytrzymała jego spojrzenie, aż w końcu Conall dał za wygraną i przyznał:

– Okej, nie mam pojęcia.

– Cudownie – powiedziała Katie niemal radośnie. – To wszystko, co chciałam usłyszeć.

Wlała płyn, ustawiła odpowiedni program, a kiedy pralka zaczęła robić swoje, oni wrócili do łazienki i razem umyli wannę, podłogę oraz usunęli z płytek czerwone plamy. Pracowali w milczeniu, aż łazienka lśniła czystością.

– To chyba na tyle. Skończyliśmy. – Katie wytarła gąbką ostatnią plamę, po czym usiadła na podłodze i oparła się plecami o wannę. – Boże, trudne to było. – Rękawem bluzy otarła pot z twarzy.

– Ale satysfakcjonujące. – Conall też usiadł na podłodze, opierając się o ścianę naprzeciwko wanny.

– To prawda.

Ośmielona tym dziwnym, niemal uroczystym nastrojem, Katie postanowiła zaryzykować.

– Mogę cię o coś spytać, Conall?

– Śmiało.

– Znasz portugalski?

– Ach, no wiesz. Na tyle, żeby się dogadać.

– Naprawdę? Przysięgasz, że to prawda?

– Tak.

– Skąd Jason o tym wiedział?

– ... Niech no się zastanowię. – Conall stukał palcami w usta, intensywnie myśląc. – A tak! Spotkałem go na jakiejś imprezie Portugalskiej Izby Handlowej. Jego narzeczona, teraz pewnie już żona, jest Portugalką. Na pewno o tym wiesz.

– Fajnie wiedzieć, że nie w każdej kwestii kłamałeś.

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Daj spokój! Nie patrz tak na mnie!

– Katie, ja się zmieniłem – oświadczył z mocą.

– Szczęściara z tej Lydii. Ale zawsze ci mówiłam, że dziewczyna po mnie skorzysta z efektów mojej ciężkiej pracy.

– Tak, ale Katie...

– Wydawało mi się, że coś słyszę.

Odwrócili raptownie głowy. W drzwiach łazienki stała Jemima. Wyglądająca na swoje osiemdziesiąt osiem lat.

– Chciałam mieć pewność, że dowody ryzykanctwa Matthew zostaną usunięte, nim Maeve przyprowadzi go do domu. Ale widzę, że dwa anioły opiekuńcze mnie ubiegły.

2 godziny

Jemima, przekonawszy Maeve do tego, aby poczekała w szpitalu do siódmej i przywiozła Matta do domu, miała do spełnienia jeden ostatni

dobry uczynek, a ta czarująca scena, Katie i Conall obok siebie, naprawdę była najcudowniejsza na świecie. Życie polegało na wyczuciu czasu. Śmierć także.

Przyłożyła wierzch dłoni do czoła i pozwoliła sobie na upadek, składając się jak akordeon.

– Chryste! – Conall zerwał się i złapał ją, nim kolanami uderzyła podłogi. – Dobrze się pani czuje?

„No, nie bardzo, mój drogi. Właśnie zaliczyłam podręcznikowe zasłabnięcie".

– Chyba powinna się pani położyć. – Spojrzał na Katie, która kiwnęła głową.

– Conall zaniesie panią na górę, da pani radę? – zapytała Katie.

– Chyba tak – odparła słabo Jemima.

Cóż za rozsądna istota z tej Katie. Powrót do domu Matthew i Maeve okazałby się bardzo nieprzyjemny, gdyby na swojej sofie zastali chorą staruszkę. A Jemima miała pewne plany, które wolała zrealizować bez przeszkód.

Conall zaniósł Jemimę do jej mieszkania, gdzie wprawnie wyminął wszystkie ciężkie meble w salonie i delikatnie położył ja na sofie. Dookoła nich biegał niespokojnie Grudge.

– Bardzo przepraszam – mruknęła Jemima. – Tyle zamieszania.

– Od wczorajszego wieczoru wszyscy jesteśmy trochę roztrzęsieni – rzekła Katie.

– Co pani przynieść? – zapytał Conall. – Szklankę wody? Jakieś lekarstwa?

– Święci pańscy, nie – odparła Jemima. – Nic mi nie potrzeba. Z wyjątkiem...

– Z wyjątkiem? – zapytała Katie. – Fionna? – Na jej twarzy widniała troska, która mówiła: „Ale ja nie wiem, gdzie on jest”.

– Nie potrzeba tu Fionna. – Choć Jemima bardzo go kochała, miała ważniejsze sprawy na głowie. – Ale czy ty i Conall dalibyście radę posiedzieć ze mną trochę? To nie potrwa długo, zapewniam was.

– Oczywiście – odparła Katie.

– Jasne – dołączył się Conall.

Katie to taka słodka dziewczyna, pomyślała Jemima. Wiedziała, że zostanie. A Conall naturalnie zrobi to, co sprawi przyjemność Katie.

A więc to pewne: Fionn nie przyszedł na noc do Jemimy, pomyślała Katie. Co znaczyło, że spędził ją gdzieś indziej – co z kolei skutkowało wieloma ewentualnościami, z których żadna nie była przyjemna. „Poznał dziewczynę, przespał się z nią”. Ale nie! Nie będzie o tym myśleć! Nie teraz. Później, kiedy będzie w stanie. Ponieważ prawda była taka, że będzie cierpieć, i to bardzo. Nie tylko z powodu zazdrości wywołanej tym, co porabiał podczas minionych godzin, nie tylko z powodu smutku towarzyszącego końcowi związku jej i Fionna – ponieważ wyglądało na to, że rzeczywiście dobiegł końca – ale istniało tyle innego bólu, na który Fionn okazał się lekarstwem. Usunął z niej smutek z powodu Conalla, monotonię przemienił w połyskujący klejnot i pokazał jej że jest życie – całe mnóstwo życia – po czterdziestce. Już nie.

Najbardziej jednak bała się tego, że powróci to okropne poczucie straty, które ją ogarnęło, kiedy się dowiedziała, że Conall spotyka się z Lydią. To były prawdziwe katusze i nie sądziła, aby miała w sobie tyle siły, by jeszcze raz przez to przechodzić. Jakiś masochistyczny impuls kazał jej teraz spróbować, sprawdzić, jak bardzo jest to koszmarne... i może niezbyt mocno spróbowała, gdyż czuła się zaskakująco dobrze.

Może jej się polepszyło! Czy taki właśnie mógł być cel Fionna? Zjawić się i ją uleczyć? A po wszystkim dać nogę?

Bądź co bądź poszła do pubu z Conallem i jego dziewczyną. I z Conallem posprzątała łazienkę w atmosferze przyjaźni i współpracy. A teraz proszę, opiekują się razem starszą panią.

A może źle zrozumiała tę całą sytuację z Fionnem. Może oni przeżyli jedynie pierwszą poważną kłótnię. Może został na noc u Grainne i Meryyna i lada chwila pojawi się w drzwiach, dręczony wyrzutami sumienia i oszalały z miłości, po czym padną sobie w ramiona i będą płakać i mówić, jak bardzo przepraszają i że teraz ich związek jest jeszcze silniejszy? Mogło się tak zdarzyć!

Jemima wyjęła z koka kilka wsuwek.

– Wbijają mi się w czaszkę – wyjaśniła. – Wytrzymałam osiemdziesiąt lat i mam dość.

– Postanowiła pani wyluzować – rzekł Conall..

– Właśnie tak, mój drogi!

– Nigdy na to za późno.

– I trzymaj się tego, Conall, jak mówią w tych amerykańskich programach. No dobrze... – Jemima ułożyła się wygodniej na sofie, drobna i blada, wyraźnie zmęczona wyjmowaniem wsuwek.

Katie uklękła przy sofie. Za nią stał ciężki stół z rzeźbionego mahoniu, a z boku fotel obity kwiecistą tkaniną.

– Potrzymać panią za rękę?

Czuła, że Jemima potrzebuje tego, aby dodano jej otuchy, ale z tymi wytwornymi protestantami nigdy nic nie wiadomo. Mogliby się jeszcze za taką propozycję obrazić.

– A mogłabyś, serdeńko? Byłoby mi naprawdę bardzo miło.

Zmarszczyła twarz w pełnym wdzięczności uśmiechu i wyciągnęła kościstą, naznaczoną żyłami dłoń.

– Mogę potrzymać panią za drugą rękę – zaproponował Conall.

– Conall! – odparła Jemima. – Byłoby wprost cudownie.

Zaskoczona Katie spojrzała na niego. Od kiedy zaczął być taki miły dla staruszek? Wzruszył ramionami, co miało oznaczać: „A czemu by nie? ”

A czemu by nie, w rzeczy samej.

Grudge zajął miejsce pośrodku, pomiędzy Katie a Conallem. Łeb położył na kolanach Jemimy, a Katie myślała jedynie o tym, jakie to wszystko bardzo, bardzo dziwne. Ona! I Conall Hathaway! W mieszkaniu Jemimy, trzymający ją za rękę! Jak doszło do takiego dziwacznego trójkąta?

Cała trójka milczała. Katie pomyślała, że pewnie są wykończeni po wydarzeniach z ostatnich dwunastu godzin. Po jakimś czasie niespokojny głosik w jej głowie zaczął się zastanawiać, jak długo mają zostać. Czego oczekuje Jemima? Czy czuje się już na tyle dobrze, aby zostawili ją samą? Ale pytanie o to wydawało się niegrzeczne, a zresztą Conall i tak będzie musiał pędzić na samolot albo przejęcie świata, ona zaś musiała przyznać, że siedzenie na dywanie Jemimy i trzymanie jej za rękę działało na nią kojąco. Słyszała jedynie ich oddechy, Conalla, Jemimy i swój. No i psa.

– Mogłabym... – zaczęła z wahaniem Jemima. – Mogłabym... to znaczy bardzo źle byście o mnie myśleli, gdybym poprosiła o małą przysługę?

– Co tylko pani chce – odparł Conall.

– Moglibyście mi opowiedzieć, widzicie, zawsze tego pragnęłam, jakąś pikantną plotkę?

1 godzina

Surowa płyta, niepomalowana, obca. Maeve rozgniewał widok ich nowych drzwi.

– Spójrz – powiedziała do Matta. – Zobacz, co narobiłeś.

– Boże. – Wpatrywał się w drzwi, próbując z nich wyczytać, co się stało. Wyglądał, jakby zbierało mu się na mdłości.

– To pewnie klucze do tych drzwi. – Maeve wzięła ze stolika komplet kluczy, a Matt wyciągnął dłoń, spodziewając się, że mu je poda, ona jednak wkładała już jeden do zamka.

Znowu ogarnęła ją wściekłość. Wykład Jemimy ją uspokoił, przez krótki czas była nawet pełna nadziei, ale teraz gniew wrócił i działał na wszystkie jej zmysły – skórę miała podrażnioną, ręce niezgrabne, powieki gorące, język spuchnięty. Od tak dawna niczego nie czuła, a teraz wszystko pojawiło się jednocześnie.

Chwilę trwało, nim jej drżące palce poradziły sobie z nowym zamkiem.

– Pieprzony klucz – mruknęła. Rzadko przeklinała, więc wypowiedzenie tego słowa sprawiło jej dziwną satysfakcję. Kiedy zamek w końcu ustąpił, mocno pchnęła drzwi. Pierwsze, na co zwróciła uwagę, to czysty, świeży zapach. Któryś z sąsiadów musiał tu przyjść i posprzątać dowody Matta... Matta... nie wiedziała, jak opisać to, co zrobił.

Ładnie ze strony tego kogoś. Uznała, że pewnie Katie. Ale jej wściekłość nie chciała ustąpić nawet w obliczu tego dobrego sąsiedzkiego uczynku. W sumie Mattowi by się przydało zobaczyć dowody tego, co zrobił.

– Chcesz herbaty albo coś? – zapytała nieuprzejmie.

– Tak, poproszę.

Wstawiła wodę, następnie udała się do sypialni i spod łóżka wyciągnęła wielką walizkę. Ostatni raz była używana podczas ich podróży poślubnej; nadal miała na rączce przywieszkę malezyjskich linii lotniczych. Z całej siły rzuciła ją na łóżko, od którego odbiła się kilka razy, a potem otworzyła.

Zacznie od butów. Proszę bardzo, stały schludnie na dnie szafy. Zaczęła je podnosić i rzucać jeden po drugim w stronę łóżka. Czasami lądowały w walizce, a czasami nie: odbijały się od łóżka, uderzały w kaloryfer, trafiały w okno.

To było niemal jak zabawa, właściwie to całkiem przyjemna, i żałowała, kiedy buty się skończyły.

Zresztą woda zdążyła się już pewnie zagotować, wróciła więc do kuchni i zaparzyła herbatę. Matt siedział na sofie w salonie, skulony i pełen wstydu.

– Herbata. – Podała mu kubek. – Zaczęłam pakować twoje rzeczy.

Jego twarz wykrzywił paroksyzm bólu.

– Och? – zapytała. – Myślałeś, że nie mówię poważnie? Ale mówię. To się naprawdę dzieje.

– Jak będziesz mieszkać sama?

– Nie myślałeś o tym, kiedy wczoraj przygotowywałeś sobie kąpiel, prawda?

Spuścił głowę.

– Nie powinienem był tego robić. – Zadrżał mu głos.

– Chciałbym móc cofnąć czas.

– Dam sobie radę. To będzie lepsze niż mieszkanie z tobą i czekanie, aż znowu spróbujesz się załatwić.

Kiedy siedziała w szpitalu przy jego łóżku, wszystko obmyśliła. Wyrzucenie Matta z mieszkania było jedynie przedstawieniem, próbą zranienia go za to, że on zranił ją, ponieważ zamierzała zamieszkać u rodziców. Jej życie i tak było skończone, dobiegło końca trzy lata temu, i mieszkanie na totalnym zadupiu nie jest w stanie jeszcze bardziej go zakończyć. A gdyby życie stało się zupełnie nie do zniesienia, cóż, zawsze się mogła powiesić w stodole, utopić w gnojówce albo podejść zbyt blisko pracującego kombajnu. Tyle możliwości. Kiedy się nad tym zastanowić, to w sumie cud, że rolnicy dożywali pełnoletności.

Myślała o śmierci od tak dawna, że zdążyła bardzo się oswoić z tym pomysłem. Wprawdzie nie posunęła się do tego, co Matt, ale nie chciała już żyć. Nie była do końca pewna, w jaki sposób umrzeć. Ale w końcu do tego dojdzie.

30 minut

Lydia była tak wykończona, że aż jej się robiło niedobrze. Wydarzenia zeszłego wieczoru zbierały żniwa i do niczego się nie nadawała. Nawet do spania. Zastanawiała się, czy to możliwe, że człowiek jest zbyt zmęczony, aby zasnąć. Ale zbyt była zmęczona, aby o tym myśleć. Telewizja, oto, czego jej trzeba. Rozłożyła się na sofie i zaczęła się rozglądać za pilotem. Dzięki Bogu, że to sobota i nie musi mieć do czynienia z tygodniowym, porannym gównem: metamorfozami grubasów, dietami i kulinariami. Najpierw znalazła program o Botswanie, potem o Kubie. Delektowała się nimi, na wpół śpiąca, na wpół obudzona, marząc o dalekich krajach. Boże, było super. Mogła tak zasnąć, nie bojąc się, że jej przeszkodzą jacyś gderliwy Polacy. Fantastycznie mieszkało się w pojedynkę.

Kiedy rozległ się dźwięk domofonu, bezceremonialnie wdzierając się do jej raju, ogarnęła ją wściekłość. Nie! Nieeee! Za cholerę nie idę.

Znowu zadzwonił.

Nie, nie idzie.

I jeszcze raz.

Możesz sobie dzwonić milion razy. Nie idę.

I znowu.

Na litość boską! Zerwała się z sofy, wyszła gniewnie na korytarz i przycisnęła guzik. Dziesięć sekund później ktoś zapukał do jej drzwi. Otworzyła je na oścież.

– Co?

Na progu stał mężczyzna z ciemnymi oczami i długawymi włosami. Było w nim coś dzikiego. Lydia uznała, że sprzedaje mopy. Jednak ku swemu przerażeniu dostrzegła, że w pokrowcu ma schowany jakiś instrument? Domokrążny grajek? Boże przenajświętszy, prześladują ludzi nawet we własnych domach?

– Dam ci pieniądze, jeśli obiecasz, że nie będziesz śpiewać – oświadczyła.

Wyglądał na skołowanego.

– Jestem Aleksander. Aleksander Szewczenko.

– Kto? Och! Ten ktoś, kto mieszkał tu przede mną.

– A nie artysta wędrowny! Jej twarz rozświetliło uczucie ulgi.

– A ty? – zapytał. – Nowa lokatorka? Mieszkasz teraz w małym pokoju?

– Tak, tak. Przyszedłeś po swoje listy? No to wejdź.

– ... I nikt w całej rodzinie nie miał pojęcia o istnieniu dziecka Charliego? – W glosie Jemimy słychać było niedowierzanie.

– Nikt a nikt – odparł Conall, ciesząc się, że może się przyczynić do zaznajomienia Jemimy z tak pikantną plotką.

– Tylko Katie. A ona tylko dlatego, że ja jej powiedziałem. Zresztą dowiedziałem się o tym zupełnie przez przypadek.

Stało się to podczas „racjonalizowania" pewnej spółki. Młoda kobieta, zdana na jego łaskę i niełaskę, błagała, aby zachował jej posadę, ponieważ ma na utrzymaniu dziecko, a od jego ojca nie dostaje ani grosza. Okazało się, że tym ojcem jest Charlie Richmond, brat Katie.

– Ale dlaczego twój brat nie powiedział o tym własnym rodzicom? – Jemima próbowała to wszystko zrozumieć.

– Uradowaliby się przecież, gdyby się dowiedzieli, że mają wnuka?

– Ponieważ matka Katie to... – Conall zawahał się i spojrzał na Katie.

– To kto? – zapytała Katie.

Ostrożnie dobierając słowa, odparł:

– To... kobieta niespełniona, która, eee, deprecjonuje czyny wszystkich swoich dzieci.

Katie spuściła wzrok i uśmiechnęła się do siebie.

– Nigdy tego nie mówiłeś.

W oczach Conalla błysnęło oburzenie.

– No wiesz, Katie. Popełniłem wiele błędów, zbyt wiele, ale nie jestem kompletnym idiotą.

– Muszę powiedzieć – rzekła radośnie Jemima – że to naprawdę porządna plotka. Warto było czekać na nią całe życie. – Poruszyła się pod ciężarem głowy Grudge'a. – Nie tutaj, kochany psie. Za bardzo boli.

– Och? – zapytała Katie, dokładnie tak, jak przewidziała Jemima.

– Cztery lata miałam raka. – Machnęła lekceważąco ręką, jakby to

było coś niewiele gorszego od uderzenia się w palec u nogi. – To paskudztwo wróciło.

Katie i Conall wymienili zaniepokojone spojrzenie.

– Skąd pani wie? – zapytała ostrożnie Katie. – Robiła pani badania?

– Nie ma potrzeby. Czuję je. Guzy. Jeden na wątrobie. Całkiem spory. Nie mogę już dopiąć spódnicy. Strasznie to jest irytujące. – Uśmiechnęła się. – Kiedy spódnica zaczyna nie pasować, pora odejść.

– ... Ach... możemy kupić pani nową spódnicę – powiedział Conall, kryjąc zażenowanie pod przykrywką wesołości.

– Całą nową garderobę.

– Dziękuję ślicznie. Ale to by nie usunęło guzów pod lewą pachą. Ani tych pod kolanami.

Conall zerknął niespokojnie na Katie. Jemima mówiła poważnie? Katie pokręciła lekko głową: nie miała pojęcia, co się dzieje.

– Widzę, że was zakłopotałam. Przepraszam. I widzę, ze macie wątpliwości, ale zapewniam was, że jestem śmiertelnie poważna. – W odpowiedzi na ich zdumione milczenie powtórzyła: – Śmiertelnie poważna.

– Rozumiem... – Conall wydawał się zbity z tropu.

– Jak więc możemy pani pomóc?

– Nie możecie.

– Nie ma takiego słowa. – Conall zaczął wyciągać z kieszeni telefon. – Znajdę lekarza.

– To rzeczywiście Pan Wszystko Naprawię. – Jemima uśmiechnęła się do Katie, którą wcale to nie rozbawiło. – Założę się, że zadzwoni do tej cierpiącej w milczeniu Eilish. Znajdź nowe drzwi, Eilish! Znajdź specjalistę od raka, Eilish! Biedna kobieta. Conall, odłóż to ustrojstwo. Mnie nie

pomoże już żaden lekarz.

Wyciągnęła rękę, aby dotknąć BlackBerry Conalla i gdy to robiła, jej spódnica się podniosła, odsłaniając dziwnie wyglądające skupiska guzów, wyglądających jak pasma górskie.

Jezu Chryste, pomyślała Katie. Jemima nie przesadzała.

Spojrzała na Conalla i wyraz jego twarzy dobitnie mówił o przeżytym wstrząsie.

– No dobrze! Dość tego! Dzwonię po karetkę!

– W żadnym wypadku – zaprotestowała Jemima.

– W żadnym wypadku! Zakazuję ci.

Ku swemu wielkiemu zdziwieniu Conall stwierdził, że boi się jej sprzeciwić.

– Jest na to o wiele za późno – dodała Jemima.

– Nie. – Conall oczami wyobraźni widział, jak Jemimę wiozę na salę operacyjną, podają dożylnie magiczne leki, a lekarze ją uzdrawiają. Ze wzburzeniem przekładał BlackBerry z ręki do ręki.

– Za późno, serdeńko – powtórzyła Jemima.

– Nie możemy tak nic nie robić. – Miał wrażenie, że zaraz eksploduje z frustracji.

– Ależ możemy. Dobra lekcja dla ciebie, Conall. Czasami niezrobienie niczego to najlepsze, co można zrobić.

– Ale dlaczego wcześniej nic pani nie zrobiła? – wykrzyknęła Katie. Dlaczego Fionn nie nalegał, aby poszła do lekarza? I dlaczego Fionn nie powiedział jej o tym, że Jemima jest chora?

Starsza pani wyglądała na zawstydzoną.

– Uznacie mnie za tchórza, jeśli się przyznam, że nie chciałam znowu przeżywać chemii? Była mocno nieprzyjemna. Mam osiemdziesiąt osiem

lat, a za sobą dobre życie, nie licząc, naturalnie, braku plotek.

– Ale co z bólem? Nie boli pani? – zapytał Conall.

– Och, ból – odparła Jemima lekceważącym tonem. – Wszyscy tak bardzo boją się bólu. Ale jak inaczej człowiek ma się dowiedzieć, że żyje? Conall, proszę, odłóż ten telefon i weź mnie znowu za rękę, bardzo to było miłe.

Niechętnie położył BlackBerry na podłodze, a Jemima wyciągnęła ręce.

– Dlaczego mówi nam to pani, skoro nie pozwoli sobie pomóc? – zapytał.

– Nie bój się, Conall. Na wszystko przychodzi pora.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Jemima zaśmiała się.

– I to też nie.

– Może chciałaby pani, żebyśmy do kogoś zadzwonili?

– Katie starannie dobierała słowa. Jemima była bardzo chora, znacznie bardziej niż sądzili, kiedy zasłabła w mieszkaniu Matta i Maeve, i nie zanosiło się na to, żeby w najbliższym czasie miała wstać z łóżka. Czy tylko ona i Conall mają przy niej siedzieć? Ją Jemima znała dość dobrze, ale Conall był praktycznie obcą osobą. – Żeby ktoś tu z panią był?

– To was dwoje chcę.

„Dlaczego? ”

– Cóż... – i Katie musiała się zmusić do tego, aby wykazać się odwagą – przynajmniej Fionn powinien tu być. – To znaczyło, że Katie będzie musiała go poszukać, a tego akurat nie chciała, gdyż mogłaby przy tej okazji zaliczyć sporo bólu.

– W ciągu kilku ostatnich dni szukałam okazji, aby mu powiedzieć,

ale zawsze coś nam przerywało.

– To znaczy...? – Jezu Chryste. Fionn nie wiedział.

– Conall, szybko, daj mi telefon, swój mam na górze.

Conall podał jej nieporadnie telefon, a Katie na poczcie głosowej Fionna nagrała krótką, zwięzłą wiadomość:

– Musisz natychmiast wracać do domu. To pilne.

– Ja też się chciałam zabić – powiedziała nagle Maeve.

Matt wyglądał na przerażonego.

– Czemu mi nie powiedziałaś?

– A czemu ty nie powiedziałeś mnie?

Matt patrzył na nią pustym wzrokiem.

– Chryste, ale się narobiło – powiedział ze straszliwym znużeniem. – Ty chciałaś się zabić. Ja próbowałem to zrobić. To chyba cud, że udało nam się wytrzymać tak długo.

– To był... – Maeve musiała przestać. – Nie przychodzi mi do głowy właściwe słowo. Powiedzieć, że koszmar, to zdecydowanie za mało.

– Koszmary się kiedyś kończą.

– A ten trwał i trwał. Czasami, kiedy byłam mała, myślałam o swoim życiu i zastanawiałam się, co się wydarzy, ponieważ mówią, że złe rzeczy przytrafiają się w końcu każdemu. I myślałam o tych rzeczach, wiesz? Próbując się przygotować. Ale nigdy nie przyszło mi do głowy coś takiego. Nigdy nie sądziłam, że mogę zostać zgwałcona. I nigdy nie sądziłam, że będę się czuć tak... tak... Nie miałam pojęcia, że można czuć się tak źle tak długo.

– Kochanie...

– I przepraszam, Matt. To było dla ciebie bardzo trudne, wiem. Nie prosiłeś się o to, kiedy brałeś ze mną ślub.

– Kochałem cię.

– To jednak było dla nas zbyt wiele. Jesteśmy tylko ludźmi – Oboje mamy skłonności samobójcze, to nie jest dobry znak.

Uśmiechnął się blado.

– Jak się teraz czujesz? – zapytała Maeve. – Nadal nie jesteś w stanie żyć dalej?

– Nie tak jak do tej pory.

– Ja też nie. Chodź, pomożesz mi spakować swoje rzeczy.

W sypialni Matt powoli pozbierał buty i ustawił je równo na podłodze.

– Lepiej chyba najpierw spakować ubrania – powiedział.

– W porządku. – Otworzyła jedną z szuflad Matta, chwyciła naręcze ubrań i wrzuciła je do walizki. I dopadły ją wspomnienia. To ten zapach. Uniósł się, gdy na dnie walizki wylądowały ubrania. Czuła zapach ich podróży poślubnej – słone morze, drzewo sandałowe i wilgotne powietrze – jakby właśnie tam byli. Czy to nie zdumiewające, że zapach przetrwał trzy długie lata? Na dnie walizki leżały suche płatki róż. Wzięła do ręki kilka.

– Pamiętasz je?

– O tak. – W oczach Matta pojawił się błysk. – Tak było co wieczór po kolacji, no nie?

Wracali do pokoju i odkrywali, że jakaś tajemnicza osoba usypała na ich łóżku wielkie serce z płatków róż.

– A na początku uważaliśmy, że to takie romantyczne.

– Wcale nie, ja zawsze uważałem, że to tandeta.

– Nie, Matt, uwielbiałeś to!

– No, może uznałem, że miło, że ktoś zadaje sobie tyle trudu.

– Ale potem robiliśmy się niewdzięczni, pamiętasz? I mówiliśmy, że

serca są coraz mniejsze i bardziej nierówne.

– I że płatki dostaną się na materac...

– ... i znajdywaliśmy je potem w różnych miejscach – rzekła.

– Różnych miejscach – powtórzył.

– A pamiętasz tamtą kąpiel, którą przygotował nam kamerdyner?

– Nie... Ach tak! Zgadza się. Jeszcze więcej cholernych płatków!

– Cali byliśmy w płatkach i nie mogliśmy się ich pozbyć...

– ... a one w wodzie poczerniały i wyglądaliśmy, jakbyśmy mieli mięsaki Kaposiego.

Ale niezniechęceni wytarli się nawzajem i uprawiali seks po raz chyba setny. Maeve pomyślała, że to naprawdę niesamowite, jak często uprawiali seks w ciągu tych dwóch tygodni. Niemal tak, jakby wiedzieli, że wszystko nagle się skończy i że lepiej czerpać z życia, póki można.

– Byliśmy wtedy tacy szczęśliwi – westchnęła Maeve.

– No bo byliśmy, prawda? Nie wymyślam sobie tego?

– Uważałem się za największego szczęściarza na ziemi. Nie żartuję. Byłaś wszystkim, czego pragnąłem... Nie, byłaś wszystkim, czego skrycie pragnąłem, i tak bardzo się bałem, że nigdy cię nie zdobędę.

– I popatrz tylko, jak to się skończyło. Trzy lata później ty próbujesz się zabić.

Uderzyło to w nią od nowa i rozszlochała się.

– Maeve, proszę, zrobiłem to tylko dlatego, bo wydawało mi się, że lepiej ci będzie beze mnie. Uznałem, że nie jestem ci potrzebny.

– Tak? No cóż, byłeś.

Z całych sił przywarła do jego ciała, przytulając się do solidności, prawdziwości, ciepła, życia, czując bicie jego serca.

– Nigdy więcej mi tego nie rób – wyszeptała. – To było gorsze niż

wszystko, co się wydarzyło w ciągu trzech ostatnich lat. Znacznie gorsze.

– Chodź, twoje listy leżą w kuchni. Nie mam czasu na pogawędki, właśnie oglądam...

– A wygodnie ci w moim łóżku? – zapytał miękko Aleksander Szewczenko.

Lydia zdążyła się już odwrócić, ale na tę impertynencję cofnęła się, mając na końcu języka jakąś cierpką uwagę. Co | za tupet. Ostatnio często trafia na takich facetów.

– Moje łóżko...? – zuchwale nie dawał za wygraną.

– Odpowiada ci?

– Prawdę mówiąc – Lydia patrzyła mu prosto w oczy

– twoje łóżko mi odpowiada.

Chwileczkę! Ich serca biją jak oszalałe, migają światełka i słychać aplauz, jak w automacie do gry, kiedy komuś udaje się wygrać.

Ale czy to wystarczy? Czy jest na to czas? Czy mogą się zakochać i uprawiać seks w czasie krótszym niż dwadzieścia dwie minuty? Ponieważ tyle mi tylko zostało.

Wtedy – nie, nie, nie! – Lydia przypomniała sobie o dziewczynie, która szukała Aleksandra. Przypomniała sobie o obietnicy, jaką jej złożyła: że jeśli Aleksander się tutaj pojawi, to da mu jej numer telefonu. A obietnica to obietnica.

– Ktoś cię tu szukał.

Przez twarz Aleksandra przebiegł strach.

– Duzi mężczyźni z pistoletami?

– Nie, dziewczyna.

– Żartowałem. – Westchnął z nagłym przygnębieniem. – Ukraińcy

uwielbiają żartować. Tak jak i wy, Irlandczycy, kochamy żarty, ale ta bariera językowa... Żartuję, żartuję, żartuję przez cały dzień, ale Irlandczycy mnie nie rozumieją.

– Chcesz te listy czy nie?

Udał się za nią do kuchni, gdzie sięgnęła po plik kopert.

– Ta dziewczyna, która przyszła? – zapytał. – To była Wiktoria?

– Nie – odparła Lydia z namysłem. – Nie Wiktoria, na Pewno nie. Chyba miała na imię Shiobhan i była poborcą należności. Chciała ci wręczyć nakaz sądowy.

Przeraziła go tym.

– Ale ja nie... ja nie...

Lydia pozwoliła, by minęły trzy sekundy. Cztery. Pięć. Wtedy oświadczyła słodko:

– Żartowałam.

– Ach! Żartowałaś!

– Żartowałam. Podobno to uwielbiasz.

Och, ta para jest dla siebie stworzona, po prostu idealna! Unoszenie brwi, wyzywające spojrzenia i dużo seksownego kontaktu wzrokowego. Gdybym tylko mógł ich pokierować w stronę sypialni... Lydia nie wciskałaby mi kitu, że nie można iść do łóżka z facetem, którego poznało się niecałe dziesięć minut wcześniej. Ona wie, co to spontaniczność i chwytanie życia za jaja.

– Tak, była tu Wiktoria.

Pal licho Wiktorię! Zapomnij o niej, zapomnij!

Twarz Aleksandra się rozpromieniła. Na krótko.

– Nie mam jej numeru.

– Nie szkodzi, zapisała go. I kazała ci coś powiedzieć...

– Co to, u licha, było?

– Mężczyzna...

– Z ministerstwa rolnictwa?

– Zgadza się. Kazała ci przekazać, że śmierdział krowami. Aleksander zaśmiał się cicho.

– Śmierdział, tak?

– Chyba że lubi się zapach krów. Proszę. – Lydia znalazła kartkę Wiktorii. – A to twoja poczta.

20 minut

W pokoju słychać było jedynie tykanie dużego drewnianego zegara. Jemima miała zamknięte oczy, a Katie, Conall i Grudge patrzyli na nią z czułością. Katie już dawno porzuciła myśli o ucieczce, a spokój emanujący z Conalla mówił jej, że on z kolei dał sobie spokój z gorączkowymi pomysłami ratującej życie operacji czy chemii. W pokoju było tak cicho i spokojnie, że Katie zaczęła wpadać w stan, jaki się osiąga tuż przed zaśnięciem. Wtedy odezwała się Jemima:

– Mój czas na ziemi był dobry i szczęśliwy.

– O co więcej można prosić? – zapytał Conall.

– Śmierć jest smutna tylko wtedy, jeśli nie używało się życia.

Śmierć? Śmierć?! Katie i Conall spojrzeli na siebie.

– Jestem gotowa odejść.

To znaczy, że ona zamierza teraz umrzeć?

– Tak, moi drodzy.

Teraz? Tutaj?

– W ciągu kilku minut. I chcę być tutaj, w moim własnym domu, z wami.

Katie i Conall wymienili kolejne spojrzenie.

Chyba powinniśmy pozwolić jej na to, czego chce – mówiły oczy Conalla.

Też mi się tak wydaje.

Zapomnimy o karetkach i innych takich?

Zróbmy po prostu to, o co nas prosi i...

Zobaczymy, dokąd nas to zaprowadzi.

Ale jak to możliwe, że sprawy przybrały tak poważny obrót tak szybko?

– To się nie stało nagle – powiedziała Jemima. – Od wielu tygodni czuć w tym domu obecność śmierci.

Wtedy do mnie dociera, że Jemima ma rację; rzeczywiście było czuć. To znaczy nie tylko moją obecność. Te razy, kiedy byłem tak dobry, że aż sam się bałem – to wcale nie byłem ja. To była nasza przyjaciółka, Kostucha, stara rozrabiara, we własnej osobie.

Często stosuje się taką politykę: jednego dać, jednego zabrać.

W cichej harmonii Maeve i Matt wypełniali walizkę jego rzeczami. Dziwne, ale im dłużej ją pakowali, tym mniej prawdopodobne wydawało się jego odejście.

– Zaraz wrócę – powiedział do Maeve.

– Gdzie idziesz?

– Trochę mi zimno.

– Jeśli pójdziesz podciąć sobie żyły...

– Już nigdy tego zrobię.

– Obyś mówił prawdę.

– Wiem, że to sierpień, ale czy mógłbym włączyć ogrzewanie?

Przez chwilę się zastanawiała.

– Wejdźmy na trochę do łóżka. Tam jest pewnie cieplej.

Zepchnęli walizkę na podłogę i większość spakowanych rzeczy wypadła. Następnie położyli się w ubraniach na łóżku i podrzucili kołdrę, a on opadła i miękko ich otuliła. Maeve oplotła nogami Matta i energicznie pocierała mu plecy, ramiona, ręce.

– Cieplej trochę?

– Tak.

– To dobrze.

– Słuchaj, mam pomysł! – rzekł nagle Matt.

– Tak?

– Moglibyśmy sprawić sobie kotka. Albo szczeniaka.

– Szczeniaka? – powtórzyła powoli Maeve. – Nie, byłby zazdrosny.

Lydia wręczyła Aleksandrowi mały plik kopert.

– Powiedz mi, gdzie teraz mieszkasz, daj mi swój adres. Przechylił głowę i spojrzał na nią zuchwale.

– Abyś mnie mogła odwiedzić i zobaczyć, jak śpię?

Lydia przywdziała maskę uprzejmej irytacji. Już ja ci pokażę – tak mówiło jej spojrzenie.

– Abym ci mogła przesyłać twoją pocztę – odparła. – I przestań mnie nachodzić i przerywać oglądanie Michaela Palina.

Teraz, teraz! Zróbcie to teraz, no już! Seks, seks, mnóstwo seksu! Moje życie od tego zależy!

15 minut

– Bądźcie dla siebie dobrzy – mruknęła Jemima, zamykając oczy.

– Kto? – zapytał Conall. Chciał mieć po prostu pewność.

– Wy. Ty i Katie.

– Okej.

Oddech Jemimy stał się cichszy, a klatka piersiowa unosiła się coraz wolniej i słabiej, aż w końcu znieruchomiała. Conall czuł się – no, nie wiedział dokładnie, co czuje, tyle że już się nie bał, tak jak wcześniej, kiedy Jemima wyznała, jak bardzo jest chora. Nie musiał już wykonywać telefonów ani organizować tego, co niemożliwe, ani uciekać. Gotowy był siedzieć na tym wzorzystym dywanie, siedzieć, jak długo będzie trzeba, trzymając dłoń umierającej kobiety.

Jakie to dziwne, że po raz drugi w ciągu jednego dnia znalazł się przy tej cienkiej membranie, oddzielającej życie od śmierci. Ale tym razem było inaczej, tym razem było dziwnie pięknie.

Aleksander przysuwa się, aby wziąć listy. Twarze jego i Lydii znajdują się tak blisko siebie, że prawie nie musiałby się poruszać, aby ją pocałować.

Mówię ufam, powietrze aż kipi seksem! Jeden pocałunek i górę wzięłoby pożądanie; tak wiele przeskakuje między nimi iskier. Jeden pocałunek, tylko o to proszę, a reszta pójdzie gładko.

Ale Aleksander śmieje się cicho, a potem wychodzi z mieszkania.

Wróci. Ale dla mnie będzie już za późno.

Cholera.

– Więc ten Conall wyważył drzwi, tak? – zapytał Matt.

– I przejął dowodzenie. Wykrzykując polecenia na lewo i prawo. A wszyscy je wypełniali. Ciepło ci już?

– Nie. Trzyj dalej.

– Będziemy musieli jakoś mu podziękować.

– Oczywiście. Masz jakiś pomysł?

– Tak.

– ... A może się nim ze mną podzielisz?

– Nazwiemy jego imieniem nasze dziecko.

– Jakie dziecko?

– Będziemy mieć dziecko.

– Naprawdę? – Matt odsunął się od Maeve, aby widzieć jej twarz.

– Ta mądra staruszka z góry twierdzi, że tak.

– Ale... jak my to zrobimy?

– Tak. – Maeve ściągnęła przez głowę T – shirt, a potem pozbyła się sztruksów i majtek. – Czy ty...?

Ich spojrzenia się skrzyżowały i niemal z paniką, jakby się bał, że Maeve zmieni zdanie, Matt szybko się rozebrał, po czym objął ją i ostrożnie wziął w ramiona. Po raz pierwszy od trzech lat czuł przy sobie jej miękkie, nagie ciało, udo przy udzie, brzuch przy brzuchu, jego dłoń na jej biodrze.

Po jej twarzy popłynęły łzy, a on je scałował.

– Mam przestać? – zapytał.

– Nie, nie, nie.

– Tak dobrze? – Delikatnie ją dotknął.

Kiwnęła głową.

– A tak?

– Wszystko, Matt, wszystko jest dobrze.

5 minut

Conall ujął wolną ręką dłoń Katie, a ona spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

Dacie wiarę? Dacie wiarę? Wibracje ich serc są znowu w idealnej

harmonii.

Teraz albo nigdy. Conall musiał się odezwać. Miał do powiedzenia coś bardzo ważnego.

– Katie, ja...

Jakiś hałas przy drzwiach kazał im podnieść głowy.

– Fionn! – wykrzyknęła Katie.

Nie! Nie, nie, nie!

Fionn wpatrywał się w leżącą na sofie Jemimę, skamlącego cicho Grudge'a, rękę Katie w dłoni Conalla.

Katie wstała.

– Fionn...

Dopiero kiedy Grudge przechylił łeb i zaczął wyć, do Conalla dotarło, co się stało.

Delikatnie, powoli, cierpliwie, przez cały czas patrząc jej w oczy, Matt pozwolił Maeve się prowadzić, a w chwili, gdy ich ciała się złączyły, na chwilę znieruchomiał i spojrzeli na siebie z triumfem.

– Kurczę! Zrobiliśmy to. – Z trudem mogła w to uwierzyć.

– Rzeczywiście, zrobiliśmy. – To było prawdziwe. To się działo naprawdę. Z Maeve, jego śliczną Maeve, która tak czarowała nieznajomych, że zbierali z ziemi porozrzucane monety. – Zrobiliśmy to razem, ty i ja.

– Praca zespołowa. Więcej mocy dla nas.

– Więcej mocy dla naszych łokci.

– Matt, nie płacz.

– Płaczę? – Rzeczywiście. Ale czemu, skoro był taki szczęśliwy? – A zresztą kto to mówi?

Z kącików oczu Maeve spływały łzy.

– Myślałam, że to się już nigdy nie stanie.

– Poważnie?

– A ty nie?

– Ja? Ja nigdy nie straciłem nadziei!

Śmiali się, płakali, z radości, z ulgi. Tak długo byli dla siebie straceni, tak długo, że sądzili, iż tak już będzie zawsze. Ale odnaleźli drogę powrotną do siebie, odnaleźli drogę do domu.

I właśnie w tym momencie...

No i proszę... Poklepano mnie po głowie i to się dzieje, rozpływam się, już zaczynam zapominać. Ale... już jestem! Istnieję! Dziecko Matta i Maeve. Przez cały czas zmierzałem w ich kierunku, ale muszę przyznać, że czasami się zastanawiałem, czy to się w ogóle uda. Jestem chłopcem czy dziewczynką? Zresztą to nie ma znaczenia, ponieważ w końcu tu jestem i... ooch, jest dokładnie tak, jak z Killianem w tamtej bajce, wszystko zrobiło się błyszczące i podobnie jak przypływ zmywa ślady na piasku, zaczynam powoli znikać, robiąc miejsce mojej duszy, aby została na nowo napisana przez zupełnie nowych...

A mężczyzna i kobieta, skromni, dobrzy ludzie, kochający się towarzysze, którzy mieli jedną duszę i którzy doświadczyli w życiu wiele smutku, którzy wiedzieli, co to strach, samotność i rozpacz, mocno byli szczęśliwi, kiedy się dowiedzieli, że ich dziecko w końcu zostało zesłane.

KONIEC

EPILOG

Cztery miesiące później...

Jest sobotnie popołudnie, koniec listopada, a ja unoszę się nad dachami Dublina, szukając Star Street. A konkretnie numeru sześćdziesiąt sześć. Otrzymałem misję znalezienia swoich przyszłych rodziców. Według moich informacji – które, tak na marginesie, nie są nawet w połowie tak

szczegółowe, jak bym chciał – przynajmniej jedno z nich będzie tu mieszkać. Inna ciąża przydarzyła się tutaj cztery miesięcy temu, Mattowi i Maeve, wygląda więc na to, że to dość płodny adres.

Ale początek jest kiepski. Strasznie długo idzie mi to szukanie, a czas to w tym przypadku kwestia najważniejsza. W Dublinie są – policzcie – nie jedna, nie dwie, ale trzy Star Street. Pierwszą Star Street znalazłem szybko, ale pod numerem sześćdziesiąt sześć znajdował się warsztat wypychacza zwierząt. Ruszyłem więc dalej, ale druga Star Street sześćdziesiąt sześć okazała się biurowcem, pozamykanym na cztery spusty, bo to sobota.

W każdym razie moja towarzyszka podróży, która jest ze mną dla zabicia czasu – ona zawsze coś zabija, mówię wam – powiedziała, że wie dokładnie, jak trafić na tę trzecią Star Street. Wciąż nawija, jaka to z niej doświadczona podróżniczka, kończąca życie ludzi, którzy w ogóle się tego nie spodziewają. No więc dołączyłem do niej i powiedziałem, że w porządku, niech nas zabierze na tę trzecią Star Street, na co ona odparła, że w porządku, tak zrobi, ale nie teraz, gdyż ma do wykonania swoją misję, o ściśle określonej porze, i że mogę się tam wybrać razem z nią.

Martwiłem się. Niektórzy otrzymują dni, tygodnie, nawet miesiące, aby mogli zidentyfikować przyszłych rodziców, ale ja dostałem niecałe dwadzieścia cztery godziny – taki już mój pech. Bez względu na to, co miało mi się przytrafić, musiało się to stać dzisiaj, i chciałem odnaleźć ten adres jak najszybciej. Z drugiej jednak strony lepiej trzymać się kogoś, kto zna drogę. No więc razem się zjawiliśmy w centrum Dublina. Pewnie można nas uznać za dziwną parę: jedno daje życie, drugie je odbiera. Ale życie i śmierć często pracują razem.

Znajdujemy się na szerokiej ulicy, gdzie odbywa się jakiś wiec.

Zaczynam czytać transparenty, słuchać, co ludzie skandują, i okazuje się, że to protest przeciwko znikomej liczbie wyroków skazujących dla irlandzkich gwałcicieli i jak się można spodziewać, większość uczestników wiecu to kobiety. Trudno się spodziewać przecież od indyków, że będą prowadzić kampanię na rzecz wprowadzenia dodatkowego Bożego Narodzenia.

Sprawnie działa ta moja koleżanka – nie minęła chwila, a zlokalizowała swój cel: tyczkowatego, nieco zaniedbanego kolesia o imieniu David, jednego z niewielu obecnych na wiecu mężczyzn. Nie zaskakuje fakt, że Davidowi towarzyszy dziewczyna: wysoka, szczupła, ze szparą między jedynkami, która nie wygląda tak, jakby potrzebny był jej aparat na zęby, ale dzięki niej jest jeszcze ładniejsza, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi. Steffi, tak ma na imię. I ten David musi doskonale zdawać sobie sprawę z tego, jak śliczna jest Steffi, ponieważ obejmuje ją mocno w talii, tak mocno, jakby się bał, że mu ucieknie.

Chwileczkę, powiem wam coś dziwnego. Wibracje Davida są przytłumione i raczej niegroźne, ale wyłapuję niepokój Steffi. Ona nie chce być na tym wiecu. Przyszła tu tylko dlatego, że David nalegał! I nie podoba jej się to, że tak mocno ją obejmuje. Nagle, nie mogąc dłużej wytrzymać, wyrywa się z jego objęć i mówi, niemal przepraszająco: „Za mocno”. On patrzy na nią z urazą, po czym bierze za rękę i ściska mocno, aż do bólu.

Moja wszechwiedząca towarzyszka obserwuje niebo, potem mierzy wzrokiem protestujących, a potem znowu patrzy w niebo. Nie opisalibyście jej jako niespokojną, lecz uważną. Wciąż mi powtarza, że w jej pracy najważniejsza jest precyzja. Cóż, w mojej w sumie też.

I nagłe się uśmiecha.

– Ach, już jest.

Wysoko nad nami jakiś samolot wleciał w irlandzką przestrzeń

powietrzną i jego trasa biegnie nad centrum Dublina. Nie podoba mi się to. Co to będzie? Bomba? Katastrofa? Ilu niewinnych ludzi zginie, aby odebrać życie tej jednej, konkretnej osobie?

– Nie. – Moja towarzyszka śmieje się posępnie (większość rzeczy robi posępnie; tak już ma). – Nic z tych rzeczy. To bardzo pomysłowy plan.

Pokazuje na niebo.

– Tam w górze, jakieś półtora kilometra nad nami, bryła lodu odrywa się od podwozia samolotu. W każdej chwili może zacząć opadać i wyląduje dokładnie na moim chłoptasiu.

Jestem pod wrażeniem. Patrzę do góry, następnie na tego zaniedbanego Davida, który nie ma pojęcia, że to jego ostatnie chwile na tej ziemi. Mam szaloną ochotę nakazać mu zrobić coś wartościowego z tą resztą życia, jaka mu pozostała, ale raczej by nie posłuchał. Ludzie rzadko to robią. W każdym razie niedaleko w tłumie właśnie dostrzegł parę, którą zna – jasnowłosą kobietę o twarzy aniołka i uśmiechniętego mężczyznę, którego nie nazwałoby się pulchnym, ale też i nie nazwałoby się go niepulchnym, jeśli rozumiecie, co mam na myśli... Zaraz, chwileczkę, to Matt i Maeve. Ze Star Street sześćdziesiąt sześć. David miał nadzieję, że ich tu spotka i na ich widok rozpromienia się jak choinka, ale choinka taka, jaką mają w piekle. Zło, czerń, tego rodzaju rzeczy. Żadnych gwiazd ani aniołków. Zamiast nich trupie czaszki. Zepsute zęby. Martwe nietoperze. A jego wibracjom zaczyna towarzyszyć niezwykle silny jad. Źle go wcześniej odczytałem.

„Aha! ” – tak myśli David. „Podejdę i ponaśmiewam się z nich. Przedstawię ich Steffi. Powiem, że to straszne, iż tak wielu irlandzkich gwałcicieli przebywa na wolności. To ich dobije! ”

– Steffi. Jest ktoś, kogo bym ci chciał przestawić.

– Kto? – Chryste, jeszcze nigdy nie widzieliście kogoś z tak nieszczęśliwą miną.

– Moja była dziewczyna Maeve. Chodź, to ją poznasz.

Steffi czuje konsternację i strach i... Boże, ona naprawdę go nie lubi.

– Czemu miałabym to zrobić?

– Po prostu chodź, okej?

– Nie, David.

Szarpie ją za ramię, ciągnąc za sobą, ale ona się zapiera. Jeszcze raz szarpie, tym razem mocniej, ona mu się jednak wyrywa. Ludzie zaczynają na nich patrzeć.

– Jak sobie chcesz – mówi David. Po czym dodaje: – Dziwka.

A kilka niosących transparent dziewcząt otwiera ze zdumienia buzie. Nie można tak mówić do swojej dziewczyny. Ale David ma to gdzieś. Idzie po prostu przed siebie, a wszyscy ustępują mu drogi, ponieważ wiedzą, co to za gagatek.

Tymczasem Matt i Maeve zdążyli go zauważyć i na ich twarzach maluje się lekceważenie. Śmiejąc się cicho, David czyni duży krok, potem kolejny, nie słysząc świszczącego odgłosu, jaki nagle zaczął się rozlegać nad jego głową i nie czując wiatru, który mierzwi jego i tak potargane włosy.

– Teraz patrz – mruczy do mnie moja towarzyszka.

I wtedy niezbyt duża bryła lodu spada z nieba prosto na głowę Davida, który przewraca się na ziemię. Głowę, ramiona i tułów na pokryte kawałkami lodu, a rozlewająca się wokół krew świadczy o tym, że z całą pewnością nie żyje.

Przez długą chwilę panuje cisza, a potem wszyscy zaczynają piszczeć i krzyczeć, i biegać, i rwać włosy z głowy, zasłaniać się rękami i patrzeć z

przerażeniem w niebo. I wpatrywać się w bryłę lodu, spod której wystaje dolna część ciała.

Muszę jednak oddać swojej towarzyszce, że nikt inny nie został ranny, nawet lekko.

– Widzisz – mówi z dumą. – To się nazywa precyzja.

– Ale będą wstrząśnięci – mówię. – Niektórzy będą mieć w nocy koszmary i będą musieli brać valium. Popatrz na tę biedną Steffi.

Stoi jak wrośnięta w ziemię i usta ma szeroko otwarte, próbując wciągać powietrze. Jedną dłoń ma na piersi, drugą na szyi i wpatruje się w nogi swego chłopaka i krew, która się leje spod bryły lodu. Jest w szoku. Ale też nie da się nie zauważyć ogromnej ulgi, jaka z niej emanuje.

– Steffi nic nie będzie – mówi lekko moja towarzyszka. – Od dawna próbowała z nim zerwać. Nikomu nic nie będzie. Odrobina terapii i wszystko gra.

– A Matt i Maeve? Ona jest w ciąży. Nie chcemy, aby przeżyła szok i straciła dziecko.

Moją towarzyszkę mocno bawią moje słowa.

– Popatrz na nich – mówi.

Mattowi i Maeve udało się dopchać do pierwszego rzędu gapiów i ich twarze promienieją jakimś dziwnymi uczuciem – i nie jest to szok.

– Nie żyje? – Maeve pyta Matta.

– Na to wygląda. Marzyłem o tym. Kiedy czytałem o spadających z nieba bryłach lodu, pragnąłem, aby jedna z nich spadła na niego.

– Kurczę, naprawdę?

– A teraz patrz.

– To wystarczy, aby odzyskać wiarę.

– No dobra! – mówi moja towarzyszka. – Robota wykonana. Teraz

biegiem na Star Street. Będziemy tam za pięć minut.

Już prędzej za pięć godzin. Wcale nie znała topografii Dublina i wieki całe trwało, nim znaleźliśmy to miejsce. Lataliśmy nad miastem tam i z powrotem, czas uciekał, a mnie ogarniała panika. No ale w końcu trafiłem. Numer sześćdziesiąt sześć, niebieskie drzwi, kołatka w kształcie banana. W mieszkaniu na parterze jest całe mnóstwo ludzi, którzy piją piwo i poncz i jedzą krokiety z mięsem. Impreza pożegnalna Matta i Maeve, dacie wiarę? Opuszczają Star Street i przenoszą się do czegoś większego z powodu mającego się narodzić dziecka. Zaczynam więc krążyć po zatłoczonym mieszkaniu, żeby sprawdzić, co się dzieje. Ku mojej uldze ani Matt, ani Maeve nie wykazują żadnych oznak szoku, wywołanego popołudniowymi wydarzeniami z bryłą lodu i Davidem w rolach głównych. Wprost przeciwnie. Wyglądają na bardzo szczęśliwych i wesoło gawędzą ze wszystkimi gośćmi.

Skupiam się na Conallu, przystojnym, potężnym mężczyźnie i nagle coś mi mówi: to on. Wygląda jak tata, ciemne włosy są nieco potargane, co dobrze wróży, ponieważ tatusiowie nie mają czasu na wcieranie w nie wosku i tym podobne. I ma na sobie odpowiednie ubranie – dżinsy i granatowy polar – w którym może brać dziecko na ręce, podrzucać i nie przejmować się tym, że maluchowi się uleje. Wibracje ma porządne, kochające i skromne (choć mam przeczucie, że pokora to dość świeży dodatek do listy jego cech). Ale przede wszystkim jest gotowy. Trzeba przyznać, że pora na to: ma czterdzieści trzy lata.

Conall obserwuje drzwi i wszystkich zjawiających się gości. Nagle robi się przy nich małe zamieszanie: zjawiła się Lydia, pełna energii i taka jakaś nastroszona. Kiedyś łączył ją z Conallem krótki romans. Ich spojrzenia się krzyżują, ale po romansie nie został nawet ślad.

Lydii towarzyszy potargany muzyk, niejaki Aleksander Szewczenko. Przystojna bestia, nawet jeśli ma na szyi żenujące coś – ni to szalik, ni to fular. A pod czarnymi dżinsami nie ma bielizny. Oczy Aleksandra płoną gniewnie, ponieważ Lydia nie pozwoliła mu przynieść ze sobą instrumentu, specjalnego ukraińskiego akordeonu. W mieszkaniu dwa piętra wyżej dopiero co miała miejsce porządna, głośna, seksowna kłótnia.

Wiecie co? Nad tą parą warto się zastanowić. Rzeczywiście są Bardzo Mocno Zakochani... Ale, po namyśle, sam już nie wiem... Byłbym przystojny, nie mam co do tego żadnych wątpliwości, i nie byłoby żadnych problemów z poczęciem (na okrągło uprawiają seks), ale Lydia ma w sobie tyle życia. Na pewno nie jest jeszcze na mnie gotowa, a ja chcę być dzieckiem wyczekanym i upragnionym.

Przechodzi przez pokój, aby zamienić parę słów z Conallem... ale nie, ona tylko idzie po coś do picia. Ale znajdują się tak blisko siebie, że dociera do niej, iż nie może go zignorować.

– Siemka, Hathaway. Co to? Sobota dniem bez krawata? – Drwi najwyraźniej z jego dżinsów.

– Cześć, Lydio – odpowiada spokojnie. – Dobrze wyglądasz. Jak tam Ellen?

– Nie najgorzej. Bierze leki. Nie jest dawną sobą, już nigdy nie będzie, ale przynajmniej jej się nie pogarsza.

– Murdy i Ronnie? Wywiązują się ze swoich obowiązków?

Lydia śmieje się.

– No, żona Murdy’ego z całą pewnością. A Ronnie wytrzasnął skądś dziewczynę, jakąś biedaczkę o imieniu Shannon, i ona też świetnie sobie radzi ze sprzątaniem. Ale mama ma opiekę i to jest najważniejsze.

– A Raymond?

– Nadal ukrywa się w Stuttgarcie. – Wzruszyła ramionami. – Nie da się wygrać wszystkich bitew.

– Święte słowa. No więc nadal często bywasz w Boyne?

– W poniedziałki i wtorki. Mamy grafik, który się sprawdza.

– A Ellen nadal mieszka we własnym domu?

– Nadal mieszka we własnym domu. Czasem pyta o ciebie. Pozdrowię ją od ciebie.

– Koniecznie. I braci także.

– Oni też o ciebie pytają. Źle znieśli nasze rozstanie. Znacznie gorzej niż ty.

– Aaach, Lydia...

Jeszcze jedno dotarło do mnie w związku z Conallem: nie jest zbyt szczęśliwy. Prawdę mówiąc, pulsuje w nim gorący, długotrwały ból, jak infekcja ucha, tyle że w tym przypadku serca... I coś jeszcze: Conall nie mieszka na Star Street sześćdziesiąt sześć. O ile więc nie spiknę go z jakąś kobietą, która tu mieszka, to nie może być on.

Znowu zaczynam panikować. Lecę na samą górę domu, gdzie mieszka kobieta o imieniu Katie. Naprzeciwko niej siedzi przystojny książę o imieniu Fionn. Ich kolana się stykają, głowy są nachylone ku sobie, łączy ich prawdziwa więź.

Piętro niżej mieszkają Lydia i Aleksander. A jeszcze niżej małżeństwo, Andrzej i Rosie. Dziwnie wygląda ich mieszkanie. Znajdują się w nim ponure, ciężkie meble, ale wygląda na to, że powoli są wypychane przez jaskrawą, kwiatową, żółtą schludność.

Pani domu, Rosie, jest drobna, pruderyjna i ładna – i ma niezwykłą wprost władzę. To ona jest odpowiedzialna za te wszystkie żółte elementy wystroju, a w planach ma ich znacznie więcej. Uszyła nawet – sama –

żółte zasłonki do kuchni. A Andrzej? Szczerze mówiąc, nie jestem w stanie nic wam powiedzieć na jego temat, ponieważ ciałem i duszą oddał się tej domowej petardzie o imieniu Rosie.

W koszu w kącie siedzi duży, przypominający osła pies, który należał do poprzedniej właścicielki tego mieszkania, i kiedy Rosie skończy przemeblowywanie, tylko on po niej pozostanie. Tak jak i Andrzej, pies uwielbia Rosie. Po prostu uwielbia.

Andrzej i Rosie wychodzą właśnie na przyjęcie, więc podążam na dół razem z nimi.

Nim Rosie zapuka do drzwi Matta i Maeve, puka w swój zegarek i mówi do Andrzeja:

– Godzina i piętnaście minut, wychodzimy pięć po dziewiątej, ani minuty później. Możesz wypić dwa piwa. Wypijesz więcej, a będziesz miał kłopoty.

Andrzej kiwa głową. Jest bardzo szczęśliwy. Lubi wiedzieć, na czym stoi. Następnie Rosie wygładza swoją i tak gładką bawełnianą szmizjerkę – to mistrzyni prasowania – i przywołuje na twarz słodki uśmiech, po czym puka do drzwi.

A ja myślę: nie, nie ona. Za mało w niej radości. Andrzej może by i uszedł, gdybym tylko dał radę odłączyć go od Panny Skromnisi, ale to naprawdę mało prawdopodobne.

Maeve otwiera drzwi i Rosie wręcza jej mały, owinięty kraciastą bawełną kosz z domowej roboty muffinkami, a potem wchodzą do środka. Serce Andrzeja zaczyna bić szybciej. Jest czujny, obraca głową na wszystkie strony jak peryskop, szukając Lydii – aż ją dostrzega. Ta chyba wyczuwa na sobie jego spojrzenie, ponieważ podnosi natychmiast głowę. Ich spojrzenia się krzyżują. Andrzeja ogarnia panika, ma wrażenie, że zaraz

dostanie zawału. Jeśli chodzi o niego, to szaleństwo z Lydią było najgorszym błędem w jego życiu i przeraźliwie się boi, że Rosie się o tym dowie. Automatycznie bierze od Matta piwo – jedno z dwóch, na które ma pozwolenie – i jego panika słabnie. A Lydia? Jej spojrzenie Prześlizguje się po Andrzeju, jakby w ogóle go tutaj nie było.

Tak więc nie oni.

A teraz się okazuje, że do mieszkania Matta i Maeve wprowadza się para gejów! Są tutaj, poznając nowych sąsiadów. Sympatyczna para, ale żaden z nich nie nadaje się do poczęcia dziecka z Conallem.

Co znaczy... że nie ma w tym domu wolnej kobiety dla Conalla.

A niech tam. To będą musieli być Katie i Fionn.

Wracam na górę. Nie da się zaprzeczyć, że łączy ich silna więź. Są sobie bardzo bliscy.

Ale coś tu nie gra... Są sobie bliscy, ale nie są razem. Byli razem przez krótki okres, ale Fionn przespał się z dziewczyną o imieniu Alina tej nocy, kiedy Jemima, jego przybrana matka, zmarła; a kiedy się okazało, że Katie się tym nie przejęła, wszystko się rozpadło. Ale trzeba przyznać, że pozostali w bardzo dobrych stosunkach. Częściej się słyszy o obcinaniu nogawek spodni od garniturów i krewetkach ukrytych w karniszach, coś takiego stanowi więc przyjemną odmianę.

Śmierć przybranej matki zdruzgotała Fionna. W sumie byłoby z nim coś nie tak, gdyby tak się nie stało. Dźwigał całą tonę wyrzutów sumienia, ponieważ nie było go wtedy przy niej.

Co znaczy – wszystko staje się jasne – co znaczy, że Katie jest wolna! I może być z Conallem! Katie wstaje. Ponieważ Fionn wychodzi. On tu nie mieszka. Mieszkał, kiedy nagrywał program telewizyjny, ale nigdy go nie wyemitowano, więc wrócił do domu, do jakiegoś odległego, górzystego

miasteczka, które nazywa się Pokey. Przyjechał do Dublina po drobiazgi, które należały do jego przybranej matki.

– Jesteś pewny, że nie zajrzysz tam ze mną? – pyta Katie, idąc w stronę drzwi.

Fionn kręci głową.

– Maeve mnie nie lubi.

– Nie zachowuj się jak dziecko.

Fionn zatrzymuje się w pół kroku.

– Tak naprawdę to nie jestem fanem przyjęć.

Słysząc to, Katie wybucha głośnym śmiechem.

– Okej – przyznaje Fionn. – Przez jakiś czas byłem. Ale to nie byłem prawdziwy ja. Jestem z natury samotnikiem.

– Wiem. – Katie klepie go po ramieniu. – No to wychodzimy.

Zamyka drzwi i schodzą na dół. Kiedy docierają do pierwszego piętra, pies Andrzeja i Rosie czujnie nastawia uszu, po czym pędzi do korytarza, szczekając i rzucając się na drzwi.

„Już ja cię dorwę! – ryczy. – Już ja dorwę tego żółtowłosego gnoja".

W odpowiedzi Fionn kopie mocno drzwi.

– Ty też się wal pieprzony psycholu! – woła. – Powinieneś chodzić w kaftanie bezpieczeństwa.

A więc nic się nie zmieniło.

– To czubek – mówi Fionn do Katie.

– Skoro tak twierdzisz. Ale to teraz drzwi Andrzeja, nie powinieneś ich kopać.

– Możesz dać wiarę, że Jemima zapisała mu to mieszkanie? W testamencie?

– Jestem pewna, że miała swoje powody. Na cóż ono tobie? Nie

znosisz Dublina.

Katie jest niespokojna. Katie chce ułagodzić Fionna, ponieważ chce pójść na to przyjęcie, zanim...

Conall wychodzi! Na parterze właśnie pożegnał się z Mattem i Maeve, wychodzi z ich mieszkania i jest teraz na klatce schodowej, a Fionn i Katie nadal stoją pod drzwiami mieszkania Andrzeja, gawędząc na temat testamentu Jemi my, jakby mieli nie wiadomo ile czasu. Jakbym ja miał nie wiadomo ile czasu. A nie mam.

– Twierdzę jedynie, że to było zaskoczenie – rzekł Fionn.

– Chyba nie możesz narzekać. Zapisała ci wszystkie Pieniądze.

No dalej. DALEJ! Na dół, na dół!

– No tak, w sumie po co mi mieszkanie?

– Właśnie. Jesteś człowiekiem wsi.

– A skoro o tym mowa... – Fionn zaczyna grzebać w kieszeni swej starej marynarki – ... to pewnie coś dla ciebie mam.

Och, na rany Chrystusa! NA DÓŁ! Jedno piętro, tyle tylko trzeba. Na dół, na dół! Czternaście schodków. To was nie zabije.

Ale Conall otworzył właśnie drzwi.

– Katie?

Conall dostrzegł Katie, stojącą piętro wyżej.

– Conall! – Jej twarz pobladła. Nie widziała go od pogrzebu Jemimy.

Schodzi po schodach, a zaraz za nią Fionn. Schodzi powoli, ponieważ drżą jej nogi.

– Fionn. – Conall kiwa sztywno głową.

– Conall. – Fionn kiwa równie sztywno.

Tu się też nic nie zmieniło. Ten Fionn, wszędzie wrogowie. Przedziwne wibracje. Niezwykła mieszanka samowystarczalności i warzyw

korzeniowych. Konkretnie rzepy.

Ale co tam Fionn. Uczucia Conalla kompletnie sfiksowały. Ból serca przybrał na sile. Na widok Katie poczuł ogromną ulgę, ale na widok Fionna poczuł, że wnętrzności przebija mu dzida. Ciepło, rana, radość, ból: dobra stara mieszanka uczuć.

– Byłeś u Matta i Maeve? – pyta go Katie..

„Kocham cię”.

– Właśnie wychodziłem.

– Do pracy? O wpół do dziewiątej w sobotni wieczór? Niektóre rzeczy nigdy się nie zmienią.

„Kocham cię”.

– Katie, nie idę do pracy. – Strasznie chce przekazać jej tyle informacji, ile się da, ponieważ nie wie, ile ma czasu, nim porwie ją Fionn. – Wszystko się zmieniło. Mam teraz dwóch współpracowników, a będzie ich jeszcze więcej. Pozmieniało się. Nie wyjeżdżałem z kraju od... – liczy w głowie – prawie dziewięciu tygodni.

– Boże. To co ty robisz z czasem?

„Myślę o tobie. Bez przerwy”.

– Bo ja wiem. Często bywam u Joego i Pat. Bronagh o ciebie pyta.

– A więc jeśli się nie wybierasz do pracy, to czemu opuszczasz przyjęcie?

Conall otwiera buzię, po czym ją zamyka. Nie ma pewności, co powinien powiedzieć, zwłaszcza że obok niej stoi Fionn, patrząc na niego spode łba, ale zjawił się tu dzisiaj, ponieważ nie mógł znieść bólu, jakim było jej niewidzenie.

– Myślałem, że nie przyjdziesz. Przestałem na ciebie czekać.

– Czekałeś na mnie?

Kiwa głową.

– Dlaczego?

– ... Chciałem cię zobaczyć.

Tego już za wiele dla Fionna.

– Przepraszam, że przeszkadzam – mówi głosem ociekającym sarkazmem. – Ale mam coś dla Katie.

– Wybacz, Fionn. – Katie wygląda na oszołomioną.

– Co to takiego?

– Jeszcze nie wiem. Właśnie się miałem dowiedzieć, kiedy on zaczął do nas krzyczeć. – Fionn sięga do kieszeni i wyjmuje ciemnozieloną gałązkę. Przygryza wargę; nie wygląda na zadowolonego.

– Co to? – pyta Katie.

– Ach... Wiązówka błotna. To, eee, zioło miłości. W dawnych czasach rzucało się nim podczas ślubów.

– Kto bierze ślub? – pyta Katie.

– Ty, jeśli wierzyć magicznej kieszeni. To jakaś pomyłka. Chwileczkę, jestem pewny, że znajdę coś lepszego.

– Po chwili wyjmuje inną gałązkę. Fionn wpatruje się w nią.

– Bluszcz. – Zgniata zielone listki.

– Ale co to znaczy?

– Wierność. Musi tu być coś lepszego. – Ponownie zanurza dłoń w kieszeni, tym razem głębiej, i znajduje małe nasionko. Przełyka ślinę. – Lukrecja.

– I?

– Wierność i namiętność. Sprawdzę w drugiej kieszeni. Ach! – Fionn uśmiecha się szeroko. – Werbena. Na syfilis. – Podaje ją Conallowi. – Pewnie ma być dla ciebie.

– Wtedy z twarzy Fionna znika uśmiech. – To nie werbena, tylko mirt.

– Który co znaczy?

Fionn nie chce powiedzieć. Ale patrzą na niego. Mruczy:

– Miłość i namiętność, zioło Wenus, bogini miłości.

– Po raz kolejny sięga do kieszeni. – Spróbuję jeszcze raz.

– No i? – Katie patrzy na zwiędnięty listek.

– Kwiat dzikiego bzu.

– I?

– Przynosi szczęście nowożeńcom.

Cóż, panuje cisza, taka, jakiej w ogóle się nie da opisać. Conall wygląda na skołowanego, a Katie na skrępowaną, gdy tymczasem Fionn piorunuje wzrokiem to jedno, to drugie.

– Jadę do domu! – oświadcza. Wychodzi na ulicę i przez ramię rzuca: – Mam nadzieję, że będziecie razem bardzo szczęśliwi.

– Fionn!

– Hej, słuchaj – mówi zakłopotany Conall. – Zostawię was...

– Nie! – Katie kładzie dłoń na jego torsie i syczy: – Nie, ty tu zostań. Zaraz wracam.

– Fionn! – Katie go dogania. – Co się dzieje?

– Zawsze go kochałaś. Tego pacana Conalla Hathawaya.

Co może powiedzieć? Tak, zawsze go kochała. Nadal kocha. Bliskość, która się stała ich udziałem tej nocy, kiedy zmarła Jemima, wydawała się niesamowicie znacząca, jakby stanowiła początek zupełnie innego rodzaju miłości, pewnej i stałej. Ale potem Conall się z nią nie skontaktował i mijały kolejne dni, które się przekształciły w tygodnie i po mniej więcej dwóch miesiącach musiała uznać, że chyba tylko sobie wyobraziła tę ich wspólną

bliskość i zaufanie. Towarzyszył temu gigantyczny ból, co ją w gruncie rzeczy zaskoczyło. Sądziła, że zna wszystkie rodzaje miłosnych cierpień, to jednak było nowe: przygniatający smutek, potworna świadomość straconych szans, życia, jakie ona i Conall mogli wspólnie wieść, gdyby oboje byli nieco inni, gdyby on miał mniejszą obsesję na punkcie pracy, gdyby ona była bardziej skłonna do kompromisów.

Mogła się z nim skontaktować, wysiać radosnego esemesa, niezobowiązującego e – maila – nie był już z Lydią, nikt nie mógł nie słyszeć jej szaleństw z Aleksandrem – ale tego nie zrobiła, gdyż...? Gdyż nie zamierzała zaczynać od początku tego samego, błagając o okruchy jego czasu.

A teraz on pojawia się na klatce schodowej jej domu i oświadcza, że przyszedł na przyjęcie po to tylko, aby ją zobaczyć. Tak na nią patrzył, że ledwie była w stanie zejść ze schodów. Co się dzieje...?

Fionn nadal czeka na odpowiedź. Szybko mówi:

– Ciebie też kochałam, Fionn.

– Byłem dla ciebie jedynie odrobiną zabawy.

– Nie ma nic złego w zabawie. I zawsze będziemy przyjaciółmi.

– Tak. – Wygląda na lekko skruszonego. – Przepraszam. Wiesz co, wracaj do niego. Jesteście sobie przeznaczeni.

– Ach, przestań, Fionn...

– Nie, to ty przestań, Katie! Patrz tylko, co mówią moje magiczne kieszenie. Wierność, miłość, związek. Magiczne kieszenie nigdy nie kłamią.

Według Katie to raczej kwestia przypadku, ale w sumie to dość dziwne, że wszystko, co wyjął Fionn, miało związek z miłością.

– Może i nie wyemitowano *Twojego własnego Edenu,* ale nie da się zaprzeczyć, że wciąż mam ten dawny dar.

– Zdecydowanie pocieszony swoim talentem, Fionn rusza w stronę przystanku tramwajowego. – Zadzwonię do ciebie! – woła przez ramię.

– Super. – Patrzy, jak odchodzi, następnie wraca na klatkę schodową.

Conall siedzi posłusznie na schodach, tak jak go zostawiła. W tym obrazku jest coś dziwnego, coś nienaturalnego. W końcu rozgryza, co.

– Twój BlackBerry? – pyta. – Gdzie go masz?

– Och... – Klepie się w kieszeń dżinsów. – Tutaj. Potrzebny ci?

– Nie. Po prostu chyba po raz pierwszy zobaczyłam, jak nic nie robisz. Tylko siedzisz, patrząc w przestrzeń.

– Mówię ci, Katie, zmieniłem się.

– Co więc dzieje się w twojej głowie teraz, kiedy nie myślisz przez cały czas o pracy? O czym myślałeś, kiedy tak tutaj siedziałeś?

– Modliłem się.

– Modliłeś?! – Wiedziała, że to zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Pracoholizm zamienił na religię.

– Modliłem się, abyś do mnie wróciła.

– Och! – No, może takie modlitwy są w porządku. Nagle poważnieje. – Co się dzieje, Conall? Przez cztery miesiące w ogóle się ze mną nie kontaktujesz, a teraz się zjawiasz i mówisz o modlitwie?

Conall chowa twarz w dłoniach, oddycha głęboko, podejmuje decyzję i prostuje się.

– W porządku, tak to wygląda. Na tym etapie nie mam już nic do stracenia. Kocham cię, Katie. Nie potrafię przestać o tobie myśleć. Nie potrafię, odkąd się poznaliśmy. Ale tamtego ranka, z Jemimą, gdy byliśmy z nią w chwili jej śmierci, poczułem do ciebie taką miłość, takie... przywiązanie. Ale ty masz chłopaka, więc nie wiedziałem, co zrobić.

– To nie w twoim stylu.

– Ponieważ nie jestem już taki, jak kiedyś. Zmieniłem się, Katie. To wszystko, co się naraz wydarzyło, samobójcza próba Matta, śmierć Jemimy i fakt, że w pracy zrobiło się dziwnie, a kiedy się dowiedziałem, że Maeve jest w ciąży... poczułem, no wiesz, jakby wydarzył się cud i... wiesz?

– Wzrusza ramionami. – Uznałem, że nie spotkasz się ze mną, jeśli cię o to poproszę, ale miałem nadzieję wpaść na ciebie na tym przyjęciu.

Katie nic nie mówi. Ona też miała nadzieję, że na niego wpadnie. Myślała, że Fionn już nigdy sobie nie pójdzie.

– Nie mam – mówi.

– Nie masz czego?

– Chłopaka.

– Ale Fionn?

– Nie jesteśmy razem. Od tamtej nocy z Jemimą.

– Nie mówisz poważnie. Tyle czasu... Nie wierzę. Myślałem, że dzisiaj będę musiał z nim stoczyć o ciebie walkę.

– Czynisz wiele założeń, Conall. A moje słowo się nie liczy?

– Liczy, jak najbardziej. Chcę ci zadać pytanie. – Conall wstaje i odkasłuje, jakby zamierzał wygłosić mowę. – Katie Richmond, kocham cię z całego serca i będę się starał ze wszystkich sił, abyś do końca życia była szczęśliwa. Wyjdziesz za mnie?

– Conall, na litość boską! Czy niczego nie możesz zrobić normalnie? Skoro taki jesteś chętny, moglibyśmy iść na kolację czy coś w tym rodzaju.

– Nie. Żadnych kolacji, żadnych randek. Cierpię katusze i muszę wiedzieć. Wchodzisz w to czy nie?

– Wchodzę czy nie? To nie są stosowne oświadczyny.

– Katie Richmond, miłości mojego życia, właścicielko mego serca, wyjdziesz za mnie?

– ... Cóż, nie wiem, skoro rzuciłeś pracę... Będziemy biedni?

– W żadnym razie. A ty nie masz pracy? Będzie dobrze.

– Poważniejszym tonem dodaje: – Nie, nie będziemy biedni.

– Masz pierścionek?

– Tak, mam pierścionek.

– Nie!

– No co? Myślisz, że zamierzałem popełnić drugi raz ten sam błąd?

Wyjmuje małe pudełeczko, otwiera je i oślepia ich biały blask.

– Brylanty – stwierdza Katie.

– Chyba że wolisz szmaragdy? – Pojawia się drugie pudełeczko, tym razem z ciemnozielonym klejnotem oprawionym w staroświeckim stylu.

– Nie mówisz poważnie.

– Albo szafiry? – I kolejne pudełeczko.

– Przestań, proszę. Conall, aż tak bardzo to ty się nie zmieniłeś!

– Chciałem jedynie trafić.

– Boże. – Katie zakrywa dłońmi oczy. Tego wszystkiego było już za wiele. – Przestań mnie pytać.

– Jak długo?

– Chwilę.

Mija pięć sekund.

– Już – stwierdza Conall. – No więc jak będzie?

– Ach... brylanty.

– Chryste! To znaczy tak?

– Tak.

– Tak?

– Tak. To znaczy tak.

To Lydia ich nakrywa. Właściwie można powiedzieć, że nas. Wprost

kipi oburzeniem. Ona próbuje jedynie wejść na górę własnymi schodami, ale drogę zagradzają jej Hathaway

i ta guwernantka, obściskujący się jak małolaty. Odrażające.

I egoistyczne! Blokowanie przejść publicznych.

– Róbcie to gdzieś indziej! – nakazuje im, krzywiąc się na widok ich oczywistego szczęścia.

Rozdzielają się, aby zrobić jej przejście, a kiedy przechodzi między nimi, uderza w nią fala uczuć tak silnych, że niemal zwala ją z nóg.

Kiedy słyszą trzask zamykających się za nią drzwi, Katie mruczy:

– Ona ma rację.

– To znaczy...? – pyta Conall.

– Tak.

Sekundę później chwytają się za ręce i biegną na górę, a mnie porywa ze sobą ich magiczna energia. A kiedy docierają na ostatnie piętro, cała nasza trójka wpada do mieszkania Katie i padamy na łóżko i, i, i...

... Czekam na swój moment i... i...

... może to być lada chwila...

... i... iiiiiii... proszę bardzo! Trzymajcie się krzeseł. Wchodzę.

Podziękowania

Dziękuję mojej wizjonerskiej redaktorce, Louise Moore, Kate Burke i Clare Parkinson za to, że umożliwiły mi przekształcenie surowego materiału w prawdziwą książkę. Jestem wam bardzo wdzięczna. Dziękuję wszystkim w firmie Michael Joseph za miłość i pracę z takim entuzjazmem i zaangażowaniem przy wszystkich moich książkach. Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że szczęściara ze mnie.

Dziękuję najlepszemu agentowi na świecie, Jonathanowi Lloydowi i wszystkim w Curtis Brown za troszczenie się o tę książkę (no i wszystkie inne).

W zbieraniu materiałów pomogły mi niezliczone rzesze ludzi: Gwen Hollingsworth; Tom i Debra Mauro; Magdalena Rawinis; Michał Szarecki, Łukasz Woźniak, Hubert Czubaj i Piotr Taborowski; Suzanne Benson, Kevin Day i Darryll Lewis z HPD Software; Sandra Hanlon i Margaret Nugent ze Związku Taksówkarzy; Karen Fitzpatrick i Gisela Boehnisch. Specjalne podziękowania dla dublińskiego Centrum Kryzysowego Ofiar Gwałtu. Myślę, że to pełna lista, ale jeśli o kimś zapomniałam, najmocniej przepraszam. Dziękuję wszystkim wymienionym

i biorę pełną odpowiedzialność za wszelkie pomyłki.

TLR

Za czytanie rękopisu i nieustające rady i słowa zachęty chciałabym podziękować Shirley Baines, *Jenny* Boland, Ailish Connolly, Siobhan Coogan, Susan Dillon, Caron Freeborn, Gai Griffin, Cathy Kelly, Caitrionie Keyes, Ljiljanie Keyes, mamie Keyes, Ricie – Anne Keyes, Eileen Prendergast, AnneMarie Scanlan i Kate Thompson.

I jeszcze krótka uwaga – za dużo sobie pozwoliłam w stosunku do rozgrywek rugby; w książce jest wzmianka o międzynarodowym meczu, rozgrywanym latem. Podobno w prawdziwym życiu absolutnie tak nie jest i mam nadzieję, że to odejście od rzeczywistości nie zepsuje wam przyjemności czytania.

Dziękuję Jamesowi „Woolfmanowi" Wolfowi i jego żonie, Karolinie, oraz ich córkom, Sienie i Mayi, którzy hojnie przebili wszystkich podczas aukcji dobroczynnej ACT, aby ich nazwiska znalazły się w książce.

Jak zawsze dziękuję mojemu ukochanemu Tony'emu. Bez niego nic by nie było możliwe.

TLR